

AUSCHWITZ

Naziści i „ostateczne rozwiązanie”

Laurence Reese

Tytut oryginału

Auschwitz

THE NAZIS & THE ‘FINAL SOLUTION’

## O Auschwitz

- refleksja więźnia Polaka

Lektura pracy Laurence'a Reesa - wybitnego angielskiego dziennikarza telewizyjnego - nasuwa pytanie, dlaczego fenomen zawarty w dwu niemieckich słowach „Auschwitz” i „Birkenau” interesuje nadal wielu wybitnych intelektualistów w Europie i w całym cywilizowanym świecie. Dlaczego zainteresowanie wydarzeniami sprzed ponad sześćdziesięciu lat nie tylko nie wygasło, ale wręcz powiększyło się w ostatnich czasach? Czy wynika to z wewnętrznej potrzeby lepszego zrozumienia natury ludzkiej, własnego losu, przez ludzi żyjących w krajach szczególnie dotkniętych tragicznymi doświadczeniami w latach II wojny światowej, czy z chęci zrozumienia losów Europy w wieku XX, czy też może pewnych zjawisk dotyczących całej wspólnoty ludzkiej na świecie?

Gdy dziś jesteśmy świadkami brutalnych lub zbrodniczych metod rozwiązywania lokalnych konfliktów, okrucieństw w wojnach domowych, zbrodniczego traktowania kobiet i dzieci, gdy więc jesteśmy nadal konfrontowani z masowymi zbrodniami przeciw ludzkości - wtedy u wielu świadków i obserwatorów mających w swym doświadczeniu lata II wojny światowej rodzą się skojarzenia z Auschwitz-Birkenau. Wielu publicystów, socjologów, historyków i polityków w cywilizowanym świecie zwraca uwagę na powtarzalność pewnych straszliwych doświadczeń; nasuwa im się nierzadko porównanie z epoką ludobójstwa.

Znany powszechnie w świecie więzień i badacz hitleryzmu Simon Wiesenthal, polski Żyd urodzony w 1908 r., od 1945 r. osiadły w Austrii, podnosił wielokrotnie głos wobec obserwowanych współcześnie zjawisk dewiacji w wychowaniu i luk w świadomości ludzi na temat możliwych przyczyn i skutków niewyciągania wniosków z historii. Teologowie, filozofowie, politolodzy, pisarze, artyści filmu i teatru zajmują się od wielu lat problemem zła w człowieku i ogólnych zagrożeń stąd wynikających, w nawiązaniu do praktyk i systemów totalitarnych w XX wieku. Sama literatura o Auschwitz obejmuje tysiące tomów w dziesiątkach języków. Ale kompleks obozowy Auschwitz był przecież tylko jednym z wieluset miejsc planowego maltretowania i zagłady ludzi. Większość ofiar II wojny światowej stanowili cywile, a nie żołnierze. Realizacja programu „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej” oznaczała okrutny mord co najmniej 5,8 miliona ludzi, zgładzonych z powodów rasowych. Nie wszyscy jednak przecież zetknęli się z Auschwitz. Chełmno nad Nerem, Treblinka, Sobibór, Bełżec, Majdanek pochłonęły więcej ofiar. Pojęcie Auschwitz stało się jednak, *pars pro toto*, symbolem tamtej epoki dla ogółu Żydów, ale nie tylko dla Żydów. Także dla Polaków wyznań chrześcijańskich, których znacznie ponad dwa miliony

(niezależnie od ponad pół miliona poległych na frontach) padło ofiarą eksterminacji z powodu nienawiści wobec nich motywowanej politycznie, w tym kilkadziesiąt tysięcy właśnie w Auschwitz-Birkenau.

Symbolem stał się też Auschwitz dla powstałego po wojnie niemieckiego państwa prawa, dla ogółu myślących ludzi z dalszych pokoleń społeczeństwa sprawców.

W pierwszym okresie po II wojnie światowej opinia publiczna cywilizowanych narodów nie była po prostu w stanie - mimo jawnie przeprowadzonego w latach 1945-46 procesu głównych zbrodniarzy hitlerowskich w Norymberdze - pojąć pełnego wymiaru zbrodni ludobójstwa, której zakres i metody przekraczały możliwości ludzkiej wyobraźni. Pierwszymi, którzy zrozumieli, bo zrozumieć musieli, fenomen Auschwitz, byli Polacy i Żydzi polscy oraz Żydzi przywożeni tam z kilkunastu krajów Europy na śmierć, a także ich bliscy, którzy ocalili. Polacy wiedzieli już w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie zarówno o obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, jak i o ośrodkach zagłady w Birkenau, Treblince, Bełżcu i gdzie indziej. Zorganizowane komórki specjalistyczne polskiego wojskowego i cywilnego podziemia (mam tu na myśli głównie służby Armii Krajowej i Delegatury Rządu) przekazywały systematycznie - szczególnie w krytycznym okresie lat 1942-44 - rzeczowe informacje o postępach ludobójstwa na ziemiach polskich. Specjalny wysłannik Armii Krajowej Jan Koziński (Karski) dostarczył w listopadzie 1942 r. do Londynu solidną dokumentację zbrodni hitlerowskich. Rząd i politycy brytyjscy i amerykańscy zostali o tym poinformowani, niestety bez konkretnego skutku.

Opinia publiczna w Niemczech informowana była szerzej o wojennych wydarzeniach w Auschwitz dopiero w procesie grupy członków załogi obozu we Frankfurcie nad Menem w latach 1963-65. Potem nastąpiło kilka fabularnych seriali telewizyjnych i z biegiem lat coraz więcej filmów dokumentalnych w różnych kanałach telewizji niemieckiej.

Przez dziesiątki lat stawiano sobie w Europie i Ameryce pytanie, jak możliwe było w ogóle, aby wysoko cywilizowany naród niemiecki dotknięty był zbiorowo kompletną ślepotą i głuchotą wobec wojennej praktyki systemu narodowosocjalistycznego, powszechnie akceptowanego w III Rzeszy. Nikt nie znalazł jasnej i pełnej odpowiedzi na to pytanie - i można wątpić, czy w ogóle można jej udzielić. Pojawiały się jednak w Republice Federalnej Niemiec liczne głosy wnikliwe i krytyczne, hitleryzmu nie usprawiedliwia dziś żadna z działających publicznie niemieckich partii politycznych. Pozostaje problem współodpowiedzialności moralnej za dziedzictwo historii własnego narodu i państwa, problem, który niektórzy filozofowie niemieccy określali pojęciem zbiorowego wstydu. Widoczne są też w Niemczech tendencje do jasnego odróżnienia od postaw wtedy

powszechnych takich zachowań i czynów, jakie na przykład reprezentowała grupa „Białej Róży” w Monachium w latach 1942-43, studentów skazanych na śmierć za próby uświadamiania innych o zbrodniczych praktykach systemu hitlerowskiego.

Symbol Auschwitz stał się czynnikiem stymulującym określenie się wielu myślących Europejczyków wobec ich przeszłości i do zajęcia stanowiska wobec podstawowych wartości etycznych w warunkach obecnej cywilizacji i kultury. U Niemców dotyczy to problemu identyfikacji narodowej, u Żydów osobistej historii większości rodzin w krajach okupowanych przez Niemcy. Dziś wydaje mi się najważniejsze, aby poznać i zrozumieć - w granicach możliwości pojmowania ich przez normalnych ludzi - nie tylko motywacje sprawców zbrodni, lecz także zespół warunków politycznych i społecznych, które umożliwiły jej dokonanie.

Zjawisko historyczne Auschwitz skłania też potomnych do refleksji, jak sami zachowaliby się w sytuacji przymusowej, w której byliby bezradnymi ofiarami bezwzględnego terroru. W podobnej sytuacji znalazłem się sam po raz pierwszy w życiu we wrześniu 1940 r. na placu apelowym w KZ Auschwitz: staliśmy w szeregu, nowo przybyli więźniowie, gdy SS-mani wybrali sobie jako ofiarę jednego z nas - podobno nauczyciela z Warszawy. Bili go, maltretowali, potem tratowali już leżącego na ziemi. Pięć tysięcy mężczyzn stało na baczność, żaden z nas się nie ruszył, żaden nie krzyknął - a działo się to w odległości kilkudziesięciu metrów, na naszych oczach. Miałem wtedy osiemnaście lat, byłem sparaliżowany strachem i poczuciem bezradności. Ale w konsekwencji tego przeżycia postanowiłem nigdy w życiu nie ulegać biernie przemocy i złu. I w tym sensie doświadczenie Auschwitz odegrało w całej mojej biografii ogromną rolę.

W zamkniętym świecie obozów koncentracyjnych opanowywało więźniów uczucie beznadziejności. Ogromna większość więźniów - i to bez względu na wykształcenie i zawód - nie znajdowała żadnej skutecznej metody przeżycia psychicznie i fizycznie. Oderwani od świata zewnętrznego czuli się jak w piekle na ziemi. Strach zmuszał jednych do dostosowania się, innych prowadził do samobójstwa. Rola więźniów funkcyjnych, czy tak zwanych kapo, była szczególnie trudna. Mając nieco większe szanse przeżycia, stawali co chwila wobec konieczności moralnego wyboru sposobu postępowania.

Nas zaś w wolnym i demokratycznym świecie zobowiązuje tylko nieporównywalnie łatwiejszy wybór: zajmowanie stanowiska wobec nienawiści i nietolerancji uprawianych z powodów politycznych, narodowych, religijnych czy rasowych - póki czas. Sądzę, że wypowiedź Adorna, iż po Auschwitz nie będzie już możliwe tworzenie poezji, stanowi swego

rodzaju przesłanie do namysłu. W dziesięcioleciach, które dzielą nas od Auschwitz, pisano bowiem wiersze i powieści, komponowano muzykę, co więcej - nowe wartości w kulturze świata tworzyli także byli więźniowie Auschwitz, Żydzi i chrześcijanie.

Ale jeśli uznać Auschwitz za symbol przełomowej katastrofy w historii ludzkości, to zrozumieć można, że powinna ona spowodować zasadniczą zmianę w mentalności ludzi. Powinna zrodzić zobowiązanie nowej generacji wszystkich narodów Europy do wychowania następnych pokoleń w szacunku dla godności i praw człowieka, przyjęcia kanonu zasad tolerancji, gotowości do przeciwstawiania się szowinizmowi i ksenofobii, w tym także antysemityzmowi w każdym przypadku i w każdym miejscu.

I wtedy także w czasach pogardy, w warunkach grozy i lęku przejawiały się odważne postawy poszczególnych ludzi, pomocy słabszym i wspólnoty działania - organizowania się w grupach samoobrony i oporu. Takie postawy nie mogą być zapomniane, wiedza o nich stanowić powinna ważny element świadomości ludzi współczesnych.

Sądzę, że książka Reesa wejdzie do kanonu podstawowych dzieł kształtujących wiedzę o faktach niedostatecznie znanych i trudnych dziś do zrozumienia dla wielu. Sądzę też, że polscy czytelnicy będą w stanie zrozumieć i przyjąć z niej szczególnie dużo.



Władysław Bartoszewski  
więzień KZ Auschwitz nr 4427

*Pamięci miliona kobiet i mężczyzn  
pomordowanych w Auschwitz*

## Od autora

Wiele przedstawionych w niniejszej książce rzeczy może przerażać, ale mimo to sądzę, że jej napisanie było konieczne. Nie tylko z tego oczywistego powodu, że ankiety\* [\*Ten sąd częściowo wynika z ankiety przeprowadzonej wśród odbiorców BBC w 2004, aby sprawdzić znajomość i postrzeganie historii obozu Auschwitz. Ankieta wykazała, że ludzie, którzy słyszeli o obozie, w ogromnej większości sądzili, że został zbudowany w celu wymordowania Żydów.] wciąż wykazują, iż dużo ludzi nie ma zbyt dobrego pojęcia o prawdziwej historii obozu w Oświęcimiu, ale również dlatego, że książka ta, jak mam nadzieję, zawiera nowe treści.

Jest ona owocem piętnastu lat pracy, w ciągu których pisałem książki i tworzyłem programy telewizyjne o hitlerowcach. Jest ona również próbą pokazania, jak jedną z największych zbrodni w historii można zrozumieć przez pryzmat jednego miejsca - obozu Auschwitz. W przeciwieństwie do historii antysemityzmu historia obozu Auschwitz ma jasno określony początek (pierwsi więźniowie przybyli 14 czerwca 1940 roku), a w przeciwieństwie do historii ludobójstwa ma jasno określony koniec (obóz został wyzwolony 27 stycznia 1945 roku). W czasie pomiędzy tymi dwoma datami Auschwitz miało skomplikowaną i zaskakującą historię, która na wiele sposobów odzwierciedlała zawilości hitlerowskiej polityki rasowej i narodowościowej. Bynajmniej nie planowano tego obozu jako miejsca mordu Żydów, a „ostateczne rozwiązanie” nie było również nigdy jedyną jego funkcją - choć z czasem stało się funkcją najważniejszą. W przestrzennym układzie obozu zachodziły ciągle zmiany, często w odpowiedzi na zachodzące gdzie indziej zmiany w losach toczonych przez Niemcy wojny. Obóz Auschwitz, poprzez swoją morderczą dynamikę, był ucieleśnieniem fundamentalnych wartości hitlerowskiego państwa.

Przyjrzenie się historii obozu umożliwia nie tylko lepsze zrozumienie hitlerowców; daje również szansę zrozumienia, jak istoty ludzkie zachowywały się w warunkach ekstremalnych, niemal niespotykanych w historii. Dzięki ich historii wiele możemy się dowiedzieć o nas samych.

Książka jest oparta na wyjątkowym materiale - około stu przeprowadzonych na potrzeby tej książki wywiadach z hitlerowskimi zbrodniarzami i byłymi więźniami obozu - oraz korzysta z kilkuset dalszych wywiadów, przeprowadzonych wcześniej w trakcie pracy nad moimi programami o Trzeciej Rzeszy, często z byłymi członkami partii nazistowskiej \* [\*Chciałbym tutaj podkreślić, jak wiele zawdzięczam zespołom, z którym miałem przywilej pracować nad poprzednimi projektami, w szczególności wspianą pracę przy zbieraniu

materiałów, którą przez te wszystkie lata wykonywali Tilman Remme, Detlef Siebert, Martina Balazova oraz Sally Ann Kleibal.]. Spotkania i rozmowy z ofiarami i zbrodniarzami mają niezwykłą wartość. Dają one okazję do obserwacji, których nie można dokonać na podstawie źródeł pisanych. W rzeczy samej, mimo że od czasów szkolnych interesuję się tym okresem historii, moja głęboka fascynacja Trzecią Rzeszą rozpoczęła się w 1990 roku, w czasie wywiadu z byłym członkiem partii nazistowskiej. W trakcie zajęć przy scenariuszu i produkcji filmu o Josefie Goebbelsie rozmawiałem z Wilfredem von Ovenem, który blisko współpracował z niesławnym ministrem propagandy jako jego osobisty sekretarz. Po formalnym wywiadzie, pijąc filiżankę herbaty, zapytałem tego czarującego i inteligentnego mężczyznę: „Gdyby mógł pan zwrzeć swoje doświadczenie Trzeciej Rzeszy w jednym słowie, jakie by ono było?”. Kiedy Herr von Oven namyślał się przez chwilę przed odpowiedzią, zgadywałem, że będzie się starał nawiązać do straszliwych zbrodni hitlerowskiego reżimu - zbrodni, do których, co bez wahania przyznał, doszło - i zniszczeń, jakie hitleryzm spowodował na całym świecie. „Cóż - odpowiedział w końcu - jeśli mam streścić swoje doświadczenie Trzeciej Rzeszy w jednym słowie, to będzie nim - raj”.

Raj? To nie pasowało do niczego, o czym przeczytałem w książkach o historii. Nie pasowało również do eleganckiego, wykształconego mężczyzny, który siedział przede mną i który, jeśli by mnie kto pytał, nie wyglądał wcale na byłego nazistę. Ale raj? Jak mógł coś takiego powiedzieć? Jak osoba inteligentna może myśleć w ten sposób o Trzeciej Rzeszy i jej zbrodniach? W rzeczy samej, jak to możliwe, że w dwudziestym wieku Niemcy, naród o wielkiej kulturze zamieszkujący serce Europy, mogli w ogóle popełnić takie zbrodnie? Właśnie takie pytania zadawałem sobie tego popołudnia dwadzieścia lat temu. Do dziś nie przestały mnie one prześladować.

W próbach udzielenia odpowiedzi na nie pomogły mi dwa historyczne wypadki. Pierwszym było to, że wywiady z byłymi hitlerowcami rozpocząłem dokładnie w tym czasie, kiedy większość ich nie miała już nic do stracenia i mogli mówić otwarcie. Piętnaście lat wcześniej, gdy zajmowali ważne stanowiska i byli szanowanymi obywatelami, nie powiedzieliby nic. Dziś, piętnaście lat później, większość - w tym również czarujący pan Oven - nie żyje.

Często potrzebne były miesiące - w niektórych wypadkach lata - żeby wyjednać u nich zgodę na nagranie wywiadu. Trudno zawsze powiedzieć, co konkretną osobę przekonało do udzielenia nam tej zgody, ale na ogół głównym powodem był fakt, że zbliżali się do końca swojego życia i chcieli zapisać - bez upiększania - swoje doświadczenia o tych doniosłych czasach; tym bardziej że w ich mniemaniu reporterzy z BBC nie próbowaliby zniekształcić



relacji. Chciałbym tutaj dodać, że tylko BBC mogła nam odpowiednio pomóc w tym przedsięwzięciu. Tylko instytucja publiczna mogła sobie pozwolić na tak długi okres zbierania materiałów.

Drugim wsparciem, jakie historia udzieliła mojej pracy, był upadek muru berlińskiego i otwarcie wschodniej Europy; nagle stały się dla nas dostępne nie tylko archiwa, ale również ludzie. Przedtem robiłem w Związku Radzieckim film w 1989 roku, jeszcze za czasów komunistycznych, i trudno było wówczas nakłonić kogokolwiek do opowiadania o historii swojego narodu inaczej niż językiem propagandowych sloganów. W latach dziewięćdziesiątych nagle jakby pękła jakaś tama i wszystkie długo skrywane wspomnienia i opinie popłynęły jak rzeka. W krajach bałtyckich usłyszałem ludzi opowiadających, jak witali hitlerowców niczym wyzwolicieli; na dzikich stepach Kałmucji dowiedziałem się od naocznych świadków o stalinowskich wywózkach całych wspólnot narodowych; na Syberii spotkałem weteranów, którzy zostali uwięzieni dwukrotnie - raz przez Hitlera, a drugi raz przez Stalina; a we wsi pod Mińskiem spotkałem kobietę, która przetrwała jedną z najstraszliwszych wojen partyzanckich we współczesnej historii i po latach uznała, że radzieccy partyzanci byli jeszcze gorsi od hitlerowców. Gdyby komunizm nie upadł, wszystkie te głęboko ukrywane historie umarłyby razem z ludźmi, którzy je przeżyli.

Podróżując po krajach, które niedawno odzyskały wolność, od Litwy po Ukrainę, od Serbii po Białoruś, spotkałem się również z czymś bardziej przerażającym - zażartym antysemityzmem. Oczekiwałem, że ludzie będą mi opowiadać, jak bardzo nienawidzili komunistów - to byłoby naturalne. Ale nienawidzić Żydów? Wydawało się to śmieszne, szczególnie dlatego że w odwiedzanych przeze mnie miejscach nie było prawie żadnych Żydów - Hitler i jego ludzie już się tym zajęli. Mimo to staruszek, który w jednym z krajów bałtyckich pomagał hitlerowcom w rozstrzeliwaniu Żydów w 1941 roku, po sześćdziesięciu latach wciąż uważa, że postępował wtedy słusznie. Nawet ci, którzy walczyli z hitlerowcami, mieli zajadłe antysemickie urojenia. Pamiętam pytanie, które zadał mi przy obiedzie ukraiński weteran. W czasie wojny dzielnie walczył w ukraińskim narodowym ruchu oporu zarówno przeciw hitlerowcom, jak i Armii Czerwonej, a po wojnie był za to represjonowany. „Co pan sądzi - spytał - o poglądzie, że istnieje międzynarodowy spisek żydowskich finansistów działających z Nowego Jorku, którzy próbują zniszczyć wszystkie nieżydowskie rządy?”. Popatrzyłem na niego przez chwilę. Nie jestem Żydem, ale zawsze odczuwam lekki wstrząs, gdy niespodzianie stykam się z nieukrywanym antysemityzmem. „Co o tym sądzę? - odparłem w końcu. - Sądzę, że to wierutna bzdura”. Stary partyzant wypił łyk wódki. „Naprawdę? - powiedział. - Tak pan sądzi. Ciekawe...”.

Największym wstrząsem było dla mnie to, że wszystkie te antysemityczne poglądy nie ograniczały się do członków starszego pokolenia. Pamiętam pracownicę w recepcji litewskich linii lotniczych, która dowiedziawszy się, co będzie tematem filmu, powiedziała: „Interesujecie się Żydami, tak? To pamiętajcie - Marks był Żydem”. Również na Litwie młody, liczący sobie niecałe trzydzieści lat oficer, który pokazywał nam w forcie w Kownie miejsce mordów na Żydach w 1941 roku, powiedział: „Nic nie wiecie o wielkiej historii. Nie o tym, co my robiliśmy Żydom, ale o tym, co oni robili nam”. Nie twierdzą wcale, że wszyscy - a nawet że większość ludzi - w odwiedzonych przeze mnie krajach wschodniej Europy dzielą te poglądy, ale otwarte wyrażanie tego rodzaju uprzedzeń budzi niepokój.

O wszystkim tym powinni pamiętać ludzie, którzy uważają, że historia opisana w tej książce nie ma dla naszych czasów dużego znaczenia. Powinni się również zastanowić nad nią ludzie, według których zażarty antysemityzm był cechą jedynie nazistów albo nawet samego Hitlera. W rzeczy samej pogląd, że zbrodnia eksterminacji Żydów została w jakiś sposób narzucona niechętniej Europie przez kilku szaleńców, jest właśnie najniebezpieczniejszy. Nie było nic „wyjątkowo eksterminatorskiego” - że posłużę się zwrotem modnym ostatnio wśród angielskich historyków - w niemieckim społeczeństwie przed dojściem nazistów do władzy. Jak mogło być, skoro tylu Żydów uciekało przed antysemityzmem we wschodniej Europie w latach dwudziestych do azyłu, jakim były Niemcy?

A jednak jest coś w psychice hitlerowców, co nie pasuje do mentalności zbrodniarzy działających w tylu innych reżimach totalitarnych. Do tego niewątpliwego wniosku doszedłem po ukończeniu trzech projektów dotyczących drugiej wojny światowej, na które składały się książki i seriale telewizyjne: najpierw „Naziści: Ostrzeżenie historii”, potem „Wojna stulecia”, studium starcia pomiędzy Hitlerem a Stalinem, a w końcu „Trwoga na wschodzie”, będąca próbą zrozumienia japońskiej mentalności w latach trzydziestych i podczas wojny. Jednym z niespodziewanych skutków mojej pracy jest to, że nie znam poza sobą żadnej innej osoby, która rozmawiałaby z tak dużą liczbą zbrodniarzy wojennych ze wszystkich trzech totalitarnych mocarstw - Niemiec, Japonii i Związku Radzieckiego. Mogę na podstawie tych rozmów potwierdzić, że zbrodniarze hitlerowscy byli inni.

W Związku Radzieckim atmosfera strachu panująca w czasach stalinowskich była wszechogarniająca w stopniu nieznanym w Trzeciej Rzeszy aż do ostatnich dni wojny. Wciąż prześladowają mnie opisy, usłyszane od oficera radzieckich sił powietrznych, mityngów politycznych w latach trzydziestych, podczas których każdy mógł zostać uznany za „wroga ludu”. Każdy obawiał się, że w nocy rozlegnie się walenie do jego drzwi. Niezależnie od tego,

jak bardzo człowiek starał się upodobnić do innych, jak wiele sloganów wygłosił, terror stalinowski działał tak, że nic, co się robiło, mówiło lub myślało, nie mogło uratować, jeśli los padł właśnie na ciebie. Natomiast w hitlerowskich Niemczech, jeśli nie należało się do określonej grupy ryzyka - Żydów, komunistów, Cyganów, homoseksualistów, „nierobów” albo kogokolwiek, kto sprzeciwiał się reżimowi - można było wieść spokojne życie. Mimo niedawnych opracowań historycznych, według których gestapo działało w dużej mierze dzięki donosom zwykłych ludzi \* [\*Zob. też szczególnie dzieło profesora Roberta Gallety'ego „The Gestapo and German Society”, Clarendon Press, 1990.], trudno podawać w wątpliwość, że większość Niemców - a na pewno zanim Rzesza zaczęła przegrywać wojnę - czuła się osobiście tak bezpieczna, że głosowałaby za utrzymaniem Hitlera przy władzy, gdyby odbyły się wolne i uczciwie zorganizowane wybory. Natomiast w Związku Radzieckim nawet najbliżsi i najbardziej lojalni towarzysze Stalina nie mogli spać spokojnie.

Konsekwencją tego stanu rzeczy dla stalinowskich zbrodniarzy była taka arbitralność represji, że często nie znali oni nawet ich powodu. Na przykład, rozmawiający ze mną były członek tajnej policji stalinowskiej, który wyrzucał Kałmuków z domów i wywoził ich pociągami na Syberię, nie miał właściwie pojęcia, co stało za trwającymi wtedy represjami. Na pytanie, dlaczego wziął w nich udział, odpowiadał zawsze tak samo - o ironio, była to odpowiedź powszechnie przypisywana hitlerowcom; mówił, że „działał zgodnie z rozkazami”. Popelniał zbrodnię, ponieważ mu kazano, a zdawał sobie sprawę, że jeśli nie wykona rozkazu, to zostanie rozstrzelany. Ufał, że jego przełożeni wiedzą, co robią. Co oczywiście oznaczało, że po śmierci Stalina, a potem po upadku komunizmu mógł ze spokojnym sumieniem żyć dalej i pozostawić przeszłość za sobą. Jego historia ukazuje również Stalina jako okrutnego, żądnego władzy dyktatora, który miał wielu sobie podobnych, również w naszych czasach, jak widać na przykładzie Saddama Husajna.

Inni byli również znani mi japońscy zbrodniarze wojenni, którzy dopuścili się jednych z najgorszych okrucieństw w całej współczesnej historii. W Chinach japońscy żołnierze rozpruwali brzuchy brzemiennych kobiet i zakłuwali płody bagnietami; więzali chińskich chłopów i wykorzystywali jako żywe tarcze strzelnicze; torturowali tysiące niewinnych ludzi na sposoby dorównujące najgorszym metodom gestapo; dokonywali w końcu zbrodniczych eksperymentów medycznych na długo przed doktorem Mengelem i Auschwitz. Byli to podobno ludzie „nieprzeniknieni”. Ale w rozmowie okazało się, że to nieprawda. Wyrósłi w społeczeństwie przesiąkniętym militarystką, w wojsku zostali poddani bardzo brutalnej zaprawie, od dzieciństwa powtarzano im, że powinni czcić cesarza (który był również ich najwyższym wodzem), i żyli w kulturze od wieków ceniącej ludzką przecież skłonność do

podporządkowania się jakiemuś rytuałowi. Wszystko to zawiera się w relacji jednego z weteranów, który został w czasie wojny dopuszczony do grupowego gwałtu na Chince. Nie był to dla niego akt seksualny, ale raczej ostateczny dowód zaakceptowania go przez grupę, której wielu członków okrutnie się przedtem nad nim znęcało. Tak jak rozmawiający ze mną radziecki oprawca, ci japońscy weterani próbowali usprawiedliwiać swoje czyny niemal wyłącznie zewnętrznym czynnikiem - którym był reżim.

Coś innego działo się w umysłach wielu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, co najlepiej oddaje w tej książce wywiad z Hansem Friedrichem, który przyznaje, że osobiście strzelał do Żydów. Nawet dziś, wiele lat po upadku reżimu hitlerowskiego, nie żałuje tego, co wtedy czynił. Łatwo byłoby mu schować się za wymówkami, takimi jak „wykonywałem rozkazy” albo „mój mózg był wyprany przez propagandę”, ale tak wielka jest siła jego wewnętrznego przekonania, że nie musi tego robić. Wtedy wierzył, że rozstrzeliwanie Żydów jest słuszne, a dziś według wszelkich oznak również w to wierzy. Jest to godne pogardy i wstrętu nastawienie - niemniej intrygujące. Niedawno zebrane materiały potwierdzają, że ludzi takich jak Friedrich jest więcej. W obozie oświęcimskim, na przykład, ani razu nie zdarzyło się ukaranie esesmana za odmowę uczestniczenia w mordzie, podczas gdy wiele dokumentów wskazuje na to, że prawdziwym dyscyplinarnym problemem obozu - z punktu widzenia dowództwa SS - była kradzież. Szeregowi esesmani zgadzali się więc z polityką mordowania Żydów, ale nie zgadzali się z Himmlerowskim zakazem czerpania indywidualnych zysków ze zbrodni. A kary wymierzone złapanym na kradzieży esesmanom były drakońskie - prawie na pewno cięższe niż za zwykłą odmowę aktywnego uczestniczenia w mordzie.

Wniosek, do jakiego więc doszedłem nie tylko dzięki wywiadam, ale również późniejszym badaniom archiwalnym \* [\*Fascynującym doświadczeniem była niedawna lektura epickiej książki Jonathana Glovera „Humanity - a Moral History of the Twentieth Century”, Pimlico 2000, gdzie ten wybitny filozof doszedł, studiując źródła pisane, do podobnych ogólnych wniosków na ten temat.] oraz dyskusjom z naukowcami, jest taki, że zbrodniarze reżimu hitlerowskiego częściej przyjmowali osobistą odpowiedzialność za swoje czyny niż oprawcy służący Stalinowi bądź Hirohito. Oczywiście, jest to uogólnienie i w każdym reżimie znajdują się osoby, które nie pasują do tego rozróżnienia. Jednak, jako uogólnienie, wniosek ten wydaje się sprawdzać, co jest jeszcze ciekawsze, jeśli wziąć pod uwagę ścisłą dyscyplinę szkolenia esesmanów oraz popularny stereotyp niemieckiego żołnierza jako bezwolnego automatu. Jak zobaczymy, skłonność poszczególnych

hitlerowców, którzy popełnili zbrodnie, do brania na siebie odpowiedzialności przyczyniła się do rozwoju zarówno obozu Auschwitz, jak i „ostatecznego rozwiązania”.

Warto zastanowić się, dlaczego tylu byłych hitlerowców, których spotkałem w ciągu ostatnich piętnastu lat, wydaje się raczej szukać wewnętrznego usprawiedliwienia swoich zbrodni („Myślałem, że to było słuszne”) niż zewnętrznego („Taki był rozkaz”). Jednym z oczywistych wyjaśnień jest fakt, że naziści budowali swoją ideologię na istniejących i rozpowszechnionych przekonaniach. Antysemityzm był obecny w Niemczech na długo przed Adolfem Hitlerem, a wielu ludzi poza nim oskarżało Żydów - fałszywie - o spowodowanie klęski Niemiec w pierwszej wojnie światowej. Właściwie cały program polityczny partii nazistowskiej był początkowo, w latach dwudziestych, niemal identyczny z programami niezliczonych prawicowych partii nacjonalistycznych. Hitler nie stworzył oryginalnej myśli politycznej - jego wkład polegał na oryginalnym sposobie sprawowania władzy. A kiedy, we wczesnych latach trzydziestych, Niemcy ogarnął wielki kryzys ekonomiczny, na nazistów głosowało więcej ludzi niż na jakąkolwiek inną partię. W czasie wyborów w 1932 roku nikogo nie zmuszano do głosowania na narodowych socjalistów i zyskali oni władzę w ramach istniejącego prawa. To wystarczy, żeby odróżnić reżim hitlerowski od innych; cieszył się on szerokim poparciem, w przeciwieństwie do stalinizmu i innych dyktatur, gdzie władza została przejęta przemocą.

Innym powodem, dla którego hitlerowskie przekonania zostały przyswojone przez tylu ludzi, była niezwykła efektywność pracy doktora Josefa Goebbelsa \* [\*Zob. też Laurence Rees, „Selling Politics”, BBC Books, 1992, gdzie dokładnie omówiłem metody Goebbelsa.]. W świadomości wielu ludzi jest on zazwyczaj lekceważony jako prymitywny krzykacz, okryty złą sławą za film „Der ewige Jude” („Wieczny Żyd”), w którym ujęcia przedstawiające Żydów łączono z obrazami szczurów. W rzeczywistości jednak większość jego wytworów była znacznie bardziej wyszukana i podstępna. To Hitler wolał oglądać w oczywisty sposób wypełnione nienawiścią filmy takie jak „Der ewige Jude”; Goebbelsa odstręczało to prymitywne podejście i preferował znacznie bardziej subtelny film „Jud Süß”, w którym piękne aryjskie dziewczę zostaje zgwałcone przez Żyda. Badania ankietowe (prawdziwa obsesja Goebbelsa) dowiodły, że miał rację; widzowie w kinach woleli oglądać filmy propagandowe, w których, jak to ujął, „nie widać naszej sztuki”.

Goebbels wierzył, że zawsze lepiej jest ugruntować istniejący przesąd, niż próbować zmienić czyjeś poglądy. Kiedy okazywało się konieczne dokonanie zmiany w poglądach Niemców, techniką Goebbelsa było poruszanie się „jak konwój - zawsze z szybkością najpowolniejszego statku” \* [\*Ibid., zob. szczególnie wywiad z Wilfredem von Ovenem.]

oraz ciągle powtarzanie, w subtelnie zmienianych formach, komunikatu, który miała otrzymywać publiczność. Czyniąc to, Goebbels rzadko próbował cokolwiek ludziom powiedzieć - pokazywał obrazy i opowiadał historie, które naprowadzały zwykłych Niemców na odpowiednie wnioski, pozostawiając im samym domyślenie się, jakie to wnioski.

W latach trzydziestych Hitler - ku zadowoleniu Goebbelsa - nie próbował często narzucać większości Niemców rozwiązań wbrew ich woli. Stworzył oczywiście radykalny reżim, ale reżim ten wolał działać zgodnie z wolą większości, a pożądana przezeń dynamika miała w dużym stopniu wynikać z oddolnych inicjatyw. Wszystko to oznaczało, że kiedy hitlerowcy rozpoczynali prześladowania Żydów, postępowali na początku bardzo ostrożnie. Mimo że nienawiść do Żydów była dla Hitlera najważniejsza, w czasie wyborów na początku lat trzydziestych nie była ona nagłaśnianym punktem programu wyborczego. Nie ukrywając swojego antysemityzmu, hitlerowcy kładli nacisk na inne zagadnienia, na przykład chęć „wyrównania krzywd” traktatu wersalskiego, likwidacja bezrobocia oraz odbudowanie poczucia dumy narodowej. Bezpośrednio po objęciu przez Hitlera urzędu kanclerskiego nagle wzmożła się fala przemocy przeciw niemieckim Żydom, przy czym do napadów dochodziło głównie za sprawą hitlerowskich bojówek SA. Wprowadzono również bojkot żydowskich firm (popierany przez Goebbelsa, zażartego antysemitę), ale trwało to wszystko tylko jeden dzień. Przywódcy hitlerowscy nie chcieli zrazić do siebie opinii publicznej, zarówno w Niemczech, jak i za granicą - szczególnie obawiali się, że ich antysemityzm uczyni z Niemiec międzynarodowego pariasa. Dwie dalsze fale antysemickich ekscesów - jedna w 1936 roku, przy wprowadzaniu ustaw norymberskich pozbawiających Żydów niemieckiego obywatelstwa, a druga w 1938, kiedy palono synagogi i uwięziono dziesiątki tysięcy Żydów w czasie Nocy Kryształowej - były okresami szczególnego nasilenia prześladowań niemieckich Żydów. Jednak ogólny rozwój hitlerowskiej antysemickiej polityki przebiegał stopniowo i wielu Żydów próbowało jakoś wytrzymać życie w Niemczech w latach trzydziestych. Hitlerowska propaganda skierowana przeciwko Żydom rozwijała się (jeśli nie brać pod uwagę nielicznych fanatyków, takich jak Julius Streicher, twórca zaciekle antysemickiego pisma „Der Stürmer”) w powolnym tempie wyznaczonym przez Goebbelsa, a otwarcie antysemickie filmy, takie jak „Der ewige Jude” czy „Jud Süß”, nie były pokazywane przed rozpoczęciem wojny.

Hipoteza, że hitlerowcy stopniowo rozpoczynali walkę z Żydami, przeczy głęboko zakorzenionej ludzkiej potrzebie określenia jednej chwili, kiedy zostały podjęte kluczowe decyzje w sprawie „ostatecznego rozwiązania” i komór gazowych w Auschwitz. Ale historia ta nie daje się sprowadzić do jednej decyzji. Trzeba było lat małych zmian, by można było

powziąć postanowienia, dzięki którym powstały komory gazowe i skomplikowane fabryki śmierci, gdzie całe rodziny dostarczano do punktów wyładowczych znajdujących się zaledwie kilka metrów od krematoriów. Reżim hitlerowski praktykował to, co znany historyk określił jako „kumulującą się radykalizację” \* [\*Zwrot ukuty przez Martina Broszata.], w której każda decyzja prowadziła do kryzysu wymagającego jeszcze radykalniejszej decyzji. Najbardziej oczywistym przykładem takiej prowadzącej do katastrofy eskalacji jest kryzys żywnościowy w getcie łódzkim w lecie 1941 roku - sytuacja, która skłoniła jednego z hitlerowskich dygnitarzy do zapytania, czy najbardziej „ludzkim rozwiązaniem nie byłoby wykończenie niezdatnych do pracy Żydów za pomocą jakiegoś szybko działającego środka” \* [\*Rees, *op. cit.*, rozdz. 1, s. XXX.]. W ten sposób pomysł eksterminacji został podsunęty z „ludzkich” pobudek. Pamiętajmy przy tym, że to właśnie polityka hitlerowców doprowadziła wcześniej do kryzysu żywnościowego w getcie.

Nie oznacza to, że Hitler nie był winny tej zbrodni - niewątpliwie był - ale jego udział polegał na czymś znacznie gorszym niż po prostu wezwanie pewnego dnia podwładnych i powiadomienie ich o podjętej przez niego decyzji. Wszyscy hitlerowcy wiedzieli, że Führer nade wszystko ceni w polityce radykalizm. Hitler powiedział kiedyś, że chciał, by jego generałowie byli jak „psy szarpiące się na smyczy”. Jego zamiłowanie do radykalizmu oraz jego technika wzbudzania rywalizacji wśród przywódców hitlerowskich, poprzez wyznaczanie dwóch ludzi do wykonania tego samego zadania, były źródłem wielkiej dynamiki systemu politycznego i administracyjnego Trzeciej Rzeszy - oraz nieuniknionego braku stabilności. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Hitler nienawidził Żydów, wszyscy słyszeli jego wygłoszoną w 1939 roku mowę w Reichstagu, w czasie której przewidział „eksterminację” europejskich Żydów, jeśli „doprowadzą” do wojny światowej, wszyscy hitlerowscy przywódcy wiedzieli więc, do jakiej polityki wobec Żydów należy zachęcać - im bardziej radykalnej, tym lepiej.

Główną troską Hitlera w czasie drugiej wojny światowej było oczywiście jej wygranie. Znacznie więcej czasu spędzał nad zawłościami strategii niż nad kwestią żydowską. Jego stosunek do polityki wobec Żydów prawdopodobnie dobrze odzwierciedlają wytyczne, jakich udzielił gauleiterom Gdańska, Prus Wschodnich i Kraju Warty, żądając od nich „germanizacji” tych terenów, a jednocześnie obiecując, że nie będzie zadawał „żadnych pytań” na temat tego, jak osiągnęli pożądany rezultat. W ten sam sposób nietrudno sobie wyobrazić Hitlera w rozmowie z Himmlerem w grudniu 1941, jak żąda „eksterminacji” Żydów, ale nie będzie zadawał „żadnych pytań” na jej temat. Oczywiście nie możemy wiedzieć na pewno, czy rozmowa miała właśnie taki przebieg, ponieważ w czasie wojny

Hitler przezornie wykorzystywał Himmlera jako pośrednika we wprowadzaniu w życie „ostatecznego rozwiązania”. Hitler wiedział, jaka jest skala planowanej przez nazistów zbrodni, i nie chciał, by jakiegokolwiek dokumenty go z nią łączyły. Ale pozostawił po sobie ślady wszędzie - w otwarciu przepelnionej nienawiścią retoryce, dokładnej zbieżności dat spotkań z Himmlerem w kwaterze głównej w Prusach Wschodnich i przyszłej eskalacji prześladowań i mordów dokonywanych na Żydach.

Trudno oddać podniecenie, które hitlerowscy przywódcy odczuwali, służąc człowiekowi, mającemu odwagę snuć marzenia na tak epicką skalę. Hitler marzył o zwyciężeniu Francji w ciągu tygodni - tego samego kraju, w którym niemiecka armia utknęła na lata w czasie pierwszej wojny światowej - i udało mu się. Marzył o podboju Związku Radzieckiego i latem i jesienią 1941 roku wydawało się niemal pewne, że odniesie zwycięstwo. Marzył również o eksterminacji Żydów - co wcale nie okazało się najłatwiejszym zadaniem.

Ambicje Hitlera na pewno miały epickie rozmiary - ale wszystkie były związane ze zniszczeniem, a „ostateczne rozwiązanie” było z nich wszystkich najbardziej niszczącą koncepcją. Duże znaczenie ma fakt, że dwóch hitlerowców, którzy odegrali największą rolę w „ostatecznym rozwiązaniu”, niezależnie od siebie przyznało, że masowe uśmiercanie stoi w sprzeczności ze „światłymi” wartościami, z którymi obaj się identyfikowali. Heinrich Himmler napisał, że „fizyczna eksterminacja narodu” była „fundamentalnie nieniemiecka”, a Reinhard Heydrich pisał z kolei, że „biologiczna eksterminacja jest poniżej godności ludu niemieckiego jako cywilizowanego narodu” \* [\*Goetz Aly, „Final Solution: Nazi Population and the Murder of the European Jews”, Arnold 1999, s. 3.]. Mimo to, krok po kroku, w ciągu następnych osiemnastu miesięcy to właśnie „fizyczna eksterminacja narodu” stała się przyjętą przez nich polityką.

Próba dojścia, w jaki sposób Hitler, Himmler, Heydrich i inni hitlerowscy przywódcy stworzyli swoje „ostateczne rozwiązanie”, a z nim Auschwitz, jest okazją do przyjrzenia się działaniu dynamicznego, bardzo skomplikowanego procesu podejmowania decyzji. Nie istniał narzucony odgórnie plan tej zbrodni, nie została ona również wymyślona przez szeregowych wykonawców i tylko zaakceptowana na górze. Poszczególnych hitlerowców nie zmuszano groźbą do mordowania ludzi. Nie, to było wielkie, zbiorowe przedsięwzięcie, w którym swój udział miały tysiące ludzi podejmujących samodzielnie decyzje, którzy nie tylko brali udział w zbrodni, ale wykazywali inicjatywę, by samodzielnie rozwiązać problem uśmiercania ludzi i pozbywania się ich ciał na niespotykaną wcześniej skalę.



Kiedy podążamy śladami zarówno hitlerowców, jak i ich ofiar, wiele dowiadujemy się o człowieku w ogóle. Większość tego, czego się dowiadujemy, jest nieprzyjemna. W historii tej cierpienie niemal nigdy nie jest źródłem odkupienia. Mimo że nieliczni ludzie działają w niej szlachetnie, jest to przede wszystkim historia upodlenia. Trudno nie zgodzić się ze słowami Else Baker, wysłanej do Auschwitz jako ośmioletnie dziecko, że „możliwości ludzkiego zepsucia są niezgłębione”. Jeśli jednak istnieje jakaś iskierka nadziei, to w zbawczej sile, jaką jest rodzina. Wielokrotnie dokonywało się w tej historii bohaterskich czynów dla dobra ojca, matki, brata, siostry albo dziecka.

Być może jednak najważniejszą lekcją, jaką daje nam Auschwitz i „ostateczne rozwiązanie”, jest przemożny wpływ sytuacji na ludzkie zachowanie. Wniosek ten potwierdza jeden z najtwardszych i najdzielniejszych więźniów, którzy przetrwali pobyt w obozie śmierci, Toivi Blatt, zmuszany przez Niemców do pracy w Sobiborze, a potem ryzykujący życie, by uciec. „Ludzie pytali mnie - wspomina - «Czego się nauczyłeś?», a ja myślę, że tylko jednej rzeczy mogę być pewien - nikt nie zna siebie samego. Człowiek, który zapytany o ulicę prowadzi cię dłuższą chwilę, żeby ci wskazać drogę, jest miły i dobry. Ten sam człowiek w innej sytuacji może się okazać najgorszym sadystą. Nikt nie zna siebie. Wszyscy możemy stać się dobrzy albo źli w tych [różnych] sytuacjach. Czasem, kiedy ktoś jest dla mnie bardzo miły, przyłapuję się na tym, że myślę: «Jaki on by był w Sobiborze?»»,\* [\**Ibid.*, rozdz. 5, s. 30.].

Rozmowy z ocalałymi ofiarami (jeśli mam być szczery, to muszę powiedzieć, że również rozmowy ze zbrodniarzami) nauczyły mnie, że zachowanie ludzkie jest chwiejne i nieprzewidywalne, często wydane na łaskę sytuacji. Nawet te niezwykle jednostki - jak na przykład sam Adolf Hitler - które wydają się władcami swojego losu, w dużym stopniu działały, reagując na wcześniejsze sytuacje. Adolf Hitler znany z historii powstał w dużej mierze w wyniku nakładania się na siebie Hitlera sprzed pierwszej wojny światowej - kiedy dosłużył się stopnia gefraitera - oraz Hitlera z okresu samej wojny, światowego konfliktu, nad którym nie miał on żadnej kontroli. Żaden poważny historyk nie dopuszcza możliwości, że Hitler byłby kimkolwiek ważnym bez przeobrażenia, jakie przeszedł w okopach wielkiej wojny, oraz rozgoryczenia po przegranej Niemiec. W ten sposób można powiedzieć nie tylko, że „bez pierwszej wojny światowej nie byłoby Hitlera jako kanclerza niemieckiego”, ale również, że „bez pierwszej wojny światowej nie byłoby osoby, która stała się znanym z historii Hitlerem”.

Mimo to historia niniejsza pokazuje również, że jeśli jednostki poddają się przemożnemu wpływowi sytuacji, to grupy współpracujących ze sobą ludzi mogą stworzyć

lepsze kultury, które z kolei pomagają jednostkom zachować się szlachetniej. Uderzającym przykładem jest historia Duńczyków, którzy ratowali swoich Żydów oraz z otwartymi ramionami przyjęli ich z powrotem po zakończeniu wojny. Będąca częścią duńskiej kultury powszechna wiara w ludzkie prawa każdego Duńczyka pomogła zachować się większości ludzi w sposób szlachetny. Nie należy jednak zbyt idealizować zachowania Duńczyków. Również oni pozostawali pod przemożnym wpływem sytuacji, wobec której byli bezsilni: czasu rozpoczęcia przez hitlerowców prześladowań duńskich Żydów (w momencie, gdy było jasne, że Niemcy przegrywają wojnę); geografii swego kraju (umożliwiająca stosunkowo łatwą ucieczkę do neutralnej Szwecji) oraz braku skoordynowanego wysiłku ze strony SS, aby wymusić deportacje. Mimo to uzasadniony jest chyba wniosek, że jedną z form częściowej obrony przed zbrodniami, takimi jak popełniane w Auschwitz, może być zbiorowy wysiłek wielu ludzi, by obecne w ich kulturze obyczaje potępiały zadających takie cierpienia. Otwarcie darwinowskie idee hitleryzmu, które spowodowały, że Niemcom wmawiano, że są rasowo wyżsi, miały, oczywiście, zupełnie odwrotny efekt.

Na koniec trzeba powiedzieć, że nie da się jednak przezwyciężyć związanego z tym tematem głębokiego smutku. Przez cały czas, kiedy pracowałem nad tym programem i książką, głosy brzmiące w mej pamięci najgłośniej należały do tych, z którymi nie można już rozmawiać: ponad miliona ludzi zamordowanych w Auschwitz, a zwłaszcza dwustu tysięcy dzieci, które zginęły w obozie i nie dostały szansy, żeby osiągnąć dorosłość i dłużej doświadczyć życia. Szczególnie jeden obraz pozostał mi przed oczami, gdy tylko usłyszałem opowiadanie osoby, która go widziała. Była to „procesja” \* [\*Relacje byłych więźniów - Wandy Szaynok i Edwarda Błotnickiego - cytowane [w:] Andrzej Strzelecki, „Grabież mienia ofiar” [w:] „Auschwitz 1940-1945: węzłowe zagadnienia z dziejów obozu”, t. 2, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, 1995.] pustych wózków dziecięcych - odebranych mordowanym Żydom - wyprowadzanych z obozu Auschwitz szeregami po pięć sztuk w kierunku stacji kolejowej. Ponad godzinę przesuwała się ta najsmutniejsza z procesji obok więźnia, który był jej świadkiem.

O dzieciach, które przybyły do Auschwitz w tych wózkach, oraz ich matkach, ojcach, braciach, siostrach, wujach i ciotkach - wszystkich, którzy tam zginęli - o nich powinniśmy zawsze pamiętać i to im jest dedykowana ta książka.

Laurence Rees  
Londyn, lipiec 2004

## Zaskakujące początki

Trzydziesty kwietnia 1940 roku był pamiętnym dniem dla SS-Hauptsturmführera Rudolfa Hössa. W wieku trzydziestu dziewięciu lat, po sześcioletniej służbie w SS, osiągnął coś, co zaspokoiło jego wielką ambicję. Miał zostać wyznaczony na komendanta jednego z pierwszych obozów koncentracyjnych na zdobytych przez Rzeszę terytoriach. Właśnie tego wiosennego dnia Höss przyjechał wypełniać nowe obowiązki w niewielkim mieście, które osiem miesięcy wcześniej znajdowało się w południowej Polsce, a teraz było częścią terenów niemieckich. Nazwa tego miasta brzmiała po polsku Oświęcim, a po niemiecku - Auschwitz.

Höss został jednak mianowany komendantem obozu, który jeszcze nie istniał. To on sam musiał doglądać przebudowy byłych polskich koszar, zapuszczonych i opanowanych przez szczury oraz wszelkiego rodzaju robactwo. Budynki te stały na skraju miasta, wkoło placu manewrowego, a najbliższa okolica robiła jak najgorsze wrażenie. Nizinne tereny pomiędzy Wisłą a Sołą były podmokłe i wyjątkowo ponure, a miejscowy klimat niezdrowy.

Obóz, który miał tego dnia założyć Rudolf Höss, w ciągu pięciu lat stanie się miejscem masowej zagłady na skalę nigdy dotąd nieznaną w historii świata. Tego dnia jednak nikt - łącznie z Rudolfem Hössem - nie potrafił przewidzieć, że obóz ten okryje się taką niesławą. Historia łańcucha decyzji, które doprowadziły do tego przekształcenia, jest jednym z najbardziej szokujących epizodów w historii, również dziś będącym dla nas ostrzeżeniem.

Adolf Hitler, Heinrich Himmler, Hermann Göring, Reinhard Heydrich razem z innymi hitlerowskimi przywódcami podjęli decyzje, które doprowadziły do eksterminacji ponad miliona ludzi w Oświęcimiu. Jednak zbrodnia ta była możliwa tylko dzięki mentalności funkcjonariuszy niższego rzędu, takich jak Höss. Bez jego zdolności przywódczych bezprecedensowe masowe zabójstwo nie osiągnęłoby w Oświęcimiu takiego stopnia organizacji i wydajności.

Na pierwszy rzut oka Rudolf Höss niczym się nie wyróżniał. Był mężczyzną średniego wzrostu, czarnowłosym, o regularnych rysach twarzy. Nie był ani brzydki, ani uderzająco przystojny; wyglądał po prostu jak - według słów Whitneya Harrisa \* [\*Wywiad dla BBC.], amerykańskiego prawnika, który przesłuchiwał Hössa w Norymberdze - „zwykły człowiek, sprzedawca w sklepie”. Wielu polskich więźniów Oświęcimia odniosło podobne wrażenie. Opisują Hössa jako człowieka cichego i opanowanego, nierzucającego się w oczy. Wygląd komendanta obozu oświęcimskiego całkowicie odbiega więc od naszych wyobrażeń

o krwiożerczych, toczących pianę potworach z SS, co czyni go jeszcze bardziej przerażającą postacią.

Kiedy Rudolf Höss z walizką w ręku zmierzał do hotelu stojącego naprzeciwko stacji kolejowej w Oświęcimiu, gdzie razem z innymi oficerami SS miał zamieszkiwać przed powstaniem odpowiednich budynków mieszkalnych na terenie obozu, niósł ze sobą również psychologiczny bagaż dorosłego życia w całości poświęconego sprawie narodowego socjalizmu. Jak większości zagorzałych hitlerowców, jego charakter i światopogląd zostały ukształtowane przez poprzednie dwadzieścia pięć lat historii Niemiec - najbardziej burzliwego okresu w historii tego kraju.

Urodził się w Schwarzwaldzie w 1900 roku, w rodzinie katolickiej. Od najmłodszych lat na jego życie wpływało kilka potężnych czynników: surowy, wymagający posłuszeństwa ojciec; służba w okopach pierwszej wojny światowej, kiedy był najmłodszym podoficerem niemieckiej armii; po przegranej wojnie rozpaczliwe poczucie, że został oszukany; służba w bojówkach Freikorpsu we wczesnych latach dwudziestych, kiedy Höss chciał przeciwstawić się komunistycznemu zagrożeniu niemieckich granic; wreszcie przyłączenie się do brutalnych, prawicowych ugrupowań politycznych, które doprowadziło do uwięzienia Hössa w 1923 roku.

Bardzo wielu hitlerowców zostało ukształtowanych przez podobne przejścia. Wśród nich był również Adolf Hitler. Syn surowego ojca, \* [\*Zrozumiałą podejrzliwość budzą próby psychologicznego wytłumaczenia zachowań hitlerowców, ale Alice Miller w książce „For Your Own Good: the Roots of Violence in Childrearing” twierdzi, że wszyscy przywódcy hitlerowscy doświadczyli, podobnie jak Höss i Hitler, traumatycznego dzieciństwa. Nawet jeśli to prawda, to oczywiście wielu ludzi z podobnymi przeżyciami z dzieciństwa nie zostało hitlerowcami.] żywiący gorącą nienawiść do tych, którzy w jego mniemaniu przegrali dla Niemiec wojnę. Hitler sam w niej niedawno walczył, podobnie jak Höss został odznaczony Krzyżem Żelaznym i próbował przejąć władzę w brutalnym puczu w tym samym roku, w którym Höss wziął udział w organizacji politycznego morderstwa.

Dla Hitlera, Hössa i innych działaczy skrajnej prawicy najważniejsze było zrozumienie, dlaczego Niemcy przegrały wojnę oraz zawarły tak upokarzający pokój. Wkrótce po zakończeniu wojny uznali, że znaleźli na te pytania odpowiedź. Czy to nie oczywiste, sądzili, że odpowiedzialni byli za to Żydzi? Zwrócili uwagę na fakt, że Walther Rathenau, który był Żydem, został ministrem spraw zagranicznych powojennej Republiki Weimarskiej. W 1919 roku uznali, że związek pomiędzy judaizmem i budzącym grozę

komunizmem został potwierdzony, kiedy na wiosnę w Monachium na krótko powstała Republika Rad. Większość jej komunistycznych przywódców była Żydami.

Dla działaczy skrajnej prawicy nie liczyło się, że wielu lojalnych niemieckich Żydów dzielnie walczyło (i umierało) za ojczyznę w czasie wojny, ani że tysiące niemieckich Żydów nie było związanych z komunizmem czy z partiami lewicowymi. Hitlerowi i jego zwolennikom znacznie łatwiej było zrobić z niemieckich Żydów kozła ofiarnego i obarczyć ich winą za wszystkie nieszczęścia Niemiec. Czyniąc to, nowo utworzona partia nazistowska wykorzystwała antysemityzm zakorzeniony od dawna w niemieckim narodzie. Hitlerowcy od początku twierdzili, że ich nienawiść do Żydów jest umotywowana nie ciemnymi przesądami, ale faktami naukowymi: „Przeciwstawiamy się ich [Żydów] działaniom, ponieważ powodują one RASOWĄ GRUŹLICĘ NARODÓW - głosił napis na jednym z najwcześniejszych nazistowskich transparentów z 1920 roku. - I jesteśmy pewni, że uzdrowienie zacznie się dopiero wtedy, kiedy bakterie zostaną usunięte” \* [\*”Concentration Camp Dachau 1933-1945” Comité International de Dachau, Brussels Lipp GmbH, Munich 1978, s. 20.].

Takie pseudonaukowe ataki na Żydów wywierały duży wpływ na ludzi pokroju Hössa, którzy z obrzydzeniem odnosili się do prymitywnego, brutalnego, niemal pornograficznego antysemityzmu propagowanego przez innego niemieckiego faszystę - Juliusa Streichera - w piśmie „Der Stürmer”. „Muszę tutaj powiedzieć, że byłem przeciwnikiem antysemickiego tygodnika «Der Stürmer»,” \* [\*Rudolf Höss, „Autobiografia”, przeł. Wiesław Grzymski, Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1989, s. 128.], pisał po wojnie siedzący w więzieniu Höss. Jego podejście było zawsze zimne - jak sądził, bardziej „racjonalne”. Twierdził, że rzadko wchodzi w indywidualne zatargi z Żydami - problemem był dla niego „międzynarodowy spisek żydowski”, który polegał w jego mniemaniu na tym, że Żydzi w tajemnicy pociągali za sznurki władzy i pomagali sobie nawzajem ponad granicami państw. Właśnie to według niego doprowadziło do klęski Niemiec w pierwszej wojnie światowej. Właśnie ten spisek należało zniszczyć: „Jako fanatyczny narodowy socjalista byłem głęboko przekonany, że nasza idea, dostosowana do właściwości narodowych, przyjmie się we wszystkich krajach i zapanuje w nich. Tym samym zlikwidowana byłaby dominacja żydostwa” \* [\**Ibid.*, s. 128.].

Po opuszczeniu więzienia w 1928 roku Höss wprowadzał w życie inny przesąd będący częścią przekonań prawicowych nacjonalistów, podobnie jak antysemityzm pomógł on w tworzeniu ideologii niemieckiego faszyzmu. Była to miłość ziemi. Podczas gdy Żydów nienawidzono również dlatego, że większość ich mieszkała w miastach (do których żywno obrzydzenie z powodu, jak to wyraził Goebbels, „asfaltowej kultury”), „prawdziwi” Niemcy

nigdy nie zapomnieli o miłości do przyrody. Nieprzypadkowo Himmler zajmował się studiami rolniczymi, a obóz w Oświęcimiu miał w przyszłości działać między innymi pod przykrywką doświadczalnego gospodarstwa rolnego.

Höss przyłączył się do Związku Artamanów, jednej ze wspólnot rolniczych, które masowo powstawały w ówczesnych Niemczech; poznał tam kobietę, która miała zostać jego żoną, i osiedlił się, żeby zostać rolnikiem. Później nadeszła chwila, która zmieniła całe jego życie. W czerwcu 1934 roku Himmler przekonał go, żeby porzucił rolnictwo i został pełnoetatowym członkiem SS \* [\*Rok wcześniej, w 1933 roku, Höss formował konny oddział SS w majątku Sallentin na Pomorzu - był to oddział „rezerwy”, w którym służył, będąc jeszcze rolnikiem.]. Himmler znał Hössa od dość dawna - Höss był niemal członkiem założycielem NSDAP, do której przyłączył się w listopadzie 1922 roku, posiadaczem legitymacji partyjnej o numerze 3240 - i Himmlerowi, niestrudzonemu poszukiwaczowi partyjnych „talentów”, spodobaly się cechy charakteru Hössa.

Rudolf Höss miał wybór. Nie zmuszono go do wstąpienia do SS - do tej organizacji nie trafiało się z poboru. W swojej autobiografii podaje powody, dla których podjął tę decyzję: „Nadzieja szybkiego awansu i związanych z tym finansowych korzyści pozwoliła mi oswoić się z myślą, że muszę zejść z naszej dotychczasowej drogi [...]” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 62.] To jednak nie jest cała prawda. Nie zaskakuje fakt, że Höss, pisząc pamiętniki \* [\*Mowa o powojennych wspomnieniach spisanych w 1947 roku w polskim więzieniu. Oryginał w języku niemieckim wydał znany niemiecki historyk Martin Broszat w 1958 roku (R. Höss, „Kommandant in Auschwitz: autobiographische Aufzeichnungen”, Stuttgart 1958). Polskie tłumaczenie: „Wspomnienia Rudolfa Hössa komendanta obozu oświęcimskiego”, tłum. i opr. Jana Sehna, Warszawa 1956 (przyp. dr Andrzej Żbikowski).] po upadku faszyzmu, nie wspomina o najważniejszym, decydującym czynniku - swoim stanie emocjonalnym przy podejmowaniu tej decyzji.

W 1934 roku Höss na pewno czuł, że jest świadkiem początku nowego, cudownego świata. Hitler był u władzy zaledwie od roku, a już wewnątrz wrogowie faszystów - politycy lewicowi, nieroby i darmozjady, wrogowie społeczeństwa, Żydzi - byli energicznie zwalczani. W całych Niemczech ci, którzy nie należeli do tych grup, patrzyli na to z zadowoleniem. Typowa była reakcja Manfreda von Schrödera, syna bankiera z Hamburga, który przyłączył się do NSDAP w 1933 roku: „Wszędzie widać było porządek i czystość. Panowała atmosfera narodowego wyzwolenia, nowego początku... ludzie mówili: «Cóż, mamy rewolucję; wspaniałą, pokojową rewolucję, ale jednak rewolucję»,” \* [\*Wywiad dla BBC.].

Höss miał teraz odegrać jakąś rolę w tej rewolucji, o którą modlił się od zakończenia pierwszej wojny światowej. Członkostwo w SS oznaczało nowy status społeczny, przywileje, przygodę oraz szansę, żeby wywrzeć wpływ na losy nowych Niemiec. Mieszkanie na wsi oznaczało, co tu dużo mówić, pozostanie rolnikiem. Czy to dziwi, że Höss podjął właśnie taką decyzję? Zaakceptował więc propozycję Himmlera i w listopadzie 1934 roku przybył do Dachau w Bawarii, żeby rozpocząć służbę jako strażnik w obozie koncentracyjnym.

W świadomości większości ludzi - przynajmniej w Wielkiej Brytanii i Ameryce - miejsce takie jak Dachau nie ma jasno określonej funkcji. Obozy koncentracyjne, jak ten w Dachau, założony 22 marca 1933 roku, czyli mniej niż dwa miesiące po objęciu przez Hitlera urzędu kanclerza Rzeszy, były w założeniu czymś innym niż obozy śmierci, jak Treblinka, które powstały dopiero w czasie wojny. Dodatkowe zamieszanie w umysłach wielu ludzi wprowadza skomplikowana historia obozu w Oświęcimiu, okrytego największą niesławą, który był zarówno obozem koncentracyjnym, jak i obozem śmierci.

Pojęcie różnicy pomiędzy obozem koncentracyjnym i obozem śmierci jest konieczne do zrozumienia, w jaki sposób Niemcy wytłumaczyli sobie w latach trzydziestych potrzebę istnienia takich miejsc jak Dachau. Żaden z Niemców, z którymi rozmawiałem, nawet najzagorzalszy faszysta, nie wyrażał entuzjazmu z powodu istnienia obozów śmierci, natomiast wielu było w latach trzydziestych bardziej niż zadowolonych z faktu powstania obozów koncentracyjnych. Przeżyli właśnie koszmar wielkiego kryzysu i - przynajmniej w ich oczach - demokracji nie udało się zapobiec popadnięciu kraju w ruinę. Widmo komunizmu nie przestawało straszyć - w czasie wyborów na początku lat trzydziestych kraj wydawał się podzielony na dwa skrajne obozy, przy czym wielu Niemców głosowało na partię komunistyczną. Dla człowieka takiego jak Manfred von Schröder, który chwalił faszystowską „pokojową rewolucję” w 1933 roku, rysowały się jasne historyczne podobieństwa usprawiedliwiające istnienie obozów koncentracyjnych: „Na pewno francuskiemu szlachcicowi nie było przyjemnie w Bastylji, prawda?... Istniały obozy koncentracyjne, ale wszyscy wtedy mówili: «O, Anglicy wymyślili je w Afryce Południowej dla Burów»».

Pierwsi więźniowie, którzy trafili do Dachau w marcu 1933 roku, należeli w większości do politycznych przeciwników nazistów. Żydzi byli prześladowani, upokarzani i bici we wczesnych czasach władzy faszystowskiej, ale to lewicowych polityków \* [\*Oczywiście niektórzy z tych polityków byli Żydami. Ale nie to stanowiło powód ich aresztowania.] poprzedniego reżimu uważano za największe zagrożenie. A Höss, kiedy

przybył do Dachau, był absolutnie przekonany, że „prawdziwi wrogowie państwa musieli zostać internowani [...]” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 77].

Następne trzy i pół roku spędzone w Dachau w decydującym stopniu wpłynęły na kształtującą się mentalność Rudolfa Hössa. A to dlatego, że reżim panujący w obozie, powstały z inspiracji pierwszego komendanta, Theodora Eickego, był wprawdzie brutalny, ale przede wszystkim jednak miał na celu złamanie woli więźniów. Dachau okryło się ponurą sławą z powodu panującego tam sadyzmu; chłosta i inne sposoby bicia były na porządku dziennym. Więźniowie byli mordowani, a ich śmierć lekceważąco rejestrowana jako „zabicie przy próbie ucieczki” - i duża część więźniów Dachau rzeczywiście zginęła w ten sposób. Prawdziwa siła reżimu w Dachau leżała jednak nie tyle w fizycznym znęcaniu się - które bez wątplenia było samo w sobie okropne - ile w stosowanych tam torturach psychicznych.

Pierwszą innowacją wprowadzoną w obozie w Dachau było to, że więzień, inaczej niż w zwykłym więzieniu, nie miał pojęcia, jak długo potrwa jego wyrok. W latach trzydziestych większość więźniów była wypuszczana po roku, ale każdy wyrok mógł być dłuższy lub krótszy w zależności od arbitralnej decyzji władz. Więzień nie mógł się skoncentrować na dacie końca wyroku, tylko trwał w niepewności, czy będzie przebywał w Dachau przez jeszcze jeden dzień, czy przez kolejny rok. Höss, który miał za sobą lata spędzone w więzieniu, od razu zrozumiał wielką siłę tej reguły. „[...] wszystko można przetrzymać, jednak nie niepewność co do tego, jak długo będą więzieni. To nękało ich najbardziej i paraliżowało najmocniejszą wolę” \* [\**Ibid.*, s. 68.].

Oprócz tej niepewności więźniowie musieli stawić czoło sposobowi, w jaki strażnicy manipulowali ich psychiką. Josef Felder, deputowany Reichstagu z ramienia SPD, który był jednym z pierwszych więźniów Dachau, wspomina \* [\*Wywiad dla BBC.], jak przeżywał silną depresję, a strażnik wziął kawałek liny i pokazywał mu, w jaki sposób najlepiej zawiązać pętlę, żeby się powiesić. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi woli i przypominaniu sobie o rodzinie zdołał oprzeć się tej sugestii.

Więźniowie mieli obowiązek utrzymywania baraków i ubrań w absolutnym porządku. Regularne inspekcje umożliwiały strażnikom z SS ciągle wykrywanie uchybień i - jeśli chcieli - karanie całego bloku za wymyślone niedopatrzenia. Wszyscy więźniowie z bloku mogli zostać „unieruchomieni” i nakazywano im wtedy całymi dniami leżeć bez ruchu w ciszy.

W obozie w Dachau wprowadzono również system kapo, który miał zostać przyjęty w całej sieci obozów koncentracyjnych i odegrał również ważną rolę w działaniu obozu oświęcimskiego. Władze obozu wyznaczały jednego więźnia, który miał być odpowiedzialny



za wszystkich w swoim bloku albo oddziale robotników, tzw. komandzie. Kapo miał wielką władzę nad innymi więźniami i rzecz jasna jej nadużywał. Bardziej nawet niż strażnicy z SS, kapo, dzięki ciągłemu kontaktowi z więźniami, mogli swoimi arbitralnymi decyzjami zamienić życie w obozie w piekło. Z kolei kapo ryzykowali, że stojący nad nimi esesmani nie będą z nich zadowoleni. Jak tłumaczył Heinrich Himmler: „Jego [czyli kapo] zadaniem było dopilnowanie, żeby praca została wykonana... musiał więc bić swoich ludzi. Jeśli nie wywiązywał się należycie z obowiązków, przestawał być kapo i wracał do więźniów. Wiedział, że zatłuką go na śmierć pierwszej nocy po powrocie” \* [\*Danuta Czech, „The Auschwitz Prisoner Administration” [w:] Yisrael Gutman, Michael Berenbaum, „Anatomy of the Auschwitz Death Camp”, Indiana University Press 1998.].

Z punktu widzenia niemieckich faszystów obóz był mikrokosmosem, odzwierciedlającym świat zewnętrzny. „Idea walki jest równie stara jak samo życie - powiedział Hitler w przemówieniu wygłoszonym już w 1928 roku. - W tej walce silniejszy, lepiej dostosowany wygrywa, podczas gdy gorzej dostosowany i słabszy przegrywa. Walka jest matką wszystkiego... Człowiek żyje i jest w stanie wznieść się ponad poziom zwierząt nie dzięki postępowaniu zgodnie z zasadami humanizmu, ale wyłącznie dzięki brutalnej walce” \* [\*Laurence Rees, „Naziści: Ostrzeżenie historii”, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 34-35.]. To pseudodarwinowskie podejście, leżące u podstaw nazizmu, było widoczne w zarządzaniu i organizacji obozów koncentracyjnych. Kapo, na przykład, byli „usprawiedliwieni”, kiedy znęcali się nad innymi więźniami, ponieważ okazali swą wyższość w „walce” życia.

Przede wszystkim jednak Höss poznał w Dachau podstawy filozofii SS. Theodor Eicke od samego początku głosił tylko jedną zasadę - twardość: „Każdy, kto okaże im [więźniom] chociażby najlżejszy ślad współczucia, musi natychmiast zniknąć z naszych szeregów. Potrzebni mi są tylko twardzi i na wszystko zdecydowani esesmani, dla ludzi miękkich nie ma u nas miejsca” \* [\*Franciszek Piper, „Metody zagłady” [w:] „Auschwitz 1940-1945” t. 3, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995, s. 60.]. Tak więc każda forma współczucia, każda forma litości, była dowodem słabości. Kto czuł te emocje, mógł być pewien, że wrogowi udało się go oszukać. Propaganda faszystowska często głosiła, że wróg może się czaić nawet w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach - jednym z najbardziej rozpowszechnionych utworów propagandy antysemitycznej była przeznaczona dla dzieci książeczka „Zatruty grzyb”, ostrzegająca przed ukrytym żydowskim niebezpieczeństwem, używając metafory grzyba, który z wierzchu wygląda na nieszkodliwy, ale w rzeczywistości trujący. W ten sposób członkowie SS byli tresowani, żeby nienawidzić

własnych uczuć, litości, którą odczuwali, będąc na przykład świadkami bicia więźnia. Uczono ich, że każde rodzące się w nich uczucie litości stanowi efekt sztuczek ofiary. Jako „wrogowie państwa” te przebiegłe kreatury nie wahały się użyć każdej metody - w tym odwołania się do litości strażników - aby osiągnąć swój zdradziecki cel. Pamięć o „ciosie w plecy”, wiara w to, że Żydzi i komuniści zawiązali spisek, by doprowadzić do poddania się Niemiec w czasie pierwszej wojny światowej, wciąż była żywa i doskonale pasowała do tej wizji niebezpiecznego, ale ukrytego wroga.

Członek SS mógł być pewny tylko jednej rzeczy - poprawności wydawanych mu rozkazów. Jeśli przełożony nakazywał uwięzienie kogoś albo egzekucję, to nawet jeśli rozkaz wydawał się niezrozumiały osobie, która miała wykonać wyrok, musiał być właściwy. Jediną ochroną przed nurtującymi wątpliwościami podczas wypełniania rozkazów, trudnych do uzasadnienia z punktu widzenia logiki, była twardość. W ten sposób kult twardości rozpowszechnił się w całym SS. „Musimy być twardzi jak granit, inaczej dzieło Führera przepadnie” \* [\*Jonathan Glover, *op. cit.*, s. 344.], powiedział Reinhard Heydrich, najważniejsza osoba w SS po Himmlerze.

Ucząc się zabijać w sobie litość i współczucie, Höss przyswoił silne w SS poczucie braterstwa. Właśnie dlatego, że członek SS wiedział, że będzie się od niego wymagało rzeczy, których „słabsi” nie mogli zrobić, w organizacji rozwinął się silny *esprit de corps*, którego filarem była lojalność wobec towarzyszy z SS. Co więcej, prymitywne wartości SS - bezwarunkowa lojalność, twardość, ochrona Rzeszy przed wrogami wewnętrznymi - stały się niemal religijnymi dogmatami, wyraźnym i łatwo przyswajalnym światopoglądem. „Byłem pełen wdzięczności dla SS za intelektualne uformowanie - mówił Johannes Hassebroeck, komendant jednego z obozów koncentracyjnych. - Wszyscy byliśmy. Wielu nas nie wiedziało, co myśleć, zanim zostaliśmy członkami organizacji. Nie rozumieliśmy, co się wokół nas dzieje, wszystko było tak pomieszane. SS dało nam zestaw prostych idei, które mogliśmy zrozumieć, a my w nie wierzyliśmy” \* [\**Ibid.*, s. 361-362.].

Höss odebrał w Dachau jeszcze jedną ważną lekcję, która wywarła wpływ na obóz w Oświęcimiu. Zaobserwował, że więźniowie lepiej znosili niewolę, ponieważ SS pozwoliło im pracować. Pamiętał, że w czasie wyroku, który odsiadywał w więzieniu w Lipsku, jeśli pozwolono mu pracować (sklejał papierowe torby), mógł przeżyć każdy kolejny dzień w mniej lub bardziej optymistycznym nastroju. Teraz zobaczył, że praca w podobny sposób działa również w Dachau, co pomaga więźniowi „w utrzymaniu się w karchach i lepszym opieraniu się demoralizującemu wpływowi uwięzienia” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 74.].

Höss był tak przekonany o dobroczynnych skutkach pracy w obozie koncentracyjnym, że nawet przejął hasło używane w Dachau - *Arbeit macht frei* (Praca czyni wolnym) - i umieścił je nad stalową bramą prowadzącą do obozu w Oświęcimiu. Dla Hössa nie była to cyniczna obietnica - wiedział, że praca niekoniecznie przynosiła „wolność” w sensie zwolnienia z obozu. Ale praca, jak wierzył, mogła uwolnić od cierpień duchowych kogoś, kto cały czas przebywa wewnątrz obozu.

Höss był wzorowym członkiem SS i awansował w Dachau, aż w kwietniu 1936 roku został Rapportführerem, głównym pomocnikiem komendanta obozu. We wrześniu tego samego roku został przeniesiony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie służył aż do momentu, kiedy został komendantem nowego obozu w Oświęcimiu \* [\*Razem z powołaniem na komendanta KZ Auschwitz Rudolf Höss został 29 kwietnia 1940 roku awansowany na stopień SS-Hauptsturmführera. W czasie wojny awansowano go jeszcze dwukrotnie, w listopadzie 1944 r. został ostatecznie SS-Obersturmbannführerem (przyp. A.Ż.).].

Tak prezentował się człowiek, który przybył w maju 1940 roku do Oświęcimia. Oczywiście pewną rolę odegrały odziedziczone przez niego cechy, ale był on w dużym stopniu ukształtowany przez swoje czasy, w tym przez sześć lat służby w obozie koncentracyjnym. Czuł się teraz gotowy na podjęcie największego wyzwania - przekształcenia kilku zawieszonych baraków we wzorowy obóz koncentracyjny. Wydawało mu się, że doskonale wie, czego się od niego oczekuje, i zna przeznaczenie obiektu, który miał tu zbudować. Mógł się kierować doświadczeniami zdobytymi w Dachau i Sachsenhausen. Ale jego zwierzchnicy mieli inne plany i w ciągu nadchodzących miesięcy i lat budowany przez Hössa obóz miał się rozwijać zupełnie inaczej.

W tym samym miesiącu, maju 1940 roku, kilkaset kilometrów na północny zachód od Oświęcimia, szef Hössa był zajęty czymś, co robił niezwykle rzadko - pisał memorandum. Siedzący w swoim biurze w Berlinie Heinrich Himmler pisał, używając nieśmiałych sformułowań, dokument zatytułowany „Kilka propozycji dotyczących traktowania obcej ludności na Wschodzie”. Himmler, jeden z najważniejszych graczy walczących o władzę w faszystowskim państwie, wiedział, że powierzanie swoich myśli papierowi jest lekkomyślnością. Na szczytach władzy polityka niemieckiego faszystowskiego państwa była najczęściej formułowana ustnie. Himmler wiedział, że kiedy jego poglądy znajdą się na papierze, nie umkną bystrym oczom rywali - a jak każdy z hitlerowskich przywódców wiedział, że ma wielu wrogów, którzy tylko czekają na okazję, żeby przywłaszczyć sobie jego władzę. Sytuacja w Polsce zmuszała go jednakże do zrobienia wyjątku i przygotowania pisemnego

dokumentu dla kanclerza Rzeszy, Adolfa Hitlera. Dokument ten jest jednym z najważniejszych w całej historii rasistowskiej polityki niemieckich faszystów, również dlatego, że słowa, jakie przelał na papier, wyjaśniły kontekst, w którym miał działać nowy obóz w Oświęcimiu.

Himmler w maju 1940 roku - piastujący stanowisko komisarza Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny - brał udział w największym i najszybszym przemieszczaniu narodu, jakie kiedykolwiek zaplanowano w jakimkolwiek kraju, a od niedawna cała ta operacja zaczęła przebiegać bardzo niepomyślnie. Nie tylko Himmler i jego współpracownicy nie zaprowadzili porządku w Polsce, którą faszyci opisywali jako niewydajnie zarządzaną *Polnische Wirtschaft*, ale zapanowały tam rządy chaosu i przemocy. Niemieccy faszyci nie spierali się, jakie jest ich nastawienie wobec Polaków i Polski. Była to pogarda i nienawiść. Problemem było tylko, co z nią zrobić.

Jednym z najważniejszych „problemów”, który zdaniem niemieckich faszystów należało rozwiązać, byli mieszkający w Polsce Żydzi. W przeciwieństwie do Niemiec, gdzie Żydzi stanowili mniej niż 1 procent ludności (poniżej 300 000) i gdzie większość ich była zasymilowana z resztą społeczeństwa, w Polsce mieszkały trzy miliony Żydów, których można było z łatwością odróżnić dzięki brodom i innym oznakom przynależności religijnej. Po rozbiore Polski pokonanej w wojnie przez Niemcy i Związek Radziecki \* [\*Podział ziem polskich na strefę okupacyjną niemiecką i radziecką zapoczątkował układ z 23 sierpnia 1939 roku zawarty przez ministrów spraw zagranicznych Niemiec Joachima von Ribbentropa i ZSRR Wiaczesława Mołotowa, a przypieczętował 28 września 1939 roku układ o przyjaźni i granicach między tymi państwami (przyp. A.Ż.).] ponad dwa miliony polskich Żydów znalazło się w strefie okupowanej przez hitlerowców. Jaki miał być ich los?

Innym problemem stojącym przed hitlerowcami - spowodowanym zresztą przez nich samych - było umieszczenie gdzieś setek tysięcy osób narodowości niemieckiej, które cały czas przewożono do Polski. Zgodnie z umową zawartą pomiędzy Niemcami i Związkiem Radzieckim, niemieckie mniejszości zamieszkujące państwa bałtyckie, Besarabię i inne okupowane teraz przez Stalina terytoria miały otrzymać pozwolenie na powrót do Niemiec - aby „powrócić do domu w Rzeszy”, jak głosiło ówczesne hasło propagandowe. Ogarnięci obsesją rasowej czystości „niemieckiej krwi”, ludzie pokroju Himmlera dowiedli swego fanatyzmu, skoro byli gotowi przyjąć wszystkich Niemców chcących powrócić do ojczyzny. Problem tkwił tylko w tym, gdzie skierować przybywających z daleka członków niemieckich mniejszości.

Do tego dochodziła jeszcze trzecia kwestia, w której hitlerowcy musieli coś postanowić. Jak traktować znajdujących się pod niemiecką władzą osiemnaście milionów Polaków, którzy nie byli Żydami? W jaki sposób zorganizować ich kraj, żeby nigdy nie stanowili zagrożenia?

W listopadzie 1939 roku Hitler wygłosił mowę zawierającą wytyczne dla tych, którzy zmagali się z tymi kwestiami hitlerowskiej polityki. Dał im do zrozumienia, że „głównym zadaniem jest stworzenie nowego porządku etnograficznego, tzn. przesiedlenie narodów tak, żeby ostatecznie zaistniały lepsze linie demarkacyjne niż dzisiejsze” \* [\*Aly, *op. cit.*, s. 19.]. W praktyce oznaczało to, że Polskę należy podzielić - jedna jej część miała zostać włączona do Niemiec, a druga miała być miejscem zamieszkania większości Polaków. Napływający ze wschodu członkowie mniejszości niemieckich mieli się osiedlać nie w „starej” Rzeszy, tylko w „nowej” Rzeszy, czyli w nowo utworzonej niemieckiej części Polski \* [\*Sytuację administracyjną ziem polskich ustalały dwa dekrety Hitlera, wydane: 8 października - dekret o strukturze i administracji ziem wschodnich przyłączonych (od 1 listopada) do Rzeszy; oraz 12 października - dekret o powołaniu Generalnego Gubernatorstwa dla okupowanych ziem polskich. Drugi dekret wszedł w życie 26 października 1939 roku (przyp. A.Ż.)] - mieli rzeczywiście wracać do domu w Rzeszy, tylko że nie w tej, o której myśleli.

Pozostawała tylko kwestia polskich Żydów. Aż do początku wojny polityka niemieckich faszystów wobec pozostających pod ich władzą Żydów polegała na nasilaniu się oficjalnych prześladowań przez niezliczone restrykcyjne przepisy oraz dopuszczaniu co jakiś czas do nieoficjalnych (choć usankcjonowanych) brutalnych ekscesów. Poglądy Adolfa Hitlera na temat Żydów niewiele się zmieniły od czasu, gdy w „Mein Kampf” wyraził w 1924 roku opinię, że Niemcom dużo pożytku przyniosłoby użycie „gazu trującego” przeciw „tym dziesięciu czy dwunastu tysiącom hebrajskich sprzedawczyków narodu”. Ale nawet jeśli Hitler wyraźnie nienawidził Żydów i nie krył się z tym od końca pierwszej wojny światowej, a nawet w prywatnych rozmowach wyrażał chęć ich zabijania, to nie istniało jeszcze coś takiego jak hitlerowski plan ich eksterminacji.

Lucille Eichengreen \* [\*Wywiad dla BBC.] wychowała się w żydowskiej rodzinie w Hamburgu w latach trzydziestych i dobrze pamięta presję, pod jaką musieli żyć niemieccy Żydzi. „Aż do 1933 roku prowadziliśmy miłe, wygodne życie - wspomina. - Ale kiedy Hitler doszedł do władzy, dzieci, które mieszkaliśmy z nami w kamienicy, przestały się do nas odzywać - rzucały w nas kamieniami i wyzywały. Nie mogliśmy zrozumieć, czym sobie zasłużyliśmy na takie traktowanie. Wciąż pytaliśmy się więc - dlaczego? A kiedy pytaliśmy w domu, odpowiadano nam, że «to» minie, że znów będzie normalnie”. W połowie lat trzydziestych

rodzinę Eichengreenów poinformowano, że w ich kamienicy nie wolno już mieszkać Żydom. Zostali teraz skierowani do miejsc nazywanych „domami żydowskimi”, które miały żydowskich właścicieli. Ich pierwsze mieszkanie było tylko trochę mniejsze od tego, które musieli opuścić, ale w ciągu następnych kilku lat zmuszano ich do przeprowadzki do coraz mniejszych lokali, aż skończyli w jednym umeblowanym pokoju dla całej rodziny. „Sądzę, że pogodiliśmy się z tym w mniejszym lub większym stopniu - mówi Lucille. - Takie było prawo, takie były przepisy i nic się nie dało zrobić”.

Trudniej było Eichengreenom pogodzić się z Nocą Kryształową, z 9 na 10 listopada 1938 roku. Bojówki SA niszczyły wtedy żydowskie sklepy i masowo aresztowały tysiące niemieckich Żydów w odwecie inspirowanym wiadomością, że żydowski student Herschel Grynszpan zastrzelił niemieckiego dyplomatę, Ernsta von Ratha, w Paryżu \* [\*Zamach Grynszpana z 7 listopada 1939 roku był odwetem za cierpienia rodziców wygnanych z Niemiec do Polski 29 października 1939 roku w ramach tzw. Polenaktion. Powodem tej akcji był upływający 29 października termin weryfikacji przez polskie władze konsularne paszportów obywateli dłuższy czas przebywających stale za granicą. Niemcy starali się osoby nie mające odpowiedniej klauzuli zmusić do powrotu do Polski. Ogółem wypędzono z Niemiec 17 tysięcy osób, w większości narodowości żydowskiej, z czego 6 tysięcy polskie władze przetrzymywały przez kilka miesięcy w obozie w nadgranicznym Zbąszyniu (przyp. A.Ż.).]. „Po drodze do szkoły zobaczyliśmy płonące synagogi - wspomina Lucille Eichengreen - potłuczone szyby żydowskich sklepów, leżące na chodniku towary i śmiejących się Niemców... Byliśmy tak przestraszeni, że myśleliśmy, że zaraz nas złapią i zrobią nie wiadomo co”.

W chwili wybuchu wojny Żydom nie wolno było już mieć niemieckiego obywatelstwa, wchodzić w związki małżeńskie z nie-Żydami, posiadać przedsiębiorstw i pracować w niektórych zawodach, a nawet mieć prawa jazdy. Dyskryminacja za pomocą przepisów była połączona z wybuchami przemocy, takimi jak Noc Kryształowa (w czasie której zniszczono ponad tysiąc synagog, zabito ponad czterystu Żydów, a tysiące dalszych uwięziono na kilka miesięcy w obozach koncentracyjnych), co zmusiło dużą część Żydów do emigracji. Do 1939 roku około 450 000 Żydów opuściło obszar nowych Wielkich Niemiec (Niemiec, Austrii oraz Sudetów), więcej niż połowa mieszkających tam Żydów. Hitlerowcy byli zadowoleni również dlatego, że po doświadczeniach Adolfa Eichmanna w 1938 roku, po anszlusie Austrii, Żydom zabroniono wywozić majątek z kraju.

Hitlerowcy nie mogli sobie jednak wyobrazić, w jaki sposób wymyślone przez nich rozwiązanie „problemu” niemieckich Żydów zastosować w Polsce. Nie tylko znalazły się

teraz pod ich władzą miliony Żydów, a nie zaledwie kilkaset tysięcy, ale byli to przeważnie ludzie ubodzy i nie wiadomo, dokąd w środku wojny mieliby emigrować. Wtedy, jesienią 1939 roku, Adolf Eichmann uznał, że ma odpowiedź - Żydzi mieli zostać zmuszeni do emigracji nie do innego kraju, ale do najmniej nadających się do zamieszkania części hitlerowskiego imperium. Ponadto uznał, że znalazł najlepsze miejsce - obszar w Polsce wokół miasta Nisko. Ten odległy i nieprzyjazny teren na wschodnich obrzeżach hitlerowskiego imperium wydawał się doskonałym miejscem na „żydowski rezerwat”. Polska miała więc zostać podzielona na trzy części: niemiecką, polską i żydowską, ułożone na eleganckiej, geograficznej osi biegnącej z zachodu na wschód. Ambitny plan Eichmanna został przyjęty i do wyznaczonego obszaru zaczęto zwozić dziesiątki tysięcy Żydów. Panujące tam warunki były przerażające. Ich przybycia nie poprzedziły dostateczne, a często jakiegokolwiek przygotowania i wielu zmarło. Dla hitlerowców to jednak nie miało znaczenia - byli nawet zadowoleni. Jak to powiedział Hans Frank, przemawiając do swoich podwładnych w listopadzie 1939 roku: „Nie marnujcie czasu na Żydów. To sama radość, móc wreszcie rozprawić się z żydowską rasą. Im więcej ich umrze, tym lepiej” \* [\*Aly, op. cit, s. 17.].

Kiedy jednak Himmler rozpoczął pisanie swojego memorandum w maju 1940 roku, aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że wewnętrzna emigracja Żydów do wschodniej Polski okazała się sromotną klęską. W dużej mierze stało się tak dlatego, że hitlerowcy próbowali przeprowadzić jednocześnie trzy osobne migracje. Przybywający członkowie mniejszości niemieckich musieli zostać przetransportowani do Polski i trzeba im było znaleźć miejsce zamieszkania. To oznaczało wyrzucenie z domów Polaków i transportowanie ich gdzie indziej. W tym samym czasie Żydzi byli wywożeni na wschód na ziemie, z których również wysiedlano Polaków. Trudno się dziwić, że to wszystko prowadziło do chaosu i zamieszania na wielką skalę.

Najbardziej palącym problemem, który stał przed Himmlerem, było zapewnienie odpowiednich lokali mieszkalnych setkom tysięcy przybywających ze wschodu członków mniejszości niemieckich; trudność ta z kolei wywarła wpływ na jego poglądy na to, jak traktować zarówno Polaków, jak i Żydów. Przypadek Irmy Eigi i jej rodziny pokazuje, jak bezwzględnie hitlerowcy próbowali rozwiązać z pozoru nierozwiązywalną sytuację, w którą sami się wmanewrowali - oraz jak problemy ludnościowe kumulowały się i wyrastały jedne z drugich, lawinowo prowadząc do impasu. W grudniu 1939 roku Irma Eigi \* [\*Wywiad dla BBC.], siedemnastoletnia Niemka mieszkająca w Estonii, znalazła się razem z resztą rodziny czasowo w Poznaniu, który należał przedtem do Polski, a teraz stał się częścią okręgu Kraj Warty. Sądzieli - kiedy zgodzili się na propozycję powrotu „do Rzeszy” - że zostaną wysłani

do Niemiec. „Kiedy powiedziano nam, że jedziemy do Kraju Warty, co tu dużo mówić, przeżyliśmy szok, bez dwóch zdań”. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w 1939 roku urzędnik kwaterunkowy wręczył ojcu rodziny klucz do mieszkania, które jeszcze przed kilkoma godzinami należało do polskiej rodziny. Kilka dni później polskiemu właścicielowi odebrano restaurację, żeby rodzina Eigi mogła prowadzić jakieś przedsiębiorstwo. Członkowie rodziny byli przerażeni. „Nie mieliśmy przedtem o tym pojęcia. [...] Nie da się żyć z takim poczuciem winy. Z drugiej strony każdy człowiek kieruje się instynktem samozachowawczym. Co innego można było zrobić? Dokąd mieliśmy pójść?”.

Rozmiary operacji były gigantyczne - w ciągu roku około 500 000 członków niemieckich mniejszości przybyło i zostało osiedlonych w „nowej” Rzeszy, a setki tysięcy Polaków wywłaszczono, żeby znaleźć dla nich miejsce. Wielu Polaków wsadzono po prostu do wagonów bydlęcych i zabrano na południe do Generalnego Gubernatorstwa, gdzie kazano im wysiadać z wagonów; nie zapewniano im jedzenia i schronienia. Trudno się dziwić, że Goebbels zauważył w swoim dzienniku w styczniu 1940 roku: „Himmler jest właśnie zajęty przesuwaniem ludności. Nie zawsze mu się to udaje” \* [\*Dziennik Goebbelsa 24 stycznia 1940.].

Wszystko to nie rozwiązywało kwestii polskich Żydów. Odkrywszy, że jednoczesne przemieszczenie Żydów, Polaków i repatriowanych Niemców było praktycznie niemożliwe, Himmler zastosował inne rozwiązanie; jeśli potrzebna była przestrzeń - a najwyraźniej jej brakowało - to Żydów należało stłoczyć na jak najmniejszym obszarze. Odpowiedzią były getta.

Getta, które stały się charakterystycznym elementem hitlerowskich prześladowań Żydów w Polsce, nigdy nie miały wyglądać tak, jak wyglądały. Tak jak wiele innych rzeczy w tej historii, ewolucja gett przebiegała inaczej, niż to początkowo zaplanowano. Już w listopadzie 1938 roku podczas dyskusji o tym, jak rozwiązać problemy mieszkaniowe powstałe po eksmisjach niemieckich Żydów z ich domów, Reinhard Heydrich powiedział: „Jeśli chodzi o getta, to chciałbym od razu jasno przedstawić swoje stanowisko. Biorąc pod uwagę punkt widzenia policji, nie sądzę, żeby getto, jako całkowicie odizolowana dzielnica, w której mają mieszkać tylko Żydzi, było w ogóle możliwe. Nie potrafilibyśmy kontrolować getta, w którym Żydzi poruszają się wyłącznie w otoczeniu Żydów. Stałoby się ono siedliskiem przestępców, epidemii i tym podobnych” \* [\*Raul Hilberg, „The Destruction of the European Jews”, Holmes and Meier 1986, s. 50.].

Mimo to, kiedy wydawało się, że przynajmniej na razie nie istnieje inne wyjście, hitlerowcy postanowili zamknąć polskich Żydów w gettach. To praktyczne posunięcie,



mające na celu zwolnienie kolejnych mieszkań (nawet jeśli Hitler zauważył w marcu 1940 roku, że „rozwiązanie kwestii żydowskiej jest kwestią przestrzeni” \* [\*Aly, *op. cit.*, s. 70.]), stanowiło również wynik nieracjonalnej nienawiści i strachu przed Żydami, które od samego początku tkwiły u podstaw niemieckiego faszyzmu. Najlepiej by było, sądzili hitlerowcy, gdyby Żydów zmusić, żeby „sobie poszli”, ale problem polegał na tym, że Żydzi - szczególnie wschodni Żydzi - byli uważani za nosicieli zarazy, których trzeba trzymać z dala od innych ludzi. Silna nienawiść hitlerowców do polskich Żydów była czymś, co Estera Frenkiel \* [\*Wywiad dla BBC.], nastoletnia dziewczyna mieszkająca wtedy w Łodzi, poczuła po raz pierwszy. „Byliśmy przyzwyczajeni do antysemityzmu... polski antysemityzm był może bardziej związany z kwestiami finansowymi. Ale niemiecki antysemityzm pytał: Dlaczego istniejesz? Nie powinno cię w ogóle być! Zniknij!”.

W lutym 1940 roku, okresie najintensywniejszych deportacji Polaków do Generalnego Gubernatorstwa, ogłoszono w Łodzi, że Żydzi zostaną „przemieszczeni” w obrębie miasta. Na początku planowano, że getta będą rozwiązaniem tymczasowym - miano w nich uwięzić Żydów, zanim zostaną przesiedleni gdzie indziej. W kwietniu 1940 roku getto łódzkie zostało zamknięte i Żydom nie wolno go było opuszczać bez zezwolenia Niemców. W tym samym miesiącu Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy ogłosił, że deportacje Żydów do Generalnego Gubernatorstwa mają zostać ograniczone. Hans Frank, były prawnik Hitlera, który zarządzał Generalnym Gubernatorstwem, od miesięcy zabiegał o zatrzymanie „nielegalnych” wymuszonych emigracji, ponieważ sytuacja wymykała się spod kontroli. Jak to później opisywał doktor Fritz Arlt \* [\*Wywiad dla BBC.], szef wydziału do spraw ludności we władzach Generalnego Gubernatorstwa: „Ludziom kazano wysiadać z pociągów, nieważne, czy na targu, czy na stacji kolejowej, czy gdziekolwiek indziej i nikt się tym nie zajmował [...]. Odebraliśmy raz telefon od urzędnika administracji lokalnej, który powiedział: «Nie wiem już, co robić. Znowu przyjechało tyle a tyle setek ludzi. Nie mam dla nich schronienia, żywności, niczego»,». Frank - niedarzący Himmlera sympatią - skarżył się Hermannowi Göringowi na politykę deportacji i wykorzystywanie Generalnego Gubernatorstwa jako „rasowego śmietnika” i zawarto w końcu wymuszony rozejm, na mocy którego Himmler i Frank mieli „ustalić procedury przyszłych ewakuacji”.

Właśnie do tych problemów starał się odnieść Himmler, pisząc swoje memorandum w maju 1940 roku. W rezultacie powstał dokument będący manifestem jego rasistowskich przekonań, który wzywał do utrwalenia podziału Polski na obszar niemiecki i nieniemiecki, oraz do ustalenia zasad traktowania Polaków i Żydów. Himmler napisał, że chciał zmienić Polaków w naród słabo wykształconych niewolników, a Generalne Gubernatorstwo w obszar

zamieszkały przez „klasę pracującą pozbawioną przywództwa” \* [\*J. Noakes i G. Pridham [red.], „Nazizm 1919-1945”, Exeter University Press 1988, t. 3, s. 933.]. „Nieniemiecka ludność wschodnich terytoriów nie ma otrzymywać żadnego wykształcenia wykraczającego ponad poziom szkoły podstawowej - pisał Himmler. - Celem takiej szkoły podstawowej jest nauczanie tylko: prostych działań arytmetycznych na liczbach najwyżej do pięciuset, złożenie własnoręcznego podpisu oraz wpojenie przekonania, że bożym przykazaniem jest posłuszeństwo wobec Niemców, uczciwość, ciężka praca i dobre zachowanie. Uważam, że nauczanie czytania nie jest konieczne”.

Jednocześnie z tym planem zamienienia Polski w kraj analfabetów miały być podjęte kroki mające na celu „oddzielenie tych, w których płynie wartościowa krew, od tych, których krew nie ma wartości”. Co roku każde polskie dziecko pomiędzy szóstym a dziesiątym rokiem życia miało przejść badania, a te, które zostaną uznane za rasowo odpowiednie, należało odebrać rodzicom i wychowywać w Niemczech. Rodziców miały już nigdy nie spotkać.

Hitlerowska polityka wykradania polskich dzieci jest znacznie mniej znana niż fakty Holokaustu. Wpasowuje się ona jednak w ten sam schemat. Pokazuje, jak poważnie ludzie pokroju Himmlera wierzyli w określanie wartości człowieka na podstawie cech rasowych. Odbieranie tych dzieci nie było - jakby się mogło dziś wydawać - okrutną zachcianką, ale integralną częścią spaconego światopoglądu Himmlera. Ponieważ, z punktu widzenia Himmlera, jeśli takim dzieciom pozwole się pozostać, to Polacy „mogą wykształcić klasę przywódców złożoną z jednostek o dobrej krwi”.

Warto zauważyć, że Himmler pisał o tych dzieciach: „Niezależnie od tego, jak okrutne i tragiczne wydają się pojedyncze przypadki, jeśli odrzucić bolszewicką metodę fizycznej eksterminacji narodu, jako fundamentalnie nieniemiecką i niemożliwą, ta metoda wydaje się najłagodniejsza i najlepsza”. Mimo że Himmler miał na myśli polskie dzieci, jasne jest, że skoro opisuje „fizyczną eksterminację narodu” jako „fundamentalnie nieniemiecką”, to niechęć ta rozciąga się na inne „narody” - włączając Żydów. (Dalszym potwierdzeniem tej interpretacji jest teza Heydricha, wygłoszona w lecie 1940 roku, bezpośrednio w odniesieniu do Żydów: „Biologiczna eksterminacja jest poniżej godności ludu niemieckiego jako narodu cywilizowanego” \* [\*Aly, *op. cit.*, s. 3.]).

W swojej zahaczającej o wiele tematów nocie Himmler ogłosił również, jakiego chciał losu dla Żydów: „Mam nadzieję, że termin «Żydzi» całkowicie pójdzie w zapomnienie dzięki masowej emigracji wszystkich Żydów do Afryki albo jakichś kolonii”. Ten powrót do przyjętej wcześniej polityki emigracji był teraz możliwy dzięki sytuacji na froncie. W połowie

maja 1940 roku było już jasne, że Niemcy odniosą wielkie zwycięstwo nad Francją. Po klęsce Francji, rozumowali przywódcy hitlerowscy, szybko nastąpi kapitulacja Brytyjczyków, którzy będą próbowali zawrzeć oddzielny traktat pokojowy. Kiedy wojna się skończy, polskich Żydów będzie można załadować na statki i wywieźć - prawdopodobnie do jednej z byłych kolonii francuskich.

Nawet jeśli dzisiaj pomysł wysłania milionów ludzi do Afryki wydaje się mało prawdopodobny, nie ma wątpliwości, że w tamtym momencie hitlerowcy myśleli o nim poważnie. Radykalni antysemita od lat proponowali wysiedlenie Żydów do Afryki, a teraz przebieg wojny wydawał się umożliwiać hitlerowcom przyjęcie tego rozwiązania „problemu” żydowskiego. Sześć tygodni po nocie Himmlera Franz Rademacher z niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych napisał dokument, w którym zaproponowano Madagaskar jako miejsce wysiedlenia Żydów \* [\*Memorandum Ministerstwa Spraw Zagranicznych z 3 lipca 1940.].

Należy jednak pamiętać, szczególnie w kontekście propozycji wysiedlenia Żydów na Madagaskar, że plan ten - podobnie jak wszystkie rozważane przedtem w czasie wojny rozwiązania „kwestii żydowskiej” - oznaczałyby śmierć i cierpienie bardzo wielu Żydów. Hitlerowski gubernator Madagaskaru nadzorowałby najprawdopodobniej stopniową eliminację Żydów w czasie jednego lub dwóch pokoleń. Hitlerowskie „ostateczne rozwiązanie”, tak jak je znamy z historii, nie miałyby miejsca, jednak z pewnością doszłoby do innego rodzaju ludobójstwa.

Himmler przekazał swoje memorandum Hitlerowi, który przeczytał je i odpowiedział, że jest *gut und richtig* („dobre i prawidłowe”). Warto zauważyć, że Hitler nigdy nie zapisał swojej opinii o tym memorandum na papierze. Himmlerowi wystarczyło ustne poparcie Führera dla jego treści. W taki sposób podejmowano w hitlerowskim państwie decyzje polityczne.

Taka więc była sytuacja w Polsce w maju 1940 roku: kraj został podzielony na sektory niemiecki i polski; setki tysięcy przybywających ze wschodu Niemców potrzebowało przestrzeni, którą odbierano Polakom. Wielu Polaków już zostało wywiezionych na południe do obszaru nazywanego Generalnym Gubernatorstwem, gdzie musieli żyć w okropnych warunkach. Ogólnie Niemcy planowali zamienić naród polski w „pozbawioną przywództwa klasę” analfabetów, która miała im niewolniczo służyć. W tym samym czasie dwa miliony polskich Żydów, którzy dostali się pod władzę hitlerowców, stało przed perspektywą przymusowej emigracji do Afryki, a czasowo było stłoczonych w gettach i czekało na organizację tego radykalnego rozwiązania.

Rudolf Höss ze swoim powstającym właśnie obozem koncentracyjnym w Oświęcimiu był w maju 1940 roku jedynie małym fragmentem tego ogólnego obrazu. Oświęcim znajdował się w jednej z części Polski, która miała zostać „zger-manizowana”, toteż najbliższa przyszłość obozu miała w dużym stopniu wynikać z jego położenia. Obszar ten wielokrotnie przechodził już z rąk do rąk, a bezpośrednio przed pierwszą wojną światową był częścią Niemiec, które utraciły go na mocy traktatu wersalskiego. Teraz hitlerowcy chcieli ponownie wcielić go do Rzeszy. Jednakże w przeciwieństwie do innych regionów, które miały ulec „germanizacji”, ten region Małopolski sąsiadujący z Górnym Śląskiem był obszarem silnie uprzemysłowionym i duża jego część nie nadawała się na teren osadnictwa dla Niemców ze wschodu. A to z kolei oznaczało, że wielu Polaków miało tam pozostać jako niewolnicza siła robocza, i w związku z tym istnienie obozu koncentracyjnego akurat tutaj wydawało się konieczne do podporządkowania ludności miejscowej. Na początku planowano założenie w Oświęcimiu obozu przejściowego - w hitlerowskim żargonie obozu „kwarantanny” - w którym więźniowie mieli być przetrzymywani przed wysłaniem ich do innych obozów koncentracyjnych na terenie Rzeszy, ale już po kilku dniach stało się jasne, że w obozie ludzie nie będą przebywać tylko przejściowo.

Höss wiedział, że wojna zbrutalizowała wszystko - również obozy koncentracyjne. Mimo że nowy obóz zorganizowano na wzór miejsc takich jak Dachau, miał on posłużyć rozwiązaniu trudniejszego problemu niż instytucje w „starej” Rzeszy. Obóz w Oświęcimiu miał więzić i terroryzować Polaków w czasie, gdy cały kraj przechodził etniczną reorganizację, w której naród polski miał zostać intelektualnie i politycznie unicestwiony. Dlatego nawet w pierwszym jego wcieleniu, jako obóz koncentracyjny, w Oświęcimiu panowała większa śmiertelność niż w jakimkolwiek „normalnym” obozie w Rzeszy. Z 20 000 Polaków wysłanych najpierw do obozu więcej niż połowa nie żyła już na początku 1942 roku.

Pierwszymi więźniami, którzy trafili do obozu oświęcimskiego w czerwcu 1940 roku, byli nie Polacy, lecz Niemcy - trzydziestu kryminalistów przeniesionych tam z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Mieli się oni stać pierwszymi kapo, więźniami sprawującymi władzę na szczeblu pomiędzy SS a polskimi więźniami.

Właśnie widok tych kapo wywarł największe wrażenie na wielu Polakach, którzy pierwszymi transportami przybyli do obozu. „Myśleliśmy, że wszyscy byli marynarzami - wspomina Roman Trojanowski \* [\*Wywiad dla BBC.], który w wieku osiemnastu lat trafił do Oświęcimia w lecie 1940 roku. - Mieli berety jak marynarze, a okazało się, że wszyscy są kryminalistami. Kryminaliści, co do jednego”.

„Przyjechaliśmy i roilo się od niemieckich kapo, krzyczeli i walili nas krótkimi pałkami - relacjonuje Wilhelm Brasse \* [\*Wywiad dla BBC.], który również trafił tego lata do obozu. - Kiedy ktoś zbyt powoli wysiadał z wagonu bydłęcego, był bity, a niejednokrotnie od razu takich ludzi zabijano. Byłem przerażony - wszyscy byli przerażeni”.

Ci pierwsi więźniowie obozu w Oświęcimiu trafiali tam z różnych powodów - podejrzewano ich o współpracę z polskim podziemiem albo byli członkami szczególnie prześladowanych przez hitlerowców grup, takich jak duchowieństwo i inteligencja, albo po prostu osobami, które nie spodobały się jakiemuś Niemcowi. Wielu członków pierwszej grupy więźniów, przybyłej do obozu 14 czerwca 1940 roku, przeniesionej z więzienia w Tarnowie, to po prostu byli studenci.

Ich zadanie bezpośrednio po przybyciu do Oświęcimia było proste - mieli sami zbudować obóz. „Mieliśmy bardzo prymitywne narzędzia - mówi Wilhelm Brasse. - Więźniowie musieli nosić kamienie. To była bardzo trudna, ciężka praca. Do tego byliśmy bici”. Na budowę nie przeznaczono jednak wystarczającej ilości materiałów, hitlerowcy uciekli się więc do typowego rozwiązania - kradzieży. „Pracowałem przy rozbiórce domów, które należały do polskich rodzin - opowiada Brasse. - Mieliśmy rozkaz zabierać materiały budowlane, takie jak cegły, deski i inne rodzaje drewna. Byliśmy zaskoczeni, że Niemcy chcą tak szybko budować, skoro nie ma materiałów”.

W obozie natychmiast kradzież stała się zjawiskiem powszechnym, okradano nie tylko miejscową ludność, ale również siebie nawzajem. „Niemieccy kapo wysyłali więźnia i mówili: «Idź i ukradnij cement z innego komanda - nie przejmujemy się nimi» - wspomina Brasse. - I właśnie tak robiliśmy. Deski albo cement trzeba było zabierać z innych komand. W żargonie obozowym nazywaliśmy to «organizowaniem». Ale musieliśmy być ostrożni, żeby nie dać się złapać”.

Nie tylko więźniowie „organizowali” to, co było potrzebne. W tych wczesnych dniach Höss również kradł to, czego potrzebował. „Ponieważ nie mogłem spodziewać się żadnej pomocy ze strony Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych - wspomina - musiałem sam sobie radzić. Musiałem wyłudzać samochody osobowe i ciężarowe oraz niezbędne do nich paliwo. Dla zdobycia kilku kotłów do kuchni więźniów musiałem jechać aż do Zakopanego i Rabki, po łożka i sienniki w Sudety [...]. Nie wiedziałem, skąd wziąć 100 metrów drutu kolczastego. [...] Byłem więc zmuszony do kradzieży pewnej ilości najpilniej potrzebnego drutu” \* [\* Höss, *op. cit.*, s. 107.].

Podczas gdy Höss „organizował” rzeczy potrzebne według niego do zamienienia Oświęcimia w „użyteczny” obóz, dla Polaków trzymany za niedawno ukradzionym drutem

kolczastym wkrótce stało się jasne, że ich szansę przetrwania zależą głównie od jednego czynnika - kapo, dla którego pracowali. „Bardzo szybko zrozumiałem, że w «dobrych» komandach więźniowie zwykle mieli pełne, okrągłe twarze - wspomina Wilhelm Brasse. - Zachowywali się inaczej niż ci, którzy mieli ciężkie prace i wyglądali na wyczerpanych - jak szkielety w pasiakach. Natychmiast dostrzegałem, że u danego kapo jest lepiej, ponieważ więźniowie lepiej wyglądają”.

Roman Trojanowski harował pod komendą jednego z najokrutniejszych kapo, który raz ukarał go za nieznaczące przewinienie, bijąc po twarzy, a potem kładąc siedzieć w kucki i trzymać przed sobą taboret. Trudy życia w tym komandzie doprowadziły go do załamania. „Nie miałem siły biegać codziennie z taczka - mówi. - Po godzinie taczka wypadała z rąk. Po prostu padało się na taczka i można sobie było przy tym zranić nogę. Musiałem ratować skórę”. Jak wielu innych więźniów przebywających przed nim i po nim w Oświęcimiu, Roman Trojanowski wiedział, że albo dostanie się do innego komanda, albo zginie.

Pewnego ranka w czasie apelu ogłoszono, że potrzebni są doświadczeni cieśle. Roman Trojanowski zgłosił się więc na ochotnika i mimo że nigdy w życiu nie był cieślą, powiedział, że ma „siedem lat praktyki”. Plan ten jednak się nie powiódł. Kiedy zaczął pracować w warsztacie ciesielskim, od razu zauważono, że nie zna się na robocie. „Kapo wezwał mnie, zabrał do swojego kantoru i wziął wielką pałkę. Kiedy zobaczyłem tę pałkę, zrobiło mi się słabo. Wtedy powiedział, że za niszczenie materiału dostanę dwadzieścia pięć razów. Kazał mi się pochylić i zaczął mnie bić. Specjalnie robił to powoli, żeby nasycić się każdym ciosem. To był wielki facet. Miał ciężką rękę, a pała też była ciężka. Chciałem krzyknąć, ale przygryzłem wargi i jakoś się powstrzymałem, ani razu nie krzyknąłem. I dobrze zrobiłem. Bo po piętnastym uderzeniu przestał. «Dobrze się zachowujesz - powiedział - więc podaruję ci pozostałe dziesięć». Z dwudziestu pięciu razów dostałem tylko piętnaście - ale to wystarczyło. Dupę miałem przez dwa tygodnie w kolorach od czarnego po fioletowy i żółty i nie mogłem przez długi czas siadać”.

Wyrzucony z warsztatu Roman Trojanowski dalej szukał pracy w zamkniętym pomieszczeniu. „To było najważniejsze - opowiada. - Żeby przetrwać, trzeba było przebywać pod dachem”. Porozmawiał z przyjacielem, który znał stosunkowo łagodnego kapo Ottona Kuessela. Razem z przyjacielem poszedł do Kuessela, udał, że zna niemiecki lepiej niż w rzeczywistości, i otrzymał pracę w kuchni, gdzie przygotowywano posiłki dla Niemców. „W ten sposób uratowałem życie”, mówi.

W walce o przetrwanie w obozie najgorszą pozycję miały dwie grupy, szczególnie sadystycznie prześladowane od momentu przybycia do obozu - księża i Żydzi. Mimo że na

tym etapie swojej ewolucji obóz oświęcimski nie był miejscem, do którego trafiały za swoje przekonania religijne duże grupy Żydów - wciąż kwitła polityka gettoizacji - część inteligentów, członków ruchu oporu i więźniów politycznych w obozie to byli Żydzi. Ludzi tych, a także polskich księży katolickich częściej niż innych więźniów maltretowano i dostawali się do karnego komanda, dowodzonego przez jednego z najgorszych kapo w ogóle, Ernsta Krankemanna.

Krankemann przybył do obozu z drugim transportem niemieckich kryminalistów przeniesionych z Sachsenhausen, 29 sierpnia 1940 roku. Wielu członków SS nie lubiło go, ale miał w SS dwóch silnych popleczników, Fritzscha, który był Legerführerem, i Palitzscha, pełniącego funkcję Rapportführera. Krankemann, wielki grubas, siadał na żerdziach służących do ciągnięcia gigantycznego walca, którym wygładzano plac apelowy w środku obozu. „Kiedy po raz pierwszy go zobaczyłem - opowiada Jerzy Bielecki \* [\*Wywiad dla BBC.], jeden z pierwszych więźniów Oświęcimia - wyglądali plac pomiędzy dwoma blokami, a ponieważ walec był bardzo ciężki, to grupa dwudziestu czy dwudziestu pięciu ludzi nie mogła go uciągnąć. Krankemann miał bicz i bił ich, wrzeszcząc: «Szybciej, psy!»,».

Jerzy Bielecki był świadkiem, jak więźniów tych zmuszano do ciągnięcia walca przez cały dzień bez przerwy. Pod wieczór jeden z nich padł na kolana i nie mógł się podnieść. Krankemann nakazał więc reszcie karnego komanda przeciągnąć walec po ich wyczerpanym towarzyszu. „Byłem już przyzwyczajony do oglądania śmierci i bicia - mówi Jerzy Bielecki. - Ale to, co wtedy zobaczyłem, po prostu mnie sparaliżowało. Nie mogłem się poruszyć”.

Członkowie SS nie tylko nie przypatrywali się obojętnie tym brutalnym ekscesom, ale aktywnie do nich zachęcali. Jak potwierdza Wilhelm Brasse, i w ogóle wszyscy, którzy przeżyli obóz w Oświęcimiu, to właśnie esesmani wprowadzili w obozie brutalne i zabójcze zwyczaje (sami również często dopuszczali się morderstw). „Szczególnie okrutni kapo - wspomina Wilhelm Brasse - dostawali od SS nagrody - dodatkową porcję zupy, chleba albo papierosów. Sam widziałem, jak esesmani ich zachęcali. Często słyszałem, jak mówili: «bij ich dobrze»,».

Mimo panującej w obozie przerażającej brutalności Oświęcim, z punktu widzenia hitlerowców, wciąż był raczej spokojną przystanią w porównaniu z Polską, gdzie przeprowadzano burzliwą, brutalną reorganizację. Pierwsze oznaki tego, co miało nadejść później, pojawiły się jesienią 1940 roku.

We wrześniu 1940 roku Oswald Pohl, szef Głównego Urzędu Administracyjno-Gospodarczego SS, przyjechał do obozu na inspekcję i nakazał Hössowi zwiększyć jego pojemność. Pohl sądził, że pobliskie miejsca, gdzie wydobywano piach i żwir, będą mogły

zostać wykorzystane przez przedsiębiorstwo Deutsche Erdund Steinwerke (DESt), którego właścicielem było SS. Względy gospodarcze były dla Himmlera i SS coraz ważniejsze od roku 1937, kiedy liczba więźniów w obozach koncentracyjnych w Niemczech spadła do 10 000 (z ponad 20 000 w 1933 roku). Himmler znalazł innowacyjne rozwiązanie, które miało zapewnić obozom przyszłość - SS zajmie się prowadzeniem interesów.

Od początku były to interesy niezwyklego rodzaju. Himmler nie chciał stworzyć kapitalistycznego przedsiębiorstwa, tylko coś na kształt grupy małych firm, działających zgodnie z faszystowską filozofią służby państwu. Obozy koncentracyjne miały zapewnić surowce do budowy nowych Niemiec - na przykład wielkie ilości granitu potrzebne przy budowie hitlerowskiej kancelarii Rzeszy w Berlinie. W rzeczy samej, po anszlusie Austrii w 1938 roku SS założyło nowy obóz koncentracyjny w Mauthausen właśnie dlatego, że znajdował się blisko pewnego kamieniołomu, gdzie wydobywano granit. Uważano za szczególnie właściwe, żeby przeciwnicy nowego porządku przyczyniali się do jego rozwoju. Jak to wyraził Albert Speer, ulubiony architekt Hitlera: „Przecież Żydzi już raz robili cegły dla faraonów” \* [\*Wypowiedź Alberta Speera według jego brata Hermanna [w:] Michael Thad Allen, „The Business of Genocide - The SS, Slave Labor, and the Concentration Camps”, University of North Carolina Press 2002, s. 59.].

Entuzjazm Himmlera dla produkcji przemysłowej sięgał zadań większych niż dostarczanie Rzeszy materiałów budowlanych. Udzielił on swojego błogosławieństwa również wielu innym projektom - powstała stacja doświadczalna badająca naturalne lekarstwa i nowe metody produkcji rolniczej (obie dziedziny były bliskie sercu Himmlera), a wkrótce SS zajęła się również produkcją odzieży, syropów witaminowych, a nawet porcelany (z której wyrabiano figurki pasterzy i innych postaci). Jak wykazały niedawno badania historyczne \* [\*Zob. też *ibid.*- szczególnie rozdz. 2 „A Political Economy of Misery”.], członkowie SS zarządzający tymi przedsięwzięciami byli nieudolni aż do śmieszności, gdyby pozwalał na nią ponury charakter tematu tej książki.

Zaraz po tym, jak Pohl zażądał, by Oświęcim produkował piasek i żwir dla hitlerowskiego państwa, obozowi przydzielono kolejną funkcję. W listopadzie 1940 roku Rudolf Höss spotkał się z Himmlerem i plany rozwoju obozu przedstawione przez Hössa w czasie tego spotkania rozpały wyobraźnię Himmlera. Wspólna im obu miłość do roli pozwoliła od razu nawiązać bliski kontakt.

Höss wspominał Himmlerowską nową wizję przyszłości obozu: „Oświęcim miał być rolniczą stacją doświadczalną dla wschodu [...]. Wszystkie konieczne doświadczenia należy przeprowadzać jedynie tam. Muszą powstać wielkie laboratoria i wydziały hodowli roślin.



Hodowla bydła wszystkich znanych ras i rodzajów. [...] Zakładać stawy, osuszać grunty, zbudować nasyp wiślany. [...] Omawia dalej swoje plany rolne w najdrobniejszych szczegółach, dopóki dyżurny adiutant nie przypomniał o długo już czekającej na przyjęcie ważnej osobistości” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 274.].

Spotkanie Hössa z Himmlerem, zaćmione później przez jeszcze większe okropności, do których miało dojść w Oświęcimiu, daje wyobrażenie o mentalności tych dwóch kluczowych w historii obozu postaci. Bardzo łatwo - choć to po prostu nieprawda - jest określić ich mianem „szaleńców” motywowanych irracjonalnymi uczuciami, których nigdy nie zrozumiemy. Tutaj, w czasie tego spotkania, widzimy ich jako dwóch entuzjastów - niemal zblizkowanych - korzystających z wojny, by wprowadzić w życie wizje, które w czasie wojny pozostałyby mrzonkami. Ale w rezultacie agresji hitlerowskiej Himmler, siedząc w swoim gabinecie i roztaczając przed Hössem swoje wizje przyszłości obozu w Oświęcimiu, był człowiekiem z praktycznym doświadczeniem we wprowadzaniu w życie własnych marzeń. Jednym przesunięciem ręki po mapie nakazał całkowite przekształcenie życia setek tysięcy Niemców i Polaków. Nadzorując wykonanie tego polecenia, podejmował decyzje na niewyobrażalną niemal skalę.

Należy przy tym koniecznie pamiętać, że przez cały czas, wygłaszając bomba-styczną przemowę na temat swoich wizji Oświęcimia jako centrum badań rolniczych, Himmler snuł spójne plany - plany oczywiście przerażające, ale mimo wszystko spójne. W czasie spotkania w listopadzie 1940 roku zapalił się do swojej wizji Śląska jako niemieckiej rolniczej utopii - niemal raju. Nędzne polskie zagrody na południu miały zostać usunięte, a ich miejsce zajęłyby wydajne, dobrze zarządzane niemieckie gospodarstwa. Höss i Himmler byli wcześniej rolnikami; niemal w mistyczny sposób przywiązani do pracy na roli. Zatem pomysł, by rozwijać obóz w Oświęcimiu w sposób, który przyczyni się do rozwoju wiedzy rolniczej, musiał się im wydać bardzo pociągający.

Przy wprowadzaniu w życie tych zrodzonych z nagłego entuzjazmu wizji nie miał zbyt dużego znaczenia fakt, że obóz w Oświęcimiu znajdował się w najgorszym możliwym miejscu na takie działania. Leżący u ujścia Soły do Wisły, obóz znajdował się na terenie znanym z częstych powodzi. Mimo to od tego spotkania aż do zamknięcia obozu więźniowie Oświęcimia mieli ciężką pracą wprowadzać w życie wizję Himmlera, kopiąc rowy, osuszając stawy, regulując brzegi rzek - tylko dlatego, że Reichsführerowi SS znacznie łatwiej było snuć marzenia, niż rozmawiać o kwestiach praktycznych. Tysiące więźniów miały przez to umrzeć, ale myśl o tym nawet nie zaświtała w umyśle Himmlera, kiedy entuzjastycznie

szkicował swoje fantastyczne wizje wiernemu podwładnemu Rudolfowi Hössowi w ten listopadowy dzień 1940 roku.

Pod koniec 1940 roku Höss stworzył podstawy organizacji i reguł, według których obóz miał działać przez następne cztery lata: system kapo, którzy bez przerwy kontrolowali życie więźniów, absolutnie brutalny reżim mogący arbitralnie wymierzać więźniom kary oraz wszechobecne w obozie poczucie, że kto nie zdoła wydostać się z niebezpiecznego komanda, ryzykuje rychłą i gwałtowną śmierć. W ciągu tych pierwszych miesięcy powstała jednak jeszcze jedna rzecz, która najlepiej symbolizowała obyczaje panujące w obozie - blok 11.

Z zewnątrz blok 11 (nazywany najpierw blokiem 13, dopóki w 1941 roku numeracja nie zmieniła się na 11) wyglądał jak każdy inny z ceglanych baraków, które stały w prostych rzędach na całym terenie obozu. Miał on jednak jedyne w swoim rodzaju przeznaczenie - i wszyscy w obozie o tym wiedzieli. „Ja osobiście bałem się nawet przejść obok bloku 11 - opowiada Józef Paczyński. - Osobiście się bałem” \* [\*Wywiad dla BBC.]. Więźniowie odczuwali strach, ponieważ blok 11 był więzieniem w więzieniu - miejscem tortur i śmierci.

Jerzy Bielecki był jednym z nielicznych ludzi, którzy doświadczyli tego, co działo się w bloku 11, i przeżyli, żeby o tym opowiedzieć. Został tam wysłany, ponieważ jednego ranka poczuł się tak chory i wyczerpany, że nie był w stanie pracować. W obozie oświęcimskim nie można było poprosić o dzień odpoczynku, próbował więc ukryć się, mając nadzieję, że jego nieobecność nie zostanie wykryta. Najpierw schował się w latrynach, ale wiedział, że ryzykuje złapanie, jeśli będzie tam siedzieć cały dzień, próbował więc udawać, że sprząta w różnych miejscach w obozie. Niestety, został złapany przez strażnika i wysłany do bloku 11, gdzie miała spotkać go kara.

Zaprowadzono go na strych bloku 11. „Wszedłem do potwornie gorącego wnętrza - opowiada. - Był piękny sierpniowy dzień. Czulem straszny smród i słyszałem, jak ktoś jęczy «Jezu, o Jezu!». Było ciemno; jedyne światło przechodziło pomiędzy nagrzanymi dachówkami”. Spojrzał do góry i zobaczył człowieka zawieszzonego na belce dachowej z tyłu za ręce. „Esesman przyniósł taboret i powiedział: «Włóż». Wyciągnąłem ręce do tyłu, a on wyjął łańcuch i je związał”. Kiedy esesman przywiązał go łańcuchem do belki, wykopał mu stolik spod nóg. „Poczułem nagle - Jezus Maria - taki straszny ból. Zacząłem jęczeć, a on mi mówił: «Zamknij się, psie! Zaslugujesz, by cierpieć!»,. Potem esesman poszedł.

Ból zawieszzonego na wykręconych rękach więźnia był przerażający. „Oczywiście lał się ze mnie pot i było bardzo gorąco, wciąż powtarzałem: «Mamo!». Po godzinie ramiona zaczęły się wyłamywać ze stawów. Później przyszedł inny esesman i uwolnił tego drugiego

więźnia, ale ten już się nie odzywał. Wisiałem tak bez ducha - bez duszy. Ale w końcu dotarło do mnie, że esesman coś mówi. Powiedział: «Jeszcze piętnaście minut»,».

Jerzy Bielecki nie pamięta, co się działo, zanim ten sam strażnik do niego wrócił. „«Podnieś nogi», powiedział. Ale ja nie mogłem. Wziął mnie za nogi i postawił jedną po drugiej na taborecie. Rozluźnił łańcuch, spadłem z taboretu na kolana, a on mi pomógł wstać. Podniósł moje prawe ramię i kazał tak je trzymać. Ale ja nie czułem ramion. Powiedział: «Za godzinę to minie». Potem z trudnością zszedłem z tym esesmanem na dół. On był bardzo litościwym strażnikiem”.

Historia Jerzego Bieleckiego jest ciekawa z wielu powodów, nie tylko dzięki jego osobistej odwadze w czasie tortur. Być może najbardziej zaskakujący jest w niej kontrast pomiędzy tymi dwoma esesmanami - jednym, który sadystycznie wykopał mu spod nóg taboret, a drugim, „litościwym”, który pomógł mu zejść po zakończeniu tortury. Tak samo jak kapo, również strażnicy z SS różnili się charakterami. Ci, którzy przeżyli obóz, często zauważają w swoich wspomnieniach, że nie było jednego typu strażnika. Decydująca dla przetrwania w obozie była umiejętność rozpoznawania różnych charakterów, nie tylko kapo, ale również esesmanów. Ten talent mógł uratować życie.

Jerzy Bielecki opuścił blok 11 jako kaleka, ale i tak miał szczęście. Wielu tych, którzy wchodzili po cementowych schodach baraku, znikало za jego drzwiami już na zawsze. Podczas przesłuchań w bloku 11 hitlerowcy torturowali więźniów na różne straszliwe sposoby - nie tylko wieszali ich za wykręcone ramiona, tak jak Jerzego Bieleckiego, ale również bili, poddawali torturze wodnej, przebijali paznokcie igłami, przypalali gorącym żelazem oraz polewali benzyną, którą następnie zapalali. Esesmani w Oświęcimiu z własnej inicjatywy wymyślali również nowe tortury, czego świadkiem był więzień Bolesław Zbozień, który widział więźnia przyniesionego z bloku 11 do szpitala. „Ulubioną metodą stosowaną szczególnie w zimie [...] było trzymanie głowy więźnia nad kosiakiem w celu wymuszenia zeznań - wspomina. - Twarz była wówczas zupełnie usmażona. Pamiętam taki wypadek, że przywieziono do bloku szpitalnego więźnia, lekarza z powiatu sosnowieckiego przesłuchiwanego przez Politische Abteilung. Człowiek ten był zupełnie usmażony, miał wypalone oczy, nie mógł umrzeć. [...] Po kilku dniach, nie tracąc świadomości, więzień ten zmarł” \* [\*Irena Strzelecka, „Kary i tortury” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 2, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, s. 290.].

Plac pomiędzy blokami 11 i 10 był oddzielony murem od reszty obozu - jedyna tak odgrodzona przestrzeń pomiędzy blokami. Na tym podwórku mordowano więźniów.

Prowadzono ich pod mur - zwany w gwarze obozowej „ekranem” - naprzeciw wejścia do bloku i rozstrzeliwano.

Blok 11 był wtedy pod władzą SS-Untersturmführera Maxa Grabnera, jednego z najokrutniejszych członków załogi obozu. Zanim Grabner wstąpił do SS, zajmował się pasaniem krów, ale teraz był panem życia i śmierci każdego więźnia w bloku 11. Niektórzy byli zostawiani w spokoju w swoich celach, inni skazywani na „pierwszy karny raport”, jeszcze inni na „drugi karny raport”. „Pierwszy karny raport” oznaczał bicie i inne tortury. Drugi - natychmiastową egzekucję.

Skazanych na śmierć więźniów umieszczano w łaźni na parterze bloku 11, gdzie kazano im się rozebrać. Kiedy byli nadzy, zabierano ich bocznymi drzwiami na oddzielony murem plac. Trzymając więźnia mocno za ramiona, kapo prowadził go do ściany po przeciwnej stronie placu, gdzie esesman dokonujący egzekucji przykładał do głowy więźnia pistolet małokalibrowy (używano go, żeby robić jak najmniej hałasu). Potem naciskał spust.

Nie tylko więźniowie obozu w Oświęcimiu cierpieli w bloku 11- była to również siedziba „Policyjnego Sądu Doraźnego” w okręgu katowickim. W ten sposób wielu aresztowanych przez gestapo Polaków trafiało z zewnątrz prosto do bloku 11, nie przechodząc przez resztę obozu. Jednym z sędziów wydających wyroki w tych sprawach był SS-Obersturmbannführer Mildner. Perry Broad, członek SS, który służył w Oświęcimiu, tak opisuje sposób, w jaki Mildner zwykł wykonywać swoje obowiązki: „Do sali wprowadzono szesnastoletniego chłopaka. Nieznośny głód doprowadził go do tego, że ukradł z jakiegoś sklepu trochę jedzenia, był więc sądzony w sprawie «karnej», jak przestępca. Odczytawszy wyrok śmierci, Mildner powoli odłożył dokument na biurko i skierował przenikliwe spojrzenie na bladego i biednie ubranego chłopca, który stał w drzwiach. «Czy masz matkę?» - spytał. Chłopiec spuścił oczy i cichym głosem odpowiedział: «Tak». «Czy boisz się umrzeć?» - zapytał bezlitosny, gruby rzeźnik, który wydawał się czerpać sadystyczną przyjemność z cierpienia swojej ofiary. Chłopak milczał, ale drżał na całym ciele. «Dziś zostaniesz zastrzelony - powiedział Mildner, starając się nadać swojemu głosowi nieubłagany ton. - Kiedyś i tak by cię powiesili. Za godzinę będziesz martwy»,\* [\*”KL Auschwitz seen by the SS”, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1998, s. 117.].

Według Broad'a, Mildner szczególnie lubił rozmawiać z kobietami zaraz po wydaniu na nie wyroku śmierci: „Opowiadał im z drastycznymi szczegółami, w jaki sposób zaraz zostaną zastrzelone”.

Mimo okropności bloku 11 obóz w Oświęcimiu na tym etapie rozwoju wciąż zachowywał pewne cechy tradycyjnego obozu koncentracyjnego, takiego jak Dachau. Nic nie

dowodzi tego braku podstawowej różnicy z większą jasnością niż fakt, że - wbrew popularnym mitom - w czasie tych pierwszych miesięcy można było zostać uwięzionym w Oświęcimiu, odsiedzieć wyrok i wyjść na wolność.

Tuż przed Wielkanocą 1941 roku Władysław Bartoszewski \* [\*Wywiad dla BBC.], polski więzień polityczny, leżał w szpitalu w bloku 20, kiedy podeszło do niego dwóch esesmanów. „Powiedzieli mi «Wyłazić!». Nic nie tłumaczyli, nie wiedziałem, co się dzieje. To był szok, ponieważ miało się coś zmienić w mojej sytuacji jako więźnia i moi towarzysze nie wiedzieli, co się ze mną stanie. Byłem przerażony”. Dowiedział się, że ma stanąć przed komisją lekarską. Przedtem polski lekarz - więzień obozu - szepnął do niego: „Jeśli będą pytać, to mów, że jesteś zdrowy i dobrze się czujesz, bo inaczej cię nie wypuszczą”. Władysław Bartoszewski był wstrząśnięty, kiedy w ten sposób nagle się dowiedział, że może zostać wypuszczony z obozu. „Wypuszczą mnie?” - zapytał polskich lekarzy podniecony i zachwycony; ale oni odpowiedzieli tylko: „Cicho!”.

Główną przeszkodą stojącą przed Władysławem Bartoszewskim na drodze do wolności był jego stan fizyczny. „Miałem wielkie ropnie na plecach, udach, potylicy i karku. Ci polscy lekarze położyli mi na skórze dużo jakiegoś balsamu i posypali pudrem ropnie, żebym lepiej wyglądał. Powiedzieli: «Nie bój się, nie będą ci się zbyt dokładnie przyglądać, ale nic nie mów, to by było wbrew przepisom, bo tutaj nikt nie choruje, prawda?». Potem wzięli mnie do niemieckiego lekarza, a ja nawet na niego nie spojrzałem. Polski lekarz usłużnie powiedział, że mój stan zdrowia jest dobry. A Niemiec tylko skinął głową”.

Przeszedłszy to pobieżne badanie lekarskie, Władysław Bartoszewski został zabrany do administracji obozu, gdzie zwrócono mu ubranie, które miał na sobie, kiedy trafił do obozu. „Nie oddali mi złotego krzyżyka - mówi. - Zatrzymali go sobie na pamiątkę”. Później, odgrywając prawie komedię normalnego zwolnienia z więzienia, esesman spytał go, czy ma jakieś zażalenia dotyczące swojego pobytu. „Byłem sprytny i powiedziałem: «Nie». Potem zapytali, czy jestem zadowolony z pobytu w obozie, a ja odpowiedziałem: «Tak». Musiałem też podpisać oświadczenie, że nie mam zastrzeżeń i że nie będę więcej łamać prawa. Nie wiedziałem, jakie mieli na myśli prawo, ponieważ jako Polak nie interesowałem się niemieckim prawem. Nasze prawo było reprezentowane przez rząd na uchodźstwie w Londynie. Ale oczywiście nic z tego nie powiedziałem tym panom”.

Razem z trzema innymi Polakami, którzy zostali tego dnia wypuszczeni, Władysław Bartoszewski został odprowadzony przez niemieckiego strażnika na stację kolejową w Oświęcimiu i wsadzony do pociągu. Kiedy pociąg ruszył, Bartoszewski rozkoszował się „tymi pierwszymi minutami wolności”. Oczekiwała go długa podróż do domu, do matki w

Warszawie. W pociągu „ludzie kręcili tylko głowami. Jakież kobiety patrzyły na mnie ze współczuciem, widać było, że są wzruszone. Zapytały tylko: «Skąd jedziecie?», a my odpowiedzieliśmy: «Z Oświęcimia». Żadnej odpowiedzi, tylko spojrzenie, tylko strach”.

Późną nocą Bartoszewski zapukał wreszcie do mieszkania matki w Warszawie. „Oniemiała, kiedy mnie zobaczyła. Rzuciła się i zaczęła mnie ścisnąć. Byłem od niej wyższy i zauważyłem pasmo siwych włosów na jej głowie. To była pierwsza zmiana, jaką dostrzegłem. Cóż, nie wyglądała za dobrze. Nikt wtedy dobrze nie wyglądał”.

W podobny sposób zwolniono z obozu w Oświęcimiu kilkuset więźniów. Nikt do końca nie wie dlaczego. Ale jeśli chodzi o Władysława Bartoszewskiego, wydaje się, że pewną rolę mógł odegrać nacisk opinii publicznej, ponieważ Czerwony Krzyż i inne instytucje zabiegały o jego uwolnienie. Ówczesna podatność hitlerowców na naciski międzynarodowe w sprawie więźniów jest również widoczna na przykładzie losu polskich naukowców aresztowanych w listopadzie 1939 roku. Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zostali zabrani prosto z sal wykładowych w czasie czystki polskiej inteligencji i uwięzieni w różnych obozach koncentracyjnych, również w Dachau \* [\*„Sonderaktion Krakau” - tym kryptonimem określa się aresztowanie w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie 183 pracowników naukowych UJ, Akademii Nauk Technicznych i innych uczelni oraz członków Polskiej Akademii Umiejętności. Na 6 listopada 1939 roku niemieckie władze okupacyjne zażądały spotkania z profesorami i pracownikami uniwersytetu, na którym miał zostać przedstawiony „niemiecki punkt widzenia na sprawy nauki i szkoły akademickie”. Do zgromadzonych w Collegium Novum pracowników uczelni przemówił SS-Sturmbannführer Bruno Müller. Oświadczył on, że uniwersytet rozpoczął swą działalność bez pozwolenia władz policyjnych, w związku z czym wszyscy zebrani zostaną uwięzieni i przewiezieni do obozu, a uczelnia zamknięta. 13 stycznia 1940 roku krakowski arcybiskup kardynał Adam Sapieha zwrócił się do gubernatora Hansa Franka z prośbą o zwolnienie profesorów Wydziału Teologicznego. Wkrótce interweniował też Watykan i 8 lutego większość uwięzionych została zwolniona. Dalsze protesty międzynarodowej opinii publicznej i interwencja władz kilku państw neutralnych spowodowały w 1940 roku zwolnienie 102 więźniów w wieku ponad 40 lat; warunki życia obozowego spowodowały śmierć wielu uczonych w obozie lub bezpośrednio po zwolnieniu. Władysław Bartoszewski trafił do obozu koncentracyjnego Auschwitz jako jeden z 20 tysięcy Polaków represjonowanych w tzw. Akcji AB (Auserordentliche Befriedungsaktion - nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna), przeprowadzanej w Generalnym Gubernatorstwie. Akcja trwała od maja do września 1940 roku, zamordowano w jej ramach około 3500 osób, a

kilkanaście tysięcy trafiło do różnego typu więzień i obozów, najwięcej do Oświęcimia (przyp. A.Ż.).]. Czternaście miesięcy później żyjący jeszcze naukowcy zostali zwolnieni, niemal na pewno na skutek nacisków międzynarodowych, w tym ze strony wysłanników papieża.

W tym czasie obóz w Oświęcimiu rozpoczynał kolejny etap swojego rozwoju w wyniku „wizji” następnego Niemca, która miała zaważyć na przyszłości obozu. Doktor Otto Ambros z przedsiębiorstwa I.G. Farben, przemysłowego giganta, szukał na wschodzie odpowiedniego miejsca na fabrykę kauczuku syntetycznego. Miejsca tego musiał szukać dlatego, że wojna przybrała nieco inny obrót, niż oczekiwali hitlerowscy przywódcy. Kiedy w maju 1940 roku Himmler wyobrażał sobie, że Żydów będzie można wysiedlić do Afryki, ponieważ wojna wkrótce się skończy, I.G. Farben nie uważało za konieczne rozpoczynania drogiej i kłopotliwej produkcji kauczuku syntetycznego i paliw. Kiedy wojna się skończy - powiedział jesienią 1940 roku - spoza Niemiec obficie napłyną odpowiednie surowce, w tym z nowych niemieckich kolonii.

Ale w listopadzie 1940 roku widać było jak na dłoni, że wojna nie skończy się szybko. Churchill odmówił zawarcia odrębnego traktatu pokojowego, a RAF odparł niemieckie ataki powietrzne podczas Bitwy o Anglię. Po raz kolejny niemieccy strategowie musieli zareagować na niespodziewaną sytuację. W istocie powtarzającym się tematem tej opowieści jest sposób, w jaki hitlerowscy przywódcy wielokrotnie musieli stawić czoło wydarzeniom, które nie przebiegały zgodnie z ich oczekiwaniami. Hitlerowcami zawsze kierowała wielka ambicja i optymizm - wszystko można osiągnąć wyłącznie dzięki „woli” - a potem zatrzymywał ich brak zdolności przewidywania i planowania albo przeciwnik, który okazywał się znacznie silniejszy, niż przewidywali zaślepieni wiarą we własną potęgę.

W I.G. Farben plany rozbudowy, które odłożono wcześniej na półkę, oczekując bliskiego końca wojny, w pośpiechu odnaleziono i zaczęto wprowadzać w życie. I.G. Farben, mimo że nie było przedsiębiorstwem znacjonalizowanym, starało się zaspokoić potrzeby i żądania państwa hitlerowskiego. Plan czteroletni wymagał zbudowania fabryki buni - kauczuku syntetycznego - na wschodzie i teraz, po długich dyskusjach, I.G. Farben zdecydowało się wybudować fabrykę na Śląsku \* [\*Zob. też Peter Hayes, „Industry and Ideology - I.G. Farben in the Nazi Era”, Cambridge University Press 1987, s. 347-364.]. Kauczuk syntetyczny miał być produkowany z węgla w procesie uwodornienia, podczas którego wodór przepuszczano nad węglem w wysokiej temperaturze. Fabryka produkująca bunę nie mogła funkcjonować bez wapna, wody i, co najważniejsze, węgla. Rozważane miejsca budowy musiały obfitować w odpowiednie surowce. Dodatkowo I.G. Farben

nalegało, by na terenie wokół przyszłej fabryki istniała rozwinięta infrastruktura transportowa i mieszkalna.

Spędziwszy wiele czasu nad mapami i planami, Otto Ambros uznał, że odpowiednie miejsce dla nowej fabryki buni, budowanej przez I.G. Farben, znalazł około pięciu kilometrów na wschód od obozu w Oświęcimiu. Jednak bliskość obozu nie była najważniejszym czynnikiem przy podejmowaniu decyzji o umieszczeniu fabryki buni w Oświęcimiu. I.G. Farben było raczej zainteresowane zatrudnieniem w fabryce przybywających ze wschodu Niemców i nie chciało korzystać wyłącznie z pracy niewolniczej.

Himmler, jako komisarz Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny, zdawał sobie sprawę z tego, że I.G. Farben potrzebuje niemieckich repatriantów, i ochoczo zajął się dostarczeniem ich na miejsce. Znalezienie domów dla przybywających robotników nie nastęrczało trudności. Niemieckie władze Oświęcimia z zadowoleniem „wyprowadziły” \* [\*Dokument Ambrosa cytat [w:] *ibid.*, s. 349.] mieszkających w mieście Polaków i Żydów, żeby zrobić miejsce dla Niemców.

Natomiast Himmler jako Reichsführer SS odnosił się do budowy fabryki I.G. Farben ze znacznie mniejszym entuzjazmem. Dotychczas dbał o to, żeby więźniowie w obozach koncentracyjnych pracowali tylko dla przedsiębiorstw należących do SS. Precedensowa sytuacja, w której więźniowie mieli pracować dla firmy prywatnej - a zarobione przez nich pieniądze trafiać do kasy państwa hitlerowskiego zamiast do SS - napełniała Himmlera niechęcią. Mimo że SS mogło zarabiać, sprzedając I.G. Farben żwir, Himmler na pewno miał znacznie większe ambicje, których jego przedsiębiorstwa SS nie mogły w istniejącym układzie spełnić. Ale Göring, pełniący obowiązki szefa czteroletniego planu gospodarczego, nalegał, żeby I.G. Farben budowało w wybranym miejscu, i Himmler musiał się z tą decyzją pogodzić \* [\*Zob. też Franciszek Piper, „Eksploracja pracy więźniów” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 2, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.].

Zainteresowanie I.G. Farben podniosło rangę Oświęcimia z mało ważnego obozu - niemal bez znaczenia - do potencjalnie jednego z najważniejszych elementów systemu obozów prowadzonych przez SS. Oznaką tej zmiany w statusie obozu była decyzja Himmlera, by 1 marca 1941 roku po raz pierwszy odwiedzić Oświęcim.

W swoich wspomnieniach i podczas przesłuchań po wojnie Höss dokładnie opisał tę wizytę, w czasie której Himmler zupełnie poddał się swoim skłonnościom do megalomanii. Jeśli listopadowe wizje Himmlera o Oświęcimiu jako ośrodku badań rolniczych były po prostu ambitne, to jego marzenia w marcu sięgnęły absolutnych wyżyn. Z werwą oświadczył,



że liczba więźniów musi zostać zwiększona z 10 000 do 30 000. Gauleiter - administracyjny zarządca Górnego Śląska - Fritz Bracht, który towarzyszył Himmlerowi w czasie wizyty, zgłosił swoje zastrzeżenia do tak szybkiej rozbudowy obozu. Inny miejscowy urzędnik wtrącił się, wygłaszając powszechnie przyjętą opinię, że problemy zalewania terenów wokół obozu nie zostały rozwiązane. Himmler powiedział urzędnikom, że mają zasięgnąć porady ekspertów i samodzielnie rozwiązać te problemy. Dyskusję zamknął słowami: „Rozbudowę należy przyspieszyć wszelkimi środkami. [...] Nie uznaję trudności w Oświęcimiu” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 276 oraz przesłuchanie Hössa przez Jana Sehna, Kraków 8/11/46, 7/11/1946 IPN NTN 103.]

Mimo swojej służalczości wobec Himmlera, Höss tak obawiał się trudności przy wprowadzaniu w życie nowej wizji swojego pana, że zaczekał, aż znajdzie się sam na sam w samochodzie z Himmlerem oraz Wyższym Dowódcą SS i Policji na Śląsku Erichem von dem Bach-Zelewskim, i dopiero wtedy rozpoczął litanię skarg; brakowało mu materiałów budowlanych, brakowało ludzi, brakowało czasu, brakowało mu wszystkiego. Himmler zareagował w dający się przewidzieć sposób: „Nie chcę więcej słyszeć o trudnościach! - odpowiedział. - Dla oficera SS nie istnieją trudności! Kiedy się pojawiają, jego zadaniem jest je pokonać. Jak tego dokonacie, to wasza sprawa, nie moja”.

Znacząca w tej wymianie zdań jest nie tyle reakcja Himmlera na narzekania Hössa, ile raczej to, że Höss w ogóle odważył się tak rozmawiać z przywódcą SS. W systemie sowieckim każdy, kto w taki sposób rozmawiał ze Stalinem bądź Berią (szefem tajnej policji NKWD, który był odpowiednikiem Himmlera w Moskwie), ryzykował życie. Może się to wydawać dość dziwne, ale reżim hitlerowski tolerował znacznie więcej wewnętrznej krytyki niż komunistyczny. Był to jeden z powodów, dla których Trzecia Rzesza była bardziej dynamicznym z tych dwóch reżimów: funkcjonariusze niższych szczebli mogli swobodnie wykazywać się inicjatywą i zgłaszać swoje opinie. W przeciwieństwie do większości zbrodniarzy stalinowskich, Höss nigdy nie działał ze strachu przed straszliwą zemstą za niewykonanie rozkazu. Wstąpił do SS, ponieważ szczerze wierzył w ogólną wizję niemieckiego faszysty, a to oznaczało, że czuł się upoważniony do krytykowania szczegółów wprowadzania tej wizji w życie. Należał do najlepszego rodzaju podwładnych, którzy wykonują swoją pracę nie dlatego, że im tak kazano, ale dlatego że wierzą w to, co robią.

Oczywiście, brak obawy przed krytykowaniem przełożonych w sprawach małej wagi nie oznaczał, że można było w ten sposób cokolwiek osiągnąć. I skarżąc się Himmlerowi, Höss nic nie osiągnął. Roztaczana przez Himmlera wizja rozbudowy obozu koncentracyjnego

w Oświęcimiu miała i tak zostać wprowadzona w życie. Jak ponuro konkludował Höss: „Reichsführer zawsze wolał słuchać pomyślnych raportów niż niepomyślnych”.

Zainspirowany decyzją I.G. Farben, żeby fabrykę buni zbudować w Oświęcimiu, Himmler nie ograniczał ambitnych planów do samego obozu, ale rozszerzał swoją wizję również na miasto i jego okolice. W czasie narady planistycznej w Katowicach, 7 kwietnia, przedstawiciel Himmlera oznajmił: „Głównym celem Reichsführera jest stworzenie wzorowego obszaru wschodniego osadnictwa - szczególną uwagę należy zwrócić na osiedlanie tutaj niemieckich mężczyzn i kobiet mających duże kwalifikacje zawodowe” \* [\*Protokół zebrania założycielskiego I.G. Farben-Auschwitz 7 kwietnia 1941. Deborah Dwork i Robert Jan van Pelt „Auschwitz 1270 to the Present”, WW Norton and Company 1996, s. 211.]. Nakreślono plany nowego, niemieckiego Oświęcimia zamieszkanego przez 40 000 mieszkańców i plany te miano realizować równolegle z rozbudową pobliskiego obozu koncentracyjnego.

Mniej więcej w tym czasie Höss zaczął również zdawać sobie sprawę z ewentualnych korzyści, jakie może przynieść współpraca z I.G. Farben. Protokół spotkania z 27 marca 1941 roku \* [\*I.G. Farben „Raport na temat zebrania z komendantem obozu koncentracyjnego pod Oświęcimiem 27.3.1941 o 15.00”, Nuremberg Trial Files, dokument 15148. Oraz raport SS z tego samego spotkania.] pomiędzy kierownictwem obozu a przedstawicielami I.G. Farben pokazuje, jak bardzo zależało mu na wykorzystaniu firmy do osiągnięcia korzyści dla obozu. Kiedy jeden z inżynierów z I.G. Farben zapytał, ilu więźniów będzie mogło pracować w nadchodzących latach, „Sturmbannführer Höss zwrócił uwagę na trudności w zakwaterowaniu dostatecznej liczby więźniów obozu koncentracyjnego w Auschwitz, szczególnie ze względu na niemożność budowania baraków tak szybko, jak jest to możliwe”. Przeszkadzał w tym, jak poinformował Höss, brak surowców budowlanych. Oczywiście była to ta sama trudność, o której przedtem opowiadał Himmlerowi i którą jeszcze wcześniej starał się rozwiązać sam, jeżdżąc po okolicy i podkradając drut kolczasty. Höss argumentował, że jeśli I.G. Farben pomoże „przyśpieszyć rozbudowę obozu, będzie to ostatecznie we własnym interesie koncernu, ponieważ tylko w ten sposób stanie się możliwe sprowadzenie do pracy dostatecznej liczby więźniów”. Najwyraźniej Höss znalazł w końcu słuchaczy, którzy życzliwie przysłuchiwali się jego skargom, ponieważ panowie z I.G. Farben zgodzili się „podjąć kroki mające na celu sprawdzenie, czy pomoc obozowi jest możliwa”.

W czasie tego samego spotkania I.G. Farben zgodziło się płacić codziennie „ryczałtową” sumę 3 marek niemieckich za niewykwalifikowanego robotnika i 4 marek za wykwalifikowanego, a „wydajność [jednego więźnia obozu]” była „szacowana na 75 procent

wydajności zwykłego niemieckiego robotnika”. Osiągnięto również porozumienie co do ceny, jaką I.G. Farben miało płacić za metr sześcienny żwiru wydobytego przez więźniów z pobliskiej rzeki Soły. Ogólnie mówiąc, „całość negocjacji przebiegła w atmosferze serdecznej harmonii. Obie strony kładły nacisk na swoją gotowość do udzielania sobie w miarę możliwości wzajemnej pomocy”.

Mimo dalekosiężnego charakteru oświęcimskich planów Himmlera i I.G. Farben, skalą przewyższały je decyzje, które rozważano w tym czasie, na wiosnę 1940 roku, wśród hitlerowskich planistów w Berlinie. Od kilku miesięcy oficerowie sztabu generalnego niemieckich sił zbrojnych opracowywali plan napaści na Związek Radziecki - pod kryptonimem „Barbarossa”. W czasie spotkania w Berghofie jeszcze w lipcu 1940 roku Hitler obwieścił swoim dowódcom wojskowym, że najlepszym sposobem na szybkie zakończenie wojny było zniszczenie Związku Radzieckiego.

Ta decyzja zaważyła na losach wojny - a nawet na całej historii Europy aż do końca dwudziestego wieku. W wyniku najazdu miało stracić życie 27 milionów radzieckich obywateli - to największe straty odniesione przez jakikolwiek naród w historii w czasie jednego konfliktu. Wojna ta miała być również tłem dla wprowadzania w życie hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania” - eksterminacji Żydów. Nie można więc zrozumieć sposobu, w jaki miał się rozwinąć obóz w Oświęcimiu, bez rozpatrywania tych zmian w kontekście zarówno planu „Barbarossa”, jak i biegu wojny tego lata i jesieni. Co więcej, od tego momentu aż do popełnienia przez Hitlera samobójstwa 30 kwietnia 1945 roku postęp - a w zasadzie jego brak - wojny na wschodzie miał zdominować sposób myślenia agresora.

Hitlerowcy wierzyli, że nie była to wojna z „cywilizowanymi” narodami zachodu, ale walka na śmierć i życie z żydokomunistycznymi „podludźmi”. Dlatego Franz Halder, szef sztabu generalnego wojsk lądowych, zapisał w swoim dzienniku w marcu 1941 roku: „W wielkiej Rosji siła musi zostać użyta w najbardziej brutalnej formie” oraz: „Stworzona przez Stalina inteligencja musi zostać wytępiona”.

Takie nastawienie oznaczało, że planiści gospodarczy mogli zaproponować wyniszczające rozwiązanie problemu wyżywienia armii niemieckiej podczas najazdu na Związek Radziecki. W dokumencie z 2 maja 1941 roku zarząd kwatermi-strzowski Wehrmachtu postanawia, że „cała niemiecka armia” ma być „żywiona na koszt Rosji”. Konsekwencje tego postanowienia były jasne: „W rezultacie miliony ludzi niewątpliwie umrą z głodu, jeśli zarekwirujemy wszystko, co nam będzie potrzebne” \* [\*Protokół spotkania z 2 maja 1941, Nuremberg Trial Files, t. 31, s. 84, dokument 2718-PS.].

Trzy tygodnie później, 23 maja 1941 roku, w tym samym kwatermistrzostwie powstał jeszcze bardziej radykalny dokument, zatytułowany „Polityczno-gospodarcze wytyczne organizacji gospodarczej «Wschód»„. W dokumencie tym napisano, że rosyjskie zasoby miały nie tylko posłużyć żywieniu armii niemieckiej, ale również zaopatrzeniu całej kontrolowanej przez hitlerowców Europy. W rezultacie możliwa była głodowa śmierć 30 milionów ludzi w północnej części Związku Radzieckiego \* [”Political-economic guidelines” Nuremberg Trial Files, t. 36, s. 135-137.].

Niedawne badania historyczne dowiodły, że tak szokujące dokumenty nie przedstawiają toku myślenia wynikłego z konieczności. W ruchu hitlerowskim istniał pogląd, że taka redukcja populacji była ekonomicznie uzasadniona. Działając według teorii „optymalnego zaludnienia”, hitlerowscy planiści studiowali dany obszar i określali - po prostu na podstawie liczby mieszkających tam ludzi - czy przyniesie on zysk, czy stratę. Na przykład, niemiecki ekonomista Helmut Meinhold w Instytucie Niemieckiego Rozwoju na Wschodzie obliczył w 1941 roku, że 5,83 miliona Polaków (w tym starców i dzieci) było niepotrzebnym „nadmiarem” \* [\*Zob. też Aly i Susanne Heim, „Architects of Annihilation”, Weidenfeld and Nicolson 2002, s. 63-64.]. Istnienie tej nadmiarowej ludności oznaczało „rzeczywistą erozję kapitału”. Ludzie wchodzący w skład tej nadmiarowej ludności byli określani mianem *Ballastexistenzen* (dosłownie „jednostki obciążające”).

Na tym etapie ekonomiści tego pokroju nie doprowadzili swoich rozważań do logicznego końca - nie wzywali do fizycznej eksterminacji *Ballastexistenzen* w Polsce. Planiści ci zdążyli jednak zauważyć, w jaki sposób Stalin dawał sobie radę z podobnymi nadmiarami ludności w Związku Radzieckim. Na Ukrainie podczas trwającej w latach trzydziestych akcji wysiedlania kułaków i kolektywizacji pozostałych chłopów zginęło około dziewięciu milionów ludzi.

Taki sposób myślenia umożliwiał intelektualne uzasadnienie ofiar wśród ludności cywilnej, których oczekiwano w czasie niemieckiego natarcia w głąb Związku Radzieckiego; fakt, że „30 milionów ludzi” miało umrzeć głodową śmiercią, przyniosłoby nie tylko bezpośrednie korzyści nacierającej armii niemieckiej, ale również długofalowe korzyści narodowi niemieckiemu. Mniej ludzi do wyżywienia w Związku Radzieckim nie tylko oznaczało, że można było więcej żywności wysyłać na zachód mieszkańcom Monachium czy Hamburga, ale również ułatwiłoby późniejszą germanizację podbitych terytoriów. Himmler już zauważył, że większość polskich gospodarstw rolnych była za mała, aby utrzymać rodzinę niemieckich właścicieli, a teraz, jak zapewne sądził, śmierć głodowa wielu ludzi miała ułatwić utworzenie olbrzymich niemieckich majątków na terenie Związku Radzieckiego. Tuż

przed rozpoczęciem najazdu Himmler zwierzył się swoim towarzyszom podczas weekendowego przyjęcia: „Celem kampanii rosyjskiej [jest] zdziesiątkowanie ludności słowiańskiej do 30 milionów” \* [*Ibid.*, s. 237.].

Łatwo zauważyć, że perspektywa wojny ze Związkiem Radzieckim zrodziła w umysłach hitlerowskich przywódców najbardziej radykalne pomysły. Kiedy Hitler w liście zawiadamiał Mussoliniego o zamiarze najazdu na Związek Radziecki, wyznał, że czuje się „duchowo wolny”. Ta „duchowa wolność” polegała na zdolności do działania podczas konfliktu w sposób całkowicie dowolny. Jak napisał w swoim dzienniku Goebbels 16 czerwca 1941 roku: „Führer mówi, że musimy odnieść zwycięstwo, nieważne, czy postępujemy dobrze czy źle. Odpowiedzialność jest zbyt wielka...”.

Już na etapie planów tej wojny było również jasne, że Żydzi mieszkający w Związku Radzieckim mieli szczególnie ucierpieć. Hitler, w mowie wygłoszonej w Reichstagu 30 stycznia 1939 roku, otwarcie wiązał przyszłą wojnę z eliminacją Żydów: „Dzisiaj znowu chcę być prorokiem: jeśli międzynarodowej żydowskiej finansjerze w Europie i poza nią jeszcze raz uda się pogrążyć narody w światowej wojnie, rezultatem będzie nie bolszewizacja świata i w konsekwencji zwycięstwo żydostwa, ale unicestwienie rasy żydowskiej w Europie!” \* [*Ian Kershaw, „Hitler, 1936-1941, nemezis”, przeł. Przemysław Bandel, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002, s. 134.*]. Hitler użył terminu „bolszewizacja” właśnie po to, żeby zwrócić uwagę na podstawowy związek w faszystowskiej teorii ras pomiędzy komunizmem i judaizmem. W jego umyśle Związek Radziecki był kwaterą główną bolszewicko-żydowskiego spisku. Nie było ważne, że Stalin sam nie ukrywał antysemickich skłonności. W świecie faszystowskich fantazji Żydzi w tajemnicy pociągali za sznurki całego stalinowskiego imperium.

Aby stawić czoło wymagowanemu zagrożeniu ze strony radzieckich Żydów, utworzono cztery tzw. oddziały specjalne (Einsatzgruppen). Podobne oddziały służby bezpieczeństwa i policji bezpieczeństwa działały również zaraz po anszlu-sie Austrii i najeździe na Polskę. Ich zadaniem był podążanie tuż za linią frontu i „niszczenie wrogów państwa”. W Polsce Einsatzgruppen wykonywały operacje terrorystyczne, w czasie których zostało zamordowanych ponad piętnaście tysięcy Polaków - głównie Żydów i inteligentów. Liczba ta jednak wydaje się mała w porównaniu z wynikami działań Einsatzgruppen w Związku Radzieckim.

Zabójcze wyniki działań Einsatzgruppen były niewspółmierne do ich rozmiarów. Einsatzgruppe A, dołączona do Grupy Armii „Północ”, była największa ze wszystkich i

liczyła tysiąc ludzi. Inne Einsatzgruppen (B, C i D) dołączone do innych grup armii liczyły od sześciuset do siedmiuset ludzi.

Tuż przed rozpoczęciem najazdu dowódcy Einsatzgruppen uczestniczyli w odprawie, na której Heydrich poinformował ich o zadaniach do wykonania. Zostały wydane rozkazy, które potem złożyły się na dyrektywę z 2 lipca 1941 roku, gdzie określono, że zadaniem Einsatzgruppen było zabijanie polityków komunistycznych, komisarzy politycznych oraz „Żydów służących partii i państwu”. Hitlerowska obsesja na punkcie związku pomiędzy żydostwem i komunizmem została otwarcie wyrażona w dyrektywie Heydricha.

W pierwszych dniach najazdu każda z Einsatzgruppen wkroczyła na teren Związku Radzieckiego tuż za kolumnami armii niemieckiej. Postęp operacji był błyskawiczny i już 23 czerwca - po jednym dniu ofensywy - Einsatzgruppe A, dowodzona przez generała policji i SS-Brigadeführera dr. Walthera Stahleckera, wkroczyła do Kowna na Litwie.

Natychmiast po przybyciu do Kowna oddział rozpoczął działania skierowane przeciwko mieszkającym tam Żydom. Co ważne, dyrektywa Heydricha zawierała następujące słowa: „Nie podejmować żadnych kroków mogących zakłócić pogromy zainspirowane przez elementy antykomunistyczne i antyżydowskie na okupowanych terytoriach. Przeciwnie, udzielać im skrycie poparcia” \* [\*Mówił o tym rozkaz nr 2 Heydricha z 1 lipca 1941 roku, skierowany do dowódców czterech Einsatzgruppen (przyp. A.Ż.)]. Z tego polecenia wynika, że zabijanie „Żydów służących partii i państwu” było tylko absolutnym minimum, którego wymagano od Einsatzgruppen. Jak napisał w późniejszym raporcie Stahlecker: „Zadaniem tajnej policji było sprowokowanie pogromów i kierowanie nimi tak, żeby wyznaczone cele likwidacyjne zostały osiągnięte w jak najkrótszym czasie” \* [\*Ernst Klee, Willi Dressen i Volker Riess, „Those were the days”, Hamish Hamilton 1991, s. 179.].

W Kownie, pod przychylnym okiem oddziału Einsatzgruppe A, wypuszczeni z miejscowego więzienia Litwini tłukli na śmierć Żydów na ulicach. Niektórzy ludzie stojący w tłumie, który zebrał się, by oglądać te morderstwa, krzyczeli „bij Żydów”, żeby zachęcić oprawców. Kiedy wszystkich zabito, jeden z morderców wszedł na stos ciał, wyjął akordeon i zagrał litewski hymn narodowy. Właśnie takie zachowania mieli, niewątpliwie, według Heydricha inspirować jego ludzie.

Zazwyczaj działające poza dużymi miastami Einsatzgruppen wykonywały swoje zadania polegające na wyszukiwaniu „Żydów służących partii i państwu” i zabijaniu ich. W praktyce często oznaczało to zabicie wszystkich żydowskich mężczyzn w danej wsi. Przecież zgodnie z hitlerowską teorią w Związku Radzieckim nie było Żydów nie „służących partii i państwu”.

Kiedy Einsatzgruppen i sprzymierzone z nimi jednostki SS zabijały radzieckich Żydów, regularne oddziały armii niemieckiej również brały udział w zbrodniach wojennych. W ramach okrytego złą sławą systemu dekretów i komisarzy bez sądu mordowano partyzantów. Brano krwawy odwet na ludności cywilnej, a radzieckich oficerów politycznych - komisarzy wojennych - zabijano, kiedy dostawali się do niewoli. Właśnie w wyniku niemieckiego postępowania z komisarzami obóz w Oświęcimiu miał po raz pierwszy odegrać rolę w tej wojnie.

Co było nieuniknione, część komisarzy prześlizgiwała się przez wstępną selekcję i dostawała się do obozów jenieckich. Zgodnie z porozumieniem zawartym z SS armia niemiecka zezwalała ludziom Heydricha wkraczać do obozów i dokonywać dalszych selekcji. Powstawał problem, dokąd zabierać wykrytych w ten sposób komisarzy. Z punktu widzenia hitlerowców nie najlepszym rozwiązaniem było zabijanie ich na oczach towarzyszy; właśnie dlatego w lipcu 1941 roku kilkuset komisarzy znalezionych w obozach jenieckich przewieziono do Oświęcimia.

Od momentu kiedy więźniowie ci przybyli do obozu, byli traktowani inaczej niż inni. Trudno w to uwierzyć - biorąc pod uwagę cierpienia, jakie zadawano więźniom w obozie - ale nowa grupa była traktowana jeszcze gorzej. Jerzy Bielecki dowiedział się o tym traktowaniu, zanim jeszcze zobaczył nowych więźniów. „Słyszeliśmy krzyki - opowiada. - To było straszne wycie, jęki i wrzaski”. Razem z przyjacielem dostali się w pobliże żwirowni na obrzeżach obozu i zobaczyli radzieckich więźniów. „Kapo wie tłukli ich niemiłosiernie, kopali, bili; przewracali się oni tam z tymi taczkami. No, makabryczna scena. Takiej sceny nigdy w życiu nie widziałem, no i później jeszcze, później... w dalszych swoich... prawda... mimo że przebywałem jeszcze w obozie długo”. Kapo bili pracujących komisarzy pałkami, zachęceni przez przyglądających się temu esesmanów, którzy krzyczeli: „Dalej, chłopcy! Walcie ich!”.

Jeszcze bardziej wstrząsnęło Jerzym Bieleckim to, co ujrzał później: „Stało czterech czy pięciu esesmanów z pistoletami. Każdy, który miał pistolet, ładował go co jakiś czas, spoglądał w dół i strzelał do wykopu. Mój kolega powiedział wtedy: «Co ten skurwysyn robi?». A potem zobaczyliśmy, że kapo bije pałką umierającego człowieka. Mój kolega był w wojsku i powiedział: «Przecież to są jeńcy wojenni. Oni mają prawa!». Mimo to zabijali ich podczas pracy”. W taki sposób w lecie 1941 roku wojna na froncie wschodnim - wojna bez zasad - zaznaczyła swą obecność w obozie w Oświęcimiu.

Mordowanie radzieckich komisarzy było, rzecz jasna, tylko jedną z wielu funkcji obozu oświęcimskiego w tamtym czasie. Obóz był wciąż przede wszystkim miejscem, gdzie

prześladowano i terroryzowano więźniów - Polaków. Starając się, by jego instytucja jak najlepiej wykonywała swoje zadania w służbie hitlerowskiego państwa, Höss musiał stawić czoło kolejnemu problemowi - ucieczkom. W 1940 roku uciekać próbowały tylko 2 osoby, ale liczba ta skoczyła do 17 w 1941 roku (i wciąż miała rosnać, w 1942 roku do 173 osób, w 1943 do 295, a w 1944 do 312) \* [\*Zob. Henryk Świebocki, „Ucieczki z obozu” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 4, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.].

Höss przez cały czas spędzony na stanowisku komendanta obozu narzekał na częste ucieczki więźniów. Ponieważ w pierwszych latach istnienia obozu przeważającą część więźniów stanowili Polacy, a okoliczna ludność była im przyjazna, zbiegowi, który zdołał umknąć strażnikom, łatwo było uniknąć pogoni i zniknąć wśród burzliwych ruchów ludności przenoszonej z miejsca na miejsce. Ponieważ wielu więźniów pracowało w ciągu dnia poza obozem, nie trzeba było nawet przekraczać ogrodzenia z drutu pod prądem, które otaczało obóz. Wystarczyło tylko pokonać jedną przeszkodę, którą było zewnętrzne ogrodzenie - łańcuch posterunków „Grosse Postenkette”.

Polityka Hössa wobec ucieczek była prosta - brutalny odwet. Jeśli hitlerowcy nie złapali zbiega, więzili jego rodzinę. Wybierali również dziesięciu więźniów z bloku, gdzie mieszkał, i zabijali ich w przemyślny, sadystyczny sposób. Roman Trojanowski był świadkiem trzech takich selekcji w 1941 roku, po tym jak z jego bloku uciekali inni więźniowie. „Lagerführer i inni patrzyli więźniom w oczy i wybierali - wspomina. - Oczywiście ci, którzy wyglądali najgorzej, którzy byli najslabsi, mieli największe szansę na wybranie. Nie pamiętam, o czym myślałem podczas selekcji. Nie chciałem tylko patrzeć im w oczy - to mogło być niebezpieczne. Najlepiej stać prosto, wtedy cię nie zauważą. A kiedy Fritzsch zatrzymywał się przy kimś i wskazywał palcem, nie było dokładnie widać, na kogo pokazuje, i wtedy serce przestawało bić na chwilę”.

Roman Trojanowski wspomina jedną selekcję, która dawała dobre wyobrazenie o mentalności Karla Fritzscha, Lagerführera: „Podczas selekcji Fritzsch zauważył człowieka, który stał niedaleko ode mnie i drżał na całym ciele. Zapytał go: «Dlaczego się trzęsiesz?». A ten przez tłumacza odpowiedział: «Trzęsę się ze strachu. Mam w domu kilkoro małych dzieci i chcę je odchowić, nie chcę umierać». A Fritzsch odpowiedział: «Uważaj, żeby to się nie powtórzyło, bo jeśli tak, to wyślę cię tam». Mówiąc to, wskazał na komin krematorium. Ten człowiek nie rozumiał, bo widząc gest Fritzscha, wystąpił z szeregu. A tłumacz powiedział: «La-gerführer cię nie wybrał, wracaj». Ale Fritzsch rzekł: «Zostaw go. Skoro wystąpił, było mu to pisane»,,



Wybrani w ten sposób więźniowie byli zabierani do piwnicy w bloku 11 i zamykani w celi, gdzie czekała ich śmierć głodowa. Był to proces powolny i pełen męczarni - Roman Trojanowski dowiedział się, że człowiek, którego znał, zaczął jeść własne buty po ponad tygodniu spędzonym w celi głodowej.

Ale w lecie 1941 roku cęła głodowa stała się sceną historii, która może być źródłem pocieszenia dla tych, co wierzą w ludzką zdolność do przeciwstawienia się cierpieniu. Maksymilian Kolbe, ksiądz rzymskokatolicki z Warszawy, uczestniczył w selekcji po tym, jak jeden ze współwięźniów uciekł z jego bloku. Stojący obok niego mężczyzna, Franciszek Gajowniczek, został wybrany przez Fritzscha, ale zaczął wołać, że ma żonę i dzieci i chce żyć. Kolbe usłyszał to i zgłosił się dobrowolnie na jego miejsce. Fritzsch zgodził się, podobnie jak wyznaczony przedtem na śmierć współwięzień. Po dwóch tygodniach przy życiu pozostało tylko czterech wybranych - wśród nich Kolbe. Zostali ostatecznie zagłodzeni na śmierć.

Kolbe został kanonizowany przez polskiego papieża Jana Pawła II w 1982 roku. Jego biografia wywołała pewne kontrowersje z tego powodu, że publikowane przez Kolbego przed wojną pismo \* [\*Chodzi o wydawany w Niepokalanowie przez franciszkanów miesięcznik „Rycerz Niepokalanej” (przyp. A.Z.).] drukowało pewną ilość antysemitckich materiałów. Niezaprzeczalna pozostaje natomiast jego odwaga, którą okazał, poświęcając swoje życie za życie innego człowieka.

W tym samym miesiącu - lipcu 1941 roku - seria decyzji podjętych setki kilometrów od Oświęcimia sprawiła, że obóz stał się jeszcze bardziej upiornym miejscem. Oświęcimscy więźniowie mieli bowiem być w najbliższej przyszłości zabijani gazem - ale nie w sposób, który okrył w końcu obóz ponurą sławą. Przybyła do niego komisja selekcyjna programu eutanazji dorosłych. Hitlerowski program eutanazji dorosłych miał swoje źródło w dekreście Hitlera z listopada 1939 roku, który zezwalał lekarzom na selekcję przewlekłe chorych psychicznie oraz niedorozwiniętych umysłowo i na ich mordowanie. Początkowo wykorzystywano w tym celu zastrzyki trucizny, ale później preferowaną metodą było stosowanie tlenu węgla w butlach. Komory gazowe, zaprojektowane tak, by wyglądały jak łaźnie, budowano w specjalnych ośrodkach śmierci - zazwyczaj w byłych szpitalach psychiatrycznych.

Na kilka miesięcy przed wydaniem dekretu o eutanazji w listopadzie 1939 roku Hitler zezwolił również na selekcję i mordowanie dzieci niepełnosprawnych. Czyniąc to, pozostawał wierny ponurej logice swojego ultradarwinistycznego poglądu na świat. Takie dzieci musiały stracić życie, ponieważ były słabe i osłabiały niemieckie społeczeństwo. A Hitler, jako

głęboki zwolennik rasistowskich teorii, obawiał się, że dzieci te będą mogły po wejściu w dorosłość rozmnażać się.

Dekret z listopada 1939 roku, który rozszerzał zakres programu eutanazji również na dorosłych, został antydatowany na 1 września 1939 roku - jeszcze jedna oznaka, że wojna była katalizatorem radykalizacji hitlerowskich nastrojów. Niepełnosprawni byli dla fanatycznych narodowych socjalistów jeszcze jednym przykładem *Ballastexistenzen*, teraz szczególnie obciążającym walczący kraj. Doktor Pfannemueller, jeden z lekarzy okrytych najgorszą sławą w programie eutanazji, wyraził swoje uczucia w następujący sposób: „Nie potrafię się pogodzić z myślą, że najlepsi z nas, kwiat naszej młodzieży, muszą ginąć na froncie po to, żeby niedorozwinięte i nieodpowiedzialne elementy społeczeństwa cieszyły się spokojnym życiem w szpitalu psychiatrycznym” \* [\*Robert Jay Lifton, „The Nazi Doctors”, Basic Books 1986, s. 63.].

Nie może dziwić, wzięwszy pod uwagę mentalność ludzi dokonujących eutanazji, że kryteria selekcji zależały nie tylko od tego, jak poważne było fizyczne lub psychiczne schorzenie, ale również od religii i cech etnicznych pacjenta. Tak więc Żydzi, pacjenci szpitali psychiatrycznych, byli wysyłani do komór gazowych bez żadnej selekcji, a na wschodzie te same drakońskie metody zostały wykorzystane do usunięcia wszystkich pacjentów z polskich szpitali psychiatrycznych.

Od listopada 1939 roku do maja 1940 roku w Prusach Zachodnich i Kraju Warty zamordowano około 10 000 pacjentów szpitali psychiatrycznych, wielu z nich przy użyciu nowej techniki - komory gazowej na kołach. Ofiary zapędzano do hermetycznie zamykanej komory na odpowiednio przebudowanej ciężarówce i duszono tlenkiem węgla z butli. Znaczący jest fakt, że oczyszczone w ten sposób z pacjentów szpitale były przeznaczane na miejsce zamieszkania dla repatriowanych Niemców.

Na początku 1941 roku kampania eutanazji dorosłych objęła również obozy koncentracyjne w ramach tak zwanej akcji 14f13. Program eutanazji dotarł do Oświęcimia 28 lipca. „Pewnego takiego wieczornego apelu powiedziano, że wszyscy chorzy, którzy są, mogą wyjechać stąd do takiego... na wyleczenie się z tych słabości i tak dalej, i mają się zgłaszać. Naturalnie, mówiono, że pojedą na wyleczenie się z tego. No i to taka... w obozie, jedni wierzyli - wspomina Kazimierz Smoleń \* [\* Wywiad dla BBC.], więzień polityczny przebywający wtedy w obozie. - Niektórzy więźniowie uwierzyli w to. Każdy ma przecież nadzieję. Ale ja nie byłem przekonany do dobrych chęci esesmanów”. Nie uwierzył w nie również Wilhelm Brasse, który posłuchał swojego kapo, niemieckiego komunisty,

opisującego własne domysły na temat losu chorych więźniów: „Powiedział nam, że w obozie w Sachsenhausen słyszał plotki, że ludzie byli zabierani ze szpitali po to, żeby zniknąć”.

Około pięciuset chorych więźniów - wśród nich wyselekcjonowani i ci, którzy zgłosili się dobrowolnie - zostało zabranych z obozu do czekającego pociągu. „To było pięćset siedemdziesiąt osób i oni, powiadam, szli jak jakiś żałobny pochód, bo to jedni szli, jednych nieśli na tragach - opowiada Kazimierz Smoleń. - To byli wszyscy wycieńczeni więźniowie. Tam nie było zdrowych żadnych. Pielęgniarki nieśli na noszach. To była straszna makabra. Taki pochód widm. No, smutny taki marsz, że tak powiem. Więźniowie stojący obok często żegnali się tam z krewnymi, znajomymi i tak dalej”.

Ku wielkiemu zadowoleniu więźniów dwóch najbardziej okrutnych kapo zostało włączonych do tego transportu, a jednym z nich był znenawidzony Krankemann. Po obozie krążyły plotki, że pokłócił się ze swoim protektorem, Lagerführerem Fritzschem. Obaj kapo - zgodnie z opinią Himmlera o tym, jaki los czeka kapo po powrocie do zwykłych więźniów - zostali najprawdopodobniej zamordowani w pociągu przed dotarciem do celu podróży. Wszyscy więźniowie, którzy opuścili wtedy obóz, zostali zamordowani - wysłano ich do komory gazowej w byłym szpitalu psychiatrycznym w Sonnenstein (Pirna). Pierwsi więźniowie z Oświęcimia, którzy zostali zagazowani, nie znaleźli więc śmierci w Oświęcimiu, ale zostali przetransportowani do ówczesnych Niemiec. Nie zostali również zamordowani dlatego, że byli Żydami, ale dlatego że nie mogli dłużej pracować.

Lato 1941 roku stanowiło nie tylko decydujący okres w historii obozu oświęcimskiego - doszło wtedy do mordów radzieckich jeńców i wprowadzono program eutanazji - był to również decydujący moment zarówno w wojnie ze Związkiem Radzieckim, jak i w rozwoju niemieckiej polityki wobec radzieckich Żydów. Z pozoru wojna przebiegała pomyślnie, Wehrmacht odnosił zwycięstwa nad Armią Czerwoną. Już 3 lipca 1941 roku Franz Halder napisał w dzienniku: „Prawdopodobnie nie pomylę się, jeśli powiem, że kampania rosyjska została wygrana w ciągu dwóch tygodni”. Ósmego lipca Goebbels zapisał podobne myśli w swoim dzienniku: „Nikt nie ma już wątpliwości, że odniesiemy w Rosji zwycięstwo”. W połowie lipca jednostki pancerne wdarły się na 600 kilometrów w głąb Związku Radzieckiego, a pod koniec miesiąca oficer radzieckiego wywiadu - na polecenie Berii - zwrócił się do bułgarskiego ambasadora w Moskwie z zapytaniem, czy byłby gotowy działać jako pośrednik, kiedy Związek Radziecki poprosi o pokój \* [\*Pełne omówienie nowych dokumentów na temat dyplomatycznej misji Pawła Sudopłatowa [w:] Robert Jay Lifton, „War of the Century”, BBC Books 1999, s. 53-55.].

Ale sytuacja na polach bitew była bardziej skomplikowana. Polityka głodzenia, tak ważna część strategii najazdu, oznaczała na przykład, że Wilno, stolica Litwy, miało na początku lipca zapasy żywności na dwa tygodnie. A Göring jasno przedstawił niemieckie zamiary, kiedy powiedział, że najeźdźcy mieli żywić tylko tych ludzi, którzy „wykonywali ważne zadania dla Niemiec” \* [\*Ulrich Herbert [red.], „National Socialist Extermination Policies”, Berghahn Books 2000, s. 257.]. Pozostawała również nierozwiązana kwestia rodzin żydowskich mężczyzn rozstrzelanych przez Einsatzgruppen. Były to kobiety i dzieci, których większość straciła swoich żywicieli i które pierwsze miały umrzeć z głodu. Na pewno nie wykonywały one „ważnych zadań dla Niemiec”.

W tym samym czasie w Polsce, w getcie łódzkim, przewidywano kryzys żywnościowy. W lipcu oficer SS Rolf-Heinz Hoepfner napisał do Eichmanna: „Tej zimy istnieje niebezpieczeństwo, że nie będziemy już mogli żywić Żydów. Trzeba się ucziwie zastanowić, czy najbardziej humanitarnym rozwiązaniem nie będzie wykończenie tych Żydów, którzy nie są zdolni do pracy, za pomocą jakiegoś szybko działającego środka. Na pewno będzie to łatwiej znieść, niż patrzeć, jak umierają z głodu”. (To znaczące, że Hoepfner pisze o konieczności zabicia Żydów „niezdolnych do pracy” - a nie wszystkich Żydów. Coraz częściej, od wiosny 1941 roku, hitlerowcy zaczęli rozróżniać Żydów, którzy byli użyteczni dla Niemców, i tych, którzy użyteczni nie byli - rozróżnienie to miało się potem przekształcić w niesławne „selekcje” w obozie w Oświęcimiu).

Pod koniec lipca 1941 roku Himmler wydał rozkazy, które miały rozwiązać kwestię Żydów uznawanych przez hitlerowców za „darmozjadów”, przynajmniej na terenach bezpośrednio za frontem wschodnim. Wzmocnił on Einsatzgruppen jednostkami kawalerii SS i batalionami policji. To gigantyczne zwiększenie liczebności miało swoje powody - polityka mordowania na wschodzie miała zostać rozszerzona również na kobiety i dzieci. Odpowiedni rozkaz dotarł do dowódców Einsatzgruppen w różnym czasie w ciągu następnych kilku tygodni, często przekazywany osobiście przez Himmlera podczas inspekcji pól śmierci. W połowie sierpnia wszyscy dowódcy morderczych oddziałów wiedzieli już o rozszerzeniu swoich obowiązków.

Był to bardzo ważny moment w historii polityki masowych mordów. Kiedy zdecydowano, że rozstrzeliwać należy również kobiety i dzieci, hitlerowskie prześladowania Żydów wkraczają w nową, odmienną fazę. Jak już widzieliśmy, niemal wszystkie hitlerowskie prześladowania Żydów podczas wojny prowadziły do ludobójstwa, a żydowskie kobiety i dzieci umierały już masowo w gettach i podczas nieudanej akcji wysiedlania w rejon wokół Niska. Teraz jednak było inaczej. Teraz hitlerowcy postanowili zbierać kobiety i dzieci

w jednym miejscu, kazać im się rozbierać, ustawiać w rzędzie przy specjalnie przygotowanym wykopie i rozstrzeliwać. Nie można udawać, że małe dziecko jest bezpośrednim zagrożeniem dla niemieckiego wysiłku wojennego, ale niemieccy żołnierze mieli teraz celować do małych dzieci i naciskać spust.

Wiele czynników złożyło się w tym decydującym momencie na zmianę sposobu postępowania wobec Żydów. Jak już widzieliśmy, jednym z ważnych uwarunkowań było to, że żydowskie kobiety i dzieci hitlerowcy uważali za „problem” - problem ten stworzyli sobie sami, zabijając żydowskich mężczyzn i głodząc ludność zamieszkującą tereny na wschodzie. Ale nie były to jedyne powody rozszerzenia zakresu ludobójstwa. W lipcu Hitler ogłosił, że na wschodzie ma powstać „niemiecki raj” - wynikało z tego, że w nowym niemieckim raju nie będzie miejsca dla Żydów. (I na pewno nieprzypadkowo Himmler wydał rozkaz zabijania kobiet i dzieci po kilku spotkaniach w cztery oczy z Hitlerem w lipcu - takiej decyzji nie można było podjąć wbrew woli Führera). Skoro oddziały śmierci już rozstrzeliwały żydowskich mężczyzn, z punktu widzenia hitlerowskiej ideologii logicznym krokiem wydawało się wzmocnienie Einsatzgruppen po to, żeby całkowicie „oczyściły” nowy niemiecki „rajski ogród”.

Hans Friedrich \* [\*Wywiad dla BBC.] służył w jednostce piechoty SS, która w lecie 1941 roku wykonywała na Ukrainie podobne operacje jak Einsatzgruppen. Wkroczywszy do wybranej wsi, esesmani możliwie wielu mieszkańców prosili o pomoc przy wypędzaniu Żydów z domów. Friedrich twierdzi, że nie napotymano przy tym oporu. „Oni [Żydzi] byli głęboko wstrząśnięci, przestraszeni, osłupiali i można było z nimi zrobić wszystko, co się chciało. Poddawali się losowi”. Żydów wypędzano ze wsi i ustawiano nad „szerokim i głębokim rowem. Musieli tak stać, a kiedy do nich strzelano, wpadali do rowu. Potem wszystko się powtarzało, raz za razem. Ktoś musiał zejść do rowu i sumiennie sprawdzić, czy wszyscy zostali zabici, ponieważ nigdy nie udawało się wszystkich śmiertelnie zranić pierwszą salwą. A jeśli któryś z nich nie był martwy i leżał ranny, to trzeba go było dobić z pistoletu”.

Friedrich przyznaje, że sam strzelał do leżących w takich rowach Żydów \* [\*Friedrich był przesłuchiwany przez policję w latach 1960. w związku ze swoimi czynami w czasie wojny, ale nie wniesiono przeciwko niemu oskarżenia. W czasie naszego wywiadu, mimo że przyznał się do udziału w egzekucjach Żydów, nie podał dokładnie miejsca popełnienia zbrodni. Ze względu na czas, który upłynął, oraz brak identyfikacji przez naoczego świadka, wydaje się nieprawdopodobne, by w sprawie karnej można było w niewątpliwy sposób udowodnić mu winę.]. Twierdzi, że „nie myślał o niczym”, kiedy patrzył na stojące przed nim

ofiary: „Myślałem tylko, celuj dokładnie, żeby trafić. Takie były moje myśli. Kiedy już się stoi tam z bronią gotową do strzału... pozostaje tylko jedno, spokojnie trzymać broń, żeby trafić. Nic więcej”. Nigdy nie miał wyrzutów sumienia z powodu popełnianych przez siebie mordów. Nigdy nie nawiedził go o nich koszmar, nigdy nie budził się w środku nocy dręczony wątpliwościami.

Dokumenty potwierdzają, że Friedrich służył w 1. Brygadzie Piechoty SS, która wkroczyła na teren Ukrainy 23 lipca. Mimo że Friedrich - z powodu upływającego czasu albo z obawy przed dalszym ujawnianiem swoich zbrodni - nie podaje szczegółowo, gdzie dokonywał mordów, archiwa potwierdzają, że jego brygada brała udział w wielu rzeziach w znanych z nazwy miejscach. Jedną z takich akcji przeprowadzono na zachodzie Ukrainy 4 sierpnia 1941 roku. Ponad tysiąc Żydów z okolicznych wsi zostało wypędzonych z domów i zgromadzonych w mieście Ostróg. Potem usłyszeli, jak przybywa SS. „Wczesnym rankiem przyjechały samochody i ciężarówki - opowiada Wasyl Waldemar \* [\*Wywiad dla BBC.], będący wtedy dwunastoletnim żydowskim chłopcem. - Mieli broń i psy”.

Otoczywszy miasto, esesmani zapędzili Żydów do pobliskiej wsi, gdzie znajdowała się poleć piaszczystej ziemi. „Wszyscy zdawali sobie sprawę, że zaraz nas rozstrzelają - wspomina Waldeman - ale SS nie mogło zabić takiej masy ludzi. Przybyliśmy tam o 10 [rano] i wszystkim nakazano usiąść. Było bardzo gorąco. Nie było wody ani jedzenia; ludzie oddawali mocz na ziemię. Coś strasznego. Ktoś powiedział, że woli zginąć od kuli, niż dalej tak siedzieć w upale. Ktoś zemdlął, a niektórzy umierali z samego strachu”.

Oleksy Mulewicz \* [\* Wywiad dla BBC.], mieszkaniec pobliskiej wsi, widział, co się potem stało. Wspiął się na dach stojącej niedaleko stodoły i był świadkiem, jak małe grupy od pięćdziesięciu do stu Żydów wyprowadzono z pola i nakazywano się im rozbierać. „Ustawili Żydów na brzegu rowu - mówi Mulewicz - a oficerowie kazali żołnierzom wybrać Żyda, do którego będą strzelać... Żydzi płakali i krzyczeli. Wiedzieli, że patrzą śmierci w oczy... Potem wszyscy żołnierze wystrzelili jednocześnie i Żydzi od razu padli. Oficer wybrał silnych Żydów, żeby powrzuć ciała do rowu”.

Rozstrzelania trwały cały dzień. Kilka tysięcy Żydów - mężczyzn, kobiet i dzieci - zostało zamordowanych, ale SS nie dało rady zabić ich wszystkich w czasie jednej akcji. Kiedy zapadł zmrok, pozostałych Żydów zapędzono z powrotem do Ostrogu, wśród nich Wasyla Waldemana i jego rodzinę. W czasie tej i następnych akcji Wasyl stracił ojca, babkę, dziadka, dwóch braci oraz wujów, ale razem z matką udało się mu uciec z getta w Ostrogu i przez następne trzy lata ukrywali go miejscowi chłopcy aż do wyzwolenia Ukrainy przez Armię

Czerwoną. „Nie wiem, jak było w innych wsiach - opowiada - ale ludzie z naszej wsi bardzo pomagali Żydom”.

Kilka dni później Oleksy Mulewicz poszedł na miejsce mordy i ujrzał tam straszliwy widok. „Piach się ruszał. Myślę, że ruszali się pod nim ranni ludzie. Było mi ich żal. Chciałem pomóc, ale zdałem sobie sprawę, że jeśli kogoś wyciągnę z rowu, to nie będę umiał go wyleczyć”.

„Mieliśmy w domu psy - wspomina Wasyl Waldeman - ale nigdy nie byliśmy dla nich tak okrutni jak faszyci dla nas... Cały czas się zastanawiałem, skąd w tych ludziach takie okrucieństwo?”

U podstaw okrucieństwa Hansa Friedricha leżała nienawiść. „Jeśli mam być szczery, to nie mam dla nich [Żydów] współczucia. Ponieważ Żydzi skrzywdzili mnie i moją rodzinę tak bardzo, że nie mogę o tym zapomnieć”. W rezultacie Friedrichowi „nie jest żal” Żydów, do których strzelał. „Moja nienawiść do Żydów jest zbyt wielka”. Kiedy wypytywano go dokładniej, przyznał, że czuł się - i wciąż się czuje - usprawiedliwiony z zabijania Żydów w „odwecie”.

Poznanie przeszłości Friedricha jest konieczne, jeśli chce się zrozumieć, dlaczego był zdolny wziąć udział w mordach i dlaczego dziś broni swojego postępowania. Urodził się w 1921 roku w części Rumunii zamieszkiwanej w większości przez Niemców. Kiedy dorastał, uczono go nienawiści do Żydów, z którymi stykał się on i jego rodzina. Jego ojciec był rolnikiem, a okoliczni Żydzi zajmowali się handlem: kupowali produkty rolne i sprzedawali je potem na targach. Friedrichowi wmawiano, kiedy dorastał, że Żydzi zarabiali za dużo na tym handlu i że rodzina jest przez nich regularnie oszukiwana. „Chciałbym zobaczyć was na swoim miejscu - dodaje - gdybyście musieli przechodzić przez to samo co ja - gdybyście byli rolnikami i chcieli sprzedać, powiedzmy, świnie, a nie moglibyście. Można to było zrobić tylko przez żydowskiego handlarza. Postawcie się na moim miejscu. Nie mieliśmy wpływu na własne życie”.

Dorastając w latach trzydziestych, Friedrich i jego koledzy malowali plakaty z hasłami „Nie kupuj od Żydów” i „Żydzi to nieszczęście”, a potem wieszali je przy drzwiach żydowskich sklepów. Czuł się „dumny” z tego, co robił, ponieważ „ostrzegał przed Żydem”. Zaczytywał się hitlerowską propagandą - szczególnie brutalnie antysemitycznym pismem „Der Stürmer” - i znalazł w niej coś, co doskonale pasowało do jego własnego rozwijającego się światopoglądu.

W 1940 roku wstąpił do Waffen SS, „ponieważ niemiecka Rzesza toczyła wojnę” i „chciał tam być”. Wierzy, że „istniały związki pomiędzy Żydami i bolszewizmem - były na to

przekonujące dowody”. Kiedy jako członek SS wkroczył do Ukrainy w lecie 1941 roku, sądził, że nie przybył do „cywilizowanego” kraju „jak Francja”, ale do miejsca, które było - co najwyżej - „na wpół ucywilizowane” i „daleko za Europą”. Potem, kiedy kazano mu mordować Żydów, czynił to chętnie, cały czas sądząc, że mści się w ten sposób na żydowskich handlarzach, którzy oszukiwali jego rodzinę. To, że byli to zupełnie inni Żydzi - mieszkający przecież w innym kraju - nie miało żadnego znaczenia. Jak to wyraził: „to wszystko byli Żydzi”.

Hans Friedrich nie ma żadnych wyrzutów sumienia ani nie czuje żalu z powodu uczestniczenia w eksterminacji Żydów. Mimo że nie użył tych słów, sprawia wrażenie osoby dumnej z tego, co on i jego towarzysze czynili. Usprawiedliwienie tych czynów jest dla niego jasne i całkowite: Żydzi skrzywdzili jego i jego rodzinę, a świat jest bez nich lepszy.

W chwili szczerości Adolf Eichmann powiedział, że świadomość uczestniczenia w mordzie na milionach Żydów była dla niego źródłem takiej satysfakcji, że „z radością wskoczyłby do swojego grobu”. Łatwo zrozumieć, że Hans Friedrich mógł odczuwać dokładnie takie same emocje.

Podczas gdy na froncie wschodnim zaczęto mordować kobiety i dzieci, nie było jeszcze wiadomo, że podejmowano właśnie decyzje na temat całości faszystowskiego „ostatecznego rozwiązania” - które miało obejmować Żydów w Niemczech, Polsce i wschodniej Europie. Istnieje dokument, który być może wskazuje na związek pomiędzy obydwoma wydarzeniami. Trzydziestego pierwszego lipca Heydrich uzyskał podpis Göringa na dokumencie zawierającym następującą deklarację: „Aby uzupełnić zadanie wyznaczone wam 24 stycznia 1939 roku, którego treścią było najlepsze rozwiązanie kwestii żydowskiej poprzez emigrację i ewakuację, nakazuję niniejszym sporządzić pełny plan działań organizacyjnych, rzeczowych oraz przygotowawczych dla przyszłego ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Najważniejsza jest widniejąca na tym dokumencie data. Göring podpisuje ogólne pełnomocnictwo dla Heydricha w momencie, kiedy oddziały śmierci zaczynały strzelać do kobiet i dzieci na wschodzie.

Niedawne odkrycie dokonane w specjalnym archiwum w Moskwie podaje jednak w wątpliwość specjalne znaczenie pełnomocnictwa z 31 lipca. Odkryty dokument zawiera notę od Heydricha noszącą datę 26 marca 1941 roku, w której czytamy: „Jeśli chodzi o kwestię żydowską, złożyłem marszałkowi Rzeszy [Göringowi] krótki raport i przekazałem mój nowy plan, który on potwierdził z jedną poprawką dotyczącą jurysdykcji Rosenberga i który nakazał ponownie przedłożyć” \* [\*Aly, *op. cit.*, s. 71.].



„Nowy plan” Heydricha powstał najprawdopodobniej w odpowiedzi na zmianę hitlerowskiej polityki antyżydowskiej, spowodowaną zbliżającym się najazdem na Związek Radziecki. Zaniechano projektu wywiezienia Żydów do Afryki, a na początku 1941 roku Hitler nakazał Heydrichowi przygotowanie planu deportacji Żydów na inne terytorium, pozostające pod niemiecką kontrolą. Ponieważ oczekiwano, że wojna ze Związkiem Radzieckim zakończy się w ciągu kilku tygodni przed nadejściem rosyjskiej zimy, Hitler i Heydrich rozumowali, że należy planować wypędzenie Żydów dalej na wschód jeszcze tej samej jesieni, dzięki czemu na własnym terytorium rozwiązałyby stworzony przez siebie „problem”. Żydzi mieli cierpieć katusze na pustkowiach wschodniej Rosji.

Jak jasno widać w pełnomocnictwie z 31 lipca, Heydrich pierwszy miał zaplanować „rozwiązanie kwestii żydowskiej poprzez emigrację i ewakuację” na początku 1939 roku, w rezultacie czego od razu rozgorzały spory na temat jego jurysdykcji i kompetencji na terytorium państwa hitlerowskiego. Alfred Rosenberg (wspomniany w dokumencie z 26 marca), który został 17 lipca 1941 roku formalnie mianowany przez Hitlera ministrem do spraw okupowanych terytoriów na wschodzie, stanowił potencjalne zagrożenie dla władzy Heydricha na wschodzie i pełnomocnictwo z 31 lipca miało najprawdopodobniej posłużyć Heydrichowi do potwierdzenia swoich prerogatyw.

Reasumując, nowe dokumenty nie potwierdzają powszechnego niegdyś poglądu, że Hitler podjął w lipcu 1941 roku ostateczną decyzję wymordowania wszystkich Żydów w Europie, której ważną częścią miało być pełnomocnictwo wydane Heydrichowi 31 lipca. Bardziej prawdopodobny scenariusz był taki, że podczas gdy wszyscy przywódcy hitlerowscy koncentrowali się na wojnie ze Związkiem Radzieckim, decyzja o rozpoczęciu mordów na kobietach i dzieciach na wschodzie była praktycznym rozwiązaniem konkretnych i pojawiających się od niedawna trudności.

Mimo to, jak często bywa w historii, to właśnie rozwiązanie miało doprowadzić do wyłonienia się nowych problemów i w rezultacie musiały powstać nowe metody zabijania, umożliwiające dokonywanie na jeszcze większą skalę mordów na Żydach i przedstawicielach innych narodowości. Ważna chwila nastąpiła 15 sierpnia, kiedy Heinrich Himmler odwiedził Mińsk i na własne oczy zobaczył działania oddziałów wykonujących masowe egzekucje. Jedną z osób obecnych przy obserwowanej przez Himmlera egzekucji był Walter Frenz \* [\*Wywiad dla BBC.], oficer Luftwaffe, który pracował jako kamerzysta w sztabie Hitlera. Frenz nie tylko był wstrząśnięty widokiem mordy, zauważył również, że wstrząśnięci byli także członkowie plutonu egzekucyjnego. „Poszedłem na miejsce egzekucji - wspomina Frenz - i po jej zakończeniu zaczął ze mną rozmawiać dowódca policji pomocniczej,

ponieważ byłem z sił powietrznych. «Panie kapitanie - powiedział - nie mogę tego już znieść. Czy może mnie pan stąd wyciągnąć?». Odpowiedziałem: «Cóż, nie mam żadnych wpływów w policji. Jestem w siłach powietrznych, co mam zrobić?». «No tak - odpowiedział. - Ale ja już nie mogę tego znieść, to okropne!»,,.

Oficer, który rozmawiał z Frenzem po egzekucji, nie był jedyną osobą, która nie mogła znieść uczestniczenia w mordach. Po zakończeniu egzekucji w Mińsku von dem Bach-Zelewski zwrócił się do Himmlera: „Reichsführerze, tych było tylko stu... Niech pan spojrzysz na oczy ludzi w tym plutonie, jak bardzo są wstrząśnięci! Ci ludzie są już skończeni na resztę życia. Jakich my tu kształtujemy żołnierzy? Neurotyków albo dzikusów!” \* [\*Glover, op. cit., s. 345.]. Później również Bach-Zelewski zachorował w wyniku uczestniczenia w mordach, prześladowały go „wizje” egzekucji, których był świadkiem.

Sierpniowa wizyta w Mińsku spowodowała, że Himmler rozkazał wynaleźć metodę zabijania, która powodowałaby mniejsze obciążenie psychiczne dla jego ludzi. Rzeczywiście już kilka tygodni później doktor Albert Widmann, SS-Untersturmführer z Instytutu Technicznego Policji, pojechał na wschód, żeby spotkać się z Arthurem Nebe, dowódcą Einsatzgruppe B w jego kwaterze głównej w „Domu Lenina” w Mińsku. Widmann był przedtem jednym z twórców techniki zabijania psychicznie chorych pacjentów w komorach gazowych. Teraz miał swoją wiedzę zastosować na wschodzie.

Trudno w to uwierzyć, ale jedną z pierwszych metod, za pomocą których Widmann chciał „usprawnić” mordy popełniane na podbitych terenach Związku Radzieckiego, było wysadzanie ofiar w powietrze. Kilkunastu chorych psychicznie pacjentów umieszczano w schronie wypełnionym materiałami wybuchowymi. Wilhelm Jaschke, SS-Hauptsturmführer Einsatzkommando 8, obserwował to, co się później stało. „Widok był przeraźliwy. Wybuch nie był dostatecznie silny. Niektórzy ranni wydostali się z ziemianki, czołgali się i krzyczeli... \* [\*Zeznanie Wilhelma Jaschke w procesie Widmanna, Schwurgericht Stuttgart 1967, s. 62-63, Staatsarchiv Ludwigsburg EL 317 III, Bu 53.] Schron zupełnie się zapadł... Wkoło leżały urwane części ciał, wisały też na drzewach. Następnego dnia pozbieraliśmy je i wrzuciliśmy do schronu. Te, które wisały zbyt wysoko na drzewach, zostawiliśmy” \* [\*Zeznanie Wilhelma Jaschke, Vilsbiburg, 5 kwietnia 1960.].

W czasie tego makabrycznego eksperymentu Widmann doszedł do wniosku, że wybuch na pewno nie był metodą, która zadowoliłaby Himmlera - wypróbował więc inną metodę. Jak już widzieliśmy, w programie eutanazji dorosłych z powodzeniem używano do zabijania butli z tlenkiem węgla. Transportowanie tysięcy butli na wschód nie byłoby jednak praktyczne. Niewykluczone jednak, rozumowali Widmann i jego współpracownicy, że istniał

inny sposób zabijania tlenkiem węgla. Kilka tygodni później Widmann i jego szef, doktor Walter Hess, siedzieli w wagonie berlińskiego metra i rozmawiali o nieszczęśliwym wypadku, który spotkał niedawno Arthura Nebe. Wracał on samochodem z przyjęcia, na którym za dużo wypił, zaparkował samochód w garażu i zasnął. W rezultacie o włos uniknął śmierci w wyniku zatrucia tlenkiem węgla zawartym w spalinach.

Wydaje się, że wspomnienie o pijanym Nebem podsunęło Widmannowi myśl, żeby spróbować gazowania ludzi za pomocą spalin samochodu osobowego, połączonego rurą z piwnicą szpitala psychiatrycznego w Mohylewie, na wschód od Mińska. Zamknięto w niej pewną liczbę pacjentów szpitala, a następnie uruchomiono silnik samochodu. Na początku hitlerowcy uznali, że eksperyment się nie udał. Z rury wydechowej nie wydostawało się dostatecznie dużo tlenu węgla, żeby zabić nim pacjentów. Pozytywne rezultaty przyniosło dopiero zastosowanie ciężarówki zamiast samochodu osobowego. Eksperyment - znowu z punktu widzenia hitlerowców - udał się tym razem znakomicie. Widmann odkrył tani, wydajny sposób zabijania ludzi, który ograniczał psychologiczny wpływ zbrodni na zabójców.

Podczas gdy jesienią 1941 roku przebywający na wschodzie Widmann uczynił kolejny krok w celu ulepszenia hitlerowskich metod zabijania, podjęto decyzje, na mocy których obóz w Oświęcimiu miał się stać integralną częścią przygotowań do „ostatecznego rozwiązania”. Wciąż trwają spory o to, jak i kiedy te decyzje podjęto. Rozstrzygnięcie tych sporów utrudniają również powojenne zeznania Hössa. Nie tylko starał się on przedstawić siebie jako ofiarę żądań niekompetentnego Himmlera i jego niekompetentnych podwładnych, ale nieściśle podaje także daty różnych wydarzeń. Na przykład Höss twierdzi: „W lecie 1941 roku Himmler wezwał mnie i zaczął tłumaczyć: «Führer nakazał ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej - a my musimy wykonać to zadanie. Z powodu izolowanego położenia i łatwego transportu uznałem, że obóz w Oświęcimiu się do tego nadaje»»,\* [\*Van Pelt - zeznanie Gilberta, s. 278.]. Höss rzeczywiście odwiedził Himmlera w lipcu 1941 roku, żeby poinformować go, jak przebiega realizacja planów rozbudowy obozu przed rozpoczęciem współpracy z I.G. Farben, trudno więc uwierzyć, że w tym samym czasie powiedziano mu, że jego obóz ma się stać częścią „ostatecznego rozwiązania”. Po pierwsze, nie ma dowodów na to, że ostateczne rozwiązanie - w sensie masowej eksterminacji Żydów w obozach - w ogóle na tym etapie planowano. Spotkanie to odbyło się jeszcze przed rozpoczęciem masowych mordów żydowskich mężczyzn dokonywanych przez Einsatzgruppen na wschodzie oraz rozszerzeniem zakresu tych akcji w końcu lipca. Po drugie, Höss przeczy samemu sobie, kiedy dodaje, że „w tym samym czasie istniały już w Generalnym Gubernatorstwie trzy inne

obozy zagłady: Bełżec, Treblinka i Wolzek [Sobibór]”. Jednak żaden z tych obozów nie istniał jeszcze w lecie 1941 roku, zaczęły one działać dopiero w 1942 roku.

Niektórzy historycy argumentują, że mimo sprzeczności w zeznaniach Hössa mógł on otrzymać w lipcu 1941 roku rozkaz zbudowania jakichś urządzeń służących do masowej zagłady. Jednak, jak zobaczymy później, dowody, że zlecono budowę takich urządzeń w obozie już latem i wczesną jesienią 1941 roku, nie wystarczają, żeby uznać, iż Hössowi nakazał je zbudować Himmler w czasie spotkania w lipcu. Prawdopodobnie Höss pomylił się w swoich zeznaniach co do daty spotkania. Rozmowy podobne do tej, którą opisał, przypuszczalnie odbyły się w następnym roku, a nie w 1941.

Nie oznacza to oczywiście, że obóz oświęcimski nie miał nic wspólnego z trwającymi wtedy mordami. W rzeczy samej, po wywiezieniu chorych więźniów w ramach akcji 14f13 oraz rozstrzeliwaniach radzieckich komisarzy wojskowych dowództwo obozu stało przed podobnym problemem, co działające na wschodzie Einsatzgruppen - potrzebą znalezienia bardziej wydajnej metody zabijania.

Decydujące odkrycie nastąpiło w obozie najprawdopodobniej wtedy, kiedy Höss w nim nie przebywał - w końcu sierpnia i na początku września 1941 roku. Fritzscha, jego zastępca, dowiedział się o wykorzystaniu nowego środka chemicznego, służącego do usuwania pleniących się w obozie owadów - był to skryzalizowany kwas pruski, dostępny na rynku w puszkach pod nazwą Zyklon (cyklon) Blausaure (kwas pruski), znany ogólnie jako cyklon B. Od samego początku istnienia obozu cyklonu B używano do tępienia pluskiew, stanowiących ciągły problem w obozie.

Rozumowanie Fritzscha w Oświęcimiu było podobne do rozumowania Widmanna, działającego mniej więcej w tym samym czasie na wschodzie. Skoro cyklon B mógł być wykorzystywany do zabijania owadów, to dlaczego nie użyć go do zabijania ludzkich szkodników? A skoro blok 11 już był miejscem dokonywania egzekucji w obozie, to jego piwnicę można było uszczelnić, a wówczas świetnie by się nadała do przeprowadzenia w niej eksperymentu.

Oświęcim w tym czasie nie był miejscem, gdzie takie działania można było podejmować w tajemnicy. Poszczególne bloki dzieliło zaledwie kilka kroków i po obozie łatwo rozchodziły się plotki. Wszyscy więc od początku wiedzieli o eksperymentach Fritzscha. „Widziałem, jak taczkami zwozili ziemię, żeby uszczelnić nią okna - opowiada Wilhelm Brasse. - A pewnego dnia widziałem, jak przenoszono na noszach ciężko chorych ze szpitala do bloku 11”.

Nie tylko chorzy trafiali do bloku 11. Jak się można było spodziewać, trafili tam członkowie drugiej grupy, wobec której władze obozu już ujawniły zabójcze intencje - radzieccy komisarze. „I w bunkrze, w tych celach bunkra, w piwnicach, zgromadzono jeńców wojennych radzieckich - opowiada August Kowalczyk. - I okazało się następnego dnia [...] okazało się, że nie zadziałał gaz do końca i wielu spośród tych więźniów, z tych ludzi, żyło jeszcze. Wobec tego wzmocniono tę dawkę, dosypano tam tych kryształów i to... doprowadziło dzieło do końca”.

Po powrocie Hössa Fritzsch zameldował o swoich eksperymentach. Höss był obecny przy następnym gazowaniu w bloku 11. „Chroniony maską przeciwgazową, osobiście obserwowałem egzekucję. W zatłoczonych celach śmierć przychodziła natychmiast po wrzuceniu cyklonu B. Krótki, prawie stłumiony krzyk i po wszystkim”. Mimo że istnieją dowody na to, że śmierć w bloku 11 wcale nie była „natychmiastowa”, użycie cyklonu B z pewnością ułatwiało hitlerowcom w Oświęcimiu zabijanie więźniów. Mordercy nie musieli już patrzeć swoim ofiarom w oczy tuż przed ich zabiciem.

Höss napisał, że odczuł „ulgę” na wieść o odkryciu nowej metody zabijania i że „ominie go” konieczna w przeciwnym wypadku „krwawa łaźnia”. Nie miał racji. Prawdziwa krwawa łaźnia miała się dopiero zacząć.

## Rozkazy i inicjatywy

Siódmego kwietnia 1946 roku Rudolf Höss był przesłuchiwany w Norymberdze przez amerykańskiego psychologa, doktora Gustave'a Gilberta. „Czy nigdy nie przyszło panu do głowy - pytał Gilbert Hössa - żeby odmówić wykonania rozkazów, które wydawał panu Himmler, dotyczących «ostatecznego rozwiązania»?” \* [\*Gustave Gilbert, „Nuremberg Diary”, Farrar 1947.]. „Nie - odpowiedział Höss. - Byliśmy tak wyszkoleni, że myśl, by odmówić wykonania rozkazu, nie przychodziła nam nawet do głowy, niezależnie od treści rozkazu... Sądzę, że pan nie umie zrozumieć naszego świata. W naturalny sposób musiałem wykonywać rozkazy”.

Höss wpasował się w ten sposób w szeregi niemieckich żołnierzy, którzy po przegranej wojnie chcieli, żeby świat uważał ich za roboty, ślepo wykonujące każde wydane im polecenie, niezależnie od ich osobistych uczuć. Ale prawda była taka, że Höss wcale nie przypominał automatycznie działającej kukły. W ostatnich sześciu miesiącach 1941 roku oraz pierwszych miesiącach 1942 Höss wykazywał się wielką zaradnością. Nie tylko wykonywał rozkazy, ale również z własnej inicjatywy zwiększał morderczą wydajność obozu w Oświęcimiu.

Nie sam Höss pomagał zorganizować masowy mord podczas tych decydujących dwunastu miesięcy - wielu innych hitlerowców również odegrało swoją rolę. Działo się tak dlatego, że ważnym czynnikiem w procesie eksterminacji był sposób, w jaki inicjatywy z niższego szczebla hierarchii przyśpieszały coraz radykalniejszy proces.

Kiedy wojna się skończyła, Höss - podobnie jak setki innych hitlerowców - próbował przekonać świat, że tak naprawdę podejmował decyzje tylko jeden człowiek - Adolf Hitler. Ale „ostateczne rozwiązanie” nie było pomysłem jednej osoby, a stało się raczej zbiorową wolą zbiorowości - co łatwo udowodnić w najbardziej dobitny sposób, wyjaśniając proces podejmowania decyzji, który doprowadził do deportacji niemieckich Żydów jesienią 1941 roku.

Jak widzieliśmy, wojna ze Związkiem Radzieckim, rozpoczęta w czerwcu 1941 roku, wymusiła na hitlerowcach zastosowanie jak dotąd najbardziej radykalnego rozwiązania stworzonej przez siebie „kwestii żydowskiej”, którym było zniszczenie żydowskiej ludności na zdobytych terenach przez rozstrzeliwanie mężczyzn, kobiet i dzieci. Ale przynajmniej na początku Żydów w zachodniej Europie i w Rzeszy niemieckiej ta rzeź praktycznie ominęła. Hitlerowcy zakładali, że ludzie ci zostaną „wywiezieni na wschód” po zakończeniu wojny. W

optymistycznych wizjach Hitlera, Himmlera i Heydricha oznaczało to jesień 1941 roku. Co miało się stać z tymi Żydami, którzy trafią na wschód „po wojnie”, nie było jasne - nie istniały jeszcze obozy śmierci, które miałyby ich przyjąć. Zostaliby oni najprawdopodobniej wysłani do obozów pracy w najmniej nadających się do zamieszkania częściach kontrolowanej przez hitlerowców Rosji, gdzie i tak doszłoby do ludobójstwa - choć w bardziej długotrwałej i skomplikowanej postaci niż szybki mord, jaki później prowadzono w komorach gazowych na terytorium Polski.

Ale tego sierpnia niektórzy przywódcy hitlerowscy zaczęli się niecierpliwić. Wiedzieli, że radzieckimi Żydami już się „zajęto” w najbardziej brutalny z możliwych sposobów. Dlaczego więc, zaczynali proponować, od razu nie wysłać niemieckich Żydów do epicentrum trwającej wciąż morderczej operacji? Josef Goebbels, minister propagandy Rzeszy i Gauleiter Berlina, był jednym z tych, którzy tego lata zabiegali o przymusowe wywiezienie berlińskich Żydów na wschód. W czasie spotkania odbytego 15 sierpnia sekretarz stanu Goebbelsa, Leopold Gutterer, zwrócił uwagę na fakt, że spośród 70 000 mieszkających w Berlinie Żydów tylko 19 000 pracowało (sytuację tę spowodowali oczywiście hitlerowcy, wprowadzając wiele restrykcyjnych przepisów przeciw niemieckim Żydom). Reszta, argumentował Gutterer, powinna być „wywieziona do Rosji... a najlepiej byłoby ich pozabijać” \* [\*Christopher Browning, „The Origins of the Final Solution: The Evolution of Nazi Jewish Policy September 1939 - March 1942”, William Heinemann 2004, s. 318.]. Kiedy Goebbels spotkał się z Hitlerem 19 sierpnia, w podobny sposób zabiegał o jak najszybszą deportację berlińskich Żydów.

W umyśle Goebbelsa, kiedy próbował przekonać Hitlera, najważniejsza była hitlerowska fantastyczna wizja roli, jaką niemieccy Żydzi odegrali w czasie pierwszej wojny światowej. Podczas gdy niemieccy żołnierze ginęli na linii frontu, Żydzi mieli czerpać zyski z wojennej rzezi, bezpiecznie żyjąc w wielkich miastach. Prawda była taka, że niemieccy Żydzi umierali na froncie równie często, jak ich rodacy. Ale teraz, w lecie 1941 roku, wszyscy widzieli, że Żydzi pozostali w Berlinie, podczas gdy Wehrmacht staczał brutalne boje na wschodzie. Co jednak mieli robić, skoro hitlerowcy zabronili im wstępować do sił zbrojnych? Tak jak przy wielu innych okazjach hitlerowcy sami stworzyli warunki, które najlepiej pasowały do ich przesądów. Zabronili niemieckim Żydom walczyć, a teraz oskarżali ich o to, że nie giną na linii frontu.

Mimo usilnych starań Goebbelsa, Hitler w sierpniu 1941 roku nie zamierzał zezwolić na deportację berlińskich Żydów. Utrzymywał, że wojna wciąż była sprawą pierwszorzędnej wagi, a kwestia żydowska musiała poczekać. Ale Hitler zgodził się spełnić jedno życzenie

Goebbelsa, tym samym znacząco zwiększając surowość hitlerowskiej polityki antysemickiej: zgodził się, by Żydzi w Niemczech zostali oznaczeni żółtą gwiazdą Dawida. W gettach Polski Żydzi już od pierwszych miesięcy wojny byli w podobny sposób oznaczani, ale Żydów niemieckich ominęła dotąd ta upokarzająca praktyka.

Tego lata i wczesnej jesieni Goebbels nie był jedynym z hitlerowskich przywódców, którzy zabiegali u Hitlera o pozwolenie na wywiezienie niemieckich Żydów. Bezpośrednio po brytyjskim bombardowaniu Hamburga, 15 września 1939 roku, Gauleiter Hamburga Karl Kaufmann postanowił napisać do Hitlera i prosić o pozwolenie na wywózkę Żydów z Hamburga, aby zwolnić mieszkania dla nieżydowskiej ludności miasta, która utraciła w wyniku bombardowania dach nad głową.

Hitler teraz otrzymywał z bardzo różnych źródeł sugestie, by wysłać Żydów na wschód. Alfred Rosenberg zaproponował, by deportować Żydów z środkowej Europy w odwecie za zarządzoną przez Stalina wywózkę Niemców nadwożańskich na Syberię. W końcu po tygodniach zapewniania, że niemieccy Żydzi nie mogą zostać wywiezieni, Hitler zmienił zdanie. Na początku września 1941 roku postanowił, żeby rozpocząć deportacje na wschód.

Tej nagłej zmiany kursu nie należy jednak uznawać za objaw niezdecydowania Hitlera, który ugiął się pod presją swoich podwładnych. Prawdopodobnie równie duży wpływ jak prośby wywarły na niego ostatnie wydarzenia na frontach trwającej wojny. Hitler zawsze powtarzał, że Żydzi będą mogli zostać wywiezieni po zakończeniu wojny, a we wrześniu 1941 roku wydawało się mu, że następne kilka tygodni przyniesie ostateczne zwycięstwo i można nieco przyspieszyć deportacje. Kijów miał właśnie wpaść w ręce niemieckie, a droga do Moskwy wydawała się stać otworem dla prących naprzód kolumn Wehrmachtu, Hitler więc przyjął, że Związek Radziecki i tak upadnie przed nadejściem zimy.

Pozostawała oczywiście tylko jedna kwestia - dokąd wywieźć Żydów. Heinrich Himmler natychmiast pośpieszył z odpowiedzią: powinni dołączyć do polskich Żydów w gettach. Osiemnastego września 1941 roku Himmler pisze do Arthura Greisera, hitlerowskiego namiestnika Kraju Warty w Polsce, z prośbą o przygotowanie łódzkiego getta na przybycie 60 000 Żydów ze „starej” Rzeszy. Himmler jednak wiedział, że mogło to być jedynie czasowe rozwiązanie, ponieważ, jak spieszenie powiadomiły władze getta w Łodzi, i tak było ono zbyt zatłoczone.

Siedemnastoletnia Lucille Eichengreen \* [\*Wywiad dla BBC.] była jedną z pierwszych osób deportowanych tej jesieni w wyniku zmiany polityki Hitlera wobec Żydów. Wtedy, w listopadzie 1941 roku, kiedy jej matka odebrała list polecony, który nakazywał



rodzinie przygotować się do opuszczenia Hamburga, nikt - nawet hitlerowcy, którzy chcieli się jej pozbyć - nie mógł przewidzieć, jak długa i pełna męczarni będzie ich podróż do Oświęcimia.

Eichengreenowie już wcześniej wiele przecierpieli. Ojciec Lucille - urodzony w Polsce - został aresztowany i wywieziony do obozu w Dachau na początku wojny. Osiemnaście miesięcy później, w lutym 1941 roku, rodzina - po długim oczekiwaniu - dowiedziała się czegoś o jego losie. „Gestapowcy przyszli do nas ubrani w kapelusze, skórzane płaszcze i wysokie buty - ich typowe umundurowanie - opowiada Lucille Eichengreen. - Na kuchenny stół rzucili skrzynkę po cygarach i powiedzieli: «To są prochy Benjamin Landaua [jej ojca]». Nigdy się nie dowiem, czy były to rzeczywiście prochy ojca, czy garść popiołu z krematorium w Dachau. Śmierć ojca była dla nas wszystkich strasznym ciosem, szczególnie dla matki i najmłodszej siostry; było to dla niej traumatyczne przeżycie”.

Teraz, w październiku 1941 roku, osiem miesięcy po nadejściu wiadomości o śmierci ojca z rąk hitlerowców, Lucille oraz jej młodsza siostra i matka opuściły dom i mijając mieszkańców miasta, udały się na dworzec w Hamburgu. Na ulicach nikt nie okazywał im sympatii i współczucia. „Ich [nieżydowskich mieszkańców] twarze nie wyrażały żadnych uczuć - wspomina Lucille. - Rzucali tylko obelgi albo odwracali wzrok. Nie byłam z tego powodu na nich zła, byłam raczej przestraszona”.

Uwe Storjohann \* [\*Wywiad dla BBC.], wtedy szesnastoletni chłopak, był jednym z hamburczyków, którzy przyglądali się zmierzającym na dworzec Żydom. „Może jakieś 20 procent ludzi było z tego powodu bardzo zadowolonych - opowiada. - Mówili: «Bogu dzięki, że te darmozjady wreszcie znikną» albo «to tylko pasożyty». Inni klaskali. Ale większość przechodziła obok bez słowa. I to jest właśnie ta wielka masa ludzi, którzy po wojnie mieli mówić: «Nic o tym nie wiedziałem - nie widzieliśmy niczego takiego». Ich odpowiedzią było odwracanie wzroku”.

Jeden ze znajomych Uwe Storjohanna był w części Żydem i musiał pożegnać się ze swoją ulubioną ciotką i babcią „tak, żeby je pocieszyć”. Znajomy był tylko w jednej czwartej Żydem i mógł zostać - jego krewne były „pełnymi” Żydówkami i musiały wyjechać. Kiedy patrzył na te pełne rozpacz sceny, Uwe Storjohanna ogarnęło jedno „obsesyjne” uczucie: „To było poczucie wdzięczności dla Boga, że nie jest się Żydem. Bogu dzięki, że nie jesteś jednym z nich. Równie dobrze mogłeś się urodzić Żydem, bo rodziców się przecież nie wybiera, i wtedy ty właśnie zostałbyś wywieziony. Właśnie ty musiałbyś chodzić z tą gwiazdą na ramieniu. Wciąż pamiętam to uczucie”.

„Natychmiast - wspomina Uwe Storjohann - pojawiła się myśl: «Co się stanie z tymi ludźmi?». I wiedziałem, oczywiście, po wszystkich plotkach, które słyszałem, że na pewno nie było to nic pewnego, nic dobrego. W ten czy inny sposób mieli trafić do innego, strasznego świata”.

Pytanie, co „zwykli” Niemcy wiedzieli o losie Żydów, wzbudzało i wciąż wzbudza wielkie kontrowersje. Ale wyznanie Uwe Storjohanna, że wiedział, iż niemieccy Żydzi byli wysyłani do „strasznego” świata, prawdopodobnie odzwierciedla stan umysłu większości Niemców w tamtym czasie. Wiedzieli, że Żydzi nie wracali - w Hamburgu urządzano stragany, żeby sprzedać pozostawione przez Żydów sprzęty domowe. Równie wielu „zwykłych Niemców” wiedziało, że „straszne rzeczy” dzieją się z Żydami na wschodzie. Raport hitlerowskiej SD (służby specjalnej będącej częścią SS, dowodzonej przez Reinharda Heydricha) z Frankonii w południowych Niemczech, datowany na grudzień 1942 roku, pokazuje, że sami hitlerowcy niepokoiли się wpływem wiedzy o mordach na wschodzie na ludność Niemiec: „Jednym z głównych źródeł poruszenia wśród członków Kościoła oraz wśród ludności wiejskiej stanowią teraz doniesienia z Rosji, w których wspomina się o egzekucjach i eksterminacji Żydów. Wiadomości te często wywołują wielkie obawy i zaniepokojenie w tych grupach ludności. Według opinii szeroko rozpowszechnionej wśród ludności wiejskiej wcale nie jest pewne, że wygramy wojnę i jeśli Żydzi wrócą do Niemiec, straszliwie się na nas zemszczą” \* [\*Ian Kershaw, „The Persecution of the Jews and German Public Opinion in the Third Reich”, Yearbook of the Leo Baeck Institute 1981, t. 26, s. 284.].

Mimo że ludność wiejska zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, rzadko było słycać protesty przeciw deportacji niemieckich Żydów, a już na pewno nie w Hamburgu w październiku 1941 roku. Tak więc, doszedłszy nieprzyjawnymi ulicami do dworca, Lucille Eichengreen razem z młodszą siostrą i matką wsiadły do wagonów trzeciej klasy z drewnianymi ławkami. Kiedy pociąg ruszył, zdała sobie sprawę, że „była to jazda bez stacji przeznaczenia. Był to pociąg donikąd i nie wiedzieliśmy, czego oczekiwać”.

Lucille miała w końcu trafić do obozu w Oświęcimiu, a w październiku 1941 roku, kiedy rozpoczęła swoją podróż na wschód, realizowano już plany wielkiej rozbudowy kompleksu obozów. O trzy kilometry od istniejącego miał powstać zupełnie nowy obóz - budowany na połaci podmokłej ziemi nazywanej przez Polaków Brzezinką, a przez Niemców - Birkenau. Ale nawet jeśli Auschwitz-Birkenau miało się w końcu stać miejscem masowej zagłady Żydów, nie z tego powodu zbudowano ten kompleks. Birkenau nie był bowiem obozem przeznaczonym dla Żydów, ale dla jeńców wojennych.

Przyjęty obecnie pogląd na historię obozu głosi, że Himmler nakazał Hössowi podczas wizyty w obozie w marcu 1941 roku zbudowanie w Brzezince gigantycznego obozu jenieckiego, zdolnego pomieścić 100 000 więźniów. Informacja ta jest potwierdzona jedynie wspomnieniami Hössa, które, jak już widzieliśmy, czasami zawierały nieprawdziwe daty.

Jeśli założenie obozu zarządzono w marcu 1941 roku, tajemnicą pozostaje, dlaczego pierwsze plany budowy powstały dopiero sześć miesięcy później, w październiku.

W czasie poszukiwań przeprowadzonych w trakcie pisania tej książki w archiwach rosyjskich odkryto nowe dokumenty, które rozwiązują tę zagadkę. Dokument centralnej komisji rozbudowy obozu w Oświęcimiu, z datą 12 września 1941 roku, zatytułowany „Raport wyjaśniający w sprawie wstępnego planu budowy i rozbudowy obozu Auschwitz” \* [\*Rosyjskie Państwowe Archiwum Wojskowe 502K/1/218.], zawiera szczegółowy opis zarówno aktualnego stanu, jak i przyszłej rozbudowy obozu Auschwitz 1 - obozu głównego - tak żeby mógł pomieścić 30 000 więźniów. Nigdzie w tym dokumencie nie ma jednak mowy o planowanym obozie dla jeńców wojennych albo o budowie nowego obozu w Brzezince. Nie ma o tym mowy również w różnych jego załącznikach. Istnieją więc powody, by przypuszczać, że 12 września 1941 roku nie istniały jeszcze szczegółowe plany obozu w Brzezince.

Istnieje również inne, niedawno odkryte źródło archiwalne potwierdzające pogląd, że jeszcze w drugim tygodniu września 1941 roku nie podjęto decyzji o budowie nowego obozu. Odkrycie w rosyjskim archiwum w latach dziewięćdziesiątych \* [\*Zob. też Peter Witte i inni [red.], „Himmler’s Dienstkalender”, 1941/2, Hamburg 1999, s. 123, przypis 2, oraz Sybille Steinbacher, „Musterstadt Auschwitz”, Munich 2000, s. 238-239.] zaginionych części terminarza Himmlera pozwoliło na dokładne poznanie miejsc, w których przebywał, i rozmów telefonicznych w decydującym okresie. Pokazuje on, że 15 września 1941 roku Himmler rozmawiał w sprawie *Kriegsgefangene* (jeńców wojennych) z Reinhardem Heydrichem i Oswaldem Pohlem, szefem Głównego Urzędu Administracyjno-Gospodarczego SS. Później, 16 września, nastąpiła rozmowa telefoniczna z Pohlem, dotycząca, według notatki w terminarzu Himmlera, „100 000 Rosjan”, którzy mieli zostać „przejęci” przez system KZ (obozów koncentracyjnych). Dwudziestego piątego września wydział jeńców wojennych OKW (najwyższego dowództwa armii niemieckiej) rozkazał, by do „100 000 jeńców przekazać do dyspozycji Reichsführera SS”. Następnego dnia, 26 września, Hans Kammler, szef centralnego zarządu budowlanego SS, nakazał budowę nowych obozów jenieckich w Oświęcimiu.

Nowe dokumenty wskazują więc na to, że ostateczna decyzja o budowie obozu w Brzezince została podjęta we wrześniu 1941 roku, a nie w marcu. Istnieje oczywiście możliwość, że Himmler najpierw osobiście sprawdził możliwości budowy w Brzezince, kiedy wizytował obóz oświęcimski wiosną 1941 roku, a może nawet wspomniał Hössowi, że pewnego dnia będzie to odpowiednie miejsce na rozbudowę. Mieszkańców małej wsi Brzezinka w lipcu 1941 roku wywieziono, co rzeczywiście sugeruje, że władze obozu zdawały sobie sprawę z możliwości budowy w tym miejscu (choć wysiedlano również ludność z innych terenów w okolicy, w ramach tworzenia „obozowej strefy interesów”). Ale w świetle nowych dokumentów jest bardzo prawdopodobne, że konkretne decyzje na temat Brzezinki nie zostały podjęte przed wrześniem 1941 roku.

Zadanie zaprojektowania i zbudowania nowego obozu przypadło SS-Hauptsturmführerowi Karlowi Bischoffowi, nowo mianowanemu szefowi obozowego zarządu budowlanego, oraz architektowi, SS-Rottenführerowi, Fritzowi Ertlowi. Już na wstępnych planach widać, że od początku przewidywano budowę pomieszczeń nienadających się na ludzkie siedziby. Pierwszy plan przewidywał umieszczenie 550 więźniów w jednym baraku. Oznaczało to, że na jednego więźnia przypadała jedna trzecia miejsca, które miał do dyspozycji więzień w obozach „starej” Rzeszy, takich jak Dachau. Plany pokazują jednak, że ten poziom zagęszczenia więźniów był niewystarczający dla architektów z SS. Liczba 550 więźniów została więc odręcznym pismem wykreślona i zastąpiona ostateczną liczbą 744. Każdemu więźniowi obozu w Brzezince przydzielono więc jedną czwartą miejsca przypadającego na więźnia obozu koncentracyjnego w Niemczech. Takie nieludzkie traktowanie było do przyjęcia dla hitlerowskich planistów, ponieważ wiedzieli, że budują specjalny obóz jeniecki, nieprzeznaczony dla brytyjskich czy francuskich jeńców, ale dla wrogów, których uważano za podludzi - żołnierzy radzieckich.

W ciągu pierwszych siedmiu miesięcy wojny ze Związkiem Radzieckim Niemcy wzięli do niewoli 3 miliony żołnierzy radzieckich. W czasie całej kampanii do niewoli dostało się 5,7 miliona żołnierzy, z czego 3,3 miliona straciło życie w niemieckiej niewoli. Po wojnie próbowano tłumaczyć, że do tych olbrzymich strat doszło, ponieważ Niemcy nie spodziewali się tak wielkiej liczby jeńców w tak krótkim czasie i nie zaplanowali dla nich odpowiednich obozów. Ale to wytłumaczenie ukrywa tylko straszniejszą prawdę. Jak wynika z przedstawionych w poprzednim rozdziale protokołów spotkań planistów, masowe klęski głodu w Związku Radzieckim były przewidywanym skutkiem żywienia armii niemieckiej „kosztem” tamtejszej ludności. Plany nowego obozu w Brzezince pasują do tego schematu

celowego umieszczenia radzieckich jeńców w środowisku, w którym duża ich liczba miała umrzeć.

Tak jak w pierwszym obozie oświęcimskim sami więźniowie mieli budować obóz w Brzezince. W tym celu jesienią 1941 roku wysłano do Oświęcimia 10 000 jeńców wojennych. Kazimierz Smoleń \* [\*Wywiad dla BBC.], polski więzień obozu oświęcimskiego, był świadkiem ich przybycia: „To było w październiku, już padał śnieg wówczas. To było... pamiętam, że padał śnieg. Oni zostali wyładowani na rampie kolejowej na towarowym dworcu. Musieli oddać wszystkie ubrania i wskoczyć do beczek ze środkiem odkażającym, a potem nadzy szli do [głównego] obozu. Byli wycieńczeni, mieli trudności z poruszaniem się w ogóle”.

Po przybyciu do głównego obozu jeńcom, jako pierwszym z więźniów, wytatuowano na ciele ich numery. Było to kolejne „ulepszenie” wymyślone przez hitlerowców w Oświęcimiu, który jako jedyny obóz w Rzeszy niemieckiej oznaczał swoich więźniów w ten sposób. Wydaje się, że wprowadzono go z powodu wysokiej śmiertelności - łatwiej było zidentyfikować ciało w ten sposób niż dzięki blaszce zawieszanej na szyi, którą odrywano po śmierci. Na początku tatuaże nie były umieszczane na szyi więźnia, tylko wybijane na piersi długimi igłami. Rana była następnie wypełniana tuszem. Kazimierz Smoleń był świadkiem, że wielu jeńców nie mogło znieść tej brutalnej procedury przyjęcia do obozu: „Trudno im się było poruszać, a kiedy specjalną pieczęcią wybijano im na piersi numer, padali na ziemię. Trzeba ich było opierać o ścianę, żeby się nie przewracali”.

Ze 100 000 jeńców, którzy zaczęli jesienią budować obóz w Brzezince, do wiosny dotrwało tylko kilkuset. Jednym z tych, którym udało się oszukać śmierć, był żołnierz Armii Czerwonej Paweł Stienkin \* [\*Wywiad dla BBC.]. Dostał się do niemieckiej niewoli już w drugiej godzinie wojny, rozpoczętej 22 czerwca 1941 roku, i najpierw został umieszczony w gigantycznym obozie jenieckim za linią frontu, gdzie tysiące żołnierzy radzieckich trzymano stłoczonych jak zwierzęta i karmiono cienką zupą. Jego towarzysze zaczęli umierać z głodu, ale on utrzymuje, że przetrwał, ponieważ „od dzieciństwa był głodny”, gdyż urodził się w radzieckim kołchozie w latach trzydziestych.

Paweł Stienkin przybył do Oświęcimia jednym z pierwszych transportów w październiku 1941 roku i natychmiast został zaprzęgnięty do pracy przy budowie ceglanych baraków w nowym obozie. „Średni czas życia [radzieckiego] więźnia wynosił dwa tygodnie - opowiada Stienkin. - Jeśli dawali coś jadalnego - trzeba było połykać. Nawet surowe ziemniaki, cokolwiek - nieważne co. Brudne, nie brudne, wszystko jedno - nie było miejsca, żeby to umyć. Kiedy rano nas budzono, ci, którzy jeszcze żyli, ruszali się, ale wokół nich

zawsze było dwóch lub trzech martwych ludzi. Kładziesz się spać i żyjesz, a rano jesteś już martwy. Wszędzie śmierć, śmierć, śmierć. Śmierć w nocy, rano, śmierć po południu. Cały czas śmierć”.

Ponieważ radzieccy jeńcy byli rejestrowani w obozie i otrzymywali numer ewidencyjny, władze obozu stawały przed problemem, jak wytłumaczyć widniejące w „Totenbuch” (księdze śmierci) nazwiska tysięcy zmarłych. Znalezione rozwiązanie polegające na wymyślaniu różnorodnych chorób, które mogły być przyczyną śmierci - na przykład zarejestrowano 600 „ataków serca” \* [\*Zob. też Irena Strzelecka, „Budowa, rozbudowa oraz rozwój obozu i jego filii” [w:] „Auschwitz 1940-1945” t. 1, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.]. (Problem ten rozwiązano w końcu po przybyciu Żydów, po prostu nie rejestrując w obozie ogromnej większości tych, którzy zostali wyselekcjonowani do natychmiastowej śmierci - oficjalna ewidencja była w ten sposób fałszowana tak, jakby więźniowie ci nigdy nie trafili do obozu).

„Uważano ich za najniższą kategorię istot ludzkich - mówi Kazimierz Smoleń, który razem z radzieckimi więźniami pracował w Brzezince. - Esesmani więcej ich bili i gorzej traktowali. Musieli zostać wytepieni. Padali jak muchy”.

Warunki, w jakich żyli jeńcy radzieccy, były tak straszliwe, że Rudolf Höss był świadkiem aktów ludożerstwa wśród nich. „Sam natknąłem się na Rosjanina leżącego między zwałami cegły, który miał jakimś tępym narzędziem rozpruty brzuch i wyrwaną wątrobę - wspomina. - Zabijali się nawzajem, aby zdobyć coś do jedzenia” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 121.]. Höss opisał w swoich dziennikach wiele takich męczarni, ale nigdzie nie wspomina, w jaki sposób jeńcy radzieccy zostali doprowadzeni do takiego stanu. Fakt, że w nieco ponad sześć miesięcy on i jego towarzysze z SS spowodowali śmierć od 9000 do 10 000 radzieckich jeńców wojennych, najwyraźniej uszedł jego uwagi. A jasne jest, że Höss nie czuje się winny, ponieważ zachowując się jak „zwierzęta”, radzieccy jeńcy postępowali tak, jak przewidywała hitlerowska propaganda. Jeszcze raz hitlerowcy ogłosili samospełniającą się przepowiednię - głodząc i bijąc radzieckich jeńców tak, że zaczęli wyglądać, jak „powinni” wyglądać.

Pawieł Stienkin żył jedną nadzieją, gdy pracował nad siły w Brzezince, cierpiąc choroby i głód, patrząc na swoich towarzyszy, którzy umierali. Wiedział, że zginie, ale „zginąć na wolności było moim marzeniem, niech mnie zastrzelą, ale jako wolnego człowieka”. Razem z grupą towarzyszy zaplanował więc ucieczkę, w pełni zdając sobie sprawę z tego, że szansę sukcesu były małe. Ich plan był bardzo prosty. Pewnego dnia, na wiosnę 1942 roku, zostali wysłani, aby przynieść ciało radzieckiego jeńca leżącego tuż za obrębem obozu. Kiedy minęli druty otaczające obóz, zaczęli krzyczeć „Hura!” i rozbiegli się

w różne strony. Wartownicy w wieżach strażniczych nie wiedzieli przez chwilę, co robić, i nie zaczęli strzelać do uciekinierów z karabinów maszynowych, aż ci ukryli się w pobliskim lesie. Po wielu trwających kilka miesięcy przygodach Paweł Stienkin dotarł do terenów kontrolowanych przez Związek Radziecki, gdzie - jak zobaczymy w rozdziale szóstym - jego cierpienia wcale się nie zakończyły.

W październiku 1941 roku, pracując jednocześnie nad planami nowego obozu dla jeńców w Brzezince, obozowi architekci projektowali również nowe krematorium, mające zastąpić istniejące już urządzenie w głównym obozie. Niedawne publikacje historyków \* [\*Michael Thad Allen „The Devil in the Details: The Gas Chambers of Birkenau, October 1941” [w:] „Holocaust and Genocide Studies”, HGS 16/2, jesień 2002.] sugerują, że zaprojektowany w krematorium system wentylacyjny, umożliwiający usunięcie z jego wnętrza starego powietrza i wprowadzenie nowego oraz odpowiednie umieszczenie przewodów wentylacyjnych, umożliwiał ewentualne wykorzystanie nowego krematorium jako komory gazowej. Z poglądem tym nie zgadzają się inni naukowcy, którzy twierdzą, że w budynku nie znajdowały się urządzenia umożliwiające wsypanie do środka cyklonu B.

Ale nawet jeśli planiści SS przewidywali w październiku 1941 roku, że nowe krematorium ma być wykorzystywane w tych samych celach co stare - które w poprzednich tygodniach było miejscem podobnych eksperymentów z cyklonem B, jakie przeprowadzano w bloku 11 - nie ma podstaw do przypuszczeń, że na tym etapie w obozie oświęcimskim przygotowywano jakiegokolwiek nowe urządzenia do masowego uśmiercania.

W październiku 1941 roku, kiedy architekci opracowywali swoje plany, a jeńcy radzieccy rozpoczęli budowę obozu w Brzezince, Lucille Eichengreen i inni Żydzi z Hamburga przybyli do Łodzi, pierwszego etapu swojej wędrówki do obozu w Oświęcimiu. To, co zobaczyli pierwszego dnia w getcie, było wstrząsające. „Widzieliśmy ścieki płynące rynsztokami - opowiada Lucille. - Widzieliśmy stare, rozpadające się domy, widzieliśmy dzielnicę przypominającą slums. Żadne z nas nie widziało wcześniej slumsu, ale kiedy to zobaczyliśmy, uznaliśmy, że tak właśnie wygląda. Zobaczyliśmy w getcie ludzi, którzy wyglądali na wyczerpanych, półżywych. Nie zwracali na nas uwagi. Nie wiedzieliśmy, co to za miejsce. To wszystko nie miało dla nas sensu”.

Kiedy Lucille tam dotarła, getto w Łodzi było już od osiemnastu miesięcy odizolowane od świata. Głód i choroby od dłuższego czasu dziesiątkowały ludność getta - od momentu założenia zginęło w jego murach ponad 20 procent mieszkańców. Warunki były przerażające; około 164 000 Żydów zostało stłoczonych na obszarze czterech kilometrów

kwadratowych \* [\*Zob. też t. 2 „Encyclopedia of the Holocaust”, Macmillan, New York, s. 902.].

Na początku hitlerowcy nie dali zamkniętym w łódzkim getcie Żydom możliwości zarabiania pieniędzy, którymi mogliby zapłacić za żywność. Arthur Greiser, namiestnik Kraju Warty, okręgu, w którego granicach znajdowała się Łódź, chciał, by Żydzi zostali zmuszeni do oddania posiadanych przez siebie wartościowych przedmiotów pod groźbą śmierci głodowej.

Aby przetrwać w getcie w takiej sytuacji, trzeba było wykazać się sprytem. Jacob Zylberstein \* [\*Wywiad dla BBC.], jeden z pierwszych uwięzionych tam Żydów, handlował z Polakami mieszkającymi tuż za ogrodzeniem z drutu kolczastego otaczającym getto. Nawiązał kontakt z człowiekiem, który zgodził się przerzucić mu nad ogrodzeniem bochenek chleba. Połowę chleba zjadł, a resztę sprzedał i zarobione pieniądze przerzucił przez płot Polakowi, któremu taki handel przyniósł duży zysk: „Pomagał nam przez dwa miesiące... Złapali go i zabili za to. Ale dwa miesiące to bardzo długo”.

Inni Żydzi z getta zamieniali pierścionki z brylantami i inną biżuterię na żywność. W rezultacie Polacy i Niemcy mieszkający po drugiej stronie dorabiali się często fortuny. „Gdybym dostał do ręki coś wartego pięć tysięcy marek za sto marek, to musiałbym być głupi, żeby tego nie kupić - opowiada Egon Zielke \* [\*Wywiad dla BBC.], repatriowany Niemiec mieszkający wtedy w Łodzi, który przyznaje się do czerpania wielkich zysków z handlu z gettem. - Oni [Żydzi] nie najedliby się pierścionkiem, ale mogli za niego dostać kawałek chleba i przeżyć następny dzień albo dwa. Nie trzeba być biznesmenem - to samo życie”.

W sierpniu 1940 roku stało się dla hitlerowców jasne, że Żydzi uwięzieni w getcie nie byli już „darmozjadami” - ponieważ zaczęli głodować. Z typową dla siebie krótkowzrocznością miejscowe władze niemieckie nie przygotowały się na tę nieuniknioną katastrofę. Musiały teraz podjąć decyzję. Czy pozwolić mieszkającym w getcie Żydom umrzeć głodową śmiercią, czy dać im możliwość pracy? Niemiecki szef administracji getta, Hans Biebow, preferował zatrudnienie Żydów, podczas gdy jego zastępca Alexander Palfinger sądził - wbrew temu, co działo się w dzielnicy - że Żydzi wciąż mogą mieć w zapasie trochę pieniędzy i w związku z tym nie powinno się im dostarczać żywności. Jeśli nie miał racji i Żydzi nie mogli już zapłacić za żywność, to „nagle wymieranie Żydów jest dla nas kwestią zupełnie obojętną” \* [\*Zob. też. Christopher Browning, „Path to Genocide”, Cambridge University Press 1992, s. 28-56.].



Hans Biebow wygrał w tym sporze i w getcie zaczęły powstawać zakłady pracy. Ostatecznie powstało tam około stu fabryczek, większość produkująca wyroby włókiennicze. Ci, którzy w nich pracowali, otrzymywali więcej jedzenia niż bezrobotni, dzięki czemu powstała zasada - która później stała się ogólnie przyjęta wśród hitlerowskich administratorów - ścisłego rozgraniczenia pomiędzy Żydami, których Niemcy uznawali za „produktywnych”, i tymi, których uważano za „darmozjadów”.

Hitlerowcy dali Radzie Żydowskiej getta łódzkiego, na której czele zasiadał Chaim Rumkowski, dużą swobodę w zarządzaniu gettem. Rada Żydowska organizowała zakłady pracy, dystrybucję żywności, policję żydowską oraz inne służby. W swoich działaniach nie cieszyła się popularnością wśród reszty Żydów w mieście. „Dostawali specjalne racje - opowiada Jacob Zylberstein. - Mieli specjalne sklepy, gdzie dostawali dobre jedzenie - wystarczająco dużo, żeby dobrze żyć. Byłem bardzo zły, że nieliczna grupa ludzi w getcie jest zaopatrywana [w ten sposób], ale inni nie zwracali na to po prostu uwagi”.

Do takiego właśnie świata trafiła Lucille Eichengreen, razem z matką i siostrą, w październiku 1941 roku - zatłoczonej, nawiedzanej przez choroby dzielnicy, gdzie większość mieszkańców cierpiała głód, a nieliczni żyli na znacznie wyższej stopie niż reszta. Będąc nowymi i niechcianymi przybyszami, niemieccy Żydzi musieli zamieszkać tam, gdzie udało im się znaleźć choć trochę miejsca. „Musieliśmy spać na podłodze klasy w szkole - opowiada Lucille Eichengreen. - Nie mieliśmy pryczy ani słomy, nic. Raz dziennie mogliśmy dostać zupę i mały kawałek chleba”.

„Na pewno byli zdruzgotani - mówi Jacob Zylberstein, który pamięta przybycie niemieckich Żydów. - Sądzę, że to dlatego, że oni [niemieccy Żydzi] zwykle pogardzali polskimi Żydami - byliśmy na pewno o klasę niżej od nich. I nagle zdali sobie sprawę, że spadli na ten sam poziom, a może nawet niżej od nas, ponieważ nie mogli zamieszkać w takich warunkach jak my”.

Niemieccy Żydzi zaczęli sprzedawać wszystko, co mieli, żeby zdobyć dodatkowe jedzenie albo zamieszkać w lepszych warunkach. Lucille Eichengreen miała szczęście - ponieważ jej rodzina pochodziła z Polski, łatwiej im było się targować. „Moja matka zamieniła jedwabną bluzkę na trochę masła i chleba, a handlować umiała bardzo dobrze, bo знаła język. Kilka tygodni później dałam skórzaną portmonetkę kobiecie i w zamian dostałam chleb. Widok kupujących i sprzedających był żalospny - kupujący wyglądali nędznie. My w porównaniu z nimi wyglądaliśmy dość zamożnie, bo wciąż nosiliśmy coś na kształt zachodniego stroju i nie byliśmy tak głodni jak miejscowi. Na przykład, miejscowi Żydzi przychodzili do szkoły i mówili: «Mam wolny pokój i jeśli chcecie przespać noc w łóżku,

dajcie mi albo kromkę chleba, albo ileś tam marek niemieckich, to nie będziecie musieli dziś spać w szkole». Dostawaliśmy bardzo różne oferty”.

Niemieccy Żydzi szybko zdali sobie sprawę, że aby zwiększyć szansę przetrwania, muszą znaleźć w getcie pracę. Ale otrzymanie zatrudnienia było trudne, nie tylko dlatego że stosunki pomiędzy niemieckimi a polskimi Żydami były dość napięte. „Pierwszy transport [niemieckich Żydów] krytycznie wyrażał się o wielu rzeczach w getcie - wspomina Lucille Eichengreen. - Słysząc było uwagi: «To niedozwolone, to niezgodne z zasadami, my ich nauczymy». Cóż, nie można wchodzić do czyjegoś domu i przestawiać mebli, a właśnie to ci ludzie próbowali zrobić”.

Ale największym problemem stojącym przed niemieckimi Żydami był brak „kontaktów” w getcie. „System był ogólnie dość skorumpowany - mówi Lucille. - Ty pomożesz mnie, a ja pomogę tobie. Obcych do niego nie dopuszczano. Kiedy po raz pierwszy próbowałam znaleźć dla siostry miejsce w fabryce kapeluszy, było to niemal niemożliwe, bo kierownicy zakładów odpowiadali mi: «Co będę z tego mieć?». W getcie za wszystko trzeba było w ten czy inny sposób zapłacić. A cena była wysoka - nic nie było tanie. Ale taki właśnie wpływ miało na ludzi życie w getcie. Naprawdę wątpię, czy byli tacy sami przed wojną. Miałam siedemnaście lat i to mną wstrząsnęło”.

Niechęć odczuwana przez mieszkańców getta wobec nowo przybyłych niemieckich Żydów była niczym w porównaniu z rozdrażnieniem, które odczuwali hitlerowscy prominenci we władzach Kraju Warty. Protesty rozpoczęły się już wtedy, kiedy Himmler zaproponował, by deportować 60 000 Żydów ze „starej” Rzeszy do Łodzi. W rezultacie liczba ta została potem zmniejszona do 20 000 Żydów i 5000 Cyganów. Ale nawet taki napływ wciąż stanowił dużą trudność dla Arthura Greisera, gubernatora Kraju Warty. Razem z Wilhelmem Koppe, wyższym urzędnikiem SS i policji w okręgu, próbował znaleźć rozwiązanie problemu przepełnienia w getcie. Na pewno nie będzie niespodzianką, pamiętając o tym, że na wschodzie od lata 1941 roku preferowaną metodą wyjścia z takiego kryzysu był mord, że zaczęli oni rozważać różne sposoby uśmiercania. Zwrócili się o pomoc do SS-Hauptsturmführera Herberta Langego, dowodzącego wtedy specjalnym oddziałem zajmującym się mordowaniem niepełnosprawnych w Prusach Wschodnich i na okolicznych terenach. On i jego oddział wykorzystywali do niektórych egzekucji rodzaj „gazowej ciężarówki” - znajdował się w niej hermetycznie zamknięty przedział, do którego pompowano z butli tlenek węgla - i właśnie zastosowanie tego gazu uznano za najlepsze antidotum na nagłe przepełnienie w getcie.

Według kierowcy SS, Waltera Burmeistera, późną jesienią Lange znalazł miejsce nadające się na bazę dla „gazowych ciężarówek”, które miały być używane w Kraju Warty. Lange powiedział swojemu kierowcy, że „najważniejsza jest absolutna tajemnica. Mam rozkazy utworzenia specjalnego oddziału w Chełmnie. Dołączą do nas kadry z Poznania i z żandarmerii w Litzmannstadt [niemiecka nazwa Łodzi]. Mamy do wykonania trudne, ale ważne zadanie” \* [\*Z zeznań Burmeistera 24/01/1961, s. 3 303 AR-Z 69/59, Bd 4.]. W małej wsi Chełmno, około osiemdziesięciu kilometrów na północny zachód od Łodzi, Lange i jego zespół przygotowywali wiejski pałac - „Schloss” - do tego „trudnego, ale ważnego zadania” masowego mordy. To Chełmno, a nie Oświęcim, miało być pierwszym miejscem uśmiercania wybranych Żydów z łódzkiego getta.

Chełmno nie było jedynym ośrodkiem zagłady budowanym pod koniec 1941 roku. Pierwszego października rozpoczęły się prace przy budowie obozu w Bełżcu \* [\*Heinrich Himmler 13 października 1941 roku w obecności Wyższego Dowódcy SS i Policji w GG SS-Gruppenführera Wilhelma Krügera polecił Dowódcy SS i Policji w dystrykcie lubelskim SS-Brigadeführerowi Odilo Globocnikowi zadanie budowy pierwszego ośrodka masowej zagłady Żydów z ziem polskich. Prace nad budową ośrodka w Bełżcu rozpoczęto w listopadzie 1941 roku (przyp. A.Ż.).] w dystrykcie lubelskim, we wschodniej części Polski. Większość załogi obozu w Bełżcu pracowała przedtem przy programie eutanazji, wśród nich również komendant obozu, SS-Hauptsturmführer Christian Wirth. Leżący w głębi Generalnego Gubernatorstwa Bełżec został najwyraźniej założony - tak jak Chełmno - jako miejsce uśmiercania „nieproduktywnych” Żydów z okolicy. Ale w przeciwieństwie do Chełmna był to pierwszy obóz, w którym od początku przewidywano zainstalowanie stałych komór gazowych, podłączonych do silników wytwarzających tlenek węgla. Była to więc logiczna kontynuacja eksperymentów z uśmiercaniem za pomocą gazu, przeprowadzanych przez Widmanna na wschodzie we wrześniu.

Jednocześnie wciąż trwały deportacje Żydów ze „starej” Rzeszy. Pomiedzy październikiem 1941 roku a lutym 1942 wysłano na wschód 58 000 Żydów, którzy trafili do różnych miejsc, w tym do łódzkiego getta. We wszystkich miejscach, do których ich wywożono, miejscowe władze hitlerowskie musiały w ten czy inny zaimprovizowany sposób poradzić sobie z napływem ludzi, czasem działały na polecenie Berlina, czasem wykazywały się inicjatywą. Około 7000 Żydów z Hamburga zostało wywiezionych do Mińska, gdzie znaleźli schronienie w części getta, która niedawno została dla nich oczyszczona - miejsce to zwolniło się po rozstrzelaniu niemal 12 000 radzieckich Żydów, którzy tam mieszkali. Inni Żydzi, pochodzący z Monachium, Berlina, Frankfurtu i innych miast, zostali wywiezieni do

Kowna na Litwie. Tutaj około 5000 z nich zostało rozstrzelanych przez członków Einsatzkommando 3. Byli to pierwsi niemieccy Żydzi, którzy zostali zamordowani zaraz po przybyciu na wschód.

Inny transport z Berlina dotarł 30 października do Rygi i wszyscy jadący nim ludzie zostali zabici natychmiast po przybyciu. Ale do tego morderstwa doszło wbrew życzeniom Himmlera - zadzwonił przedtem do Heydricha z wiadomością „Żydowski transport z Berlina. Nie likwidować”. Friedrich Jeckeln, dowódca SS, który wydał rozkaz egzekucji, został później upomniany przez Himmlera.

Jak pokazują te wydarzenia, jesienią 1941 roku polityka dotycząca losu niemieckich Żydów nie była konsekwentna - Himmler oprotestował bezpośrednią egzekucję w Rydze, ale nie miał nic przeciwko mordom w Kownie. Jednak mimo tych sprzecznych oznak istnieją wystarczające dowody na to, że decyzja o rozpoczęciu deportacji Żydów z Rzeszy na wschód była momentem przełomowym. W październiku, w czasie rozmowy po oficjalnej kolacji, Hitler powiedział: „Nikt nie może mi powiedzieć, że nie wolno nam ich [Żydów] wysłać do tego bagna! Czy taki ktoś przejmuje się losem naszych ludzi? To dobrze, że boją się nas, gdyż tępiemy Żydów!” \* [”Hitler’s Table Talk 1941-1944”, Phoenix Press 2000.]. Jasne jest też, że wśród hitlerowskich przywódców rozważano już tej jesieni plany wywiezienia na wschód wszystkich Żydów znajdujących się pod niemieckim panowaniem. We Francji Reinhard Heydrich usprawiedliwiał spalenie paryskich synagog, mówiąc, że udzielił swojej zgody na tę akcję „tylko w momencie, gdy wszyscy Żydzi zostali już odkryci przez najwyższe władze, które z całą pewnością uznały, że to właśnie oni są odpowiedzialni za rozniecenie w Europie ognia wojny i muszą ostatecznie zniknąć z kontynentu” \* [\* Peter Longerich, „The Unwritten Order”, Tempus 2001, s. 78.]. W tym samym miesiącu, listopadzie 1941 roku, Hitler, rozmawiając z Wielkim Muftim Jerozolimy, powiedział, że chciałby, żeby wszyscy Żydzi, nawet niepozostający pod niemieckim panowaniem, „zostali zniszczeni” \* [\*Zob. też Gerhard Weinberg, „Allies and the Holocaust” [w:] Michael J. Neufeld i Michael Berenbaum [red.] „Allies and the Holocaust in the Bombing of Auschwitz”, St Martin’s Press, New York, 2000, s. 20.].

Decydując się na deportację niemieckich Żydów, Hitler uruchomił łańcuch przyczynowo-skutkowy, który doprowadził do ich eksterminacji. W Związku Radzieckim mężczyźni, kobiety i dzieci pochodzenia żydowskiego byli już rozstrzeliwani przez plutony egzekucyjne. Jaki miał być los wielu niemieckich Żydów wysyłanych właśnie na te tereny? Linia pomiędzy zabijaniem miejscowych Żydów w celu zrobienia miejsca dla przybywających Żydów niemieckich a zabijaniem od razu niemieckich przybyszów była

najpierw bardzo cienka - jak pokazują działania Jeckelna w Rydze. Rozróżnienie to stało się dla władz Generalnego Gubernatorstwa jeszcze mniej wyraźne, kiedy Galicja, znajdująca się na wschodzie Polski i granicząca z polami śmierci w Związku Radzieckim, znalazła się pod ich zwierzchnictwem \* [\*Oficjalnie dystrykt Galicja powołano 1 sierpnia 1941 roku (przyp. A.Ż.)]. Oddział Einsatzgruppe zabijał galicyjskich Żydów od wielu tygodni i trudno byłoby trwać miejscowym władzom na stanowisku, że Żydów wolno było zabijać w jednej części Generalnego Gubernatorstwa, a w innej nie.

Nie oznacza to jednak, że Hitler i inni przywódcy Trzeciej Rzeszy podjęli jesienią 1941 roku ostateczną decyzję wymordowania wszystkich Żydów znajdujących się pod niemiecką kontrolą. Po pierwsze, faszystowskie państwo nie miało technicznych możliwości popełnienia takiej zbrodni. Jak już widzieliśmy, jedynymi ośrodkami zagłady budowanymi w listopadzie 1941 roku były samochody z komorami gazowymi w Chełmnie oraz małe komory gazowe w Bełżcu. U pewnej niemieckiej firmy zamówiono również w tym czasie budowę dużego, 32-komorowego krematorium w Mohylewie na Białorusi, co niektórzy uznają za dowód na istnienie planów - niezrealizowanych - budowy jeszcze jednego ośrodka zagłady daleko na wschodzie. Wszystkie te inicjatywy można jednak wytłumaczyć chęcią lokalnych władz masowego uśmiercenia miejscowych Żydów, którzy mieli zwolnić miejsce dla przybywających z Niemiec, albo mordowania tych Żydów, którzy zostali uznani za „nieużytecznych”. Przede wszystkim jesienią 1941 roku nie planowano zwiększenia wydajności uśmiercania w obozie w Oświęcimiu. Na pewno projektowano nowe krematorium, ale miało ono tylko zastąpić stare, znajdujące się w obozie głównym.

Ten skomplikowany stan rzeczy miał zostać wyjaśniony, ze straszliwymi konsekwencjami dla Żydów, przez wydarzenia dziejące się wiele tysięcy kilometrów od Europy. Siódmego grudnia 1941 roku Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. Hitler twierdził, że międzynarodowe żydostwo zaaranżowało cały światowy konflikt, a w przemówieniu radiowym do narodu niemieckiego wygłoszonym bezpośrednio po wypowiedzeniu wojny otwarcie mówił, że „żydostwo” manipuluje prezydentem Rooseveltem tak samo jak drugim wielkim wrogiem Hitlera, Józefem Stalinem.

Hitler poszedł jeszcze dalej w przemówieniu do przywódców Trzeciej Rzeszy - Gauleiterów i Reichsleiterów - wygłoszonym 12 grudnia. Tym razem powiązał wybuch „światowej” wojny ze swoim proroctwem głoszonym w Reichstagu 30 stycznia 1939 roku, w którym groził, że „jeśli Żydom uda się wywołać wojnę światową”, rezultatem będzie „eksterminacja Żydów Europy”. Następnego dnia, 13 grudnia 1941 roku, Josef Goebbels, minister propagandy, pisze w swoim dzienniku: „Jeśli chodzi o kwestię żydowską, Führer jest

zdecydowany przeprowadzić czystkę. Przepowiedział Żydom, że jeśli jeszcze raz doprowadzą do wojny światowej, to sprowadzą na siebie zagładę. To nie były puste słowa. Wojna światowa wybuchła, a eksterminacja Żydów musi być nieuniknionym skutkiem. Kwestię tę należy rozpatrywać bez sentymentalizmu”.

Dalszych dowodów na to, że w tym tygodniu wszędzie dawało się słyszeć słowo „eksterminacja”, dostarcza mowa Hansa Franka, władcy Generalnego Gubernatorstwa, wygłoszona do wyższych urzędników hitlerowskich w Krakowie 16 grudnia: „Jako stary narodowy socjalista muszę powiedzieć, że jeśli żydowski klan przetrwa wojnę w Europie, podczas gdy my przelewaliśmy naszą najlepszą krew w obronie kontynentu, to ta wojna zakończy się tylko częściowym sukcesem. Jeśli więc chodzi o Żydów, mogę tylko wychodzić z założenia, że oni znikną... Musimy Żydom eksterminować, gdziekolwiek na nich natrafimy” \* [\*Noakes i Pridham, *op. cit.*, t. 3, s. 1126.]. Frank, który słuchał przemówienia Hitlera 12 grudnia, dodał również, że „w Berlinie” powiedziano mu, że on i ludzie jemu podobni powinni „sami likwidować Żydów”.

Odkrycie terminarza Himmlera w 1990 roku dostarcza dalszych dowodów na związek Hitlera z eksterminacją w tym najważniejszym okresie. Osiemnastego grudnia, po spotkaniu w cztery oczy z Hitlerem, Himmler notuje: „kwestia żydowska - wytępić (*auszurotten*) jako partyzantów” \* [\*Longerich, *op. cit.*, s. 92.]. Odwołanie się do „partyzantów” jest częścią językowego kamuflażu, który pozwalał ukryć mordy dokonywane na Żydach pod przykrywką koniecznych działań zabezpieczających na wschodzie.

Mimo że nie znaleziono żadnego napisanego przez Hitlera dokumentu, który wiązałby go z bezpośrednim rozkazem dokonania „ostatecznego rozwiązania”, przedstawione tutaj dokumenty niewątpliwie dowodzą, że zachęcał on do intensyfikacji antyżydowskich działań w grudniu tego roku i nimi kierował. Jest bardzo prawdopodobne, że nawet bez katalizującego wydarzenia, jakim było włączenie się Stanów Zjednoczonych do wojny, deportacje niemieckich Żydów na wschód, odbywające się na bezpośredni rozkaz Hitlera, doprowadziłyby w końcu do ich eksterminacji. Ale to, co działo się w grudniu, w brutalny sposób pokazało, co Hitler myśli o Żydach. Porzucono kłamliwe wyjaśnienia, że Żydzi mieli być tylko wywożeni i trzymeni w obozach na wschodzie. W ten czy inny sposób wszystkich czekała teraz „eksterminacja”.

Dzień po japońskim nalocie na Pearl Harbor - 8 grudnia - nadszedł następny przełomowy moment w praktycznej realizacji „ostatecznego rozwiązania”. Właśnie tego dnia dotarły do Chełmna pierwsze transporty Żydów, których przeznaczeniem była śmierć w komorach gazowych. Żydzi z Koła, Dąbia, Kłodawy i innych miast i wsi w okolicy zostali

zwiezieni do obozu ciężarówkami (później przywożono ich pociągami do pobliskiej stacji kolejowej w Powierciu). Zabrano ich do sali w pałacu (Schloss) w centrum niewielkiej wsi i nakazano się rozebrać przed „dezynfekcją”. Potem zostali zapędzeni na parter, a dalej korytarzem po drewnianej rampie do pomieszczenia przypominającego zamknięty ciemny pokój. Nie znajdowali się jednak w pokoju, tylko na pace ciężarówki.

Początkowo ciężarówki stosowane w Chełmnie były identyczne z tymi, których używano w poprzednich latach w ramach programu eutanazji. Wykorzystywano w nich tlenek węgla z butli znajdujących się na uszczelnionej pace. Ale kilka tygodni po założeniu obozu przybyły nowe ciężarówki, w których ludzie byli mordowani gazami z rury wydechowej.

Ponieważ uśmiercanie przeprowadzano we wsi, w ciężarówkach stojących w parku przylegającym do pałacu, niemożliwe było utrzymanie mordów w tajemnicy. Zofia Szalek \* [\*Wywiad dla BBC.], jedenastoletnia dziewczynka, która pracowała i bawiła się kilkadziesiąt metrów od miejsca kaźni, była świadkiem przybycia pierwszych transportów: „Strasznie ich [Żydów] bili. Przyjechali w zimie, na nogach mieli drewniane chodaki... Potem się rozbierali. Były tam wielkie sterty ich ubrań... Tych, którzy już byli nadzy, pędzono do ciężarówek. Jaki to był krzyk! Oni tak strasznie krzyczeli, nie można było tego znieść! Kiedyś przywieźli dzieci i te dzieci krzyczały. Usłyszała to moja matka. Powiedziała, że dzieci krzyczały: «Mamo, ratuj!»..

Po uśmierceniu Żydów w pałacu ciała odwożono ciężarówkami do odległego o trzy kilometry lasu rzuchowskiego. „To było słyhać te krzyki, no tych ludzi nie widać, no to, że tamtych ludzi ładują i tam ich mordują. No to... no to było takie piekło, no. Mówiliśmy, że to piekło jest - opowiada Zofia Szalek. - Pasłam krowy przy tej drodze - nie mogłam nie widzieć tych ciężarówek”. Po dotarciu do lasu ciężarówki były rozładowywane przez Żydów, których zmuszano potem do grzebania ciał. Każdego wieczoru Żydów tych zabierano z powrotem do pałacu i zamykano na noc. Co kilka tygodni mordowano ich i wybierano na ich miejsce nowych z kolejnego transportu.

Warunki pracy w lesie stały się wkrótce straszliwe, o czym Zofia Szalek osobiście dowiedziała się od jednego z Niemców służących w Waldkommando („komando leśne”), które zajmowało się grzebaniem ciał. „Przebywał w naszym domu na kwaterze i zawsze mnie wzywał, i mówił: «Wyczyść mi buty!». A potem pytał: «Czy śmierdzą?», a ja odpowiadałam: «Tak». Bo smród był rzeczywiście straszny - rozkładały się ludzkie ciała. Śmierdziało potwornie. Grzebali ciała w rowach, a kiedy zrobiło się ciepło, zwłoki zaczęły gnić”.

Kurt Moebius był członkiem niemieckiej załogi ośrodka w Chełmnie, a po wojnie stanął przed sądem za zbrodnie wojenne. Jego przesłuchanie w więzieniu w Akwizgranie w

listopadzie 1961 roku daje wgląd w psychikę hitlerowskich zbrodniarzy biorących udział w zbrodniach wojennych: „Kapitan Lange powiedział nam, że rozkazy dokonania eksterminacji pochodziły od Himmlera i Hitlera. Jako policjanci byliśmy wyćwiczeni tak, żeby każdy rozkaz od władz uznawać za zgodny z prawem i poprawny... W tamtym czasie wierzyłem, że Żydzi nie byli niewinni, tylko winni. Propaganda wciąż nam wpajała, że wszyscy Żydzi to przestępcy i podludzie, odpowiedzialni za upadek Niemiec po pierwszej wojnie światowej” \* [\*8/11/1961, s. 5-6 2 StL 203 AR-2 69/59 Bd3.].

Głównym powodem założenia ośrodka w Chełmnie była potrzeba wymordowania „nieproduktywnych” Żydów z łódzkiego getta i pierwsze transporty do nowego ośrodka zagłady wyjechały z Łodzi 16 stycznia 1942 roku. Lucille Eichengreen, która mieszkała tam już od trzech miesięcy, następująco przedstawia panujące w getcie nastroje: „Nie chcieliśmy jechać. Uznaliśmy, że nieszczęście, które znamy, jest lepsze od nieznanego”. Teraz, wraz z pojawieniem się nowej presji i strachu przed „selekcjami” do wywozek, straszliwe życie w łódzkim getcie stało się jeszcze gorsze.

Chełmno było kamieniem milowym na drodze do „ostatecznego rozwiązania”. Był to pierwszy zbudowany od początku w tym celu ośrodek zagłady Żydów w hitlerowskim imperium. Jednak Chełmno mogło tak szybko rozpocząć działalność tylko dlatego, że na potrzeby ośrodka zaadaptowano istniejący duży budynek, oraz dzięki istniejącej technologii ruchomych komór gazowych. Ośrodek ten, z punktu widzenia hitlerowskich katów, był w nieunikniony sposób mało wydajny. Niemożliwe było również zachowanie tajemnicy - łatwe pozbycie się ciał. „Niedoskonałości” tych miano unikać w budowanym właśnie nowym obozie śmierci w Bełżcu.

W tym samym czasie, 20 stycznia 1942 roku, cztery dni po pierwszym transporcie Żydów z getta łódzkiego do Chełmna, w należącej do SS willi nad jeziorem Wannsee pod Berlinem odbyło się pewne spotkanie. Konferencja ta miała się okryć złą sławą jako najważniejsze spotkanie w historii hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Jak zobaczymy, jest to reputacja raczej niezасłużona. Spotkanie zostało zwołane przez Reinharda Heydricha, który zaprosił właściwych w tej sprawie sekretarzy stanu do dyskusji na temat kwestii żydowskiej. Do zaproszeń były dołączone kopie pełnomocnictwa Göringa wydanego Heydrichowi 31 lipca 1941 roku, by mógł zajmować się sprawami „ostatecznego rozwiązania” (choć, jak pokazano w rozdziale pierwszym, jest mało prawdopodobne, żeby zwrot „ostateczne rozwiązanie” miał w lipcu 1941 roku to samo znaczenie co w styczniu 1942). Makabrycznym szczegółem jest znajdująca się na zaproszeniach uwaga, że odbywające się w środku dnia spotkanie zakończy się obiadem.



Spotkanie odbyło się pod adresem Am Grossen Wannsee 56-58, w willi będącej kiedyś siedzibą Interpolu, międzynarodowej organizacji koordynującej działania policji - co pasuje do faktu, że zebrani na konferencji ludzie byli rządowymi funkcjonariuszami jednego z największych narodów Europy, a nie pokątną bandą terrorystów, choć ich zbrodnie okazały się większe niż jakiegokolwiek „zwykłe” przestępstwo na świecie. Równie pouczający jest fakt, szczególnie dla tych, którzy lubią mówić o „przestępczej podklasie”, że spośród piętnastu zebranych przy stole w Wannsee uczestników ośmiu miało tytuły doktorskie.

Zaproszenia na tę konferencję zostały wysłane w listopadzie 1941 roku, a datę spotkania wyznaczono na 9 grudnia, ale po nalocie na Pearl Harbor przeniesiono je na późniejszy termin. Jedną z nierozwiązanych zagadek historii jest więc pytanie, jak potoczyłoby się to spotkanie, gdyby wydarzenia na Pacyfiku nie spowodowały opóźnienia. Na pewno intencją zebranych pozostałoby wprowadzenie ostatecznie ludobójczego „rozwiązania” hitlerowskiej „kwestii żydowskiej”, ale być może dyskusja skoncentrowałaby się raczej na powojennym rozwiązaniu albo na próbie zorganizowania prawdziwych obozów pracy dla Żydów deportowanych na wschód - możemy tylko spekulować. Pewne jest jednak, że niezależnie od tego, czy Stany Zjednoczone włączyłyby się do wojny, czy nie, Wannsee i tak byłoby ważnym spotkaniem dla Heinricha Himmlera i Reinharda Heydricha. Jak widzieliśmy, na jesieni 1941 roku w różnych miejscach w imperium hitlerowcy z własnej inicjatywy parli do rozpoczęcia masowego mord. Dla Himmlera i Heydricha konferencja w Wannsee była konieczna przede wszystkim po to, żeby skoordynować różne tego typu akcje i dać wszystkim jasno do zrozumienia, że to SS ma sprawować kontrolę nad całym procesem deportacji.

O tematach poruszonych w czasie tej konferencji wiemy przede wszystkim dlatego, że po wojnie przetrwał jej protokół spisywany przez SS-Obersturmbannführera SS, Adolfa Eichmanna, Heydrichowskiego „eksperta do spraw żydowskich”. Zapiski Eichmanna mają wielkie znaczenie, ponieważ są jednym z nielicznych dokumentów ukazujących, w jaki sposób hitlerowcy obmyślali „ostateczne rozwiązanie”.

Heydrich rozpoczął spotkanie od przedstawienia administracyjnego pełnomocnictwa udzielonego mu przez Göringa, na którego podstawie mógł się uznać za przewodniczącego obrad. Potem obwieścił formalną zmianę polityki hitlerowskiej, o której wszyscy uczestnicy spotkania już niewątpliwie wiedzieli. Zamiast „emigracji” Żydów do krajów niepozostających pod panowaniem hitlerowców, miano teraz przeprowadzić „ewakuację” „na wschód”, do obszarów w niemieckiej strefie wpływów. Ogólnie miało być poddanych tej „ewakuacji” 11 milionów Żydów - liczba ta zawierała kilka milionów Żydów nieznajdujących się jeszcze pod

hitlerowską władzą, w państwach takich jak Irlandia i Wielka Brytania. Po przybyciu na wschód Żydzi ci mieli być rozdzielani według płci, a zdrowi i sprawni fizycznie mieli pracować przy budowie dróg (Heydrich prawdopodobnie ma tu na myśli budowy takie, jak trasa Durchgangstrasse IV \* [\*Wzdłuż „drogi tranzytowej IV” (Durchgangstrasse IV) w dystrykcie Galicja utworzono 76 obozów pracy (w tym w 14 kamieniołomach), z czego 58 tylko dla Żydów (przyp. A.Ż.)], czyli budowana już droga i linia kolejowa prowadząca z Rzeszy na front wschodni). Ci Żydzi, którzy nie zostali wybrani do pracy, mieli - jak jasno wynika z rozumowania Heydricha - zostać natychmiast zamordowani, podczas gdy reszta mogła liczyć jedynie na odroczenie egzekucji, skoro wielu ich miało zginąć od pracy ponad siły. Heydrich wyraził następnie szczególny niepokój z powodu Żydów, którzy mogli przetrwać próbę zamęczenia na śmierć. Właśnie ci Żydzi, wyłonieni przez selekcję naturalną, byli najniebezpieczniejszymi wrogami hitlerowców. Mieli być oni, mówił Heydrich, „odpowiednio potraktowani”. Pozostali uczestnicy spotkania na pewno nie mieli wątpliwości, co Heydrich miał na myśli.

Znaczący jest fakt, że w czasie spotkania nikt nie sprzeciwił się ogólnej zasadzie mordowania Żydów. Zamiast tego dyskutowano przede wszystkim o dokładnej, prawnej definicji „Żyda”, a więc i precyzyjnego określenia, kto miał zostać poddany deportacji. Kwestia, jak postępować z „pół-Żydami”, wywołała żywą wymianę poglądów. Sugerowano, że ludzie ci powinni być sterylizowani i mieć wybór pomiędzy tym zabiegiem a wywózką. Inną propozycją było wysyłanie ich do specjalnego getta - Theresienstadt (czeskie miasto Terezin), gdzie mieli zamieszkać z osobami w starszym wieku i powszechnie znanymi Żydami, których deportacja bezpośrednio na wschód mogłaby wywołać niepokoje wśród Niemców.

Dalsza część dyskusji dotyczyła pilniejszego „problemu” Żydów w Generalnym Gubernatorstwie i na okupowanych terenach Związku Radzieckiego. Na jednym obszarze Żydów mordowano, rozstrzeliwując ich, podczas gdy na drugim budowano już ośrodki zagłady w Bełżcu. Ale na terenach tych wciąż zamieszkiwały miliony Żydów, tak więc Eichmann zanotował w protokole, że wspomniano w tym kontekście o „różnych możliwych rozwiązaniach” - eufemistyczny zwrot ukrywający dyskusję o konkretnych metodach eksterminacji.

Protokół konferencji Am Grossen Wannsee jest pisany celowo niejasnym językiem. Notatki Eichmanna były kilkakrotnie poprawiane przez Heydricha i Müllera, szefa gestapo, aby otrzymać pożądany efekt. Ponieważ protokół miał być dostępny dla wielu osób, został napisany eufemistycznym językiem, który umożliwiał rozumiejącym zawarte w nim sugestie

dokładne wykonanie zaleceń, a jednocześnie brak niedwuznacznych sformułowań sprawiał, że nie poinformowana osoba nie doznałaby szoku, gdyby przypadkiem dostał się w jej ręce. Mimo to protokół pozostaje wyraźnym dokumentem procesu planowania, który doprowadził do hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”, oraz najsilniejszym dowodem powszechnej wśród wyższych urzędników zgody na mające nastąpić mordy.

Ale czy znaczy to, że konferencja w willi nad Wannsee zasługuje na przyznane jej w popularnej świadomości znaczenie jako najważniejszego spotkania w historii zbrodni Holocaustu? Odpowiedzią musi być - nie. Powszechnym błędem jest uznanie, że w czasie tego spotkania hitlerowcy zdecydowali się wprowadzić w życie „ostateczne rozwiązanie”. A to nieprawda. Konferencja miała na pewno swoje znaczenie, ale było to spotkanie wykonawcze, część procesu powiadamiania o decyzjach, które już zostały podjęte na najwyższym szczeblu. Znacznie ważniejsze od dyskusji nad Wannsee były rozmowy, które Hitler odbywał w grudniu 1941 roku. Gdybyśmy dysponowali pełnymi protokołami spotkań Führera z Himmlerem w tym okresie, dowiedzielibyśmy się znacznie więcej o straszliwym toku rozumowania ludzi, którzy przynieśli światu tak wiele cierpienia.

Konferencja Am Grossen Wannsee nie miała bezpośredniego wpływu na obóz w Oświęcimiu. Planów budowy obozu w Brzezince nie zmieniono nagle, by dodać nowe komory gazowe, tego stycznia nie zmieniło się również ogólne życie obozu. Wczesną jesienią 1941 roku zmieniono jednak miejsce eksperymentów z cyklonem B. Uśmiercanie ludzi gazem nie odbywało się już w bloku 11, ale w obozowym krematorium, o metry od biura Hössa w bloku administracji obozu. W ten sposób władze obozu rozwiązały jeden problem - ciała z bloku 11 nie musiały być już przewożone przez cały obóz w specjalnym wózku („rolwadze”) do krematorium, ale pojawił się nowy, ponieważ morderstwa miały być teraz dokonywane w kostnicy przy piecach krematoryjnych, a nie w głęboko ukrytych piwnicach bloku 11.

Jerzy Bielecki był na początku 1942 roku świadkiem przybycia radzieckich jeńców wojennych, którzy mieli zostać uśmierceni gazem w nowym miejscu: „W nocy [kiedy siedział w swoim baraku] usłyszałem na zewnątrz jakiś ruch. Powiedziałem: «Chłopaki, co się dzieje? Zobaczmy». Podeszliśmy do okna i usłyszeliśmy nagle krzyki i jęk, widać było grupę zupełnie nagich ludzi biegnących w kierunku krematorium. Esesmani też biegli, z pistoletami maszynowymi w rękach. Wszystko to widzieliśmy w świetle lamp stojących przy płocie. Padał śnieg i był mróz, minus piętnaście albo dwadzieścia stopni. Wszyscy jęczeli i krzyczeli z zimna. To był straszny odgłos. Nigdy czegoś takiego jeszcze nie słyszałem. Nadzy wchodzili do komory gazowej. To był straszliwy, piekielny widok”.

Nie tylko jeńcy radzieccy niezdolni do dalszej pracy byli uśmierceni w ten przerażający sposób. Niewielkie grupy wybranych Żydów z Górnego Śląska, niezdolnych do dalszej ciężkiej pracy, trafiły do obozu, gdzie ich zabijano. Nie ma obozowych dokumentów zawierających dokładne daty tych egzekucji, ale zeznania świadków sugerują, że w ograniczonym zakresie dochodziło do nich już jesienią 1941 roku. Hans Stark, esesman, który służył w Oświęcimiu, zeznał: „W czasie następnego, późniejszego gazowania - również jesienią 1941 roku - Grabner [Maximillian Grabner, szef wydziału politycznego w obozie] rozkazał mi wsypać do otworu cyklon B, ponieważ był obecny tylko jeden adiutant medyczny. Podczas gazowania trzeba było wsypywać cyklon B jednocześnie przez oba otwory komory gazowej... Ponieważ - jak już mówiłem - cyklon B był proszkiem, rozsypywał się na ciałach ludzi. Zaczęli okropnie krzyczeć, kiedy zrozumieli, co się z nimi dzieje. Nie patrzyłem przez otwór, ponieważ po wsypaniu cyklonu B trzeba go było zamknąć. Po kilku minutach komora gazowa została otwarta. Wszędzie leżały w niej powyginane ciała. To był okropny widok” \* [\*E. Klee, W. Dressen, V Riess, *op. cit.*, s. 255.].

Uśmiercanie w obozie Żydów z okolicy, których uznano w wyniku selekcji za „nieproduktywnych”, było kontynuowane bez zmian w czasie tygodni po konferencji Am Grossen Wannsee. Józef Paczyński \* [\*Wywiad dla BBC.], więzień obozu oświęcimskiego, który pracował w budynku administracyjnym SS stojącym obok krematorium, był świadkiem przybycia na wiosnę 1942 roku grupy właśnie takich Żydów, wysłanych do obozu na śmierć. Wspiął się na strych budynku administracji, podniósł dachówkę i miał stamtąd dokładny widok na scenę rozgrywającą się przed krematorium. „I oni [esesmani] bardzo grzecznie się z tymi ludźmi obchodzili - opowiada Józef Paczyński. - «Rozbierajcie się, tu sobie spakujcie swoje rzeczy, tu to... tu to...». A ci ludzie rozebrali się; potem zapędzono ich do środka [krematorium] i zamknięto za nimi drzwi. I wtenczas na ten płaski dach tego budynku wyszedł esesman. Nałożył maskę, odsunął zasuwę i wsypał proszek. Wtenczas, jak to zrobił, mimo że te mury były bardzo grube, było słyhać wielki krzyk tam, ze środka, mimo że były grube mury. To się działo wszystko w porze obiadowej, w porze dnia”. Cierpiący w obozie już od dwóch lat Paczyński nic nie czuł, kiedy zobaczył tych ludzi idących na śmierć. „Jak się czuje człowiek? Tak jak, proszę panią... człowiek zubożał w tym-wszystkim, wie pani. Dziś ty, jutro ja”.

Najważniejsze w nowej metodzie uśmiercania było uspienie czujności Żydów. Władze obozu zdały sobie sprawę, że więźniowie spoza obozu nie musieli być do komory gazowej zapędzani biciem i kopniakami. Nowa metoda polegała na przekonaniu nowo przybyłych, że wejście do zaimprovizowanej komory w krematorium było normalną częścią procedury

przyjęcia do obozu - nie mieli zostać zabici, tylko „wydezynfekowani” w łaźni. Był to dla hitlerowców pomysł o przełomowym znaczeniu. Rozwiązywał on wiele trudności stojących wcześniej przed oddziałami zabójców. Nie tylko łatwiej było wprowadzić ludzi do komory, uciekając się do oszustwa, a nie do brutalnej siły, procedura ta miała również mniej destrukcyjny wpływ na psychikę samych zabójców. Rozwiązywała także praktyczną trudność w zgrabianiu przedmiotów należących do ofiar. Wiele z wcześniejszych mordów przeprowadzano na ubranych więźniach, których, jak się okazało, trudno było po śmierci rozebrać. Teraz więźniowie rozbierali się sami - a nawet schludnie składali ubrania i wiązali ze sobą zdjęte buty.

Perry Broad \* [\*NB: Perry Broad przybył do Oświęcimia w kwietniu 1942.], esesman z obozu w Oświęcimiu, opisał szczegółowo, jak tworzono przyjazną atmosferę wokół więźniów. Przypomina sobie, jak Maximillian Grabner stał na dachu krematorium i mówił do zgromadzonych poniżej Żydów: „Teraz wykąpiecie się i zostaniecie wydezynfekowani. Nie chcemy w obozie epidemii. Potem zostaniecie odprowadzeni do swoich baraków, gdzie dostaniecie ciepłej zupy. Zostaniecie zatrudnieni zgodnie z waszymi kwalifikacjami zawodowymi. Teraz rozbierzcie się i połóżcie ubrania przed sobą na ziemi” \* [\*”KL Auschwitz as seen by the SS”, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1998, s. 129.]. Następnie esesmani grzecznie zapraszali nowo przybyłych do krematorium, „rzucając dowcipami i rozmawiając wesoło”. Według Broada jeden z nich krzyknął przez drzwi, kiedy zostały hermetycznie zamknięte: „Nie poparzcicie się tam w kąpielii!” \* [\**Ibid.*, s. 130.].

Mimo zalet tej śmiertelnej ułudy Höss i jego współpracownicy szybko zdali sobie sprawę, że wykorzystanie obozowego krematorium jako miejsca kaźni stwarzało dla nich również trudności. Największym problemem były krzyki umierających ludzi. „Żeby zagłuszyć ten krzyk - opowiada Józef Paczyński - to na chodniku koło tego krematorium stały dwa motory, na pełnym gazie, ale wydawały wielki huk, żeby zagłuszyć ten krzyk. Krzyk trwał piętnaście-dwadzieścia minut: słabło, słabło, słabło i ucichło. Mieli te motory, żeby zagłuszyć krzyki, ale one nie były dość głośne. Spróbowali je, ale to nic nie dało”. Odgłosy wydawane przez umierających w komorze gazowej nigdy nie zostały w odpowiedni sposób zagłuszone silnikami, a mała odległość krematorium do pozostałych budynków obozu uniemożliwiała ukrycie egzekucji przed innymi więźniami. Höss i oficerowie SS postanowili więc wymyślić inny sposób dokonywania mordów. Czyniąc to, nie tylko nie ograniczali się do „wykonywania rozkazów”, ale jeszcze raz okazali własną inicjatywę.

W tym czasie, wraz z rozpoczęciem uśmiercania gazem Żydów spoza obozu, Oświęcim rozpoczął transformację w jedyną w swoim rodzaju instytucję w hitlerowskim

imperium. Z jednej strony część więźniów wciąż przyjmowano do obozu, przyznawano im numer i nakazywano pracować! Z drugiej zaś pewna grupa ludzi miała być mordowana w kilka godzin - czasem minut - od przybycia. Żaden inny obóz hitlerowski nie działał w ten sposób. Istniały ośrodki zagłady - jak Chełmno - albo obozy koncentracyjne - jak Dachau - ale było tylko jedno Auschwitz \* [\*Majdanek został założony w październiku 1941 roku pod Lublinem jako obóz dla radzieckich jeńców wojennych. Później trafiali do niego głównie Żydzi i Polacy, zbudowano również niewielką komorę gazową, w której ludzi uśmiercano cyklonem B. Obozu na Majdanku nie można jednak porównywać z Auschwitz, ponieważ był mniejszy i nie uśmiercano w nim tak wielu ludzi. Poza tym Majdanek nigdy nie spełniał funkcji obozu koncentracyjnego.].

Spełnianie tej podwójnej funkcji oznaczało, że wielu więźniów obozu w Oświęcimiu żyło i pracowało w instytucji, która jednocześnie zabijała innych, spędzających w obozie tylko kilka chwil przed śmiercią. Dla Żydów z okolicznych terenów, którzy nie mogli pracować, obóz był miejscem natychmiastowej egzekucji; dla Polaków, którzy przetrwali w obozie od jego założenia, stał się on spaczonym rodzajem domu. Józef Paczyński, kiedy był świadkiem morderstw w obozowym krematorium, siedział w obozie już od dwudziestu miesięcy. Niewielu tych, którzy przybyli latem 1940 roku, przetrwało tak długo, chyba że udało się im znaleźć pracę w jakimś budynku, „pod dachem”, i Józef Paczyński nie był tutaj wyjątkiem. Udało mu się zostać jednym z fryzjerów, którzy ścinaли włosy esesmanom. Było to stosunkowo uprzywilejowane stanowisko, na tyle że Paczyński stał się jednym z nielicznych więźniów, którzy bezpośrednio stykali się z samym komendantem obozu - regularnie odwiedzał nawet jego dom. „Mniej więcej co półtora tygodnia przychodził taki podoficer z kompanii wartowniczej, zaprowadzał mnie i ja tego Hössa strzygłem. Zabierał mnie do willi Hössa przy bramie, widywałem tam jego żonę. Poszedłem na górę do łazienki, gdzie stało krzesło, wszedł Höss i usiadł na nim. Miał w ustach papierosa i czytał gazetę. Obciąłem go tak samo jak poprzednio. To nie było trudne. *Kein Word*. On do mnie ani słowa, a ja... a ja też, bo ja się bałem, a on się brzydził więźniów. Wie pani, to było takie... było takie. Przecież miałem brzytwę w ręce, mogłem go złapać i ciach. Mogło tak być. Ale przecież ja jestem istota żyjąca i myśląca. Pani wie, co by się działo? Cała moja rodzina by poszła. Pół obozu by poszło. A na jego miejsce by przyszedł kto inny”.

Mimo że morderstwo miałoby katastrofalne skutki dla Józefa Paczyńskiego i jego rodziny, zdawał on sobie sprawę, że kradzież, „organizowanie”, była koniecznością, jeśli chciało się przetrwać. W baraku Paczyński spał obok przyjaciela, Stanisława [Stasia] Dubiela, który był ogrodnikiem w willi Hössa. „Leżąc obok Stasia, powiedziałem: «Czy nie

moglibyśmy wziąć trochę pomidorów z jego [Hösssa] ogrodu?». A on odparł: «To jest możliwe»,,. Ogród Hössa graniczył z krematorium, a w jego ogrodzeniu była obluzowana deska. „Wejdz tamtędy do ogrodu - powiedział Dubiel Józefowi - a znajdziesz cebule i pomidory”.

Uzgodnionego dnia Józef Paczyński wszedł do ogrodu Hössa przez obluzowaną deskę w płocie i znalazł, zgodnie z obietnicą, wiadra z pomidorami i cebulą. „Wziąłem je i właśnie miałem iść, kiedy nadeszła żona Hössa i jeszcze jakaś inna kobieta. Cofnąłem się więc i ukryłem w krzakach. A kiedy myślałem, że sobie poszły, wyszedłem, ale one wciąż stały na ścieżce i rozmawiały. Ukłoniłem się i przeszedłem obok nich, niosąc cebulę i pomidory. Byłem cały mokry [od potu]. Myślałem, że to już koniec ze mną - złapali mnie na kradzieży pomidorów i koniec ze mną. Tego wieczora czekałem, aż zabiorą mnie do bloku 11, ale nikt po mnie nie przyszedł. Stasiu wrócił z pracy i rzekł: «Nie martw się, żona Hössa wszystko mi opowiedziała, a ja wyjaśniłem jej, że ci to dałem»,,.

Przygoda Józefa Paczyńskiego i jego przyjaciela jest ciekawa z wielu powodów, nie tylko dlatego, że pokazuje różne strony rozwijających się związków pomiędzy Niemcami i grupą lepiej traktowanych polskich więźniów. Kiedy przyjaciel Józefa Paczyńskiego, Stanisław, wytłumaczył żonie Hössa, że sam pozwolił mu wziąć wiadra z cebulą i pomidorami, naraził się na karę za tę kradzież. Przecież gdyby ogrodnikom wolno było brać sobie warzywa, nie trzeba by było zakradać się do ogrodu Hössa przez obluzowaną deskę w płocie. Ale Stanisław Dubiel wiedział, że żona Hössa najprawdopodobniej mu przebaczy - ponieważ istniała pomiędzy nimi relacja. Oczywiście była to relacja, którą hitlerowcy określiliby jako związek pomiędzy „aryjskim” władcą i „słowiańskim niewolnikiem”, ale zawsze był to jakiś związek. Donosząc na Dubiela, żona Hössa nie domagałaby się ukarania bezimiennego więźnia, którego przyłapała na kradzieży - co przysłoby jej zapewne łatwo - ale wysyłałaby na mękę kogoś, kto dla niej od pewnego czasu pracował.

Taka dynamika stosunków dawała się wielokrotnie zauważyć w obozie. Więźniowie opowiadają, jak najlepszą gwarancją przetrwania (po znalezieniu pracy „pod dachem”) było stanie się użytecznym dla określonego Niemca. Jeśli Niemiec ten czerpał korzyści z pracy więźnia, zaczynał się nim opiekować - a nawet chronił go przed karami i w pewnych wypadkach przed śmiercią. Nie znaczy to, że istniała pomiędzy tymi dwoma ludźmi jakaś więź - choć nawet to okazywało się możliwe - po prostu zbyt trudno było znaleźć i wyszkolić nowego więźnia na miejsce poprzedniego.

Znalezienie sobie obdarzonego władzą Niemca jako sposób na przetrwanie nie należało do sposobów stosowanych tylko w Oświęcimiu, było również częstym zjawiskiem w

życiu gett. Tylko w nich władzę nad życiem i śmiercią mógł mieć zarówno Niemiec, jak i Żyd.

Z upływem miesięcy warunki, w jakich w łódzkim getcie żyła Lucille Eichengreen oraz jej matka i siostra, stale się pogarszały. „Jedzenia nie było dość, żeby utrzymać się przy życiu - opowiada. - Nie było mleka, mięsa ani owoców, niczego”. Jedyнным sposobem na poprawienie swojej sytuacji było znalezienie pracy, ponieważ praca oznaczała „dodatkową zupę w porze obiadowej”. Lucille krążyła więc po ulicach getta od jednego zakładu pracy do drugiego, szukając pracy.

Ale do maja 1942 roku Lucille wciąż nie udało się znaleźć pracy i razem z rodziną została wpisana na listę osób przeznaczonych do wywiezienia: „Wszyscy [na liście] byli bezrobotni, a około dziewięćdziesięciu procent z nich to nowo przybyli”. Ale Lucille wiedziała, że ma jedną przewagę nad innymi niemieckimi Żydami na liście. Ona i jej rodzina miała, dzięki pochodzeniu ojca, związki z Polską. „Chodziłam z naszymi polskimi paszportami od biura do biura, próbując uzyskać skreślenie z tej listy, i w końcu mi się udało. Nie wiem jak, ale dokonałam tego. I zostaliśmy”. Lucille Eichengreen jest w głębi duszy pewna, że jej polskie korzenie uratowały ją i jej rodzinę. „Chcieli tym transportem wywieźć wszystkich niemieckich Żydów z getta - wspomina. - A ja mogłam udowodnić, że chociaż przyjechaliśmy z Niemiec, to nie byliśmy Niemkami. To nie musiało mieć znaczenia, ponieważ wszyscy byliśmy Żydami, ale okazało się, że jednak ma”. Pomiedzy styczniem a majem 1942 roku wywieziono z getta łódzkiego i zamordowano w Chełmnie 55 000 Żydów. Wywózki te odbyły się z rozkazu Niemców, ale - co było kolejną cyniczną i obłudną polityką prowadzoną przez hitlerowców - żydowskie władze getta były zmuszane do uczestniczenia w decydowaniu, kto ma zostać wywieziony.

Trudy życia w getcie miały dotkliwy wpływ na matkę Lucille. „Moja matka przestała się wszystkim interesować. Nie robiła już prawie nic; spuchła od głodu, co znaczyło, że zbierała się w niej woda. Nie mogła normalnie chodzić. Umarła 13 lipca 1942 roku w getcie. Po getcie krążył mały czarny wagon ciągnięty przez szarego konia, który każdego ranka zabierał zmarłych i zabrał też moją matkę. Minął więcej niż tydzień, co jest niezgodne z żydowskim obyczajem, według którego trzeba ludzi chować następnego dnia, aż w końcu znalazłyśmy z siostrą puste miejsce, wykopałyśmy grób i zabrałyśmy matkę. Nie było trumien, tylko dwie deski związane sznurem. Musiałyśmy je znaleźć w wielkim budynku obok cmentarza, w którym nie było nic, tylko zwłoki, niepochowane ciała. Pogrzebałyśmy matkę i zostawiłyśmy na jej grobie małą drewnianą tabliczkę, która oczywiście wkrótce zniknęła. Pięćdziesiąt lat później próbowałam znaleźć ten grób, ale mi się nie udało”.



Lucille i jej młodsza siostra zostały teraz same w getcie - dwie sieroty musiały sobie jakoś dawać radę. „Nie czułyśmy nic - opowiada. - Nie zmówiłyśmy modlitwy, nie płakałyśmy, byłyśmy tylko otępiałe. Wszystko się skończyło. Wróciłyśmy do pokoju, w którym mieszkaliśmy w tłoku z innymi, a moja siostra przestała mówić. Odebrało jej mowę. Była bardzo inteligentna, wysoka i ładna, ale nie pozostało jej już nic do powiedzenia. Nie miała nikogo na świecie i matka kazała mi przyrzec, że będę się nią opiekować, a ja nic nie mogłam zrobić. Próbowałam i nie mogłam”.

Dwa miesiące później Niemcy sami wkroczyli do getta, żeby dokonać selekcji, szukając osób niezdatnych do pracy - starszych, chorych i dzieci. Rumkowski, zarządzający z ramienia Żydów łódzkim gettem, poprosił mieszkające w nim matki o oddanie swoich dzieci Niemcom. „«Oddajcie swoje dzieci, żeby reszta z nas mogła żyć» [powiedział]. Miałam siedemnaście lat, kiedy usłyszałam to przemówienie - wspomina Lucille. - Nie mogłam zrozumieć, jak ktoś może prosić rodziców o ich dzieci. Wciąż nie mogę tego zrozumieć. Ludzie wołali: «Jak możesz o coś takiego prosić? Jak mamy to zrobić?». Ale on odpowiedział, że jeśli tego nie zrobimy, to będzie jeszcze gorzej”.

Lucille robiła wszystko, co mogła, żeby uchronić młodszą siostrę przed wywiezieniem - nakładała jej makijaż oraz zachęcała, żeby starała się wyglądać na zdrową i silną. Lucille mogła mieć jakąś nadzieję - sądziła, że siostra jest prawdopodobnie bezpieczna, ponieważ miała dwanaście lat, a „granicznym” wiekiem selekcji było jedenaście. Ale kiedy Niemcy przyszli, siostra i tak została zabrana: „Zabrali moją siostrę - choć mieli tego nie robić. Próbowałam wsiąść za nią do ciężarówki. W końcu ktoś uderzył mnie karabinem w ramię i nie mogłam wsiąść, a oni odjechali”.

Patrząc z rozpaczą, jak jej młodszą siostrę wywożą z getta, Lucille nie miała pojęcia, że jest ona zabierana prosto na śmierć. „Nigdy się nawet nie zastanawialiśmy, co oni robili z dziećmi albo starszymi ludźmi, którzy nie mogli pracować. Nie rozumowaliśmy wystarczająco racjonalnie, żeby się domyślić. Po prostu zakładaliśmy, że będą żyć”.

Zupełnie sama i zdruzgotana Lucille zmuszała się do dalszych poszukiwań pracy w getcie. Co istotne, kiedy udało się jej w końcu znaleźć zatrudnienie, otrzymała je dzięki jednemu ze swoich nielicznych „kontaktów” u znajomego Żyda z Hamburga. Przekonał on Rumkowskiego, że w getcie są potrzebne „upiększenia”, takie jak parki i place, i Lucille pracowała przy ich planowaniu. Po kilku miesiącach Rumkowski rozwiązał ich wydział, ale Lucille nawiązała przydatne znajomości. Nowa znajoma z Wiednia pracowała w innym wydziale w tym samym budynku i dzięki jej pomocy Lucille udało się znaleźć kolejną pracę - wypełnianie podań o węgiel na zimę, które miały być wysyłane do Niemców. Życie w getcie

zdażyło ją już nauczyć trudnej lekcji: „Nikommu nie można było ufać, bo gdybym powiedziała coś koleżance, ta natychmiast by to wykorzystała. Trzeba było zachować ostrożność. Wielu ludzi próbowało zaszkodzić innym za ich plecami i łatwo się domyślić dlaczego - to była sprawa życia lub śmierci”.

Pewnego dnia do biura przybył Rumkowski, żeby wybrać ludzi do pracy w nowym zakładzie w getcie. Lucille była „przeżrana” perspektywą spotkania z nim - ten sześćdziesięciosześcioletni mężczyzna, mogący być jej dziadkiem, miał złą reputację. „Słyszałam plotki. Wiedziałam, że jest złośliwy. Kiedy był na kogoś zły, potrafił wziąć trzcinkę i zacząć bić. Dzięki Niemcom był na terenie getta absolutnym dyktatorem. Sądzę, że większość ludzi się go bała”. Ukryła się na korytarzu i starała nie zwracać na siebie uwagi, ale jej nazwisko było na jakiejś liście i w końcu została wezwana do Rumkowskiego. „Siedział na krześle. Miał siwe włosy i przyciemnione okulary. W prawej ręce trzymał trzcinkę i wydało mi się nagle, że wygląda jak król na tronie. Zapytał mnie, skąd jestem, jakie znam języki, co robił mój ojciec i gdzie jest moja rodzina, jeśli jeszcze mam rodzinę. Odpowiedziałam na jego pytania, a on zakończył rozmowę, mówiąc: «Jeszcze się do ciebie odezwę». Nie przywiązywałam do tego dużej wagi”.

Po wizycie Rumkowskiego szef Lucille przeniósł ją do wydziału statystycznego. „Nie wiem, czemu mnie przenieśli. Możliwe, że chcieli mnie ukryć, bo to było bardzo ciche, tajne biuro”. Później jednak zadzwonił ktoś z biura Rumkowskiego - wzywał Lucille. Kiedy zgłosiła się w głównym budynku administracji, znalazła tam już kilka kobiet w swoim wieku. Rumkowski dał im wszystkim pracę w kuchni mającej wydawać posiłki „zasłużonym pracownikom”. Niektóre z młodych kobiet zostały kelnerkami w jadalni, a inne, jak Lucille, pracowały w przyległym biurze. „Powiedział, że mnie zatrudni, miałam decydować, ile porcji można na przykład wydać z pięćdziesięciu kilogramów czerwonych buraków”. W nagrodę za pracę w nowej kuchni obiecano Lucille codziennie dodatkowy posiłek. „To był bardzo znaczący gest - opowiada. - Jak by się to teraz powiedziało, to była supersprawa”. Kiedy odchodziła do pracy w kuchni, jej szef na pożegnanie jednym słowem ostrzegł ją przed Rumkowskim: „Jeśli dobrze pamiętam, to użył polskiego słowa «świntuch»,”. Szef Lucille miał rację. W niemal każdym założonym przez hitlerowców getcie żydowski naczelnik zachowywał się odpowiedzialnie - ale nie w Łodzi. Rumkowski był znany z tego, że umieszczał na listach deportacyjnych ludzi, których chciał się pozbyć, a oprócz tego, jak wkrótce miała się przekonać Lucille, dopuszczał się również bardziej osobistych występków.

Kiedy Lucille zaczęła pracować w kuchni, szybko zobaczyła, że było to jedno z ulubionych zajęć Rumkowskiego. Niemal każdego wieczora składał tam wizyty - które

zaczęły napełniać ją strachem: „Słysząc było, jak przyjeżdża dorożką. Wchodził do kuchni i przyglądał się kelnerce i jeśli fartuch nie był poprawnie zawiązany, bił ją trzcinką. Spoglądał na jedzenie, ale go nie próbował, to by było poniżej jego godności. A potem szedł do biura i słysząc było jego nierówny krok w korytarzu, tak jakby kulał. Byłam w biurze sama, a on podsuwał sobie krzesło i ucinał sobie ze mną pogawędkę. Mówił, ja słuchałam. I molestował mnie. Brał mnie za rękę, kładł ją sobie na penisie i mówił: «Rozpal go»... Cały czas odsuwałam się od niego, a on wciąż się do mnie przysuwał, to było straszne. Byłam tym wstrząśnięta, chciał, żebym wprowadziła się do mieszkania, do którego tylko on miałby dostęp, a ja zaczęłam płakać - nie chciałam się tam wprowadzać. Nie mogłam zrozumieć, jak można było czegoś takiego żądać... ale seks w getcie był bardzo cennym towarem i handlowało się nim jak każdą inną rzeczą”. Lucille na pewno niechętnie uczestniczyła w tym „handlu”, ale wiedziała, że jeśli nie pozwoli Rumkowskiemu się wykorzystywać, to będzie „ryzykować życie”. „Gdybym uciekła, kazałby mnie wywieźć - nie było co do tego żadnych wątpliwości”.

„Rumkowski wykorzystywał młode kobiety - potwierdza Jacob Zylberstein, który był świadkiem, jak zachował się naczelnik getta, kiedy wpadła mu w oko jakaś kobieta. - Siedzieliśmy w jadalni, a on po prostu wszedł, otoczył ją ramieniem i wyprowadził. Widziałem to. Nikt mi o tym nie powiedział, ja to widziałem”. Jacob Zylberstein również uważa, że życie kobiety mogło znaleźć się „w niebezpieczeństwie”, jeśli nie spełniała życzeń Rumkowskiego. „Osobiście go nie lubiłem - mówi, opisując swoje uczucia wobec Rumkowskiego. - Nie lubiłem tego, co sobą reprezentował”.

Po kilku tygodniach kuchnia została zamknięta i Lucille wysłano do zakładu pracy w getcie produkującego pasy do mundurów dla armii niemieckiej. Nigdy więcej nie zobaczyła Rumkowskiego. Pozostały tylko psychiczne rany, które jej zadał. „Czułam wstręt, czułam gniew i czułam się wykorzystana”.

W 1944 roku Lucille Eichengreen i Rumkowski zostali razem z innymi Żydami wywiezieni do Oświęcimia, kiedy likwidowano getto. Rumkowski i jego rodzina zginęli w komorze gazowej w Brzezince. Lucille, jako młoda kobieta, została wyznaczona nie do natychmiastowej śmierci, ale do pracy i uszła z życiem po klęsce hitlerowskich Niemiec w maju 1945 roku.

Lucille Eichengreen trafiła ostatecznie do obozu w Oświęcimiu po niemal trzech latach od wywiezienia z Niemiec. Ale pierwsi Żydzi spoza Polski zostali wysłani do Oświęcimia już wiosną 1942 roku, a sposób, w jaki trafili do obozu, jest jednym z najbardziej

zaskakujących i wstrząsających epizodów w historii hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”.

Żydzi ci przybyli ze Słowacji, której północna granica znajdowała się niecałe sto kilometrów od Oświęcimia. Słowacja miała skomplikowaną historię i jako niepodległe państwo zaczęła istnieć dopiero trzy lata wcześniej, w marcu 1939 roku, po hitlerowskiej aneksji sąsiadujących z nią Czech i Moraw. Przed 1939 rokiem Słowacja była częścią Czechosłowacji, a przed 1918 rokiem - Węgier.

Nowe państwo słowackie było rządzone przez ultranacjonalistyczną Słowacką Partię Ludową Andreja Hlinki, której przywódcą był wtedy Józef Tiso \* [\*Andrej Hlinka (1864-1938) - ksiądz katolicki i założyciel SPL. Josef Tiso (1887-1947) - ksiądz katolicki, od marca 1939 roku premier, a od października 1939 roku prezydent podporządkowanej Rzeszy Niemieckiej Słowacji (przyp. A.Ż.)] - ksiądz katolicki. Pod rządami Tisy Słowacja sprzymierzyła się z hitlerowcami, a traktat o protektoracie umożliwił Niemcom sprawowanie kontroli nad słowacką polityką zagraniczną. Słowackie władze z zapałem wdrażały antysemitkę politykę przeciw 90 000 mieszkających w tym kraju Żydów - szybko wprowadzono przepisy umożliwiające zagarnięcie żydowskich przedsiębiorstw, zachęcające Żydów do emigracji, wykluczające Żydów z życia publicznego i nakazujące im noszenie żółtej opaski z gwiazdą Dawida. Efekty tej polityki były błyskawiczne i przerażające.

„Zdałam sobie sprawę, że jestem wyrzutkiem - opowiada Eva Votavova \* [\*Wywiad dla BBC.], wtedy czternastoletnia uczennica. - Nie byłam już osobą godną szacunku. Wyrzucono mnie z gimnazjum. Żydom nie wolno było mieć różnych rzeczy - zabroniono posiadania nieruchomości. Zanim to się stało, mieszkałam na wsi, gdzie dorastałam z innymi dziećmi i byłam traktowana jak równa im osoba”.

Uderzającą cechą prześladowań słowackich Żydów jest szybkość, z jaką przyjaciele stali się wrogami. Nie nastąpiła stopniowa transformacja - zmiana zaszła tak, jakby ktoś przekręcił przełącznik. „Chłopcy zaczęli się zachowywać jak hitlerowcy - opowiada Otto Pressburger \* [\*Wywiad dla BBC.], słowacki Żyd, który miał w 1939 roku piętnaście lat. - Przedtem byli naszymi kolegami. Kiedyś nie było pomiędzy nami żadnej różnicy - pomiędzy żydowskimi i chrześcijańskimi dziećmi. Jako malcy bawiliśmy się razem. Potem pojawiły się znaki «Żydom i psom wstęp wzbroniony». Nie wolno nam było chodzić po chodnikach. To było straszne. Nie mogłem pójść do szkolnego kina albo na mecz piłki nożnej, tylko musiałem siedzieć z rodzicami w domu; wcześniej dużo wychodziłem z kolegami”. Dla Ottona Pressburgera było jasne, co stoi za tą nagłą zmianą nastawienia wobec Żydów - chciwość. „Na ścianach wisiały plakaty wzięte z niemieckich gazet, pokazujące Żyda z

wielkim nosem i worem pieniędzy na ramieniu. Za nim stał gwardzista Hlinki i kopał go w siedzenie tak, że pieniądze wylatywały z wora. W całym mieście rozwieszono mnóstwo takich plakatów”.

Słowacka Gwardia Hlinki była formacją przeznaczoną do działań przeciw Żydom, podobnie jak hitlerowskie bojówki SA odznaczającą się brutalnym antysemityzmem. „Słowacy z zadowoleniem przejmowali [żydowskie] sklepy i bogacili się - opowiada Michał Kabáč \* [\*Wywiad dla BBC.], członek Gwardii Hlinki. - Oni [Żydzi] mieli wcześniej sklepy i wszystkich oszukiwali. Nie pracowali, tylko chcieli dostatnio żyć. Mieli to we krwi. Na całym świecie była taka polityka, że Żydzi nie chcieli pracować. Nawet Hitler się bał, że zostaną królami Europy, więc ich zabijał. To wszystko polityka”. Uderzającą cechą tych absurdalnych antysemickich przesądów było to, że Michał Kabáč, podobnie jak Hans Friedrich w poprzednim rozdziale, nie widział sprzeczności pomiędzy oskarżaniem ich jednocześnie o lenistwo i o budowanie silnych i rozwijających się przedsiębiorstw. Jeśli jest jakaś logika w wywodach Friedricha i Kabáča, to polega ona na tym, że według nich Żydzi nie wykonywali „prawdziwej” pracy, takiej jak uprawa roli, tylko zamiast tego zajmowali się skupem płodów rolnych i pracą w sklepach - był to handel, którym oczywiście musieli się zajmować, właśnie dlatego że od wieków w wielu krajach Europy nie wolno im było posiadać ziemi.

Dla hitlerowców obóz w Oświęcimiu okazał się teraz dogodnym miejscem do wywiezienia słowackich Żydów. Himmler coraz lepiej zdawał sobie sprawę, że nie będą do niego trafiali kolejni radzieccy jeńcy wojenni - patowa sytuacja na froncie pod Moskwą nie pozostawiała wątpliwości, że wojna na wschodzie nie zakończy się tak szybko, jak oczekiwano. Wzięci do niewoli żołnierze Armii Czerwonej stali się teraz zbyt cenni jako niewolnicza siła robocza, żeby marnować ich w obozach takich jak Auschwitz, i Göring wkrótce nakazał wysyłanie wszystkich jeńców radzieckich do pracy w fabrykach zbrojeniowych. W rezultacie Brzezinka nie miała już służyć zaplanowanym wcześniej celom. Kto miał w takim razie wypełnić miejsce, którego nie zajmą radzieccy jeńcy? Himmler, zawsze umiejętnie dokonujący nagłych zwrotów w polityce, od razu znalazł odpowiedź - Żydzi. Potrzebny był mu napływ Żydów zdolnych do pracy, którzy mieli zastąpić wysyłanych gdzie indziej żołnierzy radzieckich.

W lutym 1942 roku hitlerowcy zażądali, by ze Słowacji wysłano do Rzeszy 20 000 zdolnych do pracy obywateli tego kraju. Dla Tisy i innych słowackich przywódców nadarzała się w ten sposób okazja, by wywieźć znaczącą część Żydów, ale powstawał jednocześnie problem - znany już hitlerowcom - postępowania z rodzinami wywiezionych robotników, które miały stracić swoich żywicieli.

Aby rozwiązać te kwestie, w lutym 1942 roku w Bratysławie, stolicy Słowacji, odbyło się spotkanie pomiędzy premierem Słowacji, Voitechem Tuka, szefem jego kancelarii doktorem Izidorem Koso, a przedstawicielem Eichmanna na Słowacji, SS-Sturmbannführerem Dieterem Wislicenym. Zarówno Wisliceny, jak i Tuka opowiadali o tym spotkaniu w swoich zeznaniach po wojnie i porównując ich relacje, można odtworzyć przebieg ich rozmowy \* [\*Na podstawie powojennych zeznań Wisliceny'ego na Słowacji z 6 i 7/05/1946 (Statny oblastny archive v Bratislave, Fond Ludovy sud, 10/48) oraz 12/08/1946 (Statny oblastny archive v Bratislave, Fond Ludovy sud, 13/48), oraz zeznanie Koso z 11/04/1947 (Statny oblastny archive v Bratislave, Fond Ludovy sud, 13/48).].

Słowacy byli zdania, że rozdzielanie żywciami rodzin od rodzin było „niechrześcijańskie”, ponieważ po wywiezieniu żydowskich robotników rodziny nie miałyby „nikogo, kto by się nimi opiekował”. Wisliceny natomiast relacjonował, że w czasie spotkania Słowacy nie przejawiali „chrześcijańskiej troski”, natomiast głównie martwili się o „kwestie finansowe”, wynikłe z przekazania Niemcom robotników, których rodziny miały zostać w domach; rodziny te nie miałyby możliwości zarabiania na własne utrzymanie. Na zakończenie spotkania Słowacy zasugerowali, że może w jakiś sposób uda się zrekompensować „koszty” wynikłe z ewentualnego wysłania rodzin razem z robotnikami.

Sprawa została w końcu rozwiązana w Berlinie. Słowacy zgodzili się zapłacić Niemcom po 500 marek niemieckich za każdego deportowanego Żyda pod warunkiem, że nie wróci on nigdy na Słowację, a Niemcy nie będą składać roszczeń do pozostawionego przez Żydów majątku. Słowacy - rządzeni przez katolickiego księdza - zapłacili więc Niemcom za zabranie Żydów z ich kraju.

Od marca 1942 roku słowaccy Żydzi byli przymusowo deportowani do obozów na terytoriach okupowanych przez hitlerowców, wielu z nich do obozu w Oświęcimiu. Silvia Veselá \* [\*Wywiad dla BBC.] była jedną z osób więzionych w obozie przejściowym w słowackim mieście Poprad na wiosnę 1942 roku. „Niektórzy ze słowackich żołnierzy zachowywali się bardzo dziwnie. Na przykład srali na podłogę, a potem kazali nam to czyścić. Nazywali nas «żydowskimi kurwami» i kopali nas. Zachowywali się bardzo źle. Mówili: «Nauczmy was, Żydówki, jak się pracuje». A my wszystkie byłyśmy biednymi kobietami przyzwyczajonymi do pracy... To naprawdę upokarzające uczucie, kiedy odbierają ci osobowość. Nie wiem, czy możecie to zrozumieć. Nagle przestaje się cokolwiek znaczyć. Traktowano nas jak zwierzęta”.

Gwardziści Hlinki służący w obozach gromadzili w nich obfite łupy. „Kiedy Żydzi przybywali do obozów - opowiada Michał Kabáč - zabieraliśmy ich bagaże i ubrania.

Zastępca komendanta zawsze nas wzywał i kazał sobie brać wszystkie ubrania, jakie chcieliśmy. Każdy brał, co mógł. Ja wzięłam parę butów. Związałam je sznurkiem i zabrałam do domu. Strażnikom żyło się świetnie”. Nie tylko Słowacy okradali Żydów przed opuszczeniem obozów. „Pewnego dnia przyszedł jakiś wysoki oficer SS - opowiada Silvia Veselá - i zaczął na nas krzyczeć. Nie mieliśmy pojęcia, co do nas krzyczy. Potem zobaczyłyśmy wielkie kosze - trzy wielkie kosze - do których miałyśmy wrzucać złoto, srebro, pieniądze i wartościowe przedmioty. Powiedziano nam, że będziemy pracować i nie będą nam one potrzebne. Ja byłam bardzo biedna. Miałam tylko zegarek, który dostałam od ciotki, i musiałam go oddać”.

Obóz przejściowy był nie tylko miejscem rabunku, ale również przygodnych aktów brutalności. „Nasi strażnicy bili ich [Żydów] - opowiada Michał Kabáč. - Specjalna jednostka zajmowała się karaniem winnych. Zabierali ich do specjalnego pomieszczenia, gdzie byli karani biciem w stopy drewnianą pałką”. Oczywiście to sami gwardziści arbitralnie decydowali, kto był „winny”, a kto nie.

Czas przebywania w obozie przejściowym wahał się od kilku dni do kilku tygodni, po których słowackich Żydów zabierano wreszcie na pobliską stację kolejową i wywożono z kraju. Silvia Veselá \* [\*Wywiad dla BBC.] dokładnie pamięta marsz na stację kolejową i ostatnie chwile spędzone na Słowacji: „Pluli na nas i krzyczeli: «Żydowskie dziwki, dobrze wam tak! Wreszcie zaczniecie pracować!». Rzucali w nas kamieniami. Starali się upokorzyć na każdy możliwy sposób. Jacyś ludzie przyglądali się też tym upokorzeniom, niektórzy z nich płakali. Ale większość, młodszy i starsi, nas wyzywała. Nikomu nie życzę takiego doświadczenia. To okropne uczucie”.

Słowackich Żydów eskortowała do stacji Gwardia Hlinki. „Dostałem rozkaz, żeby wsadzić żydowskie kobiety do pociągu i pilnować ich - wspomina Michał Kabáč. - Mówiłem sobie: «Nie chciałyście pracować, wy żydowskie świnię!»,. Już po kilku tygodniach gwardziści tacy jak Michał Kabáč zorientowali się, że słowaccy Żydzi są wysyłani na śmierć - co wcale nie napełniało ich współczuciem: „Było mi ich żal, ale nie za bardzo, pamiętałem, jak okradali Słowaków. Nie było nam przykro. Sądziłyśmy, że to dobrze, że ich zabierają. W ten sposób nie mogli nas już więcej oszukiwać. Nie mieli się już wzbogacać kosztem klasy pracującej”.

Michał Kabáč nie stykał się wiele ze słowackimi Żydami, zanim zaczął świadomie wysyłać ich na śmierć. W jego wsi nie mieszkali Żydzi, a on przyznaje, że osobiście „nie przeszkadzali” mu Żydzi na Słowacji. Entuzjastycznie przejął poglądy antysemitki nie w wyniku osobistych doświadczeń, ale dlatego że był żarliwym nacjonalistą, dumnym z

uzyskania przez Słowację niepodległości, a słowaccy przywódcy mówili, że „Żydzi kłamią i okradają Słowaków”. Jest znakomitym przykładem na to, jak szybko zakorzeniają się przesady, jeśli przedstawi się je jako część systemu wartości, których większość jest powszechnie akceptowana. Michał Kabáč stał się zażartym antysemitą, aby pokazać, jak silny i żarliwy był jego patriotyzm - a dzięki antysemityzmowi osiągnął zyski materialne, ponieważ mógł okradać Żydów i uznawać swoją zbrodnię za „sprawiedliwą zemstę”.

Silvia Veselá była świadkiem, jak szybko zmieniła się moralność większości Słowaków: „Myślałam o tym kilka razy. Materiał ludzki jest bardzo elastyczny. Można z nim zrobić wszystko. Kiedy w grę wchodzi pieniądze i życie, rzadko kto poświęci je dla ciebie. To bolało, naprawdę bolało, kiedy, na przykład, widziałam koleżankę ze szkoły z podniesioną pięścią, jak krzyczała: «Dobrze ci tak!». Od tamtego czasu niczego już nie oczekuję od ludzi”.

W tym samym czasie w Oświęcimiu trwały próby poprawienia wydajności uśmiercania w obozie. Dwudziestego siódmego lutego 1942 roku Rudolf Höss, architekt z SS Karl Bischoff i Hans Kammler, szef głównego urzędu budowlanego SS \* [\*Zob. też Van Pelt i Dwork, *op. cit.*, s. 302.], odbyli spotkanie, podczas którego zdecydowali, że krematorium planowane wcześniej w obozie Auschwitz 1 ma zostać przeniesione do Brzezinki. Zamierzali umieścić nowe krematorium w odległej części budowanego obozu w Brzezince, w pobliżu małej wiejskiej zagrody. Dom miał szybko zostać przebudowany na prowizoryczny ośrodek zagłady przez zamurowanie istniejących drzwi i okien, ogołocenie wnętrza i utworzenie dwóch szczelnych pomieszczeń, które można by wykorzystywać jako komory gazowe. W ścianach powstałyby nowe wejścia bezpośrednio do komór gazowych, a umieszczone w dachu klapy miały umożliwiać wsypywanie do środka kryształów cyklonu B. Budynek, znany jako „czerwony domek” albo „bunkier numer 1”, po raz pierwszy został wykorzystany jako miejsce uśmiercania ludzi pod koniec marca 1942 roku, kiedy do obozu przybył transport miejscowych Żydów, uznanych za niezdolnych do pracy w czasie przymusowych robót. Jednorazowo można było uśmiercić w „czerwonym domku” ośmiuset ludzi.

Höss miał teraz do dyspozycji komorę gazową, która nie stwarzała takich niedogodności jak krematorium w obozie Auschwitz I. Nieważne, jak głośno krzyczały ofiary zabijane w „czerwonym domku”, życie obozu przebiegało bez zakłóceń. Höss wiedział jednak, że minie wiele miesięcy (w rzeczywistości ponad rok), zanim w pobliżu zostanie zbudowane krematorium, w którym będzie można pozbywać się ciał ludzi zamordowanych w prowizorycznych komorach gazowych. Po rozwiązaniu pierwszego z postawionych sobie problemów - jak zabijać z zachowaniem względnej tajemnicy - stanął przed następnym - jak pozbyć się dowodów.



Pierwsze transporty, które dotarły ze Słowacji w marcu 1942 roku, nie były poddawane selekcji - wszystkich nowo przybyłych przyjmowano do obozu. Nie przeszkadzało to jednak esesmanom i kapo od początku terroryzować nowych więźniów, o czym na własnej skórze przekonał się Otto Pressburger: „Ze stacji musieliśmy biec [do obozu Auschwitz I] piątkami. Oni [esesmani] krzydzeli: *Schnell laufen! Laufen, laufen, laufen!* A my biegliśmy. Tych, którzy nie mogli biec, zabijali na miejscu. Czuliśmy się niżej niż psy. Powiedziano nam, że będziemy pracować, a nie że jedziemy do obozu koncentracyjnego”.

Następnego ranka, po nocy bez jedzenia i picia, Otto Pressburger, jego ojciec i reszta słowackiego transportu liczącego około 1000 mężczyzn zostali zapędzeni z głównego obozu na plac budowy w Brzezince. Szacuje, że zginęło w tym czasie od 70 do 80 osób. Brzezinka, tonąca w błocie i odpadkach, była przerażającym miejscem. Jak opowiada Perry Broad z SS: „Warunki w Brzezince były znacznie gorsze niż w Auschwitz [obozie głównym]. Przy każdym kroku noga zapadała się w lepkiem błocie. Brakowało wody, nie można się było umyć” \* [\*”KL Auschwitz as seen by the SS”, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1998, s. 105.]. Więźniowie żyli w krańcowym poniżeniu, od stóp do głów pokryci błotem i własnymi odchodami.

Po przybyciu do Brzezinki Otto Pressburger został natychmiast wprowadzony w brutalny porządek panujący w obozie. Kiedy zauważył, że młody polski chłopiec ukraść jego ojcu pasek, złapał go i uderzył. Inni więźniowie natychmiast mu powiedzieli, że popełnił błąd, za który może zapłacić życiem. Chłopiec okazał się „piplem” - co w języku obozowym oznaczało homoseksualnego partnera kapo.

„Musieliśmy biegiem wracać do baraków i schować się - opowiada Otto Pressburger. - Blokowy kapo wszedł do baraku i kazał nam się kłaść głowami do przejścia, którym chodził szukający mnie «wrzód». Nie rozpoznał mnie. Wszyscy wyglądaliśmy tak samo - takie same pasiaiki i zgolone włosy. Miałem szczęście, bo inaczej by mnie zabil”.

Pierwszego dnia pracy w Brzezince Otto Pressburger był świadkiem innego incydentu, który w jeszcze bardziej makabryczny sposób pokazuje rozpaczliwą sytuację, w jakiej się znalazł: „Poszliśmy do pracy przy budowie dróg - nadzorowali nas kapo i esesmani. Wśród nas był Żyd z naszego miasta, wysoki i silny mężczyzna z bogatej rodziny. Kapo zauważył jego złoty ząb i kazał mu go sobie dać. Ten odpowiedział, że nie da, lecz kapo nalegał, żeby dać. Ale on wciąż mówił, że nie może dać swoich złotych zębów. Kapo wpadł w gniew i powiedział, że wszyscy mamy wykonywać jego rozkazy. Wziął łopatę i zaczął bić więźnia po głowie, uderzył kilka razy, aż ten padł na ziemię. Kapo odwrócił go twarzą do góry, położył mu na gardle łopatę i stanął na niej. Złamał mu kark, a potem łopatą zaczął wybijać mu z ust

złote zęby. Niedaleko stał inny Żyd, który spytał kapo, jak mógł coś takiego zrobić. Kapo podszedł do niego i powiedział, że mu pokaże, a potem zabił go w ten sam sposób. Potem powiedział nam, żebyśmy nie zadawali pytań i nie wtykali nosa w nie swoje sprawy. Wieczorem nieśliśmy ze sobą do baraków dwunastu nieboszczyków. Zabił tych ludzi dla zabawy. To wszystko zdarzyło się pierwszego dnia pracy”.

Jak już widzieliśmy, mordercze skłonności kapo były cechą obozu w Oświęcimiu od samego początku, toteż doświadczenia Słowaków - choć straszliwe - nie odbiegały od obozowej normy. Ale kultura (jeśli można użyć tego słowa, mówiąc o obozie oświęcimskim) tego miejsca miała się w wyniku przybycia Słowaków wkrótce wyraźnie zmienić na dwa sposoby.

Pierwsza zmiana zaszła wtedy, kiedy do obozu przybyły kobiety - dotychczas Auschwitz przyjmowało wyłącznie mężczyzn. Przybycie kobiet nie wywarło jednak w najmniejszym stopniu „cywilizującego” wpływu na obóz - wręcz odwrotnie, jak przekonała się Silvia Veselá. Przybyła do Oświęcimia wkrótce po Ottonie Pressburgerze, razem z transportem wiozącym kilkaset kobiet i jednego mężczyznę - żydowskiego lekarza, któremu słowackie władze nakazały towarzyszyć kobietom. „Kiedy przyjechaliśmy do Oświęcimia, kopniakami spędzono nas z wagonów - opowiada Silvia Veselá - a oficerowie SS zaczęli krzyczeć na naszego lekarza, próbując się dowiedzieć, dlaczego jest jedynym mężczyzną w transporcie. Odpowiedział doskonałym językiem niemieckim: «Jestem lekarzem i przydzieliła mnie tu centralna rada do spraw Żydów. Moim zadaniem jest towarzyszyć transportowi i powiedziano mi, że potem mam wrócić na Słowację». Oficer SS wyjął wtedy pistolet i go zastrzelił. Tak po prostu zastrzelili go na moich oczach. Tylko dlatego, że był jedynym mężczyzną wśród tylu kobiet. To było dla mnie pierwsze wstrząsające przeżycie”.

Słowackie kobiety zostały następnie odprowadzone do obozu Auschwitz I. „Zobaczyłyśmy wysokie baraki i bramę - opowiada Silvia Veselá. - Nad bramą był napis *Arbeit macht frei* «Praca czyni wolnym». Sądziłyśmy więc, że przywieziono nas tu do pracy”. Kilka bloków w obozie głównym zostało opróżnionych i przeznaczono je dla kobiet, którym nakazano rozebrać się i oddać wszelkie cenne przedmioty, jakie im jeszcze pozostały. „Mimo że Niemcy tak nas nienawidzili, nie wahali się zabierać naszych ubrań, butów i biżuterii. Wy tłumaczcie mi to - pyta Silvia Veselá. - Zawsze zadawałam sobie to pytanie: Dlaczego nie brzydzili się naszych rzeczy?”.

Kiedy nagim słowackim kobietom golono głowy, do sali wszedł oficer SS i nakazał pięciu z nich udać się do gabinetu lekarskiego. „Chciał zbadać Żydówki - mówi Silvia Veselá - i zbadać, czy naprawdę są dziewicami. Chciał się też dowiedzieć, czy Żydówki są czyste.

Kiedy skończyli badanie, byli rozczarowani. Nie mogli uwierzyć, że jesteśmy takie czyste. Poza tym 90 procent z nas było dziewczynami. Wszystkie były religijnymi żydowskimi kobietami. Żadna nie pozwoliłaby się bez ślubu dotknąć mężczyźnie. Ale w czasie badania każda z dziewcząt została pozbawiona dziewictwa - lekarze używali palców. Wszystkie zostały rozdzwiczone - jeszcze jedna metoda upokarzania. Moja przyjaciółka, pochodząca z religijnej rodziny, powiedziała mi: «Chciałam zachować dziewictwo dla męża, a straciłam je w ten sposób!»,..

Mimo straszliwych doświadczeń Ottona Pressburgera i Silvii Veseli po przybyciu do obozu, nie doświadczyli oni tego, co zostało potem uznane za najgorszy sposób traktowania nowych więźniów obozu oświęcimskiego - wstępnej selekcji. Jej wprowadzenie było drugą ważną zmianą w obozie po przyjeździe Słowaków.

Sporadyczne selekcje przybywających transportów zaczęły się już pod koniec maja, ale systematyczne selekcje nie rozpoczęły się aż do 4 lipca 1942 roku, kiedy do obozu przybył transport i od razu został podzielony przez esesmanów na tych, którzy nadawali się do pracy i zostali przyjęci do obozu, oraz na tych, którzy mieli zostać natychmiast uśmierceni. Dopiero teraz, dwa lata po przyjęciu przez obóz pierwszych więźniów, jego władze rozpoczęły regularne przeprowadzanie selekcji, które miały się potem stać symbolem bezwzględności panującego w nim terroru.

Eva Votavova oraz jej rodzice przyjechali jednym z pierwszych transportów, które miano poddawać selekcji. Wchodził on w skład ostatniej fali wypędzonych ze Słowacji Żydów, zawierającej ludzi starych, dzieci i osoby tak jak Eva, młode i silne. „Przybyliśmy na stację w Oświęcimiu i zaczęli nas ustawiać piątkami. Straszne sceny zaczęły się już tam. Oddzielali młodych ludzi od starców i dzieci. Mojego ojca zabrali ode mnie i mojej matki. Kiedy widziałam go po raz ostatni, był zmartwiony, smutny i pozbawiony nadziei”.

W tym czasie, kilka tygodni po zakończeniu budowy „czerwonego domku”, na komorę gazową przerobiono następny dom, nazywany „białym domkiem” albo „bunkrem numer 2”. W nowej komorze można było jednorazowo uśmiercić 1200 osób. Komory w bunkrze numer 2 miały kształt długich, wąskich pokoi, co umożliwiało lepszą wentylację niż w bunkrze numer 1 („czerwonym domku”) i szybsze usunięcie cyklonu B po zakończeniu mordy - kolejny przykład ciągłych ulepszeń, drobnych inicjatyw, którymi wykazywały się władze obozu, starając się usprawnić proces uśmiercania.

Otto Pressburger widział nowo przybyłych Żydów ze Słowacji, przeznaczonych na śmierć, jak czekali w zagrodach przed „domkami”: „Siadali tam - musieli chyba jeszcze jeść kanapki przywiezione z domu. Przychodzili esesmani z psami. Oni oczywiście nie wiedzieli,

co się z nimi zaraz stanie. My nie chcieliśmy im mówić. Tak byłoby im jeszcze gorzej. Myśleliśmy, że ludzie, którzy ich tu przywożą, to nie ludzie, tylko dzikie bestie”. Według Ottona Pressburgera uśmiercanie ludzi odbywało się w tym okresie nocami: „Nigdy nie robili tego w dzień, [ponieważ] ludzie pewnie krzyczeli albo próbowali się wydostać. Dopiero rano widzieliśmy ciała ułożone w stopy przy rowach”.

Otto Pressburger został zmuszony do pracy w specjalnym oddziale nazywanym Sonderkommando, który grzebał ofiary uśmiercone w dwóch komorach. „Zabijanie ludzi gazem było bardzo łatwe. Trzeba było tylko uszczelnić okna i drzwi, żeby gaz nie wydostawał się na zewnątrz. Zamykali drzwi i po kilkunastu minutach wszyscy byli martwi. Potem ich rozbierali i nieśli ciała do rowów, przy których pracowałem. Następnego ranka je grzebaliśmy. Posypywaliśmy ciała niegaszonym wapnem i cienką warstwą ziemi. Tylko tyle, żeby przykryć zwłoki, żeby nikt ich nie mógł zobaczyć”.

W pośpiechu wprowadziwszy wydajną metodę uśmiercania, władze obozu nie zapewniły odpowiednio wydajnej metody pozbywania się ciał. Kiedy nadeszło upalne lato, leżące w rowach ciała stały się dla hitlerowców kolejnym poważnym problemem. Praca Ottona Pressburgera już była koszmarem, ale stała się jeszcze gorsza. „Zwłoki zaczynały się ruszać. Gniły i wylewały się z rowów. Wszędzie było pełno krwi i błota, a my musieliśmy je wyciągać gołymi rękami. Nie wyglądały już jak ludzkie ciała, tylko jak gnijąca masa. Musieliśmy zanurzać w tej masie ręce i czasem wyciągaliśmy głowę, czasem rękę albo nogę. Smród był niesamowity. Nie miałem wyboru [i musiałem wykonywać tę pracę], jeśli chciałem żyć dalej. Inaczej by mnie zabili. Chciałem żyć. Czasem zaczynałem wątpić, czy warto tak dłużej żyć”.

Kiedy ciała zostały ekshumowane, esesmani nakazali członkom Sonderkommanda włożyć je do gigantycznych płonących rowów - władze obozu zaimprovizowały w ten sposób prowizoryczne krematorium, oczekując na zakończenie trwającej w pobliżu budowy zwykłego. „Rozpalaliśmy wielki ogień - opowiada Otto Pressburger - z drewna polanego benzyną. Wrzucaliśmy je [zwłoki] prosto do ognia. Zawsze wrzucaliśmy we dwóch - jeden trzymał ciało za nogi, a drugi za ramiona. Smród był okropny. Nigdy nie dostawaliśmy za to dodatkowego jedzenia. Esesmani wciąż pili wódkę albo koniak, albo jeszcze coś innego prosto z butelek. Też nie mogli tego znieść”.

Zmuszając się do kontynuowania straszliwej pracy przy wykopywaniu ciał i ich paleniu, Otto Pressburger zmagał się również z urazem emocjonalnym - śmiercią ojca. Członkowie Sonderkommanda byli głodzeni i nie dawano im wody, dlatego jego ojciec wypił wodę z kałuży - co stanowiło częstą przyczynę infekcji i śmierci. „Lekarz, który mnie leczył,

kiedy byłem dzieckiem, też siedział w obozie - wspomina Otto Pressburger. - Powiedział mi, żebym nie pił tej wody [z kałuż]. Inaczej umrę w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ludzie dostawali od niej opuchlizny na nogach. Z nóg wypływała im woda”. Jednak jego ojciec nie miał tak silnej woli, wypił tę wodę i zmarł. Po początkowym wstrząsie i cierpieniu Otto Pressburger zdał sobie sprawę, że jedynym sposobem na przetrwanie jest odgrodenie się murem od tego, co działo się wokół niego - nawet od śmierci ojca. „Im dłużej chciałem żyć - opowiada Otto Pressburger - tym szybciej musiałem zapominać”.

W utrzymaniu żelaznej samokontroli - szczególnie kiedy cierpiał głód i pragnienie - niespodziewanie pomogło Ottonowi Pressburgerowi wspomnienie z dzieciństwa. „Kiedy byłem małym dzieckiem, rodzice dawali mi pieniądze, żebym kupił kanapki w drodze do szkoły. Ale ja nigdy nie kupowałem. Zamiast tego zawsze kupowałem cukierki. Potem przez cały dzień nie miałem nic do jedzenia oprócz tych cukierków, dopóki nie wróciłem do domu”. Dzięki temu, kiedy ludzie wokół niego „popadali z głodu w obłąd”, on dawał sobie radę. „Byłem przyzwyczajony do niedojadania. Teraz zresztą też tak jest”.

Nie tylko Otto Pressburger uważa, że przetrwać pomogło mu wspomnienie niedostatku w przeszłości. Jak wynika z opowiadań Jacoba Zylbersteina o łódzkim getcie, wielu przybywających tam niemieckich Żydów nie mogło się przystosować do życia w getcie, ponieważ wyrosli w zamożnych rodzinach, podczas gdy on i jego rodzina zawsze cierpieli niedostatek i getto tylko nieznacznie pogorszyło ich byt. Silvia Veselá zaobserwowała podobną zależność u bogatych słowackich kobiet z klasy średniej. Jeszcze w obozach przejściowych na Słowacji, przed przybyciem do Oświęcimia, trudniej było im się przystosować do panujących tam warunków niż kobietom pochodzącym z biedniejszych rodzin, tak jak ona. Również Paweł Stienkin przekonał się, że jego ciężkie dzieciństwo dawało mu teraz przewagę. Jako dziecko nigdy nie otrzymywał dużo jedzenia - ani uczucia - a teraz cierpienia dzieciństwa pomagały mu przeżyć.

Ta forma „selekcji” w gettach i obozach była, oczywiście, dokładnie tym samym zjawiskiem, które wzbudziło niepokój Reinharda Heydricha w czasie konferencji Am Grossen Wannsee. Hitlerowcy byli zbyt ogarnięci obsesją na punkcie darwinowskiego pojęcia doboru naturalnego, żeby teraz pozwolić dalej żyć Żydom, którzy przetrwali okropności przymusowej pracy ponad siły - według hitlerowskiej teorii ras właśnie wyłoniona w ten sposób grupa była najniebezpieczniejsza. To bezwarunkowe dochodzenie do najokropniejszych, ale zgodnych ze spaczoną logiką wniosków, odróżnia hitlerowskie „ostateczne rozwiązanie” od innych aktów ludobójstwa, takich jak stalinowskie czystki etniczne w Związku Radzieckim. Stalin skazywał na śmierć całe narody, ale reżim

stalinowski nie próbował niszczyć ich do ostatniego człowieka. Natomiast hitlerowcy, aby osiągnąć swoje cele, musieli usunąć ze swojego terytorium wszystkich bez wyjątku Żydów - w ten czy inny sposób.

Kiedy Otto Pressburger powrócił niedawno do miejsc masowych pochówków w Brzezince, przywołał pamięć tysięcy ludzi, którzy przybyli do Oświęcimia ze Słowacji i teraz nie mogą tu przyjechać jeszcze raz. „To okropne. Pamiętam jak dziś, stałem [tutaj] obok mojego ojca. Większość pracujących tutaj ludzi pochodziła z mojego miasta. Wszystkich znałem. Każdego dnia ich ubywało. Muszą leżeć pochowani gdzieś tutaj. Tylko czterech z nas przetrwało przez trzy lata”.

Wiosną i wczesnym latem 1942 roku tysiące Żydów, pochodzących głównie ze Słowacji i Górnego Śląska, poszło na śmierć do „czerwonego” i „białego domku”. Oficerowie SS, tacy jak Palitzsch, rozmawiali z idącymi do komór gazowych Żydami, pytając ich o zawody i kwalifikacje. Rudolf Höss zwracał w swoich wspomnieniach uwagę, że aby z powodzeniem dokonać na taką skalę masowej rzezi, trzeba działać od początku do końca w atmosferze całkowitego spokoju. Zdarzało się jednak, jak zauważył Höss, że jedna z osób w zmierzającej do komór gazowych grupie zaczynała mówić o duszeniu lub mordach, a „od razu wybuchł rodzaj paniki”, która znacznie utrudniała uśmiercanie. W późniejszych transportach zwracano baczną uwagę na ludzi, którzy mogli w ten sposób przeszkodzić hitlerowcom w „pracy”. Każdy, kto próbował zakłócić wytworzoną przez hitlerowców atmosferę uległości, był dyskretnie zabierany na stronę i zabijany strzałem z broni małokalibrowej, dostatecznie cichej, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

Niewyobrażalne są cierpienia matek, które domyślały się, co się zaraz stanie z nimi i z dziećmi prowadzonymi przez nie na śmierć, jak to wyraził Höss „pod kwitnącymi drzewami owocowymi zagrody chłopskiej” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 148.]. Pewnego razu, jak pisze Höss, jakaś kobieta zaczęła do niego szeptać: „Jak możecie zdobyć się na to, aby zabijać te piękne, małe dzieci? Czy nie macie serc?”; kiedy indziej widział kobietę próbującą wypchnąć swoje dzieci z komory gazowej przed zamknięciem drzwi i krzyczącą: „Pozostawcie przynajmniej moje drogie dzieci przy życiu!”. Te chwytające za serce sceny były dla Hössa źródłem emocjonalnych rozterek, ale niepokoje zawsze mijały, jak pisze, po konnej przejażdżce albo kilku kieliszkach alkoholu.

Przeniesienie masowych mordów do odległego zakątka obozu w Brzezince oznaczało, że życie w Auschwitz I - głównym obozie - nie było już zakłócanie przez egzekucje. Mimo że życie więźniów w Auschwitz I było tak samo ciężkie jak zawsze, dla esesmanów główny obóz stał się miejscem odpoczynku i uspokojenia po pracy, co zauważył Tadeusz Rybacki \*

[\*Wywiad dla BBC.], aresztowany przez Niemców za domniemaną współpracę z polskim podziemiem.

Po kilku miesiącach pracy w różnych komandach Tadeusz Rybacki otrzymał zajęcie w najbardziej pożądanym miejscu w Auschwitz I - został kelnerem w stołówce SS. Kiedy na wiosnę 1942 roku do obozu przybyły strażniczki SS, w tym samym czasie, kiedy trafiły do niego więźniarki ze Słowacji, był świadkiem wielu pijackich ekscesów. „Tutaj wszystko pili, była to zupełnie taka zbójcka uczta - wspomina wydarzenia jednego z wieczorów. - Pili, śpiewali, tam się poklepywali. Najrozmaitsze alkohole były na stole - koniaki francuskie były najrozmaitsze, tak. I myśmy im roznosili jedzenie. Dolewałem im wina i jakaś esesmanka, kiedy jej nalewałem, złapała mnie za ramię. Powiedziała do mnie «kochanie...» i wszyscy zaczęli na mnie patrzeć. Sytuacja była dla mnie groźna i ze strachu omal nie rozlałem wina, ale na szczęście jeden z esesmanów zaczął na nią wrzeszczeć: «Zamknij ryj, ty dziwko!» i puściła mnie”. Później tego samego wieczora inna strażniczka zaczęła się zalecać do niego i innych kelnerów. „Jakaś wielka pijana kobieta szła, zataczając się, prawdopodobnie do toalety, ale zobaczywszy nas, zaczęła robić nieprzyzwoite gesty oznaczające stosunek seksualny. Z twarzami bez wyrazu szeptaliśmy do siebie: «Czego ta dziwka chce?»,,

Kontrast pomiędzy wystawnym życiem esesmanów i brutalną egzystencją więźniów nie umknął mu. „To tylko zagłodzeni mieli być więźniowie. Właściwie pobyt w obozie można traktować jako powolną egzekucję. Przez stwarzanie odpowiednich warunków: głodzenie, bicie i ciężką pracę. Tak to ohydnie wszystko wyglądało, ta uczta [...]. Natomiast im niczego nie brakowało. I jak patrzymy na tę ucztę, to tam wszystko było. Tam były nawet różne alkohole, tak jak wspominałem, nawet koniaki francuskie były”.

Mimo to Tadeusz Rybacki wiedział, że ma szczęście, pracując jako kelner w esesmańskiej stołówce. Nie tylko była to praca „pod dachem” - co było według niego konieczne do przetrwania zimy - ale również dawała ona dostęp do najważniejszego towaru w obozie: jedzenia.

Tadeusz Rybacki, podobnie jak inni więźniowie pracujący w stołówce SS, kradł jedzenie, kiedy tylko się dało, i ukrywał je na strychu baraku. Kradzieże były jednak ryzykowne. Raz zdarzyło się, że kiedy przy przylegającym do stołówki bufecie stało kilku esesmanów, Rybacki i inny kelner usłyszeli głośny hałas. Spojrzeli za siebie do stołówki i „włosy stanęły nam dęba”. „Zobaczyliśmy czyjeś nogi i tułów zwisające z sufitu”.

Od razu zrozumieli, co się stało. Jeden z pozostałych kelnerów poślizgnął się, szukając na strychu jedzenia. „Na górze trzeba było uważać, żeby stawiać nogi na belkach, bo inaczej można było spaść przez sufit”. Sytuacja ta mogła się dla nich wszystkich zakończyć śmiercią.

Na szczęście esesmani byli tak pijani i weseli, że nawet nie zauważyli, co się stało w stołówce. Więzień, który wpadł do niej przez sufit, zdołał podciągnąć się z powrotem na strych, a kawałki sufitu sprzątnięto. Pozostała jednak dziura. Następnego dnia, kiedy przyszedli do pracy, przekupili kielbasą i masłem strażnika, żeby za bardzo nie dociekał, skąd się wzięła. Dwa dni później nie było po niej śladu.

Gdyby to się zdarzyło w innym miejscu, Tadeusz Rybacki mógłby teraz się śmiać, wspominając komiczny widok współwięźnia bezradnie machającego nogami wystającymi z dziury w suficie, a sposób, w jaki on i jego towarzysze uniknęli kary, przekupując strażnika SS, żywo przypomina przesłodzone obrazki życia w obozach jenieckich za zachodzie, znane z hollywoodzkich filmów wojennych.

Ale ponieważ wszystko to działo się w obozie oświęcimskim, epizod opowiedziany przez Tadeusza Rybackiego ma zupełnie inne znaczenie. Przypomina on jeszcze raz, że wczesnym latem 1942 roku zaczęły istnieć dwa obozy, różniące się nie tylko położeniem, ponieważ Brzezinka była właśnie budowana na błotnistych terenach o trzy kilometry od głównego obozu, ale również założeniami i psychologią ofiar i oprawców. W jednym więźniowie tacy jak Tadeusz Rybacki starali się przetrwać, zabiegając o najlepszą pracę i „organizując” jedzenie, a w drugim mężczyźni, kobiety i dzieci byli mordowani kilka godzin po przybyciu.

Z punktu widzenia Hössa w lecie 1942 roku było jasne, że cały swój zapał i pracę powinien poświęcić drugiemu obozowi i operacji zagłady. Komory gazowe zaimprovizowane w wiejskich domach i palenie ciał na otwartym powietrzu były dla niego tylko tymczasowym rozwiązaniem morderczego zadania, które postawili sobie hitlerowcy, a wydajność i organizacja uśmiercania ludzi w Oświęcimiu pozostawiała wciąż wiele do życzenia. Jako ośrodek zagłady obóz oświęcimski wciąż jeszcze raczkował - jego efektywność była bardzo ograniczona.

Höss i jego towarzysze - wbrew swoim powojennym zeznaniom - wielokrotnie wykazywali się inicjatywą w organizacji tymczasowych metod uśmiercania dużej liczby ludzi. Wiedzieli jednak, że wciąż stoi przed nimi najważniejsze zadanie - które miało przynieść im potem wielką i złą sławę - stworzenia zmechanizowanej fabryki śmierci.



## Fabryki śmierci

W roku 1942 zamordowano więcej ludzi niż w jakimkolwiek innym roku hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Na początku tego roku państwo hitlerowskie jednak dysponowało tylko niewielkimi możliwościami masowego uśmiercania ludzi - nie działały jeszcze wyspecjalizowane obozy śmierci, z jednym wyjątkiem - Chełm. Mimo tych ogromnych braków hitlerowcy postanowili mimo wszystko rozpocząć morderczą orgię. W mniej radykalnych reżimach ludzie najpierw dokładnie planują, a potem działają, natomiast hitlerowcy rozpoczęli deportacje Żydów przed sprawdzeniem na miejscu wymyślonych przez siebie metod masowego zabijania. Dokonane potem przez nich akty ludobójstwa przebiegały w atmosferze chaosu, a historia tej zbrodniczej operacji - w czasie której w ciągu roku straciło życie 2,7 miliona ofiar - dużo mówi o mentalności hitlerowskich zbrodniarzy.

Na wiosnę i wczesnym latem 1942 roku istnienie obozu w Oświęcimiu po raz pierwszy zaczęło być odczuwalne w zachodniej Europie, w miarę jak transporty Żydów spoza Polski rozpoczęły transformację obozu w miejsce zinstytucjonalizowanego uśmiercania ludzi. Zobaczyliśmy już, w jak skomplikowany sposób doszło do wysłania Żydów do Oświęcimia przez pierwsze europejskie państwo - Słowację. Ale zaledwie kilka dni po zakończeniu w Bratysławie negocjacji pomiędzy władzami Słowacji a Niemcami kolejne państwo - tym razem zachodnie - wysłało do obozu pierwsze transporty. Okoliczności, w jakich doszło do tego (pierwszego z wielu) transportu, były jeszcze bardziej skomplikowane i zaskakujące niż na Słowacji, między innymi dlatego że pociąg, który wyruszył 23 marca 1942 roku do Oświęcimia, opuszczał kraj obdarzony przez zwycięskich Niemców stosunkowo dużą swobodą i autonomią - Francję.

Francja została przez Niemców podzielona na dwie strefy - okupowaną i nie-okupowaną - po błyskawicznym zwycięstwie w czerwcu 1940 roku. Marszałek Petain został głową państwa w strefie nieokupowanej ze stolicą w Vichy. Był on we wczesnych latach wojny popularną postacią (znacznie popularniejszą, niż przyznawano we Francji po wojnie) i w jego działaniach skupiało się powszechne w tym kraju dążenie do odzyskania utraconej przez Francję godności. Jeśli chodzi o Niemców, to ich cele wydają się sprzeczne - chcieli kontrolować Francję, utrzymując jednocześnie jak najmniej wojska w tym kraju - mniej niż 1500 niemieckich oficerów i pracowników administracyjnych stacjonowało na całym jego

terytorium, okupowanym i nieokupowanym. Niemiecka władza w dużej mierze polegała na współpracy z francuską biurokracją i administracją.

W pierwszym roku okupacji do konfliktów pomiędzy Francuzami i Niemcami dochodziło rzadko. Niemiecki dowódca wojsk okupacyjnych, generał Otto von Stülpnagel, sprawował władzę ze wspianego hotelu Majestic w Paryżu bardziej jak rzymski namiestnik w na wpół autonomicznej prowincji imperium niż jak hitlerowiec próbujący zamienić podbity naród w niewolników. Mimo to Żydzi we Francji wcale nie mogli czuć się bezpieczni.

W kraju tym mieszkało w 1940 roku około 350 000 Żydów. Niemal połowa z nich nie miała francuskich paszportów - wielu trafiło do Francji z innych krajów europejskich, daremnie usiłując uciec przed hitlerowskim zagrożeniem. Właśnie na nich skupiły się pierwsze antysemickie prześladowania. „W październiku 1940 roku nowy francuski rząd ogłosił w „statucie żydowskim”, że Żydom nie wolno wykonywać pewnych zawodów, ale Żydów-cudzoziemców miały dotknąć dodatkowe represje w postaci zamknięcia w obozach internowania.

We wczesnej fazie niemieckiej okupacji Francji prześladowania Żydów przebiegały w przyjęty w hitlerowskim imperium sposób - najpierw Żydów wyłaniano z reszty społeczeństwa i rejestrowano. Dalsze antysemickie przepisy zmuszały Żydów do rejestracji posiadanych przez nich rzeczy, po której nastąpiło zagrabienie majątku i deportacja ze strefy okupowanej. Rząd Vichy posłusznie współpracował z okupantami we wszystkich fazach tego procesu. Ale stosunkowy spokój panujący w okupowanej Francji został w końcu zakłócony w lecie 1941 roku przez wydarzenia rozgrywające się tysiące kilometrów na wschód - hitlerowski najazd na Związek Radziecki. Dwudziestego pierwszego sierpnia 1941 roku dokonano w Paryżu zamachu na dwóch Niemców - jeden został zastrzelony, drugi ciężko raniony. Szybko ustalono, że za zamachem stali francuscy komuniści. Do następnego zamachu doszło 3 września, potwierdził on niemieckie obawy, że spokojne czasy we Francji się skończyły.

Niemieckie władze odpowiedziały na zamachy uwięzieniem komunistów i odwetowymi egzekucjami - trzech zakładników rozstrzelano natychmiast po wrześniowym zamachu. Adolf Hitler uznał jednak te kroki za niewystarczające - sam był w tym czasie zajęty, w ukrytej w lasach Prus Wschodnich kwaterze głównej, kierowaniem rzezią na wschodzie. Feldmarszałek Wilhelm Keitel wysłał do Paryża wyrazy niezadowolenia Hitlera: „Odwet dokonany na trzech zakładnikach jest stanowczo zbyt łagodny! Führer uważa, że jeden niemiecki żołnierz jest wart znacznie więcej niż trzech francuskich komunistów. Führer oczekuje, że takie wypadki spotkają się ze znacznie surowszymi reperkusjami. Po następnym

zamachu ma nastąpić natychmiastowe rozstrzelanie co najmniej 100 Francuzów za każdego [zabitego] Niemca. Bez tak drakońskich środków sytuacja wymknie się spod kontroli” \* [\*Ulrich Herbert, „The German Military Command in Paris and the Deportation of the French Jews” [w:] „National Socialist Extermination Policies”, Berghahn Books 2000, s. 139. W tym artykule szczegółowe omówienie i analiza tego problemu.]

Hitler chciał, by jego przedstawiciel we Francji działał tak samo stanowczo - i brutalnie - jak głównodowodzący na Ukrainie w grudniu 1941 roku niemiecki generał, który stawiał czoło podobnym zagrożeniom. „Walka z partyzantami przyniesie sukces tylko wtedy, kiedy przekonamy ludność, że wszyscy partyzanci i ich zwolennicy zostaną prędzej czy później zabici - pisał. - Szczególnie śmierć przez uduszenie wzbudza duży strach” \* [\*Wolodymyr Kosyk, „The Third Reich and Ukraine”, Peter Lang 1993, s. 621.]. Hitler sam później zauważył: „Tylko tam, gdzie podjęto i kontynuowano z bezwzględną brutalnością walkę z partyzantką, odniesiono sukcesy” \* [\*Timothy Patrick Mulligan, „The Politics of Illusion and Empire”, Preager 1988, s. 139.].

Niemieckie władze w Paryżu nie wiedziały, co robić. Jeśli będą postępować zgodnie z zaleceniami Hitlera, ryzykują utratę poparcia większości Francuzów. Przewidywania te wydawało się potwierdzać oburzenie na wieść o rozstrzelaniu 98 zakładników: po zamachu na niemieckiego oficera w Nantes w październiku 1941 roku. Dla generała Otto von Stülpnagla było jasne, że takie „polskie metody” \* [\*Herbert, *op. cit.*, s. 140.] po prostu nie działają we Francji. Ale Stülpnagel był politycznym realistą i zdawał sobie również sprawę, że Hitler nie zmieni zdania i nie pozwoli Niemcom we Francji samodzielnie kontynuować łagodnej polityki w tej dziedzinie. Führer wyrażał się jasno - potrzebne były „drakońskie środki”. W rezultacie, w sposób typowy dla wyższych rangą Niemców w hitlerowskim imperium, dowódcy okupacyjni we Francji postanowili obejść dogmatyczne zalecenia Hitlera, wymyślając „drakońskie środki”, które nie pogorszą tak bardzo ich stosunków z Francuzami.

Szybko zaproponowano dwie możliwości - grzywny nakładane na duże grupy ludności oraz deportacje. A ponieważ wymyślony „związek” pomiędzy komunistami i Żydami był oczywisty dla każdego hitlerowca, nic nie wydało się niemieckim władzom w Paryżu bardziej oczywiste niż deportacje i nakładanie grzywien na Żydów w odwecie za komunistyczne zamachy na Niemców. Egzekucje miały być kontynuowane, ale na mniejszą skalę i jedynie jako mała część ogólnej polityki „drakońskich środków”.

Pomimo częściowego rozwiązania stojącego przed nim problemu generał Otto von Stülpnagel wciąż uważał, że powinien jeszcze raz zaprotestować u swoich przełożonych, pisząc w styczniu 1942 roku, że nie może już „pogodzić masowych egzekucji z własnym

sumieniem ani odpowiedzieć za nie przed sądem historii” \* [*Ibid.*, s. 142.]. Wkrótce po tym proteście generał Stülpnagel - co łatwo przewidzieć - został usunięty ze stanowiska, ale wprowadzona przez niego zasada funkcjonowała dalej - deportacje Żydów i komunistów miały być częścią odwetu za każdy akt oporu we Francji. Pierwsze francuskie transporty wyruszyły z tego kraju do Oświęcimia 27 marca 1942 roku. Oficerowie armii niemieckiej, nie chcąc odpowiadać „przed sądem historii” za odwetowe egzekucje, wystawili jednak deportowanych ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo - połączenie głodu, męczarni i chorób większość doprowadziło do śmierci. Spośród 1112 mężczyzn, którzy wsiedli do pociągu z Compiegne do Oświęcimia 27 marca 1942 roku, 1008 nie żyło już po pięciu miesiącach \* [*Liczby pochodzą z Susan Zuccotti, „The Holocaust, the French and the Jews”, Basic Books 1993, s. 89.*]. Wojnę przetrwało najprawdopodobniej dwudziestu z nich - co oznacza, że ponad 98 procent wysłanych pierwszym transportem zginęło w Oświęcimiu.

Z nadejściem marca 1942 roku deportacje francuskich Żydów jako część odwetowych represji świetnie wpasowały się również w inny, znacznie szerszy, proces - „ostateczne rozwiązanie” przez hitlerowców ich „problemu żydowskiego” we Francji. Po powzięciu długofalowych, strategicznych postanowień w czasie konferencji Am Grossen Wannsee w styczniu 1942 roku bezpośrednia odpowiedzialność za ich realizację we Francji spoczęła na SS-Hauptsturmführerze Theodorze Danneckerze, który podlegał bezpośrednio Adolfowi Eichmannowi, a ten z kolei podlegał Reinhardowi Heydrichowi. Szóstego maja Heydrich osobiście przyjechał do Paryża i wyjawiał małej grupie, że „tak samo jak na rosyjskich Żydów w Kijowie, wydano wyrok śmierci na wszystkich Żydów Europy. Nawet na Żydów francuskich, których deportacje rozpoczną się w najbliższych tygodniach” \* [*Herbert, op. cit.*, s. 132.].

Hitlerowcy stali przed tylko jedną znaczącą przeszkodą na drodze do wymarzonej przez siebie „wolnej od Żydów” Francji - władzami tego kraju. We Francji nie było po prostu dość Niemców, żeby oznaczyć, zebrać i wywieźć francuskich Żydów bez aktywnie udzielanej pomocy francuskiej administracji i policji. Szczególnie dlatego, że hitlerowcy zażądali początkowo deportacji większej liczby Żydów z Francji niż z jakiegokolwiek zachodniego kraju. W czasie spotkania w Berlinie, 11 czerwca, któremu przewodniczył Adolf Eichmann, ogłoszono plan, według którego do Oświęcimia miano wywieźć 10 000 Żydów belgijskich, 15 000 holenderskich oraz 100 000 francuskich. Miały to być osoby w wieku od szesnastu do czterdziestu lat, spośród których tylko 10 procent mogło być „niezdatnych do pracy”. Co dokładnie stało za tymi liczbami i zastrzeżeniami, nigdy nie ujawniono, ale jest prawdopodobne, że decyzja o niewywożeniu jeszcze dużych grup dzieci i osób starszych

wynikła z wiedzy o wciąż ograniczonych możliwościach masowego uśmiercania w obozie oświęcimskim. Theodor Dannecker, wykazując gorliwość, postanowił dostarczyć wszystkich Żydów w wymienionym przedziale wiekowym. Wkrótce po spotkaniu w Berlinie Dannecker nakreślił plan wywiezienia na wschód 40 000 Żydów w ciągu trzech miesięcy.

Napisać plan jest oczywiście łatwo, co innego wykonać go w kraju, który wciąż w dużym stopniu kontrolował swoją administrację. Drugiego lipca, w czasie spotkania pomiędzy szefem policji Vichy, René Bousquetem, a hitlerowskimi dygnitarzami, Niemcy sami się przekonali o tej różnicy. Bousquet przedstawił stanowisko rządu Vichy - w strefie okupowanej mogli być deportowani tylko Żydzi-cudzoziemcy, natomiast w strefie nieokupowanej francuska policja nie weźmie udziału w żadnych aresztowaniach. Bousquet powiedział wtedy: „strona francuska nie ma nic przeciwko samym aresztowaniom - krępujące byłoby tylko dokonywanie ich przez francuską policję w Paryżu. Jest to osobiste życzenie marszałka [Petaina]” \* [\*Serge Klarsfeld, „French Children of the Holocaust”, New York University Press 1996, s. 34.]. Helmut Knochen, szef niemieckiej policji bezpieczeństwa, który dobrze wiedział, że bez współpracy Francuzów deportacje nie będą możliwe, natychmiast zaprotestował, przypominając, że Hitler nie uważał stanowiska strony francuskiej za rzecz istotną. Po tej zawołanej groźbie Bousquet zmienił stanowisko. Francuska policja miała dokonywać aresztowań zarówno w strefie okupowanej, jak i nieokupowanej, ale tylko Żydów-cudzoziemców, nie Francuzów. Władze francuskie podjęły czytelną polityczną decyzję - wydadzą Niemcom cudzoziemców, żeby chronić własnych obywateli.

W czasie późniejszego o dwa dni spotkania pomiędzy francuskim premierem Pierre'em Lavalem a Theodorem Danneckerem Laval zaproponował (według Danneckera), „że podczas deportacji niemieckich rodzin ze strefy nieokupowanej zostaną również zabrane dzieci w wieku poniżej szesnastu lat. Jeśli chodzi o dzieci w strefie okupowanej, kwestia ta go nie interesuje” \* [\*Zuccotti, *op. cit.*, s. 99.]. Historycy opisywali propozycję Lavalą dotyczącą dzieci jako źródło „wiecznej hańby” \* [\**Ibid.*, s. 99.] dla niego oraz straszliwy moment, który powinien „na zawsze trafić na karty historii Francji” \* [\*Klarsfeld, *op.cit.*,s. 35.]. Nie można się z nimi nie zgodzić, szczególnie pamiętając o przerażających cierpieniach, jakich zaznały te dzieci, często z rąk Francuzów we Francji, w rezultacie propozycji złożonej przez francuskiego polityka.

Aresztowania przez francuską policję Żydów-cudzoziemców we Francji rozpoczęły się w nocy z 16 na 17 lipca 1942 roku. Annette Muller, jej młodszy brat Michel oraz dwaj starsi bracia i matka siedzieli wtedy w swoim mieszkaniu w dziesiątej dzielnicy. Ich ojciec - wywodzący się z Polski - słyszał plotki, że szykuje się coś niedobrego, i wyszedł z

mieszkania, żeby ukryć się w pobliżu. Reszta rodziny została w domu - nie potrafili sobie wyobrazić zabierania całych rodzin.

Annette Muller \* [\*Wywiad dla BBC.], mająca wtedy dziewięć lat, dokładnie pamięta wydarzenia tamtej nocy: „Zbudzono nas waleniem drzwi i do mieszkania weszła policja. Matka błagała ich, żeby nas zostawili. A inspektor odepchnął ją, mówiąc: «Szybciej! Szybciej! Nie marnuj naszego czasu!». To był dla mnie cios. Przez lata miałam potem koszmary przez stawianą przede mną na piedestale matkę [która nagle zaczęła się tak zachowywać]. Nie rozumiałam, jak mogła się tak przed nimi upokorzyć”.

Matka Annette w pośpiechu rzuciła na podłogę prześcieradło i zaczęła kłaść na nim ubrania i suszone jedzenie. Kilka minut później wszyscy byli już na schodach i schodzili na dół, na ulicę. Ale Annette zauważyła, że zapomniała grzebienia, i policjanci powiedzieli jej, że może wrócić do domu, pod warunkiem że „zaraz będzie z powrotem”. Kiedy wróciła do mieszkania, okazało się, że policja wciąż tam jest: „Wszystko było przewracane do góry nogami - a ja chciałam wziąć swoją lalkę, przynieść lalkę... ale oni mi ją zabrali, wyrwali mi ją z rąk i cisnęli na rozgrzebane łóżko. Wtedy zrozumiałam, że na pewno nie czeka nas nic dobrego”.

Na ulicy, wśród kłębiących się Żydów i policjantów, jej matka nakazała dwóm najstarszym synom, mającym dziesięć i jedenaste lat, uciekać i chłopcy zniknęli w tłumie. Pozostałych na miejscu Żydów policja zapędziła do autobusów i zawiozła do przejściowego ośrodka internowania w Velodrôme d’Hiver, krytym torze kolarskim w piętnastej dzielnicy Paryża. Wszystkie rodziny aresztowane w czasie dwóch nocy obławy (12 884 ludzi, w tym 4115 dzieci) zostały zabrane do tego miejsca. Mający wówczas siedem lat Michel Muller pamięta to, co się wtedy działo, jako serię „migawkowych” wspomnień: „Dzień i noc paliły się światła, były tam duże okna w suficie i było bardzo gorąco - policjantów prawie nie widziałem. Był jeden albo dwa krany z wodą i toalety - chyba też dwie. Pamiętam dokładnie tylko zapachy, po dwóch dniach odór stał się nie do zniesienia. Dzieci bawiły się - było tam dużo dzieci, które znałem. Ślizgaliśmy się na torze kolarskim - bieżnia była drewniana”.

Annette Muller zaczęła się źle czuć przez niehigieniczne warunki panujące w hali i została przeniesiona na środek toru, gdzie mogła się położyć. „Zobaczyłam mężczyznę, który mieszkał niedaleko rue de l’Avenir. Był paralitykiem. Kiedy przychodziliśmy do niego do domu, zawsze miał na nogach koc, a jego dzieci chodziły wokół niego i odzywały się z wielkim szacunkiem. Pamiętam, jak patrzyłam na tego mężczyznę, który przedtem robił na mnie ogromne wrażenie, a teraz leżał nagi na ziemi - wtedy zresztą pierwszy raz zobaczyłam nagiego mężczyznę - i krzyczał. Miał na wpół otwarte oczy, a jego nagie ciało było trupio

blade. To był straszny widok”. Po kilku dniach spędzonych w hali Velodrôme d’Hiver rodziny zostały zawieszane pociągami do różnych francuskich wsi - Mullerowie trafili do Beaune-la-Rolande. „Śliczna wieś - opowiada Michel Muller \* [\*Wywiad dla BBC.] - było tam bardzo ładnie i gorąco. Znajdowała się tam wielka porośnięta drzewami aleja i szliśmy przez wieś, a zaciekawieni ludzie na nas patrzyli”. Mullerowie należeli do jednych z ostatnich, którzy trafili do założonego w pośpiechu obozu, więc nie było tam dla nich łóżek i zajmowali miejsce na słomie rozłożonej na podłodze. Mimo to Michel nie przejmował się: „Na początku się nie martwiłem. Nie martwiłem się, ponieważ byliśmy z matką i to dodawało mi otuchy. No i mogłem bawić się z innymi dziećmi”. Troszczył się tylko o jedno: „Wszyscy byliśmy dobrymi uczniami i niepokoił się, czy zdążymy wrócić przed rozpoczęciem roku szkolnego”.

Mimo koszmarnych warunków, jakie panowały w obozie, Annette i Michela pocieszało to, że są z matką. „Po tym, co się stało w domu, była tak rozbita, że nie dało się z nią rozmawiać. Ale na początku w obozie zawsze była z nami. Bawiła się z nami, przytulała nas - inne kobiety patrzyły na nas i śmiały się, gdy widziały, jak bliski ma z nami kontakt”. Jedno wspomnienie tych wczesnych dni w obozie wciąż jednak prześladowuje Annette. „Pierwsza noc, jaką spędziliśmy w baraku, była deszczowa, więc na matkę i brata kapłała z sufitu woda, a ja klóciłam się z bratem, bo nie chciałam z mamą spać i pozwalać, żeby kapłała na nas woda. A ona powiedziała coś jakby: «Wolisz uciekać od wody, niż spać z mamusią». Kiedy później nas rozdzielono z matką, dręczyło mnie to - nie wykorzystałam szansy, żeby spać obok niej tej nocy”. Kilka dni później matce Annette i Michela udało się przekupić żandarma (w obozie rzadko pojawiali się wyżsi rangą funkcjonariusze), żeby wysłał list do jej męża - list ten zapoczątkował ciąg wydarzeń, dzięki którym dwoje jej młodszych dzieci uszło z życiem.

Po kilku dniach w obozie kobietom nakazano oddanie wartościowych przedmiotów. Niektóre wołały jednak pozbyć się ich w inny sposób, żeby nie dostały się w ręce strażników. „Latryna to był rów - opowiada Michel Muller - z drewnianą deską i wszyscy nas widzieli, kiedy musieliśmy tam iść - to mnie przerażało. To krępujące iść do łazienki, kiedy wszyscy mogą nas zobaczyć. A niektóre [kobiety] po prostu wrzuciły biżuterię w gówno”. Później Michel Muller zauważył, że część miejscowych osób, które zatrudniono do przeszukiwania Żydówek, za pomocą kijów przeszukiwała również rów latryny. „To mnie naprawdę zaskoczyło”, wspomina.

Podczas gdy Mullerowie, podobnie jak tysiące innych rodzin, cierpieli w obozach w Beaune-la-Rolande i Pithiviers, planowano dla nich jeszcze gorszy los. Ponieważ na początku

Niemcy zażądali tylko zdatnych do pracy dorosłych, a dzieci zostały dodane później, aby otrzymać odpowiednią liczbę deportowanych, w Berlinie nie ustalono formalnie, że rodziny mają być wywożone razem. Mimo że władze francuskie wiedziały, iż na takie ustalenia wystarczyłoby poczekać tylko kilka tygodni, zgodziły się na oddzielenie dorosłych od dzieci i wywiezienie najpierw dorosłych. Jean Leguay, urzędnik policji Vichy, napisał do prefekta Orleanu, że „dzieci nie powinny pojechać tymi samymi transportami co rodzice”, dodając, że „należy opiekować się dziećmi oczekującymi na ponowne połączenie z rodzicami” \* [\*Klarsfeld, *op. cit.*, s. 45.]. Leguay przyznał jednak, że wie, iż dzieci wkrótce również zostaną wywiezione, gdyż pisał: „transporty dzieci rozpoczną się w drugiej połowie sierpnia” \* [\**Ibid.*, s. 45.]. Władze francuskie nie zapobiegły więc nadchodzącym cierpieniom, choć mogły zaproponować Niemcom rozpoczęcie deportacji kilka tygodni później, kiedy rodziny mogłyby pojechać razem.

Laval twierdził wcześniej, że jego propozycja, by deportować również dzieci, wynikała z „ludzkiej” chęci niedopuszczenia do rozdzielania rodzin. Twierdzenie to, trącające obłudą tak samo jak słowacka propozycja, by z „chrześcijańskich” względów deportować całe rodziny, okazało się w oczywisty sposób fałszywe. Nic nie mogło być mniej „ludzkie” niż polityka przedstawiona przez Leguaya - rozdzielania rodziców i dzieci w obozach w Beaune-la-Rolande i Pithiviers.

Jak pisze historyk Serge Klarsfeld: „Leguay nie chce dostrzec prawdziwego znaczenia deportacji, które sam uczynił jeszcze okropniejszymi. Pracując w swoim słonecznym pokoju biurowym na Rue de Monceau, stara się przede wszystkim wypełniać pociągi według ustalonego przez gestapo planu deportacji” \* [\**Ibid.*, s. 45.].

W obozie Beaune-la-Rolande zaczęły w pierwszych dniach sierpnia krążyć plotki o możliwym wywiezieniu dorosłych. „Pamiętam, że [matka] zaszła w rękawach mojej marynarki pieniądze - opowiada Michel Muller. - Miałem na sobie niedzielny garniturek z kamizelką i szortami, z których byłem bardzo dumny, bo myślałem, że są podobne do spodni do gry w golfa. Zaszła pieniądze i kazała mi na nie uważać. Następnego dnia zabrali wszystkich dorosłych”. Francuska policja weszła do obozu i zebrała wszystkich więźniów. Kiedy ogłoszono, że dzieci mają zostać oddzielone od dorosłych, rodzice popadli w panikę. „Wiele dzieci kurczowo trzymało się matek - wspomina Michel Muller. - To były naprawdę trudne chwile - dzieci czepiały się matek, krzyczały i płakały, a żandarmi nie wiedzieli, co robić”.

„Policjanci brutalnie bili te kobiety - opowiada Annette Muller. - Dzieci kurczowo trzymały się ubrań matek. Zaczęli [żandarmi] polewać ludzi wodą i rozdzierać ubrania kobiet.



Było dużo płaczu i krzyku, wielki hałas, a potem nagle zapadła cisza”. Przed grupą kobiet i dzieci umieszczono karabin maszynowy. Groźba była czytelna i ludzie przestali protestować. „Z przodu stanął szereg kobiet - mówi Annette Muller. - Wciąż dokładnie pamiętam, jak przed nami stały. A my, dzieci, trzymaliśmy się za ręce. Moja matka stała z przodu i patrzyła na nas znacząco, a my spoglądaliśmy na nią. Miałam wrażenie, że uśmiechała się do nas wzrokiem, jakby chciała powiedzieć, że wróci do nas. Michel płakał. Wtedy ostatni raz widziałam matkę”.

Kiedy rodzice wyjechali, warunki, w jakich żyły dzieci, szybko się pogorszyły. Bez opieki matek dzieci nie umiały zachować czystości - ich ubrania robiły się coraz brudniejsze. Wiele z nich w wyniku karmienia cienką zupą i fasolą dostało rozwolnienia. Ale najtrudniej było im znieść ból rozłęki. „Najgorsze były wieczory - opowiada Michel Muller. - Wieczorem matka zawsze opowiadała nam różne historie, a kiedy odjechała, musieliśmy to robić sami”.

„Po jej wyjeździe byłam tak smutna, że przez kilka dni nie wychodziłam z baraku - wspomina Annette Muller. - Nie mogłam przestać płakać. Cały czas spałam na słomie na podłodze i powtarzałam sobie, że to moja wina, że matka odeszła, że nie byłam dla niej dobra. Wmawiałam sobie różne rzeczy. To Michel pomógł mi z tego wyjść - miałam dyzenterię, a on pomagał mi się myć i zmuszał do jedzenia. W końcu wyciągnął mnie z baraku, zaczęliśmy chodzić po obozie, zrywaliśmy trawę i próbowaliśmy ją jeść”.

Michel, mający wtedy siedem lat, przyjął rolę opiekuna siostry. Musiał jednak stawić czoło wielkim trudnościom. Annette była chora i nie mogła stać w kolejce po zupę, a próby jedzenia trawy - Michel sądził, że może będzie smakować jak zielona sałata - nic nie dały. Największy problem stanowiło jednak to, że jako siedmiolatek był młodszy od większości dzieci, które walczyły o jedzenie w czasie posiłków. „Dokładnie pamiętam walki, do jakich dochodziło w czasie wydawania zupy. Czasami wracałem z pustą menażką - nic nie dostałem. Moja siostra cały czas chorowała i musieliśmy chodzić do pustych kadzi, z których brało się jedzenie, i szukać resztek. Dużo rozmawialiśmy o jedzeniu. Wymyślaliśmy różne posiłki, które byśmy chcieli zjeść, a przecież w domu zawsze byliśmy niejadkami. Wtedy jednak dręczył nas głód”. Michel zdawał sobie sprawę, że musi coś zmienić w ich położeniu, jeśli mają przetrwać, bo z dnia na dzień on i jego siostra robili się coraz słabsi. Kiedy więc zobaczył ogłoszenie na ścianie obozowego lazaretu, postanowił działać. „Było tam napisane, że dzieci w wieku do pięciu lat mogą jeść w lazarecie. Umiałem czytać i pisać - zawsze mówiłem potem swoim dzieciom, że trzeba umieć czytać i pisać, bo to bardzo przydatne - więc zacząłem udawać, że mam pięć lat, i udało się. Dostawałem w ten sposób jedzenie, które jadła też moja siostra”.

Wydarzenia te są szczególnie bolesnym epizodem w pełnej okropieństwach historii „ostatecznego rozwiązania” nie tylko dlatego, że oddzielono wtedy dzieci od rodziców; straszliwe było również traktowanie tych dzieci przez władze francuskie, pod których „opieką” je pozostawiono. Dzieci były nie tylko, jak widzimy, zaniedbane - źle żywione i pozostawione same sobie - lecz także, mimo swojej bezbronności i wrażliwości, upokarzane. Nie głód, nie fatalny stan higieny, ale właśnie poniżenie było dla Michela Mullera źródłem największych cierpień w obozie w Beaune-la-Rolande. „Ponieważ poziom higieny był bardzo niski i wszystkich nas oblażył wszy, zgolono nam głowy. Miałem wtedy wielką czuprynę kręconych włosów i matka była z nich zawsze bardzo dumna. Więc kiedy żandarm mnie golił, wziął mnie między kolana i powiedział: «O, zabawimy się w ostatniego Mohikanina». Wygolił mi włosy przez środek głowy. Miałem je więc po obu stronach głowy, a na środku były wygolone. Tak się wstydziłem, że ukradłem komuś beret, żeby je zakryć”.

Wygląd Michela był tak przerażający, że wstrząsnął nawet jego dziewięcioletnią siostrą. „Pamiętam, że matka lubiła mu czesać włosy - miał śliczne białe włosy. Uważała go za bardzo pięknego chłopca. Ale kiedy wygolili mu włosy na środku głowy, zaczął wyglądać okropnie. Zrozumiałam, dlaczego ludzie wypędzają Żydów, bo nawet mój braciszek, kiedy go tak zobaczyłam z wygoloną głową i brudem na twarzy, wydał mi się obrzydliwy - wzbudzał we mnie wstręt”. Po kilku dniach żandarmi dokończyli to, co zaczęli, i zgolili włosy również na bokach głowy Michela. Śmiali się ze swojego żartu, ale Michel doznał urazu psychicznego, który pamięta do dziś.

W tym samym czasie, w połowie sierpnia 1942 roku, osiągnięto porozumienie, na mocy którego Francuzom wolno było deportować dzieci i w ten sposób wysłać Niemcom wymaganą przez nich liczbę Żydów. Planowano przenieść dzieci z Beaune-la-Rolande i Pithiviers do zbiorczego obozu w Drancy, na północno-wschodnich przedmieściach Paryża. Stamtąd dzieci miały być ostatecznie wysłane do Oświęcimia mieszanymi transportami z dorosłymi - miały jechać na śmierć w towarzystwie obcych sobie ludzi.

Piętnastego sierpnia 1942 roku kolumna przeznaczonych na śmierć dzieci przeszła porośniętymi drzewami ulicami wsi Beaune-la-Rolande na stację kolejową. Dzieci wyglądały zupełnie inaczej niż zdrowi chłopcy i dziewczęta, które szły z matkami do obozu niecałe dwa tygodnie wcześniej. „Pamiętam, że ludzie ze wsi patrzyli na nas - opowiada Annette Muller - z tym samym obrzydzeniem, które wcześniej ja czułam. Musieliśmy strasznie śmierdzieć. Mieliśmy wygolone głowy, pokryte wrzodami. Widziałam obrzydzenie na twarzach ludzi, którzy patrzyli na nas tak samo, jak patrzy się czasem na bezdomnych w metrze, brudnych, śpiących na ławkach. Wydawało się, że nie jesteśmy już ludźmi”. Mimo to dzieci śpiewały,

maszerując na stację, ponieważ, jak mówi Annette: „Byliśmy pewni, że jedziemy do rodziców”. Dzieci zmierzały jednak nie do domu, ale do Drancy, miejsca, z którego ponad 65 000 ludzi zostało wysłanych do obozów śmierci na wschodzie - ponad 60 000 z nich do Oświęcimia - dopóki w lipcu 1944 roku nie odjechał ostatni transport.

Odette Daltroff-Baticle \* [\*Wywiad dla BBC.], więźniarka Drancy w sierpniu 1942 roku, wraz z dwoma przyjaciółkami dobrowolnie zgłosiła się do opieki nad dziećmi z Beaune-la-Rolande i Pithiviers. „Kiedy przyjechały, wyglądały naprawdę niedobrze - wspomina. - Dzieci były zawszone, bardzo, bardzo brudne i cierpiały na dyzenterię. Próbowaliśmy myć je pod prysznicem, ale nie miałyśmy ich potem czym wycierać. Potem chciałyśmy je nakarmić - nic nie jadły od kilku dni - ale trudno było cokolwiek dla nich znaleźć. Poza tym spróbowałyśmy zrobić listę ich nazwisk - ale wiele z nich nie znało swoich nazwisk i mówiło na przykład: «Jestem braciszkiem Pierre'a». Wytrwale próbowałyśmy więc się dowiedzieć, jak się nazywają - starsze oczywiście znały swoje nazwiska, ale młodsze nie umiały nam powiedzieć. Ich matki zawiązały im na szyjach małe drewniane tabliczki z nazwiskami, ale wiele pościagało je sobie z szyi i zaczęło się nimi bawić z innymi dziećmi”.

Odette i inne opiekunki, postawione przed tą masą nieszczęścia, czuły, że mogą jedynie pocieszać dzieci, świadomie mówiąc nieprawdę. „Kłamałyśmy. Mówiłyśmy im: «Zobaczycie swoich rodziców»,,. One oczywiście nam nie wierzyły - to dziwne, ale podejrzewały, co się stanie. Wiele z nich mówiło do moich przyjaciółek albo do mnie: «Proszę pani, proszę mnie adoptować, niech mnie pani zaadop-tuje», ponieważ chciały zostać w obozie, mimo że nie żyło się tam dobrze - nie chciały nigdzie dalej jechać. Wciąż mam przed oczami pewnego chłopczyka, bardzo ładne trzyletnie dziecko, jak mówił: «Mamusi, będę się bał, mamusi. Będę się bał». Nic innego nie mówił. To niezwykle, ale on wiedział, że będzie się jeszcze bardziej bał. Wszystkie dzieci były nastawione krańcowo pesymistycznie - wolały zostać w tym okropnym obozie. Znacznie lepiej od nas rozumiały, co się dzieje”.

Odette zauważyła, że dzieci wciąż przechowywały „różne małe, drogie im przedmioty”, takie jak fotografie rodziców czy drobną biżuterię. „Pewna mała dziewczynka miała koleczki i mówiła: «Czy myśli pani, że będzie mi wolno zachować małe rzeczy ze złota?»,,. Niestety, na dzień przed wyjazdem dzieci z innej części obozu przybyły żydowskie więźniarki, żeby przeszukać dzieci i odebrać im wartościowe przedmioty. „Tym kobietom płacono dniówki i wiedziałyśmy, że mniej więcej połowę ze znalezionych rzeczy chowają we własnych kieszeniach. Widziałam też, że wcale nie były dla dzieci miłe. Były zupełnie nieczułe na sposób, w jaki je traktują, co wydało mi się dziwne”.

Dla Michela i Annette Muller życie w Drancy - obozie założonym w nieukończonym osiedlu robotniczym - było „jak droga przez koszmar”. Annette była wstrząśnięta nie tylko warunkami sanitarnymi - razem z bratem musiała spać na cementowej podłodze pokrytej kałem - ale również faktem, że nieliczni dorośli nie mogli zatroszczyć się o tyle dzieci, co oznaczało, że „nikt się nami nie zajmował. Byliśmy zostawieni sami sobie. Nie pamiętam, żeby choć raz zajmował się nami dorosły”. Później, tuż przed odjazdem transportów do Oświęcimia, Annette usłyszała odczytane z listy nazwisko swoje i brata. Oboje dzieci wyprowadzono z Drancy do miejsca, gdzie za ogrodzeniem z drutu kolczastego czekał policyjny samochód. „Myśleliśmy, że zaraz nas uwolnią - opowiada Annette. - Byliśmy pewni, że znów zobaczymy rodzinę i wrócimy na rue de l’Avenir. Zaplanowaliśmy nawet z Michelem niespodziankę dla rodziców - mieliśmy się ukryć pod stołem, a potem wyjść spod niego zniemacka, żeby się ucieszyli. Kiedy o tym mówiliśmy, odwróciłam się i zobaczyłam, że policjanci płaczą - dobrze wiedzieli, że nie wiozą nas do domu”.

Annette i Michel zostali zabrani do innego ośrodka internowania przeznaczonego dla Żydów-cudzoziemców, w budynku niedaleko od Drancy - byłym zakładzie psychiatrycznym na rue Lamarck na Montmartrze. Wówczas nie wiedziały jeszcze, że był to ich pierwszy krok ku wolności. Ich ojciec otrzymał od żony list napisany w Beaune-la-Rolande. Przeczytawszy go, zaczął przekupywać najpierw wpływowego francuskiego Żyda, a potem, przez niego, władze francuskie. W rezultacie Annette i Michel zostali mimo swojego wieku sklasyfikowani jako „futrzarze” i usunięci z Drancy. Kiedy przyjechali do nowego ośrodka, ojciec zorganizował zabranie ich stamtąd przez przedstawicieli katolickiego sierocińca, w którym przebywały w ukryciu aż do końca wojny.

Ogromna większość tysięcy dzieci wysłanych w lecie 1942 roku do Drancy nie miała tyle szczęścia. Od 17 sierpnia do końca miesiąca z obozu odjechało siedem pociągów do Oświęcimia, wiozących oddzielone od rodziców dzieci z Beaune-la-Rolande i Pithiviers. „Rano przed odjazdem ubrałyśmy dzieci najcieplej, jak się dało - opowiada Odette Daltroff-Baticle. - Większość nie mogła nawet już unieść swoich małych walizek; w dodatku były one pomieszane i nie wiedziałyśmy, która jest czyja. Dzieci nie chciały iść na dół do autobusu i musiałyśmy je zaprowadzić. Kiedy już wyjechały całe ich tysiące, zostało w lazarecie około osiemdziesięciu i myślałyśmy, że przynajmniej te uda nam się uratować - ale nie. Jednego dnia powiedzieli nam, że nawet tych osiemdziesięcioro ma pojechać. I tego ranka, kiedy miały jechać, musiałyśmy odprowadzić je na dół, a one krzyczały i kopały - absolutnie nie chciały zejść na dół. Żandarmi przyszli na górę i z trudnością udało się im je zmusić. Kilku z nich wyglądało na przygnębionych tym okropnym widokiem”.

Joe Nisenman \* [\*Wywiad dla BBC.], mający wtedy osiemnaście lat, 26 sierpnia opuścił Drancy transportem do Oświęcimia. W pociągu znajdowało się siedmiuset dorosłych i czterysta dzieci, wśród nich jego dziesięcioletnia „białowłosa i bardzo śliczna” siostra. Na dziewięćdziesiąt osób jadących jego wagonem, około trzydziestu to były dzieci bez rodziców. Joe pamięta, jak dzieci „stoicko” znosiły życie w pociągu towarowym w czasie długiej podróży do Oświęcimia. „Przyjechaliśmy po dwóch albo trzech dniach - nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, ile to trwało - na stację przed Oświęcimiem. Potrzebowali zdrowych mężczyzn do pracy w pobliskim obozie, więc zatrzymali pociąg i zabrali dwustu pięćdziesięciu ludzi”. Joe ‘został wybrany i musiał wysiąść z pociągu. „Wypędzili nas kijami - nie pozwolili nam zostać. Zostawiłem siostrę w wagonie... Ale mimo wszystko nie wyobrażaliśmy sobie, co się z nami stanie... Nie pamiętam, żeby dzieci płakały. Widziałem je, niektóre bardzo śliczne, jak jechały na śmierć. To było straszne”. Po sześćdziesięciu latach Joe Nisenman każdego dnia pamięta o męczarniach, które przeszła jego siostra i inne dzieci z Drancy. „Mieszkam niedaleko przedszkola, gdzie widzę matki czekające na swoje dzieci z czekoladowymi rogalikami. Ale tamte dzieci nie miały matek. Nie miały też rogalików...”.

Ze wszystkich straszliwych epizodów w historii hitlerowskiej eksterminacji Żydów historia śmierci żydowskich dzieci z Francji jest najbardziej wzruszająca. Najważniejszym miejscem w tej historii jest, oczywiście, wstrząsająca scena rozdzielania dzieci i rodziców. Szokuje nie samo rozdzielanie rodziców i dzieci w obozach takich jak Beaune-la-Rolande, ale raczej fakt, że niektórzy rodzice, jak matki każące synom uciekać w czasie aresztowań, musieli działać wbrew instynktowi rodzicielskiemu po to, żeby dzieci mogły przetrwać. Rodzice musieli wtedy doświadczać straszliwego urazu psychicznego.

Nawet Höss zauważył, jak rodziny za wszelką cenę chciały pozostać w obozie razem. Ale choć w czasie selekcji rozdzielano kobiety i mężczyzn, mężów i żony, hitlerowcy szybko zdali sobie sprawę, że rozdzielanie matek i dzieci niemal zawsze było wbrew ich interesom. Tracili wartościową siłę roboczą, wysyłając młode matki z dziećmi do komór gazowych, wiedzieli jednak dobrze, że przymusowe rozdzielanie dziewczynek oraz chłopców i ich matek w czasie wstępnej selekcji doprowadziłoby tylko do rozdzierających scen, które uniemożliwiłyby efektywne zarządzanie procesem masowego uśmiercania. Ponadto wstrząs odczuwany przez rozdzielających mógł być równie silny, jak ten doświadczany przez plutony egzekucyjne strzelające z bliska do kobiet i dzieci - a właśnie takim urazom miało zapobiec stosowanie komór gazowych.

Po transportach dzieci w lecie 1942 roku władze francuskie doszły do podobnych wniosków. Widok dzieci pozostawionych samym sobie, bez matek, był tak wstrząsający, że

po wysłaniu ostatniego pociągu z Drancy 31 sierpnia wydano rozkaz, żeby takich transportów nie powtarzać. Dzieci, przynajmniej w czasie wywozek z Francji, miano już nie odbierać matkom; zamiast tego do Oświęcimia będą trafiały razem całe rodziny. Decyzja ta nie została bynajmniej podjęta pod wpływem nagłego współczucia dla Żydów, taki wniosek byłby błędny. Francuzi, podobnie jak Höss w Oświęcimiu, zrozumieli, że łatwiej im będzie dbać o własne interesy, jeśli nie rozdziela matek i dzieci.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego z historią tą tak trudno się pogodzić - udzielana na każdym etapie pomoc ze strony władz francuskich. Hitlerowcy od początku wiedzieli, że wywiezienie Żydów nie byłoby możliwe bez współpracy Francuzów. Podjęta przez nich decyzja, żeby wydać Niemcom „zagranicznych” Żydów, a zachować „własnych”, jest oznaką politycznego cynizmu nawet dzisiaj zapierającego dech w piersiach (choć, jak się dowiemy w późniejszych rozdziałach, podobne decyzje podjęto później również w kilku innych krajach). W sumie niewiele mniej niż 80 000 Żydów zostało w czasie wojny zamordowanych w rezultacie wywozek z Francji, co stanowi około 20-25 procent ówczesnej żydowskiej ludności tego kraju. Liczba ta - oznaczająca, że na pięciu francuskich Żydów przetrwało czterech - jest czasem przytaczana przez obrońców Francji jako „zdrowa” statystyka, dowodząca stosunkowo honorowej postawy francuskich władz wobec okupacji. Nic bardziej błędnego - liczba ta dowodzi czegoś zupełnie innego, jeśli się weźmie pod uwagę, że gdyby Francuzi odmówili współpracy i nie wydali „zagranicznych” Żydów, Niemcy przypuszczalnie by nie zareagowali. Nawet po rozszerzeniu strefy okupowanej na całą Francję w listopadzie 1942 roku hitlerowcy nie rozpoczęli brutalnych represji, kiedy władze francuskie zaczęły celowo opóźniać swoje działania i przestały wywozić wymaganą przez Niemców liczbę Żydów.

Aresztowania z lipca 1942 roku i wywiezienie dzieci wywołały we Francji wiele protestów ze strony dostojników Kościoła. Arcybiskup Tuluzy nakazał odczytanie w diecezjach listu pasterskiego 23 sierpnia, a arcybiskup Lyonu powiedział Lavalowi w czasie spotkania 1 września, że popiera zarówno protesty, jak i ukrywanie żydowskich dzieci przez katolików. Było już jednak za późno, żeby w ten sposób pomóc aresztowanym w czasie lipcowych paryskich łapanek. Matka Michela i Annette Muller, oddzielona od dzieci w Beaune-la-Rolande, zginęła w Oświęcimiu. To prawda, że zabić chcieli ją Niemcy, ale to Francuzi wysłali ją na śmierć. „Najbardziej mnie uderzyło - mówi Michel - że ludzi aresztowano zupełnie bez powodu, tylko dlatego, że urodzili się Żydami. I robili to Francuzi - tego wciąż nie umiem zrozumieć. Po sześćdziesięciu latach wciąż nie mogę w to uwierzyć”.

W Oświęcimiu zginęły wszystkie dzieci wywiezione bez rodziców z Francji latem 1942 roku. „Kiedy moi dwaj bracia uciekali [w czasie aresztowania] - opowiada Annette -

inna matka również kazała uciekać swojemu synowi, ich szkolnemu koledze. Ale ten chłopiec, kiedy znalazł się na ulicy, nie chciał zostać sam - naprawdę chciał wrócić i dołączyć do matki. Poprosił więc jakiegoś policjanta, żeby [pozwolił mu] wrócić do matki, i w końcu został wysłany do komory gazowej. Te dzieci miały tyle planów. Były pełne radości - radości życia. Ale ponieważ urodziły się Żydami, skazano je na śmierć. A ile z nich miało jakieś talenty, uzdolnienia, niezwykle cechy charakteru”.

Świadkowie opowiadają o rozdzielaniu francuskich dzieci i rodziców, o ich cierpieniach w różnych obozach przejściowych, a nawet o ich „stoickiej” postawie w transportach, lecz dotychczas nikt nie mógł dać świadectwa o ich losie po przekroczeniu bram obozu. Niemal niemożliwe było wyobrażenie sobie tej czy innej procedury selekcji - a tym bardziej uczuć osoby ją przeprowadzającej. Jedynym sposobem przeniknięcia przez tę zasłonę niewiedzy było znalezienie wiarygodnego świadka, członka SS, który służył w Oświęcimiu. W niewiarygodny sposób, po miesiącach poszukiwań, udało nam się przeprowadzić wywiad z taką właśnie osobą - był nią Oskar Groening.

Groening, w 1942 roku mający dwadzieścia dwa lata, został skierowany do służby w obozie oświęcimskim. Przybył tam zaledwie kilka tygodni przed przywiezieniem francuskich dzieci i niemal od razu mógł zobaczyć transport przyjmowany na rampie - peronie, na którym wysiadali Żydzi. „Stałem na rampie - opowiada \* [\*Wywiad dla BBC.] - razem z grupą, której zadaniem było nadzorowanie bagażu ludzi przywiezionych transportem”. Zobaczył, jak lekarze SS oddzielali najpierw mężczyzn od kobiet i dzieci, a potem decydowali, kto jest zdalny do pracy, a kto ma od razu zostać zagazowany. „Chorych przenoszono do ciężarówek - opowiada Groening. - To były ciężarówki oznaczone czerwonym krzyżem - zawsze starali się stwarzać pozory, żeby ludzie się nie bali”. Groening szacuje, że od 80 do 90 procent przywiezionych tym pierwszym transportem, który oglądał we wrześniu 1942 roku, zostało przeznaczonych do natychmiastowego uśmiercenia. „Proces ten [selekcja] przebiegał w stosunkowo uporządkowany sposób - wspomina Groening - ale kiedy się kończył, rampa wyglądała jak opuszczony jarmark. Wszędzie wałało się pełno śmieci, a przy tych śmieciach leżało kilku chorych, sparaliżowanych, czasem jakieś dziecko bez matki albo ktoś, kto ukrył się w pociągu. Te osoby zabijano od razu strzałem w głowę. Sposób, w jaki traktowano tych ludzi, wzbudził we mnie zwątpienie i odrazę. Jakieś dziecko złapano po prostu za nogę i wciągnięto na ciężarówkę... a kiedy zaczęło krzyczeć jak chory kurczak, roztrzaskano je o burtę ciężarówki. Nie potrafiłem zrozumieć, jak esesman może wziąć dziecko i rozbić mu głowę o burtę ciężarówki... albo zastrzelić i wrzucić do niej jak worek pszenicy”.

Groening opowiada, że czuł takie „zwątpienie i odrazę”, iż poszedł do przełożonego i powiedział: „To niemożliwe, nie mogę tutaj służyć. Jeśli Żydów trzeba wytepić, to trzeba to zrobić w jakimś porządku. Powiedziałem mu to i dodałem: «Nie chcę tutaj być»,. Oficer spokojnie wysłuchał skarg Groeninga, przypomniał mu o przysiędze wierności SS i powiedział, że ma „zapomnieć” o możliwości opuszczenia obozu. Jednocześnie jednak dał mu trochę nadziei - jeśli można to tak nazwać. Powiedział Groeningowi, że „ekscesy”, które widział, były „wyjątkiem”, i że sam zgadza się z opinią, iż członkowie SS nie powinni brać udziału w takich aktach „sadyzmu”.

Znaczący jest fakt, że Groening nie narzekał na sam pomysł teńienia Żydów, tylko na jego praktyczną realizację. Kiedy zobaczył przed sobą ludzi, którzy za kilka godzin mieli zginąć w komorach gazowych, jego uczucia były, jak mówi, „bardzo mieszane”. „Jak byście się czuli - pyta - gdybyście byli w Rosji, przed sobą mieli karabin maszynowy, a na was biegłby batalion Rosjan, których trzeba pozabijać, zanim was dopadną? Specjalnie tak o tym mówię, ponieważ wciąż pamiętaliśmy, że Żydzi byli naszymi wrogami w Niemczech. Propaganda miała na nas tak silny wpływ, że zabijanie Żydów było dla nas częścią wojny. Nie czuliśmy więc litości ani empatii”. Wypytywany o powód, dla którego mordowano również dzieci, Groening odpowiada: „Dzieci nie były w tamtym momencie wrogami. Wrogiem była ich krew. Wrogami by się stały, gdyż wyrosłyby na potencjalnie niebezpiecznych Żydów. Właśnie dlatego dzieci też były skażone”.

Wcześniejsze życie Oskara Groeninga pomoże być może zrozumieć, jak mógł on uważać bezbronne kobiety i dzieci za „wrogów” wymagających „wyteńienia”. Urodził się w 1921 roku w Dolnej Saksonii jako syn wykwalifikowanego robotnika zakładów włókienniczych. Jego ojciec był szanującym tradycję konserwatystą, „dumnym z osiągnięć Niemiec”. Do najwcześniejszych wspomnień Groeninga należy oglądanie fotografii dziadka, który służył w wyborowym pułku z księstwa Brunszwiku. „Jego wygląd zrobił na mnie ogromne wrażenie, kiedy byłem dzieckiem - siedział na koniu i dał w trąbkę. To było fascynujące”. Po klęsce Niemiec w pierwszej wojnie światowej ojciec Groeninga przyłączył się do prawicowej organizacji Stahlhelm (stalowy hełm), jednego z wielu skrajnie nacjonalistycznych ugrupowań powstałych po podpisaniu, upokarzającego według Niemców, traktatu wersalskiego. Gniew ojca na sposób potraktowania ojczyzny wzmagął się w miarę, jak jego życie stawało się coraz trudniejsze - jego zakład włókienniczy zbankrutował w 1929 roku z powodu braku kapitału. We wczesnych latach trzydziestych młody Oskar wstąpił do młodzieżowej organizacji Stahlhelmu, zwanej Scharnhorst. „Nosilem szarą czapkę wojskową, koszulę i spodnie. Wyglądaliśmy w tych uniformach raczej dziwnie, ale byliśmy z nich



dumni. Mieliśmy też mundury czarno-biało-czerwone, w kolorach dawnej flagi cesarza Wilhelma”.

Kiedy naziści doszli do władzy w 1933 roku, dla jedenastoletniego Oskara Groeninga było oczywiste, że musi przenieść się z Scharnhorstu do Hitlerjugend. Przejął wartości swoich rodziców i uznał, że hitlerowcy „byli właśnie tymi ludźmi, którzy chcieli dla Niemiec dobrze i robili coś w tym kierunku”. Jako członek Hitlerjugend, Oskar wziął udział w paleniu książek napisanych przez „Żydów i innych degeneratów”. Wierzył, że w ten sposób uwalnia Niemcy od nieodpowiedniej, obcej kultury. Jednocześnie uważał, że narodowy socjalizm odnosi niewątpliwe sukcesy gospodarcze. „W ciągu sześciu miesięcy [od dojścia nazistów do władzy] pięć milionów bezrobotnych znikło z ulic i każdy miał pracę. Potem [w 1936 roku] Hitler wkroczył do Nadrenii [zdemilitaryzowanej na mocy traktatu wersalskiego] i, jak gdyby nigdy nic, ją zajął - nikt nie próbował go powstrzymać. Byliśmy z tego powodu szalenie szczęśliwi - ojciec otworzył butelkę wina”.

Jednocześnie Oskar chodził do szkoły i choć czuł, że czasami jest „leniwy i trochę głupi”, ukończył ją z dobrym świadectwem i w wieku siedemnastu lat rozpoczął praktykę w banku. Kilka tygodni po rozpoczęciu przez niego pracy została wypowiedziana wojna; ośmiu z dwudziestu praktykantów natychmiast powołano do wojska, a na ich miejsce przyszły młode kobiety. Oznaczało to, że pozostali młodzi pracownicy mogli „dostać się na stanowiska, o których normalnie nie mogliby nawet pomarzyć. Na przykład ja musiałem się zająć kasą”. Mimo nieoczekiwanego awansu w banku młodzi pracownicy, słuchając komunikatów o zwycięstwach w Polsce i Francji, popadali w „euforię” i czuli „chęć wzięcia w tym udziału”, chcieli „pomóc”.

Oskar Groening chciał wstąpić do „wyborowej” jednostki armii niemieckiej, takiej, w jakiej służył jego dziadek. Tylko jedna formacja była dla niego spełnieniem marzeń. „Jednostki Waffen SS powstały z oddziałów SA [bojówek partii nazistowskiej], ponieważ konieczne było posiadanie wojsk, na których można było zawsze polegać. W czasie mityngów partyjnych na końcu zawsze maszerowały czarne mundury i nikt z esesmanów nie miał mniej niż metr dziewięćdziesiąt wzrostu - to był bardzo budujący widok”. Nie mówiąc więc nic ojcu, Oskar udał się do hotelu, w którym rekrutowano do Waffen SS, i zaciągnął się. „A kiedy wróciłem do domu, mój ojciec powiedział: «Miałem nadzieję, że cię nie przyjmą, bo nosisz okulary». A potem powiedział: «Przykro mi, ale sam będziesz musiał się przekonać, czy coś ci z tego przyjdzie»,,.

Na początku Oskar zyskał dzięki wstąpieniu do Waffen SS pracę w administracji SS, gdzie pracował jako księgowy. Był z tego przydziału zadowolony. „Jestem typem pracownika

biurowego. Chciałem służyć gdzieś, gdzie jednocześnie miałbym żołnierskie życie i pracę biurową”. W kancelarii pracował do września 1942 roku, kiedy przyszedł rozkaz, by sprawni fizycznie i zdrowi członkowie SS, zajmujący posady biurowe, zostali przydzieleni do bardziej wymagającej służby, ustępując miejsc w biurach weteranom-inwalidom powracającym z frontu. „Przypuszczaliśmy, że teraz wstąpimy do jednostki frontowej, i dwudziestu dwóch z nas spakowało się i wsiadło do pociągu do Berlina. To było dziwne, bo zazwyczaj dostawało się bilet do koszar szkoleniowych - ale teraz tak się nie stało”.

Groening i jego koledzy zgłosili się do jednego z urzędów gospodarczych SS, znajdującego się w „pięknym budynku” w stolicy. Potem skierowano ich do sali konferencyjnej, w której wysłuchali przemówień kilku wysokich rangą oficerów SS. „Musieliśmy słuchać wykładu o obowiązku słuchania rozkazów i o zaufaniu, jakim nas obdarzono - nasze zadanie nie miało być łatwe. Przypomnieli nam, że złożyliśmy przysięgę z mottem «Wierność jest moim honorem» i że będziemy mogli dowieść swojej wierności, wykonując zadanie, które zostanie nam zaraz powierzone - szczegóły mieliśmy poznać później. Potem niższy funkcjonariusz SS powiedział nam, że musimy zachować absolutną tajemnicę. Zadanie było ściśle tajne i nie mieli się o nim dowiedzieć nasi krewni, przyjaciele, towarzysze ani ludzie spoza jednostki. Potem pojedynczo podchodziliśmy, by podpisać odpowiednie zobowiązanie”.

Na dziedzińcu budynku grupa Groeninga została rozdzielona na mniejsze oddziały, które skierowano w różne miejsca i odwieziono na różne dworce Berlina, gdzie rekruci wsiedli do pociągów. „Jechaliśmy na południe - opowiada Oskar Groening - w kierunku Katowic. Dowódca naszej grupy, który otrzymał dokumenty, powiedział, że mamy się zameldować u komendanta obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Nigdy przedtem nie słyszałem o tym mieście”.

Przyjechali późno wieczorem i dzięki pomocy żandarmerii znaleźli drogę do obozu głównego, gdzie zameldowali się w budynku administracji. Przydzielono im „tymczasowe” prycze w koszarach SS. Inni esesmani, którzy przywitali ich w koszarach, byli bardzo przyjacielscy i serdeczni. „Ludzie w koszarach przyjęli nas i zapytali: «Czy jedliście już coś?». Nie jedliśmy, więc nas poczęstowali”. Groening był zaskoczony, gdyż oprócz podstawowych racji SS (chleba i kielbasy) dostali również dodatkowe jedzenie, czyli puszki ze śledziami i sardynkami. Nowi koledzy mieli również rum i wódkę, którą postawili na stole, zachęcając: „Nalewajcie sobie”. „Nie odmówiliśmy i wkrótce zrobiło się nam wesoło. Zapytaliśmy: «Co to za miejsce?», a oni odpowiedzieli, że sami powinniśmy się przekonać -

że jest to specjalny rodzaj obozu koncentracyjnego. Nagle otworzyły się drzwi i ktoś krzyknął: «Transport!», na co kilku z obecnych wstało i szybko wyszło”.

Wyspawszy się, Groening, razem z resztą nowych, zameldował się ponownie w centralnym budynku administracji. Kilku wyższych oficerów SS zaczęło ich wypytywać o to, co robili przed wojną. „Musieliśmy powiedzieć, co robiliśmy, jaką mieliśmy pracę, jakie wykształcenie. Powiedziałem, że byłem kancelistą w banku i chciałem pracować w administracji, a jeden z oficerów powiedział: «O, ktoś taki mi się przyda». Poszedłem więc za nim do baraku, w którym trzymano pieniądze więźniów. Powiedziano mi, że przy rejestracji zabierano im pieniądze i rejestrowano je tutaj, żeby po zwolnieniu mogli je dostać z powrotem”.

Jak dotąd, Oskarowi Groeningowi wydawało się, że Auschwitz to „zwykły” obóz koncentracyjny, co najwyżej z lepszymi racjami dla esesmanów. Ale rozpoczynając pracę przy rejestrowaniu pieniędzy więźniów, po raz pierwszy usłyszał o dodatkowej „niezwykłej” funkcji obozu oświęcimskiego. „Ludzie [pracujący w koszarach] powiedzieli nam, że nie wszystkie pieniądze wracają do więźniów - przyjmowani do obozu Żydzi byli traktowani inaczej. Pieniądzy nie otrzymywali z powrotem”. Groening zapytał: „Czy to ma coś wspólnego z «transportem», który przybył w nocy?”, a jego kolega odpowiedział: „Co, ty nie wiesz? Tak to się tu odbywa. Przyjeżdżają żydowskie transporty i tych Żydów, którzy nie są zdadni do pracy, trzeba się pozbyć”. Groening zmusił ich, żeby wytłumaczyli mu, co znaczyło to „pozbyć się”, a kiedy mu powiedzieli, wpadł w osłupienie. „Nie można sobie tego wyobrazić, naprawdę. W pełni zdałem sobie z tego sprawę, kiedy w czasie selekcji pilnowałem walizek i wartościowych przedmiotów. Jeśli mnie pytacie - to był wstrząs, którego nie można przyjąć w całości od razu. Ale nie możecie zapominać, że nie tylko od 1933 roku [dojście Hitlera do władzy], ale nawet wcześniej propaganda, którą jako dziecko chłonałem z gazet, mediów i od ludzi z mojego otoczenia, przekonała mnie, że Żydzi wywołali pierwszą wojnę światową, a następnie «zadali Niemcom cios w plecy» u jej schyłku. I że to właśnie Żydzi byli sprawcami nieszczęść, przez jakie przechodziły potem Niemcy. Byliśmy pewni, tak mówił nam nasz światopogląd, że przeciwko nam działa wielki żydowski spisek i wyrazem tego był obóz w Oświęcimiu - że trzeba uniknąć tego, co stało się w czasie pierwszej wojny światowej, uniemożliwić Żydom doprowadzenie nas do upadku. Wewnętrzni wrogowie Niemiec mają być zabijani - jeśli trzeba, to wytepieni. A pomiędzy tymi dwoma walkami, otwartą na froncie i tajną na zapleczu, nie ma absolutnie żadnej różnicy - eksterminacja dotyczyła więc tylko wrogów”.

Dziś rozmowa z Oskarem Groeningiem i słuchanie, jak próbuje wytłumaczyć swoją służbę w Oświęcimiu, jest dziwnym doświadczeniem. Ponadosiemdziesięcioletni już starzec mówi niemal tak, jakby to jakiś inny Oskar Groening służył w Oświęcimiu 60 lat temu - i mówiąc o tym „innym” Groeningu, potrafi być szczery w sposób brutalny. A co najważniejsze, uchyla się od odpowiedzialności za współuczestnictwo w eksterminacji, cały czas odwołując się do siły propagandy, na którą był narażony, oraz do wpływu, jaki miała na niego skrajnie nacjonalistyczna atmosfera panująca w jego rodzinie. Dopiero po wojnie, kiedy można było wchłonąć nowy światopogląd - kwestionujący hitlerowskie przekonanie o istnieniu „międzynarodowego spisku żydowskiego” i rolę Żydów w pierwszej wojnie światowej - powstał „nowy” Oskar Groening, zdolny do życia jako pożyteczny obywatel nowoczesnych, demokratycznych Niemiec.

Nie oznacza to, że Groening próbuje kryć się za wymówką, że „tylko wykonywał rozkazy”. Nie opisuje siebie jako bezmyślnego automatu, który wykonałby każdy wydany mu rozkaz. Kiedy powie się mu, że zgodziłby się również na mordowanie aryjskich dzieci w obozie w Oświęcimiu, kategorycznie odmawia. Zadaje kłam opinii rozpowszechnionej wśród niektórych historyków, że esesmani byli tak zdeprawowani przez swoją służbę, iż zabiliby każdego, kogo by im kazano zabić. Nie, decyzje Groeninga wcale nie były podejmowane w tak prymitywny sposób. Przyznaje co prawda, że wielki wpływ miała na niego ówczesna propaganda, ale mimo to w czasie wojny samodzielnie podjął dużo decyzji. Kontynuował służbę w Oświęcimiu nie dlatego, że tak mu nakazano, ale dlatego że rozpatrzywszy wszystkie za i przeciw, uznał program eksterminacji za słuszny. Po zakończeniu wojny Groening kwestionował przemawiające przeciwko niemu dokumenty, ale nie twierdził, że był bezwolnym robotem. Przez całe życie wierzy, że postępował w sposób uznawany przez siebie za „słuszny”; a teraz po prostu okazało się, że to co było słuszne wtedy, nie jest już słuszne dzisiaj.

Nie należy odnosić się ze zbytnią ironią do takiego mechanizmu obronnego. Oczywiście Groening mógł wybrać inaczej - mógł odrzucić wartości swojej społeczności i jej się sprzeciwić. Mógł zdezerterować z obozu (choć nie ma dowodów na to, że jakkolwiek esesman to uczynił w wyniku moralnego sprzeciwu wobec służby w obozie). Tak uczynić jednak mogłaby tylko bardzo wyjątkowa jednostka. A istotną - niemal przerażającą - cechą charakteru Oskara Groeninga jest jego całkowita normalność. Po kilku latach w obozie jenieckim rozpoczął pracę w dziale kadr huty szkła, gdzie w spokoju pracował aż do emerytury. Jedynym nienormalnym okresem w jego życiu była służba w Oświęcimiu.

Studium historyczno-socjologiczne na temat esesmanów w obozie oświęcimskim, sporządzone na podstawie dokumentacji statystycznej, wykazało, że „esesmani z załogi obozu nie byli grupą o wyjątkowej strukturze zawodowej i poziomie wykształcenia. Załoga obozu była bardzo podobna do społeczeństwa, z którego się wywodziła” \* [\*Aleksander Lasik, „Historical-Sociological Profile of the SS” [w:] Yisrael Gutman i Michael Berenbaum, „Anatomy of the Auschwitz Death Camp”, Indiana University Press 1994, s. 278.]. Oskar Groening jest doskonałym tego przykładem. Był typowy również dlatego, że najwyższy stopień, jakiego się dosłużył, to Rottenführer (starszy kapral). Około 70 procent esesmanów w Auschwitz należało do tej kategorii; 26 procent miało nieoficerskie stopnie powyżej Rottenführera; a tylko 4 procent załogi SS stanowili oficerowie. W obozie Auschwitz I i jego podobozach służyło około 3000 esesmanów \* [\*Te liczby pochodzą z *ibid.*]. Administracja SS była podzielona na 5 głównych wydziałów - wydział komendantury (referat kadr, referat do spraw prawnych i inne podobne funkcje), wydział medyczny (lekarze, dentyści), wydział polityczny (gestapo i policja kryminalna kripo), administracyjno-gospodarczy (w tym rejestracja i wykorzystanie przedmiotów zrabowanych mordowanym więźniom) oraz kierownictwo obozu (odpowiedzialne za bezpieczeństwo na jego terenie). Największym wydziałem był bez wątpienia ten ostatni - około 75 procent esesmanów służących w Auschwitz wypełniało różne funkcje przy zabezpieczeniu obozu. Oskar Groening był wyjątkowy jedynie dlatego, że miał stosunkowo „łatawą” pracę w administracji gospodarczej.

W lecie 1942 roku obóz w Oświęcimiu otrzymywał już bezpośrednie transporty Żydów ze Słowacji, Francji, Belgii i Holandii. Porzucono politykę realizowaną od jesieni 1941 roku, polegającą na wysyłaniu Żydów z zachodu do gett takich jak łódzkie i przeprowadzaniu tam dalszej selekcji, poprzedzającej morderstwa na Żydach „niezdatnych do pracy”. Wprowadzenie w Auschwitz selekcji po przybyciu transportu znacznie usprawniło proces eksterminacji. Mordercze macki obozu sięgały teraz do prawie wszystkich części Europy. Dotarły nawet do Wielkiej Brytanii - mianowicie do malowniczych wysp Guernsey i Jersey, należących do Wysp Normandzkich. Jest to historia szczególnie wstrząsająca dla tych - wciąż licznych - ludzi, którzy za kwintesencję „brytyjskości” uznają opór stawiany przez ich kraj Hitlerowi, ludzi pewnych, że nikt w Anglii, Szkocji czy Walii nie kolaborowałby z hitlerowcami, gdyby wylądowali na brytyjskich brzegach.

Wyspy Normandzkie, z których dwie najważniejsze to Jersey i Guernsey, to mały archipelag przy północno-zachodnim wybrzeżu Francji. Wyspy te nie miały być bronione przez brytyjskie siły zbrojne. Lojalne wobec brytyjskiej korony, a jednocześnie zajadle podkreślające swą niezależność od brytyjskiego rządu, zostały bez oporu zajęte przez

Niemców w czerwcu i lipcu 1940 roku. Jak we Francji, tak tutaj Niemcy starali się zarządzać okupowanym terenem, wykorzystując w miarę możliwości istniejącą infrastrukturę administracyjną: miała to być zupełnie inna okupacja niż ta, której doświadczyli Polacy i obywatele Związku Radzieckiego. Mimo to hitlerowcy tak samo nie tolerowali Żydów na wyspach, jak nie tolerowali ich w Mińsku czy Warszawie. W październiku 1941 roku komunikat w dzienniku „Jersey Evening Post” nakazywał Żydom zarejestrować się u Clifforda Orange’a, urzędnika odpowiedzialnego za cudzoziemców na Jersey. W tym samym miesiącu w „Guernsey Evening Post” ukazał się podobny komunikat, nakazujący Żydom zgłoszenie się na miejscowym posterunku policji.

Oczekując rychłego przybycia Niemców, większość żydowskiej ludności wysp już dawno uciekła na Wielką Brytanię. Została tylko niewielka liczba tych, którzy nie mogli lub nie chcieli odejść. W rezultacie na Jersey zarejestrowało się dwunastu Żydów, a na Guernsey czterech. Rejestracja, podobnie jak w całym hitlerowskim imperium, była wstępem do systematycznych prześladowań. Żydowskie firmy musiały najpierw umieścić w oknie tablicę z napisem *Jewish undertaking* (przedsiębiorstwo żydowskie), a następnie ulec „odżydzeniu”, czyli przymusowej sprzedaży w ręce nie-Żydów. Władze Wysp Normandzkich brały udział w tych działaniach - a właściwie samodzielnie ich dokonywały. W typowym, i wzruszającym, liście jednego z mieszkających na Jersey Żydów, Nathana Davidsona, do ministra sprawiedliwości na Jersey, napisanym 23 stycznia 1941 roku, czytamy: „Zgodnie z pańskimi zaleceniami śpieszę powiadomić, że zakończyłem zwijanie interesu... roleta na oknie została opuszczona, a w widocznym miejscu została umieszczona tabliczka ZAMKNIĘTE” \* [\*Frederick Cohen, „The Jews in the Channel Islands during the German Occupation 1940-1945”, Jersey Heritage Trust 2000, s. 26.]. Clifford Orange w czerwcu 1941 roku mógł zameldować rezydującemu na Jersey szefowi rządu wysp (bailiffowi), że „na wyspie nie ma zarejestrowanych Żydów prowadzących działalność gospodarczą” \* [\*Ibid., s. 34.]. Przez bailiffa wiadomość ta została przekazana Niemcom.

Późniejsze rozkazy ograniczyły godziny, w jakich Żydom na Wyspach Normandzkich wolno było robić zakupy, oraz nakładały na nich godzinę policyjną. Jedynym dyskryminującym rozkazem, któremu sprzeciwiły się władze na Jersey, było wprowadzenie obowiązkowych dla Żydów opasek z żółtą gwiazdą. W tej sprawie bailiff i minister sprawiedliwości złożyli do niemieckich władz protest i prośbę o ponowne rozpatrzenie decyzji. Mimo tych protestów doktor Casper, niemiecki komendant, zamówił specjalne opaski z angielskim słowem *Jew* (Żyd) napisanym na środku gwiazdy. Najprawdopodobniej jednak nigdy nie zostały one nawet wysłane na wyspy. Ograniczeni godziną policyjną Żydzi z

trudnością mogli zarobić na życie. Nathan Davidson, zamknąwszy swój sklep, po prostu załamał się pod ciężarem wymierzonych w niego prześladowań. W lutym 1943 roku trafił do szpitala psychiatrycznego na Jersey, gdzie zmarł rok później. Inny Żyd z Jersey, Victor Emmanuel, popełnił samobójstwo.

Właściwa, fizyczna deportacja Żydów zaczęła się jednak na pobliskiej Guernsey. Trzy kobiety - Auguste Spitz, Mariannę Grunfeld oraz Therese Steiner - zostały wywiezione z wyspy w kwietniu 1942 roku. Żadna z nich nie była Brytyjką, Spitz i Steiner były Austriaczkami, a Grunfeld - Polką. Wszystkie znały więc dobrze niemiecką nienawiść do Żydów. Therese Steiner, na przykład, opuściła Austrię, ponieważ kraj ten stawał się coraz bardziej nieprzyjazny Żydom. Znalazła w końcu pracę jako niania u rodziny, która przybyła na Wyspy Normandzkie w 1939 roku. Ludzie ci wrócili na Wielką Brytanię wiosną 1940 roku, ale miejscowe władze zakazały powrotu Therese, zgodnie z zaleceniami brytyjskiego Home Office (Ministerstwa Spraw Wewnętrznych), i internowały ją jako „cudzoziemkę spoza kraju”. W ten sposób trafiła w ręce ludzi, przed którymi uciekała do Zjednoczonego Królestwa. Therese udało się znaleźć pracę w szpitalu na Guernsey, gdzie była pielęgniarką. Poznała ją tam Barbara Newman \* [\*Wywiad dla BBC.]. „Bardzo dobrze wyglądała, miała ładne loki i żydowski nos - inaczej nikt by się nie dowiedział, kim jest. Pamiętam, że bardzo szybko mówiła - oczywiście z akcentem. Miała trochę dogmatyczne poglądy, co czasem jest trudne do zniesienia. Ale byliśmy naprawdę dobrymi przyjaciółkami”. Barbara Newman jasno określa nastawienie Theresy wobec hitlerowców: „Odnosiłam wrażenie, że gdyby mogła, to by na nich napluła - taką czuła do nich nienawiść”.

Na wiosnę 1942 roku niemieckie władze nakazały rządowi Guernsey dostarczenie trzech Żydówek-cudzoziemek, by mogły zostać wywiezione. Sierżant Ernst Plevin z policji Guernsey pamięta, że wydał Therese Steiner polecenie, by spakowała się i zgłosiła do Niemców. „Pamiętam dobrze, jak Therese przychodzi na komisariat, a ja przekazuję jej polecenie, które policja otrzymała od niemieckich władz wojskowych. Therese wpadła w rozpacz, wybuchła płaczem i krzyczała, że już nigdy jej nie zobaczymy” \* [\*Cohen, *op. cit.*, s. 52.].

Barbara Newman towarzyszyła Therese, kiedy ta stawiała ostatnie kroki na Guernsey, idąc do St Peter Port we wtorek 21 kwietnia 1942 roku. „Wciąż mam tę scenę przed oczami - chyba wzięłam jej walizkę na rower. Prowadziłam go z walizką; wiecie, jak to się robi. Staliśmy tam, żegnając ją, i patrzyliśmy, jak idzie przez bramkę i nam macha... Nie mieliśmy na to żadnego wpływu. Nie można się było tym martwić, bo nie moglibyśmy dalej żyć, gdybyśmy się zbyt mocno przejmowali. Trzeba było zaakceptować rozkazy i przyzwyczać

się do nich. Myślałam sobie wtedy: Jak my tu sobie damy radę po wojnie? Nikt nie będzie nam mówił, co mamy robić”. To, że Therese jechała z Guernsey na śmierć, było dla Barbary Newman niewyobrażalne. „To naprawdę przekraczało nasze możliwości pojmowania, nie zgodzicie się państwo? Takie rzeczy przecież się w Anglii nie zdarzają”.

Auguste Spitz, Mariannę Grunfeld i Therese Steiner oddały się w ręce Niemców w St Peter Port i wsiadły na statek, który zawiózł je na stały ląd. We Francji jeszcze raz zarejestrowano je jako Żydówki i Therese Steiner dostała czasowo pracę jako pielęgniarzka. W lipcu zostały objęte masowymi deportacjami Żydów-cudzoziemców z Francji. Dwudziestego lipca pojechały do Oświęcimia, gdzie dotarły trzy dni później. Nie wiadomo, czy którakolwiek z nich przetrwała wstępną selekcję. Wiadomo jednak na pewno, że żadna nie przeżyła wojny. Therese miała rację - mieszkańcy Guernsey już nigdy nie mieli jej zobaczyć.

Pozostali Żydzi zostali wywiezieni z Wysp Normandzkich następnego roku, w lutym 1943. Spotkał ich jednak zupełnie inny los. Ich deportacja - razem z innymi, wybranymi mieszkańcami, wśród których byli „masoni”, „byli oficerowie sił zbrojnych” i „potencjalni komuniści” \* [\**Ibid.*, s. 59, tam kompletna lista.] - została zarządzona w odwecie za wcześniejszy o pięć miesięcy rajd brytyjskich komandosów na Sark, jedną z najmniejszych zamieszkałych Wysp Normandzkich. Tylko jeden z deportowanych wtedy Żydów został przez Niemców „specjalnie potraktowany” - John Max Finkelstein, wywodzący się z Rumunii, który trafił ostatecznie do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, a potem do getta Theresienstadt. Dożył końca wojny.

Inni deportowani mieszkańcy Wysp Normandzkich, w tym również Żydzi, zostali wysłani do ośrodków internowania we Francji i Niemczech, gdzie traktowano ich co prawda bardzo nieprzyjemnie, ale nieporównywalnie lepiej niż więźniów Buchenwaldu czy Auschwitz. Co ważne, Żydzi (z wyjątkiem Finkelsteina) nie zostali oddzieleni od innych deportowanych mieszkańców wysp. Można tylko spekulować, dlaczego zostali w ten sposób potraktowani przez hitlerowców - zawsze występowały anomalie przy realizacji „ostatecznego rozwiązania”. W tym wypadku zaważył chyba fakt, że deportowano ich razem z innymi ludźmi, których Niemcy uznali za mniej „niebezpiecznych”, oraz to, że pochodzili z kraju uważanego przez hitlerowców za „cywilizowany”, którego wciąż nie chcieli do siebie zrazić (z tych samych powodów Żydzi wywiezieni w jesieni 1943 roku z Danii - innego kraju uważanego przez hitlerowców za „aryjski” - zostali wysłani do Theresienstadt, a nie do Oświęcimia).

Oczywiście, kiedy władze Wysp Normandzkich pomagały Niemcom wywozić Żydów, nie wiedziały dokładnie, jaki czeka ich los. Wszyscy jednak byli świadomi tego, że



Niemcy wybrali Żydów jako cel prześladowań i że przypuszczalnie gotowali im po deportacji los gorszy niż dostatecznie już ciężkie życie na okupowanych wyspach. Mimo to władze nie uczyniły nic, żeby przeciwstawić się deportacjom. Wprost przeciwnie, policja i urzędnicy bez szemrania współpracowali z Niemcami. Przyznać trzeba, że władze na Jersey zaprotestowały przeciw wprowadzeniu żółtych opasek z gwiazdą (ale władze na Guernsey już nie). Bardzo znaczący jest również fakt, na który zwrócił uwagę Frederick Cohen w swoim pionierskim studium o polityce wobec Żydów na Wyspach Normandzkich w czasie okupacji \* [*Ibid.*], że znacznie więcej wysiłku władze włożyły w ochronę mieszkających tam masonów. W raporcie brytyjskiego wywiadu z sierpnia 1945 roku czytamy: „Kiedy Niemcy poinformowali o wprowadzeniu antyżydowskich przepisów, funkcjonariusze władz Guernsey nie zaprotestowali i natychmiast udzielili Niemcom wszelkiej pomocy. Kiedy natomiast podobne przepisy wprowadzono przeciwko masonom, licznie zamieszkującym wyspę, bailiff złożył stanowczy protest i robił wszystko, co możliwe, żeby chronić masonów” \* [*Ibid.*, s. 92.].

Trudno powiedzieć, co by się stało, gdyby władze Guernsey energicznie zaprotestowały przeciwko deportacji Auguste Spitz, Marianne Grunfeld i Therese Steiner. Prawdopodobnie nie miałyby to żadnego praktycznego znaczenia - choć pozostałoby chwalebna chwila w historii Guernsey - niemniej istnieje możliwość, że odważna postawa władz mogłaby uratować życie trzem kobietom, które szukały azylu w Wielkiej Brytanii. To wystarczy, by epizod ten stał się niezmywalną plamą na kartach historii wyspy.

W tym samym miesiącu, w którym trzy wywiezione w Guernsey kobiety dotarły do Oświęcimia, Heinrich Himmler po raz kolejny odwiedził obóz. Siedemnastego lipca 1942 roku samochód Reichsführera SS przejechał przez bramy obozu, piętnaście miesięcy po pierwszej inspekcji. Kazimierz Smoleń \* [*Wywiad dla BBC.*], jeden z polskich więźniów politycznych, pamiętał Himmlera z poprzedniej wizyty. „Nie wyglądał na wojskowego. Miał okulary w złotej oprawce. Był krępy i trochę gruby. Wyglądał - nie chcę tutaj nikogo obrazać - jak prowincjonalny nauczyciel”.

W czasie tej wizyty zwyczajnie wyglądającego pana z brzuszkim i w okularach nastąpiły w obozie wielkie zmiany, których częścią była budowa nowego kompleksu w Brzezince. Himmler studiował plany przyszłej działalności obozu i objechał liczącą 40 kilometrów kwadratowych „obozową strefę interesów” (obszar wokół obozu znajdujący się pod bezpośrednią kontrolą jego administracji). Następnie obejrzał selekcję nowo przybyłego transportu i gazowanie w „białym domku”. Przyjrząwszy się uśmiercaniu ludzi, Himmler udał się na przyjęcie na swoją cześć wydane przez gauleitera Brachta w pobliskich Katowicach. Następnego dnia wrócił do Oświęcimia i zwiedził obóz kobiecy w Brzezince. Oglądał tam

bicie jednej z więźniarek - była to kara, którą sam zatwierdził. Himmler był tak zadowolony z tego, co zobaczył w Auschwitz, że awansował Rudolfa Hössa.

Kariera Hössa zapowiadała się wspaniale; wizyta Reichsführera była wielkim sukcesem. Pozostawał jednak co najmniej jeden problem: przełożeni z SS byli zaniepokojeni liczbą ucieczek z Auschwitz. Ucieczki nie były nowym zjawiskiem w historii obozu: pierwsza została odnotowana w dokumentach 6 lipca 1940 roku. W lecie 1942 roku trzeba było jednak wysłać ostrzeżenie do komendantów wszystkich obozów koncentracyjnych SS, po tym jak w Oświęcimiu, zaledwie kilka tygodni przed wizytą Himmlera, doszło do szczególnie zuchwałej ucieczki z obozu.

Jej plan został obmyślony przez Kazimierza Piechowskiego \* [\*Wywiad dla BBC.], polskiego więźnia politycznego, który spędził w Oświęcimiu już 18 miesięcy. Doskonale zdawał sobie sprawę z ryzyka. „Przedtem próbowano już uciekać na różne sposoby, ale większości uciekinierów się nie udało, ponieważ kiedy w czasie apelu brakowało jednej osoby, oni [esesmani i kapo] zaczęli jej szukać ze specjalnie wytresowanymi psami i zazwyczaj znajdowali zbiega ukrytego pod jakimiś deskami albo wśród worków z cementem. Kiedy takiego więźnia znaleźli, przyczepiali mu na plecach napis: «Hura! Hura! Znowu jestem z wami!» i kazali mu walić w wielki bęben i maszerować po obozie, a potem prowadzili na szubienicę. Taki człowiek szedł bardzo wolno, jakby chciał przedłużyć sobie życie”. Do ucieczek zniechęcały również straszliwe konsekwencje wyciągane wobec pozostałych więźniów z bloku uciekiniera. Na przykład ojciec Maksymilian Kolbe wraz z dziesięcioma innymi więźniami z bloku zbiega został zagłodzony na śmierć. „Niektórych więźniów to naprawdę paraliżowało - opowiada Piechowski - ale inni nie chcieli myśleć o konsekwencjach. Chcieli się z tego piekła wydostać za wszelką cenę”.

Zanim Piechowski stawiał czoło temu podwójnemu wyzwaniu, jakim była ucieczka z obozu i zapobieżenie odwetowi na współwięźniach, musiał pilnie rozwiązać inną trudność - utrzymać się przy życiu. Na początku pracował na zewnątrz, w śniegu, w jednym z najgorszych komand. „Praca była ciężka, a jedzenie marne. Niewiele mi brakowało, żebym został «muzułmanem» \* [\*„Muzułman” - po niemiecku *Muselman* - w języku obozowym określenie więźnia, który z głodu stracił siły i prawdopodobnie nie przetrwa długo. Być może od pochylonej postawy tych ludzi - jakby byli muzulmanami przy modlitwie.] - tak esesmani nazywali więźniów, którzy stracili kontakt z rzeczywistością. Czuję się bezradny”. Potem o jego życiu zadecydował uśmiech losu. Został przeniesiony do innej grupy robotników. „Przydzielono mnie do innego komanda i kiedy szliśmy przez bramę, spytałem więźnia obok: «Dokąd idziemy?». Mój towarzysz odpowiedział: «Nie wiesz? Wygrałeś los na loterii!

Pracujemy w magazynie. To ciężka praca, ale przynajmniej nie na mrozie. Będziesz miał dach nad głową». Myślałem, że idę do nieba». Piechowski dowiedział się również o innej zalecie pracy w „niebie”. „Koledzy nauczyli mnie, że kiedy ładujemy na wagon worki z mąką, to muszę odpowiednio uderzyć w worek, żeby mąka zaczęła się z niego wysypywać. Strażnik kazał nam wtedy wyrzucić worek, ale my go nie wyrzucaliśmy - mieszałem mąkę z wodą i robiliśmy makaron». W wyniku tej zmiany losu Piechowski poczuł, że „może przetrwać”.

Pewnego dnia, wkrótce po rozpoczęciu pracy w magazynie, odbył rozmowę z ukraińskim więźniem, Eugeniuszem Bandera, który pracował w pobliskim warsztacie samochodowym SS jako mechanik. „[Bandera] Wychodził z nami z obozu i wracał z nami z pracy i pewnego dnia wyznał mi, że powiedzieli mu, że jest na liście ludzi przeznaczonych na śmierć - selekcje odbywały się często. Spytał mnie: «Kazimierz, co mam zrobić? Jestem na liście śmierci!». Odpowiedziałem: «Nic na to nie poradzę». Ale on nie dał za wygraną i spytał: «Kazimierz, dlaczego stąd nie uciekniemy?». Dla mnie to był wstrząs - jak mieliśmy uciec? A on powiedział: «No, samochodem. W każdej chwili mogę mieć samochód». Zacząłem myśleć, czy to się da zrobić. Powiedziałem Eugeniuszowi, że jeśli chcemy wyjechać, to potrzebne nam mundury - mundury SS”.

W tym momencie ucieczka wydawała się beznadziejna. Skąd niby mieli wziąć mundury SS? Potem jednak znów uśmiechnął się do nich los. Kapo nakazał Piechowskiemu iść na drugie piętro magazynu i przynieść jakieś puste pudła. Idąc korytarzem, zobaczył na jednych drzwiach niemiecki napis „Mundury”. Próbował je otworzyć, ale były zamknięte na klucz. Kilka dni później kapo znów wysłał go na górę i tym razem Piechowski zauważył, że drzwi są uchylone. „Nie wiedziałem, co zrobić - opowiada Piechowski. - Postanowiłem po prostu wejść do środka i zobaczyć, co się stanie. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem esesmana kładącego coś na półce. Zaczął mnie bić i kopać. Upadłem na podłogę. «Ty świni! - krzyczał. - Ty polska świni, psie, nie masz prawa tu być! Zamelduj się w głównym biurze, ty polska świni». Wyczołgałem się więc na korytarz”.

Piechowski wiedział, że jeśli zamelduje, że wszedł do tego pokoju, to prawdopodobnie zostanie przeniesiony do karnego komanda, co oznaczało niemal pewną śmierć. Nie zrobił więc nic i miał nadzieję, że wszystko skończy się dobrze - i nie zawiódł się. Nie dosięgła go żadna kara, ponieważ esesman z pokoju nie zameldował o całym incydencie - jeszcze jeden szczęśliwy traf. Zaryzykował i wygrał, ponieważ zdołał zauważyć, co znajduje się w pokoju - mundury, granaty, amunicja, hełmy, wszystko, czego potrzebował on i jego towarzysze.

Najlepszym dniem na próbę ucieczki była sobota, ponieważ esesmani nie pracowali w tej części obozu w sobotę i niedzielę. Piechowski otworzył sobie drogę do magazynu, usuwając śrubę z klapy zsypu węgla, którym napełniano w piwnicy beczki. Ze składu węgla można się było teraz przedostać do reszty budynku. Piechowski był teraz gotów spróbować ucieczki, kiedy leżąc w pryczy, poczuł „jakby go piorun uderzył”. Zdał sobie sprawę, że „dziesięciu ludzi zabijają za każdego zbiega”. „Całą noc nie mogłem spać - ta myśl nie dawała mi spokoju - opowiada - aż nagle w jednej chwili dotarło to do mnie. Jedynym sposobem [na uniknięcie śmierci współwięźniów] jest fikcyjne komando”. Piechowski zaplanował, że czterech więźniów wyjdzie z głównego obozu, udając *Rollwagenkommando*, grupę pchającą jakiś wózek. W ten sposób mieli oficjalnie zostać wypuszczeni za wewnętrzne ogrodzenie, choć wciąż znajdowałiby się na zewnętrznym, pilnowanym obszarze, gdzie pracowało wielu więźniów. Gdyby w tym momencie się ulotnili, możliwe, że jedynie ich blokowy kapo zostałby pociągnięty do odpowiedzialności, ponieważ uznano by, że to on wysłał ich komando.

Był to bardzo zuchwały plan, który wymagał ponadto zaangażowania dwóch innych więźniów, ponieważ *Rollwagenkommando* składało się z czterech osób. Bandera natychmiast zwerbował jednego z księży, więźniów jego bloku, później jednak uciekinierzy natrafili na trudności. Piechowski zaproponował ucieczkę jednemu ze swoich najbliższych przyjaciół, ale ten odpowiedział, że dołączy się tylko pod warunkiem, że będzie mu wolno przyprować jeszcze kogoś. Było to niemożliwe, ponieważ tylko czterech ludzi wchodziło w skład odpowiedniego komanda. Następny przyjaciel zagadnięty przez Piechowskiego odpowiedział: „Może jest szansa, ale minimalna” i odmówił. W końcu Stanisław Jaster, młody warszawiak, były harcerz, zgodził się do nich dołączyć, choć uważał, że plan jest „ryzykowny”.

Jaster natychmiast dostrzegł, że cała ucieczka zależy od jednego, nieprzewidywalnego, zdarzenia - czy wartownicy przy zewnętrznej bramie pozwolą im przejechać, nie pytając o żadne dokumenty. Jeśli wartownik nie będzie leniwy i zatrzyma samochód, to są skończeni. Uciekinierzy uzgodnili, że w takim wypadku nie będą strzelać do esesmanów, tylko zastrzelą sami siebie. Bali się, że jeśli w czasie ucieczki zginie choć jeden esesman, odwet na pozostałych w obozie więźniach będzie straszny - być może zostanie zabitych nawet 500 lub 1000 ludzi.

Datę ucieczki wyznaczyli na sobotę 20 czerwca 1942 roku. Rano dwóch z nich nałożyło na ramię opaski i udając, że są kapo, razem z pozostałymi dwoma przeprowadzili załadowany śmieciem wózek przez słynną bramę z napisem *Arbeit macht frei* i przeszli do zewnętrznej strefy obozu. „Przy bramie - wspomina Piechowski - powiedziałem do

wartownika po niemiecku: «Więzień dziewięćset osiemnaście i trzech innych z wózkiem do magazynu». On [esesman] zapisał to w swojej księdze i nas przepuścił». Za bramą Eugeniusz Bandera udał się do pustego warsztatu samochodowego, żeby przygotować samochód, podczas gdy pozostali trzej weszli do magazynu przez zsyp węgla. Okazało się, że drzwi do składu mundurów są zabezpieczone stalową sztabą, ale „pełen energii” Stanisław wziął bosak i je wyważył. W środku szybko wybrali mundury dla siebie i dla Bandery. Wzięli również cztery karabiny maszynowe i osiem granatów.

Trzej więźniowie, przebrani za esesmanów, byli już gotowi wyjść z magazynu, kiedy usłyszeli dwóch rozmawiających na zewnątrz Niemców. „Nie wiedziałem, co zrobić - opowiada Piechowski. - Co będzie, jak wejdą? Ale zdarzył się cud - jeśli wierzycie w cuda. Ci dwaj porozmawiali i nie weszli do środka - po prostu sobie poszli”.

Przez okno magazynu dali Banderze znak, żeby podjechał pod wejście. Kiedy to zrobił, wysiadł z samochodu i stanął na baczność przed trójką przebranych towarzyszy. „Co sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt metrów stała wieżyczka wartownicza - wspomina Piechowski - i z jednej z nich patrzył na nas strażnik, ale nie przejmowaliśmy się, bo byliśmy pewni siebie. Eugeniusz zdjął przede mną czapkę, powiedział coś do mnie, a ja wskazałem mu drzwi do magazynu, za którymi przebrał się za esesmana”.

Wszyscy czterej byli już gotowi do najtrudniejszej fazy ucieczki. „Pojechaliśmy. Za pierwszym zakrętem stało dwóch esesmanów. Eugeniusz powiedział: «Uważaj!». Minęliśmy ich, oni powiedzieli: *Heil Hitler!*, a my odpowiedzieliśmy tak samo. Teraz jechaliśmy już do zewnętrznej bramy i tam właśnie był ten problem: czy oni nas puszczą bez przepustki, bez dokumentów, bez wszystkiego. Ale my w to wierzymy, że tak. Szlaban opuszczony. Po prawej stał esesman z karabinem maszynowym, a po lewej stół i krzesło, na którym siedział drugi strażnik. Mamy może osiemdziesiąt jeszcze metrów, ale już Genek zredukował na drugi bieg, bo ten szlaban jest na dole. Mamy pięćdziesiąt metrów. Ten szlaban jest na dole. I wtedy mamy dosłownie piętnaście metrów do szlabanu, ja się wyłączyłem i myślę teraz: «Czas się wykończyć, tak jak to ustaliliśmy». I w tym momencie z tyłu dostałem takie uderzenie w kark i syczący głos księdza: «Kazik, zrób coś!». Ocknąłem się. Faktycznie, przecież oni na mnie liczą. Zacząłem więc krzyczeć do esesmanów: «Ile jeszcze mamy tutaj czekać!» i kłać. Wtedy wartownik powiedział coś, otworzył bramę i przejechaliśmy. To była wolność”.

Nie posiadając się ze szczęścia, czterech uciekinierów jechało wśród pól i w ciągu kilku minut znaleźli się o parę kilometrów od obozu. Dzięki pomocy mieszkających w okolicy przyjaciół przebrali się w cywilne ubrania, ukryli samochód i wtopili się w tłum Polaków. Zakończyła się pierwsza część ich planu - zakończona powodzeniem ucieczka.

W Oświęcimiu w tym czasie wszystko również przebiegało zgodnie z planem. Wymyślony przez Kazimierza Piechowskiego fortel z fałszywym komandem uratował przed odwetem wszystkich współwięźniów oprócz jednego. Tylko kapo musiał ponieść karę - wysłano go na głodową śmierć w celi bloku 11.

Dalsze, smutne losy trzech towarzyszy Piechowskiego nie pozwalają zapomnieć, że fizyczne wydostanie się z obozu nie oznaczało koniecznie końca cierpień. Stanisław Jaster dowiedział się, ku swojej rozpacz, że jego rodzice zostali w odwecie wysłani do obozu w Oświęcimiu, gdzie zginęli. On sam został zabity w Warszawie w czasie okupacji \* [\*W sprawie sporów na temat śmierci Jastera zob. też Henryk Świebocki, „Ucieczki z obozu” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 4, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.]. Józef, ksiądz, przeżył w obozie tak silny wstrząs psychiczny, że, jak to opisuje Piechowski, „chodził w kółko jak szalencie”. Po wojnie został przejechany przez autobus. Eugeniusz Bandera, który pierwszy zaproponował ucieczkę, kiedy znalazł się na liście śmierci, po powrocie do domu dowiedział się, że żona go opuściła. Rozpił się i umarł. Z czwórki zbiegów tylko Kazimierz Piechowski wciąż żyje, ale również on przyznaje, że wciąż trwa w „szoku psychicznym” po cierpieniach, których doświadczył. W koszmarach atakują go esesmani z psami i budzi się „zlany potem i zupełnie rozbity”.

Mimo że ich cierpienia nie zakończyły się po dramatycznej ucieczce z Oświęcimia, żaden z nich nie miał wątpliwości, że nie pomylili się, decydując się zaryzykować wszystko i uciec. Gdyby wiedzieli, co planował Himmler w czasie lipcowej inspekcji, tym bardziej byłiby pewni, że podjęli właściwą decyzję. Masowe mordy na terenie Polski miały się bowiem odbywać na coraz większą skalę. Dziewiętnastego lipca Himmler ogłosił: „Niniejszym nakazuję przesiedlenie do 31 grudnia całej żydowskiej ludności Generalnego Gubernatorstwa”. W tym kontekście „przesiedlenie” było eufemizmem oznaczającym „wymordowanie”. Himmler wyjawiał w ten sposób, że ustalił datę zakończenia rzezi kilku milionów polskich Żydów.

Słowa Himmlera były jednak raczej ostatecznym potwierdzeniem niż rozkazem. Stanowiły końcowy rezultat nawarstwiających się decyzji podejmowanych często jeszcze przed rozpoczęciem najazdu na Związek Radziecki - ostatnie ogniwo łańcucha przyczyn i skutków, których wtedy nie można było przewidzieć. Każda z ważnych decyzji, które poprzedziły komunikat Himmlera - zamknięcie polskich Żydów w getcie, rozkazy prowadzące do masowych rozstrzelań na wschodzie i późniejszych eksperymentów z gazem, wywózki niemieckich Żydów, a następnie, żeby znaleźć dla nich miejsce, poszukiwania metod zabijania „nieproduktywnych” mieszkańców gett - wszystkie te oraz inne działania

stały za bezlitosnym, oznaczającym śmierć milionów ludzi, komunikatem Himmlera z 19 lipca 1942 roku. Zakończył się etap tworzenia koncepcji, a fundamentalna decyzja została podjęta kilka miesięcy wcześniej: hitlerowcy postanowili zabić wszystkich Żydów. Pozostało tylko rozstrzygnięcie kwestii praktycznych, zaplanowanie realizacji tych zamierzeń. A esesmani uważali się za ludzi bardzo praktycznych.

W 1942 roku hitlerowcy musieli wielokrotnie zwiększyć liczbę ludzi uśmiercanych w ramach „ostatecznego rozwiązania”. Mordercza wydajność Oświęcimia pozostawała jednak wciąż ograniczona możliwościami „czerwonego” i „białego domku” (regularne uśmiercanie ludzi w krematorium w obozie głównym zostało przerwane z powodu trudności opisanych w rozdziale 2). Obóz oświęcimski, mimo ponurej sławy, jaką miał się później okryć, grał marginalną rolę w uśmiercaniu polskich Żydów w 1942 roku.

Himmler uznał, że może swoim ludziom nakazać zabicie Żydów-Polaków do końca 1942 roku, nie oczekując, że Auschwitz odegra w tej zbrodni główną rolę, wiedział bowiem, że większość mordów zostanie przeprowadzona w trzech nowych obozach (ośrodkach) założonych już w polskich lasach: te trzy miejsca - Bełżec, Sobibór oraz Treblinka, w przeciwieństwie do Oświęcimia, nie są szeroko znane. Fakt, że obozów tych nie wspomina się razem z Oświęcimiem, zakrawa na ponurą ironię, ponieważ to właśnie hitlerowcy chcieli je wymazać z kart historii i dołożyli wszelkich starań, by jakikolwiek fizyczny ślad po nich zaginął, gdy spełnią swoje straszliwe zadanie. Na długo przed końcem wojny hitlerowcy zniszczyli te obozy, a tereny, na których się znajdowały, zostały zalesione lub oddane pod uprawę. Zupełnie inaczej było w Oświęcimiu, gdzie nawet w ostatnich dniach obozu nie próbowano maskować jego istnienia. Został on założony na wzór przedwojennej instytucji nazistowskiego państwa - obozu koncentracyjnego - i w ogóle nie próbowano ukrywać jego istnienia przed okoliczną ludnością. W rzeczy samej, obozy takie jak Dachau były budowane na przedmieściach istniejących miast i hitlerowcy wykorzystywali ich efekt propagandowy, chcąc dać wszystkim do zrozumienia, że zamierzają uwięzić i „reedukować” tych, których uznali za malkontentów. Dopiero kiedy ludzi zaczęto w Auschwitz mordować masowo, zaczęło się ujawniać schizofreniczne rozdwojenie funkcji tego obozu - stan umysłu prowadzących go hitlerowców był taki, że opuszczając go, wysadzili w powietrze komory gazowe, ale resztę wielkiego kompleksu budynków pozostawili nienaruszoną.

W Bełżcu, Sobiborze i Treblince powstawało w 1942 coś zupełnie innego. Podobne obozy nie miały w hitlerowskim państwie poprzedników - być może nawet nie miały precedensu w całej historii. Ich budowy nie można było oprzeć na żadnych istniejących

wzorach, a ich historia i działanie lepiej odzwierciedla wyjątkowość hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania” niż obóz w Oświęcimiu.

Ośrodek w Bełczu, który został zbudowany pierwszy, był jedynym, którego historia sięga wcześniej niż do 1942 roku. Budowa małego obozu rozpoczęła się bowiem w listopadzie 1941 roku, w odległości około 500 metrów od stacji kolejowej w odległym miasteczku Bełzec, na południowo-wschodnich krańcach okupowanej Polski \* [\*Położony 8 km na południe od Tomaszowa Lubelskiego Bełzec przed wojną leżał w samym centrum Małopolski (przyp. A.Ż.).]. W zamiśle esesmanów miał on służyć rozwiązaniu miejscowego problemu - potrzeby wymordowania „nieproduktywnych” Żydów z okolicy. Jak ośrodek zagłady w Chełmnie został założony głównie po to, by mordować Żydów z getta łódzkiego, tak ośrodek w Bełczu został zbudowany, by mordować „niepożądanych” Żydów z okolic Lublina \* [\*W ośrodku zagłady w Bełczu zamordowano większość Żydów z dystryktu lubelskiego i dystryktu Galicja (przyp. A.Ż.).].

W grudniu 1941 roku SS-Hauptsturmführer Christian Wirth przybył do Bełcza, by objąć funkcję komendanta obozu. Miał wtedy 56 lat. Z zawodu cieśla, walczył w pierwszej wojnie światowej, został kilkakrotnie odznaczony za odwagę, przyłączył się do partii nazistowskiej, a następnie w latach trzydziestych pracował w gestapo w Stuttgarcie. W 1939 roku wziął udział w masowych eutanazjach dokonywanych na osobach chorych psychicznie, organizując ich uśmiercanie za pomocą tlenu węgla z butli. W 1941 pracował w rejonie Lublina, przeprowadzając dalsze eutanazje. Znany pod przydomkiem „dzikiego chrześcijanina” Wirth był sadystą. Widziano raz, jak chłostał Żydówkę, którą następnie zapędził do komory gazowej, również własnoręcznie mordował Żydów. Spocony i czerwony na twarzy wykrzykiwał przekleństwa, zachęcając swoich ludzi do bestialskich czynów.

W Bełczu ten straszny człowiek mógł wykorzystać całe swoje doświadczenie w zabijaniu. Jako środek masowego uśmiercania wybrał tlenek węgla, nie ten dostarczany w butlach jak w programie eutanazji, ale powstający w zwykłym silniku spalinowym, co kilka miesięcy wcześniej wykorzystywał Widmann na Białorusi. Trzy małe komory gazowe znajdowały się w ceglany budynku udającym łaźnię. Tlenek węgla był do nich doprowadzany przez prysznice.

Wykorzystując tlenek węgla ze spalin samochodowych i atrapy pryszniców, Wirth adaptował już istniejące metody zabijania. Nadzorując budowę obozu, wszedł jednak na zupełnie nowy etap i całkowicie zerwał z przyjętymi wzorcami organizacji obozu koncentracyjnego. Po pierwsze, zdał sobie sprawę, że skoro większość przybywających do Bełcza nie przeżyje dłużej niż kilka godzin, to nie jest wcale potrzebny duży kompleks



budynków jak w Oświęcimiu czy Dachau. Obóz śmierci - w przeciwieństwie do obozu koncentracyjnego - nie potrzebował wielu budynków i mógł zajmować mało miejsca. W Bełżcu wystarczyło na przykład 90 000 metrów kwadratowych.

Odwiedzający miejsca pamięci w Bełżcu, Sobiborze i Treblince (a tych zwiedzających jest znacznie, znacznie mniej niż w Oświęcimiu) są wstrząśnięci niezwykle małymi rozmiarami tych obozów. Zamordowano w nich w sumie około 1,7 miliona ludzi - o 600 000 więcej niż w Oświęcimiu - a mimo to wszystkie trzy można by z dużym zapasem zmieścić na obszarze obozu Auschwitz-Birkenau. W procesie masowego mordu, który ubliżał ludzkiej godności niemal na każdym etapie, jednym z największych upokorzeń - co może wydać się nielogiczne komuś, kto sam nie widział tych miejsc - był fakt, że tak wielu ludzi zamordowano na tak małej powierzchni. Umysł oczekuje jakoś, że epicka tragedia rozegra się w epickim miejscu - co jest jednym z powodów, dla których obóz oświęcimski jest dzisiaj o tyle lepiej znany niż te trzy obozy śmierci. Wielkie rozmiary kompleksu Birkenau umożliwiają wyobrażenie sobie ogromu zbrodni - co nie jest dane odwiedzającym miejsce takie jak Bełżec. Jak można sobie wyobrazić 600 000 ludzi, szacowaną liczbę zamordowanych w Bełżcu, uśmierconych na obszarze 90 000 metrów kwadratowych?

Mimo swoich małych rozmiarów Bełżec nie był po prostu jednym obozem. Wirth wiedział, że kluczem do sprawnego działania jego fabryki śmierci jest ukrycie, możliwie najdłużej, jej prawdziwego przeznaczenia przed nowo przybyłymi. Komory gazowe znajdowały się więc na obszarze znanym jako Obóz II, ukrytym za drzewami i ogrodzeniami zamaskowanymi gałęziami. Obszar ten był połączony z resztą obozu tak zwanym szlauchem, korytarzem prowadzącym przez ogrodzenie. Obóz I - reszta terenu - składał się z rampy rozładowniczej, różnego przeznaczenia baraków (gdzie ofiary rozbierały się, a należące do nich przedmioty przechowywano przed wywiezieniem) oraz placu apelowego.

W Bełżcu pracowały trzy kategorie ludzi, podobnie jak później w dwóch pozostałych obozach śmierci. Pierwszą z nich byli Żydzi. Wirth zdał sobie sprawę, że wykorzystanie Żydów w procesie uśmiercania nie tylko oszczędzi cierpień psychicznych Niemcom, ale umożliwi również zatrudnienie w obozie mniejszej ich liczby. Nie ma wątpliwości, że emocjonalny wstrząs, którego doświadczali zmuszeni do udziału w procesie zabijania Żydzi, sprawiał również perwersyjną przyjemność Wirthowi. Kilkuset silnych i zdrowych Żydów wybierano więc z przybywającego transportu i zmuszano do pracy przy grzebaniu ciał, oczyszczaniu komór gazowych oraz sortowaniu mnóstwa ubrań i innych należących do ofiar przedmiotów, które szybko gromadziły się w obozie. Początkowo Żydów tych również zabijano zaledwie po kilku dniach pracy, ale morderstwa te szybko zaczęły przysparzać

trudności hitlerowcom. Nie tylko Żydzi ci nie mieli żadnych wątpliwości, jaki czeka ich los, kiedy nakazywano im „iść do łaźni”, ale również trzeba było na ich miejsce wybierać i szkolić nowych. Z kolei pozwalając im żyć dłużej, tworzono grupę więźniów, którzy nie mieli nic do stracenia, skoro wszyscy wiedzieli o czekającej ich prędzej czy później śmierci, a jednocześnie mieli czas na rozmyślanie o swoim losie i zaplanowanie jakiejś formy oporu. Dla hitlerowców zawsze stanowiło problem nadzorowanie ludzi, którzy wiedzą, że zostaną w końcu zabici przez nadzorców.

Następną kategorią byli ukraińscy strażnicy, w liczbie około stu, którzy podzieleni na dwa plutony zajmowali się ogólnym zabezpieczeniem obozu. Wielu słynnych z brutalności Ukraińców walczyło przedtem w szeregach Armii Czerwonej, a następnie, po przeszkoleniu przez Niemców, skorzystało z okazji, by uniknąć straszliwych warunków panujących w obozach jenieckich. Ostatnią kategorią byli oczywiście Niemcy. Wirth jednak z taką wprawą zaprzęgał inne narodowości do pracy w jego fabryce śmierci, że w Bełżcu potrzebnych było tylko około 20 Niemców. W marcu 1942 roku, kiedy do Bełżca trafiły pierwsze transporty, Wirth zrealizował marzenie Himmlera. Zbudował morderczą fabrykę, w której można było uśmiercać setki tysięcy ludzi, obsługiwaną przez niewielką liczbę Niemców, stosunkowo mało narażonych na destrukcyjne, psychologiczne urazy, których doświadczały plutony egzekucyjne na wschodzie.

W tym samym miesiącu, w którym zaczął działać obóz w Bełżcu, rozpoczęto budowę następnego - w Sobiborze, na północ od Bełżca, na wschodnich skrajach terytorium Polski \* [\*Sobibór, leżący prawie nad samym Bugiem, kilka kilometrów na południe od Włodawy, w okresie przedwojennym znajdował się w Polsce centralnej (A.Ż.)], gęsto zaludnionych przez polskich Żydów. Budowę i działanie obozu w Sobiborze wzorowano na obozie w Bełżcu. Tak jak Wirth, większość służących tam esesmanów - w tym komendant, Franz Stangl - miała doświadczenie w T4, programie eutanazji. Tak samo jak w Bełżcu, około stu Ukraińców, w tym wielu byłych jeńców, zostało przydzielonych do obozu w charakterze strażników. Obóz był bardzo mały w porównaniu z Auschwitz-Birkenau (choć zajmując prostokąt o bokach 600 na 400 metrów, był nieco większy od Bełżca) i został podzielony, tak samo jak Bełżec, na dwie części połączone korytarzem prowadzącym z obozu wyładowczego do komór gazowych. Ponieważ w okolicy nie było odpowiednich domów, inaczej niż w Bełżcu, gdzie esesmani mieszkali w zarekwirowanych budynkach, w Sobiborze utworzono trzecią część obozu, gdzie znajdowały się kwatery Niemców i ukraińskich strażników.

Zamysł stojący za przestrzennym układem obozu był taki sam w Sobiborze i Bełżcu - nowo przybyłe ofiary informowano, że wysiadają z pociągów w celu odbycia dezynfekcji

mającej przeciwdziałać chorobom, a następnie zapędzano je na śmierć tak szybko, jak to możliwe. Zarówno w Bełżcu, jak i w Sobiborze obie części obozu rozdzielało ogrodzenie zamaskowane gałęziami, tak że ofiary nie mogły zauważyć, co je czeka, aż było już za późno. Sobibór przyjął pierwszy transport w maju 1942 roku, a w ciągu niewiele ponad roku zamordowano tam ćwierć miliona ludzi.

W maju 1942 rozpoczęła się również budowa trzeciego i ostatniego z najważniejszych obozów śmierci - w Treblince. Ponieważ obóz ten powstał w wyniku doświadczeń zdobytych w Bełżcu i Sobiborze, nie dziwi fakt, że zginęło w nim więcej ludzi niż w pozostałych dwóch obozach śmierci. Liczba zamordowanych w Treblince - szacowana na 800 000 - 900 000 - dorównuje niemal liczbie ofiar Auschwitz. Treblinka znajduje się na północy zachód od Sobiboru, w niedużej odległości od Warszawy. Getto warszawskie było jednym z największych żydowskich ośrodków w hitlerowskim imperium, a obóz w Treblince powstał głównie po to, by Żydów z tego getta wymordować.

Na początku uśmiercanie nie przebiegało sprawnie w żadnym z trzech obozów. Pamiętajmy jednak, że hitlerowcy planowali coś, czego ludzie nigdy nie próbowali dotychczas dokonać - zmechanizowaną eksterminację milionów mężczyzn, kobiet i dzieci w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Być może to okropne przyrównanie, ale Niemcy zbudowali trzy fabryki śmierci i, jak przy każdej produkcji przemysłowej, odpowiednie rezultaty mogli osiągnąć tylko dzięki odpowiedniej synchronizacji. W razie gdyby na czas nie dojechały nowe pociągi albo gdyby komory gazowe nie mogły podolać natłokowi ofiar, gdyby gdziekolwiek w systemie powstał zator, rezultatem byłby krwawy chaos. We wczesnej fazie istnienia tych obozów właśnie tak się stało.

W Bełżcu wkrótce okazało się, że wydajność komór gazowych nie była wystarczająca, by nadażyć z zamordowaniem przysyłanych do obozu ludzi, i w lipcu obóz przestał na miesiąc przyjmować transporty, dopóki nie wybudowano nowych komór gazowych. W Sobiborze problemem okazały się zarówno nie dość wydajne komory gazowe, jak i miejscowe połączenia kolejowe. Obóz zawiesił działalność od sierpnia do października, co dało hitlerowcom czas na rozwiązanie trudności. Ale to w Treblince natrafili oni na największe problemy, których rezultatem stały się prawdziwie piekielne sceny.

Na początku obóz w Treblince działał mniej więcej w sposób zaplanowany przez hitlerowców, przyjmując do wymordowania około 6000 osób każdego dnia. Ale w sierpniu liczbę tę podwojono i działanie obozu stawało się coraz bardziej chaotyczne. Mimo to komendant Treblinki, doktor Irmfried Eberl, nie zamykał go. „Ambicją Eberla”, opowiada August Hingst, inny esesman z Treblinki, „było osiągnięcie największej możliwej liczby i

przewyższenie wszystkich innych obozów. Przyjeżdżało tyle transportów, że nie nadążano już z wyładowywaniem i uśmiercaniem ludzi w komorach gazowych” \* [\*Yitzhak Arad, „Belzec, Sobibor and Treblinka - The Operation of the Reinhard Death Camps”, Indiana University Press 1987, s. 87.]. W rezultacie wielu ludzi po prostu rozstrzeliwano w niższym obozie, a to, oczywiście, niweczyło podstęp leżący u podstaw działania obozu - nikt już nie wierzył, że przyjechał do stacji dezynfekcyjnej, skoro na ziemi wokoło leżały zwłoki. Dlatego pociągi musiały czekać na wjazd w trzykilometrowym zatorze przed stacją Treblinka, dopóki obóz nie zostanie uprzątnięty. Warunki w pociągach były tak przerażające, że ludzie umierali w wagonach. Oskar Berger przybył do Treblinki transportem pod koniec sierpnia, kiedy trwał tam największy chaos. „Kiedy wysiedliśmy - mówi - naszym oczom ukazał się straszliwy widok: setki ciał leżących wszędzie wokoło. Sterty tobołów, ubrań, waliz, wszystko pomieszane. Esesmani i Ukraińcy stali na dachach baraków i strzelali na oślep w tłum. Mężczyźni, kobiety i dzieci padały na ziemię, krwawiąc. Powietrze wypełniały krzyki i jęki” \* [\*Ibid., s. 84.]. W tych okolicznościach nie można było prawdziwego przeznaczenia obozu zataić przed mieszkającymi w okolicznych wsiach i osiedlach Polakami. „No właśnie mówię, że właśnie rozkładające się zwłoki ludzkie - opowiada Eugenia Samuel \* [\*Wywiad dla BBC.], wówczas uczennica pobliskiej szkoły. - To była taka... tak śmierdziało, że okropna sprawa była, że nie można było wyjść na podwórko. Okna, broń Boże, otworzyć albo wyjść”.

A jednak mimo tego straszliwego chaosu zdołano zamordować ogromną liczbę ludzi. W ciągu niewiele ponad miesiąca, od końca lipca do końca sierpnia 1942 roku, zabito w Treblince, jak się szacuje, 312 000 \* [\*Liczba cytowana w Arad, *op. cit.*, s. 87.] ludzi. Jest to niewiarygodna liczba, oznaczająca 10 000 codziennie popełnianych mordów. Żaden inny obóz nie dorównał Treblince aż do 1944 roku, kiedy u szczytu węgierskiej akcji w Auschwitz cztery krematoria obozu Birkenau pracowały z pełną wydajnością. Ale cena, jaką trzeba było zapłacić za tę ogromną wydajność, okazała się zbyt wysoka dla przełożonych doktora Eberla. Dotarły do nich raporty o tym, jak Treblinka coraz szybciej pogrąża się w dezorganizacji. Co gorsza, z hitlerowskiego punktu widzenia, Trzecia Rzesza ponosiła z tego powodu straty materialne. Rzeczy należące do ofiar pozostawiano porozrzucane w obozie i zrodziły się podejrzenia, że część wartościowych przedmiotów jest rozkradana przez Niemców i Ukraińców.

Christian Wirth, twórca obozu w Bełżcu, został w sierpniu przeniesiony na nowe stanowisko - inspektora trzech obozów śmierci. Jednym z pierwszych przydzielonych mu zadań było przeprowadzenie razem z jego przełożonym, generałem SS Odilo Globocnikiem, inspekcji Treblinka. Josef Oberhauser, jeden z podkomendnych Wirtha, opisał potem, co się

działo, kiedy tam przybyli: „W Treblince wszystko było w chaosie... Doktor Eberl został natychmiast zwolniony... Globocnik powiedział mu, że gdyby doktor Eberl nie był jego rodakiem, natychmiast by go aresztował i postawił przed sądem SS i policji”. Eberl został usunięty ze stanowiska, a transporty do Treblinki wstrzymane. Nowy komendant, Franz Stangl, który przedtem służył pod komendą Wirtha, a teraz był członkiem załogi Sobiboru, otrzymał zadanie zaprowadzenia w obozie porządku.

Eberl nie zrozumiał, czego żądali od niego mocodawcy. Osiągnął wyjątkowo wysoką wydajność mordu, ale nie zorganizował go „odpowiednio”. W rzeczy samej, jednym z najbardziej znaczących szczegółów dymisji Eberla jest komentarz Globocnika, że postawiłby zwolnionego komendanta przed „sądem policyjnym” za sposób, w jaki zarządzał obozem w Treblince. Według spaczony moralności wyższych rangą esesmanów Eberl zasługiwał na karę, ponieważ nie zorganizował masowego uśmiercania mężczyzn, kobiet i dzieci w sposób bardziej wydajny. W oczach przełożonych Eberla jego zbrodnią było to, że „nie dość dobrze” zorganizował masowy mord.

Kluczową częścią procesu zabijania było dostarczenie Żydów do obozów śmierci. Te fabryki potrzebowały surowca - i to mnóstwo. W rezultacie latem i jesienią 1942 roku na terenie okupowanej Polski przeprowadzono wiele „akcji” przesiedleńczych. Ogólna decyzja Himmlera z 19 lipca celowo dotyczyła wszystkich Żydów w Generalnym Gubernatorstwie. Himmler obawiał się, że jeśli lokalnym urzędnikom da się swobodę decyzji, cała operacja się nie powiedzie. Niepokoje te wynikały z przekonania, że nawet jeśli wszyscy hitlerowcy wierzyli w konieczność rozwiązania „kwestii żydowskiej”, to poszczególni ludzie mogliby próbować uratować tych Żydów, których uznali za „dobrych”. Szczególnie jedna rzecz nie dawała Himmlerowi spokoju: jak zareaguje na rozkaz o wywiezieniu Żydów Niemiec o silnie rozwiniętych ludzkich uczuciach?

Porucznik Albert Battel służył w Przemyślu w południowej Polsce. Był starszy niż większość oficerów Wehrmachtu - miał już ponad pięćdziesiąt lat - a przed wojną przez wiele lat pracował jako prawnik. Mimo że należał do partii nazistowskiej, nie był nieskazitelnym narodowym socjalistą, ponieważ w jego aktach zanotowano, że w latach trzydziestych odnosił się grzecznie i przyjaźnie do Żydów. W lipcu 1942 roku przydzielono na potrzeby jego komendy w Przemyślu grupę Żydów. Wielu z nich pracowało w zakładach zbrojeniowych i mieszkało w pobliskim getcie; uważali się za osoby uprzywilejowane i chronione w porównaniu z wieloma polskimi Żydami. Pod koniec miesiąca zaczęły krążyć plotki, że SS przeprowadzi wkrótce w mieście akcję „przesiedleńczą” - Żydzi mieli zostać „przesiedleni” do obozu w Bełczu. Osoby, które pracowały dla armii niemieckiej, nie przejęły się jednak

tymi wiadomościami, ponieważ każda z nich miała *Ausweis* - wojskową przepustkę, która w ich mniemaniu chroniła ich przed działaniami SS. Ludzie ci sądzili również, że skoro już przyczyniali się do niemieckiego wysiłku wojennego, nie ma sensu ich wywozić. Nie zdawali sobie jednak sprawy z dogmatycznej ideologii, która stała za rozkazem Himmlera - zginąć mieli wszyscy Żydzi bez wyjątku.

W sobotę 25 lipca do Żydów w Przemyślu dotarła plotka, że SS rozpocznie wywózki w najbliższy poniedziałek i że na ogół niemieckie przepustki nie będą uznawane. Jeden z Żydów, Samuel Igiel \* [\*Przytoczona chronologia jest oparta na relacji Samuela Igiela [w:] „I remember every day... The fates of the Jews of Przemyśl”, Remembrance and Reconciliation Inc, Ann Arbor, s. 237-240.], zdołał dotrzeć do porucznika Battela w niedzielę rano i poinformować go o zbliżającej się akcji. Battel zadzwonił do szefa miejscowego gestapo i zapytał go, co się dzieje, ale tamten tylko odłożył słuchawkę. Battel, wściekły, skonsultował się z przełożonym, majorem Liedtkem, a następnie obsadził swoimi żołnierzami most na Sanie - zamykając tym samym dostęp do getta. W rezultacie szef miejscowego gestapo i hitlerowskie władze w Krakowie poszły na ustępstwo - 2500 Żydów z Przemyśla miało otrzymać przepustki, które czasowo chroniły przed wywózką. Aby dopilnować, że nic nie stanie się Żydom pracującym bezpośrednio dla niego, porucznik Battel wysłał do getta ciężarówkę, które zwoziły tych ludzi z rodzinami do niemieckiej komendantury miasta - w ten sposób usunięto z getta 240 Żydów.

Prowadzona przez SS akcja „przesiedleńcza” w Przemyślu była kontynuowana zgodnie z planem i większość przemyskich Żydów została wywieziona do Bełżca 27 lipca, ale działania Alberta Battela uratowały kilka tysięcy z nich od natychmiastowej deportacji. Parę tygodni później Battel został odwołany z Przemyśla, a SS rozpoczęło przeciwko niemu tajne śledztwo. Dokumenty tego śledztwa dotarły w końcu do Himmlera, który zanotował, że oficer ten powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności po zakończeniu wojny. Battel został później zwolniony ze służby wojskowej z powodu złego stanu zdrowia, wstąpił do jednostki obrony terytorialnej w rodzimym Wrocławiu, gdzie wzięła go do niewoli Armia Czerwona. Po zwolnieniu z obozu jenieckiego wrócił do Niemiec, ale z powodu przynależności do partii nazistowskiej nie otrzymał zgody na kontynuowanie pracy w zawodzie prawnika.

Nie jest łatwym zadaniem analiza różnych motywów, dla których Battel ratował Żydów w Przemyślu. Choć nie ulega wątpliwości, że popierali go przełożeni w armii niemieckiej, gdyż nie chcieli tracić wykwalifikowanych robotników, Battel działał również w przeświadczeniu, że deportacje Żydów były niewątpliwą zbrodnią. Dlatego w 1981 roku,

wiele lat po jego śmierci, Instytut Yad Vashem przyznał mu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Inni oficerowie niemieccy również protestowali latem i jesienią 1942 roku przeciwko wywożeniu Żydów, były to jednak nieliczne wypadki w armii niemieckiej w Polsce. Ich działania w najmniejszym stopniu nie powstrzymały ogromnego napływu Żydów do obozów śmierci. Niewielka liczba Żydów została jednak uratowana i musimy pamiętać, że nie wszyscy Niemcy pogodzili się z rzeczywistością Holokaustu i nie wszyscy zgodzili się wziąć udział w zbrodni.

Oskar Groening na pewno jednak należał do tej ogromnej większości, która przyjęła wyznaczoną im rolę w procesie masowego mordu w 1942 roku. Po kilku miesiącach służby w Auschwitz jego praca stała się, jak mówi, „rutynowa”. Zajmował się sortowaniem różnych walut odebranych nowo przybyłym ofiarom, liczył te pieniądze i wysyłał do Berlina. Cały czas brał udział w selekcjach nie po to, żeby decydować, kto będzie żył, a kto zginie - te decyzje podejmowali lekarze SS - ale żeby dopilnować, że należące do Żydów przedmioty trafią nienaruszone do miejsca sortowania. Był nim obszar obozu, który nazwano „Kanadą”, ponieważ kraj ten uznawano za miejsce spełnienia marzeń - krainę bogactwa.

W swoim mniemaniu Groening całkiem znośnie urządził się w Oświęcimiu. Pracował w biurze i nie musiał oglądać straszliwych scen, a gdy chodził po obozie, odwracał wzrok od wszystkiego, na co nie chciał patrzeć. Zazwyczaj nie miał nic wspólnego z brutalnym mechanizmem fabryki śmierci - nie musiał nawet zbliżać się do odległego zakątka obozu, w którym dokonywano mordów. Jedyną oznaką, że do obozu przybywają ludzie różnych narodowości, były waluty pojawiające się na biurku Groeninga - jednego dnia franki, innego korony czeskie, kiedy indziej znów polskie złotówki (a zawsze amerykańskie dolary) - oraz różnorodne trunki odebrane nowo przybyłym ofiarom - greckie ouzo, francuski koniak, włoska sambuca. „Kiedy było dużo ouzo - opowiada Oskar Groening - to mogło pochodzić tylko z Grecji - nie potrafiliśmy w żaden inny sposób określić, skąd ich akurat przywozili. Nie było w nas żadnego współczucia czy innych uczuć dla grup Żydów przywożonych z różnych krajów, chyba że chcieliśmy akurat dostać jakiś rodzaj alkoholu, Rosjanie mieli wspaniały rodzaj wódki... Dużo jej piliśmy. Nie upijaliśmy się codziennie - choć czasem bywało i tak. Szliśmy spać pijani i jeśli komuś nie chciało się nawet wstać, żeby zgasić światło, to po prostu zaczynał strzelać w żarówkę - nikt nie protestował”.

Mimo że Groening nie używa słowa „przyjemność”, opisując swoją służbę w Auschwitz, trudno się oprzeć wrażeniu, że to słowo świetnie oddaje nastrój życia, jakie maluje: „Obóz macierzysty był jak małe miasteczko. Ludzie lubili plotkować - był stragan,

gdzie oprócz warzyw można też było kupić kości na zupę; stołówka, kino i teatr, w którym regularnie odbywały się przedstawienia; a także klub sportowy, którego byłem członkiem. Organizowano potańcówki - i w ogóle różne rozrywki i zabawy”. Inną „dobrą” stroną życia w obozie byli dla Oskara Groeninga jego towarzysze. „Muszę powiedzieć, że wielu z pracujących tam to nie były głupki, tylko inteligentni ludzie”. Kiedy opuścił w końcu obóz w 1944 roku, odchodził nie bez żalu. „Opuściłem krąg przyjaciół, z którymi bardzo się zżyłem, polubiłem ich, i było to dla mnie bardzo trudne. Nie brakło tam również świń, które dbały tylko o zaspokojenie swoich potrzeb - są tacy ludzie - ale wyjątkowość sytuacji w Auschwitz prowadziła do przyjaźni, które, mówię to również dziś, wspominam z radością”.

Pewnej nocy jednak, pod koniec 1942 roku, wygodne życie Groeninga w Auschwitz zostało zakłócone niespodziewaną konfrontacją z koszmarem właściwego procesu masowego mord. Razem z towarzyszami spał w koszarach przy obozie Birkenau, kiedy nagle zbudził ich alarm. Powiedziano im, że pewna liczba Żydów prowadzonych do komory gazowej uciekła do pobliskich lasów. „Kazano nam zabrać pistolety i przeczesać las - opowiada Groening. - Nikogo nie znaleźliśmy”. Potem grupa, do której należał, rozproszyła się i ruszyła w kierunku części obozu, gdzie dokonywano masowych mordów. „Szliśmy w szyku gwiazdy w kierunku tej zagrody - w środku świeciło się słabe światło, a przed domem leżało siedem czy osiem ciał. To byli prawdopodobnie ci, którzy próbowali uciekać, ale zostali złapani i zastrzeleni. Przed drzwiami domu stali jacyś esesmani, którzy powiedzieli nam: «Już po sprawie, możecie wracać do domu»,».

Powodowani ciekawością, Groening i jego towarzysze postanowili nie wracać „do domu”, tylko pozostać w ciemności w pobliżu komory. Patrzyli, jak jeden z esesmanów nałożył maskę przeciwgazową i umieścił kulki cyklonu B w zamkniętym kłapą otworze w ścianie domu. Ze środka docierał do nich gwar głosów, który teraz „przeszedł w krzyk” na minutę - a potem zapadła cisza: „Potem jeden z nich - nie wiem, czy był oficerem - stanął przy drzwiach, w których był judasz, zajrzał do środka i sprawdził, czy wszystko jest w porządku i czy ludzie są już martwi”. Groening mówi o swoich uczuciach, kiedy zobaczył na własne oczy, jak morduje się ludzi w fabryce śmierci, że „to tak, jakby się patrzyło na zderzenie dwóch ciężarówek na autostradzie. Człowiek pyta sam siebie: «Czy tak musi być? Czy to konieczne?». Oczywiście na wszystko wpływ ma to, że wcześniej się powiedziało: «Tak, przecież jest wojna», a my mówiliśmy: «To byli nasi wrogowie»,».

Później Groening był świadkiem palenia ciał: „Mój towarzysz powiedział: «Chodź, pokażę ci». Byłem tak wstrząśnięty, że stałem daleko - jakieś siedemdziesiąt metrów od palenisk. Ogień rósł coraz większy, a tamtejszy kapo opowiedział mi później o szczegółach



palenia zwłok. To było obrzydliwe - potworne. Żartował z faktu, że kiedy ciała zaczynały płonąć, z płuc i innych narządów wydobywały się gazy i trupy przez to podrygiwały, a męskie członki wyglądały jak w erekcji, co jemu wydawało się bardzo zabawne”. Widok komór gazowych i rowów do palenia ciał w jednej chwili zrujnował spokojne życie, które Oskar Groening urządził sobie w obozie. Wstrząs był tak wielki, że Groening jeszcze raz udał się do swojego przełożonego, SS-Untersturmführera, „Austriaka i w sumie porządnego chłopca”, żeby zwierzyć się ze swoich uczuć. „Wysłuchał mnie i powiedział: «Groening, mój drogi, co ty możesz na to poradzić? Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Musimy się z tym pogodzić - nie wolno nam nawet o tym myśleć»„. Pamiętając słowa swojego przełożonego, Groening powrócił do pracy. Złożył przysięgę wierności, wierzył, że Żydzi są wrogami Niemiec, pamiętał również, że może tak urządzić sobie życie w obozie, żeby uniknąć patrzenia w oczy najgorszej prawdzie. Więc został.

Jako szeregowy członek SS Oskar Groening mieszkał razem z kilkunastoma towarzyszami w wygodnym baraku. Jeszcze lepiej żyło się jednak oficerom. Wielu mieszkało razem z rodzinami w domach zarekwirowanych w centrum Oświęcimia albo w pobliżu obozu nad rzeką Sołą. Cieszyli się warunkami życia, o których nie mogliby nawet pomarzyć w jednostce frontowej. Żyli jak zdobywcy - a w zdobytym kraju potrzebowali służących-niewolników do gotowania posiłków, sprzątania domów i opieki nad dziećmi. To jednak nie było takie proste - zgodnie z hitlerowską teorią ras żydowscy i polscy więźniowie stali tak nisko w porównaniu z Niemcami, że nie mogli być dla nich odpowiednią służbą, mającą wkroczyć do ich wygodnego prywatnego życia. Poza tym mogli oni wykorzystać okazję do ucieczki, jaka nadarzała się przy pracy poza ogrodzeniem z drutu kolczastego (choć wciąż w otoczonej posterunkami części obozowej strefy interesów). Mogli również, co gorsza, zaatakować niemieckie rodziny, u których służyli.

Z właściwą sobie pomysłowością hitlerowcy znaleźli sposób na brak służby. Zatrudniali składającą się głównie z Niemców grupę więźniów, którzy na pewno nie zaatakują swoich panów ani nie będą próbowali uciekać - świadków Jehowy. Znani również w Niemczech jako „Badacze Pisma Świętego”, jehowici ogłosili w 1933 roku, że ogólnie nie mają nic przeciwko hitlerowskiemu państwu - ideologicznie również oni byli przeciwnikami Żydów i komunistów (choć nie w tak brutalny sposób jak hitlerowcy). Poważne problemy rozpoczęły się dopiero wtedy, kiedy wierni swojej wierze świadkowie Jehowy zaczęli odmawiać służby w niemieckich siłach zbrojnych, za co wszyscy zostali uwięzieni w obozach koncentracyjnych.

Else Abt \* [\*Wywiad dla BBC.] była jednym z kilkuset niemieckich świadków Jehowy wysłanych do obozu oświęcimskiego. Urodziła się w 1914 roku w Gdańsku w rodzinie luterańskiej, a nową wiarę poznała dzięki przyjaciołom. Wyszła za mąż za innego jehowitę, urodziła w 1939 roku córkę i razem z rodziną próbowała w miarę możliwości żyć w zgodzie z resztą świata. Ich kłopoty zaczęły się, kiedy jej mąż, inżynier, odmówił pracy na rzecz wojska. Został aresztowany, a Else uniknęła podobnego losu tylko dlatego, że karmiła jeszcze niedawno urodzoną córkę. Kiedy dziecko miało dwa i pół roku, gestapo przyszło i po nią. Przy aresztowaniu doszło do rozdzierającej serce sceny - córeczka wołała: „Zostawcie mamusię! Zostawcie mamusię!” i łapała za spodnie jednego z gestapowców. Matkę jednak zabrano, a dziecko pozostawiono pod opieką jej znajomych.

Kiedy przybyła do Oświęcimia, zauważyła, że jadący przodem transport wiozł Żydówki. „Zdołaliśmy zobaczyć, że esesmani traktowali je gorzej niż zwierzęta, obchodzili się z nami dość łagodnie, ale te Żydówki nie były traktowane jak ludzie - to był wstrząs”. Zanim trafiła do obozu, Else Abt rzadko kiedy widywała Żydów. „Nigdy nie chodziłam do żydowskich sklepów - opowiada - i nie lubiłam, kiedy moja matka tam chodziła, ponieważ zawsze mieli wysokie ceny, a potem dawali upusty głupim ludziom, którzy myśleli, że kupują za pół ceny. To jest prawda, widziałam to w Gdańsku - obliczali ceny w odpowiedni sposób. To moja osobista opinia. Ale nie mam nic przeciwko Żydom. Kiedy w obozie byłam chora, przyszła jakaś Żydówka i chciała mi wyprać pasiak. Chciała zrobić coś dobrego”.

W Oświęcimiu powiedziano Else Abt, że zostanie natychmiast wypuszczona, jeśli wyrzeknie się swojej wiary - świadkowie Jehowy byli więc jedyną grupą więźniów obozów koncentracyjnych, którzy mogli łatwo wyjść na wolność. Wystarczyło podpisać odpowiednią deklarację. Większość jednak tego nie robiła, a uwięzienie w obozie traktowała, tak jak Else Abt, jak próbę. „Przeczytałam wcześniej w Biblii historię Abrahama. Bóg kazał mu poświęcić syna. I Biblia mówi, że był gotowy to uczynić. Ale potem nasz stwórca Jehowa zobaczył, że Abraham nie waha się, i nie pozwolił mu tego uczynić. Chciał tylko poddać próbie jego wiarę. I o tym myślałam”.

Świadkowie Jehowy stali się więc doskonałymi służącymi dla niemieckich oficerów obozu Auschwitz - cenionymi znacznie wyżej od Polaków, których brano na służbę tylko wtedy, kiedy nie wystarczało jehowitów. Else Abt pracowała w domu jednego z wyższych oficerów SS, mieszkającego z żoną i córką. Sprzątała dom, gotowała i opiekowała się dziewczynką. Tak mówi o swoim nastawieniu: „To nie była wina dziecka [że jest w obozie]. To nie była wina żony”. Swoje obowiązki wypełniała sumiennie i z poświęceniem; kiedy

córka oficera zachorowała, Else troskliwie się nią opiekowała, czym zaskarbiła sobie wdzięczność jej rodziców.

Trudno się więc dziwić, że świadkowie Jehowy byli więźniami, których Rudolf Höss darzył sympatią - nie tylko ze względu na bezproblemowe zachowanie. Pierwszy raz zetknął się z wieloma jehowitami w obozie w Sachsenhausen, w późnych latach trzydziestych, kiedy wysyłano ich do tego obozu za odmowę służby wojskowej. Höss pamięta niezwykłą siłę ich wiary - zrobiło to na nim wielkie wrażenie. Kiedy bito ich, ponieważ nie podporządkowali się regulaminowi obozu, nie tylko nie błagali o litość, ale prosili o to, żeby bić ich jeszcze raz, żeby mogli więcej cierpieć za swoją wiarę. Raz, kiedy był świadkiem rozstrzelania dwóch jehowitów, ze zdumieniem zobaczył, że trzymali ręce wzniesione ku niebu i z pogodnym wyrazem twarzy oczekiwali swojego losu. Höss wyobrażał sobie, że wczesnochrześcijańscy męczennicy musieli w ten sam sposób iść na śmierć.

Zachowanie świadków Jehowy zrobiło wielkie wrażenie nie tylko na Hössie, ale również na jego przełożonych. „Zarówno Himmler, jak i Eicke powoływali się wielokrotnie na religijny fanatyzm badaczy Pisma św. i stawiali go za przykład - pisał Höss. - Tak samo fanatycznie i niewzruszenie wierzyć jak badacze Pisma św. w Jehowę musi wierzyć SS-man w ideę narodowego socjalizmu i w Adolfa Hitlera. Dopiero gdy wszyscy SS-mani staną się takimi fanatykami swojego światopoglądu, zostanie zapewniona trwałość państwa Adolfa Hitlera” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 88.].

W obozie Auschwitz Höss i jego żona mieli w domu dwie takie służące i byli wzruszeni troską, jaką przejawiały one wobec ich dzieci. Höss opisuje wielu świadków Jehowy jako „dziwne stworzenia” \* [\**Ibid.*, s. 134.]. Co ważne, Höss zapisuje również, że w jego mniemaniu jehowici sądzili, że eksterminacja Żydów jest „słuszna”, ponieważ to właśnie ich przodkowie wydali Jezusa na śmierć. Else Abt zaprzecza jednak tym domysłom. Była przekonana, że esesmani postępują źle - służą „demonowi” - mordując Żydów. Czuli jednak również, że musi pokazać siłę swojej wiary swoim „nastawieniem”. Powstawała dziwna sytuacja - troskliwie, niemal z miłością, opiekowała się córką oficera SS w Oświęcimiu, a jednocześnie hitlerowcy uniemożliwiali jej przebywanie z własną córeczką. Abt wyjaśnia, że próbowała sobie wytłumaczyć swoje położenie, mówiąc, że musiała „zrobić dobro dla każdej osoby”, w tym dla esesmanów. Przyznaje, że pracowałaby sumiennie nawet w domu Hitlera, gdyby jej nakazano. Abyśmy jeszcze lepiej uświadomili sobie, jak skomplikowane były jej uczucia, przypomnijmy, że Else w każdej chwili mogła wyjść z obozu i wrócić do córeczki,

gdyby tylko podpisała oświadczenie, że wyrzeka się swojej wiary. Nigdy jednak tego nie uczyniła. „To byłby kompromis. Nigdy nie szłam na kompromisy w sprawach wiary”.

Historia Else Abt nie zakończyła się prosto. Kiedy po wojnie mogła w końcu powrócić do rodziny, odkryła, że jej córka została wychowana przez osoby, które wyrzekły się swojej wiary, żeby zachować wolność. „Poszliśmy odwiedzić jego i jego żonę, ponieważ oni wychowywali naszą córkę, a on płakał jak dziecko, bo okazał się tchórzem”. Else Abt nie okazała tym ludziom zbyt dużo wdzięczności, ponieważ „nie musiałabym się martwić [o córkę]. Zawsze znalazłby się ktoś, kto by pomógł. Nie byliśmy zależni od jednej osoby - nasz Stwórca wie, gdzie i kiedy nas posłać, i zawsze będzie miał wpływ na nasze życie”. Córka Else Abt również została świadkiem Jehowy. W rezultacie, jak mówi Abt: „Wiedziała i była szczęśliwa, że dochowałam wierności - nie istocie ludzkiej, ale naszemu Stwórcy, Jehowie, ponieważ on nad nami czuwał, o czym przekonałam się w czasie niewoli w Auschwitz. On może zmieniać ludzi. Ci, którzy nas nienawidzili, zaczęli myśleć i przestali nas nienawidzić - a nawet wręcz odwrotnie”. Tym, którym brak niewzruszonej wiary, jaką wyraża Else Abt, trudno wyobrazić sobie, jak Stwórca mógł „czuwać” nad świadkami Jehowy, których rozstrzelanie w Sachsenhausen opisał Höss. Najwyraźniej nie „czuwał” on również nad Polakami, radzieckimi jeńcami, ludźmi chorymi, Żydami i niezliczonymi innymi ludźmi, którzy w tak okrutny sposób zostali pozbawieni życia w obozie oświęcimskim. Jednym z intrygujących aspektów religijnej postawy Else Abt jest jednak fakt, że te straszliwe zbrodnie mają dla niej wytłumaczenie - są one po prostu oznakami woli wyższej siły, której nie możemy w pełni zrozumieć i w którą musimy bezwarunkowo wierzyć. Jeśli Bóg pozwolił, by to się zdarzyło, to musiał mieć jakiś powód - po prostu nie potrafimy w pełni zrozumieć, jaki to powód.

Należy zachować ostrożność, czyniąc narzucające się i zdradliwe porównanie - tak jak Himmler - tej niezłomnej wiary z fanatyzmem hitlerowców, nie tylko dlatego, że świadkowie Jehowy wierzą, że ludzi należy traktować z litością i miłością. Mimo to, jeśli w tym, co mówi Else Abt, zamienić „Jehowę” na „Hitlera”, jej słowa rzeczywiście uderzająco przypominają ideologiczny światopogląd esesmanów takich jak Höss.

Kiedy rok 1942 zmierzał ku końcowi, esesmani stworzyli sobie w obozie bardzo dobre warunki pracy. Mieli służbę, swoje zadania i większość zdołała w jakiś sposób nabrać dystansu do trwających w obozie mordów. Nie tylko w Auschwitz trwał ten proces przekształcania masowego zabijania w uporządkowane zajęcie; podobną transformację przechodziła w tym samym czasie Treblinka. Franz Stangl zastąpił niekompetentnego komendanta Eberla we wrześniu 1942 roku i natychmiast zabrał się do reorganizacji obozu.

Transporty zostały wstrzymane, walające się wokół obozu zwłoki usuwano, a sam obóz sprzątno. Zarówno Stangl, jak i Wirth od razu się zorientowali, co w głównej mierze spowodowało, że Eberl nie umiał zapewnić sprawnego działania obozu - wydajność komór gazowych. W rezultacie bezzwłocznie zbudowano znacznie większy pawilon - ceglany budynek, przez którego środek biegł korytarz z wejściami do ośmiu małych komór. Każda z nich miała również osobne wejście z zewnątrz, co w porównaniu z poprzednio wykorzystywanymi komorami znacznie ułatwiało usuwanie zwłok. Nowe, komory gazowe mogły w sumie pomieścić 3800 ludzi, ponad sześć razy więcej niż poprzednio wykorzystywany kompleks. Jednocześnie z budową nowych komór gazowych, które mogły zacząć funkcjonować już w październiku, Stangl rozpoczął działania mające na celu uspienie czujności przybywających do obozu Żydów. Barak przy peronie, na którym wysiadały ofiary, został pomalowany tak, by przypominał zwykłą stację kolejową, ze znakami kierującymi do poczekalni. Posadzono kwiaty w doniczkach, a całe miejsce rozładunku było utrzymywane w czystości i porządku.

Aż do niedawna nikt dokładnie nie wiedział, ilu ludzi wymordowano w 1942 roku w obozach takich jak Treblinka. Hitlerowcy niszczyli wszelkie dokumenty, które mogłyby ujawnić prawdę, w rezultacie czego dzisiejsze szacunki często bardzo się od siebie różnią. Jednak kilka lat temu w państwowym archiwum w Londynie dokonano odkrycia, które podniosło poziom wiedzy na ten temat \* [\*Public Record Office file ref: HW 16/10.]. Jest to tekst niemieckiego telegramu, przechwyconego i rozszyfrowanego przez Brytyjczyków, który zawiera liczby ludzi zamordowanych do 31 grudnia 1942 roku w obozach śmierci w ramach Akcji Reinhard. (Po udanym zamachu na Reinharda Heydricha w lipcu 1942 mordercza operacja w Polsce została nazwana „Akcją Reinhard” na jego „cześć”).

Niemiecki telegram ujawnia, że Treblinka, Bełżec, Sobibór i Majdanek (ośrodek zagłady pod Lublinem, o znacznie mniejszej wydajności) wymordowały w sumie 1 274 166 ludzi. Szczegółowe wyliczenia podają 24 733 zamordowanych w Majdanku, 101 370 w Sobiborze oraz 434 508 w Bełżcu. Liczba zamordowanych w Treblince według przechwyconego telegramu wynosi 71 355, ale jest to oczywista pomyłka, gdyż aby uzyskać podaną sumę 1 274 166 wymordowanych, liczba ofiar Treblinka musi wynosić 713 555. W 1942 roku Treblinka była więc - oficjalnie - największym ośrodkiem zagłady w hitlerowskim państwie. Oświęcim pozostawał daleko w tyle.

Ale nie na długo.

## Zepsucie

W historii obozu oświęcimskiego i „ostatecznego rozwiązania” rok 1943 był czasem wielkich przemian. W 1941 roku większość ofiar została uśmiercona przez specjalne plutony egzekucyjne na okupowanych terenach Związku Radzieckiego; w roku 1942 proces masowego uśmiercania zdominowały ośrodki zagłady powstałe na potrzeby Akcji Reinhard; natomiast teraz, trzy lata po założeniu, przysłała kolej na obóz Auschwitz, który miał obecnie zająć czołowe miejsce. Jak wiele innych rzeczy w tej historii, przyczyny tych zmian są skomplikowane i różnorodne.

W pierwszych miesiącach 1943 roku Himmler przeprowadzał inspekcje Treblinki i Sobiboru, gdzie na własne oczy mógł przyjrzeć się pracy swoich morderców. Obozy powstałe na potrzeby Akcji Reinhard uśmierciły już 1,65 miliona ludzi (97 procent ostatecznej liczby ofiar tych obozów) \* [\*Zob. też Arad, *op. cit.*, s. 165.]. Zachęcony tymi „sukcesami” Himmler 16 lutego nakazał likwidację getta warszawskiego. W jego mniemaniu nie musiało dłużej istnieć. A potem, w kwietniu, stało się to, o czym hitlerowcy bali się nawet pomyśleć. Żydzi w getcie warszawskim zaczęli się bronić. Po raz pierwszy hitlerowcy musieli stawić czoło skoordynowanemu, zbrojnemu oporowi dużej liczby Żydów; w dodatku działo się to na oczach tysięcy ludzi, w centrum stolicy Polski \* [\*Należy jednak zauważyć, że z punktu widzenia Niemców Polska nie istniała, a Warszawa nie była stolicą.].

Pierwsze wywózki z getta warszawskiego - największego założonego przez hitlerowców - w lecie 1942 roku przebiegały bez zakłóceń \* [\*Wielką akcją eksterminacyjną Żydów warszawskich przeprowadzono między 22 lipca a 24 września 1942 roku. Podczas tej akcji wywieziono do Treblinki ponad 253 tysiące osób, około 10 tysięcy zmarło bądź zostało zamordowanych na terenie getta, prawie 12 tysięcy deportowano do obozów pracy, a około 8 tysięcy uciekło na tzw. stronę aryjską w Warszawie (przyp. A.Ż.).]. Około 300 000 Żydów wywieziono do Treblinki, pozostawiając w getcie około 60 000 ludzi. Nie mając wątpliwości, że hitlerowcy zamierzają wymordować wszystkich, coraz więcej pozostałych w getcie Żydów wstępowało do Żydowskiej Organizacji Bojowej, założonej w lipcu 1942 roku. Razem z członkami Żydowskiego Związku Wojskowego planowali oni stawić opór wszelkim dalszym próbom wysiedlenia ludzi z getta.

Pewien opór stawiono prawdopodobnej próbie likwidacji getta w styczniu 1943 roku, ale hitlerowcy i tak wywieźli wtedy kilka tysięcy ludzi. Przywódcy żydowscy uznali, że tym razem ich opór uniemożliwił całkowitą likwidację getta, dzisiaj jednak wiadomo, że

styczniowa akcja miała od początku tylko na celu zmniejszenie liczby Żydów o nie więcej niż 8000. Mimo to obrona w styczniu uświadomiła Żydom, że mogą skutecznie przeciwstawić się działaniom Niemców. Mieszkańcy getta przygotowywali się teraz do obrony przed próbą całkowitej jego likwidacji, bo wiedzieli, że wkrótce zostanie ona podjęta.

Aaron Karmi \* [\*Wywiad dla BBC.], mający wtedy 21 lat, był jednym z Żydów, którzy planowali stawić zbrojny opór w warszawskim getcie. Już raz cudem udało mu się uniknąć śmierci, kiedy zdołał wyskoczyć z pociągu wiozącego jego i jego ojca do Treblinki. „Mój ojciec powiedział: «Uciekaj! Bo jeśli uda mi się uratować ciebie, to tak jakbym uratował cały świat». A potem dodał: «Jeśli ktokolwiek z was przetrwa, powinien pomścić naszą krew». Później musieliśmy się z nim pożegnać. Wiedzieliśmy, co to za pożegnanie - inne od wszystkich. Tak się jeszcze nie żegnaliśmy”.

Karmi i inni żydowscy bojownicy zgromadzili tyle broni, ile mogli, oraz ustawili z mebli prowizoryczne strzelnice; inni mieszkańcy kopali podziemne bunkry i kryjówki. Mimo tych przygotowań nikt nie miał żadnych złudzeń, że Niemców uda się pokonać. „Nigdy nie myśleliśmy, że zdołamy zwyciężyć - opowiada Karmi. - Nie chcieliśmy się tylko dać zapędzić do pociągów. Jeśli uda się nam to jednego dnia, spróbujemy i w następnym”.

Karmi, wraz z blisko dziesięcioma towarzyszami, zajął stanowisko na trzecim piętrze domu stojącego przy murze getta. Trzymając w ręku niemiecki pistolet P38, czekał na nadejście hitlerowców. Po getcie krążyły plotki, że Niemcy obiecali zlikwidować je 20 kwietnia, w dzień urodzin Hitlera, jako prezent dla Führera. Jego jednostka po raz pierwszy weszła do akcji właśnie w dniu urodzin Hitlera. „Usłyszeliśmy stuk butów trzystu maszerujących ku nam Niemców - jakby maszerowali na front, do Stalingradu czy gdzieś. Zatrzymali się dokładnie przed naszą pozycją”.

W tym momencie dowódca jego oddziału rzucił jeden po drugim dwa granaty w kierunku Niemców, jako sygnał dla Karmiego i innych, by otworzyli ogień. „Natychmiast zacząłem strzelać z pistoletu do tej masy [Niemców], która szła przed nami. Niemcy krzydzeli «Pomocy!» i chowali się za murami. Wtedy pierwszy raz widziałem uciekających Niemców. Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że to my uciekamy przed Niemcami. Oni nie oczekiwali, że Żydzi będą z nimi walczyć w ten sposób. Na ulicy była krew i nie mogłem od niej oczu oderwać; powiedziałem: «Niemiecka krew». Przypomniałem sobie, co mówił mój ojciec: «Jeśli ktokolwiek z was przetrwa, powinien pomścić naszą krew». Potem dowódca [niemiecki] zaczął krzyzczeć na swoich żołnierzy: «Co?! Kryjcie się?! Wyłażcie zza tego muru!». Kiedy się cofnęli, zobaczyli, skąd strzelamy, i otworzyli ogień w naszą stronę. Ich ostrzał zupełnie różnił się od naszego - mieliśmy tylko granaty i trochę pistoletów. Kiedy oni

strzelali, ze wszystkich okien wypadały szyby, a powietrze wypełniło się mieszaniną dymu i gazu”.

Niemcy, walczący pod dowództwem SS-Brigadeführera Jürgena Stroopa, szybko zdali sobie sprawę, że natrafili na nieoczekiwanie silny opór. Dziesiątki tysięcy Żydów ukryło się, większość pod ziemią. Ulice getta opustoszały i nie można było na nich znaleźć Żydów do wywiezienia. Niemcy zdecydowali się więc na proste i brutalne rozwiązanie swojego problemu - postanowili wykurzyć ukrytych Żydów ogniem. Ulica po ulicy, kwartał po kwartale, podpalali getto. Otoczeni płonącymi budynkami, nie mogąc dłużej stawić czoła liczniejszemu przeciwnikowi, Aaron Karmi i jego towarzysze wycofali się do kanałów. Stamtąd udało im się przedostać pod ogrodzeniem getta na przedmieścia Warszawy - gdzie ich życie i tak wciąż było w niebezpieczeństwie. „Po dwóch latach z tej grupy osiemdziesięciu ludzi, którzy poszli do lasu, zostało tylko jedenastu”.

Według raportu Stroopa na temat walk, który jest dzisiaj głównym źródłem pisany informacją o powstaniu w getcie, do niewoli wzięto ostatecznie 56 065 Żydów. Stroop twierdzi dalej, że około 7000 Żydów zostało zabitych w walkach w getcie, natomiast straty Niemców wynosiły mniej niż dwudziestu ludzi - liczby te wyraźnie pomniejszają straty niemieckie, wyolbrzymiając jednocześnie żydowskie.

Niezależnie od tego, jak Stroop próbował przekłamać wydarzenia w getcie, ich znaczenie nie umknęło Himmlerowi. Powstanie było niebezpiecznym precedensem - pierwszym dowodem na możliwość skoordynowanego, masowego oporu ludności żydowskiej. Niewykluczone także, że potwierdzało pogląd Himmlera, iż getta mogą się wymknąć spod kontroli. Dla Himmlera przyszłość „ostatecznego rozwiązania” leżała gdzie indziej - a dokładnie mówiąc, w Oświęcimiu.

W marcu 1943 roku, zaledwie na kilka tygodni przed powstaniem w getcie warszawskim, w obozie Auschwitz doszło do wydarzenia o wielkim znaczeniu: w Brzezince otworzono pierwsze krematorium. Jego budowa miała długą i skomplikowaną historię. Początkowo zaplanowano ją na październik 1941 roku, nowe krematorium miało powstać na miejscu starego w obozie głównym, ale miejsce budowy przeniesiono później do Brzezinki. W 1942 roku o przyszłej funkcji krematorium zadecydowały zmiany wprowadzone przez esesmana, architekta Waltera Dejaco. Pomieszczenia piwniczne - mające najpierw służyć jako kostnice - przystosowano do pełnienia dwóch oddzielnych funkcji. Jedno z nich miało być dużą rozbieralnią, a drugie, umieszczone prostopadle do pierwszego, miało być komorą gazową. Pojemniki z cyklohem B miały być wrzucane do komory przez specjalne otwory w suficie. Na parterze budynku znajdowało się duże krematorium z pięcioma wielkimi piecami.



Każdy z nich miał troje stalowych drzwi. Zwłoki miały być przewożone z piwnic do krematorium małą windą.

Nikt nie zna dokładnej daty wprowadzenia poprawek w planach budynku. Ale wynikającą z nich zmianę funkcji budynku można wysledzić w różnych rozkazach obozowego urzędu budowlanego - na przykład wprowadzenie judaszy w drzwiach do komory oraz otwieranie ich na zewnątrz, a nie, jak pierwotnie planowano, do wewnątrz (z doświadczeń w poprzednich komorach wiadomo, że zwłoki zablokują drzwi). Inne zmiany to usunięcie zsuwni do ciał oraz wprowadzenie dodatkowych schodów do piwnicy - zmiany te w oczywisty sposób potwierdzały, że więcej ludzi miało teraz schodzić do piwnicy, początkowo pomyślanej jako kostnica.

Na początku zaplanowano tylko jedno krematorium, ale wraz ze zmianą funkcji budynku podjęto decyzję, by zamówić kilka dalszych. Wczesnym latem 1943 roku działały w obozie Auschwitz-Birkenau cztery zespoły krematorium-komora gazowa. Dwa z nich (krematorium II i III) zostały zbudowane według zmodyfikowanego planu z komorą gazową w piwnicy i znajdowały się o mniej niż 100 metrów od planowanej nowej rampy kolejowej na terenie obozu Birkenau (ukończono ją dopiero późną wiosną 1944 roku). Dwa pozostałe (krematoria IV i V) umieszczono na odległym odcinku obozu w pobliżu tymczasowych komór gazowych zwanych „czerwonym” i „białym domkiem”. Komory gazowe w tych krematoriach nie znajdowały się w piwnicach, ale na tym samym poziomie co piece krematoryjne na parterze. Dla hitlerowców było to oczywiście znaczące „ulepszenie”, ponieważ ciał nie trzeba było już przewozić z piwnic na parter. W krematoriach IV i V znajdował się jeden duży piec z ośmioma drzwiami. W sumie wszystkie cztery krematoria mogły uśmiercić około 4700 ludzi dziennie i spalić ich zwłoki. W lecie 1943 roku obóz Auschwitz mógł więc uśmiercić ponad 150 000 ludzi miesięcznie.

Solidne ceglane mury krematoriów w Brzezince wyraźnie odzwierciedlają szczególną, przerażającą cechę hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Uśmiercanie nie odbywało się już w prowizorycznie zaadaptowanych domach wiejskich, ale w przypominających fabryki budynkach, gdzie mord mógł być dokonywany na skalę przemysłową. Historia zna wiele krwawych rzezi kobiet i dzieci, ale uśmiercanie w Auschwitz-Birkenau wydaje się czymś zupełnie nowym; skrupulatnie zaplanowano budowę miejsc, gdzie ludzie mieli być mordowani z zimną krwią. Spokojna, beznamiętna i systematyczna natura tego procesu znajduje swój namacalny wyraz w porządnym ceglanych murach krematoriów Brzezinki.

Pod jednym względem jednak nacisk kładziony na krematoria w Auschwitz-Birkenau, choć zrozumiały, jest mylący - ponieważ krematoria te otwarto dopiero w 1943 roku i nie

były pierwszymi stałymi miejscami kaźni w ramach hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Bardziej prowizoryczne komory gazowe budowano już w ośrodkach zagłady Akcji Reinhard w poprzednim roku - a do grudnia 1942 pierwszy kompleks komór w Treblince zastąpiono nawet nowym, bardziej wydajnym i większym. Ponadto krematoria w Auschwitz zaczęły działać na długo po zakończeniu szczytowej fazy „ostatecznego rozwiązania”. W 1942 roku wymordowano około 2,7 miliona Żydów (z czego 200 000 w obozie oświęcimskim, 1,65 miliona w ośrodkach zagłady, a 850 000 w trakcie masowych rozstrzelań na wschodzie); natomiast w roku 1943 zabito ich około 500 000, z czego mniej więcej połowę w obozie Auschwitz.

Mimo wszystko jednak Auschwitz miało coraz większe znaczenie dla hitlerowskiego państwa. Przez poprzednie lata dochodziło do napięć pomiędzy tymi hitlerowcami, którzy sądzili, że Żydzi powinni pracować na rzecz Trzeciej Rzeszy, a tymi, którzy uznawali, że trzeba ich wymordować. W czasie konferencji Am Grossen Wannsee, w styczniu 1942 roku, Reinhard Heydrich zaproponował pogodzenie tych dwóch poglądów przez zameczanie Żydów na śmierć pracą ponad siły. W praktyce jednak, szczególnie po rozkazie Himmlera, że Żydzi z Generalnego Gubernatorstwa mają zostać wymordowani, oba poglądy często nie dawały się ze sobą pogodzić. Jak mógł się przekonać porucznik Battel w Przemyślu, zdolni do pracy Żydzi wciąż byli wywożeni na śmierć do Bełżca.

Na wiosnę 1943 roku dla ludzi takich jak Himmler stało się już jasne, że jedynie w obozie oświęcimskim ludzie mogą być wykorzystywani do niewolniczej pracy, a także masowo mordowani. Zespoły krematoriów i komór gazowych znalazły się więc w centrum wielkiego, na wpół przemysłowego kompleksu. Tutaj wybrani Żydzi mieli być najpierw wysyłani do pracy w jednym z wielu okolicznych podobozów, a następnie, kiedy po miesiącach straszliwej harówki zostaną uznani za niezdolnych do dalszej pracy, mogli trafić do znajdujących się o kilka kilometrów dalej komór gazowych i krematoriów obozu Auschwitz-Birkenau.

Zarówno ideologicznie, jak i pragmatycznie obóz oświęcimski doskonale odpowiadał planom Himmlera, który zapewne dostrzegał elastyczność panującego w nim systemu - zależnie od zapotrzebowania na siłę roboczą kryteria „zdatości do pracy” można było zmieniać. Przymuszczalnie jeszcze ważniejsza, w świetle wydarzeń w Warszawie, była dla niego łatwość sprawowania przez SS kontroli nad obozem, niemożliwej do utrzymania w gettach.

Do tego dochodziło jeszcze 48 \* [\*Zob. też „Auschwitz 1940-1945”, t. 1, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.] podobozów, filii działających

przy różnych zakładach przemysłowych na całym Górnym Śląsku, od cementowni w Goleszowie po fabrykę zbrojeniową Eintrachthütte, od elektrowni Energie-Versorgung Oberschlesien po wielki obóz w Monowicach, zbudowany na potrzeby fabryki buny I.G. Farben. Około 10 000 więźniów Oświęcimia (w tym włoski naukowiec i pisarz Primo Levi, którego powojenne książki były próbami zrozumienia brutalności hitlerowskiego reżimu) przebywało w Monowicach, a do 1944 roku ponad 40 000 \* [\*Zob. też Irena Strzelecka, „Budowa, rozbudowa oraz rozwój obozu i jego filii” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 1, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.] pracowało niewolniczo w różnych zakładach przemysłowych Górnego Śląska. Szacuje się, że praca więźniów przyniosła obozowi około 30 milionów marek \* [\*Zob. też Franciszek Piper, „Eksploatacja pracy więźniów” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 2, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.] czystego zysku ze sprzedaży niewolniczej siły roboczej firmom prywatnym.

Warunki panujące w podobozach były tak samo złe jak w Auschwitz-Birkenau. Jednym z najgorszych był obóz Fürstengrube, zbudowany w pobliżu kopalni węgla. Właśnie do Fürstengrube trafił wczesną wiosną 1943 roku Benjamin Jacobs \* [\*Wywiad dla BBC.]. Zwykle wysłanie do tej filii obozu było równoznaczne z wyrokiem śmierci - więźniowie przeżywali w kopalni średnio kilka tygodni. Ale Jacobs uratował życie dzięki pewnej umiejętności - był dentystą. Jego doświadczenia ukazują poziom cynizmu osiągniętego przez hitlerowców, dążących do eksploatacji Żydów przed śmiercią i po niej.

Dzięki znajomości stomatologii Jacobs mógł opiekować się najpierw więźniami, a potem również załogą obozu. „Leczyłem zęby esesmanom wyższych szarż w załodze obozu - lekarzom i innym - i dużo z tego miałem, bo potrzebujący dentysty pacjenci byli bardzo uczynni. Zazwyczaj przynosili mi trochę chleba albo wódki i po prostu zostawiali. Nie dawali mi tych rzeczy, tylko «przez pomyłkę» zostawiali je na krzesłach i dzięki temu miałem lepsze jedzenie... Czuję, że uważają mnie za kogoś lepszego. Byłem z tego powodu bardzo dumny - za lepszą pozycją szło lepsze traktowanie”. Benjamin Jacobs żałował, iż jest dentystą w obozie pracy, tylko wtedy, gdy musiał wrywać złote zęby z ust zmarłych. Kazano mu chodzić do pokoju, w którym leżały ciała osób zmarłych lub zastrzelonych w kopalniach. Uważał, „że ci ludzie wyglądali upiornie” i „widział rzeczy”, w które „trudno mu było uwierzyć”, ale musiał pracować na klęczkach przy zwłokach i „otwierać im usta specjalnym przyrządem” rozdzielającym dolną i górną szczękę. Kiedy to robił, „rozlegało się chrupnięcie”. Po otwarciu ust martwej osoby Jacobs wrywał złote zęby. „Nie jest to coś, z

czego mógłbym być dumny. Nie odczuwałem wtedy żadnych emocji. Chciałem przeżyć. Nawet jeśli to życie nie było zbyt dobre, to i tak chce się za wszelką cenę żyć”.

Złoto wydobyte z ust martwych robotników było przetapiane i wykorzystywane przy produkcji biżuterii, co odzwierciedlało ogólną hitlerowską wizję działania kompleksu Auschwitz-Birkenau. Nic, co należało do więźnia - nawet najintymniejsze przedmioty - nie mogło się zmarnować. Nastawienie to znalazło dalszy wyraz w obozie macierzystym Auschwitz i w kompleksie Auschwitz-Birkenau, gdzie istniały sortownie zwane „Kanadą”. Linda Treder \* [\*Wywiad dla BBC.] miała 19 lat, kiedy w 1943 roku rozpoczęła pracę w „Kanadzie” w obozie głównym, a przybyła do niego rok wcześniej, jednym z pierwszych transportów kobiet ze Słowacji. Po początkowym ciężkim okresie pracy na polach w komandzie, została wybrana do stosunkowo łżejszego zatrudnienia przy sortowaniu mienia zagrabionego nowo przybyłym więźniom. „Właściwie praca w «Kanadzie» uratowała mi życie, ponieważ miałyśmy tam jedzenie, wodę, mogłyśmy nawet się wykapać”. Praca, do jakiej została zmuszona Linda Breder, była zapewne mniej okropna niż praca Benjamina Jacobsa, ale zasada była ta sama - dopilnować, żeby hitlerowcy mogli z mordowanych przez siebie ludzi czerpać jak największe korzyści ekonomiczne. „Wszystko, co przywieźli ze sobą zamordowani potem ludzie, było magazynowane w obozie, a my, oprócz składania odzieży, musieliśmy ją przeszukiwać. Każda sztuka musiała zostać sprawdzona - bielizna, wszystko. Znajdywałyśmy tam wiele diamentów, złota, monet, dolarów, walut całej Europy. Kiedy coś znalazłyśmy, wkładałyśmy to przez szczelinę do drewnianej skrzynki stojącej na środku baraku... Nikt inny nie zdawał sobie sprawy z całego bogactwa, które przybywało do obozu w ubraniach. Tylko my. Około sześciuset dziewcząt, które tam pracowały”.

Polityka władz obozu - a właściwie całego hitlerowskiego państwa - była jasna: wszystkie wartościowe przedmioty odebrane nowo przybyłym ofiarom stanowiły własność Rzeszy. Mimo że ta zasada była teoretycznie jasna, praktyka wyglądała zupełnie inaczej. Pokusy „Kanady” były nieodparte zarówno dla pracujących tam więźniów, jak i dla esesmanów. W rezultacie kradzieże z „Kanady” stały się powszechne. „Zawsze udawało się nam wynieść trochę ubrań - opowiada Linda Breder. - Wynosiłyśmy buty, majtki, bieliznę - wszystkie te rzeczy oddawałyśmy innym, bo nam nie były potrzebne”. A ponieważ Breder i inne pracownice „Kanady” znajdowały również ukryte w bagażach jedzenie, odżywiały się prawdopodobnie najlepiej ze wszystkich grup więźniów Oświęcimia. „Tak, jadłyśmy to jedzenie. To był dla nas ratunek. Nawet zwierzęta jedzą się nawzajem, kiedy czują głód... Chciałyśmy żyć. Chciałyśmy przetrwać. Czy miałyśmy to jedzenie wyrzucać? Nikogo nie

zabiliśmy. Zjadałyśmy tylko ich jedzenie. Ci ludzie byli już martwi... Mieć jedzenie, wodę i dość snu - to były nasze troski. Wszystko to miałyśmy w «Kanadzie»,»

Ale, jak można oczekiwać, największe osobiste korzyści czerpali z „Kanady” poszczególni członkowie SS. „Niemcy cały czas gromadzili bogactwa - wspomina Linda Breder. - Nam pozostała tylko śmierć... Oni wszyscy [esesmani] kradli. Przyszli tam, ponieważ nie było drugiego takiego miejsca, gdzie można było wszystko dostać”. Rudolf Höss przyznał, że „skarby przywożone przez Żydów stanowiły źródło nieuniknionych kłopotów w samym obozie”, ponieważ służący pod jego komendą esesmani „nie zawsze mieli aż tak silny charakter, żeby oprzeć się pokusie łatwego wzbogacenia się” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 92.]. Oskar Groening potwierdza opinię swojego komendanta: „Istniało to niebezpieczeństwo [kradzieży], bo jeśli wiele przedmiotów leży w stertach, to łatwo coś ukraść - co było zupełnie powszechne w Auschwitz”. Ponieważ pracował w wydziale gospodarczym, wiedział, że mienie „przechodziło przez wiele rąk” od momentu wyjęcia go z bagaży pozostawionych na rampie wylądowczej, następnie sortowania w barakach „Kanady”, do chwili, gdy drewniane skrzynki trafiały do jego biura. „Na pewno bardzo wiele tych rzeczy trafiało do kanałów, do których nie miało trafiać”.

Co zaskakujące, Groening potwierdza, że nadzór esesmanów w Auschwitz „właściwie nie był skrupulatny”. On sam przyznaje, że brał udział w korupcji i nadużyciach powszechnych wśród służących w obozie esesmanów, kradnąc pieniądze, żeby kupować towary na kwitującym w Auschwitz czarnym rynku. Kiedy, na przykład, znużyła go konieczność pobierania rewolweru z magazynu broni, a potem zwracania go po zakończeniu pracy, zwrócił się do „ludzi, którzy mieli kontakty” i powiedział: „Słuchaj, stary, potrzebny mi rewolwer z amunicją”. A ponieważ Groening był znany jako „dolarowy król” z powodu swojej pracy przy pieniądzach, ustalono cenę 30 dolarów amerykańskich. Groeningowi łatwo było ukraść taką sumę z przeliczanej przez niego codziennie rzeki pieniędzy. Zapłacił 30 dolarów i dostał rewolwer.

Transakcja dokonana przez Groeninga była jedną z tysięcy podobnych, przeprowadzanych każdego tygodnia w obozie. Do Auschwitz wlewało się tak dużo bogactwa, tak liczne były okazje do kradzieży, a nadzór tak słaby, że trudno przypuszczać, żeby którykolwiek z esesmanów nie wziął udziału w tym procederze, czy to dokonując małej kradzieży, czy pokaźnego nadużycia. Od szeregowca SS, który chciał mieć nowe radio, po oficera, który handlował skradzioną biżuterią, cały obóz toczyła plaga korupcji i złodziejstwa.

W 1943 roku w Poznaniu Himmler wygłosił mowę, w której wspominał o delikatnej sprawie korupcji w szeregach SS; zamieszanych w nią było pięćdziesięciu wyższych rangą

oficerów SS. „Chciałbym wspomnieć o bardzo poważnej sprawie - mówił Himmler - tu przed wami, z całą szczerością. Możemy o tym mówić we własnym gronie, a jednak nie wolno nam nigdy o tym mówić publicznie. [...] Mam na myśli wywożenie Żydów, eksterminację narodu żydowskiego. Większość was wie, co to znaczy, kiedy obok siebie leży sto trupów albo pięćset, albo tysiąc. A jednak [...] przejść przez to i poza nielicznymi wypadkami ludzkiej słabości [...] pozostać przyzwoitym człowiekiem, właśnie to nas zahartowało. Jest to chwalebna karta naszej historii, której nigdy nie zapisano ani nigdy nie będzie można zapisać. Odebraliśmy im ich bogactwa i [...] dałem wyraźny rozkaz, który wykonał SS-Obergruppenführer Pohl: przekazaliśmy te bogactwa Rzeszy, przekazaliśmy je państwu. Nic nie wzięliśmy dla siebie. Mamy moralne prawo, mieliśmy ten obowiązek, wobec naszego narodu, żeby zniszczyć naród, który chciał zniszczyć nas. Wykonaliśmy to najtrudniejsze zadanie z miłości do własnego narodu. A nasze serce, nasza dusza, nasz charakter nie ucierpiały do tego”.

Himmler próbował w ten sposób nakreślić linię pomiędzy morderstwem, które było usprawiedliwione i konieczne dla dobra Rzeszy, a osobistą korzyścią, która pozostawała zbrodnią. Czynił tak, by zachować wizerunek esesmanów jako ludzi „twardych” i zarazem „nieprzekupnych”. Łatwo przy tym zrozumieć, po co wprowadził takie rozróżnienie. Dwa lata wcześniej na własne oczy widział rujnujący wpływ rozstrzeliwań Żydów na psychikę katów. W wyniku tego osobiście nadzorował stworzenie nowego systemu uśmiercania za pomocą komór gazowych, aby do pewnego stopnia uchronić ich od emocjonalnego urazu. Teraz próbował swoich ludzi podnieść na duchu, wprowadzając rozróżnienie pomiędzy moralnym, choć twardym obrońcą Rzeszy, oraz zdemoralizowanym oportunistą szukającym osobistych korzyści. Aby umożliwić im spokojne życie, a może nawet „wybaczenie” sobie wzięcia udziału w „ostatecznym rozwiązaniu”, Himmler musiał stworzyć obraz esesmana mordercy kobiet i dzieci, ale jednocześnie mordercy, który zachowuje swój honor. Jednym ze sposobów przekazania tego obrazu było przekonanie esesmanów, żeby osobiście nie czerpali z morderstw żadnych korzyści.

Było to oczywiście kłamstwo na każdym poziomie - ponieważ esesmani masowo dopuszczali się kradzieży i nadużyli w Auschwitz. Było to fundamentalne kłamstwo na wszystkich poziomach, ponieważ nie można było przy „ostatecznym rozwiązaniu” odróżnić „honorowego” uśmiercania bezbronnych cywilów od czystego bestialstwa. Prawdy tej najlepiej dowodzą działania lekarzy SS w obozie. Ci adepci sztuki ratowania życia wzięli udział we wszystkich etapach procesu uśmiercania, od selekcji na rampie wyładowczej po mordowanie niektórych wybranych więźniów. Symbolem ich udziału w zbrodni jest fakt, że

cyklon B był przewożony do obozu fałszywym ambulansiem ze znakami czerwonego krzyża. Całkowicie podporządkowując się zbrodniczemu rozkazom, lekarze SS stanęli przed dylematem znacznie wyraźniejszym niż inni-hitlerowscy zbrodniarze, najlepiej zawartym w pytaniu: jak można wziąć udział w masowym morderstwie, jednocześnie zachowując poczucie, że własne czyny są zgodne z przysięgą Hipokratesa, która wymaga od lekarzy, by zawsze starali się leczyć chorych?

Kluczowy dla zrozumienia, jak hitlerowscy lekarze umieli sobie odpowiedzieć na to pytanie, jest fakt, że to nie w Oświęcimiu po raz pierwszy doszło do współdziałania lekarza w morderstwie. Od momentu przejścia władzy w 1933 roku hitlerowscy przywódcy wprowadzali w życie rasistowskie teorie, według których pewne „rasy”, a nawet pewne osoby, są bardziej „godne” życia niż inne. Pierwszą praktyczną konsekwencją tych teorii było wprowadzenie w latach trzydziestych przymusowej sterylizacji psychicznie chorych. W sumie przymusowo zostało jej poddanych około 300 000 Niemców.

Bliski związek hitlerowskiego programu eutanazji - rozpoczętego jesienią 1939 roku - i lekarzy uczestniczących w Akcji Reinhard został już opisany. Wirth i Stangl, ci pionierzy obozów śmierci, rozpoczęli swoje mordercze kariery, pomagając uśmiercać chorych i kaleki. Należy tu jednak zauważyć, że proces selekcji w programie eutanazji dorosłych był kontrolowany przez lekarzy, a nie przez tajną policję, jak w obozie oświęcimskim. Ten związek był logicznym następstwem prehistorii masowego uśmiercania, kiedy zniszczenie „życia niewartego życia” (*lebensunwertes Leben*) podniesiono do rangi najwyższego obowiązku medycyny. Właśnie dzięki tej spacznej logice na stanowisku komendanta obozu śmierci w Treblince mógł się znaleźć lekarz, doktor Eberl.

Kiedy Eberl został komendantem obozu w Treblince, koncepcja „życia niewartego życia” została już oczywiście rozszerzona i oprócz chorych psychicznie i fizycznie obejmowała również Żydów. Próbując usprawiedliwić swój udział w uśmiercaniu ludzi, lekarze SS wykorzystali kłamstwo wczesnej propagandy hitlerowskiej, że Żydzi mają niszczący wpływ na społeczeństwo. „Oczywiście, że jestem lekarzem i chcę ratować życie - mówił Fritz Klein, jeden z hitlerowskich lekarzy. - Z szacunku dla ludzkiego życia usunąłbym ropijący wyrostek robaczkowy z chorego ciała. Żyd jest ropijącym wyrostkiem w ciele ludzkości” \* [\*Robert Jay Lifton, „The Nazi Doctors”, Basic Books 1986. Odpowiedź na pytanie lekarki-więźnia obozu, dr Elli Lingens-Reiner, s. 16.].

Auschwitz, podobnie jak inne obozy śmierci, był więc z punktu widzenia hitlerowców częścią polityki ochrony zdrowia - umożliwiał bowiem usunięcie ludzi będących ciężarem lub zagrożeniem dla rozwoju państwa. Właśnie dlatego pierwszych ludzi uśmiercano w obozie

oświęcimskim w bloku 10 - czyli szpitalu - gdzie ofiarom wstrzykiwano fenol. Było to dokładne odwrócenie etyki lekarskiej - wizyta w szpitalu nie miała na celu wyleczenia, ale zabicie pacjenta.

W 1942 roku, po wprowadzeniu w obozie systemu selekcji nowo przybyłych więźniów, hitlerowscy lekarze odgrywali istotną rolę w procesie masowego uśmiercania ludzi. To właśnie oni podejmowali w Auschwitz decyzję kluczową dla działania obozu - kto z nowego transportu będzie żył, a kto ma umrzeć. Aktywny udział lekarzy w selekcji był dla hitlerowców ważny z dwóch powodów - praktycznego i filozoficznego. Powód praktyczny jest jasny - lekarze mogli najlepiej na pierwszy rzut oka ocenić przydatność danej osoby do pracy (każdej z nowo przybyłych osób poświęcano zaledwie kilka sekund). Powód filozoficzny nie był tak oczywisty, ale za to znacznie ważniejszy. Angażując lekarzy bezpośrednio w proces selekcji, stwarzano wrażenie, że uśmiercanie nie było wynikiem przesądów i arbitralnych decyzji, ale naukowo udowodnioną koniecznością. Obóz Auschwitz nie miał być miejscem nieposkromionej rzezi, ale planowym przyczynkiem do rozwoju państwa.

Szczególną jednak niesławą okryli się lekarze przeprowadzający eksperymenty medyczne. Wykorzystywanie więźniów jako królików doświadczalnych pasowało do hitlerowskiej koncepcji, że wrogowie państwa powinni „służyć” Rzeszy - jeśli nie niewolniczą pracą, to śmiercią podczas „badań naukowych”. Obóz był niezrównanym laboratorium dla lekarza zainteresowanego badaniami naukowymi, a nieobciążonego współczuciem i ludzkimi uczuciami. Przynajmniej dwóch lekarzy, Clauberg i Schumann, prowadziło w Auschwitz „badania naukowe” nad sterylizacją. Co ważne, Schumann już wcześniej zajmował się uśmiercaniem ludzi - był jednym z lekarzy realizujących program eutanazji w ośrodku uśmiercania ludzi w Sonnenstein, gdzie więźniowie Oświęcimia trafili w lipcu 1941 roku.

Silvia Veselá \* [\*Wywiad dla BBC.], jedna z pierwszych Słowaczek, które przybyły do Auschwitz, pracowała jako pielęgniarka w bloku 10 obozu głównego, gdzie przeprowadzano większość eksperymentów, i była zmuszana do asystowania Claubergowi i Schumannowi. „Powiedziano mi, że w jednej z części bloku znajdują się aparaty rentgenowskie. Były to pokaźne maszyny z wielkimi cylindrami. Doktor Schumann przeprowadzał tam te sterylizacje. Inna część budynku należała do doktora Clauberga. On dokonywał sterylizacji za pomocą substancji chemicznych. Wstrzykiwał je kobietom do macic i jajników, żeby spowodować zarośnięcie jajowodów. Głównym celem jego badań było określenie, ile tych substancji potrzeba, żeby przeprowadzić sterylizację”.



Himmler okazywał duże zainteresowanie eksperymentami przeprowadzanymi w Auschwitz. Sterylizacja była oczywiście jedną z metod „rozwiązania” stworzonej przez hitlerowców „kwestii żydowskiej”, rozważaną przed wprowadzeniem komór gazowych; w czasie konferencji Am Grossen Wannsee proponowano nawet, by sterylizacja była dla osób o mieszanym pochodzeniu możliwością uniknięcia deportacji z Niemiec. Mimo obietnic ekspertów takich jak profesor Clauberg nie powstała jeszcze oczekiwana przez Himmlera tania, wydajna metoda sterylizacji. Opiekując się kobietami poddawanych bolesnym eksperymentom, Silvia Veselá starała się „za dużo nie współczuć - najlepsze, co można było wtedy zrobić, to nie myśleć. Badano u nich wpływ promieni rentgenowskich na jelito cienkie. To było gorzej niż okropne. Te kobiety cały czas wymiotowały. To było naprawdę straszne”. Promieni rentgenowskich używano albo do samej sterylizacji, albo w celu sprawdzenia, jak rozprzestrzeniają się chemikalia wstrzyknięte do narządów rodnych. „Kobiety kładzono na stole rentgenowskim w pozycji ginekologicznej. Po rozłożeniu przez nie nóg, lekarze wkładali do środka igłę i wstrzykiwali tę substancję. Na ekranie mogli sprawdzić, czy wprowadzili igłę we właściwe miejsce. Moim zadaniem było wywoływanie po każdym badaniu zdjęć i sprawdzenie, czy kobieta jest już bezpłodna i czy jej jajowód jest już niedrożny... Dla nich nie byliśmy ludźmi. Byliśmy zwierzętami. Nie możecie tego zrozumieć? Nie byliśmy istotami ludzkimi. Byliśmy tylko numerami i zwierzętami laboratoryjnymi”.

Silvia Veselá sama nie umknęła przeprowadzanym w bloku 10 eksperymentom profesora Clauberga. „Zachorowałam i przeprowadzono na mnie jakieś doświadczenia [...]. Niestety, po wojnie, kiedy wyszłam za mąż, zaszłam mimo nich w ciążę. Musiałam poddać się przerażającej aborcji. Lekarze powiedzieli mi: «Wystarczy! Niech pani nie waży się zachodzić jeszcze raz w ciążę». Mieli rację. Na świecie jest już dość potworów”.

W bloku 10 nie tylko Schumann i Clauberg przeprowadzali eksperymenty, ale również doktor Wirths, główny lekarz obozowy, który zbrodniczymi metodami „badał” na kobietach działanie ludzkiej szyi. Eksperymenty medyczne przeprowadzano również na mężczyznach w bloku 28 - specjalnością tamtejszych badaczy było pokrywanie skóry więźniów różnorodnymi substancjami, żeby sprawdzić, czy mogły być one wykorzystywane przez uchylających się od służby wojskowej Niemców.

Więźniów Oświęcimia „sprzedawano” nawet jako króliki doświadczalne firmie Bayer, będącej częścią koncernu I.G. Farben, która wykorzystywała więźniów do testowania nowych leków. W jednym z listów z firmy Bayer do władz obozu czytamy: „Transport 150 kobiet przybył w dobrym stanie. Ponieważ jednak w toku doświadczeń zmarły, nie możemy

wyciągnąć wiążących wniosków. Zwracamy się więc do panów z prośbą o przysłanie nam następnej grupy kobiet, w tej liczbie i po tej samej cenie” \* [\*Irena Strzelecka, „Eksperymenty” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 2, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995, s. 272.]. Kobiety, które umarły w czasie testów eksperymentalnego środka znieczulającego, kosztowały firmę Bayer po 170 marek niemieckich.

Ale mimo okrucieństwa tych zabiegów powszechnie zapamiętano nie Clauberga, Schumanna, Wirthsa czy firmę Bayer, ale człowieka, którego nazwisko jest najczęściej kojarzone ze zbrodnicznymi eksperymentami medycznymi w Auschwitz, trzydziestodwuletniego przystojnego weterana walk na froncie, nagrodzonego Krzyżem Żelaznym oficera, który przybył do Oświęcimia w marcu 1943 roku - doktora Josefa Mengele. Bardziej niż ktokolwiek inny Mengele stał się niemal synonimem Auschwitz. Powodem jest połączenie jego cech charakteru i sytuacji, w jakiej się znalazł: charakteru, ponieważ Mengele nie mógł się oprzeć posiadanej w obozie władzy oraz nieograniczonym możliwościom przeprowadzania doświadczeń, a sytuacji, ponieważ przybył do obozu w chwili, kiedy budowa nowych krematoriów została już ukończona i liczba trafiających do Oświęcimia transportów zaczęła wzrastać.

O schizofrenicznej naturze doktora Mengelego, która dała o sobie znać w Auschwitz, opowiada wielu byłych więźniów. Kiedy Mengele stawał przed nimi, ubrany w nieskazitelnie czysty mundur SS, potrafił uśmiechać się i był czarujący - albo stawał się straszliwie okrutny. Świadkowie widzieli, jak zastrzelił na rampie kobietę z dzieckiem, kiedy nie dość szybko wykonywali jego rozkazy, natomiast inni pamiętają tylko miłe słowa, które od niego usłyszeli. Vera Alexander \* [\*Wywiad dla BBC.], czechosłowacka więźniarka, z bliska miała się okazję przyjrzeć tej podwójnej naturze, kiedy była kapo w bloku zamieszkiwanym przez dzieci polskie i cygańskie. „Mengele przychodził do obozu codziennie - przynosił czekoladę [...]. Kiedy krzyczałam na dzieci i strofowałam je, odpowiadały zwykle: «Powiemy wujkowi, że byłaś niedobra». Mengele był «dobrym wujkiem»,. Ale, oczywiście, Mengele zachowywał się tak, bo miał swoje powody: te dzieci nie były dla niego niczym innym, jak królikami doświadczalnymi, potrzebnymi do badań. Vera Alexander nieraz była świadkiem, jak dzieci wracały do bloku, krzycząc z bólu po wizycie u „dobrego wujka”.

Jednym z głównych obszarów „zainteresowania” Mengelego były badania bliźniąt - przedtem specjalizował się w „biologii dziedziczenia”. Po obozie krążyła plotka, że Mengele próbował odkryć, w jakich warunkach dochodzi do ciąży mnogiej, żeby umożliwić niemieckim kobietom szybsze rodzenie wielu dzieci. Bardziej prawdopodobne wydaje się

jednak, że główną jego motywacją była chęć zrozumienia wpływu dziedziczenia na rozwój i zachowanie dziecka - był to temat obsesyjnie badany przez wielu hitlerowskich naukowców.

Dziesięcioletnia Eva Moses Kor \* [\*Wywiad dla BBC.] stała się, wraz ze swoją siostrą bliźniaczką, obiektem zainteresowania doktora Mengelego: „Przychodził codziennie po apelu

- żeby sprawdzić, ile ma królików doświadczalnych. Trzy razy w tygodniu krępowano mi ramiona w celu ograniczenia dopływu krwi, a z lewego ramiona pobierano ją w ogromnych ilościach, raz nawet tak wiele, że zemdlałam. Jednocześnie w prawe ramię robili mi co najmniej pięć zastrzyków. Po jednym z nich nagle bardzo źle się poczułam i następnego ranka Mengele przyszedł do mnie w towarzystwie czterech innych lekarzy. Spojrzał na moją kartę gorączkową i powiedział, śmiejąc się sarkastycznie: «Szkoda, jest taka młoda. Pożyje najwyżej dwa tygodnie». Cały czas traciłam i odzyskiwałam przytomność i w zamroczeniu powtarzałam sobie: «Muszę przeżyć, muszę przeżyć». A oni czekali, aż umrę. Gdybym wtedy umarła, moja siostra, Miriam, zostałaby natychmiast zaprowadzona do laboratorium doktora Mengelego i zabita zastrzykiem w serce, a Mengele dokonałby porównawczej sekcji zwłok”.

Jak zauważył Miklos Nyiszli \* [\*Zob. też Aleksander Lasik, „Struktura organizacyjna KL Auschwitz” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 1. Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.], specjalista medycyny sądowej i więzień Oświęcimia: „Było to jedyne w swoim rodzaju zjawisko. Bliźnięta umierały jednocześnie i można było na nich jednocześnie przeprowadzać sekcje zwłok. Gdzie, w zwykłych okolicznościach, można znaleźć bliźnięta umierające w tym samym czasie i miejscu?”.

Eva Moses Kor przeżyła i uratowała w ten sposób również życie swojej siostry: „Ktoś zapytał mnie: «Musiała być pani bardzo silna?». Odpowiedziałam: «Nie miałam wyboru. Wydostałam się z choroby, bo inaczej zginęłabym»,. Relacja Ewy jest nie tylko wstrząsająca, uwidacznia ona również istotę pobytu doktora Mengelego w Auschwitz - wolno mu było robić z ludźmi wszystko, co chciał. Jego „eksperymenty medyczne” nie podlegały żadnym ograniczeniom.

Nie było żadnych ograniczeń skali i tematyki jego „eksperymentów medycznych”. Nieskończona była jego zdolność do zadawania tortur i uśmiercania ludzi w celu zaspokojenia swojej sadystycznej ciekawości. Eksperymentował nie tylko na bliźniętach, ale również na karłach i więźniach dotkniętych formą gangreny twarzy zwaną noma, częstą wśród mieszkańców obozu cygańskiego w Brzezince ze względu na panujące tam straszliwe warunki. Mengele mógł jednak równie dobrze zainteresować się dalszymi trzema - bądź trzydziestoma - kierunkami badań. Zanim znalazł się w Auschwitz, nie przejawiał żadnych

skłonności do sadyzmu; według wszelkich relacji dowiódł wielkiej odwagi, walcząc na froncie wschodnim, gdzie uratował dwóch żołnierzy z płonącego czołgu, a przed wojną był niczym nie wyróżniającym się młodym lekarzem po studiach na frankfurckim uniwersytecie. Dopiero w warunkach Auschwitz ujawnił się Mengele, którego dzisiaj zna świat - co przypomina o tym, jak trudno przewidzieć, kto w wyjątkowej sytuacji może stać się potworem.

Mengele był pod wieloma względami typowym oficerem obozu Auschwitz. Doskonale ubrany w każdej sytuacji, żywił do więźniów głęboką pogardę. Jakikolwiek bliższe związki z więźniami były dla niego nie do pomyslenia, a zbliżenie płciowe niewyobrażalne. Tutaj w pełni odpowiadał hitlerowskiemu ideałowi. Ponieważ zgodnie z hitlerowską teorią ras więźniowie obozu stanowili niebezpieczeństwo dla fizycznej kondycji Rzeszy, zbliżenia płciowe pomiędzy esesmanami a więźniarkami (oraz esesmankami i więźniami) były całkowicie zabronione. Związki takie były dla hitlerowców „zbrodniami rasowymi”. W rzeczy samej, jedną z różnic pomiędzy zbrodniami hitlerowskimi w czasie „ostatecznego rozwiązania” a innymi zbrodniami wojennymi dwudziestego stulecia był otwarcie wyrażany zakaz przemocy seksualnej - nie z powodów humanitarnych, tylko ze względu na ideologię. W wielu innych wypadkach - na przykład tureckiej rzezi Ormian w czasie pierwszej wojny światowej, japońskiej agresji w Chinach w latach trzydziestych czy też w czasie niedawnej próby serbskiego podboju Bośni w latach dziewięćdziesiątych - przemoc seksualna wobec kobiet „wroga” była powszechna. Obozy gwałconych kobiet w Bośni, sprzedawanie ormiańskich kobiet do haremów oraz grupowe gwałty na chińskich kobietach popełniane przez japońskich żołnierzy - historia dwudziestowiecznych konfliktów aż roi się od przykładów przemocy seksualnej. Natomiast dla hitlerowców wojna na wschodzie była inna niż wszystkie. Podczas gdy na Wyspach Normandzkich albo we Francji niemieckim żołnierzom wolno było wchodzić w związki z miejscowymi kobietami, to żydowska i słowiańska ludność na wschodzie stanowiła dla hitlerowców zagrożenie rasowe. Propaganda głosiła, że jednym z najświętszych obowiązków każdego żołnierza Rzeszy było zapewnienie „czystości niemieckiej krwi”. Związki ze Słowiankami i Żydówkami (szczególnie z tymi drugimi) były kategorycznie zabronione. Już w przedwojennych Niemczech wprowadzono prawo wyraźnie zabraniające małżeństw pomiędzy Żydami (obu płci) i nie-Żydami.

Wszystko to oznaczało, że nie powinno dochodzić do kontaktów seksualnych pomiędzy załogą obozu i osobami w nim więzionymi. Zabicie Żydówki było, jak się wydaje, świętym, ideologicznym obowiązkiem esesmana, natomiast odbycie z nią stosunku stanowiło

zbrodnię. A jednak, jak zauważa Oskar Groening: „Gdy prywatne interesy są silniejsze od odczuć wobec żydowskiej wspólnoty jako całości - wtedy, cóż, takie rzeczy się zdarzają. Jeśli ktoś ma na służbie nadzorować dwadzieścia młodych kobiet i jedna mu się spodoba i robi mu kawę i Bóg jeden wie, co tam jeszcze, to te rzeczy, te propagandowe zakazy, nie są już ważne...”. Tak więc, skoro esesmani nadzorowali więźniarki, Groening nie był zaskoczony, że „zdarzało się, że obmacywali je i całowali albo zmuszali do zbliżeń seksualnych”.

Kobiety pracujące w „Kanadzie” stanowiły najbardziej oczywisty cel dla esesmanów, którzy byli skłonni zapomnieć o swojej ideologii i dopuścić się gwałtu. Większość kobiet w Auschwitz miała wygolone głowy, była niedożywiona i podatna na choroby. Natomiast kobiety pracujące w Kanadzie wprost przeciwnie, miały dostęp do żywności, którą znajdowały w sortowanych bagażach, wolno im było również nosić długie włosy. W dodatku esesmani przebywali razem z kobietami w „Kanadzie” nie tylko po to, by nadzorować ich pracę, ale również by samemu kraść żydowskie mienie. W rezultacie dochodziło tam do gwałtów, co potwierdza Linda Breder. „Kiedy przyszliśmy do «Kanady», nie było tam bieżącej wody. Potem jednak komendant [dowodzący nimi oficer SS] «Kanady» nakazał zbudować prysznice. Znajdowały się one za budynkiem. Mimo że woda była lodowato zimna, regularnie brałam prysznice. Jednego dnia brała prysznic Olga Rothova z Bratysławy. To była ładna kobieta, nie była chuda. Oficer SS poszedł do niej i wykorzystał ją - zgwałcił”. Winowajca został później usunięty ze służby w „Kanadzie”, ale uniknął dalszej kary. Innym esesmanem, który wykorzystywał seksualnie więźniarki obozu, był jeden z oficerów raportowych w Brzezince, Gerhard Palitzsch. Został aresztowany, ale - przypuszczalnie dzięki wpływom Hössa - przeniesiono go tylko do podobozu z dala od Brzezinki.

Do gwałtów dochodziło również w miejscu obozu, gdzie, podobnie jak w „Kanadzie”, kobietom wolno było nosić własne ubrania oraz włosy. Był to „obóz rodzinny”, osobny, ogrodzony teren, w którym od września 1943 roku więziono Żydów deportowanych z getta w Theresienstadt w Czechosłowacji. Około 18 000 mężczyzn, kobiet i dzieci przebywało tam aż do likwidacji obozu w lipcu 1944 roku. Osoby te nie zostały poddane selekcji po przybyciu do obozu; hitlerowcy planowali wykorzystać je do celów „propagandowych”. Nakazano im pisać kartki pocztowe do domu, w których opisywali, jak dobrze traktuje się więźniów w obozie, aby zaprzeczyć, że obóz Auschwitz jest ośrodkiem zagłady. W przeciwieństwie do obozu cygańskiego (jedynego innego odcinka, gdzie rodzin nie rozdzielano) w „obozie rodzinnym” chłopcy i mężczyźni mieszkali w innych barakach niż dziewczęta i kobiety.

Ruth Elias \* [\*Wywiad dla BBC.] mieszkała w jednym z żeńskich baraków „oboju rodzinnego”. Dwukrotnie była świadkiem, jak esesmani wchodzili do baraku i wybierali

kobiety, które miały z nimi pójść: „Dziewczyny wracały z płaczem - zostały zgwałcone. Były w strasznym stanie”.

Fakt, że esesmani gwałcili w Auschwitz Żydówki, choć przerażający, nie wydaje się wcale takim zaskoczeniem, jeśli o tym pomyśleć. Esesmani mieli te kobiety pod swoją władzą i sądzili, że ich ostatecznym losem jest śmierć. Połączenie alkoholu i świadomości, że zbrodnia nie wyjdzie na jaw, pomagało przezwyciężyć ideologiczne skrupuły. To, że zbrodniom tym nie poświęcono zbyt wiele uwagi w konwencjonalnej literaturze na temat obozu oświęcimskiego, również nie jest zaskoczeniem. Jest to niezwykle delikatny temat i ofiary esesmanów mają prawo zachować milczenie. Jak dawno zauważyli kryminolodzy, wiele gwałtów nie zostaje zgłoszonych policji.

Ale nawet jeśli wiedza o gwałtach popełnianych przez esesmanów na więźniarkach w obozie Auschwitz pasuje do wzorca zachowań wielu żołnierzy wobec „wrogich” kobiet, naszym oczekiwaniom zupełnie nie odpowiada fakt, że przynajmniej jeden z esesmanów zakochał się w Żydówce pracującej w obozie. W rzeczy samej, romans Heleny Citrónovej [\*Zob. też zeznania Konrada Morgena we Frankfurcie nad Menem, 8/03/1962, oraz zeznania Konrada Morgena w czasie procesu oświęcimskiego we Frankfurcie [w:] Hermann Langbein, „Der Auschwitz-Prozess: eine Dokumentation”, Frankfurt/Main: Neue Kritik 1995, s. 143-145.] i Franza Wunscha jest jedną z najniezwyklejszych historii w dziejach obozu. Helena przybyła do Auschwitz w marcu 1942 roku razem z jednym z pierwszych transportów ze Słowacji. Jej pierwsze doświadczenia w obozie nie odbiegały od normy - cierpiała głód, znęcano się nad nią fizycznie. Podczas pierwszych miesięcy była w komandzie pracującym przy rozbiórce budynków i przenoszeniu gruzów. Spała na zawoszonym sienniku i z przerażeniem patrzyła, jak inne kobiety tracą nadzieję i zaczynają umierać. Jedną z jej najbliższych przyjaciółek umarła pierwsza. „Rozejrzała się” i powiedziała: „Nie chcę żyć ani minuty dłużej”. Zaczęła histerycznie krzyczeć, została zabrana przez esesmanów i zamordowana.

Helena zdała sobie sprawę - podobnie jak jej towarzyszki - że jeśli chce przetrwać, musi znaleźć pracę w komandzie, gdzie praca jest mniej wycieńczająca. Inna Słowaczka, jej znajoma, pracowała już w „Kanadzie” i dała jej radę - jeśli jest gotowa włożyć białą chustkę i sukienkę w paski, które nosiła zmarła niedawno pracownica „Kanady”, to może przyłączyć się do nich i przyjść następnego dnia do pracy w baraku, gdzie sortowano ubrania. Helena dokładnie tak postąpiła, jej kapo jednak zauważyła „infiltrację” i nakazała Słowaczce wracać do obozu, gdzie miała zostać przeniesiona do karnego komanda. Helena wiedziała, że było to

równoznaczne z wyrokiem śmierci, „ale nie przejmowałam się, myśląc: «Cóż, przynajmniej jeden dzień pod dachem»,».

Zupełnie przypadkowo pierwszy (i jak wszystko na to wskazywało ostatni) dzień pracy Heleny w „Kanadzie” przypadł w urodziny jednego z oficerów SS, którzy nadzorowali pracę w baraku - Franza Wunscha. „W czasie przerwy obiadowej - opowiada Helena - [kapo] zapytała, kto umie ładnie śpiewać i recytować, ponieważ dziś są urodziny jednego z esesmanów. Jedna dziewczyna - Olga - była z Grecji i powiedziała, że umie tańczyć i może zatańczyć na jednym z wielkich stołów do składania ubrań. A ja miałam piękny głos. Kapo więc spytała: «Czy to prawda, że umiesz śpiewać po niemiecku?», a ja odrzekłam, że nie, bo nie chciałam tam śpiewać. Ale zmusiły mnie. Zaśpiewałam więc dla Wunscha ze spuszczonymi oczami - nie mogłam patrzeć na jego mundur. Śpiewając, płakałam i nagle, kiedy skończyłam, usłyszałam, jak mówi: *Bitte*. Cicho poprosił mnie, żebym zaśpiewała jeszcze raz [...]. A dziewczyny zaczęły mówić: «Śpiewaj, śpiewaj - może pozwoli ci tutaj zostać». Więc zaśpiewałam jeszcze raz - była to piosenka po niemiecku, której się nauczyłam [w szkole]. Właśnie w ten sposób mnie zauważył i prawdopodobnie wtedy również zakochał się we mnie - to mi uratowało życie, śpiewanie”.

Wunsch poprosił kapo o dopilnowanie, żeby dziewczyna, która tak pięknie dla niego śpiewała, wróciła następnego dnia do pracy w „Kanadzie”, tym samym uratował życie Helenie. Helena uniknęła karnego komanda i na stałe zaczęła pracować w „Kanadzie”. Ale chociaż Wunsch był jej przychylny od pierwszego spotkania, Helena na początku „nienawidziła” go. Wiedziała, że potrafi być brutalny - słyszała od innych więźniarek plotki, że zabił więźnia zamieszanego w szmugiel. Przez następne tygodnie i miesiące widziała jednak, że Wunsch traktuje ją z wielką dobrocią. Kiedy wyjechał z obozu na przepustkę, przysyłał jej w paczkach „ciasteczka”, dostarczane przez „pipli” - chłopców będących służącymi kapo (oraz często świadczących im również usługi seksualne). Po powrocie Wunsch posunął się jeszcze dalej - zaczął wysyłać jej liściki. „Kiedy przychodził do baraku, w którym pracowałam, mijając mnie, rzucił mi gryps, który miałam zniszczyć po przeczytaniu, ale zobaczyłam na nim słowa: «Kochanie - zakochałem się w tobie». Czułam się strasznie. Wołałam już umrzeć, niż być z esesmanem”.

Wunsch miał swoje własne biuro w „Kanadzie” i starał się pod różnymi pretekstami sprowadzać do niego Helenę. Kiedyś kazał sobie zrobić manikiur. „Byliśmy sami - opowiada Helena - kiedy powiedział: «Obetnij mi paznokcie, żebym mógł popatrzeć na ciebie przez chwilę». Odpowiedziałam: «Nie ma mowy - słyszałam, że zabiłeś kogoś, jakiegoś chłopca, przy ogrodzeniu». Zawsze powtarzał, że to nieprawda [...]. Powiedziałam: «Nie wzywaj mnie

do tego pokoju... ani na manikiur, na nic. Nie robię manikiuru». Odwróciłam się i powiedziałam jeszcze: «Wychodzę, nie mogę więcej na ciebie patrzeć». Wtedy zaczął na mnie krzyczeć, znów stał się esesmanem: «Jeśli wyjdiesz tymi drzwiami, to nie pożyjesz długo!». Wyjął pistolet i zaczął mi nim grozić. Odpowiedziałam więc: «Zastrzel mnie! Strzelaj! Wolę śmierć niż tę podwójną grę!». A on oczywiście mnie nie zastrzelił, kiedy wyszłam”.

Z czasem jednak Helena doszła do wniosku, że - choć na początku wydawało się jej to niewiarygodne - mogła na Wunsch polegać. Jego miłość dawała jej „poczucie bezpieczeństwa. Myślałam: «On nie pozwoli, żeby cokolwiek mi się stało»,. Uczucie to jeszcze wzrosło, kiedy pewnego dnia Helena dowiedziała się od innej Słowaczki, że jej siostrę, Różinkę, widziano z dwojgiem dzieci w obozie i że zabierają ich do krematorium. Kiedy Helena usłyszała te druzgocące wieści, była już po pracy, siedziała w baraku w Brzezince. Mimo zakazu opuszczania baraków pobiegła w kierunku pobliskiego krematorium. W tym samym czasie Wunsch dowiedział się, co robi Helena, i pobiegł za nią. Kiedy złapał ją w pobliżu krematorium, krzyknął najpierw do innego esesmana, że była „świąteczną pracownicą w magazynie”. Potem przewrócił ją na ziemię i zaczął bić za naruszenie zakazu, tak żeby obserwujący całą scenę drugi esesman nie domyślił się, że coś ich łączy. Wunschowi już powiedziano, że Helena pobiegła do krematorium, bo zabrano tam jej siostrę, więc zapytał: „Szybko, powiedz mi, jak się nazywa siostra, zanim będzie za późno”. Helena powiedziała: „Różinka” oraz że z siostrą jest jej dwoje dzieci. „Dzieci tutaj nie przeżyją!” - odrzekł Wunsch i pobiegł do krematorium.

Udało mu się odnaleźć Różinkę w krematorium i wydostać ją stamtąd jako jedną z jego robotnic. Dzieci zginęły jednak w komorze gazowej. Wunsch spowodował później, że Różinka mogła pracować razem z Heleną w „Kanadzie”. „Moja siostra nie mogła zrozumieć, gdzie się znalazła - opowiada Helena. - Powiedziano jej, że będzie pracować, a dzieci trafią do przedszkola - takie same historyjki wciskano również nam. Spytała: «Gdzie są dzieci?». Odpowiedziałam: «Za tamtymi budynkami jest dom dziecka». Spytała więc: «Czy mogę je odwiedzić?». A ja odrzekłam: «Tylko w niektóre dni»,.

Inne pracujące w „Kanadzie” kobiety zauważyły, jak trudne było dla Heleny odpowiadanie siostrze, która ciągle pytała o dzieci. Rzekły więc pewnego dnia Różince: „Daj jej spokój! Dzieci nie ma i już. Widzisz ten ogień? Tam palą dzieci!”. Różinka doznała wstrząsu. Popadła w apatię i „nie chciała żyć”. Tylko dzięki ciągłej opiece Heleny przeżyła następne miesiące.



Mimo że straszliwa wiadomość o śmierci dzieci była dla Różinki emocjonalnym ciosem, ona sama wciąż przecież żyła. Chroniona przez siostrę, przetrwała nawet wojnę. Inne kobiety z „Kanady” przypatrywały się siostrze z mieszanymi uczuciami. „Moja siostra żyła, a ich siostry nie - wspomina Helena. - Nie mogłam zaprzeczyć, że moja siostra trafiła do obozu, a on [Wunsch] uratował jej życie. Dlaczego taki cud nie przytrafił się im? Traciły cały swój świat - braci, rodziców, siostry. Nawet te, które cieszyły się ze mną, nie robiły tego zbyt mocno. Nie mogłam się z nimi podzielić swoimi uczuciami. Bałam się ich. Wszystkie były zazdrosne - zazdrościły mi. Jedna z nich - bardzo piękna kobieta - powiedziała mi: «Gdyby Wunsch był tutaj przed twoim przybyciem, zakochałby się we mnie»,».

Głównie dzięki temu, że Wunsch uratował jej siostrę, uczucia Heleny wobec niego zmieniły się radykalnie. „W końcu, z biegiem czasu, naprawdę zaczęłam go kochać. Narażał [dla mnie] życie nie raz”. Związek ten nie został skonsumowany, w przeciwieństwie do wielu innych pomiędzy mężczyznami i kobietami w obozie. „Żydowskie więźniowie zakochiwali się w różnych kobietach, z którymi pracowali. Pary znikwały co jakiś czas w baraku służącym do składania odzieży i kochały się tam. Prosił kogoś, żeby pilnował, czy nie zbliża się esesman, i ostrzegł ich. Ale ja nie mogłam, bo on [Wunsch] był esesmanem”. Na ich związek składały się spojrzenia, pośpieszne rozmowy, naprędce napisane grypsy. „Rozglądał się na prawo i lewo i jeśli nikt nas nie słyszał, mówił: «Kocham cię». Dzięki temu czułam się w tym piekle lepiej. Dodawało mi to otuchy. To było wyznanie szalonej miłości, która nie mogła się spełnić. W obozie nie można było zrealizować żadnych planów. To było nierealne. Ale chwilami zapomniałam, że jestem Żydówką, a on nie. Naprawdę go kochałam. Ale nic by z tego nie wyszło. Różne rzeczy się tam przydarzały, miłość i śmierć - zazwyczaj śmierć”. Ponieważ „całe Auschwitz” już wiedziało o ich uczuciu, w końcu stało się nieuniknione i ktoś na nich doniósł. Nikt nie wie, czy był to któryś z więźniów, czy esesman. Ale, jak powiedziała Helena, „ktoś zakapował”.

Pewnego dnia, kiedy Helena wracała do obozu po pracy, jedna z kapo rozkazała jej wyjść przed szereg. Zabrano ją do karnego bunkra w bloku 11. „Każdego dnia wyprowadzali mnie stamtąd i grozili, że jeśli nie powiem im, co było między mną a tym esesmanem, to zaraz mnie zabiją. Stałam i powtarzałam, że nic między nami nie było”. Wunsch również został wtedy aresztowany i tak jak Helena w czasie przesłuchań zaprzeczał istnieniu jakiegokolwiek związku między nimi. Oboje zostali więc w końcu uwolnieni po pięciu dniach. Helena została dodatkowo „ukarana” samotną pracą w osobnym pomieszczeniu „Kanady”, z dala od innych kobiet, a Wunsch był od tego momentu bardziej ostrożny w

kontaktach ze swoją ukochaną. Mimo to, jak zobaczymy w rozdziale szóstym, chronił Helenę i jej siostrę aż do końca istnienia obozu.

Historia związku Heleny i Wunscha ma bardzo głębokie znaczenie. Opowieści o prymitywnych emocjach i brutalnych zachowaniach, do jakich zdolny jest człowiek - morderstwo, gwałt, kradzież, zdrada - są bowiem powszechne w dziejach obozu. O ile rzadziej przydarza się tam miłość. Fakt, że miłość mogła zakwitnąć w takich warunkach, i to pomiędzy Żydówką a strażnikiem z SS znanym ze swej brutalności, jest naprawdę ogromnym zaskoczeniem. Jak wiele innych wydarzeń w historii Auschwitz, gdyby na kanwie tego romansu stworzyć powieść, nikt nie uznałby jej za wiarygodną.

Warto również zauważyć, że to okoliczności pozwoliły temu uczuciu rozkwitnąć. Trudno uwierzyć, że Wunsch zakochałby się w Helenie, gdyby ta dalej pracowała w komandzie wyburzającym domy. Nie byłoby wtedy okazji do nawiązania bliższych kontaktów ani możliwości roztoczenia później nad Heleną ochrony. Poza tym, co również jest ważne, Helena nie miałaby szansy oczarowania go w dniu jego urodzin zaśpiewaną przez siebie piosenką po niemiecku. W „Kanadzie” istniały natomiast nie tylko możliwości kontaktów pomiędzy esesmanami i Żydówkami, ale również warunki do rozwinięcia się długotrwałego związku. Nie dziwi więc, że spośród pracujących w „Kanadzie” kobiet stosunkowo najwięcej przetrwało do wyzwolenia obozu.

Związek Wunscha i Heleny jest również dowodem na to, jak bardzo rzeczywistość obozu Auschwitz odbiegła od oczekiwań Himmlera. W jego oczach poczynania Wunscha byłyby częścią ogólnego „zepsucia” szerzącego się w obozie. Przybycie jesienią 1943 roku SS-Obersturmführera Konrada Morgena do Oświęcimia miało na celu „uzdrowienie” sytuacji w obozie przez kierownictwo SS. Pobyt Morgena miał mieć dramatyczne konsekwencje, ponieważ nie był on zwykłym oficerem SS, tylko sędzią pozostającym w rezerwie SS oraz sędzią śledczym w państwowej policji kryminalnej. Został on wysłany do Oświęcimia w ramach skoordynowanej akcji dowództwa SS, mającej na celu wyjaśnienie przypadków korupcji w obozach - co oczywiście przeczyło bogobojnym zapewnieniom Himmlera ze słynnej mowy wygłoszonej w Poznaniu, że „nic nie wzięliśmy dla siebie”.

Oskar Groening i jego towarzysze dobrze zdawali sobie sprawę z powodów, dla których Morgen przybył do obozu. „Wydaje mi się, że wszechogarniająca korupcja stała się tak oczywista, że powiedzieli: «Musimy położyć temu kres - powstrzymać falę korupcji». Dzień przybycia Morgena do koszar podoficerów w Brzezince okazał się zupełnym zaskoczeniem. Kiedy Groening wrócił z wyjazdu do Berlina, okazało się, że „dwóch moich kolegów siedzi w więzieniu. W szafce jednego z nich znaleźli pióra wieczne i puszkę

sardynek, a w szafce drugiego znaleźli nie wiem co, ale później ten kolega się powiesił. A moja szafka została zaplombowana”.

Morgen i jego współpracownicy nie otworzyli jeszcze szafki Groeninga, ponieważ zależało im na przeprowadzeniu rewizji w obecności właściciela. Drzwiczki szafki zostały zaplombowane i ich otwarcia nie dałoby się ukryć - ale Morgen nie docenił pomysłowości Groeninga i jego kolegów. „Przesunęliśmy szafkę i wyjęliśmy tylną ściankę - to było łatwe, bo wykonano ją ze sklejki - wyjęliśmy ze środka podejrzaną pastę do zębów i szczoteczkę, które nie należały do mnie, i przymocowaliśmy tylną ścianę z powrotem gwoździami. Potem poszedłem do gestapo i powiedziałem: «Przepraszam, co panowie wyrabiają? Nie mogę dostać się do swojej szafki». «W porządku - odpowiedzieli - musimy tylko ją sprawdzić\*. Potem przyszli, zdjęli trzy plomby, otworzyli szafkę i nic w niej nie znaleźli, jeden z nich poklepał mnie po ramieniu i powiedział: «W porządku - możecie odejść»,».

Groeningowi udało się uniknąć kary, ale Morgen znalazł wiele dowodów na korupcję wśród innych członków załogi obozu, które mogły prowadzić do tylko jednego wniosku - korupcja i zepsucie w Auschwitz były powszechne. „Zachowanie kadry SS nie spełniało żadnych wymagań stawianych żołnierzom - miał potem zeznać Morgen. - Robili wrażenie zdemoralizowanych i brutalnych pasożytów. W czasie rewizji szafek znaleziono całą fortunę złożoną ze złota, pereł, pierścionków oraz pieniędzy w różnych walutach. Jedna lub dwie szafki zawierały nawet genitalia świeżo zabitych byków, które jakoby zwiększają potencję seksualną. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem” \* [\*Zob. też protokół przesłuchania Eleonore Hodys przez Konrada Morgena, jesień 1944, IfZ ZS 599.].

Być może najbardziej niepokojące dla przywódców SS były nie tyle odkryte przez Morgena dowody nadużyć finansowych, ile świadectwa wykroczeń seksualnych. Prawdopodobnie najbardziej szokujący był fakt, że sam komendant, Rudolf Höss, był w nie zamieszany. Morgen był na pewno wytrwałym detektywem i zbierał dowody przeciw Hössowi przez ponad rok. Udało mu się w końcu dotrzeć do kluczowego świadka, byłej więźniarki obozu, Eleonore Hodys, przebywającej w szpitalu więziennym w Monachium, w październiku 1944 roku.

Hodys uwięziono w Auschwitz jako więźniarkę polityczną. Przyjechała do obozu jednym z pierwszych transportów kobiet w marcu 1942 roku. Zaklasyfikowana jako *Reichsdeutsche* [obywatelka Rzeszy] od razu znalazła się w uprzywilejowanej pozycji i przydzielono ją do pracy w charakterze służącej w domu Hössa. W maju 1942 roku, podczas nieobecności żony, Höss zaczął zalecać się do Hodys i próbował ją pocałować. Przestraszona, uciekła i ukryła się w ubikacji. Potem zeznała, że kilka tygodni później - kiedy Höss

przebywał w szpitalu po wypadku jeżdżącym - została wezwana do domu komendanta i zwolniona z pracy przez panią Höss. Jest bardzo prawdopodobne, że żona komendanta podejrzewała istnienie związku pomiędzy Hössem i służącą. Następnie Hodys została uwięziona - nie w bloku 11, ale w specjalnym więzieniu w piwnicach bloku administracyjnego, przeznaczonym dla esesmanów podejrzanych o poważne wykroczenia. Przetrzymanie tam więźniarki obozu było czymś niezwykłym. Ale Hodys nie była zwykłą więźniarką Auschwitz i nie bez powodu umieszczono ją w więzieniu SS.

„Pewnej nocy - zeznała Hodys Morgenowi - spałam już, kiedy on [Höss] stanął w drzwiach mojej celi. Usłyszałam, że mówi coś jakby «Cicho!», a potem zapaliła się latarka i zobaczyłam twarz komendanta. Usiadł na brzegu łóżka, zaczął przysuwać się coraz bliżej i próbował mnie pocałować. Kiedy się opierałam, chciał się dowiedzieć, dlaczego jestem taka spięta. «Bo jest komendantem i żonatym mężczyzną\* - odpowiedziałam. W końcu wyszedł» \* [\*Dalsze szczegóły na temat śledztwa Morgena i usunięcia Hössa oraz jego domniemanego romansu [w:] Jerzy Rawicz, „Dzień powszedni ludobójcy”, Czytelnik, Warszawa 1973.]. Po dalszych przesłuchaniach Hodys zeznała Morgenowi, że Höss wracał do jej celi przez kilka następnych nocy i „w końcu doszło między nami do stosunku”. Aby uniknąć spotkania ze strażnikami SS, Höss nie wchodził do więzienia zwykłą drogą - prosto ze swojego biura na górze - ale przez ogród i schron przeciwlotniczy, który przylegał do piwnic. Znalazłszy tajną drogę do celi Hodys i zmusiwszy ją do uległości, Höss odbywał z nią stosunki w ciągu kilku następnych nocy. Hodys pamięta nawet, jak pewnego razu nagi komendant obozu leżał z nią w łóżku, kiedy ogłoszono alarm, co zmusiło go do schowania się w rogu celi.

Po kilku tygodniach pobytu w więzieniu SS przeniesiono ją do bloku 11. Jej położenie zmieniło się jednak - była teraz w ciąży. Zeznała, że Höss - aby chronić siebie - nakazał jej podpisać oświadczenie, że spała z jednym z więźniów obozu. Podczas kilku miesięcy spędzonych w bloku 11 Hodys bezskutecznie próbowała dokonać aborcji. Zwolniona do obozu kobiecego w Brzezince, zdołała, jak mówi, znaleźć w końcu „coś”, co pozwoliło pozbyć się płodu.

Trudno ocenić wiarygodność zeznań Hodys na temat jej związku z Hössem. Po pierwsze, nikt inny nie mógł potwierdzić tego, co mówiła. Morgen jednak chyba jej uwierzył, a był przecież doświadczonego prawnikiem. Ponadto Hodys nie mogła nic zyskać, wymyślając romans z Hössem, ponieważ kiedy przesłuchiwał ją Morgen, nie była już więźniarką Auschwitz. Do tego dochodzą jeszcze sprzeczne zeznania Hössa na temat jego małżeństwa. W czasie przesłuchań w Norymberdze wyznał amerykańskiemu oficerowi, doktorowi Gilbertowi, że Höss i jego żona rzadko się kochali po tym, jak ona odkryła, na

czym polegają jego obowiązki w obozie. W swoich wspomnieniach z zachwytem opisuje jednak swoje małżeństwo, nazywając swoją żonę „kobietą, o której zawsze marzył”.

Nic nie wynikło ze śledztwa Morgena na temat domniemanego romansu Hössa z Hodys. Kiedy doszło do przesłuchania w październiku 1944 roku, w obliczu zwycięstw Armii Czerwonej było oczywiste, że obóz oświęcimski wkrótce przestanie istnieć i że całe hitlerowskie państwo chyli się ku upadkowi. Mimo to pierwsze rewelacje Morgena na temat korupcji w obozie już przyniosły efekty. Nie tylko poszczególnych esesmanów pociągnięto do odpowiedzialności za nadużycia, ale - co było jednym z najbardziej absurdalnych aspektów historii Auschwitz - człowieka odpowiedzialnego za terror w bloku 11, Maximiliana Grabnera, oskarżono o dokonywanie egzekucji na więźniach bez służbowego „zezwolenia” z Berlina. Wydaje się śmieszne, że Morgen zarzucił to Grabnerowi, podczas gdy w Brzezince mordowano ludzi w krematoriach, ale prawdopodobnie uznano, że masowe uśmiercanie ludzi odbywa się za „zezwoleniem” zwierzchników. Ostatecznie jednak Grabner trafił przed sąd, gdzie bronił się, twierdząc, że otrzymał od Hössa rozkaz „oczyszczenia” bloku 11 przez rozstrzelanie więźniów. Höss, przypuszczalnie korzystając z protekcji hitlerowskich przywódców, w ogóle uniknął sądu. Grabner jednak nie miał protektorów i stanął przed sądem SS, który w końcu umorzył sprawę. Później jeszcze raz stanął przed trybunałem aliantów i został skazany na śmierć - nie za łamanie przepisów SS, ale za zbrodnie wojenne.

Trudno wyjaśnić skomplikowane powody, dla których doszło do śledztwa Morgena. Wszyscy trzej główni świadkowie, którzy zeznawali w tej sprawie - Höss, Grabner i sam Morgen - starali się przedstawić po wojnie własną wersję tego epizodu. Grabner dowodził, że jego działania odbywały się za pełną zgodą Hössa; Morgen przedstawiał siebie jako rycerza na krucjacie prawdy; a Höss twierdził, że choć brał czynny udział w eksterminacji Żydów w obozie oświęcimskim, to zgodnie z życzeniem Himmlera „nic nie wziął dla siebie”. Pewne wydaje się jednak, że skutki śledztwa Morgena wynikały z wewnętrznych, politycznych rozgrywek w łonie SS, przy czym najważniejszą konsekwencją było usunięcie Hössa ze stanowiska komendanta obozu jesienią 1943 roku. Dymisja Hössa została zakamuflowana jako „awans” na wyższe stanowisko w administracji obozów koncentracyjnych w Berlinie, ale było jasne, że został przeniesiony wbrew swojej woli. Nie tylko pozostawił on rodzinę w domu w Oświęcimiu, ale próbował zachować komendanturę, prosząc Martina Bormanna [potężnego sekretarza Hitlera] o wstawiennictwo u Himmlera. Prośby te znaleziono w listach Bormanna do Himmlera, ale ten pozostał nieugięty: Höss miał zostać usunięty z obozu \*

[\*Informacje te pochodzą z pionierskich badań do pracy doktorskiej na ten temat, pisanej przez Roberta Sommera.]

Jedną z ostatnich inicjatyw Hössa na stanowisku komendanta wydaje się jedną z najdziwniejszych - utworzenie instytucji zupełnie nieprzystającej do dotychczasowej historii obozu: domu publicznego. Położenie tej przeznaczonej dla wybranych więźniów instytucji było bardzo prestiżowe - blok 24, tuż obok głównej bramy obozu macierzystego, tej z napisem *Arbeit macht frei*. Obóz w Oświęcimiu nie był jednak jedynym, w którym istniał dom publiczny - był tak naprawdę piątym obozem koncentracyjnym w hitlerowskim państwie, gdzie oferowano taką „usługę”. Himmler doszedł do wniosku, że zakładanie domów publicznych w obozach zwiększy wydajność pracy więźniów (z wyjątkiem Żydów), których będzie się w ten sposób zachęcać do cięższej pracy. Nakazał założenie domów publicznych w obozach Mauthausen i Gusen w Austrii, po przeprowadzeniu tam inspekcji w maju 1941 roku (otworzono je w końcu w lecie 1942). Następnie, w marcu 1943, odwiedził Buchenwald i zażądał, by otworzono kolejny dom publiczny tam i w innych obozach. Jego wierny sługa Oswald Pohl wydał odpowiednie rozkazy komendantom obozów koncentracyjnych w maju 1943 roku \* [\*Wywiad dla BBC.]

Józef Paczyński \* [\*Wywiad dla BBC.], jeden z polskich więźniów politycznych mieszkających w bloku 24 w lecie 1943 roku, śmiał się, kiedy po raz pierwszy usłyszał o założeniu domu publicznego. Okazało się jednak, że nie był to żart. On i inni więźniowie zostali usunięci z bloku 24, a po kilku dniach zobaczył „brygadę cieśli i murarzy”, która zaczęła budować ścianki działowe w koszarowej sali na parterze: „Potem zaczęli malować je na eleganckie kolory, wnieśli łóżka, a nawet zawiesili zasłonki. Pewnego dnia, wracając z pracy, zauważyliśmy za tymi zasłonkami twarze kobiet. Nie wolno im jednak było podchodzić do okien, a nam tak naprawdę nie wolno było patrzeć”.

Kilka dni później oficjalnie otwarto „dom uciech”. Paczyński poszedł tam: „Ponieważ byłem starym więźniem, a mój kapo dostał dwa bilety [do burdelu], dał mi jeden. Umyłem się, ładnie ubrałem i poszedłem z nim”. Okazało się, że przed wejściem do zarządzanego z wojskową precyzją przybytku klienci muszą przejść przez badanie lekarskie. Jeśli lekarz SS uznał, że klient nie ma choroby wenerycznej, dostawał pieczętkę na dłoni i udawał się do innego pokoju na parterze bloku 24. Tam brał udział w „losowaniu”, które decydowało, kto uda się do którego pokoju na górze (a więc i do której prostytutki) i w jakiej kolejności. Paczyński pamięta, że był „drugi do pokoju numer dziewięć”. Co piętnaście minut rozlegał się dzwonek, oznaczający, że prostytutki mają zmienić klientów. Paczyński tak się spieszył do pokoju numer dziewięć, że dotarł tam za wcześnie i natrafił na poprzedniego klienta, który nie

zdażył jeszcze włożyć spodni. Niestety - ze swojego punktu widzenia - Paczyński „nie stanął na wysokości zadania” i siedząc na łóżku, spędził piętnaście minut, rozmawiając z „elegancką i przystojną dziewczyną”.

Inny więzień, Ryszard Dacko \* [\*Wywiad dla BBC. Zob. też Thomas Toivi Blatt, „From the Ashes of Sobibor”, Northwestern University Press 1997.], również miał okazję doświadczyć „przyjemności” domu publicznego. W 1943 roku miał 25 lat i był strażakiem w obozie macierzystym - była to świetna praca, ponieważ strażakom wolno było stosunkowo swobodnie poruszać się po obozie i „organizować” potrzebne im rzeczy. W rezultacie członkowie obozowej straży pożarnej otrzymali pewną liczbę biletów do domu publicznego i Dacko skorzystał z nadarzającej się okazji. Trafił do dziewczyny imieniem Alenka. „Ja myślałem, żeby jak najwięcej się przytulić do niej, bo to było przecież trzy i pół roku, jak mnie aresztowali. To byłem trzy i pół roku bez kobiety”. Alenka, według Dacko, była „bardzo ładną dziewczyną - niczego się nie wstydziła. Dawała, co się chciało”. Wprowadzono również wizualny nadzór nad więźniami w domu publicznym, by upewnić się, że nie dochodzi do „perwersyjnych” aktów seksualnych (według Józefa Paczyńskiego więźniom wolno było odbywać stosunki jedynie w pozycji misjonarskiej), oraz by nie dopuścić do bliższych związków pomiędzy klientami i prostytutkami (w innych domach publicznych w obozach koncentracyjnych więźniom nie wolno było nawet rozmawiać z kobietami).

Pokoje, w których dochodziło do zbliżeń, wciąż istnieją - przechowuje się w nich archiwalne dokumenty. Uderzającą ich cechą są duże judasze znajdujące się we wszystkich drzwiach. „[Esesmani] chcieli utrzymać porządek - opowiada Ryszard Dacko - na przykład na wypadek, gdyby jakiś więzień chciał udusić jedną z dziewczyn albo coś w tym rodzaju. Zaglądali więc co jakiś czas przez judasze. To była [też] po prostu męska chęć podglądania. Większość mężczyzn lubi patrzeć, gdy ktoś się kocha”.

Ale esesmani nie nadzorowali domu publicznego zbyt dokładnie we wczesnych godzinach rannych, co doprowadziło do jeszcze gorszego stanu rzeczy. Dacko wspomina, że jednemu z więźniów udało się dorobić klucz, dzięki czemu mógł odwiedzać w nocy swoją ulubioną dziewczynę. Problem w tym, że inni więźniowie też wpadli na ten pomysł i w korytarzu na pierwszym piętrze zaczęło dochodzić do bójek.

Fakt, że więźniowie Auschwitz bili się między sobą w prowadzonym przez esesmanów burdelu, z początku wydaje się niewytłumaczalny. Jest to jednak jeszcze jedna historia, dowodząca istnienia skomplikowanej hierarchii więźniów, która ustaliła się w obozie. Jak podkreśla Paczyński, niewyobrażalny był pomysł, aby dopuścić do domu

publicznego Żydów. Byli oni uważani za niższą klasę więźniów, poddawanych męczarniom, których nie doświadczali Polacy i nieżydowscy Niemcy.

Hitlerowcy rozumieli, że o sprawnym funkcjonowaniu obozu decydowała między innymi postawa więźniów, którzy wykonywali w obozie pracę na uprzywilejowanych stanowiskach. Więźniowie ci nie byli zazwyczaj poddawani bezwzględnym i regularnym selekcjom tak jak inni. Niemcy potrzebowali jednak lepszego sposobu na motywowanie ich do pracy. Dom publiczny, do którego dostęp dawały bilety wydawane przez hitlerowców, był nagrodą za dobre zachowanie dla około stu najważniejszych więźniów oraz zachętą do jeszcze lepszej pracy w przyszłości. Innym możliwym powodem założenia domu publicznego, co potwierdza Józef Paczyński, były rozpowszechnione w obozie związki homoseksualne. Pamięta, że pewna liczba „prominentnych” więźniów wybierała dorastających chłopców jako swoich osobistych służących, a następnie wchodziła z nimi w związki homoseksualne. Uważa więc, że dom publiczny powstał, ponieważ „hitlerowcy chcieli wyeliminować takie homoseksualne zachowania”.

Cała kwestia domu publicznego w Auschwitz jest, oczywiście, bardzo delikatna. Jednym z najbardziej drażliwych aspektów jest postawa więźniów, którzy do niego chodzili. Większość ich wydaje się nie przejmować moralną stroną całego zagadnienia. Duża część kobiet, które tam pracowały, została wybrana spośród więźniarek Brzezinki (natomiast do wszystkich innych obozów wysyłano w tym celu kobiety z Ravensbrück) i zmuszano je do odbywania stosunków z sześcioma mężczyznami każdego dnia. Ich los jest jedną z ukrytych kart pełnej cierpienia historii obozu i w pewien sposób bywa porównywany do męczarni koreańskich „kobiet pocieszenia”, które wykorzystywali seksualnie żołnierze japońskiej armii. W obozie oświęcimskim kobiety pracujące w domu publicznym nie wzbudzały jednak litości, tylko zazdrość. „Dziewczyny były bardzo dobrze traktowane - opowiada Ryszard Dacko - i jedzenie mieli dobre, i spacerowały, i no - było luksusowo, tylko musieli odpracować swoje”.

Istnienie domu publicznego w obozie oświęcimskim jest źródłem jeszcze jednej kontrowersji. Osoby zaprzeczające rzeczywistości Holokaustu i inni obrońcy hitlerowców wykorzystują fakt jego istnienia jako dowód, że obóz był innym miejscem niż to, które opisują historycy. Szczególnie drażliwe są dodatkowo nawiązania do tak zwanego basenu w obozie macierzystym Auschwitz I. W rzeczywistości był to przeciwpożarowy zbiornik wody, nad którym strażacy zbudowali prowizoryczną trampolinę, ale wybrani więźniowie na pewno mogli się w nim kąpać. „Dla strażaków był w Auschwitz basen - potwierdza Ryszard Dacko. - Mogłem się nawet w nim kąpać”. Basen ten stał się kluczowym argumentem dla osób



zaprzeczających rzeczywistości Holokaustu. „Czy to ma być obóz śmierci? - pytają. - Z basenem kąpielowym dla więźniów? Bez żartów!”. W rzeczywistości jednak istnienie basenu wpasowuje się w ten sam schemat co dom publiczny. Zamiast udowodniać, że Auschwitz-Birkenau nie było obozem śmierci - co do tego nie ma wątpliwości - obecność tych dwóch obiektów jeszcze raz pokazuje, jak skomplikowana była struktura różnych obozów, które zbiorowo określa się mianem „Auschwitz”.

Różnorodne i liczne struktury organizacyjne oraz wielość podobozów leżących w „obozowej strefie interesów” umożliwia osobom zaprzeczającym rzeczywistości Holokaustu wytykanie tak zwanych anomalii, których przykładem jest dom publiczny i „basen”. Środowisko obozu było szalenie różnorodne - od „basenu” i domu publicznego po krematoria i mordy na dzieciach. To właśnie ta różnorodność organizacji obozu oświęcimskiego przypadła Himmlerowi do gustu w 1943 roku, a dziś jest powodem zainteresowania Oświęcimiem osób kwestionujących Holokaust.

Podczas gdy obóz Auschwitz-Birkenau rósł i rozwijał się w 1943 roku, ośrodki zagłady działające w ramach Akcji Reinhard traciły na znaczeniu. Jesienią 1943 roku w obozie sobiborskim doszło do aktu oporu \* [\*Do masowej ucieczki z Sobiboru doszło 14 października 1943 roku. Nieco wcześniej, 2 sierpnia 1943 roku, zaatakowano stanowiska niemieckiej straży obozowej i nastąpiła masowa ucieczka więźniów żydowskich z ośrodka zagłady w Treblince. Wyzwolenia doczekało około 60 byłych więźniów (przyp. A.Ż.), który potwierdził tylko przekonanie Himmlera, że przyszłość hitlerowskiej eksterminacji Żydów leży w Oświęcimiu. Co ważne, opór w Sobiborze był możliwy tylko dzięki panującej wśród załogi tego obozu korupcji. Od momentu założenia, w maju 1942 roku, do września 1943, około 250 000 Żydów - większość pochodziła z Generalnego Gubernatorstwa - zostało uśmierconych w komorach gazowych tego obozu. Toivi Blatt był jednym z Żydów wywiezionych do Sobiboru z Izbicy, małego miasta we wschodniej Polsce. Historia o tym, jak wziął udział w buncie w obozie i przetrwał wojnę, jest przerażająca i budująca zarazem.

Przed wojną w jego rodzinnym mieście mieszkało około 3600 Żydów. Otwarcie antysemickie zachowania należały do rzadkości, szczególnie wobec dorastającego Toiviego. Jego ojciec walczył w szeregach wojska polskiego i został ranny, dzięki czemu rodzina Blattów była w mieście darzona pewnym szacunkiem. Po wkroczeniu Niemców Toivi jednak zauważył natychmiastową zmianę. „[Polska] Ludność zauważyła, że Żydzi są traktowani jak ludzie drugiej kategorii i można z nimi robić, co się chce [...]. W końcu zacząłem bardziej bać się swoich sąsiadów - chrześcijan - niż Niemców, bo ci drudzy nie mogli mnie rozpoznać [jako Żyda], a sąsiedzi - tak”.

Niemcy nie usunęli z Izbicy wszystkich Żydów jednocześnie, tylko w ciągu kilku lat przeprowadzili serię „akcji”. Zazwyczaj przyjeżdżali nad ranem i zabierali pewną liczbę Żydów - najpierw do obozów pracy, a później, od wiosny 1942 roku, prosto do komór gazowych w Sobiborze. Między jedną akcją a drugą Żydzi mogli czuć się w mieście stosunkowo swobodnie. W końcu jednak, w kwietniu 1943 roku, Niemcy przybyli po to, by oczyścić całe miasto z Żydów. Toivi, będący wtedy silnym i sprawnym fizycznie piętnastolatkiem, próbował przed nimi uciec. Biegąc ulicami miasteczka, zauważył dawnego kolegę ze szkoły, Janka Knapczyka, katolickiego Polaka. Toivi krzyknął: „Janek! Proszę cię, ratuj!” \* [\*Wywiad dla BBC.]. „Pewnie! - odpowiedział Janek. - Biegnij do stodoły za naszym domem”. Toivi pośpieszył więc do stodoły, ale okazało się, że jej drzwi są zamknięte na kłódkę. „Obszedłem więc stodołę i zobaczyła mnie pewna Polka, która zaczęła krzyczeć do mnie: «Uciekaj, Toivi, uciekaj! Janek idzie!». Skoro idzie Janek, to dlaczego mam uciekać? Otworzy mi stodołę. Ale dlaczego ona się tak boi? Wtedy odwróciłem się i zobaczyłem Janka z jakimś hitlerowcem - celował we mnie z karabinu. Janek mówił do niego: «To jest ten Żyd». Powiedziałem: «Janek, powiedz mu, że to tylko żart!». A on tylko na to: «To ten Żyd. Zabierajcie go». Janek pożegnał się potem ze mną w sposób, który trudno nawet dziś powtórzyć... powiedział: «Zegnaj, Toivi. Zobaczą cię na półce u mydlarza». To miało znaczyć, że będę wkrótce kawałkiem mydła. Tak się ze mną pożegnał - krążyły wtedy plotki, że Niemcy robią z ludzkich ciał mydło”. Patrząc z niedowierzaniem na przyjaciela, który go zdradził, Toivi był „przeżony, że to ostatni dzień mojego życia. Kiedy człowiek jest młody, ma piętnaście lat [...] patrzy na drzewa, kwiaty i chce żyć”.

Toivi został zabrany na rynek miasteczka, gdzie uzbrojeni strażnicy trzymali już kilkuset innych Żydów, w tym jego matkę, ojca i młodszego brata. Wiedzieli, że jadą na śmierć - od miesięcy krążyły plotki o miejscu zwanym Sobibór i o tym, co się tam dzieje. Mimo to nieco później, kiedy tego wiosennego popołudnia wsiadali do pociągów, wciąż mieli nadzieję. „Kiedy nic już nie ma, wszystko ci odebrano, pozostaje tylko nadzieja - nadzieja do samego końca [...]. W ciemnym wagonie ludzie mówili: «Niemcy wojskowi nas nie zabiją - zabiorą nas tylko do obozu koncentracyjnego»”. Ale kiedy pociąg minął rozgałęzienie, którym pociąg miał jechać do obozu pracy w Trawnikach, kierując się do miejsca znanego im jako Sobibór, głosy ludzi zaczęły mówić o oporze. „Usłyszałem głosy ludzi [mówiących]: «Brońmy się!». Inni mówili jak mój ojciec: «Nie, tak czy siak zginiemy»,,

Po kilku godzinach dotarli do Sobiboru - gdzie Toivi przeżył pierwszy wstrząs. „Wyobrażałem sobie, że skoro w Sobiborze pali się ludzi w piecach i gazuje, to musi tam wyglądać jak w piekle. A zobaczyłem całkiem ładne domy oraz willę komendanta,

pomalowaną na zielono, ogród, płótek. Po drugiej stronie był peron udający zwykłą stację kolejową, ale to było dla Żydów z Holandii, z Francji - nie wiedzieli, gdzie trafiają i co się z nimi zaraz stanie [...]. Ale my, polscy Żydzi, wiedzieliśmy”.

Bezpośrednio po opuszczeniu pociągów nowo przybyłych podzielono na dwie grupy - kobiety i dzieci oraz dorosłych mężczyzn. Piętnastoletni Toivi znajdował się na granicy tych dwóch grup, ale ponieważ był silny i dobrze zbudowany, trafił do mężczyzn. „Byłem przy matce, pożegnałem się z nią w sposób, który do dziś nappełnia mnie smutkiem - prawdopodobnie będzie tak aż do końca moich dni. Zamiast wziąć ją za rękę, tak jak czynili inni żegnający swoje żony i dzieci, powiedziałem jej: «Mamo, dlaczego powiedziałaś mi, żebym nie pił mleka, [tylko] zostawił je na następny dzień». Jakbym ją w jakiś sposób oskarżał. W każdym razie ona odparła: «Czy właśnie to masz mi teraz do powiedzenia?». Wcześniej, poprzedniego dnia, kiedy chciało mi się pić, zapytałem matkę: «Czy mogę napić się mleka?», a ona odpowiedziała: «Tak». A jak zacząłem je pić, to pewnie wypilem za dużo, bo powiedziała: «Toivi, zostaw je na jutro». Właśnie to przypomniałem matce, kiedy szła do komory gazowej”.

W obozach takich jak Sobibór, działających w ramach Akcji Reinhard, w zasadzie nie przeprowadzano selekcji. Wszyscy bez wyjątku trafiali do komór gazowych. Od czasu do czasu jednak Niemcom była potrzebna do pracy w obozie niewielka liczba Żydów. Toiviemu się poszczęściło. To właśnie z jego transportu wybierano robotników. Kiedy ustawili się w szeregu, Toivi zdał sobie sprawę, że Niemcy mogą wziąć kilku ludzi do pracy - może szewców i krawców. „Nie znałem żadnego fachu, ale chciałem żyć i modliłem się do Boga - wtedy jeszcze się modliłem. Modliłem się też do tego Niemca: «Proszę, weźcie mnie» [...] i wciąż wierzę, że moja silna wola w jakiś sposób dosięgła go, kiedy chodził tam i z powrotem przed nami. Kiedy poczułem, że na mnie patrzy, rzekłem do siebie: «Boże, pomóż mi!». Wtedy on powiedział: «Chodź tu, ty, mały!». Miałem szczęście, bo oni wtedy rzeczywiście potrzebowali ludzi. Wzięli czterdziestu. W ten sposób pojawiła się dla mnie nadzieja w Sobiborze”.

Ojciec Toiviego został razem z innymi mężczyznami odprowadzony w kierunku komory gazowej. Kiedy szedł, Toivi krzyknął do Niemców: „On jest garbarzem!”, ale „oni potrzebowali cieśli, może krawców, ale nie jego”. Patrząc na ojca idącego na śmierć, Toivi, jak przyznaje, nic nie czuł. „Wciąż o tym myślę. Widzicie, gdyby jedno z moich rodziców zmarło wcześniej - dwa dni wcześniej - toby była okropna tragedia. Płakałbym dzień i noc. Ale wtedy, w tej samej godzinie, w tej samej chwili, straciłem ojca i matkę, dziesięcioletniego brata i nie płakałem - nie myślałem nawet o tym. Później, patrząc na ludzi [w obozie],

zauważyłem, że nikt nie płacze. Myślałem: «Może ze mną jest coś nie w porządku?», a po wojnie, kiedy spotykałem ludzi po obozach, pytałem ich, czy płakali. «Nie, nie płakałem» - [odpowiadali]. Natura nas w ten sposób jakby chroni - odbiera nam uczucia. No bo wyobraźcie sobie, gdybym pomyślał: «Mój tata - moi rodzice - są teraz w komorze gazowej», tobym upadł na ziemię i zabiliby mnie [...]. Gdybym choć trochę pokazał, że płaczę, toby mnie zabili”.

Godzinę po selekcji Toivi spotkał przyjaciela, Józka, który został do Sobiboru przywieziony wcześniejszym transportem. Ojciec Józka został wybrany do pracy, ponieważ był dentystą, a syn miał mu towarzyszyć jako „pomocnik”. „Szlismy za barakami, kiedy zobaczyłem ludzi, kogoś ze skrzypcami, harmonijką, tańczącą parę. Zapytałem więc: «Józek, nie rozumiem». A on na to: «Toivi, my tu żyjemy na kredyt. I tak umrzemy. To już koniec. Widzisz ten dym? Twój ojciec, brat, matka, wszyscy poszli z tym dymem. Ty też pójdziesz. Więc co za różnica? Mamy nosić żałobę? Nie przeżylibyśmy następnego dnia!», „Życie Toiviego w Sobiborze było pod wieloma względami podobne do życia pracowników „Kanady” w Auschwitz. Jedzenia było dość - wiele pochodziło z mienia zagazowanych Żydów - więźniom pozwalano również nosić zwykłe ubrania i nie golono im głów. W przeciwieństwie jednak do osób pracujących w „Kanadzie”, ci więźniowie mieli bliski - niemal intymny - kontakt z morderczą działalnością obozu.

Toivi Blatt wkrótce dowiedział się, jakie ma być jego miejsce w obozie. „Do Sobiboru przybył transport około trzech tysięcy holenderskich Żydów. Pociąg był podzielony na sekcje - długości od ośmiu do dziesięciu wagonów - i wprowadzony do Sobiboru na specjalne bocznice. Tam Żydzi z tak zwanego Bahnhoff Komanda otworzyli drzwi wagonów i zaczęli zabierać ciężkie bagaże. Kobiety wciąż miały torebki - teraz kazano im je wyrzucić na peron. Wtedy zauważyłem w ich oczach jakiś niepokój. Bały się. Niektóre kobiety nie chciały oddać torebek i jeden z Niemców zaczął je bić batem. Potem odprowadzono je prosto na wielki plac, gdzie bardzo grzecznie zaczął do nich przemawiać Niemiec, którego nazywaliśmy «aniołem śmierci». Przeprosił za trzydniową podróż z Holandii, ale teraz, jak mówił, są już w pięknym miejscu - ponieważ Sobibór zawsze był piękny. Powiedział też: «Ze względów sanitarnych musicie wziąć prysznic, a następnie otrzymacie rozkazy opuszczenia tego miejsca». Potem ludzie zaczęli klaskać i posłusznie się rozebrali, a następnie przeszli przez cały plac do baraku. A tam czekałem już ja. Zaczęły przychodzić kobiety - zupełnie nagie. Dziewczynki, młode kobiety, starsze panie. Byłem wstydlivy i nie wiedziałem, w którą stronę patrzeć. Dostałem długie nożyce. Nie wiedziałem, co mam z nimi robić. Więc mój przyjaciel, który pracował tam już nieraz, powiedział: «Tnij włosy - musisz je ciąć bardzo krótko». Ale proszą

mnie, szczególnie młode dziewczyny, żebym trochę zostawił, żebym nie ciął tak dużo. Nie wiedziały, że za kilka minut umrą. Potem kazano im wyjść z baraku, który stał o kilka [kroków] od komory gazowej. Pułapka była tak zmyślna, że jestem pewien, że kiedy byli w komorach gazowych i widzieli, że z pryszniców leci gaz zamiast wody, to myśleli, że coś się w nich zepsuło”.

Proces, w jakim brał udział Toivi Blatt, był tak wydajny, tak dobrze zaplanowany, żeby uniknąć oporu, że trzy tysiące ludzi mogło przybyć do obozu, oddać swoje mienie i ubranie i zginąć w ciągu niecałych dwóch godzin. „Kiedy praca była skończona - kiedy już ich wynieśliśmy z komór gazowych do spalania - pamiętam, że myślałem, że jest taka piękna noc z gwiazdami - naprawdę cicha [...]. Zginęło trzy tysiące ludzi. Nic się nie stało. Gwiazdy są tam, gdzie były przedtem”.

Holenderscy Żydzi, którzy przybywali do Sobiboru, nie zdając sobie sprawy, jakie jest przeznaczenie obozu, dawali się oszukać i wchodzili do komór bez oporu, zupełnie inaczej niż polscy Żydzi. Większość nie uwierzyła, że był to tylko „przystanek sanitarny”. „Jak możesz to robić? - pytała polska Żydówka w średnim wieku, kiedy Toivi Blatt ścinał jej włosy. - Ciebie też zabiją. Przyjdzie i na ciebie czas!”. Nie odpowiedział, ale pamięta jej słowa „jak klątwę”. „Zastanawiałem się cały czas i myślałem tylko o jednym, jak przetrwać - jak. Dlatego że umrę. Na razie jednak żyję i nie chcę umierać dzisiaj. Potem przyjdzie następny dzień, kiedy też nie będę chciał umierać”.

Toivi zdawał sobie oczywiście doskonale sprawę, że sam, choć wbrew własnej woli, bierze udział w masowym uśmiercaniu ludzi. Zdawał sobie zresztą sprawę, że takie czynności jak obcinanie włosów, sortowanie ubrań, wyciąganie bagaży z pociągów, sprzątanie obozu - wszystkie codzienne obowiązki związane z prowadzeniem obozu - są wykonywane przez Żydów. „Tak - mówi - myślałem o tym. Ale nikt nic nie robił. [Miałem] piętnaście lat i wokół siebie dorosłych ludzi i nikt nic nie zrobił. Ludzie w pewnych warunkach się zmieniają. „Ludzie pytali mnie: «Czego się nauczyłeś?» - wspomina - a ja myślę, że tylko jednej rzeczy mogę być pewien - nikt nie zna siebie samego. Człowiek na ulicy, który zapytany o ulicę prowadzi cię dłuższą chwilę, żeby ci wskazać drogę, jest miły i dobry. Ten sam człowiek, w innej sytuacji, może się okazać najgorszym sadystą. Nikt nie zna siebie. Wszyscy możemy stać się dobrzy albo źli w tych [różnych] sytuacjach. Czasem, kiedy ktoś jest dla mnie bardzo miły, przyłapuję się na tym, że myślę: Jaki on by był w Sobiborze?”.

Pogląd Toiviego Blatta, że ludzie zmieniają się w zależności od sytuacji, dzielą liczni byli więźniowie, którym udało się przetrwać okropności obozów. Jest on czymś więcej niż z pozoru banalnym komentarzem, że istoty ludzkie zmieniają swoje zachowanie w

różnych sytuacjach, o czym mamy się okazać przekonanie w życiu codziennym - każdy, oczywiście, zachowuje się inaczej na koncercie rockowym, a inaczej na pogrzebie. Ale Toivi Blatt zwraca uwagę na fundamentalną zmianę w ekstremalnych okolicznościach, która była raczej zmianą pewnych cech charakteru niż zachowania, choć taka również zachodziła. Ludzie tacy jak Toivi Blatt zdali sobie w obozach sprawę, że ludzie są jakby substancjami, których właściwości zmieniają się w zależności od temperatury. Jak woda istnieje jako ciecz tylko w pewnym zakresie temperatur, a w innym jako para, tak samo ludzie potrafią stać się zupełnie kimś innym w pewnych ekstremalnych okolicznościach.

Jednym z najbardziej niepokojących aspektów tego poglądu jest fakt, że podzielało go wielu rozmawiających ze mną zbrodniarzy wojennych. Pamiętam jednego z nich, gorliwego członka partii nazistowskiej, który z rozdrażnieniem, po tym jak zmusiłem go do odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak długo akceptował zbrodnie hitlerowskiego reżimu, odpowiedział: „Kłopot w tym, że w dzisiejszym świecie ludzie, którzy nie zostali poddani tej próbie, wydają wyroki na tych, którzy musieli przez nią przejść”. Jest to pogląd, z którym na pewno zgodziłby się Toivi Blatt.

Nie oznacza to oczywiście, że fundamentalna zmiana charakteru, która mogła zajść u więźnia obozu, musiała być zmianą na gorsze. Możliwe były również zachowania godne podziwu, czego świadkiem był Toivi Blatt, kiedy kazano mu przegrabić ścieżkę prowadzącą z obozu dolnego do komór gazowych. „Zauważyłem, że nieważne, jak mocno się grabi, w piasku wciąż są jakieś przedmioty. Zapytałem znajomego: «Co to jest?», a on odparł: «To są pieniądze». Pamiętam, że zastanawiałem się: to byli ludzie, którzy idą na śmierć i mają przy sobie jeszcze kilka dolarów albo rubli. Kiedy w końcu zdają sobie sprawę, że to już koniec, starannie drą pieniądze na kawałeczki, żeby nie dostały się w ręce wroga. Sądzę, że to był heroizm - duchowy heroizm”.

Obmyślając większe akty oporu - właściwą walkę z Niemcami - Toivi Blatt musiał przezwyciężyć w sobie uczucie, które nazywa „odwrotnym” rasizmem. Kiedy po raz pierwszy zobaczył niemieckich żołnierzy w stalowych hełmach i eleganckich mundurach, poczuł, że byli oni „lepszymi” ludźmi. „Po drugiej stronie widziałem przestraszonych, uciekających, kryjących się Żydów i Polaków”. Takie nastawienie mieli nadzieję wytworzyć w prześladowanych ludziach hitlerowcy. Jest to jeden z powodów, dla których doktor Mengele pojawiał się na rampie kolejowej obozu oświęcimskiego ubrany w nieskazitelnie czysty mundur SS, w wypolerowanych na połysk butach. Działo się tak, ponieważ hitlerowcy stworzyli samospełniające się proroctwo, że prześladowane przez nich ofiary są od nich

gorsze, a jednocześnie, ubierając się i zachowując jak członkowie rasy panów, próbowali zmusić swoich wrogów do uwierzenia, że hitlerowcy rzeczywiście są od nich lepsi.

W takich okolicznościach nie jest zaskoczeniem, że katalizatorem radykalnej zmiany nastrojów w Sobiborze było przybycie grupy mniej narażonej na ów „odwrócony rasizm”, o którym mówił Toivi Blatt - Żydów, żołnierzy Armii Czerwonej. „Przybyliśmy do Sobiboru 21 albo 22 września 1943 roku - wspomina Arkadij Wajspapir \* [\*Wywiad dla BBC.], jeden z radzieckich jeńców, których do obozu przywiózł transport z Mińska. - Przez trzy dni byliśmy uwięzieni w zamkniętych wagonach - bydłowych wagonach. Trzy dni bez światła i jedzenia”. Przypadkiem hitlerowcy postanowili wybrać ludzi do niewolniczej pracy właśnie z tego transportu. „Zapytali, czy są wśród nas cieśle i budowniczości - opowiada Wajspapir - oraz czy są ludzie zdolni do podniesienia ciężaru siedemdziesięciu pięciu kilogramów”. W czasie selekcji radzieccy jeńcy nie mieli pojęcia, jakie jest przeznaczenie obozu: „Nie wiedzieliśmy, co się dzieje - myśleliśmy, że to obóz pracy. Wieczorem jednak przyszli do nas starzy więźniowie i powiedzieli: «Wasi towarzysze się palą», wtedy zrozumieliśmy, w jakim jesteśmy obozie”.

Wśród około osiemdziesięciu radzieckich jeńców, którzy zostali wybrani do pracy, znajdował się Aleksandr Pieczorski, zwany Saszą. „Był bardzo przystojnym mężczyzną - wspomina Wajspapir - wysokim i dobrze zbudowanym. Szanowano go - każde jego słowo było dla nas prawem”. Pieczorski wywarł natychmiastowy wpływ na życie w obozie i wkrótce stał się przywódcą tajnego ruchu oporu. Zanim do obozu przybyli jeńcy radzieccy, podjęto kilka prób ucieczki - zazwyczaj w czasie pracy poza obrębem ogrodzenia z drutu kolczastego. Większość się jednak nie udało. „Gdzie pójść, kiedy się wreszcie dotrze do lasu? - pyta Toivi Blatt. - Praktycznie każdego dnia mieszkający w pobliżu chłopcy wracali z Żydami znalezionymi na okolicznych polach i sprzedawali ich za trochę cukru albo butelkę wódki”. Ale Pieczorski i jego towarzysze zdołali zmienić panujący w obozie fatalistyczny nastrój. Współpracując z Leonem Feldhendlerem, który przewodził przed ich przybyciem niewielkiej grupie spiskowców, jeńcy radzieccy zaczęli planować masową ucieczkę.

Zaledwie dwa tygodnie po ich przybyciu do Sobiboru podjęto próbę zrobienia podkopu - plan ten zarzucono kilka dni później, kiedy tunel zalała woda. Pieczorski zdawał sobie zresztą sprawę, że nawet jeśli udałoby się przekopać tunel, to nie powiodłaby się próba wyprowadzenia nim z obozu wszystkich - ponad sześciuset - więźniów w ciągu jednej nocy. Szybko zrozumiał, że udana zbiorowa ucieczka będzie wymagała zbrojnego oporu. Pieczorski zdał sobie również sprawę, że należy działać jak najszybciej. Za kilka tygodni powinien spaść pierwszy śnieg, który ułatwi Niemcom wytopienie w lasach uciekinierów. W ciągu

następnych kilku dni, korzystając ze współpracy kilku najważniejszych kapo, dopracowywano więc plan. „Pierwszy etap - opowiada Toivi Blatt - to było zebranie broni - noży i siekier - ponieważ wielu cieśli miało te narzędzia w swoich warsztatach”. Drugi etap polegał na „zwabieniu” Niemców do rzadko uczęszczanych miejsc w obozie, gdzie miano ich zabić i odebrać im broń. Trzeci, ostatni, etap miał być już otwartym buntem.

W drugim tygodniu października spiskowcy dowiedzieli się, że kilku najważniejszych Niemców w Sobiborze - w tym Wagner, jeden z dowodzących załogą podoficerów - miało odjechać na urlopy do Niemiec. Załoga miała więc być na pewien czas osłabiona. Pozostali Niemcy mieli zostać obietnicami osobistej korzyści zwabieni do warsztatów krawieckich i szewskich - powodzenie planu zależało więc od skorumpowania strażników. Wajspapir otrzymał rozkaz ukrycia się w warsztacie szewca oraz zabicia siekierą niemieckiego strażnika, który miał przybyć tam, żeby przymierzyć nowe buty. „Byłem bardzo podniecony - wspomina Wajspapir. - Wiedzieliśmy, że stawką jest nasz los”.

Gdzie indziej Niemcy mieli być zwabiani do warsztatu krawieckiego obietnicą wydania nowego płaszcza skórzanego, a następnie zabijani. Następnie więźniowie mieli zacząć uciekać przez główną bramę, licząc na to, że ukraińscy strażnicy - zupełnie zdominowani przez Niemców - nie będą mieli dość amunicji i inicjatywy, żeby stawić silny opór.

Bunt rozpoczął się 14 października. O wpół do czwartej po południu Wajspapir i Jehuda Lerner, towarzysz z mińskiego transportu, ukryli się w budynku warsztatu: „Przyszedł do nas ten Niemiec, któremu mieliśmy dopasować buty. Usiadł naprzeciw mnie. Podszedłem i uderzyłem go. Nie wiedziałem, że lepiej było to zrobić obuchem. Uderzyłem go ostrzem. Usunęliśmy go na bok i przykryliśmy ciało jakąś szmatą. Potem wszedł kolejny Niemiec. Podszedł do trupa, kopnął go i zapytał: «Co to ma być? Co ma znaczyć ten nieporządek?». A kiedy zrozumiał wreszcie [co się stało], również jego uderzyłem siekierą. Zabraliśmy pistolety i uciekliśmy. Później zacząłem się trząść. Nie mogłem się przez dłuższy czas uspokoić. Cały byłem we krwi”.

Lerner i Wajspapir zabili w warsztacie szewskim dwóch Niemców. Trzech dalszych zamordowano u krawców. Pozostałych, którzy nie dali się zwabić do warsztatów, zabito w ich gabinetach. Do godziny piątej nie żyła więc większość z dziewięciu esesmanów, komendant obozu wciąż jednak żył. Więźniowie, jak zwykle, zaczęli się zbierać na apel. „Później jednak, za piętnaście szósta - opowiada Toivi Blatt - Sasza (Pieczorski) wskoczył na stół i wygłosił przemowę - wciąż ją pamiętam. Mówił o swojej ojczyźnie - Związku



Radzieckim - i o tym, że nadejdzie czas, kiedy wszystko się zmieni i zapanuje pokój, a jeśli ktoś przetrwa, to jego obowiązkiem jest opowiedzieć o tym, co się tutaj działo”.

Następnie, zgodnie z planem, więźniowie ruszyli w kierunku głównej bramy, ale nagle dostali się pod ogień z wież strażniczych i z baraku, skąd strzelał komendant Frenzl. Było jasne, że ucieczka przez bramę główną jest niemożliwa. Spróbowano przerwać drut kolczasty z tyłu obozu - mimo że znajdujący się za nim teren był zaminowany. Kiedy Toivi pod ostrzałem strażników z wieży zmagał się z drutami ogrodzenia, poczuł, jak przewraca się ono i go przygniata. „Pomyślałem najpierw: To już koniec! Ludzie deptali po mnie, a drut kolczasty przebijał mi płaszcz. W końcu przyszedł mi do głowy genialny pomysł - zostawiłem skórzany płaszcz pod ogrodzeniem, a sam się z niego wyslizgnąłem. Zaczęłem uciekać. Upadłem dwa, może trzy razy - za każdym razem myślałem, że mnie trafili, ale wstawałem i nic mi nie było, aż w końcu dotarłem do lasu”. Biegąc, Toivi widział przed sobą „lejące w powietrzu ciała” rozerwane wybuchami min i szybko zdał sobie sprawę, że miał szczęście, że był jednym z ostatnich więźniów, którzy wybiegli z obozu.

Tego dnia uciekła mniej więcej połowa z sześciuset więźniów Sobiboru. Według Toiviego Blatta ucieczka była możliwa dzięki jednemu, kluczowemu czynnikowi. „Oni [Niemcy] nie uważali nas za ludzi, za istoty zdolne do samodzielnego działania. Uważali nas za śmieci. Nie oczekiwali, że Żydzi będą gotowi umrzeć, ponieważ widzieli przedtem tysiące ludzi idących na bezsensowną śmierć”. Według Arkadija Wajspapira inną ważną okolicznością było przybycie jeńców radzieckich, którzy solidarnie stawili czoło wszystkim obozowym męczarniom. Co ważne, przed ucieczką spędzili oni w Sobiborze mniej niż miesiąc. Mimo że wiele przecierpeli w obozach jenieckich, nie doświadczyli przedtem trwogi życia w obozie śmierci i mogli szybko zareagować na straszliwe rzeczy, które tutaj zobaczyli. Ich dyscyplina wojskowa i wyjątkowa osobowość Saszy Pieczorskiego były czynnikiem koniecznym dla powodzenia buntu. Większość ponad trzystu więźniów, którzy uciekli z obozu, nie dotrwała do końca wojny. Wielu błakających się i zagubionych wyłapano w lasach w ciągu następnych kilku godzin; inni zostali później zdradzeni przez Polaków i przekazani Niemcom. Sasza Pieczorski i garstka jego towarzyszy zdołali dotrzeć do partyzantów przyjaźnie nastawionych do Armii Czerwonej i w końcu wyszli na spotkanie nacierających wojsk radzieckich. Toivi Blatt przeżył wiele przygód i kilkakrotnie cudem unikał złapania, w czym pomagali mu niektórzy Polacy, podczas gdy inni go zdradzali. Po wojnie zdecydował się rozpocząć nowe życie w Ameryce.

Himmler był głęboko wstrząśnięty buntem w Sobiborze i wkrótce po nim nakazał wymordowanie Żydów w obozach w Trawnikach, Poniatowej i Majdanku. Akcja ta,

rozpoczęta 3 listopada, była jednym z najkrwawszych epizodów „ostatecznego rozwiązania”. W czasie akcji, oznaczonej kryptonimem „Erntfest” (Dożynki), wymordowano około 43 000 ludzi. W drastyczny sposób przypomina ona, że przemysłowe metody wcale nie były konieczne, by uśmiercić szybko dużą liczbę ludzi - w Majdanku zamordowano w ciągu jednego dnia 17 000 Żydów.

Akcję Erntfest przeprowadzono w listopadzie 1943 roku, czyli w czasie kiedy zmieniły się podstawowe założenia hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Jesienią 1941 roku i na wiosnę 1942 roku program eksterminacji był przynajmniej częściowo podyktowany chęcią stworzenia „przestrzeni” dla nowego niemieckiego imperium na wschodzie. Teraz było już jasne, że hitlerowcy przegrywają wojnę i najważniejszym motywem stała się zemsta. Hitlerowskich mordów na Żydach dokonywano teraz przede wszystkim po to, by nie zyskali oni na wojnie - niezależnie od tego, jak się ona skończy. Oczywiście, uśmiercanie Żydów z powodów politycznych zawsze do pewnego stopnia miało wpływ na planowanie i realizację „ostatecznego rozwiązania”. Włączenie do hitlerowskich planów Żydów z zachodniej Europy wskazuje na to, że względy ekonomiczne i zdobywanie „przestrzeni” nigdy nie były wyłącznymi motywami tych zbrodni. Teraz jednak, kiedy hitlerowski porządek się rozpadał, przywódcy Trzeciej Rzeszy poszukiwali pocieszenia w mordowaniu Żydów z czystej, nieposkromionej niczym nienawiści.

Niemcy natrafiali jednak na narastający opór przeciw realizacji planów „ostatecznego rozwiązania” poza obszarami znajdującymi się pod ich bezpośrednią kontrolą. Rząd Bułgarii, na przykład, zgodził się co prawda na wydanie 11 000 Żydów z okupowanej przez ten kraj Tracji i Macedonii (zginęli oni w Treblince), ale zaprotestował w 1943 roku, kiedy zaproponowano deportację Żydów z terytorium samej Bułgarii. Natomiast przywódca Rumunii, Ion Antonescu, który współdziałał wcześniej w wymordowaniu żydowskiej ludności Besarabii, Naddniestrza i Bukowiny, odmówił teraz wysłania pozostałych rumuńskich Żydów do komór gazowych w Bełżcu. Również Włochy, mimo że Mussolini wprowadził wiele antysemickich przepisów, odmawiały wydania mieszkających w tym kraju Żydów \* [\*W lipcu 1943 roku włoski król został przywódcą kraju po usunięciu Mussoliniego. Przebywający w areszcie Mussolini został jednak odbity przez Niemców we wrześniu 1943 i postawiony na czele marionetkowego reżimu. W tym okresie niemieckiej okupacji (w przeciwieństwie do czasów reżimu Mussoliniego) włoscy Żydzi byli deportowani do niemieckich obozów śmierci. W czasie wojny straciło życie około 20 procent włoskich Żydów.]. Wielu sojuszników Trzeciej Rzeszy przestało wierzyć, że popierają stronę wygrywającą. Pomagali w niemieckich prześladowaniach, kiedy wydawało się to leżeć w ich

własnym interesie - natomiast teraz, kiedy zmienili zdanie, zaczęli dystansować się od polityki „ostatecznego rozwiązania”. Ta zmiana nastrojów była raczej wynikiem cynicznej kalkulacji niż nagłego przyływu uczuć.

Spośród wszystkich okupowanych przez Niemców krajów, tylko jeden wydawał się nieskalany moralną zarazą „ostatecznego rozwiązania” - jest nim Dania. Zbiorowy wysiłek obywateli tego kraju umożliwił uratowanie przed Niemcami 95 procent żydowskiej ludności tego kraju. Historia o tym, jak Duńczycy ratowali swoich Żydów, jest nie tylko budująca i niezwykła, ale również w nieoczekiwanym stopniu skomplikowana.

Niemcy okupowały Danię od 9 kwietnia 1940 roku i od początku było jasne, że Duńczycy będą traktowani w zupełnie inny sposób niż inne narody Europy. Najważniejsze instytucje państwowe - w tym monarchia, parlament i policja - pozostały w dużym stopniu nienaruszone. Duńczycy nie chcieli też firmować antysemickich praw, które powszechnie wprowadzano w hitlerowskim imperium. Dla władz Danii 8000 mieszkających tam Żydów pozostało i miało pozostać obywatelami tego kraju. „Nie było u nas żadnej dyskryminacji - wspomina Knud Dyby \* [\*Wywiad dla BBC.], będący wtedy policjantem. - Żydzi byli całkowicie zasymilowani. Mieli swoje firmy i domy, tak jak każdy. Jestem pewien, że często zdarzały się mieszane małżeństwa. Mój krewny ożenił się z Żydówką, artystką rewiową”. Nawet ci Żydzi, którzy otwarcie praktykowali pod niemiecką okupacją swoją religię, nie napotykali dużych trudności. Bent Melchior \* [\*Wywiad dla BBC.], chodzący wtedy do szkoły, obawiał się na początku nadejścia Niemców, ponieważ jego ojciec, rabin, otwarcie wyrażał antynazistowskie poglądy. Nie stało się jednak nic złego. „Chodziliśmy do szkoły, synagoga, tradycje - wszystko odbywało się jak dawniej”.

Wyjątkowa historia opowiedziana przez Benta Melchiora odzwierciedla rozmiary zakorzenionej w duńskim społeczeństwie tolerancji. Jego ojciec napisał krótki zbiór komentarzy do Pięcioksięgu, a ponieważ król Danii był dla każdego patrioty najważniejszą postacią, postanowił wysłać mu egzemplarz swojej książki. W sylwestra 1941 roku starsza siostra Benta otrzymała zadanie dostarczenia książki do pałacu w Kopenhadze. Kiedy zbliżała się do bramy, przypadkiem napotkała tam duńską królową, która zapytała: „Czy to dla mojego męża?”. Siostra odpowiedziała: „Tak, Wasza Wysokość” i królowa wzięła od niej książkę. Tego wieczora król Christian X osobiście napisał list z podziękowaniami dla autora i dla gminy żydowskiej. „Przybył [list] 1 stycznia 1942 roku - opowiada Bent Melchior - i zrobił wielkie wrażenie na całej gminie - król odpowiedział rabinowi, który posłał mu książkę”.

Wydaje się to niewiarygodne, że Niemcy pozwolili na taką tolerancję, biorąc pod uwagę skalę hitlerowskich prześladowań Żydów w Europie. W Danii jednak okupant znajdował się w delikatnej sytuacji. Po pierwsze, Niemcom zależało na tym, żeby nie ustały dostawy żywności z tego kraju do Rzeszy. Po drugie, zdawali sobie sprawę z propagandowej wartości „idealnej” okupacji „aryjskiego” sąsiada, pamiętając jednocześnie, że w tym spokojnym kraju nie musieli utrzymywać wiele wojska. Nastawienie to miało się jednak zmienić jesienią 1943 roku. Po Stalingradzie i innych klęskach Wehrmachtu na wschodzie w Danii zaczęło dochodzić do aktów oporu, zakończonych serią strajków. Niemcy nalegali, by wprowadzić odwetowe represje, na co nie zgodziły się duńskie władze. Bezpośrednią kontrolę nad krajem objęli więc Niemcy 29 sierpnia 1943 roku.

Niemiecki pełnomocnik w Danii, doktor Werner Best, stanął teraz przed dylematem - co zrobić z duńskimi Żydami? Z tego, kim był Best, raczej nie wynikało, że będzie on Żydom życzliwy. Ten prawnik wstąpił do partii nazistowskiej w 1930 roku, a rok później został członkiem SS. Był radcą prawnym gestapo i bezpośrednim podwładnym Reinharda Heydricha. Pracując w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, był zamieszany w zamordowanie polskich intelektualistów, a kiedy pracował we Francji, bezpośrednio kierował prześladowaniami tamtejszych Żydów. Mimo to ten żarliwy hitlerowiec miał uczynić coś zupełnie sprzecznego ze swoim charakterem - przez pośredników ostrzegł duńskich Żydów przed mającymi się rozpocząć aresztowaniami.

Masowe aresztowania zaplanowano na noc i wczesne godziny ranne 1 i 2 października 1943 roku. Na kilka dni przed tym terminem Best spotkał się z niemieckim attache morskim, Georgem Duckwitzem, i poinformował go o zbliżających się aresztowaniach. Best zrobił to, mając niemal zupełną pewność, że znany z produńskich sympatii Duckwitz przekaze tę informację duńskim władzom, które z kolei ostrzegą przywódców żydowskiej społeczności. Właśnie tak się stało.

„Wtorkowego wieczoru [28 września] - opowiada Bent Melchior - przyszła do nas jakaś kobieta i powiedziała ojcu, że w piątek będzie przeprowadzona akcja”. Następnego ranka, ze względu na żydowskie święto, w synagodze było więcej ludzi niż zwykle. Ojciec Benta wstał i zaczął przemawiać. „Mój ojciec przerwał nabożeństwo i powiedział gminie, że to, co powie, jest bardzo ważne, a następnie powtórzył otrzymaną wiadomość. «W piątek w nocy nie możecie być w domach» - oświadczył. Odwołał również nabożeństwa, które miały się odbyć w synagodze następnego dnia. To jednak w jego mniemaniu nie wystarczyło. Każdy z obecnych miał przekazać ostrzeżenie swojej rodzinie, przyjaciółom, osobom samotnym - każdy miał się skontaktować z możliwie największą liczbą ludzi”.

Exodus rozpoczął się tego samego dnia, 29 września, i razem z rodziną wziął w nim udział również Rudy Bier \* [\*Wywiad dla BBC.]. Wyjechali z Kopenhagi do miejscowości odległej około 15 kilometrów od stolicy, gdzie zamieszkali u zaprzyjaźnionych kontrahentów firmy ojca Rudy'ego: „To była bardzo miła rodzina, były tam trzy córki, nieco starsze od nas. Mieszkali w willi z ogrodem, inaczej niż my, którzy mieliśmy tylko mieszkanie. Bardzo dobrze się nami opiekowali”.

Kiedy rodzina Bierów zadomawiała się w nowym miejscu z dala od Kopenhagi, duńska policja również dowiedziała się o planowanych deportacjach. „Byłem na komisariacie, kiedy się dowiedziałem - opowiada Knud Dyby - a mój pracujący na policji kolega powiedział, że rozmawiał z nim jego żydowski sąsiad, kupiec o nazwisku Jacobson. On i jego rodzina bardzo się niepokoiли i potrzebowali pomocy”. Pamiętając oczywiście o działaniach policji w takich okupowanych krajach jak Francja i Słowacja, wydaje się niezwykle, że pierwszą rzeczą, jaką zrobił Knud i jego kolega, było złożenie propozycji pomocy duńskim Żydom. Dyby osobiście postanowił pomóc Jacobsonom i zorganizował ich ucieczkę przez cieśniny duńskie do neutralnej Szwecji: „Musieliśmy wysłać ich tramwajami i lokalnym pociągiem do przystani we wschodniej części Kopenhagi. Stamtąd kilkoma taksówkami zabraliśmy ich do portu. Taksówkarze wiedzieli, co się dzieje, i byli bardzo pomocni, a niektórzy nie wzięli pieniędzy za kurs. W porcie schowaliśmy się w szopach, gdzie Niemcy zazwyczaj przechowywali sieci i narzędzia”.

Kiedy żydowskie rodziny zostały już ukryte, Knud Dyby wyszedł na poszukiwanie rybaków, którzy podjęliby się niebezpiecznej nocnej przeprawy przez cieśniny. „Mówiłem rybakom, ile mam osób, a potem musieliśmy wyprosić i pożyczyć dość pieniędzy, żeby zapłacić - tyle, żeby wszyscy mogli popłynąć”. Było to długie i niebezpieczne zadanie. „Pewnego razu szedłem z trzema Żydami, kiedy nagle ruszył w naszym kierunku niemiecki patrol. Wskoczyliśmy do rowu. Siedzieliśmy w nim, aż Niemcy nas minęli. To był jedyny raz, kiedy wyjąłem i odbezpieczyłem pistolet, bo chciałem nas czterech bronić. Nie chciałem trafić do obozu koncentracyjnego”.

Nie tylko duńska policja pomagała Żydom w ucieczkach; wielu pracowników innych instytucji zaangażowało się w tę pomoc, wśród nich strażnicy wybrzeża, którzy przemykali oko na niezliczone łódki znikające nocami z przystani, oraz duńscy duchowni, którzy żywili uciekinierów. List biskupa Kopenhagi, wyrażający odważne stanowisko duchowieństwa, został 3 października odczytany w duńskich kościołach. „Gdziekolwiek Żydzi są prześladowani z powodów rasowych bądź religijnych, obowiązkiem chrześcijanina jest sprzeciwić się tym prześladowaniom [...]. Niezależnie od różniących nas poglądów

religijnych, będziemy walczyć o prawo naszych żydowskich braci i siostr do wolności, którą sami cenimy nad życie” \* [\*Michael Mogensen, „The Rescue of the Danish Jews” [w:] Mette Bastholm Jensen, Steven L.B. Jensen [red.], „Denmark and the Holocaust”, Department for Holocaust and Genocide Studies, Copenhagen 2003, s. 45.].

W tym czasie rodzina Rudy’ego Biera uznała, że nie może dłużej przebywać bezpiecznie u przyjaciół w Danii, i również rozpoczęła przygotowania do przeprawy do Szwecji. „Musieliśmy przejechać przez centrum Kopenhagi i tam spotkało nas nieprzyjemne wydarzenie. Kierowca skręcił w złym miejscu i zatrzymał się tuż przed budynkiem niemieckiej komendy miasta. Przez chwilę zrobiło się strasznie, ale potem zawrócił i odjechaliśmy”. Bierów zawieziono do miejsca znajdującego się 40 kilometrów na południe od Kopenhagi, do odcinka duńskiego wybrzeża najbardziej oddalonego od Szwecji. Osoby, które im pomagały, uznały, że będzie to najbezpieczniejsze miejsce do przeprawy. Niedaleko brzegu stały dwa statki, z których każdy mógł zabrać 200 pasażerów. Rodzinę zawieziono łódką do jednego ze statków, który wypłynął do Szwecji o jedenastej w nocy. „Byliśmy na pokładzie - wspomina Rudy - a moim najmłodszym braciom i siostram dano łagodny środek uspokajający, żeby nie płakali i przesпали całą podróż”. Po kilku godzinach spokojnego rejsu dotarli do Szwecji. „Na szwedzkich brzegach było zupełnie inaczej. W Danii mieliśmy zaciemnienie, ale w Szwecji na ulicach było pełno świateł. Ludność przyjęła nas bardzo ciepło. Odśpiewano hymny Szwecji i Danii, ludzie byli bardzo szczęśliwi, kiedy minęło już niebezpieczeństwo”. Szwedzi rzeczywiście udzielili wszelkiej pomocy. Wysyłali na morze oświetlone łodzie, aby ułatwić uciekinierom nawigację, oraz ogłosili 2 października przez radio, że przyjmą wszystkich Żydów uciekających z Danii.

Doświadczenia Rudy’ego Biera nie były niczym wyjątkowym i ogromna większość duńskich Żydów zdołała dotrzeć do Szwecji. W nocy z 1 na 2 października Niemcy aresztowali tylko 284 \* [\**Ibid.*, s. 33. Zob. też Leni Yahil, „The Rescue of Danish Jewry: Test of a Democracy”, The Jewish Publication Society of America 1969.] Żydów, a w następnych tygodniach dodatkowo około 200 uciekinierów. Spośród 8000 duńskich Żydów ostatecznie złapano i wywieziono mniej niż 500. Co ważne, złapani duńscy Żydzi nie zostali wywiezieni do Oświęcimia, ale do getta w Theresienstadt w Czechosłowacji, gdzie żyło się ciężko, ale nie przeprowadzano selekcji i systematycznej eksterminacji. Ponad trzy czwarte wywiezionych duńskich Żydów wróciło po wojnie do ojczyzny.

Historia wyratowania duńskich Żydów jest niezwykle pocieszającym epizodem na tle zdrady i nienawiści, która towarzyszyła innym deportacjom. Dwuznaczna postawa Niemców w czasie aresztowań i deportacji sprawia jednak, że historia ta, mimo iż budująca, wcale nie

daje się łatwo zinterpretować. Kluczowym jej elementem jest dziwna postawa Wenera Besta, ponieważ nie tylko w pośredni sposób ostrzegł duńskich Żydów, ale był również odpowiedzialny za niemrawe wysiłki mające na celu ich łapanie. Niektóre komórki niemieckiego aparatu bezpieczeństwa działały bardzo energicznie - największą niesławą okrył się Hans Juhl („Gestapo Juhl”) starający się wyłapać wszystkich Żydów w Elsynchronie - ale większość Niemców nie przykładła się zbyt pilnie do tego zadania. „Zawsze powtarzam - mówi Rudy Bier - że gdyby Niemcy chcieli powstrzymać ucieczki, to mogliby to uczynić bardzo łatwo, ponieważ szlak wodny pomiędzy Danią i Szwecją nie jest ani szeroki, ani długi i wystarczyłoby cztery czy pięć kutrów torpedowych, żeby całą ewakuację uniemożliwić”. Mimo to żadna z uciekających jednostek nie została zatrzymana przez niemieckie patrole.

Raport, który Werner Best wysłał do Berlina 5 października, pomaga być może zrozumieć jego działania: „Ponieważ celem akcji żydowskiej w Danii było odżyczenie tego kraju, a nie wyłapanie wszystkich Żydów, należy uznać, że akcja ta zakończyła się sukcesem” \* [*Ibid.*, s. 58]. W ten sposób Best uznaje, że „uwolnił” Danię od Żydów metodami, które w minimalnym stopniu zagroziły spokojnej okupacji tego kraju. Fakt, że Żydzi uciekli, a nie zostali schwytani, przyniósł mu praktyczne korzyści - większa była szansa, że władze Danii będą dalej z nim współpracować.

Niedawno badacze zaczęli kwestionować konwencjonalną wersję historii duńskich Żydów, a szczególnie „altruizm” osób im pomagających. Jest na przykład jasne, że wielu z pierwszych Żydów, którzy uciekali, musiało zapłacić pokaźne sumy przewożącym ich rybakom. „Część uciekinierów niestety szastała pieniędzmi, żeby jako pierwsi dostać się na łódzie - opowiada Knud Dyby. - A rybacy byli przecież dość biednymi ludźmi - bardzo mało zarabiali. Jestem pewny, że każdy z nich cieszył się z dodatkowych dochodów”. Czy działania duńskich rybaków rzeczywiście były tak nierozsądne? Wymagano od nich, żeby ryzykowali życie - wszyscy zdawali sobie sprawę - żeby pomóc Żydom w ucieczce. Czy nie mieli zatem prawa żądać jak najwięcej pieniędzy? Pamiętajmy, że w pierwszych dniach ewakuacji nikt jeszcze nie wiedział, że niemieckie łódzie patrolowe nie będą czekać w cieśninach. Z tego punktu widzenia można by powiedzieć, że najbardziej egoistyczną reakcją byłoby zupełne odmówienie przeprawy, niezależnie od ceny. Pamiętajmy zresztą, że nikt nie został pozostawiony na brzegu z powodu braku pieniędzy.

Oczywiście, Duńczykom przy ratowaniu Żydów pomogły czynniki, na które nie mieli wpływu. Swoją rolę odegrała geografia - w przeciwieństwie do Holandii czy Belgii Dania znajdowała się w pobliżu kraju neutralnego. Poza tym dzięki łagodnemu charakterowi niemieckiej okupacji przed rokiem 1943 kluczowe instytucje duńskie, takie jak policja i straż

wybrzeża, pozostawały pod stosunkowo słabą kontrolą hitlerowców. Prawdopodobnie najważniejszy był wybrany przez Niemców czas rozpoczęcia aresztowań duńskich Żydów. Jak już powiedziano, w 1943 roku było jasne, że Niemcy przegrywały wojnę i Duńczycy zdawali sobie sprawę, że pomagając Żydom, pomagają stronie wygrywającej. Innym ważnym czynnikiem był fakt, że okupacja Danii nie była tak brutalna jak na przykład Polski, a trudno ocenić, jak postąpiłaby ludność Danii, gdyby prześladowania duńskich Żydów - i ludzi im pomagających - były równie brutalne. Nie można z tej historii wyciągnąć wniosku, że Duńczycy byli w jakiś sposób wyjątkowo solidarnym narodem, również dlatego, że Dania z niechęcią przyjmowała żydowskich uchodźców z Niemiec w latach trzydziestych. Ale ci, którzy próbują zrelatywizować przypadek Danii, zapominają, że w latach 1940 i 1941, kiedy Niemcy wciąż wydawały się stroną wygrywającą wojnę, Duńczycy pozostali wierni swoim zasadom moralnym i nie prześladowali Żydów - co na pewno ucieszyłoby niemieckich okupantów.

Również wiedza o makiawelicznym zachowaniu Wenera Besta, który doprowadził do masowej ucieczki Żydów z Danii, nie powinna mieć wpływu na moralną ocenę działań ludności tego kraju - najważniejsze jest to, że kiedy naród duński solidarnie chronił Żydów przed deportacjami, nikt nie wiedział, jakie były intencje Besta. Każdy, kto pomagał wtedy Żydom, wierzył, że działa wbrew woli Niemców i wiele ryzykuje. Trudno więc nie zgodzić się z Knudem Dybym, który twierdzi, że „to, co uczynili Duńczycy, uczynili z własnego serca i przyjaźni. Kierowały nimi zwyczajne ludzkie uczucia. Zwykła dobroć i przyzwoitość. Tak samo powinni byli postąpić wszyscy - cała Europa”. Zupełnym przeciwieństwem heroizmu Duńczyków było to, co stało się w innym europejskim kraju wiosną i jesienią 1944 roku - był to rok największej rzezi w historii obozu Auschwitz.



## Szaleństwo zabijania

W wyniku wydarzeń roku 1944 obóz w Oświęcimiu stał się miejscem największego ludobójstwa w historii. Do wiosny 1944 liczba ofiar Auschwitz-Birkenau była niższa od liczby ludzi uśmierconych w Treblince. Natomiast wiosną i wczesnym latem tego roku obóz miał osiągnąć swą maksymalną wydajność i przekroczyć ją w wyniku najstraszniejszej i najbardziej szalonej rzezi w jego dziejach. Żydzi, którzy mieli cierpieć i umierać w tym strasliwym okresie, pochodzili niemal wyłącznie z jednego kraju - Węgier.

Skomplikowane są powody, dla których pod koniec wojny tak wielu węgierskich Żydów znalazło się w zdążających do Oświęcimia transportach. Targani sprzecznymi i silnymi emocjami „Węgrzy przez cały czas starali się prowadzić z hitlerowcami skomplikowaną grę polityczną. Z jednej strony od dawna obawiali się niemieckiej potęgi, z drugiej - chcieli wspomagać wygrywającą w wojnie stronę, szczególnie jeśli miało to im przynieść terytorialne zyski kosztem wschodniego sąsiada, Rumunii. Dopiero w październiku 1940 roku Węgrzy ostatecznie zdecydowali się i sprzymierzyli z państwami osi, podpisując pakt trzech. Do tego czasu była już przygotowana umowa, w której zawarciu pośredniczył Ribbentrop, o przekazaniu przez Rumunię Węgom północnej Transylwanii. Przekupieni tym pożądanym od dawna terytorium oraz licząc na wygraną Niemiec w wojnie (co latem i wczesną jesienią 1940 roku było „trzeźwym” stanowiskiem), Węgry politycznie i strategicznie zbliżały się do swojego potężnego sąsiada.

Wiosną 1941 roku Węgrzy wsparli Hitlera w czasie inwazji Jugosławii, a następnie w lipcu wysłali swoje wojska, aby wzięły udział w podboju Związku Radzieckiego. Nie doszło jednak do obiecaney błyskawicznej klęski Stalina, wojna przeciągała się znacznie dłużej, niż oczekiwano, a Węgrzy zaczęli zdawać sobie sprawę, że walczą po niewłaściwej stronie. W styczniu 1943 roku Armia Czerwona zadała na froncie wschodnim druzgocącą klęskę siłom węgierskim, które straciły wtedy około 150 000 ludzi - zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Nowe, „trzeźwe” stanowisko polegało teraz w odczuciu władz węgierskich na odsunięciu się od hitlerowców. W 1943 roku rozpoczęły się rozmowy z aliantami zachodnimi, w wyniku których uzgodniono, że Węgry staną po ich stronie, kiedy do kraju będzie się zbliżała ofensywa sprzymierzonych.

Hitler zdecydował się na zaatakowanie zdradzieckiego sprzymierzeńca wiosną 1944 roku. Tradycyjna historiografia interpretowała tę decyzję jako działanie przywódcy, dla

którego względy ideologiczne były ważniejsze od praktycznej strategii. Niedawne badania \* [\*Zob. też Christian Gerlach, Goetz Aly, „Das letzte Kapitel”, Fischer 2004.] przeczą jednak temu pogładowi. Hitler i jego poplecznicy nie chcieli zemścić się na niestałym sprzymierzeńcu, tylko działali stosunkowo racjonalnie. Węgry były jednym z nielicznych krajów wschodniej Europy, który nie został jeszcze splądrowany. Był to kraj bardzo bogaty i teraz, jak uznał Hitler, nadszedł czas, by go sobie przywłaszczyć.

Jednym z celów hitlerowców byli oczywiście węgierscy Żydzi. Mieszkało ich w tym kraju ponad 760 000 i choć ucierpieli oni nieco w wyniku antysemickich ustaw \* [\*Ustawy antysemickie zostały wprowadzone na Węgrzech pod wpływem nacisków niemieckich jeszcze w końcu lat 30. W maju 1938 roku ustalono cenzus dopuszczenia osób pochodzenia żydowskiego do tzw. wolnych zawodów na 20 procent, a w styczniu 1939 roku ustalono podobny cenzus w głównych działach gospodarki na 6 procent. Bezpośrednio po wybuchu wojny z ZSRR władze węgierskie deportowały kilkadziesiąt tysięcy żydowskich uciekinierów z Polski i Czech na teren przedwojennych polskich województw południowo-wschodnich, które weszły w skład tzw. dystryktu Galicja, oraz do Kamieńca Podolskiego. Zostali oni zamordowani wraz z Żydami z tego dystryktu w masowych egzekucjach w 1941 roku oraz w 1942 roku w Bełżcu (przyp. A.Ż.), większość ich wspólnot (oraz ich bogactwa) pozostawała w zasadzie nienaruszona. Węgierscy Żydzi w wieku poborowym zostali wysłani w brygadach roboczych na front wschodni, gdzie tysiące z nich zginęło, ale reszta Żydów wciąż żywiła nadzieję, że uda się im uniknąć większych prześladowań; nadzieja ta trwała oczywiście, zanim Niemcy zaczęli okupować kraj. Wehrmacht wkroczył na Węgry 19 marca 1944 roku i już następnego dnia zjawił się tam SS-Obersturmbannführer Adolf Eichmann z zadaniem wyciśnięcia, czego się da z ludności żydowskiej, a następnie wywiezienia jej. Jak to się często działo, Eichmann pierwsze mienie odebrał Żydom dla siebie - była to luksusowa willa Aschner na Górze Róż, w eleganckiej dzielnicy Budapesztu.

Rozpocząła się wtedy nowa faza hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Eichmannowi nakazano nie tylko zorganizowanie zwykłej eksterminacji, czego wymagano od jego kolegów z Generalnego Gubernatorstwa w Polsce w 1942 roku. Zważywszy na niepomyślną sytuację wojenną i zwiększone zapotrzebowanie na siłę roboczą, hitlerowcy musieli bardziej dokładnie oddzielać Żydów, którzy mogli przysłużyć się niemieckiemu wysiłkowi wojennemu, od tych, którzy nie mogli się w żaden użyteczny sposób przysłużyć Trzeciej Rzeszy, przez co mieli zostać bezzwłocznie zamordowani. Oświęcim był w oczach hitlerowców doskonałym celem deportacji węgierskich Żydów, ponieważ doktor Mengele i inni tamtejsi lekarze zdobyli wtedy już duże doświadczenie w takiej selekcji. Obóz

Auschwitz-Birkenau miał się więc stać kanałem - jakby gigantycznym ludzkim sitem - przez który wybrani węgierscy Żydzi mieli trafić do korzystających z niewolniczej pracy fabryk Rzeszy.

Na początku działania Eichmanna na Węgrzech wydawały się nie odbiegać od znanego z innych krajów schematu skierowanych przeciwko Żydom działań. Udało mu się wynegocjować współpracę węgierskiej policji w planowanych deportacjach, zorganizował również zamknięcie w gettach żydowskiej ludności spoza Budapesztu. Niemcy zażądali najpierw wysłania 100 000 węgierskich Żydów do Rzeszy, ale po wprowadzeniu gett władze węgierskie same wyszły z inicjatywą, by wywieźć również resztę Żydów. Tak jak w innych krajach, szczególnie na Słowacji, władze doszły do wniosku, że po naruszeniu status quo i usunięciu żywicieli rodzin żydowskich, „najłatwiejszym” posunięciem było zachęcenie hitlerowców, żeby zabrali wszystkich; Eichmann oczywiście przystał na to z zadowoleniem.

Jednak równolegle do tych przewidywalnych kroków Eichmann dążył również do innego celu. Dwudziestego piątego kwietnia 1944 roku w hotelu Majestic w Budapeszcie spotkał się z Eichmannem Joel Brand, węgierski Żyd będący jedną z czołowych postaci w Komitecie Ratunkowym i Pomocy, organizacji pomagającej Żydom uciekającym z terenów kontrolowanych przez hitlerowców. Brand już wcześniej spotykał się z Eichmannem i innymi oficerami SS, aby przekupstwem zdobyć ich zgodę na wyjazd pewnej liczby Żydów z Węgier. Brand stanął teraz jeszcze raz przed Eichmannem, który zwrócił się do niego tak: „Wiesz, kim jestem? Dowodziłem «akcjami» w Rzeszy, Polsce i Czechosłowacji. Teraz kolej na Węgry. Wezwałem cię, żeby zaproponować interes. Jestem gotów sprzedać ci milion Żydów. Kto powinien według ciebie zostać uratowany? Mężczyźni i kobiety, żeby mieli dzieci? Ludzie starsi? Niemowlęta? Usiądź, powiedz”. Brand był oczywiście wstrząśnięty ofertą Eichmanna. Zaprotestował, mówiąc, że nie wolno mu dawać możliwości decydowania o życiu i śmierci. Eichmann odpowiedział jednak: „Nie mogę sprzedać ci wszystkich Żydów w Europie. Ale mogę wypuścić jeden milion. Interesują nas towary, nie pieniądze. Wyjedź z Węgier i skontaktuj się bezpośrednio ze swoimi międzynarodowymi władzami oraz z aliantami. Wróć z konkretną ofertą” \* [\*Słowa te pochodzą z raportu SIME nr 1 na temat przesłuchania Joela Branda 16-30/06/44. Akta nr SIME/P 7769. FO 371/42811 oraz z zeznań Branda w czasie procesu Eichmanna, sesja nr 56, 29/06/61.].

Była to niezwykła chwila w dziejach hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Co sprawiło, że tak nietypową ofertę złożył człowiek od wielu lat blisko związany z eksterminacją Żydów? Wyjaśnieniem jest skomplikowana sytuacja polityczna, w jakiej znalazł się Eichmann. Przybywszy do Budapesztu, Eichmann odkrył, że nie był jedynym

oficerem SS wykonującym specjalne zadanie na Węgrzech - w stolicy byli również dwaj inni, SS-Obersturmbannführer Gerhard Clages i SS-Obersturmbannführer Kurt Becher. Clages prowadził różne działania „wywiadowcze”, podczas gdy Becher starał się zaszantażować rodzinę Weissów, właścicieli największego koncernu przemysłowego Węgier, aby oddała SS swoje udziały w przedsiębiorstwie w zamian za możliwość bezpiecznego opuszczenia kraju. Dla Eichmanna było jasne, że zadania jego kolegów z SS - równych mu rangą - naruszały granice jego kompetencji, choć wcześniej sądził, że tylko jemu podlegają sprawy „ostatecznego rozwiązania” na Węgrzech. Bogactwa Węgier leżały jak kawały surowego mięsa przed tymi szakalami i Eichmann zdał sobie sprawę, że będzie musiał walczyć o swoją pozycję.

Kiedy doszło do spotkania z Brandem, Eichmann wiedział, że jego rywal Becher już uzgodnił, że akcje zakładów Manfred-Weiss zostaną przekazane hitlerowcom. W zamian za to około 50 członków rodziny Weissów miało otrzymać zgodę na opuszczenie Węgier i udanie się do krajów neutralnych. Kariera Bechera wydawała się wspaniale rozwijać, ponieważ przeprowadził się do opuszczonej przez jednego z Weissów willi jeszcze wspanialszej od domostwa Eichmanna. W 1961 roku odpowiadający przed sądem za zbrodnie wojenne Eichmann, chcąc w swoich zeznaniach przedstawić się w korzystnym świetle, twierdził, że liczył na sukces Branda w negocjacjach z aliantami, ale przypuszczalnie za jego propozycją z 25 kwietnia stały prostsze i bardziej haniebne motywy - chciał odebrać Becherowi inicjatywę. Jeśli jego przełożony, Himmler, pozwalał na takie nowe traktowanie Żydów, to on, Eichmann, nie może zostać w tyle, nawet jeśli miałby działać wbrew swoim instynktom. Eichmann zapewne również podejrzewał, że nikła będzie szansa, aby zachodni alianci dostarczali Trzeciej Rzeszy materiałów wojennych, które miały być wykorzystane przeciw Związkowi Radzieckiemu. Nawijając kontakt z Brandem, mógł pokazać Himmlerowi, że potrafi przystosować się do nowych okoliczności, zdobyć przewagę nad Becherem, a jednocześnie kontynuować politykę selekcji i eksterminacji, której był zwolennikiem.

Umowa nabrała kształtu w czasie dwóch kolejnych spotkań Eichmanna i Branda. Brand miał zostać wysłany do Stambułu, gdzie miał doprowadzić do przekazania przez aliantów 10 000 ciężarówek przystosowanych do zimowych działań na froncie wschodnim; w zamian za to hitlerowcy mieli uwolnić milion Żydów. Brand zażądał, by Eichmann wydał część z nich wcześniej, jako dowód, że działa w „dobrej wierze”. Wspomniał o 600 przepustkach emigracyjnych, które zdobył Komitet Ratunkowy i Pomocy. Były to certyfikaty, które - przynajmniej teoretycznie - umożliwiały ich posiadaczowi emigrację do Palestyny.

Eichmann jednak nie tylko odrzucił żądanie Branda, ale nalegał również, by jego żona, Hansi, znalazła się w hotelu Majestic jako zakładnik.

W czasie ostatecznego spotkania, w tym samym hotelu, byli obecni Clages, Becher oraz kilku innych hitlerowców. Wydawało się, że każdy przedstawiciel Trzeciej Rzeszy w Budapeszcie chce uszczknąć z misji Branda coś dla siebie. Clages szczególnie nalegał, by pewien tajemniczy osobnik, Bandi Grosz, towarzyszył Brandowi w Stambule. Grosz był agentem Abwehry, niemieckiego wywiadu, którego działania na Węgrzech zostały ostatnio zakończone i zastąpione działalnością Clagesa. Grosz udawał się na misję zupełnie inną niż Brand - jej charakter miał się wyjaśnić dopiero za kilka miesięcy. Wieczorem, 17 maja 1944 roku, obaj mężczyźni zostali przewiezieni przez granicę do Austrii, skąd mieli samolotem dotrzeć do Stambułu. Brand wspomina, że obserwował siedzącego obok nieumytego i nieogolonego Grosza, który starał się zapamiętać jakieś instrukcje zapisane na prawie dwóch kartkach maszynopisu \* [\*Zob. też raport SIME nr 3 na temat przesłuchania Bandi Grosza 06-22/06/44. Akta nr SIME/P 7755, TNA 371/42811, s. 42-3.]. Był to źle wróżący na przyszłość początek tajemniczej i zakończonej niepowodzeniem misji.

Rysująca się możliwość wymiany Żydów na ciężarówki nie przeszkodziła Eichmannowi w kontynuowaniu zaplanowanych deportacji z Węgier oraz w przygotowaniu obozu oświęcimskiego na ich przyjęcie. Częścią przygotowań na wzmożone przybywanie transportów były zmiany w dowództwie obozu. Arthur Liebehenschel, który objął funkcję komendanta w listopadzie 1943 roku, został przeniesiony na mniej ważną komendanturę obozu w Majdanku. Nowym kandydatem całego garnizonu SS w Oświęcimiu miał być ni mniej, ni więcej tylko Rudolf Höss. Odpowiadali teraz przed nim komendanci obozów Auschwitz I i Auschwitz-Birkenau. Höss powrócił do łask: w obliczu nadchodzących wielkich zadań przywódcy SS zapomnieli o jego domniemych wykroczeniach.

Już następnego dnia po powrocie do obozu, 9 maja, Höss rozkazał przyspieszyć przygotowania do napływu Żydów z Węgier. Z obozowych plotek wynikało, że rządy Liebehenschla były nieudolne i pozbawione prawdziwej esesmańskiej „twardości”, co Höss zamierzał zmienić. Dopiero niedawno ukończono bocznice kolejową od odległej od 2 kilometry linii, tak że transporty mogły przybywać do samego serca obozu w Brzezince i być rozładowywane na nowej rampie, o 100 metrów od bliźniaczych krematoriów II i III. Höss rozkazał również natychmiastową naprawę pieców w krematorium V oraz wykopanie w jego pobliżu pięciu rowów do palenia zwłok \* [\*Zob. też „Auschwitz 1940-1945”, t. 5, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.]. Z doświadczeń nabytych w

1942 roku wiedział, że samo uśmiercanie Żydów nie nastreczy większych trudności, natomiast wyzwaniem będzie pozbycie się w krótkim czasie setek tysięcy ciał.

Warto zauważyć na marginesie, że Höss nie krył chęci powrotu do Oświęcimia. Odmówił przecież zerwania wszystkich więzów łączących go z obozem, pozostawiając w domu komendanta rodzinę, podczas gdy sam pracował w Berlinie (być może świadom faktu, że niemiecka rodzina jest znacznie bezpieczniejsza na południu Polski niż w nękanym nalotami stolicy Trzeciej Rzeszy). Energicznie rzucił się w wir obowiązków na nowym, wyższym stanowisku. Nasze intuicyjne założenie, że komendantura w Oświęcimiu była najgorszą pracą na świecie, okazuje się niezgodne z zapatrywaniami Hössa. Nie tylko walczył o utrzymanie się na tym stanowisku w listopadzie 1943 roku, kiedy go przenoszono, ale również z radością przyjął sześć miesięcy później wiadomość o powrocie do obozu. Wspomnienia Hössa milczą o jego prawdziwych uczuciach, kiedy wracał do Oświęcimia, nietrudno jednak znaleźć powody, dla których mógł się on cieszyć z powrotu do władzy. Po pierwsze, czuł się tam zapewne jak gospodarz - przecież to właśnie on był komendantem od momentu założenia - a po drugie, musiał wiedzieć, że węgierscy Żydzi są stosunkowo bogaci i bardzo prawdopodobne wydaje się, że zamierzał czerpać z ich śmierci osobiste zyski. Prawdopodobnie jeszcze ważniejsze było wyzwanie, które dla tego zażartego zwolennika „ostatecznego rozwiązania” stanowiła nowa akcja.

Dla większości Żydów na Węgrzech był to początek koszmaru. Przejście od stosunkowego dobrobytu i bezpieczeństwa do uwięzienia i rozpaczki zaszło tam szybciej niż w jakimkolwiek innym kraju, gdzie realizowano hitlerowskie „ostateczne rozwiązanie”. Na początku marca 1944 roku Alice Lok Cahana \* [\*Wywiad dla BBC.] żyła szczęśliwie z rodziną w Sarvăr, mieście w pobliżu austriackiej granicy. W jej mniemaniu wiedli wspaniałe życie. Ich dziadek był właścicielem dużej fabryki dywanów i rodzina była dość zamożna. Po przybyciu hitlerowców fabryka i należący do rodziny dom zostały przed upływem trzech tygodni sprzedane za jednego dolara człowiekowi nazwiskiem Krüger. Wkrótce potem, podobnie jak setki tysięcy innych węgierskich Żydów, zapędzono ich do zdążających do Oświęcimia pociągów. Alice, mająca wtedy piętnaście lat, jej o dwa lata starsza siostra Edith oraz reszta rodziny, gdy szli pod strażą na dworzec, minęli swój dom, w którego oknie siedział pan Krüger. „Było mi tak wstyd - wspomina Alice Lok Cahana. - Przyszła mi na myśl scena ucieczki z Egiptu. A tu siedział pan Krüger i patrzył, jak idziemy, nie ze współczuciem, ale z radością - był właścicielem naszej fabryki i naszego domu. W tej samej chwili zerwał się pies, który rozpoznał nas i zaczął szczekać”.

Alice, zbliżając się do dworca, jeszcze silniej doświadczyła naglej, wstrząsającej zmiany, która zachodziła w ich życiu. „Dworzec zawsze był dla mnie źródłem wspaniałych wspomnień, ponieważ ojciec miał swoje biuro w Budapeszcie i zawsze odprowadzałyśmy go tam w poniedziałek, a potem czekałyśmy na jego powrót w czwartek, kiedy przywoził nam jakieś podarki”. Teraz jednak miejsce kojarzące się jej ze szczęściem zmieniło się w coś zupełnie innego. „Zobaczyłyśmy wagony bydlęce! Powiedziałam siostrze: «To pomyłka! Podstawili wagony bydlęce - nie chcą chyba, żebyśmy w nich jechali. Dziadek nie może siedzieć na podłodze wagonu bydlęcego!»». Ale to oczywiście nie była pomyłka. Kiedy wsiedli do pociągu, zasunięto za nimi drzwi i zapadła ciemność. Jedyne światło docierało do wnętrza wagonów przez wąskie szczeliny w ścianach. W półmroku dostrzegli, że dziadek stara się usiąść na walizce obok babci. Było bardzo gorąco. Wkrótce powietrze wypełnił smród potu i ekskrementów ze stojącego w rogu wiadra, które miało służyć za toaletę. Podróż do Oświęcimia trwała cztery dni.

„Kiedy przybyliśmy na miejsce - wspomina Alice - powiedziałam Edith, że nic nie może być gorsze od tego wagonu - przypuszczałam, że będziemy musiały pracować i że dzieci dostaną lepsze jedzenie”. Kiedy wysiadły z wagonu i wmieszały się w tłum na rampie, siostra Alice powiedziała jej, żeby stanęła razem z dziećmi, obie były bowiem przekonane, że dzieci będą traktowane lepiej niż dorośli. Niemcy to przecież cywilizowany naród, myślały siostry. Alice, która była wysoka jak na swój wiek, stanęła więc pośród dzieci i ich matek - a właśnie ta grupa, zgodnie ze spaczoną logiką hitlerowców, miała pierwsza zostać wymordowana. Doktor Mengele, który tego dnia przeprowadzał na rampie selekcję, zauważył Alice i zainteresował się, czy była wyjątkowo wysokim dzieckiem, czy może młodą matką. „Haben Sie Kinder?” („Czy ma pani dzieci?”), spytał Mengele. Alice, która uczyła się niemieckiego w szkole, odparła, że ma tylko piętnaście lat. Mengele nakazał jej więc stanąć w innym szeregu - wśród grupy dorosłych nieprzeznaczonych na natychmiastową śmierć. Wkrótce potem zabrano ją do „sauny” w obozie Birkenau, gdzie wykąpała się, wygolono jej włosy i wydano zniszczone, za duże ubranie.

Alice została przydzielona do bloku 12 w Birkenau. Straciła kontakt z matką, ojcem, dziadkiem i siostrą - jej całą rodziną. Desperacko próbując się dowiedzieć czegoś o ich losie, zaczęła wypytywać inne więźniarki w bloku. Nieustannie domagała się, żeby zdradzić jej, gdzie znajduje się jej rodzina, a szczególnie Edith. Wtedy przyszła jednak blokowa kapo i uderzyła ją w twarz. „Nie zadajesz tutaj żadnych pytań! - krzychała. - Od tej chwili siedź cicho!”.

Alice nie chciała jednak się uciszyć. Za wszelką cenę chciała odnaleźć siostrę. Następna szansa zadania pytań pojawiła się, kiedy cały blok został obudzony o czwartej nad ranem następnego dnia i nakazano wszystkim więźniarkom udać się do latryn. Tutaj, w ponurej i cuchnącej atmosferze nad rowem kloacznym, zapytała, czy nikt nie wie, gdzie trafił ostatni węgierski transport. W końcu znalazła się kobieta, która przypuszczała, że Żydzi z Węgier znajdują się w sąsiednim odcinku obozu. Alice nie wiedziała jednak, w jaki sposób nawiązać kontakt z rodziną, która być może tam przebywa. Obóz Auschwitz-Birkenau był podzielony wysokimi ogrodzeniami na wiele mniejszych obozów (odcinków) i bez wyraźnego zezwolenia nie wolno było nikomu przechodzić z jednego do drugiego. Później jednak inna więźniarka powiedziała Alice, że każdego ranka ta sama osoba dostarcza cuchnącą namiastkę kawy do obu odcinków. Jeśli uda się jej napisać gryps, to może zdoła przekonać więźniarkę donoszącą kawę, żeby go wzięła.

Alice wkrótce nauczyła się, że za przysługi w Oświęcimiu trzeba płacić, i oddała swoją rację chleba za kawałek papieru i ołówek. Napisała liścik do Edith: „Jestem w bloku 12, odcinek C”, a następnie zdołała przekonać roznoszącą kawę więźniarkę, żeby wzięła ten gryps. Później, jak mówi Alice, „cudem”, po kilku dniach gryps wrócił z dopisaną odpowiedzią „Przyjdę do ciebie - Edith”. Po kilku dniach to właśnie Edith przyszła odnieść puste kubki po kawie. „Chwyciłam ją tylko za rękę - wspomina Alice - i byliśmy razem. Przysięgłyśmy sobie, że nigdy więcej nie damy się rozdzielić”.

Alice Lok Cahana i jej siostra Edith były tylko dwiema z 400 000 przywiezionych do Auschwitz węgierskich Żydów i Żydówek. Proporcja ludzi przeznaczonych do pracy zmieniała się w każdym transporcie - czasem wybierano tylko 10 procent, czasem około 30. Większość nowo przybyłych zawsze jednak trafiała do komór gazowych. W obozie nigdy na tak wielką skalę nie uśmiercano ludzi, 320 000 osób zginęło w ciągu niecałych ośmiu tygodni - skalą nieprzerwanej rzezi wyprzedziła Oświęcim tylko Treblinka w początkowym, chaotycznym okresie swojego istnienia, za który przypłacił usunięciem z komendantury doktor Eberl.

Aby dotrzymać kroku wciąż przybywającym transportom, hitlerowcy z 200 do 900 zwiększyli liczbę Żydów pracujących w Sonderkommando (komando specjalne). Ludzie ci zostali przydzieleni do najgorszej pracy w obozie: pomagali doprowadzić nowo przybyłe ofiary do komór gazowych i uspić ich czujność, a następnie zajmowali się przenoszeniem i paleniem ciał.

Dario Gabbai \* [\*Wywiad dla BBC.] i Morris Venezia \* [\*Wywiad dla BBC.], kuzyni z Salonik, niczego się nie spodziewając, zostali zwerbowani do pracy w Sonderkommando.



Przybywszy do Auschwitz w kwietniu 1944 roku, zgłosili się, kiedy Niemcy spytali, czy ktoś ma doświadczenie fryzjerskie. Ojciec Morrisa był właścicielem zakładu fryzjerskiego i mimo że Dario hic nie wiedział o fryzjerstwie, Morris kazał mu też podnieść rękę - jak wielu krewnych więzionych w obozie, pocieszała ich świadomość, że cokolwiek ich spotka, będą mogli stawić temu czoło razem.

Morris i Dario zostali zabrani do ceglanego budynku w Birkenau, gdzie otrzymali wielkie nożyczki, bardziej w ich mniemaniu nadające się do strzyżenia owiec niż ludzi, a następnie zaprowadzeni do pokoju wypełnionego nagimi ciałami ludzi. „Nie mogliśmy uwierzyć - opowiada Morris. - Wyglądali jak sardynki w puszcze!”. Kapo, który im towarzyszył, zaczął włożyć na stos ciał i odcinał kobiece włosy, pokazując, co mieli robić Morris i Dario. Kiedy zabrali się do ścinania włosów martwym kobietom, bali się nastąpić na ciała i ostrożnie chodzili wokół nich. Wzbudziło to gniew kapo, który zaczął ich bić różgą. Cięli więc szybciej, przesuając się od ciała do ciała, dopóki Dario nie nadepnął na brzuch jednej z kobiet i nie wycisnął stamtąd powietrza, tak że martwa wydała z siebie jęk. „Dario tak się przeraził - wspomina Morris - że zeskoczył ze stosu zwłok”. Ani kapo, ani Niemcy nie wytłumaczyli im, na czym będzie polegać ich praca, nie przygotowano ich, tylko od razu zanurzono w ten okropny świat. „Niewiarygodne! - mówi Morris. - Jak mogłem się czuć? Nikt nie potrafi sobie wyobrazić, co się tam naprawdę działo i co Niemcy tam wyprawiali”. Rzeczywiście, władze Auschwitz i innych obozów koncentracyjnych otrzymały w sierpniu 1942 roku rozkaz, by zbierać ludzkie włosy dłuższe niż kilka centymetrów, ponieważ miała być z nich robiona przędza, z której będą wytwarzane „stopy pończoch przeznaczonych dla załóg łodzi podwodnych oraz pończochy filcowe dla kolejnictwa” \* [\*Andrzej Strzelecki, „Utylizacja zwłok ofiar” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 2, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995, s. 300.].

Dario i Morris zrozumieli, że aby przetrwać, muszą się przystosować - i to szybko. Kiedy więc do obozu przybywał transport za transportem, w pośpiechu wprawiali się w swojej pracy. Nowo przybyłe ofiary zapędzano do długiej podziemnej rozbieralni, a następnie krzykami zmuszano do rozebrania się i zapamiętania, gdzie zostawiły ubrania, ponieważ Niemcy chcieli, żeby uwierzyły, że odzyskają je po prysznicu. Wiele kobiet krzychało: „Wstyd! Wstyd!” - kiedy nagie zapędzano je w kierunku znajdującej się dalej komory gazowej. „Niektórzy ludzie zaczęli podejrzewać, że dzieje się coś niedobrego - opowiada Dario Gabbai - ale nikt nic nie robił. Wiecie, proces musiał się toczyć [dalej]. Wszystko działo się tak, jak chcieli Niemcy. Oni to organizowali od wielu, wielu lat - więc wszystko szło gładko”.

Komory gazowe w krematoriach II i III znajdowały się pod ziemią, dlatego wprowadzenie gazu do wypełnionych ludźmi pomieszczeń było stosunkowo łatwe. Esesmani stali na dachu komory i otwierali znajdujące się tam otwory prowadzące do znajdujących się niżej specjalnych kolumn z drucianej siatki. Pojemniki z cyklonem B wrzucano następnie do otworów, które szczelnie zamykano pokrywami, kiedy grudki trującej substancji znalazły się już na dole. Po drugiej stronie hermetycznie zamkniętych drzwi Dario Gabbai i Morris Venezia słyszeli dzieci i ich matki płaczące i drapiące w ściany. Morris pamięta, jak w komorze znajdowało się ponad tysiąc osób, które wołały: „Boże! Boże!”. „Jak głosy z podziemi - wciąż słyszę takie głosy w swojej głowie”. Kiedy hałas ustawał, włączano silne wentylatory w celu przewietrzenia komory i rozpoczynała się praca Morrisa, Daria i reszty Sonderkommanda. „Kiedy otworzyli drzwi - opowiada Dario - zobaczyłem tych ludzi, którzy pół godziny wcześniej szli [do komory gazowej], zobaczyłem, że wszyscy stoją, kobiety z dziećmi na ręku”. Więźniowie z Sonderkommanda musieli usunąć ciała z komór gazowych i specjalną windą przewieźć do pieców krematoryjnych na parterze powyżej piwnicy. Następnie ze szlauchami wchodzili z powrotem do komory i usuwali ślady krwi i ekskrementów ze ścian i podłogi.

Wszystkie te straszliwe działania były często nadzorowane przez zaledwie dwóch esesmanów. Nawet w okresie największego nasilenia masowej rzezi w budynkach krematoriów przebywało ich niewielu. W ten sposób ograniczano do minimum liczbę Niemców narażonych na uraz psychiczny, którego doznawali członkowie plutonów egzekucyjnych na wschodzie. Ale wśród esesmanów, którzy nadzorowali uśmiercanie ludzi, nie zanotowano udokumentowanych przypadków załamania nerwowego, a niektórzy z nich najwyraźniej czerpali nawet sadystyczną przyjemność ze swojej pracy. Dario Gabbai pamięta jednego z esesmanów, który od czasu do czasu przychodził do krematorium, wybierał sobie sześć lub siedem pięknych dziewcząt i nakazywał się im rozebrać przed ludźmi z Sonderkommanda. Potem strzelał im w piersi lub genitalia, zabijając je przed więźniami. „W takich chwilach nie istnieją uczucia - opowiada Dario. - Wiedzieliśmy, że nasze dni też są policzone - w tym miejscu nie mieliśmy szans na przetrwanie. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić”.

Morris Venezia wspomina, jak jednej nocy w szczytowym okresie akcji węgierskiej do jednego z esesmanów podeszły trzy kobiety, dwie siostry i ich przyjaciółka, i poprosiły, żeby zabić je razem. Esesman „z wielkim zadowoleniem” zgodził się spełnić ich prośbę, kazał im ustawić się gęsiego, wyjął rewolwer i zabił je wszystkie jednym pociskiem. „Zaraz je wzięliśmy - mówi Morris Venezia - i wrzuciliśmy do ognia. Wtedy usłyszeliśmy krzyk -

pierwszej z nich nie trafił pocisk, tylko zemdlała [...]. A ten niemiecki oficer był zadowolony, bo przynajmniej dwie zabił jednym wystrzałem. Te zwierzęta [...]. Ludzki mózg nie może w to uwierzyć ani zrozumieć tego - nie można w to uwierzyć. Ale ja to widziałem”.

Świadcstwo tych, którzy przetrwali obóz, potwierdziły dokumenty z epoki. Relacja Morrisa i Daria jest zbieżna z listami napisanymi przez innych więźniów z Sonderkommanda, które zakopali przy krematorium i które odnaleziono po wojnie. Zapiski te są jednymi z najbardziej wstrząsających materiałów w historii obozu oświęcimskiego również dlatego, że autorzy wszystkich z nich zostali zamordowani. We fragmentach listu nieznanego więźnia, znalezionych w pobliżu ruin krematorium III w 1952 roku, znajdujemy przykłady seksualnego sadyzmu strażników podobnego do ekscesów opisywanych przez Daria i Morrisa: „... albo Scharführer Frost. Ten po przybyciu wielu transportów stawał przy wejściu do rozbieralni i obmacywał narządy płciowe każdej młodej kobiety, która udawała się do komory gazowej i akurat nago przechodziła obok niego. Zdarzały się również sytuacje, że esesmani wszystkich rang wkładali palce do narządów rodnych ładnych dziewcząt” \* [\*„Amidst a Nightmare of Crime: Manuscripts of Members of Sonderkommando”, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1973, s. 119.]. Nieznany więzień zapisał również oburzenie innych Żydów na więźniów pomagających Niemcom; w tym wypadku przemówił siedmioletni chłopczyk: „Dlaczego, skoro jesteś Żydem, prowadzisz takie kochane dzieci do gazu - tylko żeby przeżyć? Czy życie wśród bandy morderców jest ci droższe od życia tylu mordowanych Żydów?” \* [\**Ibid.*, s. 119.].

Być może najbardziej przepełnione goryczą ze wszystkich listów członków Sonderkommanda są zapiski Chaima Hermana, zaadresowane do jego żony i córki, które odnaleziono pod stosem ludzkich popiołów w jednym z krematoriów w lutym 1945 roku. Nie mógł on wiedzieć na pewno, czy jego rodzina żyje, czy nie, ale wciąż prosił swoją żonę o przebaczenie: „Jeśli były między nami czasem głupie kłótnie, to teraz widzę, jak należy cenić te chwile, kiedy byliśmy razem” \* [\**Ibid.*, s. 182.]. Opisuje swoje życie w obozie Auschwitz jako „zupełnie inny świat, ten tutaj, jeśli można to tak powiedzieć, to po prostu piekło, ale piekło Dantego jest śmieszne w porównaniu z tym prawdziwym tutaj, a my, naoczni świadkowie, nie możemy opuścić go żywi...” \* [\**Ibid.*, s. 185.]. Z wielką powagą stara się ją zapewnić, że nie popada w szaleństwo: „W tym miejscu chcę was wszystkich zapewnić, że odejdę w spokoju i może heroicznie (to będzie zależało od okoliczności)” \* [\**Ibid.*, s. 181.]. Niestety, nie przetrwał ani jeden świadek, który mógłby opowiedzieć, czy Chaim Herman dotrzymał złożonej żonie obietnicy, kiedy został w końcu zabity wkrótce po napisaniu tego niezwykłego listu w listopadzie 1944 roku.

Wielu członków Sonderkommanda - wśród nich Dario i Morris - wiedziało, że ich najbliżsi zginęli już w krematoriach, i zdawało sobie sprawę, że pomagają zabijać tysiące innych ludzi. Każdy z nich musiał sobie z tą świadomością jakoś poradzić. Dla Daria było to proste - „zamknął” swój umysł na to, co działo się wokoło niego, i pozostawał „ogłuszony” jak „robot”. „Po pewnym czasie nic do człowieka nie dociera - nic nie martwi. Właśnie dlatego sumienie skrywa się w człowieku i tam pozostaje. Co się działo? Dlaczego to robiliśmy?”. W głębi serca wie, dlaczego kontynuował pracę w Sonderkommandzie. Nieważne, jak było źle, „zawsze znajdowała się siła, żeby przeżyć następny dzień”, ponieważ chęć życia jest tak „potężna”. Morris Venezia poczuwa się do jeszcze większej odpowiedzialności za swoje czyny, mówiąc: „My też zmieniliśmy się w zwierzęta... każdego dnia palenie trupów, każdego dnia, każdego dnia, każdego dnia. Człowiek się przyzwyczaja”. Słyszac krzyki dochodzące z komór gazowych, „czuliśmy, że powinniśmy popełnić samobójstwo, a nie pracować dla Niemców. Ale to nie jest takie łatwe”.

Jak to potwierdzają niedawne relacje i wykopane przy krematoriach zapiski, członkowie Sonderkommanda bezpośrednio uczestniczyli we wszystkich etapach uśmiercania; ale ich związek ze śmiercią był najintymniejszy, kiedy do krematoriów trafiały małe grupy ofiar. „Czasami przybywały transporty z pięćdziesięcioma ludźmi - wspomina Dario - i musieliśmy ich brać, prowadzić pojedynczo za uszy, a esesmani strzelali im w plecy”. Pamięta, że było przy tym „pełno krwi”.

Warunki życia członków Sonderkommanda, w porównaniu z innymi więźniami obozu, były stosunkowo dobre. Morris i Dario spali na poddaszu krematorium na czystszych pryczach, w których było mniej pluskiew niż w zwykłych barakach. Wieczorami mogli siedzieć i rozmawiać o życiu przedobozowym, a czasami śpiewać greckie pieśni. Jedzenie było lepsze niż w innych częściach obozu, czasami mieli nawet wódkę. Było to możliwe, ponieważ Sonderkommando miało dostęp do mienia ofiar tak samo jak więźniowie pracujący w „Kanadzie”. W czasie uśmiercania na kilku etapach nadarzała się okazja „zorganizowania” czegoś dla siebie. Do obowiązków Sonderkommanda należało zbieranie ubrań ofiar w rozbieralni i więźniowie często znajdowali przy tym ukryte wartościowe przedmioty i jedzenie - diamenty i złoto ukrywano najczęściej w butach. Dodatkowym upokorzeniem było przeszukiwanie naturalnych otworów zwłok, gdzie czasem też znajdowano ukrytą biżuterię.

Całe mienie ofiar powinno być oddawane kapo, którzy mieli przekazać je esesmanom. Podobnie jednak jak więźniowie pracujący w „Kanadzie”, członkowie Sonderkommanda mogli ukryć część zagrabionych przedmiotów i wymienić je na kwitującym w obozie czarnym rynku. Handlowano albo przez więźniów, którzy musieli wykonywać w krematoriach różne

zadania służbowe (na przykład z obozowymi strażakami), albo bezpośrednio z esesmanami. W ten sposób więźniowie ci mogli wzbogacić swe niewielkie oficjalne racje żywnościowe o delikatesy takie jak salami, papierosy czy alkohol. Miklos Nyiszli, specjalista medycyny sądowej i więzień Auschwitz, tak opisuje jedzenie, do którego mieli dostęp: „Na stole leżał wielki stos różnych prowiantów, wszystkie pochodziły od deportowanych ludzi, którzy zabierali je na niepewną przyszłość: przetwory, dżemy, kilka rodzajów salami, ciastka i czekolada” \* [\*Miklos Nyiszli, „Byłem asystentem doktora Mengele”, przeł. Tadeusz Olszański, Oświęcim 2000, s. 8.]. Pamięta, że „stół, który nas oczekiwał, był przykryty grubym brokatowym obrusem; talerze z dobrej porcelany miały inicjały; sztuce były srebrne - wszystkie te rzeczy należały do ofiar”.

Oczywiście te luksusy w bardzo małym stopniu rekompensowały straszliwą pracę i życie w Sonderkommandzie. Łatwo sobie wyobrazić - szczególnie po usłyszeniu Daria Gabbai, kiedy mówił o zamknięciu umysłu i działaniu „jak robot” - że uczucia członków Sonderkommanda obumarły pod wpływem codziennej, ohydnej pracy. Pewne wydarzenie z życia Morrisa i Daria dowodzi, że tak jednak wcale nie było i że w więźniach zawsze tliła się iskierka człowieczeństwa, której hitlerowcy nie zdołali zgasić. Pewnego dnia, w lecie 1944 roku, zobaczyli swojego kuzyna w grupie chorych więźniów, którzy zostali przyprowadzeni do krematorium, gdzie miano ich zastrzelić. Wiedzieli, że nic nie można zrobić, by uratować kuzyna - krematoria były ogrodzone wysokim płotem - ale Morris chciał w jakiś sposób pomóc mu w ostatnich chwilach. „Podbiegłem do niego i spytałem: «Jesteś głodny?»». Oczywiście wszyscy byli głodni. Wszyscy niemal umierali z głodu. Więc odpowiedział: «Tak, jestem bardzo głodny»,,. Patrząc na osłabłego z głodu kuzyna, postanowił zaryzykować. Kiedy kapo nie patrzył, pobiegł na górę do swojego pokoju, wziął puszkę mięsa, otworzył ją i pobiegł z powrotem na dół, aby dać ją kuzynowi. „W jednej chwili połknął wszystko - tak był głodny. A potem go zabili”. Uciec na chwilę, żeby przynieść krewnemu ostatni posiłek w życiu, to może niezbyt heroiczny akt, ale za taki należy go uznać, jeśli weźmiemy pod uwagę realia życia w Sonderkommandzie, gdzie więźniowie bez przerwy podlegali emocjonalnym wstrząsom, doświadczając najgorszych okropności.

Od 15 maja do 9 lipca z Węgier wysłano do Oświęcimia około 434 000 osób. Ta straszliwa liczba zadaje kłam złożonym po wojnie zeznaniom Eichmanna, według których zależało mu na powodzeniu misji Branda. Pociągi ruszyły, zanim jeszcze Brand opuścił Budapeszt, i kiedy próbował on zainteresować aliantów propozycją Eichmanna, wciąż wyruszały nowe.

Kiedy samolot z Brandem na pokładzie wylądował w Turcji 19 maja, Brand natychmiast skontaktował się w hotelu Pera Palace z tureckim oddziałem Agencji Żydowskiej, przedstawicielami żydowskiej wspólnoty w Palestynie. W pośpiechu przekazał im propozycję Eichmanna i ujawnił, że w jego mniemaniu jest mało prawdopodobne, by Anglicy zgodzili się na przekazanie Niemcom ciężarówek. Opinia Branda nie miała jednak znaczenia, jeśli tylko alianci wysuną jakieś kontrpropozycje i wciągną Niemców w rozmowy. Brand z rozgoryczeniem się dowiedział, że żaden z żydowskich przywódców nie może się z nim spotkać i że wysłanie telegramu do Jerozolimy uznano za niemożliwe - wiadomości miały być Palestynie przekazane osobiście przez kurierów. Dla Joela Branda rozpoczęło się w ten sposób długie pasmo upokorzeń i rozgoryczenia.

Dopiero 26 maja szef Agencji Żydowskiej w Palestynie poinformował angielskiego dyplomata, sir Harolda MacMichaela, o propozycji hitlerowców. Brytyjczycy odrzucili ją niemal natychmiast, uważając, że jest to próba rozbicia koalicji antyhitlerowskiej. Trzydziestego maja, na posiedzeniu komisji rządu brytyjskiego do spraw uchodźców, uznano, że propozycja Eichmanna jest zwykłym szantażem i nie należy jej przyjmować. Amerykanie szybko doszli do tego samego wniosku i chcąc, by Stalin jak najszybciej o wszystkim się dowiedział, 9 czerwca poinformowali o tej propozycji Moskwę. Radziecki wicekomisarz spraw zagranicznych zgodnie z oczekiwaniami odpowiedział 19 czerwca, że władze Związku Radzieckiego uważają za „niedopuszczalne” \* [\*Zob. też Yehuda Bauer, „Jews for Sale?”, Yale University Press 1994, s. 180.] wszelkie rozmowy z Niemcami na ten temat.

Brand i jego towarzysz Bandi Grosz przebywali w tym czasie pod nadzorem Brytyjczyków i to właśnie nieciekawa postać Grosza zaczęła wzbudzać największe zainteresowanie. W połowie czerwca, w czasie przesłuchania przez wywiad brytyjski w Kairze, wyjawiał on ku ogólnemu zaskoczeniu, że misja Branda była jedynie przykrywką dla jego własnej. Został jakoby wysłany na bezpośredni rozkaz Himmlera, aby doprowadzić do spotkania w neutralnym kraju pomiędzy wyższymi oficerami brytyjskimi i amerykańskimi a trzema wysokiej rangi przedstawicielami SD - podległej Himmlerowi służby wywiadowczej. Celem spotkania miało być omówienie pokoju odrębnego z aliantami zachodnimi, aby Niemcy mogły razem z nimi walczyć przeciw Związkowi Radzieckiemu.

W ciemnym świątku, w którym obracał się Grosz - okazało się później, że był on co najmniej potrójnym agentem, który pracował i zdradzał każdego, kto mu płacił - niepodobna określić, jakie motywy stały za propozycją, którą przekazał w Kairze. Na pewno pochodziła ona jednak od Himmlera \* [\**Ibid.*, s. 167.], a Reichsführer SS uznał, że gra taka przyniesie mu korzyść. Pomiedzy nim a Groszem było dostatecznie wielu pośredników, wśród nich

między innymi Clages, by móc wszystkiego się wyprzeć, jeśli sprawa wyjdzie na jaw. Ponadto, gdyby alianci zachodni zdecydowali się na rozpoczęcie rozmów, Himmler stał przed obiecującą alternatywą: albo sam ujawni ten fakt, by zasiać nieufność pomiędzy Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, albo będzie się rzeczywiście starał zawrzeć z nimi porozumienie.

Brytyjczycy i Amerykanie oczywiście nigdy nie wzięli na serio oferty Grosza i z perspektywy czasu wydaje się niewiarygodne, że w ogóle ją złożono. Ukazuje ona jednak mentalność hitlerowskich przywódców, szczególnie Himmlera, w tym decydującym okresie wojny. Oczywiście wiedział on, że przybrała ona niepomysłny dla Niemiec przebieg, i zapewne w dużej mierze skłoniło go to do złożenia przez Grosza propozycji, ale najwyraźniej jego motywy były również ideologiczne. Po prostu Himmler - podobnie jak wielu innych hitlerowców - prawdopodobnie nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Wielka Brytania i Stany Zjednoczone sprzymierzyły się ze Stalinem. Marzeniem hitlerowców zawsze było przymierze z Wielką Brytanią przeciw Związkowi Radzieckiemu. W wizjach Hitlera Niemcy miały być mocarstwem dominującym w Europie kontynentalnej, a Wielka Brytania, dzięki swojemu imperium, dominującą na świecie potęgą morską. W 1940 roku jednak dojście do władzy Winstona Churchilla pogrzebało wszelkie nadzieje na porozumienie pomiędzy tymi dwoma krajami. Poczucie rozgoryczenia po tej zmianie w brytyjskiej polityce zagranicznej było tak głębokie, że nie ustało nawet po wojnie. Przed kilkoma laty były członek SS przed udzieleniem wywiadu zadał mi pytanie: „Jak to się mogło stać?”. Sądząc, że chodzi mu o eksterminację Żydów, odpowiedziałem, że jestem zadowolony, że odczuwa wyrzuty sumienia w związku z tą zbrodnią. „Nie o to mi chodzi - odrzekł. - Pytałem, jak to się mogło stać, że Wielka Brytania i Niemcy zaczęły walczyć ze sobą? To tragedia. Wy straciliście swoje imperium, mój kraj został spustoszony, a Stalin podbił wschodnią Europę”.

Niewątpliwie podobne poglądy miał Himmler późną wiosną 1944 roku. W skrytości ducha wciąż oczekiwał, że alianci zachodni będą działać „racjonalnie” i razem z Niemcami stawiać czoło Stalinowi. Podobnie rozumowali pod koniec wojny niemieccy generałowie, którzy po samobójstwie Hitlera próbowali poddać się tylko aliantom zachodnim, a nie Armii Czerwonej. Nic jednak nie sugeruje, że Hitler podzielał pragnienie Himmlera, by zawrzeć pokój odrębny z aliantami wiosną 1944 roku, nie ma również dowodów, by wiedział cokolwiek o misji Bandi Grosza. Hitler był dostatecznym realistą politycznym, by zdawać sobie sprawę, że żaden pokój zawarty z pozycji słabości nie będzie korzystny. Misja Branda stanowi więc początek rozłamu pomiędzy Hitlerem i jego „wiernym” Heinrichem - rozłamu, który miał się stawać coraz wyraźniejszy w miarę, jak wojna zbliżała się do końca.

Propozycje Branda i Grosza zostały odrzucone przez aliantów, ale dołożyli oni wszelkich starań, by swojego stanowiska nie przekazać bezpośrednio Niemcom i umożliwić sobie prowadzenie negocjacji lokalnie, na Węgrzech. W obliczu przedłużającego się milczenia Brytyjczyków i Amerykanów żona Branda, wspomagana przez innego członka Komitetu Ratunkowego i Pomocy, Rudolfa Kasztnera, próbowała jeszcze raz przekonać Eichmanna, żeby dowiódł swojego zaangażowania w propozycję „Żydzi za ciężarówkę”, uwalniając pewną liczbę węgierskich Żydów, zanim alianci odpowiedzą. Prowadzący negocjacje z Eichmannem Hansi Brand i Rudolf Kasztner zostali jednak aresztowani przez władze węgierskie, które same chciały dowiedzieć się, co się dzieje. Oboje zostali w areszcie pobici, zanim Niemcy zdołali zareagować i wymusić ich zwolnienie. Niczego Węgrom nie zdradzili i wciąż starali się przekonać Eichmanna do gestu dobrej woli wobec aliantów.

Eichmann i jego towarzysze z SS zgodzili się w końcu na wywiezienie pociągiem z Rzeszy niewielkiej liczby Żydów. Najważniejszym motywem stojącym za tą decyzją była zwykła zachłanność. Cena za miejsce w tym pociągu, wyznaczona najpierw na 200 dolarów (przez Eichmanna), wzrosła do 2000 dolarów (na żądanie Bechera) i ustaliła się w końcu na poziomie 1000. Specjalna komisja, na której czele stał Kasztner, wybrała osoby, które miały dostać miejsce. Według Ewy Speter \* [\*Wywiad dla BBC.] miała być to „arka Noego - wszystko i wszyscy mieli być tam reprezentowani: organizacje młodzieżowe, nielegalni uchodźcy, ortodoksi, naukowcy, syjoniści”. Była to jednak pod wieloma względami dziwna „arka”, gdzie osobiste powiązania mogły pomóc w uzyskaniu miejsca, ponieważ idącą w setki, uprzywilejowaną grupą pasażerów byli krewni i przyjaciele z rodzinnego miasta Kasztnera, Cluju. A ojciec Ewy Speter był w komisji, która zdecydowała, że Eva, jej mąż, syn, wuj i dziad mają znaleźć się na liście.

Ponieważ wielu z dopuszczonych do pociągu nie mogło sobie pozwolić na niezwykle wysoką opłatę, część miejsc sprzedano bogatym Węgrom, którzy płacili za innych. Prowadziło to do arbitralnych rozróżnień w rodzinach. Eva Speter, jej mąż i syn, na przykład, nie musieli płacić za swoje miejsca, natomiast jej wuj i dziadek już tak. Decyzja ta wydaje się tym bardziej nielogiczna, że mąż Ewy (który nie płacił za swoje miejsce) wspomagał finansowo innych pasażerów. „Mój mąż był wtedy dość bogaty i dał mojemu wujowi i dziadkowi pieniądze, a wszystko, co mu zostało, przekazał Kasztnerowi”. Laszlo Devecseri \* [\*Wywiad dla BBC.] był innym węgierskim Żydem, który dostał się do zbawczego pociągu, a pozwolono mu do niego wsiąść, ponieważ pomagał organizować obóz zbiorczy na ulicy Kolumba w Budapeszcie, gdzie wybrańcy oczekiwali na odjazd. „Oczywiście wszyscy o nim



[pociągu] słyszeli i chcieli się dostać na listę, ale wielu ludzi nie mogło, bo było ich sześćset tysięcy, a miejsc tylko tysiąc sześćset. Ci, którzy zostali, zrobili z Kasztnera kozła ofiarnego”.

Kasztner rzeczywiście miał być za swoje czyny potępiany po wojnie - nie tylko za umieszczenie w pociągu swojej rodziny, ale również za to, że nie ostrzegł węgierskich Żydów o zbliżającym się niebezpieczeństwie. W 1954 roku Kasztner oskarżył o oszczerstwo niejakiego Malkiela Grünwalda, który oskarżył go o „zdradę” Żydów, ale sprawa szybko zamieniła się w sąd nad zachowaniem Kasztnera i sędzia oświadczył w końcu, że był on winny „zaprzędania duszy szatanowi”. Był to zapewne surowy osąd, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę presję, pod jaką żył Kasztner wiosną i latem 1944 roku, a Kasztner już wcześniej dowiódł swoich dobrych intencji, ratując wielu Żydów ze Słowacji. Ostrzeżenie węgierskich Żydów najprawdopodobniej uniemożliwiłoby jakiegokolwiek negocjacje z Eichmannem w przyszłości i - według jednego z historyków tego okresu - Kasztner „nie mógłby nikogo ostrzec” \* [\*Zob. też komentarze Yehudy Bauera, Israel Gutman [red.], „Encyclopedia of the Holocaust”, Macmillan 1990, s. 790.]. Człowiek ten nie był jednak na pewno doskonały. W obronie przed sądem nie pomógł mu jego szorstki charakter ani fakt, że rozpoczął romans z Hansi Brand podczas nieobecności jej męża. Stał się obiektem nienawiści nacjonalistycznej prawicy w Izraelu i został zamordowany w 1957 roku, tuż przed ogłoszeniem przez izraelski Sąd Najwyższy unieważnienia pogrążającego Kasztnera wyroku w sprawie o oszustwo.

Wypełniony uchodźcami pociąg wyruszył w końcu z Budapesztu 30 czerwca 1944 roku, po przekazaniu SS w walizkach kosztowności i wielkich sum pieniędzy - w tym wymuszeniu brali już udział Becher, Clages i Eichmann. Nie było oczywiście gwarancji, że 1684 pasażerów nie trafi dobrze znaną trasą do Oświęcimia. „Cały czas się baliśmy - wspomina Eva Speter - i oczywiście baliśmy się również w pociągu. Cały czas nie wiedzieliśmy, jaki czeka nas los - ale człowiek nigdy nie wie, czy na przykład za pięć minut nie będzie trzęsienia ziemi. To dobrze”. Pociąg zmierzał jednak na zachód, nie na północ, przemierzając Austrię, i dotarł w końcu do Linzu. Tutaj się zatrzymali, ponieważ, jak powiedzieli hitlerowcy, Żydzi mieli zostać poddani badaniu lekarskiemu i „dezynfekcji”. W pociągu zapanował po tym ogłoszeniu strach, ponieważ pasażerowie wiedzieli, że właśnie w taki sposób starano się oszukać czujność Żydów przed wysłaniem ich do komór gazowych. „Pamiętam, że stałam nago przed lekarzem - opowiada Eva Speter - ale zachowałam dumę, patrząc mu prosto w oczy i myśląc, że powinien zobaczyć, jak dumnie Żydówka potrafi iść na śmierć”. Potem poszła pod prysznic, z którego poleciała „wspaniała, ciepła woda”. „To było wielkie ukojenie, bo wszyscy spodziewaliśmy się tam umrzeć”.

Mimo że pociąg Kasztnera nie jechał do obozu śmierci, zmierzał w głąb Niemiec - wbrew obietnicy hitlerowców - do obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen w Dolnej Saksonii. Obóz Bergen-Belsen miał się okryć niesławą, kiedy alianci go wyzwolili w kwietniu 1945 roku i świat obiegły straszliwe fotografie więźniów, którzy dotrwali do końca wojny. Ale w chwili kiedy przyjechali tam węgierscy Żydzi, był to inny obóz. Jego przeznaczeniem, po założeniu w kwietniu 1943 roku, było przetrzymywanie więźniów, których hitlerowcy mogliby wywieźć później z Rzeszy.

Położenie więźniów w Bergen-Belsen było tym bardziej skomplikowane, że obóz podzielono na kilka podobozów, które znacznie różniły się warunkami życia. W „obozie więziennym”, zbudowanym dla 500 „zwykłych” więźniów, którzy rozpoczęli budowę obozu, panowały przerażające warunki. Natomiast w „obozie gwiazdzistym” przeznaczonym dla *Austauschjuden* („Żydów do wymiany” \* [\*Hotel Polski - kryptonim niemieckiej akcji ujęcia w połowie 1943 roku warszawskich Żydów ukrywających się po tzw. stronie aryjskiej. Osoby te skuszono możliwością zdobycia paszportów państw południowoamerykańskich, uprawniających do wyjazdu z Europy w ramach wymiany obywateli. Spośród około 3 tysięcy chętnych Niemcy wysłali 300 osób do ośrodka internowania w Vittel we Francji, a 2-2,5 tysiąca do obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen. Grupę osób czekających na ostatni transport z Warszawy rozstrzelano na Pawiaku. Na przełomie 1943 i 1944 roku więźniów z Bergen-Belsen przewieziono do Auschwitz i zamordowano (przyp. A.Ż.)] życie - choć bardzo ubogie - było stosunkowo lepsze. Tutaj rodziny mieszały razem, a więźniowie mogli nosić własne ubrania. Będący wtedy małym chłopcem Szmuel Huppert \* [\*Wywiad dla BBC (w programie „Timewatch: Himmler, Hitler and the End of the Reich”. Transmisja 19/01/2000. Prod. Detlef Siebert. Autor tej książki był kierownikiem produkcji).] został wysłany do Bergen-Belsen z matką jako potencjalny *Austauschjude*. Ponieważ był jednym z nielicznych Żydów mających certyfikaty upoważniające do emigracji do Palestyny, hitlerowcy uznali go za jednego z pierwszych kandydatów do potencjalnej wymiany zakładników. „Życie było tam w pewien sposób do przyjęcia - opowiada Szmuel. - Do przyjęcia, ponieważ mieliśmy po trzy koce i nie było nam zimno, mieliśmy też co jeść. Nie było tego dużo, ale dało się przeżyć. Nie pracowaliśmy - uczyłem się w Bergen-Belsen grać w szachy, w które grywam do dzisiaj. Ale najważniejszy był fakt, że byliśmy razem i że nigdy nie oddzielono mnie od matki”.

Fakt, że hitlerowcy rozważali przekazanie Żydów na zachód, wydaje się na pierwszy rzut oka zupełnie odbiegać od ich polityki eksterminacji. Należy jednak pamiętać, że zanim hitlerowcy zaczęli realizować „ostateczne rozwiązanie”, ich preferowaną metodą

rozwiązywania „problemu” żydowskiego było grabienie mienia Żydów, a następnie wypędzanie ich, polityka, którą pilnie wprowadzał w życie Eichmann po aneksji Austrii w 1938 roku. Próba zmuszenia bogatych Żydów do wykupienia swoich ziomeków za twardą walutę była więc zgodna z hitlerowskim poleceniem, by się ich „pozbyć”. Mimo że nigdy nie próbowano doprowadzić do tak wielkiej umowy jak „milion Żydów za 10 000 ciężarówek”, to już w grudniu 1942 roku Himmler uzyskał od Hitlera zezwolenie na odpłatne wypuszczanie z Niemiec pojedynczych Żydów.

W lipcu 1944 roku 1684 węgierskich Żydów z pociągu Kasztnera przekonało się, że Bergen-Belsen nie jest miejscem kaźni, której tak bardzo się obawiali. Wciąż jednak wszyscy się bali, że hitlerowcy nie dotrzymają obietnicy i Węgrzy nigdy nie zostaną uwolnieni; strach ten nasilał się w miarę, jak mijały miesiące, a warunki w obozie zaczęły się pogarszać. Wszyscy zostali jednak uwolnieni i zawdzięczali swą wolność negocjatorom, które prowadzili, głównie przez Bechera, żydowscy wysłannicy w Szwajcarii. W grudniu tego samego roku Eva Speter i jej rodzina wsiedli do pociągu, który z Bergen-Belsen ruszył na południe i opuścił w końcu tereny kontrolowane przez hitlerowców. „Kiedy dowiedziałam się, że jesteśmy już w Szwajcarii - wspomina - jakby spadł mi z serca wielki kamień, muszę to powiedzieć. Szwajcarzy przyjęli nas bardzo pięknie - tureckie ręczniki, ciepła woda, mydło. To było niebo”.

Kasztner i Hansi Brand nie mogli przewidzieć losu pociągu, który opuszczał Budapeszt 30 czerwca, nie mogli również przewidzieć dramatycznych wydarzeń, które w ciągu kilku dni doprowadziły do zatrzymania deportacji z Węgier. Zaledwie tydzień przed odjazdem pociągu alianci otrzymali bowiem dokładne i pewne świadectwo o zbrodniach popełnianych w Oświęcimiu. Informacja o eksterminacji Żydów dotarła na zachód już w czasie masowych egzekucji w 1941 roku \* [\*Pierwsze meldunki o masowych egzekucjach Żydów na polskich kresach dotarły do rządu polskiego w Londynie na przełomie października i listopada 1941 roku. Pierwszy dotarł meldunek z 27 sierpnia 1941 roku o rozstrzelaniu 6 tysięcy Żydów koło Czyżewa Szlacheckiego niedaleko Łomży. W styczniu 1942 roku dotarły meldunki o masowych mordach na Białostocczyźnie i w wileńskich Ponarach. Informacje te polskie władze udostępniały opinii publicznej w depe szach publikowanych w wydawanym w Londynie „Dzienniku Polskim”. Nasilenie kampanii informacyjnej nastąpiło w czerwcu 1942 roku, kiedy do Londynu dotarły pierwsze podsumowujące raporty żydowskich organizacji z kraju. Najważniejszym świadectwem przeprowadzania ludobójstwa był list działaczy warszawskiego Bundu z 11 maja 1942 roku. Donoszono w nim, że na terenach wschodnich zamordowano już 700 tysięcy Żydów. Informację tę podało 2 czerwca 1942 roku BBC oraz

24 czerwca „Dziennik Polski”, 9 lipca ministrowie informacji brytyjski i polski urządzili w tej sprawie konferencję prasową. 29 lipca „Dziennik Polski” pisał o gazowaniu Żydów w Bełżcu oraz rozpoczęciu deportacji na wschód Żydów z Warszawy. Dalsze, dokładniejsze informacje o zagładzie przekazał władzom polskim na przełomie listopada i grudnia 1942 roku emisariusz z kraju Jan Karski. 27 listopada 1942 roku emigracyjna Rada Narodowa podjęła rezolucję potępiającą mord na polskich Żydach. Konsekwencją polskich inicjatyw było wydanie 17 grudnia 1942 roku deklaracji trzech mocarstw, rządów krajów okupowanych i Narodowego Komitetu Francuskiego, potępiającej bestialską politykę zagłady Żydów i zapowiadającej ukaranie winnych (przyp. A.Ż.)- sam Churchill otwarcie potępił hitlerowską politykę masowego mordowania, a polski rząd na uchodźstwie informował rządy sprzymierzonych o istnieniu Auschwitz jako obozu koncentracyjnego dla Polaków oraz o egzekucjach, których dokonywano tam w maju 1941 roku. W lipcu 1942 \* [\*Zob. też „Sporządzanie i gromadzenie dowodów zbrodni nazistowskich oraz ich ujawnianie” [w:] Franciszek Piper, Waclaw Długoborski [red.], „Auschwitz 1940-1945”, t. 4, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.] publikowany w Londynie „Przegląd Polski” wydrukował listę 22 obozów - wśród nich Auschwitz - gdzie hitlerowcy dopuszczali się aktów ludobójstwa, a 17 grudnia zbrodnie te, włączając eksterminację Żydów, potępił Anthony Eden, brytyjski minister spraw zagranicznych, w swoim wystąpieniu przed parlamentem. Po wysłuchaniu tej mowy członkowie parlamentu wstali i uczcili pamięć ofiar minutą ciszy. Również raport polskiego ruchu oporu wysłany na zachód w marcu 1943 roku wspominał obóz oświęcimski jako jedno z miejsc, gdzie mordowano Żydów, a 1 czerwca tego samego roku \* [\*Ibid., s. 315.] w londyńskim „Timesie” ukazał się artykuł o „hitlerowskiej przemocy wobec Żydów” w Oświęcimiu.

Kolejnym najważniejszym wydarzeniem, które powiększyło wiedzę aliantów o obozie w Oświęcimiu, było przybycie do Londynu w styczniu 1944 raportu polskiej agentki o pseudonimie Wanda \* [\*Zob. szczególnie Richard Breitman, Allen Lane, „Auschwitz Partially Decoded in Official Secrets - What the Nazis planned in What the British and Americans knew”, Penguin Press 1998, rozdział 7.]. W raporcie tym czytamy, że „dzieci i kobiety są ładowane do ciężarówek i przewożone do komór gazowych w [Auschwitz-Birkenau]. Są tam duszone w straszliwych męczarniach, które trwają od dziesięciu do piętnastu minut” \* [\*Ibid., s. 120.]. Raport podaje dalej, że „dziesięć tysięcy ludzi dziennie” jest uśmiercanych w „trzech dużych krematoriach” i że w obozie zginęło już około 650 000 Żydów. Ponieważ wiele związanych z tą sprawą dokumentów wciąż jest utajnionych, można się tylko domyślić, dlaczego raport Wandy nie wywołał żadnej reakcji. Jednym z powodów

mogła być skomplikowana struktura obozu - jego wielorakie funkcje obozu pracy, koncentracyjnego i zagłady - co utrudniało interpretację raportu. Jest również możliwe, jeśli pomyślimy o szybko podjętej decyzji, by nie bombardować obozu, że fakt jego istnienia był dla aliantów drugorzędny, a za swoje główne zadanie uważali oni zadanie klęski Niemcom.

Informacje o obozie oświęcimskim miały stać się jeszcze bardziej szczegółowe dzięki działaniom czterech więźniów, z których dwóch, Rudolf Vrba i Alfred Wetzler, uciekło z niego w kwietniu 1944 roku, a dwóch dalszych, Arnost Rosin i Czesław Mordowicz, w maju. Kiedy dotarli na pobliską Słowację, informacje, jakich udzielili, zostały zebrane w tak zwanych Protokołach Oświęcimskich. Sam Kasztner, kiedy odwiedził Słowację 28 kwietnia, otrzymał jeden z pierwszych egzemplarzy raportu opartego na relacji dwóch pierwszych uciekinierów, ale zdecydował, żeby nie ujawniać publicznie jego treści, gdyż prawdopodobnie obawiał się, że zaszkodzi to prowadzonym z Eichmannem negocjacom. Protokoły dotarły na zachód dopiero w czerwcu. Osiemnastego czerwca rozgłośnia BBC nadała wiadomość o istnieniu obozu, a 20 w „New York Timesie” ukazał się pierwszy z trzech poświęconych mu artykułów, w którym donoszono o istnieniu „komór gazowych w okrytym złą sławą niemieckim obozie koncentracyjnym w Birkenau i Oświęcimiu [Auschwitz]” \* [\*Robert Jan van Pelt, „The Case for Auschwitz”, Indiana University Press 2002, s. 154.]

W roku 1944 rozpowszechnione na zachodzie informacje o masowych mordach w obozie oświęcimskim spowodowały jedną zmianę w polityce - po stronie państw osi. W wyniku deportacji węgierskich Żydów do admirała Horthyego, przywódcy tego państwa, zaczęły docierać liczne protesty. Nawet papież Pius XII, którego później często krytykowano, ponieważ nie potępił otwarcie eksterminacji Żydów, apelował u Horthyego o wstrzymanie deportacji; Watykan dowiedział się o okropieństwach obozu dzięki relacjom uciekinierów. Jeden po drugim zwrócili się również do Horthyego prezydent Roosevelt oraz król Szwecji. W końcu, 26 czerwca, Richard Lichtheim, członek Agencji Żydowskiej w Genewie, wysłał do Anglii telegram zawierający informacje o Protokołach Oświęcimskich i wzywał aliantów do pociągnięcia członków węgierskiego rządu do osobistej odpowiedzialności za popełniane w obozie zbrodnie. Telegram ten został przechwycony przez władze Węgier i przekazany premierowi Dome Sztojajowi na początku lipca, a jego treść przekazana samemu Horthyemu.

Dla 76-letniego węgierskiego przywódcy tego było już za wiele. W 1940 roku sądził, że Niemcy wygrają wojnę, i żarliwie ich popierał; w 1943 uważał, że przegrają, i starał się zbliżyć do aliantów; w marcu 1944 zaczął sprzyjać Hitlerowi, w związku z czym pozostał na swoim stanowisku po zajęciu Węgier przez armię niemiecką; teraz, w obliczu skierowanych

pod jego adresem grózb, ten chwiejny człowiek postanowił jeszcze raz zmienić kurs i poinformował Niemców, że deportacje węgierskich Żydów muszą zostać wstrzymane. Korzystając z faktu, że w stolicy chroniły go oddziały węgierskie, Horthy wprowadził swój rozkaz w życie i 9 lipca deportacje się zakończyły.

Horthy stawiał czoło Niemcom w chwili, gdy byli najsłabsi, ponieważ w lipcu 1944 roku doznali katastrofalnych klęsk. Szóstego czerwca alianci zachodni wylądowali na plażach Normandii, a na początku lipca było już jasne, że nic nie zdoła ich zepchnąć z powrotem do morza, jak zapowiadał wcześniej Hitler. Tymczasem 22 czerwca wojska radzieckie rozpoczęły operację „Bagration”, czyli wielkie uderzenie na niemiecką Grupę Armii „Środek” na Białorusi. To drugie wydarzenie, które w przeciwieństwie do lądowania w Normandii nie stało się powszechnie znane, było znacznie ważniejsze dla Horthyego i jego pozycji w środkowej Europie. Podczas gdy Niemcy wysłali w bój 30 dywizji, aby zlikwidować przyczółki w Normandii, na froncie wschodnim aż 165 dywizji cofało się, bezskutecznie starając się zatrzymać natarcie Armii Czerwonej. Wiadomo było, że Rosjanie staną u bram Budapesztu w ciągu kilku miesięcy. Horthy, podobnie jak wcześniej Werner Best w Danii, zdał sobie sprawę, że czas przygotować sobie jakieś alibi.

Innym skutkiem rozpowszechnienia szczegółowych informacji o zbrodniach popełnianych w obozie oświęcimskim była kontrowersyjna kwestia, wokół której do dziś toczy się debata - wezwanie do zbombardowania obozu. W czerwcu 1944 roku Komisja do spraw Uchodźców Wojennych w Waszyngtonie otrzymała od Jacoba Rosenheima z organizacji Aguda (Związku Izraela) prośbę o zbombardowanie przez aliantów linii kolejowych prowadzących do Oświęcimia. Prośba ta została przekazana sześć dni później przez Johna Pehle, przewodniczącego Komisji, wysokiemu urzędnikowi w Departamencie Wojny, Johnowi McCloyowi, choć Pehle dodał, że miał „liczne wątpliwości” \* [\*Martin Gilbert, „The Contemporary Case for the Feasibility of Bombing Auschwitz” [w:] Michael J. Neufeld i Michael Berenbaum [red.], „The Bombing of Auschwitz”, St Martin Press, New York 2000, s. 66.] co do możliwości realizacji tego pomysłu. Został on odrzucony przez McCloya 26 czerwca jako niewykonalny, dodatkowo spowodowałby zmniejszenie liczby bombowców zaangażowanych w „decydujące operacje” \* [\*Ibid., s. 67.] gdzie indziej.

Inny telegram, który dotarł do Waszyngtonu 24 czerwca, został wysłany przez działaczy Światowego Kongresu Syjonistycznego w Genewie za pośrednictwem Komisji Uchodźców Wojennych w Szwajcarii. Wzywał on między innymi do zbombardowania samych komór gazowych. Czwartego lipca również ten apel został odrzucony przez McCloya, który podał te same powody co w swoim liście z 26 czerwca. Co ważne, w wewnętrznym

memorandum wysłanym w tym czasie do McCloya przez jego podwładnego, pułkownika Gerhardta, znajdujemy zwrot: „Wiem, że nakazał mi pan «ukręcenie łba» tej sprawie...” \* [\**Ibid.*, s. 68.], co sugeruje, przy najostrożniejszej interpretacji, że kwestia bombardowań została zignorowana bez zwrócenia na nią należytej uwagi.

Apele o zbombardowanie obozu oświęcimskiego docierały również do Londynu. Kiedy Churchill usłyszał o nich 7 lipca, napisał słynną notatkę do ministra spraw zagranicznych, Anthony’ego Edena: „Wyciągnij z sił powietrznych, ile możesz, i powołaj się na mnie, jeśli będzie trzeba” \* [\**Ibid.*, s. 70.]. Ministerstwo Lotnictwa zbadało różne warianty operacji i sir Archibald Sinclair, sekretarz stanu do spraw lotnictwa, 15 lipca udzielił odmowy utrzymanej w ogólnym tonie. Argumentował, że brytyjskie bombowce nie pokonają tak wielkiej odległości w ciągu jednej nocy - a specjalizowały się właśnie w działaniach nocnych. Tylko lotnictwo amerykańskie dokonywało nalotów w dzień, więc Sinclair zaproponował, żeby to im przedłożyć tę sprawę. Zasugerował również, że Amerykanie mogą wspomóc więźniów Auschwitz, nie tylko bombardując komory gazowe, ale również zrzucając broń, co może doprowadzić do masowej ucieczki z obozu. W każdym razie, jak jasno wynika z listu, Sinclair zrzucił całą odpowiedzialność w tej sprawie na Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. Amerykański generał Spaatz wypowiedział się na temat tej propozycji, kiedy wkrótce potem złożył wizytę w Ministerstwie Lotnictwa. Zaproponował, żeby przed podjęciem dalszych działań przeprowadzić zwiad lotniczy, a następnie propozycja została przekazana z powrotem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie nikt nie zwrócił już na nią uwagi.

Kwestia bombardowania Auschwitz została znów poruszona w sierpniu, kiedy McCloy z Departamentu Wojny odrzucił kolejne prośby o działanie, tym razem od Światowego Kongresu Żydowskiego. W Wielkiej Brytanii urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych zasugerował w wewnętrznym memorandum, że niezależnie od trudności praktycznych istniały również „polityczne” \* [\**Ibid.*, s. 73 (dokładniejsza analiza dokumentów zob. pełny tekst jego artykułu s. 65-75).] powody, żeby nie bombardować obozu - przypuszczalnie „powódź” deportowanych Żydów szukałaby po wojnie schronienia w Palestynie, na terytorium kontrolowanym wtedy przez Brytyjczyków.

Po obu stronach Atlantyku podjęto więc decyzję, by nie bombardować obozu oświęcimskiego. Co ważne, zdecydowano również, aby nie rozpatrywać w ogóle możliwości takiego bombardowania. Nie przeprowadzono starannego rozpoznania nad obozem, nie przestudiowano możliwości dokonania nalotu, nie przeprowadzono żadnej dyskusji. Wyczuwa się zupełny brak zainteresowania obu rządów tą sprawą (być może z wyjątkiem

Winstona Churchilla - choć nawet on nie zajmował się nią dalej po napisaniu pierwszego, energicznego listu do Edena). Oczywiście Brytyjczycy i Amerykanie mieli w lipcu 1944 roku pełne ręce roboty: trwało natarcie w Normandii; Armia Czerwona stała u bram Warszawy, a polskiej Armii Krajowej trzeba było wysłać broń i amunicję; w końcu 20 lipca dokonano nieudanego zamachu na Adolfa Hitlera w jego kwaterze głównej w Prusach Wschodnich. Przed siłami powietrznymi aliantów stało wiele zadań i trudno było zdecydować, które z nich są najważniejsze. Łatwo sobie wyobrazić, że w Waszyngtonie i Londynie dominował pogląd, że najlepszym sposobem zatrzymania masowej zagłady jest zignorowanie obozu i skoncentrowanie wysiłków na jak najszybszym zakończeniu wojny. Jest to niewątpliwie prawda, wydaje się jednak, że motywy stojące za odmową zbombardowania obozu były znacznie mniej szlachetne: brak odpowiedniego rozpatrzenia sprawy i lekceważący ton niektórych dokumentów sugerują, że nikt nie przejmował się sprawą dostatecznie mocno, by nadać jej priorytetowe znaczenie.

Urzednicy, którzy bez namysłu odrzucili apele o bombardowanie, byłiby na pewno zaskoczeni liczbą publikacji naukowych, które dzisiaj powstały na ten temat. Sprawa stała się tak szeroko znana opinii publicznej, że jeden z naukowców, zwracając się do czytelników żydowskich, zauważa, „że wielu ludzi sądzi, iż nalot na obozy uratowałby dużą część z sześciu milionów żydowskich ofiar” \* [\*Deborah E. Lipstadt, „The Failure to Rescue and Contemporary American Jewish Historiography of the Holocaust: Judging from a distance” [w:] Neufeld, Berenbaum, *op. cit.*, s. 229.]. Kwestia nalotu nie ogranicza się już tylko do dyskusji na temat praktycznych możliwości jego dokonania, ale zyskuje wymiar symboliczny - jest uważana za dowód na to, że alianci mogli powstrzymać zagładę, ale zdecydowali się tego nie uczynić. Właśnie dlatego sprawę tę należy zbadać ostrożnie i spokojnie, aby nie dopuścić do powstania i rozpowszechnienia nowego mitu, że „duża część z sześciu milionów” rzeczywiście mogła uniknąć śmierci dzięki alianckiemu nalotowi.

Zbadanie praktycznych możliwości nalotu na Oświęcim uniemożliwia prosty fakt, że do operacji tej nie doszło. Wchodzimy w ten sposób w królestwo historii hipotetycznej, w którym rzadko kiedy można dojść do ostatecznych wniosków. Wśród ekspertów przeważa opinia, że zbombardowanie prowadzącej do obozu linii kolejowej nic by nie dało - hitlerowcy skierowaliby transporty gdzie indziej, a linia szybko zostałaby naprawiona. Nie ma jednak zgody co do pytania, jakie skutki przyniosłoby zbombardowanie komór gazowych. Powstają artykuły namiętnie opisujące ogromne trudności techniczne przy organizacji hipotetycznego nalotu amerykańskich samolotów B17 i B24 lub brytyjskich maszyn Mosquito \* [\*James H. Kitchens, „The bombing of Auschwitz Re-examined” [w:] Neufeld, Berenbaum, *op. cit.*, s.



80-100.], podczas gdy inne publikacje zażarcie kwestionują domniemane przeszkody techniczne i stawiają tezę, że nalot miał duże szansę zniszczyć oświęcimskie krematoria \* [\*Stuart G. Erdheim, „Could the Allies have bombed Auschwitz-Birkenau?” [w:] Neufeld, Berenbaum, *op. cit.*, s. 127-156.]. Jak to często bywa w hipotetycznej historii, nie ma ostatecznej odpowiedzi.

Wydaje się jednak, że można tę kwestię rozstrzygnąć - przynajmniej jeśli weźmie się pod uwagę, kiedy trafiły do alianckich rządów najbardziej dramatyczne apele o zbombardowanie obozu. Pamiętając o tym, kiedy dotarły na zachód Protokoły Oświęcimskie oraz kiedy Horthy podjął decyzję, by nie wysłać do obozu dalszych transportów, można z pewnością twierdzić, że zbombardowanie linii kolejowych prowadzących do Oświęcimia nie uratowałoby ani jednego węgierskiego Żyda. Szczegółowe informacje dotarły do aliantów po prostu za późno (węgierskie deportacje zostały wstrzymane 9 lipca, brytyjski minister lotnictwa odpowiedział Edenowi dopiero 15 lipca).

Kolejnym punktem w tej skomplikowanej sprawie, który można rozstrzygnąć z równie dużą pewnością, jest pytanie o wpływ ewentualnego nalotu na morderczą wydajność obozu. Protokoły Oświęcimskie zawierają dokładne opisy położenia czterech głównych krematoriów. Jednak nawet gdyby zaryzykować i zbombardować je w dzień, z największą możliwą dokładnością, to po całkowitym zniszczeniu krematoriów hitlerowcy mogliby kontynuować uśmiercanie ludzi w innych miejscach w obozie. Co najważniejsze, w Protokołach nie podano położenia „białego” i „czerwonego domku”, a te dwie komory umożliwiłyby zagazowanie wymaganej przez hitlerowców liczby ludzi. Po przerwaniu węgierskiej akcji możliwości uśmiercania w obozie oświęcimskim były znacznie większe niż potrzeby. Liczba 10 000 uśmiercanych codziennie więźniów spadła do 1500 \* [\*Zob. też Richard Levy, „The Bombing of Auschwitz revisited: A critical Analysis”, s. 114.] i pozostała na tym poziomie do listopada, kiedy zamknięto krematoria. Nieodparcie nasuwa się wniosek, że w lecie 1944 roku nalot nie tylko nie uratowałby „dużej części” z „sześciu milionów”, ale nie uratowałby nikogo. W wyniku przypadkowych trafień w stojące tuż obok baraki mogłyby nawet zginąć setki więźniów, których nalot miał ratować.

Jest to oczywiście wynik podejścia racjonalnego, a nie emocjonalnego. Ponieważ duża część debaty na ten temat jest zdominowana przez emocje, wniosek taki nie zadowoli wielu ludzi, którzy sądzą, że należało uczynić wszystko, by zapobiec uśmiercaniu ludzi. Być może alianci mogli tego dokonać - na przykład dokonując zrzutów broni i doprowadzając w ten sposób do buntu - ale wydaje się mało prawdopodobne, by zagłodzeni więźniowie zdołali bez przygotowania zaatakować esesmanów uzbrojonych w karabiny maszynowe na wieżyczkach

strażniczych, chronionych przez ogrodzenia pod napięciem. Nigdy się nie dowiemy, ponieważ takie pytanie znów nas sprowadza na manowce hipotetycznej historii.

Debata o możliwości nalotu na obóz Auschwitz-Birkenau jest tak zażarta, ponieważ stanowi ona część większej, mniej szczegółowej kwestii: Czy nie należało uczynić więcej, by ratować Żydów? Rząd brytyjski na przykład wiedział na pewno o systematycznej kampanii zagłady Żydów już na początku 1943 roku, znał nawet nazwy ośrodków zagłady Akcji Reinhard i liczbę wymordowanych w nich ludzi. Mimo apeli członków i członkiń parlamentu, na przykład Eleanor Rathbone, by zliberalizować przepisy imigracyjne i umożliwić Żydom z Bułgarii, Węgier i Rumunii przedostanie się do bezpiecznych krajów, rząd brytyjski pozostał w tej sprawie niewzruszony. W lutym 1943 roku Anthony Eden, odpowiadając na podobny apel innego parlamentarzysty, Williama Browna, powiedział: „Jedynym naprawdę skutecznym ratunkiem dla prześladowanych Żydów oraz, jeśli można dodać, dla wszystkich narodów Europy jest zwycięstwo aliantów” \* [\*Martin Gilbert, „Auschwitz and the Allies”, Pimlico 2001, pierwsze wydanie 1981, s. 121.]. Kilka tygodni później, w czasie dyskusji w Waszyngtonie w marcu 1943 roku, Eden powiedział, że należy koniecznie „z największą ostrożnością proponować wyciągnięcie wszystkich Żydów z jakiegoś kraju”, dodając, że „jeśli to uczynimy, wszyscy Żydzi na świecie będą oczekiwać, że podobnie postąpimy w Polsce i Niemczech. Hitler może nas wciągnąć w negocjacje nad każdą taką ofertą, a na świecie nie ma dostatecznie wiele statków i innych środków transportu, żeby tych ludzi przewieźć” \* [\*Ibid., s. 127.]. (Powiedział tak, mimo że w ciągu ostatnich trzech lat znalazło się dostatecznie dużo statków, by przewieźć przez Atlantyk ponad 400 000 niemieckich i włoskich jeńców) \* [\*Ibid., s. 127.]. Eleanor Rathbone z rozgoryczeniem wypowiadała się na temat bierności aliantów w czasie debaty w brytyjskim parlamencie 19 maja 1943 roku: „Jeśli krew tych, którzy bezsensownie zginęli w czasie tej wojny, popłynie kiedyś ulicą Whitehall, powódź ta będzie dostatecznie wielka, żeby zatopić wszystkie te ponure budynki, w których urzędują nasi przywódcy” \* [\*Ibid., s. 139.]. Mimo że nie wiemy na pewno, co stałoby się, gdyby alianci ograniczyli restrykcje imigracyjne dotyczące zagrożonych Żydów, trudno nie zgodzić się z Rathbone, że można było (i zapewne należało) uczynić więcej, by im pomóc. Jest więc możliwe, że aktualna debata byłaby bardziej owocna, gdyby skupiała się nie tylko na możliwości zbombardowania obozu w Oświęcimiu, ale również na niewątpliwie bardziej skomplikowanej kwestii polityki imigracyjnej aliantów w czasie wojny.

W tym samym czasie zatrzymanie transportów węgierskich Żydów przyniosło konsekwencje zarówno w Budapeszcie, gdzie Eichmann szalał z gniewu, jak i w Auschwitz, gdzie postanowiono wykorzystać puste komory gazowe do likwidacji całego odcinka

Birkenau - obozu cygańskiego \* [\*Rodzinny obóz cygański znajdował się także przez pewien czas w getcie łódzkim. Jego mieszkańców wywieziono i zamordowano w Auschwitz (przyp. A.Ż.).]. W tym specjalnym odcinku obozu mieszkało od lutego 1943 roku (w szczytowym okresie) około 23 000 Cyganów. Nie rozdzielano tam rodzin, pozwolono również więźniom nosić własne ubrania ani nie golono im głów. Wkrótce okazało się jednak, że warunki panujące w obozie cygańskim są najgorsze w całym Auschwitz-Birkenau. Przepelnienie baraków, połączone z głodem i brakiem wody, spowodowało śmierć wielu więźniów z powodu panoszących się tam chorób, najczęściej tyfusu i choroby skóry nazywanej noma. Z 23 000 wysłanych do obozu Cyganów od chorób, z głodu lub w komorach gazowych w czasie likwidacji obozu zginęło w sumie 20 000.

Hitlerowcy uważali Cyganów za ludzi niebezpiecznych rasowo i „aspołecznych”. Chcieli się ich pozbyć, więc Cyganie byli, w stosunku do ogólnej swojej liczby, grupą etniczną najbardziej po Żydach poszkodowaną pod rządami hitlerowców. Nie znamy dokładnej liczby zabitych Cyganów, zginęło ich jednak prawdopodobnie blisko ćwierć miliona. Hitlerowska polityka przeciw Cyganom była jednak niekonsekwentna; na terenach Związku Radzieckiego plutony egzekucyjne mordowały Cyganów razem z Żydami; w Rumunii Cyganie nie byli jako grupa etniczna celem zagłady (choć tysiące zginęły w wyniku prześladowań); w Polsce większość Cyganów wysłano do obozów koncentracyjnych; natomiast na Słowacji polityka prześladowań była niekonsekwentna; z samych Niemiec Cyganów wywieziono do pierwszych gett na terenach Polski - około 5000 trafiło do Łodzi i były to jedne z pierwszych ofiar ruchomych komór gazowych w Chełmnie w styczniu 1943 roku.

W Niemczech hitlerowcy uważali, że największym rasowym zagrożeniem ze strony Cyganów są tak zwani *Mischlingen* (mieszkańcy). Nic nie ilustruje lepiej spaczony mentalności hitlerowców niż historia ośmioletniej dziewczynki Else Baker \* [\*Wywiad dla BBC.], która znalazła się w obozie cygańskim w Brzezince latem 1944 roku. Na początku tego roku żyła szczęśliwie z rodzicami w Hamburgu. Mimo toczącej się wojny była bezpieczna w zwyczajnej rodzinie - tak się jej przynajmniej wydawało. Nagle, pewnej nocy na początku 1944 roku, rozległo się walenie do drzwi i do ich mieszkania weszło kilku nieznajomych, przedstawiających się jako funkcjonariusze gestapo. Powiedzieli, że przyszli zabrać Else do jej „prawdziwej” matki. Na oczach przerażonych rodziców wyciągnięto ją z mieszkania i odprowadzono w ciemność. Trafiła do portowego magazynu pełnego Cyganów, których wielu było w porwanych ubraniach. Else, ubrana przez matkę w najlepsze odzienie, była wstrząśnięta, kiedy zobaczyła tych ludzi. Dopiero później dowiedziała się, że została

adoptowana i że jej „prawdziwa” matka była pół-Cyganką. Mężczyzna i kobieta, których zawsze uważała za swoich rodziców, adoptowali ją, kiedy miała dwa miesiące.

Else została z innymi Cyganami załadowana do wagonu bydłęcego i przetransportowana do Auschwitz. Pamięta, że zabrano ją w obozie do „sauny” i nakazano rozebrać się i wziąć prysznic. Potem próbowała odnaleźć swoje ubrania w leżącym przed nią stosie, ale nigdzie ich nie było. Jako dobrze wychowana dziewczynka nie chciała zabierać niczego, co do niej nie należy. Stała więc, sama i naga, podczas gdy rodziny Cyganów wokół niej ubierały się w co popadnie. W końcu, kiedy na cementowej posadzce pozostało zaledwie kilka sztuk ubrań, jedna ze stojących obok kobiet powiedziała: „Musisz po prostu wziąć cokolwiek”. W ten sposób, przybywszy do obozu w swoim najlepszym, ciepłym ubraniu, Else skończyła, mając na sobie parę majtek i cienką letnią sukienkę.

W ponurej atmosferze przepelnionych baraków, otoczona nieznanymi sobie rodzinami, ośmioletnia dziewczynka zamarła pod wpływem emocjonalnego wstrząsu. Nic nie mówiąc, nie płacząc - nikt nie usłyszałby bowiem jej płaczu - stała otoczona tłumem ludzi szukających „miejsca, gdzie król chodzi piechotą”. Później jednak się jej poszczęściło, co najprawdopodobniej uratowało jej życie. Jedna z blokowych kapo, Wanda, zlitowała się nad nią i zabrała Else do pobliskiego baraku. Tutaj pozwoliła dziewczynce spać w swoim pokoiku na stole przykrytym dywanem, gdzie „było sto razy lepiej niż w tym baraku”. Przez większość czasu Else pałętała się po obozie bez zajęcia. Każdego dnia szła do granicy obozu cygańskiego i oglądała przybywające nowe transporty. Widziała kolumny ludzi, „większość dobrze ubranych”, zmierzających do budynku, który, jak się później dowiedziała, był krematorium. Byli to węgierscy Żydzi przeznaczeni na śmierć - ona jednak wtedy o tym nie wiedziała. Kiedy nie przyjeżdżały nowe transporty i nie było na co patrzeć, dziewczynka bawiła się swoją jedyną zabawką - soczewkami z czyichś okularów, które znalazła na ziemi. Układała stosik suchej trawy i skupiała promienie słońca soczewką, żeby go zapalić.

Po kilku dniach Wanda powiedziała Else: „Nie możesz dłużej ze mną zostać” i znikła. „Byłam tak wstrząśnięta - opowiada Else - kiedy znów zostałam sama, że nic do mnie nie docierało [...] wszystko zaczęło się rozpadać, walił się w gruzy mój świat - co tylko chcecie”. Else wspomina, że umieszczono ją z powrotem w jednym z głównych baraków, który nie był już tak zatłoczony jak na początku. Wcześniej odbyła się selekcja i wielu Cyganów zostało przeniesionych do innych części obozu. Potem odłączono wodę i wszystkim zakazano wychodzić z baraków. W nocy rozległ się „straszliwy hałas - głośne krzyki. Nigdy nie słyszałam takich krzyków”. Trudno określić, do jakich zbrodni dochodziło wtedy w obozie; mogła być to jedna z akcji w jego obrębie - być może przygotowania do likwidacji

cygańskiego odcinka przez SS. Else była jedną z 1400 osób, których ta akcja nie objęła, i została przeniesiona do innego obozu koncentracyjnego. Dokumenty Auschwitz-Birkenau potwierdzają, że Else, zarejestrowana jako Cyganka z numerem 10 540, opuściła obóz 1 sierpnia 1944 roku.

Los Else trudno by było wymyślić pisarzowi. Pomyślmy tylko. Ośmioletnia dziewczynka wychowana przez Niemców zostaje odebrana kochającym rodzicom, dowiaduje się, że została adoptowana i jest po części Cyganką, trafia do obozu oświęcimskiego, gdzie musi sobie sama dawać radę, dopóki nie przygarnie jej jedna kapo, potem znów zostaje sama i trafia w nocy do baraku pełnego nieznanymi jej Cyganów, podczas gdy na zewnątrz dochodzi do straszliwych zbrodni, a następnego dnia wyjeżdża do innego obozu. Trudno się dziwić, że według Else suma tych doświadczeń „rozpieprza mózg na resztę życia. Mogę to powiedzieć z pełną odpowiedzialnością. Naprawdę rozpieprza”.

Dzień po wyjeździe Else, w nocy z 2 na 3 sierpnia, rozpoczęła się likwidacja obozu cygańskiego. Wielu ludzi było świadkami straszliwych scen podczas jego opróżniania. Władysław Szmyt \* [\*Wywiad dla BBC.], polski więzień polityczny, który obserwował tę akcję przez ogrodzenie z pobliskiego baraku, widział cygańskie dzieci rozbijane o burty ciężarówek, słyszał też wystrzały z broni maszynowej i pistoletów. Niektórzy Cyganie próbowali się bronić czymkolwiek - często łyżkami i nożami - ale wkrótce ich opór złamano. „Zacząłem krzyczeć - opowiada Szmyt - bo wiedziałem, że zabierają ich na śmierć. To koniec. To musi być najgorsze uczucie na świecie”. Tej nocy 2897 Cyganów zabrano do krematorium IV i zagazowano. Ciała zostały pochowane w pobliskim rowie.

W tym samym czasie Else została zabrana do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, na północ od Berlina, Pozostawała tam przez kilka tygodni w straszliwych warunkach, popadając w coraz większe odrętwienie. Ratunek przyszedł we wrześniu 1944 roku, kiedy blokowa kapo, Polka, wyczytała jej imię. Else została zaprowadzona do bloku administracyjnego i nagle powiedziano jej: „Zostaniesz uwolniona”. Nakazano jej wziąć prysznic - po raz pierwszy od przybycia do Auschwitz - a następnie zaprowadzono do pomieszczenia, gdzie leżał wielki stos ubrań. Stała tam „zbyt przestraszona albo wstrząśnięta, żeby cokolwiek zrobić - naga, mokra rozglądałam się i prawdopodobnie oczekiwałam jakiejś kary, bo już wcześniej bito mnie bez żadnego powodu”. Dopiero kiedy po dłuższym czasie nie wyszła ze składu ubrań, jakaś kobieta weszła do środka i pomogła się jej ubrać. Następnie Else czekała w biurze w bloku administracyjnym, aż przyprowadzą jej przybranego ojca. Widząc go, Else czuła się „odrętwiała”. „Zbyt odrętwiała, żeby cokolwiek czuć. Gdyby mi powiedzieli: «Idziesz na spotkanie z najwyższym», nie zrobiłoby to na mnie żadnego

wrażenia”. Przed opuszczeniem obozu nakazano Else podpisać - zwykła formalność dla więźniów opuszczających obozy koncentracyjne - oświadczenie, że nie wyjawia, gdzie była i co ją spotkało. „Nie musiałam stawiać krzyżyków, bo umiałam już pisać - opowiada. - Sądzę, że to był pierwszy podpis, jaki złożyłam”.

Else wsiadła potem do pociągu, którym razem z ojcem miała pojechać do Hamburga. W ich wagonie siedział oficer Wehrmachtu i Else wspomina, że jej ojciec powiedział mu o aresztowaniu i więzieniu swojej córki, której babka była Cyganką. „Podniósł moją spódnicę, pokazał nogi pokryte wielkimi wrzodami i powiedział: «Właśnie za to walczyacie na froncie»„. Nie pamięta, jak zareagował oficer. Pamięta natomiast, jak po powrocie do domu jej najstarsza siostra zrobiła dla niej ciasto z tłuczonych ziemniaków - cukier był racjonowany - i ugotowała kilka marchwi, żeby wbić je w ciasto jak świece. Potem, po sześciomiesięcznej nieobecności, Else wróciła do szkoły; udawała, że jest zwykłą ośmioletnią niemiecką uczennicą.

Nikt nie wie na pewno, dlaczego ją zwolniono. Dokumenty, które mogłyby ujawnić prawdę, zostały zniszczone przez gestapo pod koniec wojny. Być może protesty jej przybranego ojca, który twierdził, że Else jest zupełnie zasymilowaną Niemką, znalazły posłuch wśród miejscowych władz - tego roku został on nawet członkiem partii nazistowskiej, żeby dać dowód swojej lojalności, i czyn ten mógł zadecydować o losie Else. Nam pozostało jedynie dziedzictwo - istota ludzka, której psychika uległa niszczącemu wpływowi sześciomiesięcznego koszmaru. „Możliwości ludzkiego zepsucia są niezgłębione - twierdzi Else Baker. - Zawsze tak będzie. To jest bardzo cyniczny pogląd, ale niestety wynika on z moich doświadczeń”.

Straszliwa historia Else Baker jest przykładem najgorszych stron życia w Auschwitz - nieoczekiwanej przemocy, arbitralnych zachowań, przypadkowego okrucieństwa. Być może najważniejsze jest to, że ilustruje, jak niezbędne były do przetrwania związki między ludźmi - które nadawały zresztą sens życiu. Else przypuszczalnie nie przetrwałaby bez pomocy Wandy. Zdawała sobie z tego również sprawę Alice Lok Cahana, która była w tym samym czasie więźniarką Auschwitz-Birkenau. Jej miłość do siostry, Edith, skłoniła ją już do ryzyka i odszukała siostrę w obozie, żeby mogły być razem. W lecie pojawiła się jednak kolejna przeszkoda: Edith zachorowała na tyfus i została zabrana do obozowego szpitala. Mogło się to dla Edith zakończyć śmiercią - nie tylko przez brak odpowiedniej opieki medycznej, ale również z powodu regularnych selekcji, z których chore trafiały od razu do komór gazowych. Mimo to Alice z determinacją starała się uratować siostrę od śmierci i regularnie ją odwiedzała. Aby móc wejść do szpitala, musiała przekupić kapo swoją racją chleba oraz

zgodzić się na wynoszenie zmarłych w nocy więźniarek. „Miałam piętnaście lat - opowiada Alice - i nigdy jeszcze nie widziałam martwej osoby. Myślałam: «Ci ludzie jeszcze wczoraj żyli, rozmawiali i chodzili, a teraz odnoszę ich na stos». To było straszne, ale musiałam to robić, żebym mogła spotykać się z Edith - choćby na chwilę”.

Jako gość w szpitalu Alice była bardzo pożądaną osobą - wszystkie chore więźniarki chciały się dowiedzieć, co się dzieje w obozie. Ciągnęły Alice za ubranie, kiedy szła przez szpitalny barak do swojej siostry, i pytały: „Co słyhać?”. W ciemnej, przesiąkniętej smrodem choroby, rozkładu i śmierci atmosferze baraku, słuchając jęków umierających, Alice starała się je choć trochę pocieszyć. „Nauczyłam się wymyślać różne historie - że wkrótce zakończy się wojna. «Trzymajcie się, bo wkrótce wszystkie będziemy w domu»,. Alice wiedziała jednak, że to wszystko kłamstwa, ponieważ na własne oczy widziała, jak ludzie „znikają” ze szpitala; albo umierali na swoich pryczach, albo wysłano ich do komór gazowych. Zdecydowała więc, że wciąż jeszcze chorą Edith trzeba wyciągnąć ze szpitala. Powiedziała siostrze: „Jeśli zdołasz przez to przejść, to wyniosę cię ze szpitala jako martwą i pójdziemy do naszego baraku”. Następnego dnia Edith udała, że nie żyje, i Alice wyniosła ją z baraku wraz z ciałami innych chorych, które zmarły poprzedniej nocy. Kiedy były już na zewnątrz, Alice pomogła siostrze dojść do baraku, w którym wcześniej mieszkała.

Jeszcze trudniej było chronić siostrę poza szpitalem, gdzie wszystkie więźniarki miały być zdrowe. „Każdego dnia odbywały się selekcje - wspomina Alice - i były bardzo surowe i straszne”. Kobiety często musiały w czasie selekcji stać w szeregu przed nienagannie umundurowanym doktorem Josefem Mengele. „Wszystkie miałyśmy wtedy wszy - opowiada Alice - i to było straszne, straszne uczucie. Nic nie może być bardziej upokarzające, niż czuć, że całe ciało oblażą wszy. Głowa, ubrania - wszędzie, na całym ciele widać pełzające robactwo. Nie można ich zmyć. Nie ma wody”.

Pewnego dnia Alice i jej siostra zostały wybrane, miały jednak tylko udać się do sąsiedniego baraku. Właśnie tam, w baraku numer 8 obozu Birkenau, Alice miała jeszcze raz cudem uniknąć śmierci. Był już październik 1944 i dni robiły się coraz zimniejsze, więc blokowa kapo ogłosiła, że nastolatki mają wystąpić, aby otrzymać dodatkowe ubrania. Alice postanowiła dołączyć do „dziecięcej” grupy i zdobyć w ten sposób trochę ciepłych ubrań dla Edith, żeby ta mogła się chronić przed ciężką polską zimą. „Poszłyśmy więc. Trafiłyśmy do ładnego budynku z kwiatkami w oknach. Kiedy weszłyśmy, esesmanka powiedziała: «Wszystkie ściągać buty i ładnie ułożyć ubranie na podłodze». Potem zabrano nas nagie do innego pokoju”. Alice i inne więźniarki siedziały nago w pokoju i marzły, sądząc, że przed włożeniem obiecanych nowych ubrań będą musiały wziąć prysznic. „Było duże

pomieszczenie pomalowane na szary kolor. Bardzo ponure, bo kiedy zamknęli za nami drzwi, w środku było prawie zupełnie ciemno. Siedziałyśmy tam, trzęsąc się z zimna. Czekaliśmy i czekałyśmy”. Nagle drzwi się otworzyły i stojąca w nich esesmanka krzyknęła: „Szybciej, wynoście się stąd! Wynoście się szybko!” i zaczęła rzucać w dziewczyny ich ubraniami. „Uciekajcie! - krzyknęła. - Uciekajcie najszybciej, jak możecie!”. Alice nie mogła znaleźć swoich ubrań, ubrała się więc w co popadnie i udało się jej dotrzeć do baraku. Narzekała przed innymi więźniarkami: „Obiecali nam ciepłe ubrania, a nie dostałam nawet z powrotem własnych!”. Dopiero kiedy więźniarki powiedziały jej: „Głupie dziecko! Nie wiesz, gdzie byłaś?”, zdała sobie sprawę, że czekała w komorze gazowej krematorium V

Prawdopodobnie najdziwniejszą rzeczą w opowiadaniu Alice jest fakt, że po tylu miesiącach w Birkenau nie wiedziała, dokąd ją zabierają. Oczywiście wcześniej powiedziano jej o istnieniu komór gazowych - wszyscy przebywający w Brzezince dłużej niż kilka dni wiedzieli, jak odbywa się masowe uśmiercanie. „Byłam tak skupiona na Edith - opowiada Alice - że całą energię przeznaczałam na utrzymanie jej przy życiu. Strach przed komorą gazową nawet do mnie nie dotarł - może było to tak straszne, że nie mogłam zrozumieć. Jak ma zwykła, piętnastoletnia dziewczyna zrozumieć, że prowadzą ją do komory gazowej? Jest przecież dwudziesty wiek! Chodziłam do kina, ojciec pracował w biurze w Budapeszcie, a ja nigdy nie słyszałam o takich rzeczach. W domu nie można było powiedzieć ani jednego brzydkiego słowa. Jak miałam więc sobie wyobrazić, że ludzi można zabijać w ten sposób? Zawsze nam przecież powtarzano, że Niemcy to cywilizowani ludzie”.

Jest to ważna obserwacja - nawet ci, którzy żyli w cieniu kominów krematoriów, mogli wyprzeć z pamięci ich istnienie. Czynili tak nie tylko dlatego, że działanie fabryk śmierci było zbyt okropne, by na nie patrzeć, ale również dlatego, że codzienne upokorzenia obozowego życia - pełne wszy ubrania, przepełnione latryny, brak jedzenia, wszechobecny brud - odwracały myśli od wszystkiego, co nie było akurat związane z walką o przetrwanie. Nawet po sześćdziesięciu latach najwyraźniej pamięta z marszu do krematorium kwiaty, czerwone geranium, rosnące w skrzynkach na parapetach okiennych. W obozie oświęcimskim nigdzie nie było kwiatów. Dla Alice były one symbolem bezpiecznego i pewnego życia w przeszłości. „Widzę kwiaty w oknach - przypominają o domu. Przypominają, że matka po wkroczeniu Niemców poszła na rynek i zamiast umierać ze strachu, kupiła trochę fiołków. To mnie tak uspokoiło. Jeśli matka kupuje kwiaty, to nie może być aż tak źle. Nic nam nie zrobią”. Właśnie w takich szczegółach - kwiaty w oknach budynku krematorium - ujawnia się cynizm hitlerowców niespotykany nigdzie indziej w tak zwanym cywilizowanym świecie.



Alice przetrwała tego dnia dzięki niezwykleму zbiegowi okoliczności - siedziała w komorze gazowej 7 października. Był to najbardziej wyjątkowy dzień w historii obozu - dzień buntu więźniów z Sonderkommanda. Kilku pracujących w nim więźniów planowało stawić opór strażnikom już w czerwcu, organizując bunt z pomocą obozowego podziemia, którego przywódcą był Jakow Kamiński. Esesmani jednak dowiedzieli się o tych planach, ciągły nadzór kapo i przerażająco wysoka śmiertelność w obozie uniemożliwiały żydowskim więźniom zorganizowanie jakiegokolwiek podziemnej działalności. Na Kamińskiego złożono donos i został on zamordowany, ale przywódcy grupy przetrwali i dalej próbowali „zorganizować” jakąkolwiek broń - noże, łomy i inne podobne przedmioty - oraz przez ogrodzenie nawiązać kontakt z innymi więźniami w celu zdobycia potrzebnych rzeczy.

Więźniowie Sonderkommanda uznali, że muszą działać, kiedy ogłoszono, że potrzebni są „ochotnicy” dla Ottona Molla, jednego z najgorszych esesmanów w krematoriach, który niedawno wyjechał, by objąć stanowisko komendanta podobozu w Gliwicach. Wszyscy wiedzieli, że to podstęp, ponieważ ostatnia grupa więźniów, którzy mieli „pojechać” na Majdanek, została zamordowana przez esesmanów i spalona w krematorium II. Następnego ranka pozostali członkowie Sonderkommanda rozpoznali niedopalone ciała swoich towarzyszy i stracili ostatnie złudzenia co do losu, jaki gotowali im hitlerowcy. Dobrze wiedzieli, że są hitlerowcom coraz mniej potrzebni. Tylko przybycie 65 000 ludzi po likwidacji łódzkiego getta w sierpniu i wrześniu powstrzymało esesmanów przed wcześniejszym wymordowaniem pozostałych przy życiu więźniów z Sonderkommanda. Teraz, po tym jak nikt nie zgłosił się na ochotnika do obiecanej pracy w Gliwicach, więźniowie dowiedzieli się, że kapo mają sporządzić listę 300 z nich, którzy mieli zostać „przeniesieni do fabryk gumy” - równie nieprawdziwych jak poprzednie miejsca, gdzie jakoby miano wysłać członków Sonderkommanda.

W odpowiedzi na tę wyraźną groźbę natychmiastowej egzekucji, w sobotę 7 października o godzinie 1.30 po południu wszczęli bunt więźniowie pracujący w krematorium IV \* [\*Zob. też „Auschwitz 1940-1945”, t. 5, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.]. Uzbrojeni w łomy i kamienie zaatakowali esesmanów, którzy usiłowali się do nich zbliżyć, a następnie podpalili krematorium. Po kilkuminutowej walce wręcz z esesmanami kilku członków Sonderkommanda zdołało uciec do pobliskich lasów i dotrzeć do wsi Rajsko. Wciąż nie byli jednak na wolności, ponieważ nie opuścili nawet tzw. obozowej strefy interesów. W tym samym czasie Sonderkommando w krematorium II również wznieciło bunt i żywcem spaliło swoich strażników w piecach krematoryjnych.

W walkach, które potem nastąpiły, zginęło 250 członków Sonderkommanda. Wszyscy, którzy zdołali uciec, zostali złapani i rozstrzelani, podobnie jak inni podejrzani o udział w buncie - w sumie 200 ludzi. Więźniowie zdołali tego dnia zabić trzech esesmanów. Bunt uratował jednak życie pewnej liczbie więźniów. Musiało tak być dlatego, że chaos w krematorium IV zmusił esesmanów do opróżnienia komory gazowej w znajdującym się obok krematorium V, dzięki czemu przeżyła Alice Lok Cahana i jej grupa.

Osiem dni po buncie Sonderkommanda w Auschwitz-Birkenau znów zmieniła się polityczna sytuacja na Węgrzech, kiedy nieposłuszny reżim Horthyego został obalony i zastąpiony zależnymi od hitlerowców bojówkami Krzyża i Strzały. Eichmann, który miesiące po wstrzymaniu deportacji spędził, pijąc i romansując, natychmiast wezwał Kasztnera do siebie i powitał go słowami: „To znowu ja!”. Żydzi w Budapeszcie, których w większości ominęły deportacje, stali się dla niego nowym celem. Wysłanie ich do Oświęcimia, ze względu na bliskość Armii Czerwonej i trudności w zorganizowaniu taboru kolejowego, było niemożliwe. Eichmann postanowił więc wysłać ich do Wiednia - odległego o nieco ponad 200 kilometrów.

W listopadzie dziesiątki tysięcy Żydów z Budapesztu zmuszono do opuszczenia miasta i długiego marszu na zachód do Austrii, bez jedzenia, w deszczu i śniegu. Kiedy ponad 100 000 z nich czekało w Budapeszcie na rozpoczęcie zaplanowanego przez Eichmanna sadystycznego marszu, Kurt Becher, bardziej pragmatycznie myślący hitlerowiec, poskarżył się Himmlerowi na działania swojego kolegi. Becher i Himmler zdali sobie sprawę, że wojna wkrótce musi się skończyć i że po klęsce hitlerowskiej ideologii trzeba zacząć działać realistycznie.

Himmler wezwał Bechera i Eichmanna na spotkanie w swoim prywatnym pociągu stojącym w Trybergu w Szwarzwaldzie. Według relacji Bechera, Himmler nakazał Eichmannowi wstrzymanie deportacji budapeszteńskich Żydów, mówiąc, że „Nawet jeśli dotąd zajmowałeś się eksterminacją Żydów, to teraz rozkazuję ci, żebyś zajął się opieką nad nimi” \* [\*Zob. też zeznanie Kurta Bechera, 10/07/1947 cytowane w przesłuchaniach Eichmanna, TAE t. VIII, s. 2895-2896.]. Był to zupełny zwrot w polityce Himmlera, człowieka, który był jednym z twórców hitlerowskiego planu „ostatecznego rozwiązania”. W ostatnich miesiącach wojny miało się jednak okazać, że Reichsführer SS ma w zanadru jeszcze kilka niespodzianek.

## Wyzwolenie i odwet

Kiedy nadszedł koniec, wszystko działo się szybko. Pewnej nocy w styczniu 1945 roku dziesięcioletnia Eva Mozes Kor \* [\*Wywiad dla BBC.] i jej siostra bliźniaczka Miriam leżały na pryczach w swoim baraku w Auschwitz-Birkenau, kiedy nagle zbudziła je silna eksplozja. Na zewnątrz niebo zaalała czerwona pożoga - Niemcy wysadzili w powietrze krematoria. Kilka chwil potem siostry wygoniono z baraku i wraz z innymi bliźniętami - wszystkie z nich były poddawane eksperymentom przez doktora Mengelego - poprowadzono drogą do macierzystego obozu Auschwitz I. Był to koszmarny widok. W ciemności esesmani bezlitośnie wszystkich popędzali, a niebo rozbłyskiwało wystrzałami odległej artylerii. Dzieci, które nie mogły iść dalej, rozstrzeliwano i pozostawiano przy drodze. W chaosie tego marszu dwie pary bliźniąt zostały rozdzielone i nigdy więcej się już nie zobaczyły.

W obozie macierzystym Eva i Miriam zostały same. Szttywny system nadzoru przez kapo i strażników załamał się nagle i więźniowie musieli dawać sobie radę samodzielnie. Evie udało się nawet przedostać przez ogrodzenie i pójść do płynącej przy obozie Soły, żeby przynieść trochę wody. Gdy rozbijała lód na rzeczce, na przeciwnym brzegu zobaczyła małą dziewczynkę mniej więcej w jej wieku. Niosąca tornister dziewczynka była ładnie ubrana i miała schludnie splecione warkocze ze wstążkami. Był to „niemal niemożliwy do uwierzenia” widok dla ubranej w obozowe, rojące się od wszy łachy Evy, która stała i przypatrywała się dziewczynce. „Wtedy po raz pierwszy od przybycia do Auschwitz zdałam sobie sprawę - wspomina Eva - że istnieje świat, w którym dzieci wyglądają jak dzieci i chodzą do szkoły”.

Eva i Miriam miały szczęście i przeżyły - choć hitlerowcy planowali je zabić, podobnie jak resztę pozostawionych w obozie więźniów, którzy byli zbyt słabi, by wziąć udział w wielkim marszu z Auschwitz. Rozkaz wymordowania pozostawionych trafił do SS-Obergruppenführera Schmausera \* [\*Zob. Andrzej Strzelecki, „Likwidacja obozu” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 5, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.], miejscowego dowódcy, 20 stycznia. W ciągu następnych siedmiu dni specjalne jednostki SS zabiły około 700 więźniów w Brzezince i pobliskich podobozach. Prawie 8000 dalszych, wśród nich Eva i Miriam, uniknęło śmierci, ponieważ Armia Czerwona zbliżała się do Oświęcimia zbyt szybko i esesmani bardziej byli zajęci ratowaniem własnej skóry niż wykonywaniem rozkazów.

Wkrótce umilkły działa i 27 stycznia żołnierze Pierwszego Frontu Ukraińskiego dotarli do kompleksu obozów. Znaleźli 600 ocalałych w Monowicach, gdzie mieścił się obóz pracy fabryki Buna I.G. Farben, niecałe 6000 w Brzezince oraz nieco ponad 1000 w macierzystym obozie Auschwitz I - w tym Evę i jej siostrę Miriam. Eva dowiedziała się, że jej cierpienia dobiegają końca, kiedy jedna z kobiet w baraku zaczęła krzyżeć: „Jesteśmy wolne! Wolne! Wolne!”. Eva podbiegła do drzwi, ale nic nie mogła zobaczyć z powodu padającego śniegu. Dopiero po kilku minutach dostrzegła radzieckich żołnierzy w białych, maskujących płaszczach. „Podbiegłyśmy do nich, a oni przytulali nas, rozdawali ciastka i czekoladę. Kiedy jest się tak samotnym, czyjś uścisk oznacza, więcej, niż się wydaje, ponieważ przywracał on nam godność ludzką, której tak nam brakowało. Byłyśmy nie tylko wygłodniałe, ale również złańnione przyjaznych uczuć, a ci żołnierze dali nam ich choć trochę. Kiedy wróciłyśmy po wojnie do domu, to właśnie uścisków i pocałunków potrzebowałam najbardziej, bo nie dostawałam ich w obozie. Po zakończeniu wykładu mówię więc studentom: „Kiedy wróćcie do domu, uściskajcie rodziców i pocałujcie ich dla wszystkich dzieci, które przeżyły obóz, a których nikt nie przytulał i nie całował”.

Iwan Martynuszkin był porucznikiem w kompanii moździerzy, która wchodziła w skład wojsk wyzwalaających Oświęcim. Kiedy dotarł do obozu Birkenau, kilka godzin po jego wyzwoleniu, panował tam dziwny spokój. Byli więźniowie patrzyli na niego „z wdzięcznością w oczach” i „ceremonialnymi uśmiechami”. „Mieliliśmy wrażenie, że uczyniliśmy coś dobrego - opowiada - bardzo dobry uczynek - że w jakiś sposób spełniliśmy swój obowiązek”. Co jednak ważne, mimo że on i jego towarzysze „współczuli” więźniom Auschwitz, nie byli jednak wstrząśnięci tym, co tam zobaczyli. „Musicie zrozumieć psychologię ludzi, którzy przeszli przez tę wojnę... Miałem za sobą już ponad rok doświadczenia bojowego i widziałem już w tym czasie obozy - nie takie jak ten, mniejsze, ale podobne. Widziałem obrócone w perzynę miasta. Widziałem wyludnione wsie, których mieszkańców wymordowano. Widziałem cierpienia swojego narodu. Widziałem okaleczone dzieci - nie było ani jednej wsi, gdzie ludzie nie przeżyli grozy, tragedii i cierpienia”.

Słowa Martynuszkinina doskonale przypominają o wydarzeniach, na których tle widziało obóz oświęcimski wielu z żołnierzy walczących z Niemcami na froncie wschodnim. Obóz był dla nich oczywiście przerażającym miejscem, ale stanowił również jeden z wielu straszliwych widoków, które ukazały się ich oczom w czasie tej okrutnej wojny. Początkowo wyzwolenie obozu oświęcimskiego nie odbiło się dużym echem w prasie. Wspomniały o nim gazety - „Prawda” opublikowała 2 lutego \* [\*Robert Jan van Pelt, „The Case for Auschwitz”, Indiana University Press 2002, s. 159. Zob. też s. 158-165, gdzie omówiono prasowe

doniesienia o wyzwoleniu obozu.] relację swojego korespondenta Borysa Polewoja, która kilka dni później trafiła na łamy pisma „Jewish Chronicle” w Londynie - ale wydarzenie to nie zwróciło takiej uwagi jak odkrycie zeszłego lata Majdanek. Majdanek był jedynym poza Auschwitz obozem śmierci, gdzie hitlerowcy uśmiercali ludzi za pomocą cyklonu B (wykorzystywano go jednak na znacznie mniejszą skalę niż w obozie oświęcimskim), na początku można więc było uważać Auschwitz za „drugi Majdanek”. Styczeń 1945 roku był zresztą interesujący dla reporterów z zupełnie innych powodów - zbliżał się między innymi termin jałtańskiego spotkania Wielkiej Trójki przywódców koalicji antyhitlerowskiej (Churchilla, Roosevelta i Stalina) \* [\**Ibid.*, s. 164.]. Być może istniał również inny powód, dla którego wyzwolenie obozu nie zostało nagłośnione w prasie. Kiedy Armia Czerwona odkrywała obóz, wielu zaczynało wątpić, czy zwycięska koalicja przetrwa zakończenie wojny. W artykule Polewoja w „Prawdzie” były już widoczne próby otwarcie marksistowskiej interpretacji Auschwitz jako ostatecznego ucieleśnienia kapitalistycznej fabryki, w której pozbywano się robotników. Był to początek pogłębiających się rozbieżności pomiędzy jądrami historyków na Wschodzie i Zachodzie. Interpretacje wydarzeń w Auschwitz miały różnić się po obu stronach żelaznej kurtyny aż do upadku komunizmu. Od początku jedną z ciemniejszych stron komunistycznej historiografii obozu była próba umniejszenia rozmiarów cierpień Żydów w Auschwitz - kładziono nacisk na to, by wymordowanych tam ludzi określać mianem „ofiar faszyzmu”.

W styczniu 1945 roku Eva Mozes Kor i jej siostra Miriam rzeczywiście mogły się po wyzwoleniu uważać za wybranki losu. Gdyby nie pozostawiono ich w obozie 18 stycznia, kiedy wyzwoliciele znajdowali się zaledwie kilka kilometrów od miasta, Niemcy włączyliby siostry do grupy 65 000 więźniów uznanych za „zdolnych” do wielkiej ucieczki na zachód - piechotą. Wielu z nich uznało następne kilka tygodni, kiedy zmuszono ich do ewakuacji, za najgorszy okres swojej niewoli - gorszy niż ciągła groźba selekcji, gorszy niż głodowe racje w obozie, gorszy niż mieszkanie w zimnie i ciasnocie baraków. Więźniowie obozu oświęcimskiego rozpoczynali bowiem podróż określoną później trafnie jako marsz śmierci.

Marsze śmierci nie były dla hitlerowców niczym nowym. Pierwszy znany taki marsz odbył się w Polsce w styczniu 1940 roku, kiedy 800 polskich jeńców wojennych, Żydów, miało przejść liczący 95 kilometrów odcinek pomiędzy Lublinem a Białą Podlaską \* [\*Zob. „Encyklopedia of the Holocaust”, Macmillan 1990, t. 1, s. 350 oraz Yehuda Bauer, „The Death Marches”, styczeń-maj 1945 [w:] „Modern Judaism”, luty 1983, s. 1-21.]. Przetrwali tylko nieliczni, podczas gdy większość zamarzła po drodze lub została zastrzelona przez nadzorujących esesmanów. W następnych latach hitlerowcy zmuszali do marszów śmierci

Żydów po likwidacji gett oraz radzieckich jeńców wojennych kierowanych do prowizorycznych obozów.

Ale, jak już powiedziano w rozdziale 5, największe marsze śmierci odbywały się jesienią 1944 roku, wśród nich jeden z najgorszych, w listopadzie 1944, kiedy na polecenie Eichmanna niemal 80 000 Żydów, również kobiet i dzieci, zmuszono do pójścia z Budapesztu na zachód, w kierunku Austrii. Ci, którzy przetrwali tę straszliwą wyprawę - marsz tak ciężki, że nawet hitlerowcy opisywali go jako sadystyczny - trafili ostatecznie do obozów takich jak Mauthausen i Dachau. Oświęcimski marsz śmierci miał więc swoich wielu morderczych poprzedników.

Więźniowie ubrani w pasiaki, zupełnie niechroniące przed śniegiem i mroźnym wiatrem, zostali zapędzeni przed bramę obozu i na drodze uformowano z nich kolumnę. Właśnie w tamtej chwili esesman Franz Wunsch po raz ostatni okazał dobrą wolę ukochanej przez siebie więźniarki, Helenie Citrónovej. Kiedy trzęsąc się z zimna, stała z siostrą Różinką przy bramie obozu, Wunsch przyniósł jej „dwie pary ciepłych butów - wyłożonych futrem kozaków. Wszyscy inni nieszczęśnicy mieli na nogach chodaki wyłożone gazetami. Naprawdę ryzykował życie [przynosząc nam te buty]”. Wunsch powiedział Helenie, że wysyłają go na front, ale jego matka w Wiedniu będzie się opiekować nią i jej siostrą, ponieważ jako Żydówki „nie będą miały dokąd pójść” pod koniec wojny. Karteczkę z adresem swojej matki wsunął Helenie w dłoń. Kiedy jednak odszedł, przypomniały się jej słowa ojca, które miała zapamiętać na całe życie: „Nie zapominaj, kim jesteś”. Zawsze myślała: „Jestem Żydówką i muszę nią pozostać”. Wyrzuciła więc adres matki Wunscha.

Obie siostry rozpoczęły w zawiei marsz na zachód. Helena opisuje pierwsze dni jako „niewiarygodnie ciężkie”. Widziała, jak więźniowie wokół niej padają na śnieg. Umierali zupełnie pozbawieni sił. Każdy musiał dawać sobie radę sam, panował zupełny chaos. Kto żył - żył. Kto umierał - umierał.

Dziewiętnastoletnia wtedy Ibi Mann \* [\*Wywiad dla BBC.] przybyła do Oświęcimia rok wcześniej z terytorium Czechosłowacji. Była ona jedną z wielu osób, które doświadczyły męczarni tego marszu śmierci. „Zbierali nas w środku nocy, nie mówiąc, która godzina, nic. Byliśmy zupełnie odcięci od świata”. Mimo huku wybuchających w pobliżu radzieckich bomb, hitlerowcy zmuszali więźniów do odliczania i formowania się piątkami w kolumny. „Ktokolwiek się pochylił albo choć na chwilę zatrzymał, był rozstrzeliwany”. Jak wiele innych osób, które przetrwały, Ibi nie była sama; szła z nią jej siostra, bez przerwy zachęcając do dalszego wysiłku. „Mówiłam: «To już koniec - nie mogę iść dalej», [ale] ona ciągnęła mnie siłą”. W nocy spały w stodołach - raz nawet w chlewie - albo pod gołym niebem,

chronione drzewami lub żywopłotami. Ibi i jej siostra szły na końcu kolumny, przechodziły więc wzdłuż rowów wypełnionych trupami. Z wysiłkiem posuwały się naprzód, podczas gdy śnieg zamieniał się w śliskie błoto, docierając do cienko obutych stóp, na których powstawały pęcherze i zadrapania. Żadna z nich nie czuła podczas marszu głodu, cierpiały jedynie ciągle pragnienie - wiedziały, że jeśli pochyla się, by zjeść garść mokrego śniegu, zostaną zastrzelone. Myśląc o tych cierpieniach, trudno uwierzyć, że hitlerowcy zmuszali więźniów do marszu, traktując ich jako siłę roboczą. W tym okresie wojny praca niewolnicza była dla hitlerowskich Niemiec bardzo ważna - pod koniec 1944 roku w fabrykach w Rzeszy pracowało około pół miliona więźniów.

Hitlerowcy prowadzili kolumny z Oświęcimia dwoma głównymi trasami. Pierwsza biegła na północny zachód, przez Mikołów, do odległego o blisko 50 kilometrów węzła kolejowego w Gliwicach. Druga, długości 65 kilometrów, prowadziła prosto na zachód do stacji w Wodzisławiu Śląskim. Tutaj jednak nie kończyły się cierpienia ocalałych, których pociągi miały zabrać do obozów w Niemczech i Austrii. Ibi i jej siostra zostały stłoczone z innymi w wagonach „do połowy wypełnionych śniegiem”. Więźniów ściśnięto jak sardynki w puszcze - nie było miejsca, żeby usiąść.

Morris Venezia \* [\*Wywiad dla BBC.], przedtem pracujący w Sonderkommandzie w obozie oświęcimskim, również musiał pojechać tym pociągiem. Był jednym z nielicznych więźniów, którym udało się znaleźć w nieprzykrytym dachem wagonie miejsce do siedzenia. Do dziś pamięta jednak straszliwy ziąb, padający na wszystkich śnieg i ciągle wyrzucanie zwłok tych, którzy nie podołali trudom podróży. Pamięta również coś, o czym zapomnieć jeszcze trudniej - morderstwo.

Razem z Morrisem jechał w wagonie niemiecki więzień, który bardzo chciał usiąść po godzinach stania w śniegu. Zawarł więc z Venezia umowę - za kilka papierosów posiedzi na jego miejscu, kiedy Venezia będzie palił. Morris wstał, wziął papierosy i zaczął je palić, podczas gdy Niemiec przycupnął w rogu wagonu. Po jakichś dziesięciu minutach Morris skończył palić i kazał Niemcowi wstać. Ten odmówił. „Zrobiliśmy więc tak - opowiada Morris. - Razem z kilkoma kolegami usiedliśmy na nim. Po trzydziestu minutach albo godzinie udusił się i wyrzuciliśmy go z wagonu. Po sprawie. Byliśmy zadowoleni, że zabiliśmy Niemca”.

Nawet dzisiaj Morris nie przejmuje się tym, że zabił tego więźnia. Nie było ważne, że człowiek ten, tak jak on, był więźniem obozu oświęcimskiego. Liczył się tylko język, którym on mówił. „Byłem szczęśliwy. Oni [Niemcy] zabili całą moją rodzinę, trzydzieści czy czterdzieści osób, a ja zabiłem jednego Niemca. Phi! To było nic. Gdybym mógł zabić stu z

nich, tobym był zadowolony, ponieważ oni nas zupełnie wytępił”. Nieważne, jak długo się z nim rozmawia, Morris nie potrafi dostrzec różnicy pomiędzy Niemcami z załogi obozu a więźniem, którego zabił w wagonie tej mroźnej nocy w Polsce. „Poza tym - dodaje - sam chciałem usiąść, bo byłem zmęczony. Dlaczego miał żyć z powodu tych dwóch czy trzech papierosów, które mi dał? Nie chciał wstać, więc usiedliśmy na nim, a on wykitował - proste jak drut”. Bezduszne postępowanie Morrisa Venezii wobec niemieckiego więźnia przypomina o powszechnej w obozie demoralizacji, o tym, że każdy więzień musiał przede wszystkim myśleć o własnym przetrwaniu.

Okolo 20 000 więźniów z Oświęcimia trafiło do obozu Bergen-Belsen \* [\*Obóz w Bergen-Belsen nie miał statusu obozu koncentracyjnego, lecz ośrodka tranzytowego, w którym przez pewien okres przetrzymywano osoby internowane, głównie Żydów mających obywatelstwo państw neutralnych w wojnie oraz wyselekcjonowaną grupę Żydów holenderskich. W lipcu 1944 roku przetrzymywano około 7,5 tysiąca osób. Od jesieni 1944 roku w Bergen-Belsen więziono także około tysiąca żołnierzy powstania warszawskiego. Ośrodek ulokowano na miejscu obozu dla radzieckich jeńców wojennych. Od sierpnia do grudnia 1944 roku do obozu dotarło w licznych transportach około 15 tysięcy kobiet w ramach tzw. marszów śmierci, a w pierwszych trzech miesiącach 1945 roku kolejne 30-40 tysięcy osób, głównie kobiet, z likwidowanych obozów koncentracyjnych (przyp. A.Ż.) w Dolnej Saksonii. Jak już powiedziano w rozdziale 5, Bergen-Belsen jest dziś znane głównie dzięki straszliwemu filmowi dokumentalnemu, który powstał po wyzwoleniu tego obozu przez Brytyjczyków 15 kwietnia 1945 roku. Przeróżające zdjęcia wyniszczonych ciał, żywych szkieletów, wstrząsnęły oczywiście całym światem, kiedy po raz pierwszy zostały pokazane. Dzięki nim powstał jednak stereotypowy, mijający się z prawdą obraz obozu koncentracyjnego, który nie odzwierciedla rzeczywistego działania tej instytucji. Film ten przyczynił się do zatarcia w umysłach wielu ludzi różnicy pomiędzy obozem koncentracyjnym a obozem śmierci.

Mimo że obóz Bergen-Belsen miał być przeznaczony dla „uprzywilejowanych” Żydów-zakładników, na wiosnę 1944 roku zaczął on spełniać inną funkcję - wysyłano do niego z innych obozów więźniów uznanych za niezdolnych do użytecznej pracy. Więźniowie cierpieli w nim straszliwe męki, szczególnie brutalnie traktowani przez niemieckich kapo. Sytuację pogorszyły później jeszcze trzy wydarzenia: objęcie w grudniu 1944 przez Josefa Krammera funkcji komendanta obozu, decyzja o zniesieniu jakichkolwiek „przywilejów”, z których korzystali w obozie Żydzi przeznaczeni do wymiany, oraz przybycie we wczesnych miesiącach 1945 roku do Bergen-Belsen więźniów ocalałych po marszach śmierci. Dobre



wyobrażenie o szybkim powiększeniu obozu dają liczby - pod koniec 1944 roku było w nim około 15 000 więźniów, natomiast po wyzwoleniu Brytyjczycy znaleźli w nim ich 60 000. Niemcy nie zrobili praktycznie nic, żeby pomieścić tak wielką liczbę nowo przybyłych.

Jak zawsze w historii statystyki nie dają jednak wyobrażenia o ludzkim losie. Doświadczenia poszczególnych ludzi można jedynie poznać, słuchając relacji takich jak ta zdana przez Alice Lok Cahana i jej siostrę Edith, które były w Bergen-Belsen w kwietniu 1945 roku. Sądziły, że w obozie oświęcimskim doszły do granic ludzkiej wytrzymałości - okazało się jednak, że życie może być jeszcze gorsze. Kiedy Alice i Edith przybyły do obozu Bergen-Belsen, w barakach szalała epidemia tyfusu. Panowało tak wielkie przepełnienie, że brakowało miejsc na pryzkach i trudno było w ogóle znaleźć miejsce do spania. Brakowało jedzenia i wody. Umierający więźniowie z Auschwitz zostali po prostu zebrani w jednym miejscu i pozostawieni sobie. W ciągu następnych tygodni wielu załamało się psychicznie. „Nie ma słów, które mogą opisać to, co działo się w Bergen-Belsen”, opowiada Alice. Każdej nocy któraś ze śpiących przy nich kobiet „dostawała szału” i zaczynała skakać po Alice i jej siostrze. Budowa baraków nie została ukończona, a to, co zbudowano, rozpadało się. „W drodze do latryny trzeba było stąpać po ludziach. Niektórzy wpadali w dziury w podłodze”. Dzień i noc słychać było wołania: „Wody, matko! Wody, matko!”.

Renee Salt \* [\*Wywiad dla BBC.], inna więźniarka Auschwitz przewieziona do Bergen-Belsen, miała wtedy 16 lat. Kiedy, pędzona drogą pośród leżących wszędzie ciał ludzi z poprzednich transportów, pierwszy raz zobaczyła nowy obóz, wydawało się jej, że ujrzała piekło. „Zobaczyliśmy chodzące szkielety z rękami i nogami cienkimi jak zapałki - kości wystawały przez pozostałości skóry. Nad obozem unosił się straszliwy, przenikający wszystko smród. Wydawało się, mimo wszystkiego, przez co przeszliśmy, że to było coś nowego i w straszliwy sposób odmiennego”.

Organizacja obozu znajdowała się w stanie całkowitego rozkładu. Nie urządzano apelów - ludzie nie mieli nawet sił, żeby się podnieść - a bez jedzenia więźniowie umierali z głodu. Po trzech tygodniach również Renee zdała sobie sprawę, że umiera. Potem, kiedy traciła już kontakt z rzeczywistością, ktoś wskazał na odległy czołg - brytyjski czołg. Renee opadła na ziemię i nie odzyskała świadomości przez następne dziesięć dni. Kiedy obudziła się, była w brytyjskim punkcie medycznym, umyta i odwszona, całkowicie wyczerpana - ale wolna.

Piętnastego kwietnia 1945 roku ktoś zaczął krzyczeć: „Wolni! Jesteśmy wolni!”, opowiada Alice Lok Cahana. Natychmiast podniosła się i powiedziała siostrze: „Co to za wyzwolenie? Muszę je znaleźć, zanim zniknie”. Chwiejnym krokiem wyszła z baraku i

zobaczyła żołnierzy w dżipach. Jej radość nie trwała jednak długo, ponieważ Edith była już w tak złym stanie, że musiano ją zabrać do szpitala Czerwonego Krzyża. Alice chciała być przy niej, ale żołnierze brytyjscy nie pozwolili jej, ponieważ nie była aż tak chora, by pozostać w szpitalu. Alice protestowała: „Powiedziałam: «Nie rozumiecie - nie możecie nas rozdzielić. Mogę wynosić basen»„. Alice spróbowała podnieść basen, ale sama ledwie mogła chodzić. Kiedy ruszyła ku drzwiom, jeden z żołnierzy chwycił ją, zabrał do dżipa i odwiózł z powrotem do baraku.

Alice jednak, po wszystkim, co zrobiła dla siostry w piekle Auschwitz i Bergen-Belsen, nie dała tak łatwo za wygraną. Następnego dnia, mimo braku sił, poszła z powrotem do szpitala. Dotarła w chwili, kiedy Edith przenoszono do karetki. Szybko też do niej wsiadła i powiedziała: „To znowu ja. Jadę z wami. Gdziekolwiek ją zabierzecie”. Ten sam żołnierz, który odwiózł ją poprzedniego dnia do obozu, rozpoznał ją i powiedział: „Znowu pani tu jest? Nie wolno pani tu być. Zabieramy pani siostrę do innego szpitala - szpitala wojskowego”. Alice musiała wysiąść z karetki i patrzeć, jak siostra odjeżdża.

Tak rozpoczęły się jej poszukiwania siostry - zakończone dopiero pięćdziesiąt lat później. Alice próbowała odnaleźć siostrę przez Czerwony Krzyż, próbowała wszelkich innych sposobów, ale nie udało się jej dotrzeć do Edith - aż po pięćdziesięciu trzech latach od zniknięcia siostry odkryła w archiwach Bergen-Belsen, że niejaka Edith Schwartz zmarła 2 czerwca 1945 roku. Schwartz to panięskie nazwisko matki Alice, którego Edith używała w obozie, udając, że nie jest siostrą Alice. Obawiała się, że jeśli hitlerowcy się o tym dowiedzą, uczynią wszystko, by rozdzielić siostry.

W ten sposób, po pięćdziesięciu trzech latach oczekiwania, w czasie których za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, kiedy przychodziła poczta, modliła się, by to były wiadomości od siostry - po wielu latach niepewności, Alice dowiedziała się w końcu, że jej Edith przeżyła zaledwie kilka dni po ich rozstaniu. Alice chroniła siostrę w czasie deportacji z Węgier, podczas marszu śmierci z Oświęcimia, w czasie głodu i epidemii w Bergen-Belsen, ale hitlerowcom i tak udało się w końcu ją zabić. „Wyzwolenie przyszło dla ciebie za późno, moja kochana - napisała Alice w wierszu krótko po tym, jak dowiedziała się o śmierci siostry. - Jak mogli ci to zrobić? Jak? Dlaczego?”.

Heinrich Himmler, jeden z ludzi odpowiedzialnych za śmierć Edith, nie miał kłopotów z prostą i brutalną odpowiedzią na pytanie Alice we wczesnych dniach realizacji „ostatecznego rozwiązania”. Żydzi mieli umrzeć, ponieważ w oczach jego i Führera stanowili zagrożenie. Działania Himmlera w ostatnich miesiącach wojny nie były już tak proste i zdecydowane. Udział Himmlera w propozycji wymiany Żydów na ciężarówkę na Węgrzech w

1944 roku został już omówiony, podobnie jak jego próba otwarcia przez Bandi Grosza drogi do porozumienia z aliantami zachodnimi. Z planów tych nic nie wyszło, ale pokazują one, jak działał pod koniec wojny umysł Himmlera. Dla Reichsführera SS liczył się teraz pragmatyzm, a nie wierność ideologii.

W lutym 1945 roku nowa, bardziej elastyczna postawa Himmlera znalazła swój wyraz w przewiezieniu 1200 Żydów z getta Theresienstadt do Szwajcarii. Ludzi tych uwolniono dzięki staraniom Amerykańskiego Związku Rabinów Ortodoksyjnych, korzystających z wielu pośredników w pertraktacjach z hitlerowcami. Zamiast wymieniać Żydów na ciężarówki, tym razem wymieniono ich na twardą walutę. Rita Reh \* [\*Wywiad dla BBC z programu „Timewatch: Hitler, Himmler and the End of the Reich”, producent Detlef Siebert, kierownikiem produkcji był autor tej książki.] była jedną z mieszkanek Theresienstadt, która pojechała wtedy do Szwajcarii. „Kiedy byliśmy już w pociągu, esesmani kazali nam zrobić makijaż, uczesać się i włożyć najlepsze ubrania, żebyśmy wyglądały jak najlepiej po przybyciu. Chcieli zrobić na Szwajcarach dobre wrażenie”.

Adolf Hitler dowiedział się o całej sprawie dopiero wtedy, kiedy przeczytał o uwolnieniu Żydów z Theresienstadt w szwajcarskiej gazecie. Oszał z gniewu. Co prawda już w grudniu 1942 roku Himmler uzyskał od niego zasadniczą zgodę na uwalnianie wybranych Żydów za twardą walutę - wykorzystanie znanych Żydów jako „zakładników” było zgodne z hitlerowską ideologią - ale wyzwolenie Żydów z Theresienstadt odbyło się bez wiedzy i zgody Hitlera, a teraz, kiedy wojna wyraźnie zbliżała się ku końcowi, wydawało się ono aktem defetyzmu. Hitler wyraźnie zabronił więc dalszych tego rodzaju działań.

Himmler postanowił jednak jeszcze raz postąpić wbrew instrukcjom Hitlera, kiedy w kwietniu dopuścił do wyzwolenia Bergen-Belsen przez aliantów. Hitler rozkazał wszystkie obozy koncentracyjne likwidować przed wkroczeniem sprzymierzonych. Himmler wyraźnie nie wykonał tego rozkazu. Jest prawdopodobne, że wydanie obozu w ręce aliantów było z jego strony „ustępstwem” na ich rzecz, nie zdawał on sobie jednak sprawy z panujących w nim straszliwych warunków. Działania Himmlera przyniosły skutek odwrotny od zamierzonego, kiedy przerażające fotografie z obozu obiegły cały świat. „Tego, co się działo w tym obozie, nie da się opisać - powiedział jeden z brytyjskich żołnierzy reporterom kroniki filmowej. - Kiedy samemu się ich zobaczy, człowiek wie, o co w tej wojnie walczy. Fotografie w gazetach nie oddają tego wszystkiego. Rzeczy, których oni się dopuścili - cóż, nikt teraz nawet nie pomyśli, że oni są ludźmi”.

Mimo tej katastrofalnie nieudanej próby zyskania przychylności aliantów, Himmler nie przestawał działać wbrew woli Hitlera. Dwudziestego kwietnia spotkał się z Norbertem

Masurem, wysłannikiem Światowego Kongresu Żydowskiego, i zgodził się na uwolnienie 1000 Żydówek z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Himmler postawił tylko warunek, określono je jako „Polki”, a nie Żydówki - w ten sposób, jak miał nadzieję, o jego działaniach nie dowie się Hitler. Tego samego dnia wieczorem, po spotkaniu z Masurem, Himmler zwierzył się swojemu masażysty, Feliksowi Kerstenowi: „Gdybym mógł zacząć wszystko od nowa, wiele rzeczy zrobiłbym inaczej. Ale jako lojalny żołnierz musiałem być posłuszny, bo bez dyscypliny nie przetrwa żadne państwo” \* [\**Ibid.*].

W ostatnich chwilach wojny nieposłuszeństwem wobec Hitlera wykazał się nie tylko Himmler, ale również całe jednostki SS. Schowanego w swoim berlińskim bunkrze niemieckiego przywódcę obudził 21 kwietnia huk artylerii. Stało się coś, czego nie potrafił sobie wcześniej nawet wyobrazić - Armia Czerwona dotarła do Berlina. Hitler rozkazał generałowi SS Feliksowi Steinerowi wykonanie kontrataku na nacierające na północne przedmieścia stolicy wojska Pierwszego Frontu Białoruskiego. Steiner jednak odmówił. „Kiedy przyszedł rozkaz - wspomina Franz Riedweg \* [\**Ibid.*], adiutant Steinera - generał powiedział: «Nie przeprowadzę kontrataku na tę rosyjską lawinę. Wysłałbym ludzi na śmierć. Nie poświęcę ludzi, żeby wykonać bezsensowny rozkaz». Kiedy Hitler dowiedział się o odmowie Steinera, zaczął wrzeszczeć w napadzie szału gorszym niż cokolwiek, co dotąd mogli zobaczyć mieszkańcy bunkra. Opuściło go SS - teraz, jak otwarcie przyznał, pozostało mu tylko targnąć się na własne życie.

Dwudziestego trzeciego kwietnia wiadomości o wybuchu gniewu Hitlera dotarły do Himmlera, który tego samego dnia miał się spotkać z hrabią Folke Bernadottem \* [\*Folke Bernadotte (1895-1948) - pochodzący ze szwedzkiej rodziny królewskiej wiceprezes Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, pośredniczył w przekazaniu aliantom oferty rozejmowej od Heinricha Himmlera. W latach 1947-1948 był z ramienia ONZ mediatorem w konflikcie arabsko-palestyńskim. Zginął w zamachu przeprowadzonym w Jerozolimie przez żydowską organizację terrorystyczną, grupę Sterna (przyp. A.Ż.), przedstawicielem Czerwonego Krzyża. Himmler sądził, że skoro Führer ogłosił chęć popełnienia samobójstwa (a może nawet już je popełnił), to teraz on sam może występować w imieniu Rzeszy. Powiedział więc Bernadottemu, że upoważnia go do przekazania aliantom zachodnim propozycji - Niemcy poddają się bezwarunkowo Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym, ale nie Związkowi Radzieckiemu.

Himmlerowski plan częściowej kapitulacji nie został przez aliantów przyjęty, ale komunikat o jego próbie zakończenia wojny na zachodzie został nadany przez rozgłoszenie Radia BBC i dowiedział się o nim Hitler. Niemiecki przywódca jeszcze nie umarł. Co więcej,

kiedy usłyszał o zdradzie Himmlera, zaczęły nim targać gwałtowne emocje. „Hitler był oczywiście wściekły - opowiada jeden z mieszkańców bunkra, Bernd Freiherr Freytag von Loringhoven \* [\*Wywiad dla BBC z programu „Timewatch: Hitler, Himmler and the End of the Reich”, producent Detlef Siebert, kierownikiem produkcji był autor tej książki.]. - Z wojskowego punktu widzenia sytuacja była beznadziejna. I wtedy nadeszły wieści o tym, co zrobił jego najbardziej zaufany człowiek, który opuścił go i szukał porozumienia z aliantami. Hitler zrobił więc jedyną rzecz, która mu pozostała - podyktował swój polityczny i osobisty testament. Dwa dni później już nie żył”.

Hitler zabił się około 15.30, 30 kwietnia 1945 roku, kiedy żołnierze Armii Czerwonej zbliżali się do Reichstagu, budynku niemieckiego parlamentu. Umarł, zostawiwszy napisany poprzedniego dnia testament polityczny, w którym oskarżał Żydów o wywołanie wojny. Hitler umarł tak samo, jak żył, przepelniony nienawiścią do wszystkich Żydów, nie wykazując najmniejszej skruchy. Jak się przekonaliśmy, obserwując skomplikowane dzieje realizacji „ostatecznego rozwiązania”, Hitler brał czasami bezpośredni udział w tej zbrodniczej polityce, kiedy indziej zaś zachowywał dystans. Ale jak dowodzi jego postępowanie wobec Himmlera, to właśnie Adolf Hitler do końca żywił fanatyczną nienawiść do Żydów. Był on najwierniejszym wyznawcą nazistowskiej ideologii ze wszystkich przywódców Trzeciej Rzeszy.

Himmler był bardziej zdolny przystosować się do sytuacji niż jego przełożony, nie tylko zgadzał się na uwalnianie Żydów za gotówkę, ale nawet próbował doprowadzić do tajnego porozumienia pokojowego. Himmler bowiem, w przeciwieństwie do Hitlera, do ostatnich dni wojny wierzył, że po wojnie czeka go jakaś przyszłość. Swoimi działaniami wywołał jednak konsternację wśród dostojników SS. Piątego maja, w kwaterze głównej admirała Dönitza w szkole morskiej we Flensburgu w północnych Niemczech, Himmler odbył ostatnie spotkanie z wyższymi oficerami SS - wśród nich był również Rudolf Höss. „Przeznaczenie postawiło przede mną nowe, wielkie zadanie - obwieścił Himmler. - Muszę mu stawić czoło sam. Wydaję wam więc ostatni rozkaz. Zniknijcie w szeregach Wehrmachtu!”. Höss był wstrząśnięty. Oczekiwał jakiegoś symbolicznego ostatniego aktu - a nie prozaicznego rozkazu, uciekać i ukryć się. „To było pożegnalne przemówienie człowieka, którego tak szanowałem - pisze Höss - któremu tak bardzo ufałem i którego rozkazy zawsze były dla mnie ewangelią”. Mimo rozgoryczenia Höss wykonał rozkaz Himmlera, by „zniknąć” w siłach zbrojnych, przywdział mundur Kriegsmarine i starał się uchodzić za zwykłego oficera marynarki.

Zadanie, które jakoby postawiło przed Himmlerem „przeznaczenie”, okazało się jednak, jak wiele rzeczy, w które wierzył, jedynie wytworem jego wyobraźni. Zaledwie dwa tygodnie po ostatnim spotkaniu z Hössem, 23 maja popełnił samobójstwo, ostatecznie przekonawszy się, że alianci nie będą rozmawiać z człowiekiem odpowiedzialnym za wymordowanie milionów ludzi. Fakt, że w ogóle na to liczył, daje dobre wyobrażenie o cechach jego charakteru: zdolności do ulegania złudzeniom, rozdętym do ogromnych rozmiarów poczuciu własnej ważności, szaleńczym optymizmie. Przede wszystkim ujawnia on jednak jego oportunistyczny - przeżywszy wiele lat jako wierna kreatura Hitlera, był gotowy stać się równie wiernym popiecznikiem kogo innego.

Po śmierci Hitlera i Himmlera, kiedy pomniejsi zbrodniarze rozpaczliwie szukali schronienia, dni bezpośrednio po upadku Niemiec powinny być okresem pokrzepienia i wytchnienia dla wszystkich ofiar obozów - ale nie były. Helena Citrónova i jej siostra w maju i czerwcu 1945 roku błądziły po ogarniętym chaosem Górnym Śląsku, wmieszane na drogach w tłumy niemieckich uchodźców starających się przedostać na zachód. Spały w stodołach i ruinach zbombardowanych domów, z trudem zdobywały jedzenie. Wkrótce natrafiły na żołnierzy Armii Czerwonej. Wobec Heleny i jej siostry zachowali się jak zdobywcy, nie wyzwoliciele. Zdarzało się, że żołnierze wyszukiwali miejsca, gdzie spali uchodźcy. „Byli pijani, zupełnie pijani - opowiada Helena. - Przypominali dzikie zwierzęta”. Żołnierze wkraczali do miejsc noclegu, „szukali ładnych dziewczyn i je gwałcili”. Helena chowała się pod swoją siostrę, kiedy to się działo, mając nadzieję, że wygląd jej siostry, starszej o dziesięć lat i często mylonej z jej matką, skłoni żołnierzy do szukania gdzie indziej. Fortel ten działał. Helena słyszała jednak wszystko, co radzieccy żołnierze robili innym kobietom. „Słyszałam krzyki, które ustawały, kiedy one nie miały już sił. Czasami gwałcono je na śmierć. Dusili je. Odwracałam głowę, bo nie chciałam patrzeć, bo nie mogłam im pomóc - bałam się, że zgwałcą mnie i moją siostrę. To były zwierzęta. Nieważne, jak dobrze się chowałyśmy, zawsze znajdowali kryjówki i gwałcili kilka naszych przyjaciółek - robili im okropne rzeczy. Do końca nie mogłyśmy uwierzyć, że będzie nam dane przetrwać. Myślałyśmy, że skoro nie zabili nas Niemcy, to zabiją nas Rosjanie”.

Sama Helena raz cudem uniknęła śmierci. Pewnego ranka jechała rowerem i ogarnęła ją „ekstaza jazdy. Jako dziecko uwielbiałam jeździć rowerem, uwielbiałam tę wolność i spokój”. Pojechała daleko, rozkoszując się wiosennym krajobrazem. Kiedy zatrzymała się, żeby odpocząć przy opuszczonym magazynie, „obok przejechał Rosjanin na motocyklu. Zobaczył młodą kobietę - Żydówka, nie Żydówka, nieważne. Rzucił motocykl i rozpoczęła się straszliwa walka. Nie wiem, jak mi się udało uciec temu rosyjskiemu okrutnikowi, temu

kryminaliście. Od dawna nie był z kobietą i nie był w stanie mnie zgwałcić. Kopałam, gryzłam i krzyczałam, a on cały czas pytał mnie, czy jestem Niemką. Odpowiedziałam: «Nie, jestem Żydówką z obozu». Pokazałam mu numer na ramieniu. Wtedy się cofnął. Może sam był Żydem. Nie wiem. Odwrócił się i uciekł».

Nigdy nie poznamy dokładnej liczby gwałtów popełnionych zaraz po wojnie przez ciągnących w głąb Niemiec żołnierzy radzieckich. Na pewno jednak idzie w setki tysięcy. W ostatnich latach media poświęcały dużo uwagi cierpieniom kobiet niemieckich w miastach takich jak Berlin. Fakt, że kobiety, które przeszły tak wiele cierpień w obozach, były potem gwałcone również przez swoich wyzwolicieli, dodaje tej historii nowy, nieznany wcześniej, pokład obrzydliwości.

Oprócz gwałtów na byłych więźniarkach obozów żołnierze zadawali szczególnego rodzaju cierpienie również swoim rodakom w „wyzwolonych” obozach. Stalin powiedział, że nie było radzieckich jeńców wojennych, tylko „zdrajcy ojczyzny”. Nic nie oddaje lepiej tego nastawienia niż postępowanie żołnierzy Armii Czerwonej, którzy dotarli do obozu koncentracyjnego w południowej Polsce, w którym była więziona Tatiana Naniewa \* [\*Wywiad dla BBC.]. Została ona wzięta przez Niemców do niewoli, kiedy szpital, w którym była pielęgniarką, znalazł się w okrążeniu. Podczas dwóch i pół roku niewoli była świadkiem gwałtów popełnianych przez Niemców na innych radzieckich więźniarkach. Potem, w styczniu 1945 roku, usłyszała żołnierzy Armii Radzieckiej, z „pompą” przybywających do obozu, z uniesionymi głowami śpiewających pieśni patriotyczne. „Byłyśmy wtedy naprawdę szczęśliwe. Sądziłyśmy, że zwycięstwo jest już bliskie i wkrótce rozpocznie się normalne życie. Tęskniłam za ojczyzną, za rodziną”. Potem, kiedy wciąż przepełniała ją radość z wyzwolenia, podeszło do niej dwóch oficerów Armii Czerwonej. Jeden z nich był pijany i zaczął krzyczeć: „No i jak się wam tutaj żyło? Wy dziwki!”. Tatiana poczuła, że wali się jej świat, podczas gdy chwiejący się oficer sięgnął po pistolet. Uciekła i udało się jej ukryć do czasu, kiedy oddziały frontowe, które wyzwoliły obóz, wytrzeźwiały. Nieważne jednak, czy na trzeźwo czy po pijanemu, wciąż oskarżano ją o „zradę ojczyzny”. Za „zbrodnię”, jaką było trafienie do niemieckiej niewoli, została skazana na sześć lat Gułagu i dożywotnie zesłanie na Syberii.

Pawieł Stienkin \* [\*Wywiad dla BBC.], któremu udało się dzięki wielkiemu szczęściu przetrwać pobyt w obozie oświęcimskim, musiał przejść przez podobne cierpienia w ojczyźnie. Był jednym z 10 000 jeńców radzieckich, których wysłano w październiku 1941 roku do Oświęcimia, żeby budowali obóz w Brzezince. Następnej wiosny, kiedy spośród jego towarzyszy przy życiu pozostało zaledwie kilkuset, uciekł do znajdującego się w pobliżu

obozu lasu, a później przedostał się do pracy na zachód Armii Czerwonej. Zamiast, tak jak oczekiwał, przyjąć go z otwartymi ramionami i pozwolić walczyć z Niemcami, rodacy przesłuchiwali go tygodniami, przy czym pytanie najczęściej powtarzane przez agentów SMIERSZ (kontrwywiadu radzieckiego) brzmiało: „Kiedy przyłączyłeś się do armii niemieckiej?”. Stienkin trafił na zesłanie do Permu w górach Ural, gdzie przesłuchania bynajmniej się nie zakończyły. „Wzywali mnie co drugą noc. «Przyznaj się do tego, zgódź się na tamto, wiemy wszystko - jesteś szpiegiem». Męczyli mnie i męczyli”. Po kilku miesiącach, w czasie których Stienkin pracował w dzień i był przesłuchiwany w nocy, na podstawie sfabrykowanych oskarżeń stanął przed sądem i został skazany na kilkanaście lat więzienia. Dowodząc typowego w radzieckim sądownictwie cynizmu, sędziowie spieszyli się w czasie rozprawy, ponieważ mieli bilety na przedstawienie teatralne tego wieczora. Dopiero w 1953 roku, po śmierci Stalina, Stienkin został zwolniony, podobnie jak ponad milion radzieckich żołnierzy, których uwięziono dwukrotnie - raz uczynili to Niemcy, a drugi raz ich rodacy.

Losy Stienkina i Tatiany Naniewy są szczególnie ważne, ponieważ wyraźnie brak w nich chwili zadośćuczynienia, której na zachodzie oczekuje się zawsze w historii drugiej wojny światowej. Dla pokoleń Brytyjczyków i Amerykanów wojna ta miała niemal mityczny wymiar starcia „dobra” ze „złem”. Oczywiście hitleryzm poniósł klęskę i nie ulega wątpliwości, że świat zyskał na zniszczeniu tej zarazy. Ale powojenne losy wielu ludzi nie są tak proste, jak nakazuje wierzyć popularny mit. Niewiele było „szczęśliwych zakończeń” dla radzieckich więźniów w obozach wyzwalanych przez Armię Czerwoną - podobnie jak dla wielu innych na wschodzie.

Kiedy wojna się skończyła, Stalin również dopuszczał się zbrodni przypominających hitlerowskie „ostateczne rozwiązanie”. Tak jak Hitler, Stalin prześladował całe grupy etniczne. Tatarzy krymscy, Czeczeni i wiele innych grup etnicznych Związku Radzieckiego doświadczyło prześladowań w ostatnich dniach wojny i bezpośrednio po niej. Nikt nie wie dokładnie, ilu obywateli Związku Radzieckiego wywieziono, ale liczba ta na pewno przekracza milion. Mimo że duża część deportowanych przez Stalina ludzi mogła powrócić z Syberii do swoich ojczyzn, w przeciwieństwie do Żydów, których większość zginęła z rąk hitlerowców, jest pewne, że Stalin karał Czeczenów, Tatarów, Kałmuków i innych, ponieważ chciał ukarać całe narody za przewinienia jednostek.

W maju 1945 roku większość wschodniej Europy przeszła z rąk jednego dyktatora pod władanie drugiego - o czym przekonali się liczni więźniowie Auschwitz, kiedy chcieli wrócić do domu. Dla Lindy Treder \* [\*Wywiad dla BBC.] radziecka okupacja była na początku bardzo pozytywnym doświadczeniem - to właśnie Rosjanie zwyciężyli przecież



hitlerowców, wyzwolili obozy i przerwali masową eksterminację Żydów. Kiedy 5 maja Linda została wyzwolona w obozie na północ od Berlina, żołnierze Armii Czerwonej byli „bardzo przyjaźni” dla niej i innych więźniarek. Pomogli im znaleźć nowe ubrania, żeby mogły porzucić znienawidzone pasiaki, w ten sposób, że zabrali je do pobliskiego, zamieszkanego przez Niemców domu i powiedzieli, iż mogą sobie wziąć, co zechcą. Przerażona mieszkanka domu zaczęła krzyczeć: „Nie SS! Nie SS!”, podczas gdy Linda i kilka innych więźniarek zepchnęły ją z drogi i zaczęły szukać ubrań. Kiedy otworzyły szafę, znalazły w niej kilka mundurów SS - kobieta była najwyraźniej żoną esesmana. Splądrowały więc cały dom, wyrzucając przez okno puchowe kołdry i inne mienie oraz zabierając wybrane dla siebie ubrania. Linda Breder twierdzi, że kobiecie nic się nie stało, choć przyznaje, że jedna „silna dziewczyna” rzeczywiście „złapała ją i skrzyczała”.

Linda pragnęła tylko powrotu na Słowację - inne więźniarki marzyły o nowym życiu w Ameryce albo Izraelu, ale jej jedynym życzeniem był powrót do domu. Wspólnie z innymi Słowaczkami zaczęła więc długą podróż przez zniszczoną wojną Europę. Widok przedstawicieli „rasy panów” zmuszanych do pracy fizycznej tak uszczęśliwił Linde i inne kobiety, że spytały żołnierza Armii Czerwonej nadzorującego pracę jeńców, czy mogą im coś powiedzieć. Ten zgodził się i kobiety zaczęły drwić z nich, krzycząc: „Szybciej! Szybciej! Dalej! Dalej!”, a potem „naprawdę dały im popalić”. To właśnie w tej chwili Linda Breder najlepiej zdała sobie sprawę, że nigdy już nie będzie się musiała bać Niemców. Nie poczuje już trwogi w czasie selekcji, nie będzie z rozpaczą oczekiwać, kto zostanie wysłany na śmierć.

Opuściwszy Berlin, Słowaczki wędrowały pieszo - nie było środków lokomocji. Pewnego dnia jednak, kiedy szły w upale po pokrytych pyłem drogach środkowych Niemiec, dogonił je samochód z kilkoma radzieckimi żołnierzami, którzy zaproponowali, że je podwiozą. Linda i reszta kobiet były „prerażone, ponieważ oni często gwałcili dziewczyny”. Ale chęć odpoczynku po długim marszu przemogła strach i wszystkie wspięły się na ciężarówkę z radzieckimi żołnierzami. Po przejechaniu kilku kilometrów wóz zatrzymał się i żołnierze okradli kobiety z całego ich mienia. „Zabrali nam nawet to, co ukradłyśmy Niemcom - opowiada Linda Breder. - Ale przynajmniej uszłyśmy z życiem”.

Pozostawione na poboczu, pozbawione całego mienia, szły dalej, tylko od czasu do czasu pokonując krótkie odległości pociągami, aż dotarły do Pragi. Linda i pewna liczba kobiet z jej grupy znalazły w mieście schronienie, wciąż jednak desperacko pragnęła jak najszybciej dotrzeć do domu na Słowacji. Gdy tylko otworzono połączenie kolejowe z Bratysławą, stolicą Słowacji, Linda zdołała wreszcie dotrzeć do rodzinnego domu w mieście

Stropkov na wschodzie kraju. W końcu, po ponad trzech latach z dala od domu, po wywiezieniu w wagonach bydłych i cierpieniach, przez które przeszła w Auschwitz, dotarła do wymarzonego od dawna celu - stała przed drzwiami rodzinnego domu. Był jednak pewien szkopuł: mieszkał tam najwyraźniej ktoś inny. Zapukała w drzwi, które otworzył jakiś Rosjanin albo Ukrainiec. „Czego chcesz?” - zapytał wrogo. „Wróciłam do domu”, odrzekła. „Wracaj, skąd przyszłaś!” - odpowiedział i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Linda była zdruzgotana. Snując się główną ulicą rodzinnego miasta, odkryła, że w większości domów, które kiedyś zamieszkiwali jej przyjaciele i krewni, mieszkają teraz ludzie ze Związku Radzieckiego. „Zaglądałam przez okna do tych domów i miałam wrażenie, że wszystkie oczy są utkwione we mnie”. Z dawnych mieszkańców w mieście pozostała tylko ludność nieżydowska, ale wielu tych ludzi utrzymywało przed wojną przyjazne stosunki z Lindą i jej rodziną, więc sądziła, że przynajmniej oni ją mile przywitają. Myliła się. „Rozpoznałam jedną z tych osób - opowiada Linda - ale nie podeszła do mnie i nie przywitała się. Wszyscy trzymali się na dystans, jakbym była zadżumiona. Wyjechałam następnego dnia i nigdy tam już nie wróciłam. Ten powrót był dla mnie najgorszym przeżyciem. To było naprawdę druzgocące doświadczenie”.

Podobnego powrotu do domu doświadczyło wielu innych więźniów, nie tylko z Auschwitz, ale również z innych obozów. W niewoli pomagały im przetrwać marzenia o domu, gdzie, jak sądzili, będą mogli po zakończeniu wojny żyć tak jak przedtem. Było to jednak niemożliwe. Linda Breder opuściła w końcu Słowację i rozpoczęła nowe życie w Kalifornii.

Innym Słowakiem, który wrócił w 1945 do domu, był Walter Fred \* [\*Wywiad dla BBC.]. Siedemnastoletni Fried był z rodzicami więźniem obozu pracy na Słowacji. Deportacje Żydów z tego kraju zostały wstrzymane w październiku 1942 roku, częściowo w wyniku nacisków pewnych frakcji w rządzie, i wielu słowackich Żydów, zamiast przekazywać Niemcom, zatrzymano w kraju w obozach pracy przymusowej. Walter pochodził ze stosunkowo bogatej rodziny - jego ojciec był właścicielem restauracji i taksówki w mieście Topolčany. Do 1939 roku rodzina żyła szczęśliwie i w zgodzie z sąsiadami. Teraz, kiedy wrócili do domu po klęsce faszyzmu, oczekiwali, że będą mogli żyć jak dawniej.

Należeli do stosunkowo małej grupy Żydów, którym udało się powrócić - spośród 3200 mieszkających tam przed wojną Żydów wróciło około 10 procent. Po powrocie odkryli, że przyjęto ich z uczuciem, którego zupełnie się nie spodziewali - nienawiścią. Ktoś inny mieszkał w ich mieszkaniu, a kiedy próbowali je odzyskać, nowy mieszkaniec odmówił opuszczenia go. Tak samo było w ich restauracji. Nowy właściciel powiedział im, że pod

radziecką okupacją interes został „znacjonalizowany” i skoro to on płaci czynsz, ma prawo pozostać.

Rodzina Friedów sądziła, że może liczyć na ostatnią deskę ratunku. Ojciec Waltera przed deportacją poprosił dobrych przyjaciół - rodzinę chrześcijańską - o ukrycie swojego złota, biżuterii i pieniędzy. Teraz, pewni ich uczciwości, przyszli odebrać kosztowności. Zastali rodzinę przy obiedzie. Po kilku minutach sztucznej konwersacji ojciec Waltera przeszedł do rzeczy, mówiąc: „Zostawiliśmy u was paczuszkę, dobrze wiecie, co zawierała - złoto, diamenty i pieniądze”. Ich znajomi zapamiętali jednak co innego i odpowiedzieli, że Friedowie pozostawili u nich tylko trochę ubrań, które oczywiście zaraz mogą zwrócić. „Daliśmy wam złoto i diamenty!” - odpowiedział zdesperowany ojciec Waltera. Nic to jednak nie dało; Friedowie nie odzyskali kosztowności.

Rodzina była zdruzgotana nie tylko bezczelną kradzieżą mienia i kosztowności, ale również niesprawiedliwością i zdradą. „Straciliśmy ostatnią nadzieję - opowiada Walter Fried - że można liczyć na dobrego chrześcijanina, który kiedyś przyjaźnił się z Żydem, który zawsze korzystał z pomocy Żyda, który dostawał jeść, kiedy nie miał pieniędzy i przychodził do naszej restauracji. Nie chcieli, żebyśmy wrócili, bo wtedy nie musieli uregulować z nami rachunków i patrzeć nam w oczy, mówiąc: «Nic wam nie jesteśmy winni». Nasi najlepsi przyjaciele stali się naszymi największymi wrogami. W 1945 roku czuliśmy się bardziej zagrożeni niż w 1942 - tyle było nienawiści”.

Skierowana przeciw nim nienawiść doprowadziła do aktów przemocy. Pewnego letniego wieczora 1945 roku Walter i jego ojciec szli ulicą w Topolčanach i natrafili na grupę około trzydziestu młodych ludzi. Jeden z nich był przyjacielem Waltera ze szkoły z czasów przedwojennych, miał na imię Joszo. Ale teraz Joszo nie był już przyjacielem. Grupa otoczyła Waltera i jego ojca i zaczęła ich bić. „Żyd! Jesteś Żyd! - krzyczał Joszo, bijąc ich. Walter, leżąc na ziemi pobity, przypomniał sobie, że przed wojną dzielił się z Joszem chlebem w szkole. Powiedział mu więc: „Nie wystarczy ci, że jadłeś mój chleb? Teraz musisz mnie jeszcze bić! Dlaczego?”. Ale Joszo powtarzał tylko: „Żyd! Jesteś Żyd!”.

Inni ludzie w tłumie krzyczeli: „Żydzi! Pijecie chrześcijańską krew!”. Bili Waltera i jego ojca nie tylko pięściami, ale również kijami, aż obaj zostali mocno poranieni. Do napadu doszło na jednej z głównych ulic miasta i Walter zauważył, że nikt nie zatrzymuje się, żeby im pomóc - mimo że część przechodzących ludzi go znała. „Myślałem, że znam tylu ludzi - opowiada Walter - ale nagle nikt nie znał mnie”. Chuligani zaciągnęli następnie pobitych do pobliskiego komisariatu i pozostawili ich na schodach. „Policjanci nie byli lepsi - wspomina Walter. - Zamiast pogonić albo aresztować chuliganów, pozwolili im odejść. Potem sami nas

pobili”. Walter wiedział, że nie ma czego szukać na Słowacji, i przy pierwszej nadarzającej się okazji wyemigrował do Izraela, gdzie mieszka do dziś.

Donoszono również o powojennych pogromach Żydów w Polsce \* [\*Zapewne mowa o pogromach w Rzeszowie i Krakowie w 1945 roku. Zginęło w nich kilka osób. Do największego powojennego pogromu Żydów - zabito 42 osoby - doszło w Kielcach 4 lipca 1946 roku. Jedną z jego konsekwencji była fala masowej emigracji z Polski ponad stu tysięcy uratowanych Żydów (przyp. A.Ż.).], nikt nie wie również, ilu Żydów wracających z obozów zaznało podobnych cierpień w innych krajach wschodniej Europy. Nikt nie sporządził szczegółowego wykazu, ile razy Żydom nie zwrócono mienia, należącego do nich przed wojną. Dane, którymi dysponują dziś historycy, sugerują jednak, że losy Waltera Frieda i Lindy Breder nie były odosobnionymi przypadkami, ale częścią powszechnego zjawiska. W chaosie pierwszych lat powojennych, kiedy ludność dostosowywała się do rządów nowych władców przysyłanych ze Związku Radzieckiego, nikogo nie interesowało wymierzanie sprawiedliwości sprawcom prześladowań byłych więźniów obozów koncentracyjnych.

Toivi Blatt, który uciekł z Sobiboru w październiku 1943 roku, jeszcze dobitniej przekonał się, że nie będzie miał możliwości powrotu do swojego spokojnego życia sprzed wojny. Podróżując po ucieczce przez Polskę, ukrywając się przed Niemcami i prosząc o wsparcie okoliczną ludność, odkrył, że wielu Polaków odmawia mu pomocy nie tylko ze strachu przed hitlerowcami, ale również przez swój nieukrywany antysemityzm. Kiedy jeden z chłopów zgodził się w końcu ukryć Toiviego w podziemnym schowku w jednym z zabudowań gospodarczych, była to czysto finansowa transakcja - chłop domagał się za pomoc pieniędzy. Kiedy okazało się, że wojna potrwa dłużej, niż oczekiwali, krewni tego chłopca przyszli do schowka i próbowali zabić Blatta. Udając martwego, cudem uniknął śmierci.

Po zakończeniu wojny Toivi Blatt powrócił do domu w Izbicy, ale okazało się, że żydowska ludność w tym mieście została wymordowana bądź wywieziona, podobnie jak odkryli to w swoich miastach Linda Breder i Walter Fried. Opuścił więc Izbicę i próbował zacząć nowe życie gdzie indziej w Polsce, ale mu się nie poszczęściło. „Przez większość czasu, kiedy żyłem w Polsce - wspomina - czułem się jak obcy. Chciałem się ożenić, ale był szkopał - jak ona zareaguje, kiedy dowie się, że jestem Żydem? Większości się to nie spodobało, mogę was zapewnić”. Toivi tak źle się czuł w kraju urodzenia, że w 1957 roku skorzystał z możliwości emigracji - najpierw do Izraela, a potem do Ameryki. Rządząca w Polsce partia komunistyczna popierała antysemityzm, według niego komuniści uważali Żydów za „piątą kolumnę”.

Toivi Blatt osiągnął w końcu życiowy sukces w Stanach Zjednoczonych, zawsze jednak czuł się w części Polakiem i ponownie odwiedził Izbicę w latach dziewięćdziesiątych. Powrócił do miejscowości, która kiedyś była domem dla 4000 Żydów, dziś nie mieszkał w niej ani jeden. Mieszkający we wsi znajomy, polski katolik, zawsze powtarzał, że jeśli kiedykolwiek wróci do miasteczka, to powinien u niego zanoćować. Toivi postanowił skorzystać z zaproszenia, ale bez podania powodu odmówiono mu - choć Toivi znał ten powód bardzo dobrze. „Nie chciał, żeby sąsiedzi widzieli, że śpi u niego Żyd”.

Podobną niechęć do przyznania się do niego zauważył Toivi Blatt również wśród Polaków, którzy ukrywali go w czasie wojny. Sam przyznaje, że w czasie wojny niektórzy dzielni Polacy dawali mu żywność i ukrywali go po ucieczce z Sobiboru (jak wykazały niedawne badania, w Warszawie bezinteresownie pomagały Żydom tysiące ludzi \* [\*Zob. Gunnar S. Paulsson, „«Secret Garden» The Hidden Jews of Warsaw”, Yale University Press 2002. Około 28 000 polskich Żydów uciekło z warszawskiego getta (lub nigdy nie trafiło do niego), a około 11 000 przetrwało do końca wojny, wielokrotnie dzięki pomocy Polaków.]), ale ludzie ci, zamiast czuć dzisiaj dumę ze swojego postępowania, odczuwają wstyd. Kiedy Toivi szedł przez pobliską wieś z katolickim księdzem, wskazał na dom człowieka, który pomagał mu w czasie wojny, podszedł i zapukał do drzwi. Człowiek za oknem ukrył się jednak za firanką i nie chciał go wpuścić. Również i tym razem powód wydał się Toiviemu jasny. „Wielu ludzi, którzy ukrywali Żydów, nie chce, by dowiedzieli się dziś o tym sąsiedzi, bo zaraz zaczną gadać: «Ten chował Żydów, więc dostawał pełno pieniędzy»,».

Najbardziej jednak przekonał się, że antysemickie przesady nie znikły, kiedy odwiedził swój rodzinny dom w Izbicy. Zapukał do drzwi i spytał mieszkającego tam mężczyznę, czy pozwoli mu wejść i obejrzeć dom, w którym się urodził i dorastał, w którym krył się w czasie niemieckich „akcji”, w którym jego ukochani rodzice spędzili ostatnie chwile przed wysłaniem ich do Sobiboru. Nowy właściciel domu był na początku niechętny, ale kiedy Toivi wcisnął mu do ręki trzy dolary amerykańskie, zgodził się wpuścić go do środka. Toivi zauważył od razu krzesło w salonie i powiedział, że należało do jego ojca. „O, nie - odpowiedział nowy mieszkaniec. - To niemożliwe”. Toivi odwrócił więc krzesło i pokazał wypisane na spodzie swoje nazwisko. Wtedy nowy właściciel powiedział: „Panie Blatt, po co ta komedia z krzesłem? Wiem, po co pan tu przyjechał”. Toivi patrzył na niego, nie rozumiejąc. „Przyszedł pan po ukryte tu pieniądze - ciągnął ten mężczyzna. - Możemy się podzielić - połowa dla pana, połowa dla mnie”. Wzburzony Toivi Blatt wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Historia ta ma bardzo stosowne zakończenie - które upodabnia ją do moralitetu. Kiedy Blatt ponownie odwiedził Izbicę, zobaczył swój dawny dom w stanie ruiny. Poszedł więc do sąsiadów i zapytał, co się stało. „O, panie Blatt - odpowiedzieli - kiedy pan odjechał, nie mogliśmy tutaj spać, bo on dzień i noc szukał skarbu, który podobno pan tutaj zostawił w czasie wojny. Rozebrał podłogę, ściany, wszystko. Potem okazało się, że nie może tego domu złożyć z powrotem, bo nie ma dość pieniędzy. Została więc ruina”.

Losy Toiviego Blatta, Lindy Breder i Waltera Frieda są częścią ciemnej i smutnej strony ludzkiego charakteru, natomiast podnieść na duchu może historia o tym, co wydarzyło się w innej części Europy. Kiedy duńscy Żydzi wrócili do domu - większość z wygnania w Szwecji, nieliczni z getta Theresienstadt - przyjęto ich z otwartymi ramionami. „Nie było tak jak w miejscach, gdzie ludzie przywłaszczali sobie domy Żydów i zamieszkiwali w nich - opowiada Bent Melchior \* [\*Wywiad dla BBC.]. - Tutaj nikt niczego nie tknął”. Gdy tylko rodzina Melchiora powróciła, gospodarz ich domu wymówił mieszkanie nowym lokatorom i po trzech miesiącach rodzina mieszkała tak samo, jak przed deportacją. Ich gospodarz troskliwie spakował nawet i przechował ich meble.

Rudy Bier \* [\*Wywiad dla BBC.] i jego rodzina powrócili do domu w Danii i zastali swoje mieszkanie „nietknięte”. W czasie ich nieobecności czynsz opłacali znajomi. „To było wspaniałe uczucie - wspomina - że w domu na nas czekano”. Najgorszy powrót, jaki pamięta, był udziałem krewnych jego żony. Pozostawili w mieszkaniu nie-upieczoną kaczkę i osiemnaście miesięcy później zastali ją w swoim mieszkaniu w stanie daleko posuniętego rozkładu. Od tamtego czasu jego teściowa nigdy więcej nie jadła kaczki.

Los duńskich Żydów po wojnie był na ogół znacznie lepszy niż Żydów polskich czy słowackich, ale na pewno wynikało to z sytuacji w tych krajach. Żydzi próbujący odbudować swoje życie we wschodniej Europie stawali przed niewykonalnym zadaniem odzyskania swojej własności w nowym systemie politycznym, gdzie wszystko miało być państwowe i gdzie ludziom nie wolno było posiadać domów i fabryk, których właścicielami byli przed wojną. Nie-Żydzi, którzy wprowadzili się do domów i mieszkań po deportacjach Żydów, mogli teraz powiedzieć, że właścicielem wszystkich nieruchomości było państwo, a oni tylko je wynajmują (tak było na Słowacji, kiedy Friedowie starali się odzyskać swoją restaurację). W interesie wielu nie-Żydów nie leżało również rozpoczęcie debaty na temat ich zachowania w czasie okupacji hitlerowskiej, a w wyniku eksterminacji niewielu Żydów powróciło do tych krajów, by taką debatę rozpocząć. Starania komunistów, by zbrodnie hitlerowskie przedstawić jako represje wobec tych, którzy walczyli z „faszyzmem”, również doskonale odpowiadały tym nie-Żydom, którzy starali się zatuzować w swojej historii traumatyczne epizody

hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Zbyt wiele krępujących pytań musiało pozostać bez odpowiedzi.

Liczne przykłady w tej książce potwierdzają, że większość ludzi ma trudności z przeciwstawieniem się utartym społecznym zwyczajom. Joszo, stary przyjaciel Waltera Frieda, został jego wrogiem nie w wyniku samotnie podjętej decyzji, ale pod wpływem otaczającej go kultury, która zmieniła się po przybyciu wojsk radzieckich, oraz w wyniku powrotu nielicznych Żydów, przypominających o przeszłości, o której wszyscy starali się zapomnieć. Zawsze łatwiej jest płynąć z prądem. Jeśli prąd zmierza akurat ku antysemityzmowi i prześladowaniom, wielu ludzi się z tym pogodzi.

Duńcyzy natomiast nie musieli stawiać czoła takim trudnościom. Ponieważ w swoim mniemaniu zachowali się wspaniale jesienią 1943 roku, w obliczu groźby niemieckich deportacji, powrót Żydów był chwilą, z której mogli się cieszyć i o której nie starali się zapomnieć. Pamiętajmy również, że pod względem ekonomicznym, politycznym i zapewne moralnym łatwiej było tuż po wojnie być Duńczykiem niż Polakiem czy Słowakiem. Nie można również powiedzieć, że losy Żydów wracających do domów w zachodniej Europie zawsze były pomyślne - bo to nieprawda. Mimo starań żydowskiej organizacji charytatywnej Joint oraz pieniądзом przekazywanym w latach pięćdziesiątych przez Niemiecką Republikę Federalną państwu Izrael w ramach porozumienia luksemburskiego, wielu Żydów nigdy nie otrzymało żadnej finansowej rekompensaty. Oczywiście starania o zwrot majątków i odszkodowania nie ustały do dziś.

Podczas gdy były ofiary hitlerowskich prześladowań z niepewnością patrzyły w przyszłość po zakończeniu wojny, ich prześladowcy z SS mogli być pewni, że po upadku Trzeciej Rzeszy czeka ich aresztowanie i proces sądowy. Tak samo jak Rudolf Höss, również Oskar Groening \* [\*Wywiad dla BBC.] starał się ukryć swoją przeszłość, mimo że był jedynie małym kółeczkiem w trybach maszyny zagłady w Auschwitz. W 1944 roku jego podanie o przeniesienie do jednostki frontowej zostało w końcu rozpatrzone pozytywnie i Groening trafił do wojsk SS walczących w Ardenach. Ranny, dostał się do szpitala polowego, a następnie powrócił do swojej jednostki, która poddała się Brytyjczykom 10 czerwca 1945 roku. W obozie jenieckim Brytyjczycy nakazali Groeningowi i jego towarzyszom wypełnić kwestionariusz osobowy. Groening zdał sobie wtedy sprawę, że, jak to ujął, „przyznanie się do służby w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu wywoła negatywną reakcję”, więc „starał się nie zwracać na nią uwagi czytającego”. Napisał, że pracował w Urzędzie Administracyjno-Gospodarczym SS w Berlinie. Uczynił tak nie dlatego, że nagle ogarnął go wstyd za to, co działo się w Auschwitz, ale dlatego, że „zwycięzca zawsze ma rację, a my

wiedzieliśmy, że to, co, tam [w Oświęcimiu] się działo, nie zawsze było zgodne z prawami człowieka”. Groening wciąż uważa, że „niewola w obozach jenieckich była konsekwencją mojej służby w Waffen SS \* [\*Waffen SS nie uznano po wojnie za organizację przestępczą (przyp. A.Ż.)], którą później uznano za organizację przestępczą - dowiedziałem się więc, że byłem członkiem organizacji przestępczej, choć kiedy zostałem jej członkiem, nic o tym nie wiedziałem”.

Wraz z innymi esesmanami został uwięziony w byłym obozie koncentracyjnym, gdzie „nie było zbyt przyjemnie - to była zemsta na winnych”. Oskarowi żyło się jednak coraz lepiej, kiedy trafił w 1946 roku do Wielkiej Brytanii. Tu, jako więzień obozu pracy, miał „bardzo wygodne życie”. Dobrze jadł i zarabiał pieniądze. Zapisał się do chóru organizacji YMCA i przez cztery miesiące podróżował po Anglii i Szkocji, dając koncerty. Śpiewał niemieckie pieśni religijne i tradycyjne pieśni ludowe Anglii, takie jak „A lover and his lass”. Publiczność była zachwycona i Brytyjczycy prześcigali się, żeby przenocować u siebie jednego z Niemców i poczęstować go śniadaniem.

Kiedy w 1947 zwolniono go i pozwolono wrócić do Niemiec, okazało się, że jako były członek SS nie może powrócić do dawnej pracy w banku, poszedł więc do pracy w fabryce i powoli zaczął piąć się w hierarchii kierowniczej. Cały czas starał się „nie zwracać niczyjej uwagi” na swoją służbę w Auschwitz, nalegając nawet, by jego najbliżsi również zapomnieli o tym epizodzie jego życia. Raz, wkrótce po powrocie do Niemiec, Groening w czasie obiadu z ojcem, teściem i teściową usłyszał od nich „głupie uwagi o Auschwitz”, z których wynikało, że jest „potencjalnym, albo i rzeczywistym, mordercą”. „Po prostu wybuchłem gniewem! - opowiada Groening. - Wałąc pięścią w stół, powiedziałem: «Nigdy więcej nie wymawiajcie przy mnie tego słowa i nie mówcie, że tam byłem. Inaczej się wyprowadzę!». Powiedziałem to całkiem głośno i zostało to uszanowane. Nigdy więcej nie wspomnieli o tym”. W ten sposób rodzina Groeninga pogodziła się z przeszłością i zajęła przyszłością w powojennych Niemczech, korzystając z dobrodziejstw niemieckiego „cudu gospodarczego”.

W latach powojennych powstało również państwo Izrael \* [\*Państwo Izrael powstało 14 maja 1948 roku na mocy decyzji Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 1947 roku. Fakt powstania państwa ogłosiły nowe władze izraelskie (przyp. A.Ż.)], którego służby specjalne rozpoczęły zakrojone na szeroką skalę polowanie na zbrodniarzy hitlerowskich. Najśłynniejszym ich sukcesem było wytropienie i uprowadzenie do Izraela mieszkającego w Argentynie Adolfa Eichmanna, a następnie jego proces w Tel Awiwie w 1961 roku. Mosze Tabor \* [\*Wywiad dla BBC.] był jednym z agentów izraelskich, którzy złapali Eichmanna.



Mimo że jest on dumny z tej znanej na całym świecie akcji, bardziej zadowolony jest z tajnej „zemsty”, którą wymierzył bezpośrednio po wojnie.

W 1941 roku dwudziestoletni Mosze Tavor wstąpił do armii brytyjskiej, a później rozpoczął służbę w liczącej 5000 żołnierzy Brygadzie Żydowskiej pod dowództwem urodzonego w Kanadzie Żyda, generała brygady Ernesta Benjamina. Ich godłem była gwiazda Dawida - widniejąca teraz na fladze państwa Izrael. Pierwsi Żydzi z Palestyny zostali wcieleni do armii brytyjskiej w 1940 roku, a pułk palestyński wziął potem udział w walkach w Afryce Północnej w 1942, ale rząd brytyjski - w tym Neville Chamberlain - był przez wiele lat niechętny tworzeniu oddzielnych jednostek żydowskich. Winston Churchill był znacznie bardziej przychylnie nastawiony do tego pomysłu i Brygada Żydowska została w końcu sformowana w 1944 roku.

W czasie walk w północnych Włoszech, a następnie bezpośrednio po wojnie Mosze Tavor i inni żołnierze dowiadawali się coraz więcej o cierpieniach zadawanych Żydom przez hitlerowców. „Wzbierał w nas gniew - mówi. - Czuliśmy, że nasz wysiłek wojenny nie wystarczy za zemstę”. Mosze Tavor i jego towarzysze zastanawiali się, w jaki sposób mogą „zemścić się” na Niemcach. Najpierw, jak opowiada, dzięki różnym kontaktom w wywiadzie i w organizacjach żydowskich zdobyli nazwiska Niemców, którzy byli podejrzani o udział w uśmiercaniu Żydów. Następnie zamaskowali swoje samochody, na których gwiazdę Dawida zastąpili oznaczeniami nieżydowskich jednostek, a na ramiona założyli opaski brytyjskiej żandarmerii. Po zakończeniu przygotowań przyjeżdżali pod dom domniemanego zbrodniarza i zabierali go na „przesłuchanie”. „Ci ludzie nie byli zbyt podejrzliwi - wspomina Tavor - bo nie wiedzieli, że jesteśmy z Brygady Żydowskiej - myśleli, że jesteśmy żołnierzami brytyjskimi. Zabieraliśmy takiego, a on zwykle nie stawiał oporu. To były jego ostatnie chwile. Nigdy już nie wracał do domu”.

Mosze Tavor i inni żołnierze Brygady Żydowskiej zabierali pojmanego przez siebie Niemca do odludnego miejsca i tam „urządzali mu proces”. Odczytywali mu listę zbrodni, o które według ich informacji był podejrzany, a potem „czasem dostawał szansę na powiedzenie kilku słów”. Następnie - każdy bez wyjątku - „był wykańczany”. Starali się nie pozostawiać żadnych śladów - krwi, ciała. „Metoda była taka, że jeden z nas go dusił”. Tavor przyznaje, że osobiście udusił jednego podejrzanego. „Nie sprawiło mi to przyjemności - ale to zrobiłem. Nigdy nie musiałem pić, żeby nabrać entuzjazmu - zawsze miałem tyle entuzjazmu ile trzeba. Nie mówię, że byłem obojętny, ale byłem spokojny, cichy i po prostu robiłem swoje. Możecie mnie nawet porównywać z Niemcami, którzy robili to samo, bo oni też tylko wykonywali swoją pracę”. Po zamordowaniu podejrzanego o zbrodnię Niemca

pozbywali się jego ciała. „Zabieraliśmy go do wybranego wcześniej miejsca. Zwykle przywiązywaliśmy coś ciężkiego - na przykład część silnika - do jego stóp i wrzucaliśmy zwłoki do rzeki”.

Mosze Tavor nie żałuje, że zabijał w ten sposób Niemców. „Kiedy to robiłem, czułem się bardzo dobrze. Nie mam na myśli samej chwili mordowania, ale okres, kiedy to robiliśmy. Nie mogę powiedzieć, że tego dziś żałuję. Możecie mi mówić, że mordowałem ludzi, ale ja wiem, kogo mordowałem. Nie jestem dziś z tego dumny, ale nie czuję się też winny. Nie budzę się w środku nocy, nie mam koszmarów, nic takiego. Śpię dobrze, dobrze jem. Żyję”.

Mosze Tavor zgadza się, że ten sposób wymierzania „sprawiedliwości” nie przypominał prawdziwego procesu sądowego z sędzią i ławą przysięgłych, ale przyznaje, że „wcześniej zrobiłem w życiu wiele rzeczy, które nie były do końca uczciwe”. Pamięta również, że „dowody” otrzymane przez niego i jego towarzyszy często nie były niczym więcej jak podejrzeniami; nie utrzymałyby się przed sądem. Istnieje w związku z tym możliwość - jest to nawet bardzo prawdopodobne - że niektórzy z zamordowanych Niemców byli niewinni. Tavor i jego towarzysze czuli jednak taki gniew, że byli gotowi podjąć to ryzyko. Był nawet świadkiem, jak żołnierze Brygady Żydowskiej mordowali Niemców, przeciwko którym nie było żadnych dowodów. „Niedźwiedź działał spontanicznie. Jeden miał matkę i brata zabitych [przez hitlerowców]. Pewnego razu zobaczył w Austrii czy w Niemczech jakiegoś Niemca na rowerze i po prostu go przejechał”.

Mosze Tavor mówi, że sam „jakieś pięć razy” wziął udział w odwetowych egzekucjach i że jego towarzysze z brygady przeprowadzili ich „w sumie około dwudziestu”. Pamiętając, że działali poza prawem, nie możemy się dziwić, że Tavor nie podaje w swojej relacji żadnych szczegółów. Starannie unika przytaczania nazwisk ludzi, których zamordował, czy dokładnego opisywania miejsc, gdzie to czynił. Można przypuszczać, że w rzeczywistości nie doszło do opisanej przez niego dramatycznej akcji - od czasu do czasu po prostu dopuszczano się samosądu na podejrzanym hitlerowcu (twierdzenie, że ofiary wybierano na podstawie informacji „wywiadu”, należy traktować ostrożnie). Inne źródła \* [\*Tom Segev, „The Seventh Million”, Hill and Wang 1994, s. 147-149.], w tym relacja naocznego świadka Haima Laskova, byłego członka izraelskiego sztabu generalnego, potwierdzają, że żołnierze Brygady Żydowskiej brali udział w „odwetowych” egzekucjach i że „mściciele” rzeczywiście dokonali próby (nieudanej) wytrucia byłych esesmanów więzionych w jednym z obozów jenieckich \* [\*Ibid., s. 140-146.].

Motywy Mosze Tavora i innych żołnierzy Brygady Żydowskiej wydają się jasne - zemsta na mordercach innych Żydów, czasami będących ich krewnymi. Nie jest to jednak tak

proste. W umysłach tych ludzi czaiło się jeszcze coś, co zmuszało ich do bezlitosnego i bezwzględnego postępowania - niejasne poczucie, że cierpiący z rąk hitlerowców Żydzi nie stawili dostatecznego oporu. „Nie mogłem zrozumieć - mówi Tavor - jak sześciu czy ośmiu niemieckich żołnierzy mogło zapędzić stu pięćdziesięciu ludzi do ciężarówek. Sam pewnie rzuciłbym się na jednego z tych Niemców, dał się zabić i tyle. Ale ja jestem innym człowiekiem niż ci Żydzi mieszkający w małych miasteczkach w Polsce. Jako dzieci bawiliśmy się w dawnych żydowskich bohaterów i urządzaliśmy wojny na niby. Czuję się bardzo związany z ludźmi, którzy walczyli tutaj [w Izraelu] dwa tysiące lat temu, a mniej łączy mnie z Żydami, którzy dawali się prowadzić na rzeź - tego nie potrafię zrozumieć”.

Opinię Mosze Tavora podziela wielu innych. Część osadników, którzy przybyli do Izraela po wojnie, twierdzi, że wyczuwali ukryty wyrzut, że nie starali się stawiać oporu hitlerowcom. Nie liczył się fakt, że niemal niemożliwe było stawianie oporu przez wywiezione z ojczyzny kobiety i dzieci, pochodzące z krajów wschodniej Europy, gdzie nawet dzisiaj mało kto okazuje im współczucie. Wśród izraelskich rodaków przeważa przekonanie, często niewyrażane wprost, że ludzie ci nie powinni byli, jak to ujął Mosze Tavor, dać się „prowadzić na rzeź jak barany”. Żydzi już nigdy nie powinni poddać się bez oporu obcej przemocy - to prawdopodobnie jedyna rzecz, jaką hitlerowskie „ostateczne rozwiązanie” nauczyło ludzi takich jak Tavor, którzy starali się uczynić z tej lekcji część zbiorowej świadomości nowego państwa Izrael.

Podczas gdy Mosze Tavor dopuszczał się samosądów w odwecie za zbrodnie hitlerowskie, inni alianci starali się działać zgodnie z prawem i postawić zbrodniarzy przed sądem. Na początku nie odnieśli dużych sukcesów. Bezpośrednio po wojnie nie była znana tożsamość wielu esesmanów z załogi obozu oświęcimskiego. Znane postacie, takie jak doktor Mengele i Rudolf Höss, zostały przez aliantów ujęte, a następnie wypuszczone na wolność. Doktor Mengele nie miał tatuażu z grupą krwi na ramieniu i nie został uznany za esesmana, a dzięki marynarskiemu przebraniu u Hössa nawet nie szukano esesmańskiego tatuażu.

Jesienią 1945 roku sekcja do spraw zbrodni wojennych sztabu brytyjskiej 21. Grupy Armii oraz brytyjski wywiad wojskowy wpadły już na trop Rudolfa Hössa \* [\*Pionierskie badania źródłowe Davida Lista z Sekcji Historycznej BBC.]. Brytyjczycy po raz pierwszy dowiedzieli się o jego „karierze” po wyzwoleniu Bergen-Belsen. Systematyczne przesłuchania byłych więźniów ujawniły zaskakujące fakty - wielu z przerażeniem wspominało o pobycie w innym obozie: Auschwitz. Postanowiono więc ująć komendanta tego miejsca. Wywiad wojskowy wiedział, że często najbardziej skuteczną metodą znalezienia zbrodniarza była obserwacja jego rodziny. Niektórzy hitlerowcy przybierali nową

tożsamość, a nawet uciekali z kraju, większość jednak utrzymywała kontakty z najbliższymi i najłatwiej było ich znaleźć przez rodziny. Tak samo było w przypadku pani Hedwigi Höss i jej dzieci. Zlokalizowano ich we wsi znajdującej się około 10 kilometrów od Belsen i poddano obserwacji. Pani Höss została w końcu aresztowana 8 marca 1946 roku i zamknięta w więzieniu. Przez pięć dni zadawano jej pytanie, gdzie przebywa jej mąż, ona jednak wciąż odpowiadała: „Nie żyje”. Rankiem szóstego dnia oficerowie wywiadu postanowili uciec się do podstępu i udało im się. Na tyłach więzienia biegła linia kolejowa, na której bezpośrednio pod oknem Höss z hałasem podstawiono pociąg. Co stało się potem, opowiada oficer dowodzący 92. sekcją polową wywiadu, kapitan William „Victor” Cross: „Poinformowaliśmy następnie panią Höss, że pociąg ma zabrać jej synów na Syberię, jeśli nie powie nam, gdzie jest jej mąż, i nie poda nazwisk, jakich używa. Jeśli tego nie uczyni, będzie miała dwie minuty na pożegnanie się z dziećmi [...]. Zostawiliśmy ją na dziesięć minut samą z ołówkiem i kawałkiem papieru, na którym miała zapisać potrzebne nam informacje. Na szczęście nasz blef się powiódł; napisała to, co chcieliśmy wiedzieć, a następnie została z synami wypuszczona do domu” \* [\*Rupert Butler, „Legions of Death”, Hamlyn Paperback 1983 oraz list kapitana Crossa do pułkownika Felixa Robsona, kuratora Intelligence Corps Museum, znajdujący się w archiwach muzeum wywiadu wojskowego w bazie Chicksands.].

Pani Höss ujawniła, że jej mąż mieszkał wtedy w gospodarstwie rolnym w Gottrüpel koło Flensburga. Oficerowie wywiadu natychmiast ruszyli do północnych Niemiec, nawiązali kontakt z działającą tam 93. sekcją polową i w poniedziałek 11 marca, o godzinie 23 przybyli do miejsca ukrycia Hössa. Zaskoczyli go w piżamie, leżącego na pryczy w jednym z zabudowań gospodarczych, gdzie mieściła się stajnia i rzeźnia. Brytyjski lekarz wojskowy siłą otworzył Hössowi usta, żeby sprawdzić, czy nie ma w nich kapsułki z trucizną - wszyscy pamiętali, że Himmlerowi udało się w ten sposób popełnić samobójstwo. Jeden z Brytyjczyków uderzył Hössa kilkakrotnie w twarz, zanim ten przyznał się, kim jest, a następnie zaciągnięto go do pobliskiej rzeźni, z której, według relacji jednego z żołnierzy, „dochodziły niekończące się wrzaski i odgłosy zadawanych ciosów”. Lekarz krzyknął do kapitana Crossa: „Powstrzymaj ich, bo zostanie ci tylko trup!”. Hössa przykryto potem kocem i zanieśiono do samochodu, który zawiózł go do kwatery głównej wywiadu (tzw. Field Security) w Heide.

Padał śnieg, kiedy nad ranem dotarli do kwatery głównej, Hössowi nakazano jednak przejść nago przez dziedziniec do swojej celi. Następnie przez trzy dni nie pozwalano mu spać - strażnikom rozkazano szturchać go rękojeściami siekier, kiedy będzie zasypiał. Według

Hössa pobito go również jego własną trzcinką jeździecką. Czternastego marca Höss podpisał w końcu ośmiostronicowe zeznanie.

Osoby kwestionujące rzeczywistość zbrodni Holokaustu często twierdzą, że zeznania Hössa nie są wiarygodne, ponieważ był on po aresztowaniu torturowany. Nawet jeśli rzeczywiście jego pierwsze zeznanie zostało wymuszone, to nie ma dowodów na złe traktowanie Hössa w późniejszym śledztwie: w czasie pobytu w ośrodku internowania zbrodniarzy wojennych w Simeons Kaserne, oznaczonym kryptonimem „Tomato”, a potem w czasie procesu norymberskiego i w czasie procesu w Polsce. W tym okresie Höss pisał swoje pamiętniki - wyraża w nich nawet wdzięczność zwycięzcom za to, że pozwolili mu spisać swoje wspomnienia - ale ani wtedy, ani na ławie oskarżonych, kiedy miał taką możliwość, nie odwołał pierwszego zeznania, mimo iż napisał, że został pobity po aresztowaniu.

W kwietniu 1947 roku Rudolf Höss powrócił do Oświęcimia, do tego samego budynku, w którym pracował w czasie wojny. Tym razem mieszkał jednak w celi, w piwnicy baraku komendantury obozu. Uznano, że człowiek odpowiedzialny za wymordowanie ponad miliona ludzi w obozie Auschwitz powinien zostać stracony w miejscu zbrodni. Trudności pojawiły się jednak w dniu wyznaczonego terminu egzekucji. Kilka tysięcy ludzi, wśród nich wielu byłych więźniów, przyszło ją zobaczyć. Atmosfera była bardzo napięta i tłum naciskał na drewniane ogrodzenie, które otaczało szubienicę. Wyczuwało się, jak wspomina Stanisław Hantz \* [\*Wywiad dla BBC.], były więzień, który oglądał całą scenę, że „oni chcą Hössa zatłuc na śmierć”. Tłum szemrał. Co zrobią żołnierze, którzy trzymali straż wokół szubienicy, jeśli tłum rzuci się naprzód? Będą strzelać? Sytuacja była tak niebezpieczna, że Hössa nie wyprowadzono zgodnie z planem z celi. Zamiast tego ucieknięto się do podstępu: żołnierze odmaszerowali, a następnie odjechali, eskortując samochód, w którym miał znajdować się Höss. Byłego komendanta nie zabrano jednak z obozu, tylko pozostawiono przez noc w celi i następnego ranka wyprowadzono na szubienicę. Przed zaledwie kilkoma ludźmi - nie było, tak jak wczoraj, krzyczących tłumów - Rudolf Höss gotował się na śmierć. „Kiedy wchodził po schodach na szubienicę, myślałem, że jako hitlerowiec będzie chciał coś powiedzieć - wspomina Stanisław Hantz, jeden ze świadków egzekucji. - Myślałem, że wygłosi przemówienie na cześć faszystowskiej ideologii, za którą umierał. Ale on nie odezwał się słowem”.

Höss umarł szybko i nie tak, jak tego chciał Hantz, torturowany w czasie wojny w obozie. „Według mnie Hössa powinni wsadzić w klatkę i wozić po całej Europie, żeby ludzie mogli go oglądać, żeby mogli pluć na niego, by dotarło do niego, co zrobił”. Intrygujące jest pytanie, czy do Hössa kiedykolwiek „dotarło”, co uczynił. Cała jego autobiografia, której

pisanie zakończył tuż przed egzekucją, wskazuje na to, że nawet największe upokorzenia i cierpienia nie zmusiły go do zastanowienia się i uznania, iż to, co czynił, było zasadniczo złe. Oczywiście, przyznaje on w autobiografii, że „teraz” widzi, że eksterminacja Żydów była błędem - ale tylko taktycznym - ponieważ skupiła na Niemcach nienawiść całego świata.

Moje osobiste doświadczenia z rozmów ze zbrodniarzami hitlerowskimi skłaniają mnie do uznania, że uczucia Hössa przed śmiercią najlepiej oddaje pewien fragment jego wspomnień. Pyta on w nim - podobnie jak to czynił w Norymberdze - co się stało z pilotem, który odmówił zrzucania bomb na miasto ze względu na mieszkające w nim kobiety i dzieci. Oczywiście, twierdzi Höss, pilot ten został postawiony przed sądem wojennym. „Porównania tego nie chciano uznać - pisze Höss. - Jestem jednak zdania, że obie sytuacje można ze sobą porównać” \* [\*Höss, *op. cit.*, s. 166.].

Podane przez Hössa usprawiedliwienie jest oparte na tym uproszczonym porównaniu - alianci zabijali kobiety i dzieci, bombardując miasta, a hitlerowcy zabijali je w komorach gazowych. Wielu zbrodniarzy hitlerowskich (oraz ich obrońców) wysuwa podobne argumenty również dziś. Jeden z byłych esesmanów, który odmówił udzielenia formalnego wywiadu, powiedział nawet w nieoficjalnej rozmowie ze mną: „Te dzieci, które umierały w komorach gazowych, cierpiały mniej niż te, które zginęły w czasie burz ogniowych w niemieckich miastach”. Bardziej otwarcie - ale ostrożniej dobierając słowa - wyraża się Oskar Groening: „Widzieliśmy spadające na Niemcy bomby i umierające w czasie burz ogniowych kobiety i dzieci. Patrzyliśmy na to i mówiliśmy: «W tej wojnie tak samo postępują obie strony\*, a Holocaust był częścią naszej walki z podżegaczami wojennymi, częścią walki o naszą wolność”. W jego oczach fakt, że alianci, „niezależnie od wojskowej konieczności, mordowali kobiety i dzieci, zrzucając na nie bomby fosforowe”, i nie byli za to sądzeni po wojnie, oznacza, że mówienie o winie i „zbrodniach wojennych” esesmanów jest hipokryzją.

Oczywiście takie porównania są dla nas nie do przyjęcia. Łatwo przytoczyć zasadnicze różnice pomiędzy postępowaniem aliantów i hitlerowców. Wiemy, że Niemcy mogli natychmiast powstrzymać bombardowania, poddając się, podczas gdy eksterminacja Żydów była polityką wynikającą z hitlerowskiej ideologii; że alianckie naloty nie były skierowane przeciw żadnej określonej grupie Niemców, podczas gdy hitlerowcy mordowali w swoim imperium tylko pewne kategorie ludzi; że celem bombardowań były miasta i budynki, a nie ludzie; że hitlerowskie prześladowania Żydów (na przykład zbrodniczy plan Eichmanna założenia rezerwatu żydowskiego wokół Niska) rozpoczęły się wcześniej niż alianckie naloty, tak więc przypuszczenia, że naloty miały być zemstą za zbrodnie przeciw Żydom, są nieuzasadnione; że jakiegokolwiek porównanie pomiędzy pragmatycznym myśleniem planistów

alianckich a fanatyczną nienawiścią antysemitów takich jak Hitler, Heydrich czy Eichmann nie ma sensu. Ostatecznym argumentem - który pierwszy przytaczają laicy - jest po prostu stwierdzenie, że „Niemcy zaczęli, bo zbombardowali brytyjskie miasta, zanim Brytyjczycy zbombardowali Berlin”. Argument ten jest jednak w rzeczywistości najslabszy, ponieważ żadnego postępowania nie można usprawiedliwić, mówiąc, że nieprzyjaciół dopuścił się go pierwszy.

Mimo wszystkich prób rozróżnienia tych dwóch sposobów zabijania, fałszywe porównanie, które przytacza Höss i inni hitlerowcy, jest w pewien sposób niepokojące. Jednym z powodów tego niepokoję jest fakt, że naloty na niemieckie miasta powodowały wyrzuty sumienia u samych przywódców alianckich - w tym, pod koniec wojny, u samego Churchilla. Niepokój ten wzrasta jeszcze po ujawnieniu niedawno, że jednym z kryteriów przy wybieraniu celów nalotów była oczekiwana „łatwopalność” danego miasta, co doprowadziło na przykład do decyzji o zbombardowaniu zabytkowych miast takich jak Würzburg, gdzie wiele średniowiecznych budynków było drewnianych. Przyjęta taktyka bombardowania z dużej wysokości nieuchronnie doprowadziła do powstania „dystansu” pomiędzy załogami i śmiercią ofiar. „To nie to samo, co pójść i wbić komuś bagnet w brzuch, prawda? - pyta Paul Montgomery \* [\*Wywiad dla BBC. Cytowane [w:] Laurence Rees, „Horror in the East”, BBC Books 2001, s. 119.], członek załogi bombowca B29, który na japońskie miasta zrzucał bomby zapalające. - I tak się ich zabija, ale zabija na odległość, a to nie jest tak demoralizujące jak przebijanie kogoś bagnetem w czasie walki wręcz. To zupełnie co innego. To jak prowadzenie wojny w grze komputerowej”.

Słowa Montgomery’ego niepokojąco przypominają o staraniach hitlerowców zwiększenia dystansu pomiędzy katem i ofiarą, czemu miały służyć komory gazowe. Tak samo jak łatwiej jest zabijać, zrzucając bomby, niż przebijając bagnetem, hitlerowcom łatwiej było uśmiercać ludzi gazem, niż ich rozstrzeliwać. Dwudziestowieczna technologia nie tylko umożliwia zabijanie większej niż kiedykolwiek wcześniej liczby ludzi, ale zmniejsza destrukcyjny wpływ tych działań na psychikę zabijających.

Nie oznacza to jednak, że można porównywać alianckie naloty na Niemcy z eksterminacją miliona ludzi w obozie oświęcimskim. Z powodów przytoczonych wyżej, działania te są zasadniczo różne. Ale w oczach Hössa oraz wielu innych hitlerowców porównanie to było uzasadnione - bombardowanie i uśmiercanie gazem to po prostu dwa różne sposoby niszczenia wroga. Oznaczało to, że Höss nigdy - nawet gdyby go wożono „w klatce”, jak tego chciał Stanisław Hantz - nie żałował swojego postępowania. Wydaje się więc, że idąc na szubienicę, myślał tak: „Nie umieram za swoje zbrodnie, ale dlatego że

przegraliśmy wojnę; umieram, bo nikt mnie nie zrozumiał” (jak napisał w liście do rodziny przed swoją egzekucją, czuł, że „największym błędem” jego życia było to, iż „wierzył we wszystko, co mówili ludzie na górze”). Ostatecznie to właśnie dlatego tak nieciekawa osoba jak Höss mogła zostać tak przerażającą postacią.

W 1947 roku, kiedy Höss został stracony, kompleks obozowy popadał w ruinę. Polacy mieszkający w okolicy rozbierali niektóre baraki w Brzezince, aby zdobyć materiał do napraw własnych domów, a jeszcze bardziej niepokojący był fakt, że teren obozu plądrowano w poszukiwaniu kosztowności. Kiedy nastoletnia wtedy Józefa Zielińska wróciła po wojnie do Oświęcimia, okazało się, że ona i jej rodzina nie mają gdzie mieszkać. Ich dom został zburzony w czasie budowy obozu i musieli mieszkać w szopie, która kiedyś służyła za kurnik. Aby zdobyć trochę pieniędzy, Józefa i jej znajomi przychodzili do ruin krematoriów i szukali złota. Przekopywano ziemię z kawałkami kości, wkładano ją do miski z wodą i przesiewano. „Wszyscy czuli się źle, że to robili - wspomina Józefa. - Nawet jeśli nikt z ich rodziny nie był w obozie, to wszyscy czuli się nieswojo, bo to przecież były ludzkie kości. To nie było przyjemne. Ale klepaliśmy taką biedę, że musieliśmy to robić”. Za zarobione ze sprzedaży złota pieniądze rodzina Józefy Zielińskiej zdołała kupić krowę.

Jan Piwczyk był kolejnym Polakiem, który po wojnie musiał mieszkać przy obozie w kurniku i, jak przyznaje, szukać kosztowności pozostałych w ruinach krematoriów. „Pamiętam, że znalazłem złoty ząb, żydowską monetę i złotą bransoletkę. Teraz bym tego pewnie nie robił, prawda? Nie poszedłbym grzebać w ludzkich kościach, bo to jest świętokradztwo. Ale wtedy zmusiły nas do tego warunki”. Kiedy Jan Piwczyk nie poszukiwał kosztowności, przekupywał radzieckich strażników i zabierał z obozowych baraków drewno, żeby budować własny dom. „Wiecie - opowiada Piwczyk - że po wojnie było ciężko - musieliśmy zaczynać od zera”.

Bezpośrednio po wojnie Stanisław Hantz, były polski więzień polityczny, świadek egzekucji Hössa, rozpoczął pracę jako stróż terenu obozu. Starał się przepędzić ludzi plądrujących ruiny krematoriów, strzelając w powietrze. „Mówiliśmy o nich «hieny cmentarne» - wspomina. - Nie mogliśmy zrozumieć, jak ci ludzie mogą przeszukiwać te grobowce”. Poza terenem obozu miał niezawodny sposób na wykrycie złodziei. „Można ich było rozpoznać po zapachu - czuć ich było z daleka. To był smród rozkładających się ciał. Można było tych ludzi rozpoznać na ulicy”.

Kilka lat później teren obozu znalazł się pod odpowiednią opieką. Natomiast tabliczki informacyjne w muzeum dopiero po upadku komunizmu zmieniono tak, by odzwierciedlały cierpienia żydowskich ofiar obozu.



W tym samym czasie Oskar Groening, przez kilka lat członek załogi obozu, systematycznie piał się po szczeblach kariery w fabryce szkła i w końcu został szefem działu kadr. Później został jeszcze honorowym sędzią w sądzie pracy. Nie dostrzegając w swoich słowach żadnej ironii, Oskar Groening twierdzi, że doświadczenie zdobyte w SS i Hitlerjugend umożliwiło mu lepszą pracę na stanowisku szefa kadr, ponieważ „od dwunastego roku życia byłem przyzwyczajony do dyscypliny”.

Mimo że służył w załodze obozu koncentracyjnego i pomagał w procesie eksterminacji, sortując i licząc pieniądze skradzione nowo przybyłym więźniom, nigdy nie uważał się za „winnego” żadnej zbrodni. „Rozróżnialiśmy pomiędzy tymi, którzy pracowali bezpośrednio przy uśmiercaniu ludzi, i tymi, którzy nie byli w nie zamieszani”. W dodatku uważa, że - by użyć słów broniących się po wojnie zbrodniarzy - tylko wykonywał rozkazy i stara się bronić, odwołując do takiej analogii: „Kiedy kompania żołnierzy po raz pierwszy dostaje się pod ogień karabinów maszynowych, nie wstają oni i nie mówią: «Nie zgadzamy się z tym - idziemy do domu»,,.

W podobny sposób, co może zaskakiwać, zachodni niemieccy prokuratorzy myśleli, kiedy starali się określić, kogo należy postawić przed sądem za zbrodnie wojenne, a kogo nie. Jeśli członek SS nie był na wyższym stanowisku dowódczym albo bezpośrednio nie uczestniczył w uśmiercaniu ludzi - zwykle nie stawiano mu zarzutów. Kiedy więc przeszłość Oskara Groeninga została w końcu ujawniona - co musiało nastąpić, ponieważ nie zmienił on nazwiska i nie ukrywał się - niemiecka prokuratura nie postawiła mu żadnych zarzutów. Jego losy są więc dowodem na to, że można było służyć jako oficer SS w załodze obozu oświęcimskiego, przyglądać się procesowi eksterminacji, czynnie pomagać w procesie eksterminacji przez sortowanie zagrabionych pieniędzy i mimo to nie być w powojennych Niemczech uważanym za winnego. W rzeczy samej, spośród około 6500 esesmanów, którzy służyli w załodze KL Auschwitz w latach 1940-1945 i przeżyli wojnę, tylko 750 zostało w jakikolwiek sposób ukaranych \* [\*Zob. też Aleksander Lasik, „Ściganie i karanie członków załogi KL Auschwitz” [w:] „Auschwitz 1940-1945”, t. 5, Wydawnictwo Państwowego Muzeum w Oświęcimiu 1995.]. Największą niesławą cieszy się „proces oświęcimski” we Frankfurcie, który trwał od grudnia 1963 roku do sierpnia 1965. Spośród 22 oskarżonych skazano wtedy 17, a tylko 6 otrzymało najwyższy wymiar kary - dożywotnie więzienie.

Nie tylko w Niemczech nie postawiono przed sądem wielu esesmanów z załogi obozu. Zaniechania tego dopuściła się cała wspólnota międzynarodowa (być może z wyjątkiem Polski, gdzie odbyły się procesy 673 spośród 789 sądzonych esesmanów). Postępowanie przeciw członkom załogi obozu utrudniał brak międzynarodowego porozumienia co do tego,

jak określić „zbrodnię” popełnianą w obozie oświęcimskim, przeszkadzał również zimnowojenny podział świata i, trzeba to powiedzieć, brak woli przeprowadzania tych procesów. Mimo że trybunał norymberski uznał całe SS za „organizację przestępczą”, nigdy nie próbowano wprowadzić w życie zasady, że służba w obozowym SS była zbrodnią wojenną - choć opinia publiczna na pewno poparłaby taką opinię. Proces każdego esesmana z obozu i wyrok - nawet łagodny - byłby na pewno jasnym przesłaniem dla przyszłych pokoleń. Ale około 85 procent esesmanów z załogi obozu oświęcimskiego uniknęło jakichkolwiek konsekwencji \* [\**Ibid.*]. Kiedy Himmler rozpoczął proces budowy komór gazowych, by zmniejszyć „obciążenie” psychiczne esesmanów masowo rozstrzeliwujących ludzi, nie mógł przewidzieć, że po wojnie będzie to dobrodziejstwem dla hitlerowców. Taka metoda uśmiercania ludzi umożliwiła wielu uniknięcie kary, ponieważ twierdzili, że nie wzięli bezpośredniego udziału w procesie eksterminacji.

Oskar Groening nie czuł również wyrzutów sumienia, kiedy dowiedział się, że podczas gdy on żył (i wciąż żyje) wygodnie, dla wielu byłych więźniów obozu wyzwolenie nie oznaczało końca cierpienia i upokorzeń. „Tak już jest na świecie, zawsze tak było - mówi. - Każdy ma taką wolność, na jaką w danej chwili pozwala sytuacja. Ja robiłem tylko to, co każdy normalny człowiek robiłby na moim miejscu, to znaczy starałem się jak najlepiej wykorzystać sytuację dla siebie i dla dobra najbliższych. Mnie się to udało - innym nie. To, co było wcześniej, nie ma znaczenia”.

Przy tak beztróskim nastawieniu Oskara Groeninga zaskakuje fakt, że pod koniec życia postanowił otwarcie opowiedzieć o swojej służbie w obozie oświęcimskim, intrygujące są również okoliczności, które doprowadziły do tej zmiany. Po wojnie Groening został namiętym kolekcjonerem znaczków, członkiem miejscowego klubu filatelistycznego. W czasie jednego ze spotkań tego klubu, ponad czterdzieści lat po wojnie, zaczął rozmawiać o polityce z jednym z zebranych. „Czyż to nie okropne, że nasze władze zabraniają podawać w wątpliwość mordowanie milionów ludzi w Oświęcimiu?”. Nieznajomy zaczął tłumaczyć Groeningowi, że spalenie tak wielkiej liczby ciał jest „niemożliwe”, twierdził również, że ilość gazu użytego jakoby w Auschwitz wytrąłaby „wszystkie żywe istoty” w okolicy.

Groening nic nie powiedział, żeby zaprzeczyć swojemu rozmówcy w klubie filatelistycznym, ale później zdobył polecaną przez tego filatelistę broszurę, kwestionującą zbrodnię Holokaustu, opatrzył ją ironicznym komentarzem i odesłał mu ją. Wtedy zaczął otrzymywać dziwne telefony od nieznajomych, którzy dzwonili do niego do domu i starali się przekonać go, że w Oświęcimiu wcale nie uśmiercano masowo ludzi w komorach gazowych. Okazało się, że jego ironiczny komentarz został wydrukowany w neonazistowskim

czasopiśmie. Teraz „90 procent telefonów i anonimowych listów do mnie pochodzi od ludzi, którzy starają się mi udowodnić, że to, co na własne oczy widziałem w Auschwitz, czego doświadczyłem w tym obozie, było tak naprawdę wielką pomyłką, halucynacją, że w ogóle się nie wydarzyło”.

Chcąc otwarcie sprzeciwić się ludziom kwestionującym wydarzenia, których był świadkiem, Groening zapisał swoje losy dla swojej rodziny, a następnie zgodził się na udzielenie wywiadu BBC. Osiemdziesięcioletni już starzec ma osobom kwestionującym Holokaust tylko jedno do powiedzenia: „Chciałbym, żebyście mi uwierzyli. Widziałem komory gazowe. Widziałem krematorium. Widziałem stosy, na których płonęły ciała. Byłem na rampie w czasie selekcji. Chciałbym, żebyście uwierzyli, że te zbrodnie naprawdę popełniono, ja tam byłem”.

Co nam zostaje na końcu tej tragicznej historii? Na pewno musimy dojść do wniosku, że żyjemy w świecie, gdzie większość ludzi, którzy kierowali obozem, nie została ukarana za żadną zbrodnię, a większość więźniów nie otrzymała zadośćuczynienia za cierpienia, jakich w nim doznali. Co więcej - wielu z nich zaznało po wojnie dalszych cierpień w wyniku przesądów i przesładowań. Wnioski takie wywołują w nas oczywiście bunt. W każdym człowieku tkwi głębokie przekonanie, że życie powinno być sprawiedliwe - poczucie, że niewinni ludzie otrzymają kiedyś zadośćuczynienie za cierpienia, a winni zostaną ukarani. Niniejsza historia nie przynosi takiego pocieszenia, a najbardziej dobitnym dowodem na brak zadośćuczynienia jest ziemia Brzezinki, przesiewana po wojnie w poszukiwaniu kosztowności, największe cmentarzysko świata. To jest właśnie, podobnie jak pobliska Wisła, do której często wrzucano popioły, miejsce spoczynku ponad miliona ludzi, których świadectwa nigdy nie usłyszymy.

Nie wydaje się również, przynajmniej w większości wypadków, że osoby, którym udało się przetrwać w obozie oświęcimskim, znalazły duchową pociechę dającą zadośćuczynienie doznanych krzywd. Na każdą osobę, która, tak jak Else Abt, czuła, że w obozie czuwa nad nią Bóg, przypada wiele osób takich jak Linda Breder, która wierzy, że „w Auschwitz nie było Boga. Tam było tak strasznie, że Bóg postanowił omijać to miejsce. Nie modliliśmy się, bo to by i tak nie pomogło. Wielu z tych, którzy przetrwali, to teraz ateści. Po prostu nie ufają Bogu”. Linda Breder, podobnie jak inni, którzy przetrwali, zdaje sobie sprawę, że przeżyła w dużej mierze dzięki szczęściu - a pogląd, że życie zależy od nieobliczalnego przypadku, nie jest dobrą podstawą dla religijnej wiary.

Według przyjętych dziś szacunków spośród 1,3 miliona przywiezionych do obozu oświęcimskiego ludzi zginęło 1,1 miliona. Przerazająca większość ofiar, jeden milion, to

Żydzi - z czego powinny zdawać sobie sprawę te nieliczne osoby, które wciąż, zgodnie z komunistyczną terminologią, zbiorowo określają uśmierconych tu ludzi jako „ofiary faszyzmu”. Musimy pamiętać, że ponad 90 procent ofiar Auschwitz musiało zginąć, ponieważ ich jedyną „zbrodnią” był fakt, że urodzili się jako Żydzi.

Największa grupa pomordowanych w Auschwitz \* [\*Liczby te podał profesor Piper z Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.] Żydów pochodziła z Węgier (438 000) i zginęła w czasie morderczej gorączki na początku lata 1944 roku. Druga najbardziej liczna grupa to Żydzi polscy (300 000), potem francuscy (69 114), holenderscy (60 085), greccy (55 000), Żydzi z Czech i Moraw (46 099), Słowacji (26 661), Belgii (24 906), Niemiec i Austrii (23 000), Jugosławii (10 000) i Włoch (7422). Nie wolno nam oczywiście nigdy zapomnieć o nie-Żydach, którzy zginęli w obozie: 70 000 polskich więźniów politycznych, ponad 20 000 Cyganów, 10 000 radzieckich jeńców wojennych, setki świadków Jehowy, kilkudziesięciu homoseksualistów oraz osoby wysłane do obozu z niezliczonych innych powodów (a czasem bez żadnego powodu).

Wkrótce ostatni żyjący więźniowie Auschwitz dołączą do tych, którzy zostali zamordowani w obozie. Na ziemi nie pozostanie już ani jeden człowiek, który na własne oczy widział zbrodnie popełniane w tym miejscu. Istnieje więc niebezpieczeństwo, że historia ta odpłynie w odległą przeszłość i stanie się jednym z wielu straszliwych wydarzeń w historii. Wcześniej dochodziło do ludobójstwa, takiego jak rzeź muzułmanów pobitych przez Ryszarda Lwie Serce pod Akra czy pogrom, jakiego Czyngis-chan dopuścił się w Persji. Być może przyszłe pokolenia spojrzą na Auschwitz właśnie w ten sposób - jako jeszcze jedną dawną masakrę, której nikt już nie pamięta. Nie możemy jednak dopuścić, by tak się stało. Musimy ocenić postępowanie zbrodniarzy na tle ich czasów. A na tle dwudziestowiecznej, dumnej ze swojego rozwoju kultury europejskiej hitlerowskie „ostateczne rozwiązanie” jest najgorszym aktem w całej historii. Swoimi zbrodniami hitlerowcy uświadomili światu, co mogą uczynić wykształceni, żyjący w cywilizacji technicznej ludzie - jeśli tylko stłumią swoje uczucia. Wiedza ta nie może nigdy odejść w zapomnienie. Jest wciąż w nas - ohydna, uśpiona, czekająca na przekazanie kolejnym pokoleniom. Ostrzeżenie dla nas i dla tych, którzy przyjdą po nas.

## Podziękowania

Ponieważ książka niniejsza powstawała na podstawie napisanego i wyprodukowanego przeze mnie serialu telewizyjnego, wielu ludziom muszę podziękować.

Praca nad serialem (a więc również nad książką) nie mogłaby się zacząć bez entuzjazmu i poświęcenia Marka Thompsona, dyrektora BBC Television. W czasie, jaki upłynął od momentu formalnego rozpoczęcia produkcji do premiery programu, Mark zdażył opuścić BBC, żeby zająć kierownicze stanowisko w stacji Channel 4, a następnie wrócić jako generalny dyrektor BBC, co daje wyobrażenie, jak długo trwają przygotowania i prace nad tego typu projektem. Serial zawdzięcza swoje powstanie wielu innym pracownikom BBC, wśród nich zwłaszcza Jane Root, będącej wtedy koordynatorem programu BBC2, Glenwyn Benson, koordynującej produkcję programów dokumentalnych, oraz Emmie Swain, nadzorującej zamawianie specjalistycznych programów tego rodzaju. Chciałbym również szczególnie podziękować mojemu bezpośredniemu przełożonemu, Keithowi Scholeyowi, komisarzowi redakcji specjalistycznych programów dokumentalnych, za jego ogromną cierpliwość i fachowe porady.

W pracach nad tym projektem wzięło udział wielu wybitnych uczonych. Konsultant historyczny, sir Ian Kershaw, udzielił wielu niezwykle wyczerpujących wyjaśnień - nieprzypadkowo jest on przecież utytułowanym badaczem. Duży wkład w produkcję serialu wnieśli profesor David Cesarani i profesor Christopher Browning, dzięki którym po części ukształtowały się moje poglądy na przedstawione w nim wydarzenia. Trudno o dwóch innych równie wybitnych znawców historii hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania”. Dzięki pomocy profesora Roberta Jana van Pelta zdobyliśmy lepsze wyobrażenie o przestrzennym rozplanowaniu obozu, bardzo pomocni byli również naukowcy i pracownicy administracji Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. Spośród pracowników muzeum chciałbym podziękować przede wszystkim: Igorowi Bartosikowi, Edycie Chowaniec, Adamowi Cyrze, Jadwidze Dąbrowskiej, Dorocie Greli, Wandzie Hutny, Helenie Kubicy, Mirkowi Obstarzykowi, Krystynie Oleksy, Józefowi Orlickiemu, dr. Franciszkowi Piperowi, Wojciechowi Płosie, dr. Piotrowi Setkiewiczowi, Kazimierzowi Smoleniowi, Andrzejowi Strzeleckiemu, Henrykowi Świebockiemu, Jerzemu Wróblewskiemu oraz Romanowi Zbrzeskiemu. W Polsce przy zbieraniu materiałów do serialu pomogli nam również: Kazimierz Albin, Halina Elczewska, Abraham i Ester Frischerowie, dr Józef Geresz, Bernadetta Gronek, John Hartman, Edward Kopówka, Alicja Kościan, dr Aleksander Lasik,

Anna Machcewicz, Mariusz Jerzy Olbromski, Łucja Pawlicka-Nowak, Hubert Rogoziński, Robert Rydzoń, Jacek Szwic, dr Marian Turski oraz Michalina Wysocka.

Na Wyspach Normandzkich swoją wyjątkową wiedzą historyczną podzielił się z nami Frederick Cohen, a we Francji wielkiej pomocy udzielili nam Serge Klarsfeld i Adeline Suard. Chcielibyśmy też szczególnie podziękować dr. Gideonowi Greifowi za pomoc udzieloną w izraelskich archiwach Yad Vashem. W Izraelu do powstania serialu przyczyniła się również Nava Mizrahi. Na Słowacji pomogli nam Ivan Kamenec i Eduard Niznansky, a w Niemczech następujące osoby: dr Andrej Angrick, Martin Cueppers, Wolf Gebhardt, Niels Gutschow, Peter Klein, Michaela Lichtenstein, dr Bogdan Musiał, dr Dieter Pohl, dr Volker Reiss, Robert Sommer, dr Frank Stucke oraz Peter Witte. W Rosji nasz projekt miał przyjaciela w osobie dr. Siergieja Slucza. Na Węgrzech bardzo pomocna była dr Krisztina Fenyó, a na Ukrainie Taras Szumejko. Wreszcie w Stanach Zjednoczonych wspaniale pomagał nam Adam Levy.

Bardzo wiele zawdzięczam oczywiście ekipie telewizyjnej pracującej przy produkcji serialu. W szczególności chciałbym podziękować Detlefowi Siebertowi. Nie tylko doskonale wyreżyserował we wszystkich odcinkach sceny dramatyczne, ale dostarczył wielu przenikliwych uwag i rad na temat reszty programu. Jest on osobą o wyjątkowym intelekcie. Dwoje redaktorów dokumentalnych, Martina Bala-zowa i Dominic Sutherland, również świetnie się spisało, podobnie jak nasi kamerzyści, Martin Patmore i Brian Biffin. Dominic, z pomocą Moving Picture Company i Johna Kennedy'ego, nadzorował również graficzną stronę programu. Chciałbym również pochwalić pomocniczego producenta serialu Tanyę Batchelor oraz Annę Taborską, odpowiedzialną za zbieranie materiałów w Polsce. Dokumentami archiwalnymi zajmował się Declan Smith, a Rebecca Maidens i Cara Goold koordynowały produkcję: również te osoby bardzo przyczyniły się do powstania serialu. Emily Brownridge była świetną menedżerką produkcji, a Anna Mishcon i Laura Davey zawsze służyły pomocą jako kierowniczkki produkcji. Podziękowania należą się również moim asystentkom, którymi były najpierw Sarah Hali, a później Michelle Gribbon.

Osobno chciałbym wspomnieć o doskonałym doradztwie naszych amerykańskich koproducentów, firmie KCET. Przy pracy pomagali nam tam Karen Hunte, Al Jerome, Mary Mazur, a przede wszystkim Megan Callaway, podobnie jak Coby Atlas z PBS. Sally Potter z wydawnictwa BBC Books bardziej niż wzorowo wywiązała się ze swoich obowiązków, bardzo pomocne były również rady Andrewa Nurnberga.

Podziękować chciałbym również mojej rodzinie - dzieciom, Benedictowi, Camilli i Oliverowi, oraz żonie, Helenie - nie potrafię opisać, jak bardzo mi pomogli. Nielatwo jest żyć

z kimś, kto ma głowę pełną historii o Auschwitz i hitlerowcach, ale moja rodzina zaakceptowała to i wiele innych rzeczy.

Ale największa wdzięczność z mojej strony należy się świadkom, którzy zgodzili się udzielić wywiadów na potrzeby tego projektu. Ich wspomnienia są bezcenne. Mam nadzieję, że wybaczą mi, że dziękuję im tutaj zbiorowo - ich nazwiska są już w tej książce, podobnie jak ich relacje.